

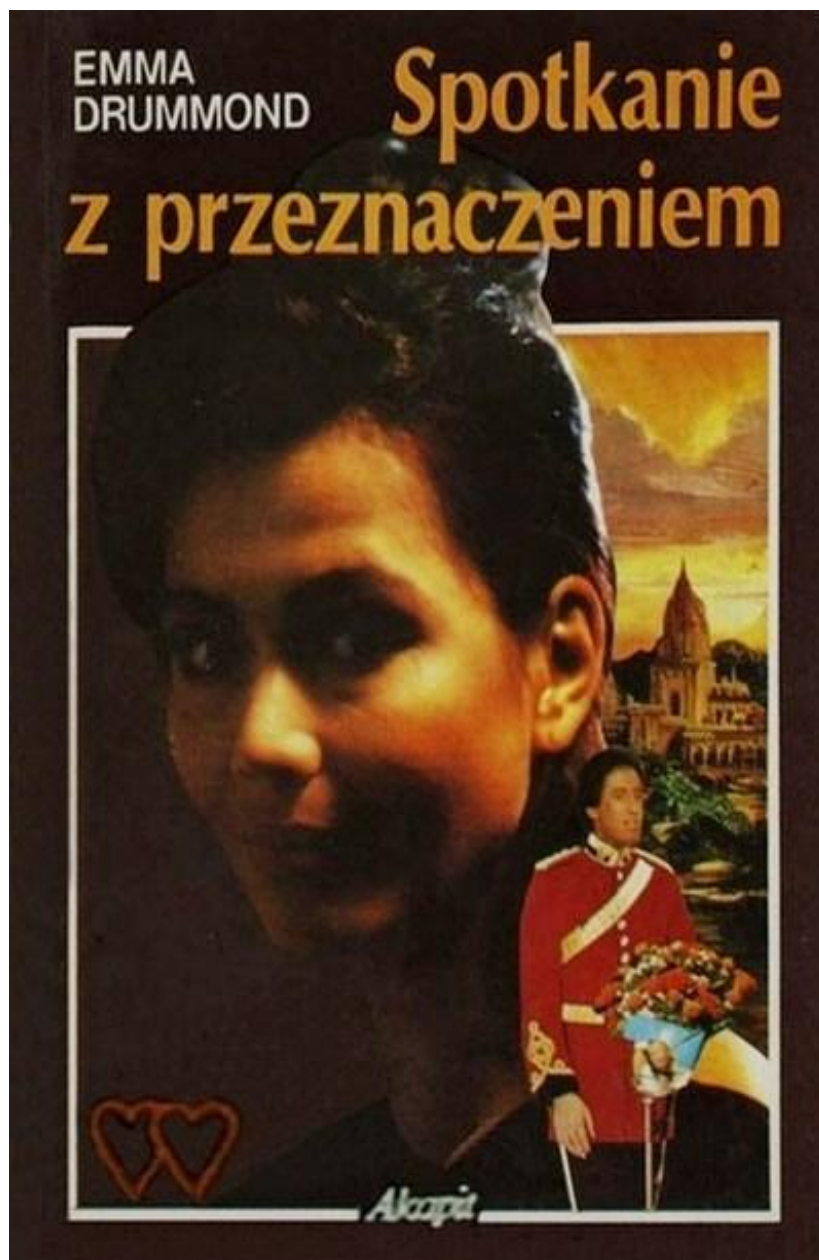


EMMA DRUMMOND



SPOTKANIE Z PRZEZNACZENIEM

Tłumaczyła Agnieszka Rzepa



## ROZDZIAŁ I

Elizabeth ocknęła się bardzo wcześnie, zbudzona przez natarczywe, przepiękne ćwierkanie drozda za oknem. Odpowiadający mu w ciszy poranka chór innych ptaków brzmiał w uszach młodej kobiety, przyzwyczajonej do przenikliwych dźwięków miasta, jak uroczą muzyka. Poderwała się na nogi pod wpływem tej samej wewnętrznej niespokojnej tęsknoty, która przywiodła ją do tej wioski w hrabstwie Sussex. Przepelniała ją niezłomna wola zaspokojenia jej przez działanie. Umywszy się spieszenie, przyodziła się w niebieską amazonkę i buty z miękkiej koźlęcej skórki. Wymyślny kapelusz do kompletu zostawiła w szafie. W taki ranek jak ten nie było miejsca na żadne ograniczenia. Pragnęła cwałować z wiatrem we włosach czując, jak chłód poranka pokrywa jej policzki rumieńcem. Wieś kusila ją dręczącą obietnicą wolności. Zamierzała ją wykorzystać, dopóki miała do tego okazję.

Kiedy pojawiła się niespodziewanie w stajni, Thompkins podskoczył nerwowo, odwracając się z kubkiem gorącej herbaty w złączonych dłoniach. W przeciwieństwie do wielkowiejskich stajennych był to prosty wieśniak, nienawykły ukrywać swoich myśli pod pozorami wyszukanej grzeczności. Na jego rumianej twarzy odmalował się wyraz dezaprobaty dla jej wyraźnego zamiaru udania się o tej porze na konną przejażdżkę.

— No, nieźle mnie paniusia wystraszyła — gderał. — Co też pani robi o tej godzinie? Panna Mount mówiła, że przyjechała tu pani wypoczywać, a to mi nijak na żaden wypoczynek nie wygląda. Czy ona wie, że pani już jest na nogach?

Elizabeth rzuciła mu najbardziej przekonywający ze swoich uśmiechów.

— Nie praw mi kazań, Thompkins. Szukam tu odpoczynku od ludzi uparcie przeszkadzających mi w robieniu czegokolwiek, co sprawia mi przyjemność. Osiodłaj dla mnie Marny, z łaski swojej. Wkrótce wracam do Londynu i nie mogę sobie pozwolić na zmarnowanie takiej okazji jak ta.

Thompkins nie miał innego wyjścia, tylko zrobić, co mu kazano. Mruczał przy tym ponuro o tym, jak niestosowne są na wsi miejskie manieri i że była podopieczna panny Mount niewątpliwie zachowuje się w taki sposób, gdyż jest

półkrwi Francuzką. Wszystkiemu jest winna ta potworna rewolucja. Thompkins nie pochwałił wyrzynania arystokracji i pozwalania ludziom na robienie, co im się żywnie podoba. Wierzył w porządek społeczny, w którym każdy zna swoje miejsce i trzyma się go. Wzdychał więc i mlaskał z dezaprobatą językiem, zarzucając na grzbiet klaczy koc i damskie siodło. Zaczął później oporządzać szarego wałacha, lecz Elizabeth odgadła jego zamiary i szybko powiedziała:

— Nie ma potrzeby, żebyś mi towarzyszył, Thompkins. Masz swoje obowiązki.

Stajenny patrzył na nią zdumiony przez mroczną, wypełnioną wonią świeżej słomy stajnię.

— Nie może pani pojechać sama. To zbyt niebezpieczne.

Nie przejęła się jego niepokojem.

— W Londynie nie śmiałabym nawet marzyć o samotnym pojawieniu się na ulicy przed dziesiątą rano, ale cóż za niebezpieczeństwo mogłoby na mnie czyhać w takim sennym miejscu jak Wellford?

— O, o to właśnie chodzi — ostrzegł Thompson, wkładając stary sukienny żakiet. — Będzie pani całkiem sama.

— A więc nie spotka mnie żadna krzywda, bo któż miałby mi ją wyrządzić? — oświadczyła Elizabeth, prowadząc Marny do podestu i sadowiąc się w siodle. Długa spódnica drapowała się wdzięcznie wokół jej nóg. — Nie będzie mnie przez godzinę. Powiedz pannie Mount, że będę umierała z głodu, kiedy wrócę.

Zanim ten silny mężczyzna w średnim wieku zdołał wymusić na niej swe towarzystwo, wyjechała z podwórza i puściła się kłusem przez krętą główną uliczkę wioski. Jej cel leżał za grupą kamiennych domków i małym zagajnikiem na wschodniej granicy Wellford. Kopyta Marny stukały po bruku, kiedy jechała wśród budyneków, których właściciele, dumni ze swoich ogródków, najwyraźniej prześcigali się w upiększaniu ich. Elizabeth była zachwycona małąkami, prostokątnymi działkami pełnymi niezapominajek, kapryfolium, dzikich żonkili i tęczyowych łubinów rozkwitających pośród schludnych rzędów natki marchewki, kwitnących krzaków ziemniaczanych i ciemnoczerwonych liści buraków. Ten widok sprawiał jej tego ranka wyjątkową przyjemność, jako że dopiero poprzedniego wieczora przybyła tutaj przepełniona chęcią ucieczki. Uczucie osaczenia zaczynało już mijać. Jednak teraz, kiedy była stosunkowo

nieskrepowana, wciąż czuła tę desperację, bo wiedziała, że wolność nigdy nie będzie dla niej niczym więcej niż złudzeniem.

Przodkowie jej ojca uciekli przed rewolucją i, uchodząc do Anglii, porzucili zarówno swój tytuł, jak i ziemię. Pieniądze i klejnoty, które ze sobą przywieźli, pozwoliły im żyć przez wiele lat w wyjątkowym komforcie, aż wreszcie Rene de Rioches, ojciec Elizabeth, został zmuszony do objęcia stanowiska w zarządzie jednego z poważanych przedsiębiorstw handlowych, aby utrzymać żonę i córkę. Pannę Mount zatrudniono jako guwernantkę jedynej pocięchy tej pary w średnim wieku. Kiedy w rok po śmierci męża zmarła i Madame de Rioches, panna Mount pozostała jako dama do towarzystwa u boku dorastającej Elizabeth, którą oddano pod kuratelę starego kawalera w podeszłym wieku, spokrewnionego z jej matką dzięki małżeństwu. Wuj Matthew z radością skorzystał z okazji pozbycia się niechcianej podopiecznej, kiedy William Delacourt, młody oficer z dobrej rodziny, poprosił o jej rękę.

Z piersi pani Delacourt, jadącej po przecinającej zagajnik ścieżce, wyrwało się ciche westchnienie. Jak William mógł być tak ślepy? A ona? Okazało się, że przed ślubem zupełnie się nie znali. Miała siedemnaście lat, pragnęła miłości, więc oczarował ją ten wysoki, przystojny blondyn w szkarłatnej kurtce munduru. Po życiu spędzonym w towarzystwie starzejących się rodziców i osiemdziesięcioletniego opiekuna pociągała ją jego młodość. Mimo to powinna być zaniepokojona jego nadopiekuńczością i nie okazać tak skrajnej naiwności, ignorując styl życia jego matki i czterech sióstr. Emily Delacourt i panny Delacourt były delikatnymi, posłusznymi istotami, interesującymi się jedynie swymi robotkami na drutach i banalnymi akwarelami. Ich dni wypełniały takie zajęcia, jak dobieranie nowych wstążek do czepków, poranne wizyty u innych dam z towarzystwa i, jeśli sprzyjała temu pogoda, krótkie spacerunki po parku. Dlaczego Elizabeth nie zaświtała nigdy myśl, że William będzie oczekiwał tego samego od swojej żony? Dlaczego spodziewał się, że żywa, odczytana dziewczyna, która go zainteresowała, przeobrazi się nagle w kopię jego bezbarwnych sióstr? Bezmyślna młodość zwiodła ich oboje i doprowadziła do związku, który przestał zdawać egzamin już po kilku miesiącach. Czarujący, gorliwy adorator przeobraził się w nietolerancyjnego, apodyktycznego męża, nie starającego się nawet ukryć faktu, że wciąż szuka rozrywki w towarzystwie kobiet gotowych za parę szylingów zadowolić każdego mężczyznę.

Coraz częściej się kłócili. William był oburzony nie tyle słowami, które żona wypowiadała w gniewie, co tym, że w ogóle się odzywała. Kiedy mówił Austin Delacourt, matka i siostry Williama słuchały i były mu posłuszne. Nigdy

nie odważyły mu się sprzeciwić. Francuski styl, z jakim Elizabeth łączyła kolory i ubierała się, William określił jako zbyt wyzywający dla żony ambitnego oficera. Ona zdecydowanie odmówiła hołdowania bezguściu już w wieku osiemnastu lat. Nawet jej obrazy, również wyrażające miłość do żywych barw, zostały porównane do bohomazów niedouczzonego dzieciaka.

Jednak prawdziwą kością niezgody między nimi było nienasycone pragnienie wiedzy Elizabeth. Władając dwoma językami, przeczytała dzieła najznamienitszych podróżników, uczonych, intelektualistów Brytanii i Kontynentu. Z kimkolwiek by nie rozmawiała, była dociekliwa, zadawała pytania, zawsze miała coś ciekawego do powiedzenia. Nie widziała nic złego w prowadzeniu z mężczyznami rozmów na tematy rzadko poruszane przez kobiety. Będąc wierny swoim zasadom, William ostro potępił jej swobodne maniery, na które, jak twierdził, reagowano uniesieniem brwi i szeptami dezaprobaty. Elizabeth spytała, dlaczegoż to inteligencja miałaby być u młodej kobiety niepożądana?

— Nie jestem w stanie znaleźć przyczyny, dla której wstydzisz się żony zdolnej rozerwać i zabawić gości w sposób daleko bardziej wszechstronny niż małżonki większości twoich kolegów.

— Moi goście wymagają od ciebie doskonałego posiłku, pieczołowitego dbania o ich wygodę i umiejętnego kierowania rozmową przez cały wieczór.

— I nie spełniam tych wymagań?

— Tylko trzeciego, Elizabeth. Nie kierujesz rozmową, dominujesz nad nią. Jeśli rozejdzie się, że żona Delacourta jest nad wiek rozwiniętą gadułą, ucierpi na tym dotkliwie moja kariera. Żaden dowódca nie życzy sobie, by małżonki jego oficerów wprawiały ich w zakłopotanie.

Dopiero wtedy zorientowała się, że popełniła błąd pozostając sobą, zamiast stać się cichą, pokorną żonką, ceniącą pozycję w towarzystwie wyżej niż intelekt. Cechy, które go bawiły i zachęcały w czasie ich beztroskich zalotów, teraz sprawiały, że w jej obecności czuł, że jej nie dorównuje. W konsekwencji nalegał, by stłumiła swoją osobowość, która zaćmiewała w towarzystwie jego przymioty. Protestowała, gdyż była to propozycja nie do przyjęcia.

— Jestem ciągle tą samą dziewczyną. Czemu się ze mną ożeniłeś?

— Zadawałem sobie to pytanie setki razy.



— Cóż, stało się, ale oświadczam ci, Williamie, że nie mogę udawać popularnej, wdzięczającej się panienki ani siedzieć cicho w czasie rozmowy, chyba że obetnę sobie język.

— I do tego może dojść — odparł ponuro, wychodząc z pokoju.

Tak miała się sytuacja między nimi, kiedy w osiem miesięcy po ślubie pułk Williama odkomenderowano do Indii. Wieść o tym podnieciła Elizabeth i napełniła ją nową nadzieją. Z dala od nudziar Delacourt, w egzotycznym kraju rozwijających się żywiołowo kultur etnicznych, kraju tętniącym kolorami, z pewnością udałoby się im odzyskać choć część łączącej ich dawniej fascynacji. Składała modły dziękczynne. Załamała się, kiedy William poinformował ją, że na czas swojej nieobecności, mogącej trwać aż do dziesięciu lat, zdecydował się zostawić samowolną żonę w kraju pod opieką swojej rodziny, która uprzejmie wyraziła na to zgodę. Elizabeth szalała. Prosiła go i błagała o zmianę postanowienia, obiecywała robić, co rozkaże, jeśli tylko weźmie ją do Indii. Najwyraźniej był przygotowany na tego rodzaju lekkomyślne obietnice, bo oświadczył, że Indie nie są krajem dla dobrze wychowanych kobiet. Na próżno podawała przykłady o wiele lepiej od niej urodzonych niewiast, nawet ich znajomych, które przez wiele lat mieszkały tam z mężami. Twierdził, że jest na to za młoda. W końcu oskarżyła go, że umyślnie ją opuszcza, bo gdyby chciał pozostać u jej boku, skorzystałby z okazji przeniesienia się do innego pułku stacjonującego w Anglii. Jego ostatnie słowa były deklaracją silnego poczucia obowiązku w stosunku do jego żołnierzy i Dragonów Forrester's, które kazało mu podążać tam, gdzie go wysłano.

Tak więc William odpłynął ze swoim bezcennym pułkiem, a ona próbowała pocieszać się nadzieją większego spokoju umysłu, nie wspominając już o wolności, które da jej nieobecność męża. Były to płonne nadzieje. Ponure zwyczaje Delacourtów sprawiały, że niemal szalała z nudów, a odejście Williama bynajmniej nie obdarzyło jej wolnością. Miała na palcu jego obrączkę; nosiła jego nazwisko. Kierował nią, mimo że był daleko. Cierpiała z tego powodu, szczególnie gdy wyobraziła sobie, że on, pozostawiwszy kłopotliwą żonę w domu w myśl zasady „co z oczu to i z serca”, używa życia.

Przetrwała dwa sezony, czując się ni to starą panną, ni to mężatką, ni to wdową, aż wreszcie frustracja i poczucie krzywdy, które tak długo tała, przerodziły się w otwarty bunt. Oznajmiwszy cierpiącym Delacourtom, że potrzebna jej zmiana otoczenia, udała się na nieokreślonej długości wakacje do Well-

ford, wiedząc, że Lavinia Mount otoczy ją życzliwością i wyrozumiale wysłucha zwierzeń.

Kiedy Marny wyłoniła się spomiędzy drzew i przez połamane ogrodzenie przeszła do zarośniętego parku, stanowiącego część posiadłości Wellford Manor, Elizabeth przyznała w myślach, że jest nieszczęśliwa nie z powodu nieobecności Williama, ale ponieważ zabroniono jej skorzystać z szansy odwiedzenia Indii. Wszystko, co słyszała i czytała o tym kraju, przemawiało do jej natury zafascynowanej zmiennością, różnorodnością i barwą. Czuła w głębi serca, że na tym dalekim kontynencie spełniłaby się jej miłość do egzotyki.

Kiedy zapatrzona w obrazy wyczarowane przez wyobraźnię dotarła do wzgórza, z zamyślenia wyrwał ją widok jeźdźca podążającego ku niej w przekonaniu, że ma ten ranek tylko dla siebie. Ściągnęła cugle, czując przyspieszone bicie serca. Koń tamtego, ogromna bestia o dzikich oczach, najwyraźniej rozłoszczony jej obecnością, dał szalony popis temperamentu, który nawet najlepszemu jeźdźcy wysadziłby z siodła. Ten jednak — Elizabeth obserwowała to z przerażeniem i podziwem — mocną ręką i kojącymi słowami opanował i ułagodził konia, aż zwierzę stanęło, spienione i parszczące, ale spokojne.

— Brawo, sir! Wspaniale się pan spisał! — zawołała spontanicznie z niekłamany podziwem, ale adresat tych słów, choć nie można go było nazwać ogromną bestią o dzikich oczach, najwyraźniej rozłościł się na nią tak jak jego rumak.

— To własność prywatna. Wkroczyła tu pani bezprawnie.

Gorączkowe słowa obrony zamarły Elizabeth na ustach, kiedy mężczyzna skierował ku niej konia. Wzburzony możliwością zderzenia, nieprzejednany, ze zmierzwionymi, ciemnymi włosami, płonącymi gniewem niebieskimi oczami i kwadratową twarzą, ciemną jak oblicze radży, był niepokojąco pociągający

— Znakomicie pan jeździ — powiedziała półgłosem. — Właściwie powinien pan już leżeć u moich stóp ze skrzyconym karkiem.

— Należałoby mi się. Tylko głupiec dosiada konia, którego nie potrafi opanować. — Potem, taksując ją wzrokiem od ciemnych loków koło uszu po rąbek eleganckiej niebieskiej sukienki, spytał szorstko: — Zgubiła się pani?

Potrząsnęła głową.

— Nie. Słusznie mnie pan oskarżył, ale kwestionuję pana prawo do wyznaczenia kary. Pan również nie jest upoważniony do przebywania tutaj. Wła-

ściciel tych dóbr zginął niedawno na polowaniu, w wypadku spowodowanym nie tyle nieumiejętnością jazdy konnej, co folgowaniem słabości do strzemieniowych.

— Czyżby? Skąd pani o tym wie? — zapytał napastliwie.

— Napisała mi o tym moja droga przyjaciółka, Lavinia Mount — z taką samą bezpośredniością odparła Elizabeth. — Wszystkim było wiadomo, że Tom Stavenham to taki sam rozpustnik jak jego ojciec. Sir Francis zabił się w niemalże takich samych okolicznościach zaledwie dwa lata temu.

— Przez folgowanie słabości do strzemieniowych? A więc pani droga przyjaciółka, Lavinia Mount, przekazała pani listownie również wiadomości o śmierci mego ojca?

— Zawsze przekazuje mi miejscowe ploteczki, ilekroć... — Dopiero teraz znaczenie jego słów dotarło do jej oszołomionych myśli. — Pana ojca?!

— Mam wątpliwy zaszczyt być jednym z rodu. John Stavenham, rotmistrz Huzarów Chetwynde's, do pani usług.

Na myśl, że nieświadomie obraziła rodzinę tego człowieka, poczuła, jak pałą ją policzki. Pospieszyła z przeprosinami.

— Pewnie ma pan wrażenie, że jestem beznadziejnie źle wychowana. Nie miałam pojęcia, że Sir Francis miał jeszcze jednego syna. Przybyłam tu dopiero wczorajszego wieczora, nie miałam więc okazji dowiedzieć się, że przebywa pan w posiadłości.

— Wygląda na to, że Lavinia Mount jest zaskakująco nieorientowana w najnowszych ploteczkach.

Policzki Elizabeth spłonęły jeszcze głębszym rumieńcem.

— Ma pan pełne prawo rozkazać mi opuścić swoje włości, rotmistrzu Stavenham.

— Owszem, chociaż najwyraźniej wydawało się pani, że ma pełne prawo tutaj przebywać. — Zamilkł na chwilę, jakby usiłował podjąć decyzję. Jego słowa zaskoczyły ją. — Może powinna pani kontynuować przejażdżkę. Kasper zaczyna się niecierpliwić, a jeśli się nie ruszymy, osiągnie nas ten poranny chłód. Proponuję pojechać żywym kłusem do tych drzew w głębi. Zgadza się pani?



Elizabeth skinęła głową, przyjmując z radością oliwną gałązkę. Intrygował ją mimo tego wszystkiego, co słyszała o jego rodzinie, a może właśnie dlatego. Zrządzenie losu skrzyżowało ich ścieżki w tak dramatyczny sposób, że byłaby zawiedziona, gdyby kazał jej odejść. Ruszyli ramię w ramię. Spreżysta darń tłumiła odgłos końskich kopyt. Przyjeżdżała tutaj, ilekroć odwiedzała swą przyjaciółkę, jako że Tom Stavenham nigdy nie naprawiał ogrodzeń ani nie chronił czujnie swej własności. Nigdy wcześniej nie dostrzegła jednak tej miękkiej mgiełki, jej błękitu na tle zielonej doliny ani słońca drgającego w kroplach rosy otulającej pochyłe wzgórze. Nawet powietrze było tego ranka świeższe, bardziej orzeźwiające, niż bywa zazwyczaj w hrabstwie Sussex.

— Jest pani z pewnością przyzwyczajona do poranków tak łagodnych jak ten — zauważył jej towarzysz, kiedy zbliżali się już do drzew i zaczęli jechać stępą. — Po powrocie z Indii trzeba je odkrywać na nowo.

Niepokojąca ekscytacja, którą wywołało pojawienie się tego człowieka, teraz nieomal odebrała Elizabeth oddech. Ściągnęła cugle.

— Przybywa pan z Indii! Aż nie chce mi się w to wierzyć!

Delikatnie zatrzymał konia, stając z nią twarzą w twarz, i uważnie jej się przyjrzał, pytając znów chłodnym tonem:

— Czy to, że wojskowy służy w Indiach, jest aż tak zadziwiające?

Była zbyt rozentuzjasmowana, żeby nagła zmiana w jego zachowaniu miała zbić ją z tropu.

— Kiedy wyjechałam z zagajnika wprost na pana, rozmyślałam właśnie o tym kraju, który ponoć tak niedawno pan opuścił — wyjaśniła. — Czy to nie zadziwiający zbieg okoliczności?

— Zadziwiający — zgodził się oschle. — Czy moglibyśmy teraz wrócić do zagajnika?

Czując, że pomimo wszystko zdecydował się wyprowadzić ją ze swojej posiadłości, Elizabeth westchnęła z rezygnacją.

— Niech mi pan wybaczy. Wkroczyłam bezprawnie nie tylko w pańskie włości, ale i myśli. Ma pan tu do wykonania smutne zadanie uporządkowania spraw zmarłego brata, a ja wykazałam się dzisiaj wyjątkowym brakiem wrażliwości.

Przejechali stępa ponad pięćdziesiąt jardów, zanim znów się odezwał:

— Zapewne uzna pani, że jestem nieczuły, jeśli wyznam, że smutek, jaki czuję myśląc o śmierci brata, wynika jedynie z faktu, że w czasie upadku zabił również dobrego konia. Człowiek może dysponować własnym życiem, jak mu się podoba, ale jest grzechem niszczyć zwierzę, które nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. Jego siwka trzeba było dobić na torze wyścigowym.

Poruszona tą niespodziewaną szczerością, tak sprzeczną z jego chłodnym sposobem bycia, Elizabeth odważyła się posunąć rozmowę o krok dalej.

— Nie znałam pana Stavenhama, ale nie mogłam nie słyszeć o jego wyczynach na Polowaniu Doliny Wellford.

— Jest grupa ludzi, którzy będą opłakiwać jego śmierć — powiedział ostro, patrząc w dal, jakby spoglądał w przeszłość. — Tom był hojny

gościnny w stosunku do każdego, kto chciał się z nim napić. Wraz z nim stracili niewyczerpane źródło piwa.

Rzuciwszy szybkie spojrzenie na jego nieruchomą twarz, Elizabeth zdecydowała, że ten Stavenham ulepiony jest z zupełnie innej gliny. Teraz wiedziała, czym tłumaczyć opaloną słońcem Indii twarz, wyprostowaną postawę, charakterystyczną dla wielu żołnierzy, i jakość jego konnej jazdy. Zaciekawiał ją, więc widząc majaczący przed nimi zagajnik, usiłowała ponownie zwrócić na siebie jego uwagę, zanim będą musieli się rozstać.

— Wielokrotnie jeździłam po posiadłości Wellford Manor, sir. Mogłaby być bardzo piękna. Musi pan być w rozpacz, że dom i ziemie zostały tak zaniedbane. Ma pan przed sobą trudne zadanie.

Odwrócił się do niej.

— To najmniejsze z moich zmartwień.

Próbując zrozumieć to enigmatyczne stwierdzenie, spytała:

— Czy pańska żona jest zadowolona z osiedlenia się w Wellford po tak długim czasie spędzonym w Indiach?

Tym razem charakterystyczna dla niego zmiana nastroju, która wprawiała ją w zakłopotanie, była tak szybka i radykalna, że wypowiedziane zimno słowa zabrzmiały prawie jak reprimenda:

— Nie mam żony, droga pani, i nie ma też mowy, bym osiedlił się w Wellford.

Elizabeth zatrzymała Marny na skraju zagajnika, dotknięta jego, jak sądziła, nieusprawiedliwioną obcesowością. Zadawała przecież tylko grzeczne pytania, jak każdy.

— Moje bezprawne wkroczenie na te grunta spotkało się z tak żywą reakcją, że naturalnie pomyślałam, iż zazdrośnie strzeże pan swych dziedzicznych dóbr — odparła po zastanowieniu. — A więc nie ma pan zamiaru zamieszkać tu na stałe?

Okrzyknął ją na wysokim ogierze, stanął na wprost niej, gotów odjechać do rezydencji, której najwyraźniej nie chciał.

— Wziąłem urlop, aby oddać wszystkie sprawy w ręce kuzyna. Ma duszę człowieka wsi i zajmie się Wellford lepiej niż którykolwiek ze Stavenhamów. Szóstka jego potomstwa będzie się dobrze chowała w tym pięknym zakątku, a kwiaty w ogrodzie z pewnością rozkwitną pod czułą opieką jego żony, która potrafi z roślinami zdziałać cuda.

— Ma pan zamiar dołączyć do swego pułku za granicą? — zapytała zazdrośnie.

Skinął głową. — W przyszłym miesiącu. Nie urodziłem się na właściciela ziemskiego. Mam wojsko we krwi... Indie też — dodał jakby sam do siebie.

Czując, że prawie zapomniał o jej obecności, Elizabeth przyglądała mu się uważnie w czasie tej dziwnej chwili milczenia. Widać było, że rozsadza go energia, że jest zbyt niespokojny, by prowadzić stateczne życie na wsi. Służba wojskowa w kraju równie niespokojnym jak on doskonale się dla niego nadawała. Jakże zazdrościła mu możliwości zostawienia za sobą obowiązków i powrotu do jedyne go miejsca, które pragnęła ujrzeć! Myśl o tym pchnęła ją do wyrażenia prośby:

— Tak chciałabym, żeby mi pan opowiedział o własnych wrażeniach z kolonii. Przeczytałam na ten temat wszystko, co mogłam, ale książkom nie można zadawać pytań, jeśli ich stronicie nie dostarczają odpowiednich informacji. Słowo drukowane jest często tak zimne i nieczułe, nie uważa pan? Z pańskich słów byłoby wynikające z doświadczenia ludzkie ciepło.

Zmarszczył brwi.

— Liczy pani na to, że w ciągu zaledwie kilku minut uczynię z pani znawczynię przedmiotu? Obawiam się, że nawet przekazanie tych paru rzeczy, które wiem o tym skomplikowanym kraju, zajęłoby bardzo dużo czasu.

Te słowa znów brzmiały jak reprimenda. Westchnęła.

— Mówiono mi już, że dociekliwość to moja największa wada. Bardzo przepraszam. Był pan wyjątkowo cierpliwy dla przestępczyni.

Kiedy wydawało się, że ma zamiar definitywnie zakończyć rozmowę, zawahał się. Wciąż marszcząc brwi, spytał:

— Czemu tak panią interesuje moje zdanie na temat Indii?

Pragnąc skłonić go do mówienia, póki wydawał się do tego chętny, odparła:

— Ponad rok temu Indie odebrały mi męża, stąd chciałabym wyrobić sobie odpowiedni obraz tego kraju.

Tym razem zmiana w jego nastroju absolutnie ją zaskoczyła. Surowa twarz Stavenhama nagle stała się przyjaźniejsza, a w żywych niebieskich oczach za gościło ciepło.

— Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem być wścibski. Moje kondolencje z powodu tej żałosnej straty. Będę towarzyszył pani do wioski i oczywiście w tym czasie postaram się naszkicować obraz Indii.

Elizabeth poczuła się zażenowana, uświadomiwszy sobie, że opacznie rozumiał jej słowa. Przez głowę przebiegały jej chaotyczne myśli, podczas gdy on zawracał konia, by towarzyszyć jej w drodze przez zagajnik. Obydwoje czuliby się zakłopotani, gdyby próbowała teraz wyjaśnić pomyłkę. Złapana we własną sieć, jechała u jego boku myśląc, że ta sytuacja to wspaniały dowód dla oskarżeń Williama, jakoby nieodpowiednio zachowywała się w towarzystwie mężczyzn. Okazja wyznania prawdy minęła bezpowrotnie, kiedy Stavenham zaczął opisywać kraj zakazany jej przez męża, lecz wkrótce zniknęło i poczucie winy. Słuchała chciwie, a jej wyobraźnia wznosiła się na skrzydłach tęsknoty.

— Indie są krajem ogromnych kontrastów — zaczął, kiedy otoczył ich kuszący półmrok lasu. — Są zaskakujące, ale nieskomplikowane, upalne, zasypane śniegiem, pełne skrajnej nędzy i oszałamiającego bogactwa. Odziani w złoto władcy mieszkają w ogromnych pałacach, przyozdabiając siebie i swych ulubieńców w klejnoty, a jednocześnie zwyczajny człowiek nie ma możliwości

ucieczki z warstwy społecznej, w którą wtoczyły go prawa kastowe. Indie są piękne i tandetne. Są okresy, kiedy całymi miesiącami bez przerwy pada deszcz. Przez resztę roku kraj jest palony żarem, zakurzony, trawiony gorączką. Ludzie czczą tam różnych bogów, cenią odrębne kultury. Są tam ogromne przestrzenie. Podróżuje się powoli i z trudnością. Często bez ostrzeżenia wybuchają konflikty na tle jakichś pomniejszych problemów związanych z rasą, kastą, religią. Niemożność pogodzenia europejskiej umysłowości z azjatycką sprawia, że nasze panowanie tam jest niepewne. — Marszczył brwi, spoglądając na wijącą się przed nimi ścieżkę. — Indii można tylko albo nienawidzić, albo być nimi absolutnie urzeczonym.

— A pan jest nimi urzeczony? — spytała ostrożnie.

Odwracając się ku niej szybko odrzekł:

— Niezupełnie. Po prostu czuję, że w tym pięknym i dzikim kraju znajdę swoje przeznaczenie.

Upłynęło kilka chwil, zanim Elizabeth odważyła się odpowiedzieć:

— Czy dla Anglika, żołnierza, nie jest to przeczcucie nieco niepokojące?

Przez chwilę przyglądał jej się ze zwężonymi oczami.

— Jest pani bardzo spostrzegawcza. Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

— Może zawładnęła panem mistyczna moc tego kraju. To wyjaśniłoby uczucie oczekującego tam na pana fatum.

Potrząsnął głową. — Nie jestem człowiekiem uczuciowym. Żołnierzom rzadko się to zdarza.

— Wypada mi więc tylko wyrazić nadzieję, że pana przeznaczenie związane jest z piękną, a nie dziką stroną tego kraju, rotmistrzu Stavenham.

W milczeniu dojechali do piętnastowiecznego kościoła. Tutaj Elizabeth ściągnęła cugle i odwróciła się do niego z uśmiechem.

— Stąd widać już dokładnie dom panny Mount. Był pan bardzo uprzejmy, sir. Bardzo sobie cenię zwartą, ale wyjątkowo barwną opowieść, którą próbował pan zaspokoić moją chęć wiedzy. Pozwolę panu teraz kontynuować przejażdżkę, którą w tak niebezpieczny sposób przerwałam.



Okrążył ją, aby spojrzeć jej w twarz, najwyraźniej nie spiesząc się już z odjazdem.

— Musi pani zdać sobie sprawę, że tak jak dziecko nie może się nauczyć wszystkiego w ciągu jednego dnia, tak nie da się zgłębić Indii w ciągu paru lat. Ja znam zaledwie dwa regiony, co nie czyni mnie bardziej kompetentnym do poszerzania pani wiedzy niż książki, które panią zawiodły. Na następnej przejażdżce powinna pani spróbować przeciąć ścieżkę jakiegoś maharadży — dodał z niepewnym uśmiechem, który zupełnie odmienił jego surową twarz.

— Jeśli dowiem się, że jest taki w sąsiedztwie, z pewnością to zrobię

— powiedziała cicho, zaskoczona jego zmiennym charakterem, który wprawiał ją, wbrew jej woli, w zakłopotanie. Zazwyczaj czuła się w towarzystwie tak pewnie!

— Czy mógłbym poznać pani imię, zanim się pożegnamy? — spytał.

— Nie znam żadnej Lavinii Mount, która mogłaby mnie o takich rzeczach informować.

Czerwieniąc się z powodu tej delikatnej aluzji do jej wcześniejszych niebacznych słów, przedstawiła się. Zasalutował na pożegnanie, dotykając czoła batem.

— Może pani wkraczać na moje ziemie, kiedy tylko pani zechce, pani Delacourt. Obiecuję, że nie będę pani więcej o to wnił.

Odjechał, oszczędzając Elizabeth dawania odpowiedzi. Jechała stępa po brukowanych uliczkach. Z domków dochodziło teraz stukanie wiader, krzyki bawiących się dzieci i żywe, poranne szczekanie psów. Nie może więcej jechać na to wzgórze w czasie pobytu w Wellford. Było mało prawdopodobne, żeby spotkała Johna Stavenhama gdzie indziej, nie było więc wielkiej szkody w tym, że nie sprostowała nieporozumienia dotyczącego Williama. Żałowała jednak, że jest zmuszona unikać następnego spotkania. Tak miło byłoby z nim porozmawiać o żołnierskich przeżyciach, poruszać różne towarzyskie tematy. Chociaż jego nastrój zmieniał się w najdziwniejszy sposób z wyniosłości w usługowość, nie traktował jej pytań w sposób świadczący, że dzieli opinię Williama o kobiecym intelekcie. Wydawało jej się nawet, że wręcz przeciwnie.

Kiedy wkroczyła do przesiąkniętego wonią lawendy i wosku salonu, jej wygląd tak zaskoczył pannę Mount, że zapomniała robić jej wymówki. Zamiast

tego ta korpulentna kobieta, odziana w brązową bawełnę ozdobioną wzorem w gałązki, przyglądała się uważnie dziewczynie, którą wychowała od dziecka.

— Czarująco wyglądasz, kochanie! Masz urocze rumieńce na policzkach, aż zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście byłaś taka blada, jak mi się wydawało, kiedy przyjechałaś. Bardzo mądrze zrobiłaś wybierając się tutaj.

Elizabeth z czułością odwzajemniła jej uśmiech.

— Przywiodła mnie tu rozpacz, nie mądrość, Vinnie. Znasz panny Delacourt. Są równie błyskotliwe jak matowy mosiądz, mają poczucie humoru tak subtelne, że nie potrafią docenić dowcipu, a intelektem przewyższają nawet rybę.

Panna Mount mlasnęła z dezaprobatą, słysząc tak sarkastyczne uwagi, ale nie przestała ustawiać niebiesko-białej porcelany na stole, zastawionym już miseczkami z miodem, dżemem truskawkowym i masłem.

— Już za chwileczkę Jane przyniesie śniadanie. Jeśli chcesz coś zjeść, idź umyć ręce i doprowadzić do porządku te haniebnie potargane wiatrem włosy. No, idź już!

Śmiejąc się beztrosko, Elizabeth pobiegła po schodach do swojego pokoju. Lavinia traktowała ją jak niańka, co po napomnieniach pań Delacourt w dziwny sposób podnosiło ją na duchu. Gdyby poważniej o tym pomyślała, zdałaby sobie pewnie sprawę, że ślepa miłość starej panny rekompensowała jej brak uczucia ze strony rodziców i krytycznego męża.

Przestała się śmiać, kiedy w lustrze na ścianie zobaczyła swoje odbicie. Policzki były delikatnie zaróżowione, a oczy po raz pierwszy od długiego czasu płonęły ożywieniem. Dotykając dłońmi zarumienionej skóry zdała sobie sprawę, że i wewnątrz czuje ożywienie, którego nie było tam jeszcze wczoraj. Wspomnienie ciemnej twarzy, rozjaśniającej się niespodziewanie uśmiechem i niebieskich oczu zmieniających się w zadziwiający sposób — kolejno przenikliwych, podejrzliwych, pełnych uznania—jeszcze pogłębiło to uczucie. Przebiegł przez nią dreszcz zadziwiająco podobny do strachu. Czowała, że jeszcze żaden nowy znajomy nie zaintrygował jej po półgodzinie spędzonej w jego towarzystwie tak jak on. Nie powinna zastanawiać się nad jego słowami i zadziwiającymi zmianami nastroju od napastliwości po szczerą. Jeszcze niebezpieczniej byłoby przypominać sobie barwę jego głosu, kiedy mówił o Indiach. Musi usunąć Johna Stavenhama ze swoich myśli.

Tę chwilę przesywającej jasności przerwał dolatujący z salonu przynaglający okrzyk panny Mount. Elizabeth przyglądała włosy drżącą nieco dłonią. Na stole były już gotowane jajka i plastry szynki, ale jej apetyt gdzieś zniknął. Przygotowując chleb z masłem, który miała zamiar zjeść do kawy, od razu, ignorując wewnętrzne ostrzeżenie, zaczęła mówić o mężczyźnie, którego dopiero co przysięgła sobie zapomnieć.

— Powinnaś mi była powiedzieć, Vinnie, że muszę unikać przejazdów przez posiadłość Wellford. Nie wiedziałam, że nowy właściciel ma zamiar strzec swych włości.

Panna Mount, zajęta właśnie soleniem jajka, podniosła na nią krótkowzroczne, orzechowe oczy, płonące oburzeniem.

— A ja nie wiedziałam, że wstaniesz bladym świtem, żeby wkraczać bezprawnie na czyjeś grunta, moja panno. Widząc, jak zmartwiona i wyczerpana byłaś wczoraj, założyłam naturalnie, że przez pierwszych kilka dni twoje łóżko rzadko będzie stało puste.

— Znasz mnie przecież — odrzekła Elizabeth potrząsając głową. — Wylegiwanie się w pościeli napełnia mnie najgłębszą odrazą, no, chyba że czuję się, jakbym miała umrzeć.

— Wiem o tym, moja droga, ale w takim razie nie wiń mnie, że nie mając pojęcia, co chcesz zrobić, nie odradziłam ci tego.

— Nie wiedziałam, że Sir Francis miał dwóch synów, Vinnie. Czemu nigdy o tym nie słyszałam?

— Młodszy Stavenham przez całe lata był za granicą — odparła panna Mount, skupiając uwagę na jajku.

— Niemożliwe, żeby z tego powodu mieszkańcy wioski zapomnieli o nim, jakby nigdy nie istniał.

— Owszem, ale wyczyny Sir Francisa i pana Thomasa z całą pewnością zabiły zainteresowanie rotmistrzem — wyjaśniła Lavinia dolewając Elizabeth kawy do filiżanki. — Powinnaś zacząć dzień czymś więcej niż kromką chleba z masłem, kochanie. Nie chcę, żebyś zemdlała do południa.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi wczoraj, że rotmistrz Stavenham wrócił z Indii? — spytała niecierpliwie Elizabeth. — Znasz moją miłość do tego kraju.

Jedząc dalej starannie i spokojnie lekkie śniadanie, jej towarzyszka odpowiedziała na to wyzwanie we właściwy sobie, łagodny sposób:

— Dylizans przywiózł cię do zajazdu o wpół do dziewiątej; miał ponad godzinę spóźnienia, co jest nadzwyczaj dziwne, i zanim poszłaś do łóżka, uraczyłaś mnie zaledwie opowiadaniem o twoim poczuciu krzywdy, wywołanym tym, że zostawiono cię z nudnymi, prozaicznymi, przyziemnymi Delacourtami. Nie miałam okazji zaznajomić cię z miejscowymi nowinkami.

Elizabeth odparła ze skruszonym uśmiechem:

— Jakże kojąco działają na mnie twoje słowa, droga Vinnie, po krytycznych uwagach rodziny Williama, w oczach której najmniejsze potknięcie urasta do rangi poważnego wykroczenia.

Rumianej kobiecie, której coraz pełniejsze kształty i zaledwie kilka siwych kosmyków w brązowych włosach wskazywały na zadowolenie ze swojego losu, przyszła do głowy nowa myśl. Zapomniała o śniadaniu.

— Jako że ja nie udzieliłam ci informacji o rotmistrzu Stavenhamie, musiałaś je uzyskać od kogoś innego. Chyba nie od Thompkinsa?

— Rotmistrz Stavenham również był rano na przejażdżce. Niestety, kiedy wyjechałam z zagajnika wprost na niego, oskarżył mnie, że bezprawnie wkroczyłam w jego włości.

Policzki panny Mount poczerwieniały jeszcze bardziej.

— I miał rację. Nie powinnaś tam była jechać i to w dodatku sama. Cóż on sobie o tobie pomyślał? Delacourtowie słusznie czynią ci wyrzuty, jeśli zachowujesz się w tak karygodny sposób. Co będzie, jeśli ten człowiek rozpowie, że jesteś na tyle nieprzyzwoita, by nierozważnie jechać przez czyjeś włości o świtanie?

Elizabeth roześmiała się.

— Och, Vinnie, jaką masz zgorszona minę! Jakby on był wilkołakiem, a ja nieposłuszną dziewczką. Rotmistrz Stavenham odnosił się do mnie może początkowo z chłodem i rezerwą, ale potem zaproponował, bym kontynuowała przejażdżkę w jego towarzystwie i w jak najbardziej godny szacunku sposób odprowadził mnie aż do kościoła. Rozstaliśmy się w przyjaźni. Nawet Delacourtowie nie mogliby mieć zastrzeżeń do mojego zachowania. — Zamilkła, zastanawiając się. — No, może oni tak, ale na pewno nie żadna rozsądna osoba.

— Czy jest nią twój nieobecny mąż? — padło otrzeźwiające pytanie.

Kiedy przypomniawszy sobie pełne współczucia kondolencje, jakie złożył

jej John Stavenham z powodu domniemanej śmierci małżonka, słońce poranka zasnuł cień. Delacourtowie bez wątpienia potępiliby to nieświadome oszustwo. Zamilkła na tę myśl. Minęło kilka minut, zanim panna Mount dokończyła jajko, odłożyła łyżeczkę i utkwiała w Elizabeth dobrze jej znane spojrzenie.

— Nie wolno ci więcej jeździć po Wellford Manor.

— Nie zamierzałam tego robić — odparła cicho. — Zmarły pan Stavenham nie dbał o to, co posiadał — nawet o życie — ale jego młodszy brat jest ulepiony z innej gliny. Wygląda na to, że się nie znosili. Wiesz może dlaczego, Vinnie?

Sadowiąc się w krzesło z drugą filiżanką herbaty w rękach, Lavinia odrzekła:

— Wiem tylko tyle, ile powiedziała mi Maud Barratt, która mieszka w Wellford od urodzenia. Lady Stavenham zmarła wkrótce po urodzeniu drugiego syna. Jej mąż zapalał niechęcią do dziecka, chociaż nic nie wskazuje na to, by przepadał za żoną. Wręcz przeciwnie. Nie ma jednak wątpiwości, że podczas gdy Thomasa rozpieszczano, faworyzowano, pozwalano mu na wszystko, mały John był ignorowany. Maud twierdzi, że nie traktowano go nieuprzejmie i nie karano bez przyczyny, ale dla małego dziecka odosobnienie i brak zainteresowania mogą być równie okrutne.

— Biedny John — szepnęła Elizabeth z głębi serca.

— Thomas we wszystkim naśladował ojca, więc dorósł szczerze nienawidząc brata. Dobrze, że będąc w szkole John spędzał niewiele czasu w Wellford. Kiedy skończył Cambridge, gdzie podobno bardzo dobrze się prowadził, poprosił, by ojciec kupił mu patent oficera kawalerii. Sir Francis był szczęśliwy, że może to zrobić i w ten sposób pozbyć się chłopca.

Jako że Lavinia robiła właśnie to, co lubiła najbardziej, Elizabeth nie przerywała płynącego z jej ust potoku informacji, ale słuchając ich, czuła coraz mocniejszą więź z mężczyzną, którego spotkała dopiero tego ranka.

— Wkrótce potem jego pułk odkomenderowano do Indii. Według Maud wszyscy członkowie rodziny cieszyli się z tego rozstania, a ojciec ze starszym



synem zaczęli się coraz szybciej staczać. Wiesz już, że Sir Francis skreślił kark, jadąc na koniu, którego — jak mówią — opętał diabeł. Nawet trzeźwy jeździec z trudnością mógł go opanować, a z tego, co wiadomo, Sir Francis był pod bardzo silnym wpływem alkoholu. Thomas tak przejął się śmiercią ojca, że zapomniał o tych kilku cnotach, którym jeszcze hołdował, i rzucił się w wir wszelkich uciech. Nie dałabyś, moja droga, wiary, jakich ludzi zapraszał do posiadłości. Słudzy pochodzący z okolicy nie chcieli tam już wrócić. Domyślasz się, że musieli mieć poważne powody, by zdobyć się na takie poświęcenie, gdyż na wsiach nie jest łatwo o pracę. Zastąpiła ich służba z Londynu. Wybrali się kilka razy do wioski; byli to przebiegli ludzie o nikczemnych twarzach, niechętnie spędzający czas w towarzystwie tych, których najwyraźniej uważali za gorszych — oświadczyła znacząco panna Mount. — Nikt nie wie, co dokładnie działo się w tym domu, ale wystarczy powiedzieć, że każdy, komu zdarzyło się przechodzić w pobliżu, słyszał w najwyższym stopniu niepokojące odgłosy hulanki, często przerywane strzałami z pistoletu! Proboszcz odważył się kilka razy wkroczyć tam, oczekując z przerażeniem, że znajdzie ciało.

— Jakież to melodramatyczne! — krzyknęła radośnie Elizabeth. — Gentlemani często pozwalają sobie na wręcz śmieszne i nawet niebezpieczne wybryki, kiedy wypiją. Podobno jeden z oficerów z pułku Williama odstrzelił wszystkie kryształowe wisiorki od bezcennego żyrandola, aby wygrać zakład.

— Jakież to nikczemne! — Lavinia była oburzona.

Słuchając miejscowych ploteczek z większym niż zazwyczaj zainteresowaniem, Elizabeth zaczęła się domyślać, czym można tłumaczyć deprimujący stosunek Johna do ludzi. Do jakiegoż dziedzictwa powracał po tak długiej, trudnej podróży z odległego kraju! Wstała, zbyt niespokojna, by zostać przy stole, i przeszedłszy przez pokój, zbliżyła się do małego okna, na którego parapecie stał wazon słodko pachnących, niebieskich hiacyntów. Patrząc na rozległe łąki, na których pasły się czarno-białe krowy, rzekła:

— Powiedz mi więcej o rotmistrzu.

— Niewiele więcej wiem, moja droga. Przebywał daleko w Indiach, a Thomas był pod nosem mieszkańców wioski. Stąd są lepiej zaznajomieni z czynami starszego Stavenhama.

— Rozumiem — powiedziała zawiedziona.

— Słyszałam coś o małżeństwie, które miał zawrzeć zaraz po opuszczeniu Anglii — zabrzmiał z wahaniem delikatny głos.

Elizabeth odwróciła się.

— Małżeństwo? Powiedział mi, że nie ma żony.

— Więc zapewne nie ma. Nie można polegać na tej wiadomości, chociaż Amy Goddard dowiedziała się o tym od swojej siostrzenicy, która służyła u żołnierskiej rodziny. Jeden z ich synów był wtedy w Indiach i napisał o tej historii do domu. Spowodowało to nawet coś w rodzaju skandalu.

— Skandalu... ? Dlaczego?

— Żona po prostu zniknęła.

— Zniknęła? — powtórzyła raz jeszcze, nawet ostrzej, Elizabeth. — Co masz na myśli?

Na otwartej twarzy panny Mount odmalowało się zdumienie.

— To, co powiedziałam, moja droga... tylko to. Stało się to osiem lat temu, a Amy nie wspomina żadnych szczegółów. Byli wtedy oboje niezwykle młodzi, rzecz jasna. Według Amy, dziewczyna była malarką i pewnego ranka wyszła pełna zapału, by malować indyjski wschód słońca. Towarzyszył jej tylko sługa. Żadne z nich nie wróciło. — Wstała z krzesła i zaczęła ustawiać brudne naczynia na tacy. — Ta historia przeszła przez usta wielu osób. Może nie być w niej słowa prawdy. Przyznam się, że od początku wątpiłam w jej prawdziwość. — Podniosła wzrok, marszcząc brwi. — Chociaż po usłyszeniu od ciebie opowiadania o haniebnym zniszczeniu bezcennego żyrandola w wyniku zakładu przypuszczam, że wszystko może się zdarzyć... żołnierzom.

Odgłosy zbierania naczyń po śniadaniu i przenoszenia ich do przylegającej do pokoju kuchni przez wiejską dziewczynę, która gotowała i wykonywała cięższe prace domowe, ucichły, kiedy Elizabeth odwróciła się znów do okna. *Ponad rok temu Indie odebrały mi męża.* Nic dziwnego, że od razu ogarnęło go współczucie. Poczula się w dwójnasób winna, kiedy pomyślała o jego tragedii. Osiem lat męki zastanawiania się, czy to możliwe, by żyła; prawie trzy tysiące dni przepełnionych cierpieniem, myślami o nieznanym losie ukochanej. Elizabeth wyczuła już, że obce są mu przelotne uczucia, niemożliwe więc, by zawarł małżeństwo tak wcześnie z innej przyczyny niż płomienna miłość. Oświadczył, że w Indiach czeka go przeznaczenie. Czy ciągle liczył na to, że odnajdzie tam swoją zagubioną miłość? Elizabeth opanowała nagle nieproszona, zaskakująca zazdrość o kobietę, która zdobyła oddanie takiego mężczyzny i utrzymała je przez tyle lat.

## ROZDZIAŁ II

Z okna pawilonu położonego na zachodnim krańcu parku przeznaczonego dla zwierzyny płowej, rezydencja Wellford Manor wyglądała niezwykle imponująco. Z tej odległości na jej mocnej georgiańskiej fasadzie nie widać było śladu zniszczeń, ale John westchnął ciężko, patrząc na dom, którego miał kiedyś nadzieję więcej nie ujrzeć. Tom nie był z tego miejsca bardziej dumny niż ich ojciec. Obaj traktowali je tylko jak lokal, w którym mogli zabawiać swych rozpustnych przyjaciół i spać czekając, aż miną objawy występujące po dużym pićiu. W ich pojęciu wydawanie pieniędzy na naprawy i utrzymanie budynku było wyrzucaniem ich w błoto. Bogactwo należało stracić na przyjemności i dogadzanie sobie. Pieniądze dawno się skończyły, ale wydawano je dalej. Posiadłość była teraz poważnie zadłużona. Prywatne długi Toma sięgały tysięcy. Obrazy wiszące na ścianach były po prostu niezłymi kopiami, podczas gdy oryginały sprzedano jeden po drugim, by sfinansować nowe hulanki. Bizuteria Estelli Stavenham została prawdopodobnie poświęcona na ten cel tuż po jej śmierci. Aksamitne puzderka, które ciągle znajdowały się w sejfie, zawierały zaledwie odcisk klejnotów, które kiedyś lśniły na satynowych wyściółkach.

John popędził Kaspra i jechał wolno, pełen niemej złości, przez gęstwinę, która była kiedyś parkiem. Chociaż Wellford wzbudzało w nim tylko bolesne wspomnienia, uważał, że ojciec i Tom powinni bardziej szczyć się dziedzicznymi dobrami. Była to kiedyś bardzo piękna rezydencja, otoczona gruntami zagospodarowanymi przez kogoś, kto umiał docenić urok drzew i krajobrazów. John był zmuszony sprzedać posiadłość kuzynowi za niewielką sumę, jaką była teraz warta. Nie czuł do Gilesa urazy za to, że udało mu się nabyć Wellford za tak niską cenę — człowiek ten musiał ze skromnych dochodów literata utrzymać sześcioro dzieci — ale sprzedaż domu pokrywała zaledwie niewielki procent całego długu. Resztę trzeba będzie spłacić ze spadku, jaki John otrzymał po ciotce ze strony matki, bo prócz tego dysponował tylko swoim żoldem.

Kiedy wjeżdżał na podwórze, kopyta Kaspra stukały po bruku. Stajnie były puste. Konie Toma, na które bez wahania wydawał duże pieniądze, osiągnęły wysokie ceny. John miał już kupca na Kaspra, którego chciał sprzedać, kiedy będzie wyjeżdżać, by dołączyć do swojego pułku. Oddając ogiera starcowi, który od lat był głównym stajennym, zamienił z nim parę słów, zanim odszedł w stronę domu, w którym Flinders czekał już zapewne ze śniadaniem. John nie

lubił go, ale był to jedyny sługa, który zgodził się zostać po śmierci Toma. Giles przywiezie ze sobą własną służbę, a on sam był w stanie znieść Flindersa w czasie krótkiego pobytu w Anglii.

Jedząc samotnie śniadanie złożone z szynki, jajek, ziemniaków i różnych owoców, John zaczął nagle żałować, że tak niewiele tygodni zostało do odjazdu. Urlop nie był przyjemny pod żadnym względem. Nie tylko musiał się zmagać z chylącą się ku ruinie posiadłością i stosami długów, ale odkrył też, że każda matka w okolicy posiadająca niezameżną córkę założyła, że szuka żony, żeby zabrać ją ze sobą do Indii. Zasypano go zaproszeniami, a różne bezwstydne panny, którym wydawało się, że są właśnie tym, czego najbardziej potrzebuje, obrzucały go zalotnymi spojrzeniami.

Kiedy tego ranka wprost na niego wyjechała uderzająco piękna młoda kobieta w bardzo wytwornej amazonce, myślał, że manewr ten został starannie zaplanowany przez śmielszą od innych, pełną nadziei starą pannę. Spotkanie toczyło się w zadziwiający sposób, tak że w jednej chwili nie dowierzał jej, by już w następnej czuć się w jej towarzystwie wyjątkowo swobodnie. Elizabeth Delacourt intrygowała go. Teraz, kiedy czuł pewność, że pomimo otwartego podejścia do niego i wyjątkowo nieskrępowanych manier nie jest knującą intrygi pannicą, przypominał sobie szczegóły tego wyjątkowego spotkania. Chociaż od ponad roku była wdową, nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Delacourt musiał być szaleńcem albo głupcem, żeby wybierać się do Indii i zostawić w kraju tak żywą i inteligentną żonę. Z drugiej strony, jego praca mogła wymagać zamieszkania w odległych częściach Indii, więc może słusznie wolał zapewnić małżonce bezpieczeństwo pozostawiając ją w kraju. Możliwe, że Delacourt był starszym mężczyzną, który w nadziei przedłużenia rodu, jak wielu innych, wziął sobie młodą żonę i w rodzinnym domu oddał ją pod opiekę krewnych, aby wychowywała dziecko. Czy było więc jakieś dziecko? Chociaż nie był pewien jej motywów, kiedy pojawiła się tak niespodziewanie, że z trudem uniknął zderzenia, bystrość, z jaką prowadziła rozmowę, sprawiła, iż zdecydował się uwierzyć w prawdziwość przyczyn, które podała, by usprawiedliwić wkroczenie na jego ziemię. Ta młoda kobieta wydawała się nie mieć żadnego zamiaru złapania męża. Z nagłym żalem pomyślał, że mogłoby jej się powieść.

Odsuwając pusty talerz, John usadowił się wygodniej na krześle, aby pograć się w myślach, które z determinacją odepchnął od siebie czternaście miesięcy temu. W wieku dwudziestu dwóch lat, wbrew radom, niechęci dowództwa i zdrowemu rozsądkowi, ożenił się z dziewczyną, która wzięła go szturmem. Clare była córką ekscentrycznego antropologa robiącego badania w

Indiach i liczyła sobie o trzy lata więcej niż John. Była raczej fascynująca niż urodziwa i ujęła go intelektem, uznaniem dla ostatecznych wartości w życiu, zachwyciła skomplikowaną osobowością. Do niej przemówiła być może jego młodość, może cieszyła ją możliwość panowania nad uczuciami innego człowieka.

Bez względu na przyczynę poślubiła go i przez prawie dwa lata podtrzymywała złudzenie szczęścia. Te miesiące były dla niego pełną udręki idyllą. Pomimo radości posiadania jej ciała, w głębi serca wiedział, że nie posiadał jej ducha. Przez cały okres ich krótkiego małżeństwa żył w ciągłym strachu, że ją straci. Ten lęk stał się rzeczywistością, a sposób, w jaki odeszła, był krańcowo okrutny. Pewnego ranka, zanim się obudził, wzięła farby, sztalugi i jedynie w towarzystwie miejscowego sługi zniknęła z jego życia.

Jej zniknięcie spowodowało szeroko zakrojone poszukiwania, a niepewne stosunki między Anglikami i Hindusami w tym regionie pogorszyły się drastycznie, przeradzając się nieomal w konflikt. Nie znaleziono jednak żadnych ciał. Żadne z doniesień miejscowych ludzi opłacanych przez Brytyjczyków nie zawierało najmniejszej wskazówki co do losu Clare Stavenham i jej służącego. John przeżył piekło, wyobrażając sobie ostatnie chwile żony. Czy została zaatakowana i pożarta przez tygrysy? Może złapało ją szukające łupu plemię i została zgwałcona, potem zamordowana? Czas i wojna z Sikhami, w której jego pułk brał aktywny udział, złagodziły nieco przerażenie, które płonęło w jego piersi od czasu, kiedy przepadła.

W siedem lat po jej niewytłumaczalnym zniknięciu John uzyskał oficjalne unieważnienie małżeństwa. Był teraz starszy, dojrzały uczuciowo; okrucieństwa wojny uczyniły go psychicznie i fizycznie wytrzymalszym, wierzył, że uda mu się wymazać tę tragedię z pamięci i zacząć wszystko od nowa. Okazało się to o wiele trudniejsze, niż mu się wydawało. Wkrótce wiadomość o śmierci Toma sprowadziła go, po dziesięciu latach nieobecności, do domu.

Rozejrzał się po salonie, w którym Flinders podał śniadanie — ten pokój nie miał w sobie życia, nic nie zachęcało do pozostania tu dłużej. Nagle przyszło mu do głowy, co było tego przyczyną. Matka umarła wkrótce po urodzeniu go. Od tego czasu w Wellford nie było żadnej pani domu. Ojciec nie ożenił się powtórnie. Tom był zatwardziałym starym kawalerem. W czasie trzydziestu lat, które minęły od śmierci Estelli Stavenham, bywały tutaj kobiety, całe mnóstwo kobiet, ale żadna z nich nie wywarła wpływu na atmosferę tego domu, którego używały tylko w pogoni za rozrywkami. Giles i Roseanne przeobrażą wreszcie



to miejsce w prawdziwy dom, a on powróci na swoją kawalerską kwaterę w Ratnapore.

Tego ranka wizja ta nie wydawała mu się w żadnym calu pociągająca. Był zadowolony ze swego zawodu, który dawał mu możliwość aktywnego działania, przebywania w towarzystwie dobrych towarzyszy i dowodzenia. Chociaż Indie wielokrotnie sprawiły mu ból, niezłomne przekonanie, że w tym kraju zaskakujących kontrastów czeka na niego przeznaczenie, zmuszało go do powrotu. Myśląc o gołych ścianach kwater przydzielanych samotnym oficerom, przywołując widok spartańskich mebli i poruszającego się z rytmicznym piskiem przymocowanego do sufitu wachlarza, uświadomił sobie, że były one jak ten dom. Nie było w nich życia, nic nie zachęcało do zostania tam na dłużej.

Po raz pierwszy od kilku lat John dopuścił do siebie wspomnienie miesięcy spędzonych z Clare. Jako memsahib sprawy prowadzenia gospodarstwa domowego powierzyła służbie, ale zamieniła ich przewiewny bungalow w dom pełen koloru, muzyki i śmiechu. Była bardzo dobrą pianistką, a po wzięciu lekcji u nauczyciela z Ratnapore nauczyła się też świetnie grać na sitarze. Wiele żon Brytyjczyków odwróciło się wtedy od Stavenhamów, gdyż uważały, że kobieta biorąca lekcje muzyki od Hindusa z niskiej kasty nie może należeć do towarzystwa, ale wszyscy oficerowie uwielbiali wieczorki Clare, w czasie których zabawiała ich w jak najbardziej niekonwencjonalny sposób. W końcu, kiedy żona porucznika Stavenhama powitała ich ubrana w sari, z luźno, aż do pasa zwisającymi włosami, nawet oni zaczęli odmawiać zaproszeń.

John zmarszczył brwi. Widział to teraz wszystko oczyma człowieka, który powrócił do kraju i obserwował konwencjonalne angielskie maniery. Wtedy był zauroczony starszą od siebie kobietą, która ekscytowała go każdym swoim czynem. Clare wyglądała wyjątkowo pięknie w hinduskim stroju, nie widział nic złego w tym, że go nosi. Po ośmiu latach zrozumiał, że konwencjonalni Brytyjczycy byli tak urażeni jej zachowaniem, jak urażeni byliby Hindusi, gdyby któraś z ich żon ukazała się ubrana w krynolinę i czepek, aby do wtóru lutni śpiewać stare angielskie madrygały. Clare zbyt mocno oczarował ten kraj. Niektórzy przybyli z Europy mężczyźni ulegali urokowi Indii, żyli z Hinduskami, przyjęli miejscowy strój i obyczaje. Kobietom takie oczarowanie zdarzało się o wiele rzadziej. Clare była jedną z tych niewielu osób, które czuły głębokie powinowactwo ze Wschodem.

Chociaż zamknięta społeczność, w której żyli, czuła się urażona jej zachowaniem, nikt nie mógł zaprzeczyć, że była utalentowaną artystką. Jej obrazy

przedstawiające miejscowe życie i obyczaje były rozchwytywane przez ludzi chcących przesłać je krewnym w kraju. Pułkownik Hume był niezadowolony, że żona jednego z jego młodszych oficerów zarabia duże sumy pieniędzy na czymś, co miało być zaledwie towarzyskim przymiotem dobrze urodzonych dam. Jednak nawet on nie mógł dłużej otwarcie tego potępiać, kiedy jego małżonka kupiła od Clare obrazy w żadnej mierze nieporównywalne z amatorskimi akwarelami. Tak więc kiedy pewnego dnia Clare postanowiła pokryć gładkie ściany ich domu różnobarwnymi malowidłami przedstawiającymi życie w Indiach, zwierzchnik Johna nie przesłał mu notatki zawierającej choćby słowo dezaprobaty.

Tak bardzo kochał swą nieposkromioną żonę, że nie przejmował się tym, iż jego kariera z pewnością ucierpi z powodu niezadowolenia przełożonych. Ludzie z naczelnego dowództwa uważali za szaleństwo poślubienie takiej kobiety, a potem byli oburzeni kosztowną kampanią zorganizowaną, na próżno, w celu ustalenia miejsca jej pobytu, i te dwie opinie ciągle kształtowały ich stosunek do Johna. Podkomendni Stavenhama lubili go, gdyż udowodnił w czasie bitwy, że sam również gotów jest zrobić wszystko, czego od nich żądał. Jego kontakty z innymi oficerami układały się różnie w zależności od tego, jak byli butni, ale miał paru bliskich przyjaciół, z którymi oddawał się rozrywkom dostępnym wojskom stacjonującym poza granicami kraju. Karty, wyścigi, kobiety — myśląc o tym, poczuł nagłe znużenie. Jeśli nic nie przerwie tego koła bezsensownych zajęć, z biegiem dni łatwo może przeobrazić się w drugiego Toma Stavenhama.

John podniósł się powoli i ruszył bez pośpiechu w stronę gabinetu, w którym kończył obliczać rachunki, aby ustalić, co zostało jeszcze do zapłacenia. Tak, jeśli powróci do Ratnapore, by zacząć żyć tak jak trzy miesiące temu, gdy go opuszczał, już wkrótce może się stać równie beztrosko nieudolny jak jego ojciec i brat. Kiedy dotarł do gabinetu, zalanego teraz słońcem uwydatniającym matowość nie polerowanych mebli i ciężkie zasłony, w których rozsmakowały się mole, nie miał ochoty od razu siadać do biurka. Włożywszy ręce do kieszeni, spoglądał na zaniedbane wnętrza i przyznawał w myślach, że pomysł znalezienia sobie żony w Anglii tkwił gdzieś w jego podświadomości przez całą podróż. Sama myśl była dobra, uchylał się jednak od jej zrealizowania. Jedno poranne spotkanie znów kazało mu ją rozważać.

Był o dziesięć lat starszy od młodej wdowy i miał zaledwie cztery tygodnie, by zdecydować, zanim odpłynie, czy przecucie myliło go, czy nie. To prawda, że był to pomysł niesamowity, ale ta dama trąciła w nim jakąś strunę,

która wciąż drżała. Wyczuł w Elizabeth Delacourt nieposkromioną żywotność, która przypominała mu Clare, i odwagę w wyrażaniu własnych przekonań, co dodawało jej orzeźwiającej atrakcyjności w porównaniu z dziewczętami podsuwanymi mu bezustannie przez ostatnie dziesięć tygodni. Nie pragnął partnerki, która stałaby się jego echem albo interesowała się tylko zapewnieniem mu towarzyskiego i wojskowego awansu. Coś mówiło mu, że kobieta, którą spotkał przed trzema godzinami, nie zaakceptowałaby żadnej z tych postaw. Cenił jej spostrzegawczość, śmiałość i wyraźny zapał do chłonięcia wiedzy z książek. Przyznał też ponuro, że i jej kobiecy urok nie jest mu obojętny. Ciemne, skręcone wokół uszu włosy, płonące oczy koloru bursztynu, ruchliwa twarz o regularnych rysach, której bladość wskazywała na to, że dziewczyna nie mieszka na wsi, głos zdradzający jej uczucia dobitniej niż głos którejkolwiek ze znanych mu kobiet — wszystko to zrobiło na nim tak silne wrażenie, że zaczął rozważać coś prawie niemożliwego. Czas był jego wrogiem, lecz czuł, że Elizabeth Delacourt dzieli jego wrażenia ze spotkania i że szybko podejmie decyzję. W jej przypadku może okazać się, że czas nie stanowi żadnej przeszkody.

Zagłębiając się jeszcze bardziej w te szaleńcze rozmyślania, zaczął się zastanawiać, jakie skutki miałyby podjęcie przez niego decyzji, którą rozważał. Czy byłoby właściwe przywieźć młodą kobietę do regionu pełnego napięcia, które niewątpliwie doprowadzi wkrótce do następnej wojny z Sikhami? Po ostatnim, wystarczająco bestialskim konflikcie, Hindusi kipieli żądzą zemsty. Następne starcie może się okazać o wiele poważniejsze i jeszcze bardziej okrutne. Osiem lat temu, w czasie wojny z Afganami, brytyjskie kobiety i dzieci zostały także zaatakowane i przez dziewięć miesięcy prowadzone były po kraju w charakterze jeńców. Nie śmiałyby narazić na takie niebezpieczeństwa żadnej niewiasty ani dziecka. Poza tym, czy byłoby uczciwie brać sobie żonę wiedząc, że tuż po ślubie ma znaczne szanse zostać wdową? Widział zbyt wiele nieszczęsnych istot zmuszonych wchodzić w nieodpowiednie związki z jakimkolwiek mężczyzną, gotowym pomóc im i chronić przed nagłą samotnością w obcym kraju. Te, które miały potomstwo, przeżywały jeszcze cięższe chwile, gdy wojna lub zaraza odebrały im męża.

Odrzuciwszy swe zamiary jako niemożliwe do wykonania, pochopte i graniczące z szaleństwem, John zajął się czekającą na niego przy biurku pracą. Jego uwagę rozpraszały jednak raz po raz myśli o wspaniałym poranku za oknem i o ubranej w strojną niebieską amazonkę dziewczynie, która wykazywała takie zainteresowanie krajem, do którego on wkrótce powróci. W końcu odunął stertę dokumentów i napisał oraz zapieczętował zaproszenie, które Flin-

ders miał przekazać przez kuchcika, znającego niewątpliwie dokładne położenie domku panny Mount. Drugie spotkanie w bardziej konwencjonalnej sytuacji prawdopodobnie rozwieje nierozważne mrzonki, które go opanowały. Albo pomoże mu przyjąć zdecydowany kurs, tak aby w ciągu czterech tygodni zdołał osiągnąć swój cel.

Lavinia stanowczo odradzała przyjęcie zaproszenia na herbatę od kogokolwiek noszącego nazwisko Stavenham i oświadczyła, że żadna siła nie zmusi jej do postawienia nogi w domu, w którym miały miejsce wszelkie niegodziwości. Elizabeth natychmiast odpisała, wyrażając swoje i panny Mount zadowolenie, że mają czas nazajutrz o czwartej popołudniu, a chłopak z Wellford zabrał jej odpowiedź do Johna. Po długiej dyskusji, w czasie której starsza dama upierała się, że ich reputacje, jeśli nie one same, będą tak zagrożone, że ona nie ma zamiaru się na to narażać, Elizabeth oświadczyła zdecydowanie, że panna Mount zrobi najlepiej zostając w domu, podczas gdy ona samotnie uda się do rotmistrza Stavenhama. W obliczu tak niesamowitego ultimatum Lavinia, przyjmując najbardziej guwernancką ze swych póz, oświadczyła przez ściągnięte usta, że nikt nigdy nie będzie jej mógł zarzucić, że nie wykonała swoich obowiązków nawet za cenę największego poświęcenia. Dziewczyna, którą z miłością wychowywała, gdy ta była mała i dorastała, wybuchnęła na te słowa uszczęśliwionym śmiechem, mówiąc, że jakikolwiek zły los czekałby na nie w tym domu o złej sławie, stoicko zniosą go razem.

Elizabeth w głębi serca liczyła godziny dzielące je od wizyty. Bezustannie myślała o Johnie Stavenhamie. Chociaż powtarzała sobie, że nie wolno jej więcej jechać do Wellford Manor w nadziei zobaczenia go, ich krótkie, ciekawe spotkanie wywołało w niej pragnienie dowiedzenia się czegoś więcej o mężczyźnie, który — nie mogła temu zaprzeczyć — od razu ją zachwyił. Głęboko wzruszyły ją plotki Lavinii dotyczące zaginionej bez śladu żony. Musiał bardzo cierpieć nad niewytłumaczalną stratą kobiety, którą wybrał z całym żarem młodzieńczej miłości. Ta tragedia tłumaczyła częste i nagłe zmiany w jego zachowaniu i bruzdy na twarzy wskazujące, jak ciężko został doświadczony.

Od razu wyczuła między nimi powinowactwo. Teraz, kiedy wiedziała nieco o jego przeszłości, wrażenie to pogłębiło się. Pragnęła poznać osobowość Johna, odkryć człowieka schowanego za maską wyniosłości. Głos sumienia, który przypominał Elizabeth, jak go zwiodła, pozwalając mu wierzyć, że jest wdową, był niezwykle cichy. Jej kontakty z mężczyzną, o którego istnieniu niemalże zapomniała, były tak skąpe, że równie dobrze mogłoby go nie być. W ciągu trzynastu tygodni, które minęły od wyjazdu Williama, otrzymała zaledwie

trzy suche listy. Do matki pisał co miesiąc, ale ona nigdy nie wyjawiała Elizabeth treści tej korespondencji. Z wszystkich wiadomości, które przesyłał, przekazano jej tylko wyrażaną przez niego nadzieję, że czerpie duże korzyści przebywając pod opieką jego drogiej rodziny. W trzech odpowiedziach na listy męża Elizabeth pisała prowokująco o dręczącej ją nudzie, łagodzonej od czasu do czasu towarzyskimi spotkaniami, na których stykała się czasem z ludźmi dowcipnymi, inteligentnymi i wesołymi. Nic dziwnego, że spotkawszy mężczyznę mogącego dać jej choć pojęcie o częstce tego, czego odmówił jej William, z łatwością zapomniała o więzach łączących ją z obojętnym małżonkiem. John Stavenham za miesiąc powróci do Indii, cóż złego mogło więc być w szukaniu okruszyny szczęścia, którą dawało jego towarzystwo, tym bardziej że i on sam najwyraźniej pragnął spotkania?

Nikt, kto obserwowałby, jak przygotowuje się na tę wizytę, nie uwierzyłby, że wszystko, czego pragnęła, to dowcip, inteligencja i wesołe usposobienie gospodarza. Wybrała, a później odrzuciła trzy stroje, zanim zdecydowała się na żółtą suknię z cienkiej wełny ozdobioną szarym aksamitnym sutaszem, epoletami a la militaire i zwisającą z ramion krótką pelerynką. Włożyła do tego czarny, wysoki czepek z żółtą kokardą. W Londynie kreacja ta uchodziła za bardzo śmiałą, a tutaj, na wsi, gdzie panie dysponowały żurnalami nieaktualnymi od niemalże roku, niewątpliwie wzbudzi sensację. Jakie wrażenie może ona wyrzucić na mężczyzn z Indii, w których duża odległość od Europy uniemożliwiała damom śledzenie najnowszych trendów wcześniej, niż dwa lata po ich wejściu w modę, Elizabeth nie miała pojęcia.

Lavinia, ubrana w stonowaną zieloną suknię i brązowy czepek, nie ukrywając niezadowolenia, wspięła się do lekkiego powozu, którym Thompkins miał zawieźć je do pobliskiego dworu. Siedziała sztywno wyprostowana na skórzanym siedzeniu z męczeńskim wyrazem na zaczerwienionej twarzy. Kiedy ruszyły zasypaną liśćmi aleją wiodącą przez wioskę do głównej bramy posiadłości, Elizabeth nie mogła oprzeć się pokusie droczenia się z nią.

— Ciekawe, Vinnie, czy na żyrandolach ostały się jeszcze jakieś kryształowe wisiorki... i cóż poczniemy, gdy natkniemy się na ciało albo i dwa?

— Jeśli koniecznie musisz pogarszać moje cierpienia zachowaniem godnym raczej dziewczki niż dobrze wychowanej kobiety, będę musiała jakoś to znieść — padła sucha odpowiedź.

Ujmując przepraszająco obciążniętą rękawiczką dłoń towarzyszki, Elizabeth powiedziała delikatnie:



— Czy naprawdę sądzisz, że jechałabym do rotmistrza Stavenhama, gdyby był taki sam jak jego niegodziwi krewni? Zapewniam cię, moja droga, że będziesz oczarowana jego gentlemańskimi przymiotami i spokojnym, otwartym sposobem bycia. Naprawdę nie ma potrzeby, byś zachowywała się jak chrześcijanka zbliżająca się do jaskini lwów.

Panna Mount nie dała się udobruchać, więc Elizabeth skierowała uwagę na widok roztaczający się z okna przejeżdżającego właśnie przez główną bramę powozu. Rdza pokrywająca ozdobne kraty, przystrojone niegdyś czarno-złotymi ślimacznicami, wskazywała na to, jak zaniedbana jest posiadłość. Długi podjazd prowadzący do rezydencji był zarośnięty i tak pełen dziur, że damy siedzące w podskakującym powozie kilka razy boleśnie się uderzyły, zanim dotarły do celu podróży. Kwadratowemu, proporcjonalnemu, niegdyś pięknemu georgiańskiemu budynkowi również pozwolono niszczeć. Dom otaczała atmosfera melancholii, która niemalże pozwalała dzielić obawy Lavinii co do możliwości znalezienia w nim zwłok.

Kiedy Thompkins umiejętnie zakręcił, zatrzymując powóz przy wąskich schodach, przez głowę Elizabeth przemknęła myśl o niekochanym przez ojca i brata chłopcu, który tu mieszkał. Ona sama spędziła dzieciństwo w skromnym domu położonym na jednym ze wzgórz hrabstwa Kent. Nie była nieszczęśliwa z Lavinią w roli nauczycielki, opiekunki i zastępczej matki. Jej rodzice przychodzili i odchodzili w zależności od tego, jak układały się ich sprawy, a jako że nie zakłócało to w zasadzie spokojnego codziennego życia Elizabeth, nie była ona ani uszczęśliwiona, ani rozczarowana ich wzajemnymi stosunkami. Dopiero kiedy zmarł ojciec, wpływ rodziny stał się bardziej zauważalny. Dom w Kent został sprzedany i wszyscy udali się do Londynu, by zamieszkać w rezydencji człowieka, którego kazano jej nazywać wujkiem Matthew. Chociaż opuszczała wieś z ogromną niechęcią, w Londynie znalazło się wiele ekscytujących rzeczy, które rekompensowały jej ponurą, cichą atmosferę jego kawalerskiego domu. Bez Lavinii obdarzającej Elizabeth ciągłym uczuciem, jej życie byłoby całkowicie inne. John Stavenham nie miał prawdopodobnie nawet przyjaciela w tej rezydencji, w której jego bratu dano wszystko, a jemu samemu tak niewiele. Tym bardziej wydawało się prawdopodobne, że osiągnąwszy wiek męski taki chłopiec czuł się oszołomiony, gdy po raz pierwszy ofiarowano mu miłość. Jakie ślady pozostawiła tragiczna, niewytłumaczalna utrata tego uczucia?

Wychodząc z powozu, Elizabeth ujrzała, że przedmiot jej rozmyślań czeka na górze schodów, by je powitać. Pewnie wyglądał przez okno, czekając na ich

przybycie. To przypuszczenie tak ją ucieszyło, że wspięła się na schody nie mówiąc ani słowa do Thompkinsa i zapomniawszy o towarzysze, która tak niechętnie tu przyjechała.

— Dzisiaj nie może mnie już pan oskarżyć o bezprawne wkroczenie tutaj — powiedziała wesoło — gdyż przybyłam w niezwykle dostojny sposób.

Napięcie malujące się na jego twarzy zniknęło.

— O ile sobie pani przypomina, pozwoliłem jej wczoraj poruszać się po Wellford bez ograniczeń. Mogła pani przybyć w jakikolwiek sposób. — Uśmiechnął się. — Mogę tylko oskarżyć panią o rzadką u dam punktualność. Panie mają wyraźną słabość do przybywania w mniej więcej godzinę po wyznaczonym czasie spotkania.

— Powinien pan wiedzieć, że robią tak dla jednej z dwóch przyczyn — odparła, śmiejąc się beztrosko. — Albo nie zależy im na spotkaniu i stąd odkładają je, jak długo mogą, albo pragną zwrócić na siebie uwagę, przedłużając czas oczekiwania na swoje przybycie.

Jego uśmiech zbladł, a na twarzy pojawił się wyraz skupienia, kiedy odrzekł:

— Cieszę się, że uznała pani, iż zależy jej na tym spotkaniu... i że nie musi się pani uciekać do żadnych sztuczek, by zwrócić na siebie uwagę.

Elizabeth była na tyle doświadczona, by wiedzieć, że nie jest to zwykły flirt. Odpowiedziała mu bez zastanowienia, a on odczytał z jej słów ukryte tam nieświadomie przesłanie. Miał jednak rację. Tak bardzo pragnęła znów go zobaczyć, że nawet najkrótsze spóźnienie byłoby nie do zniesienia. Ich rozmowa została przerwana, kiedy pojawiła się z kamiennym wyrazem twarzy sztywna panna Mount. Dokonano prezentacji.

Usta Johna drżały lekko, kiedy kłaniał się przyglądającej mu się z dezaprobatą kobiecie.

— Droga pani, czuję się zaszczycony, mogąc poznać osobę piszącą tak pocudzające listy o osobliwościach wiejskiego życia. — Odwracając się w kierunku otwartych drzwi dodał: — Pożwólą panie, że wprowadzę je do wnętrza. Mój służący poczęstuje panie przekąskami i napojami, które — obiecuję — będą o wiele atrakcyjniejsze niż ten zaniedbany dwór.

Rezydencja Wellford Manor wydała się Elizabeth obskurna, odstręczająca i ponura. Odgłos ich kroków rozbrzmiewał w opuszczonych pokojach dziwacznie, jakby byli jedynymi ludźmi w krainie duchów. Wnętrza te, rozświetlone setkami świec i pełne bogato odzianych biesiadników, mogły — jak przypuszczała — lśnić pozornym przepychem, ale dni taniej chwały należały już do przeszłości, a w komnatach widoczne były zniszczenia wywołane dawnymi hulankami. Ścienne malowidła zaczynały się łuszczyć, żyrandole straciły blask, a sufity poznaczone były ciemnymi plamami wilgoci. Dywany, po których stąpali, były zaplamione, zszarzałe od kurzu. Ogromne marmurowe schody nie lśniły już. Elizabeth patrzyła na to krocząc u boku Johna przez kilka pokoi i wyczuwała rozpustę, która, jak twierdziła Lavinia, kiedyś tu królowała. Wstrząsnął ją dreszcz.

Stavenham przerwał opowieść o tym, jak wiekowe były widoczne tam zbroje i szybko odwrócił się w jej stronę.

— Zimno pani? Proszę mi wybaczyć. Kominiek w salonie bucha wesołym ogniem i zaraz będzie pani mogła usiąść przy nim i rozgrzać się filiżanką herbaty.

Potrząsnęła głową.

— Brzmi to niezwykle zachęcająco, ale obawiam się, że to moje przecucia, nie temperatura, sprawiają, że czuję dreszcze. Jeden z moich odległych francuskich przodków był podobno medium, a że często zdarzało mi się odczuwać dziwne wrażenia, zastanawiam się, czy siła ta nie odezwała się i we mnie. Mam nadzieję, że nie poczuje się pan urażony, jeśli powiem, że ten dom wydaje się płakać ze wstydu.

— Elizabeth! — krzyknęła zatrzymując się gwałtownie panna Mount, oburzona takimi słowami skierowanymi przez kobietę, gościa, do mężczyzny będącego panem domu.

Stanęli wszyscy, ale John był najwyraźniej raczej zaciekawiony niż zły.

— Czy rzeczywiście potrafi pani wyczuć dokładnie, co działo się w przeszłości, nic o tym wcześniej nie wiedząc?

— Niedokładnie — wyznała. — Nie potrafiłabym powiedzieć ze szczegółami, co działo się w Wellford. — Uśmiechnęła się nagle. — Gdybym twierdziła, że potrafię, byłoby to poważne oszustwo; powtarzałabym po prostu coś, co usłyszałam w wiosce. Jestem jednak wyjątkowo wrażliwa na atmosferę i często

domyślam się, czy dobro, zło, szczęście czy smutek panowały w danym miejscu.

— To wyjaśnia, dlaczego od razu zrozumiała pani moje przekonanie, że w Indiach czeka na mnie przeznaczenie — odrzekł skwapliwie, jakby zapomniał o obecności stojącej przy nich panny Mount. — Wczoraj rano życzyła mi pani, by było ono związane z piękną, nie dziką stroną tego kraju. Czy mogłaby mi pani powiedzieć o tym coś więcej?

— Zbyt mało o panu wiem, by to zrobić — szepnęła, również nie zważając na bliskość swej towarzyszki.

— O Wellford też niewiele pani wie, a jednak burzliwa przeszłość rezydencji nie pozostawiła pani obojętną.

Nie zastanawiając się nad swymi słowami, Elizabeth rzekła:

— Czuję też, że i pana przeszłość była burzliwa, ale pan prosi, bym spojrziała w przyszłość, odgadła coś, co jeszcze się nie zdarzyło.

Jej słowa wywarły na nim piorunujące wrażenie. Przyglądając jej się ze zdziwieniem powiedział:

— Pani spostrzegawczość jest zaskakująca. Nie może pani wiedzieć, co zdarzyło się na drugim końcu świata, kiedy była pani jeszcze niemalże dzieckiem. — Po krótkiej przerwie dodał cicho: — Twierdzi pani, że nie potrafi przewidywać przyszłości, pani Delacourt, ale właśnie w tej chwili pozwoliła mi pani spojrzeć głęboko w mrok tego, co mnie czeka.

Czarno ubrany sługa o bladej, ponurej twarzy pojawił się w drzwiach pokoju oświetlonego blaskiem słońca, uwypuklającym wyblakłe kolory niegdyś wspaniałego dywanu. Jego znudzony głos obwieszczający, że podano posiłek, przerwał chwilę bliskości łączącej Elizabeth z mężczyzną, który tak ją pociągał. Pragnęła pozbyć się swej niezadowolonej przyzwoitki, która prawdopodobnie słyszała każde ich słowo. Jednodniowa znajomość z Johnem Stavenhamem przyniosła jej uczucie spełnienia, jakiego nie dał jej żaden przyjaciel ani konkurent. Nie były jej potrzebne rodzinne związki z rzekomym jasnowidzem, by wiedzieć, że pokrewieństwo ich dusz jest tak głębokie, iż może prowadzić tylko do radosnej ekstazy lub katuszy.

W czasie wykwintnego posiłku, który przygotował John, rozmowa toczyła się przede wszystkim między nim a Elizabeth. Rotmistrz starał się jak mógł, by Lavinia nieco się rozluźniła, ale wkrótce zaniechał swych wysiłków, gdy dała

mu do zrozumienia, że całe to popołudnie wystawia jej poczucie przyzwoitości na ciężką próbę. Elizabeth, co nigdy jej się nie zdarzało, straciła tym razem do niej całą cierpliwość. W obliczu możliwości zrealizowania swych tęsknot, wszystko inne przestało ją chwilowo obchodzić. Rozmawiali o sztuce, literaturze, teatrze, a właściwie to Elizabeth mówiła, a John słuchał chciwie opisów sztuk, oper, wystaw i literackich sensacji, które miały miejsce, gdy przebywał poza Anglią. On z kolei snuł opowiadanie o barwności, hałaśliwości i widowiskowości hinduskich świąt, którego ona słuchała jak urzeczona, mimo głośnych, pełnych dezaprobaty chrząknięć panny Mount. W czasie rozmowy uwagę Elizabeth przyciągały jego kanciaste, brązowe ręce, których gesty podkreślały słowa; zauważyła też z przyjemnością, jak błękit jego oczu ciemnieje, gdy John staje się poważny, i jaśnieje, gdy go coś bawi. Kiedy popołudnie zaczęło przeobrażać się we wczesny wieczór, świadomość, że Stavenham jpusi w końcu miesiąca odpłynąć do Indii, przepelniła ją chłodem, którego nie mogło rozproszyc ciepło ognia.

Słońce zaszło już, a węgle żarzyły się kusząco w mroku pokoju, kiedy przybył sługa, by oznajmić, że powóz wrócił po damy. Lavinia od razu zerwała się z miejsca, ale Elizabeth ogarnął żal, że musi odjechać, choć tak bardzo pragnęła zostać. John najwyraźniej również ociągał się z pożegnaniem i oświadczył wstając, że czas minął stanowczo za szybko. Ruszyli powoli w stronę głównego wejścia, mijając pokoje jeszcze bardziej tchnące atmosferą smutku i zaniedbania. Opuszczony człowiek w opuszczonym domu — pomyślała z głębokim współczuciem. Nie zasłużył sobie na to, co go spotkało. Nagle, jakby padł na nią przelotny cień, przeczucie powiedziało jej, że czeka go jeszcze dużo cierpień.

Kiedy dotarli do drzwi, odwróciła się szybko i rzekła:

— W opiekuńczych rękach Wellford mogłoby stać się urocze i niezwykle wygodne. Czy nie myślał pan o zmianie decyzji i powrocie tutaj?

Marszcząc brwi odparł:

— Jest już na to za późno. Podpisałem akt sprzedaży.

— Rozumiem — odparła powoli. — A więc pana przeznaczenie rzeczywiście czeka w tym odległym kraju.

Panna Mount z obowiązku podziękowała gospodarzowi zwięźle za urocze popołudnie — był to doskonały przykład kłamstwa w imię konwencji — i zeszła po schodach do swego powozu, w którym czekał na nie Thompkins. Eliza-



beth podała Johnowi na pożegnanie rękę, którą on trzymał w swej dłoni jeszcze długo po tym, gdy oboje wyrazili swoje zadowolenie ze spotkania.

— Będę jutro o ósmej rano jeździł konno po wzgórzach. Jeśli zdecydowałyby się pani wkroczyć bezprawnie na te ziemie, moglibyśmy pogłębić tę interesującą znajomość. Dwa krótkie spotkania udowodniły, że potrzeba ich będzie o wiele więcej, byśmy mogli wyczerpać wszystkie interesujące nas tematy, nieprawdaż? — Trzymając jej dłoń w swojej dłużej, niż powinna była na to pozwolić, nalegał cichym głosem: — Proszę obiecać, że pani przyjedzie.

Słyszając kaszlnięcie, jakim Lavinia zawsze usiłowała zwrócić na siebie jej uwagę, Elizabeth wyrwała rękę szepcząc:

— Może padać.

— A jeśli będzie ładnie? — spytał.

Odwracając się przez ramię, odparła:

— Jeśli będzie ładnie... to przyjadę.

Serce biło jej jak szalone, kiedy wsiadała do powozu. Gdy ruszył, spojrzała w tył na ledwo dostrzegalną w zapadającym zmroku postać. Rozstanie z nim już teraz sprawiało jej niewyobrażalny ból. Jak poradzi sobie za cztery tygodnie z ostateczną rozłąką?

Droga powrotna do Domu Pod Orzechem minęła w milczeniu, ale kiedy tylko panie znalazły się w saloniku, Lavinia załała Elizabeth potokiem słów. Nie zdjawszy nawet swojego brązowego, ozdobionego krezami czepka, zagroziła sobą drzwi, tak by uniemożliwić dziewczynie ucieczkę na górę, i wygłosiła swą opinię na temat minionego popołudnia.

— Nigdy nie sądziłam, że będę zmuszona myśleć, iż nie wykonałam właściwie swych obowiązków — zaczęła ponuro. — Zawsze byłaś swawolna, ale cecha ta—jeśli nie nazbyt widoczna — może nawet przydawać młodej damie atrakcyjności. Dziś jednak dostrzegłam jasno, co powodowało panem Delacourtem, kiedy zdecydował zostawić cię na czas swej nieobecności pod opieką rodziny. Nigdy jeszcze nie czułam się tak upokorzona.

Elizabeth, rozwiązując wstążki swego eleganckiego kapelusza, odrzekła chłodno:

— Musiałaś więc żyć jak we śnie, Vinnie. Trzeba mieć nie byle jakie szczęście, by dożyć twojego wieku, nie denerwując się niczym straszniejszym

od spotkania z niezwykle uprzejmym młodszym synem Sir Francisa Stavenhama. Powinnaś się z tego cieszyć. Żałuję, że mnie to nie spotkało.

Panna Mount poczerwieniała jeszcze bardziej i ciągnęła tym samym tonem:

— Nie mogę uwierzyć, że tak się zmieniłaś. Gdzież się podziała ta kochająca, słodka, posłuszna dziewczyna, którą wychowywałam od dziecka?

Wbijając raz po raz szpilkę w denko kapelusza, Elizabeth odparła:

— Spytaj Delacourtów. Jeśli rzeczywiście zaszła we mnie jakaś zmiana, to oni są za to odpowiedzialni.

Piers panny Mount uniosła się w głośnym westchnieniu niezadowolenia, które przerwało chwilę ciszy.

— Jego maniery były tak... tak swobodne!

— Jest światowym człowiekiem. Życie w Indiach jest krańcowo różne od ograniczonej, plotkarskiej egzystencji tej wioski i przesadnych subtelności londyńskiej socjety. Oczywiście, że ma swobodne maniery. On sam cieszy się swobodą! — krzyknęła z żarem. — Jeśli zechce powrócić do Indii, zrobi to. Jeśli będzie wolał zostać w Wellford Manor, nikt nie będzie mógł mu tego zabronić. Och, Vinnie! — zawołała, odwracając się do niej z ferworem zrodzonym z jej tęsknot. — John Stavenham nie musi robić, co mu każą, ani żyć jak zakonnica w ograniczającym go rodzinnym klasztorze. Może płynąć do Indii, wszędzie, gdzie mu się zamarzy. Nikt nie przesyła comiesięcznych sprawozdań dotyczących jego zachowania osobie, którą tak mało obchodzi, że jest ona w stanie znieść z całkowitym spokojem rozłąkę mogącą trwać dziesięć lat. Pan Stavenham nie ma też obowiązku dochowywać wierności przysiędze, która stała się farsą. — Zniżając głos dodała: — Żona rotmistrza odeszła, by nigdy nie wrócić. Mój mąż to właśnie pragnie zrobić. Na zawsze pozostanie dla mnie obcym człowiekiem, z którym będę związana na całe życie. Nic dziwnego, że szukam odrobiny światła, które rozjaśniłoby szarość mego więzienia bez krat. Nie wiesz nawet, jak głęboko poruszyła mnie siła jego intelektu, jego wyrozumiałość i zainteresowanie, jakim obdarzył moje przemyślenia i opinie. Czy wiesz, od jak dawna nie mogłam wypowiedzieć nawet słowa bez uprzedniego rozważenia, czy nie zostanie ono potępione?

Lawinię wyraźnie wzruszył ten wybuch emocji, ale nie do tego stopnia, by przestała prawić kazanie.

— Rzeczywiście nieszczęśliwie się złożyło, że pułk porucznika Delacourta został wysłany za granicę wkrótce po waszym ślubie...

— William mógł się przenieść i zostać u mego boku — przerwała ostro Elizabeth.

— ... ale nie możesz oczekiwać, że będzie ci wolno korzystać ze sposobności dostępnych dla panien — oświadczyła stanowczo starsza kobieta. — Żona musi pozostać sumienna i lojalna bez względu na to, gdzie zmuszony jest wyjechać jej mąż. Będzie się czuła, rzecz jasna, nieco samotna, szczególnie jeśli musi opiekować się dziećmi, lecz jest absolutnie niedopuszczalne, by przyjmowała zaproszenia, w wyniku których znajdzie się w towarzystwie samotnego mężczyzny. Dzisiejsze popołudnie nie powinno być się zdarzyć. Dziękuję Bogu, że nie widziano nas wchodzących do Wellford Manor. Thompkins nie puści nikomu pary z ust na ten temat, ale swym upartym zachowaniem naraziłaś na szwank własną reputację i moją pozycję w wiosce.

— Bzdura — oświadczyła Elizabeth bez ogródek. — Nie było nic niestosownego w tym, że rotmistrz Stavenham przesłał nam zaproszenie na herbatę, ani że je przyjęliśmy. Jako nowy właściciel Wellford z pewnością zabawiał wiele rodzin, dla których jego ojciec i brat byli dziedzicami... a sama musisz przyznać, że w rezydencji nie było śladu orgii, rozbitego żyrandola czy zwłok. Znów robisz się melodramatyczna, droga Vinnie. Jestem kobietą zamezną, a więc będę dla ciebie najodpowiedniejszą przyzwoitką, gdziekolwiek byś się wybrała. Z pewnością nie ucierpi na tym twoja pozycja.

Przemowa ta wprawiła pannę Mount w zakłopotanie.

— Ty moją przyzwoitką!

— Ależ tak! Chociaż nie mam więcej niż dwadzieścia lat, dzięki tej obrączce na palcu można mnie uważać za matronę, która zdaje sobie sprawę, jak podstępni potrafią być gentlemani. Ty jesteś panną, którą należy przed nimi chronić. Myślę, że dzisiejszego popołudnia doskonale wywiązałam się z moich obowiązków.

— Chyba zupełnie straciłaś rozum! — wykrzyknęła jej oszołomiona towarzyska. — Nie wiedziałam, że potrafisz być taka przewrotna! Może coś ci dolega? Masz zaczerwienione policzki i zachowujesz się zbyt niespokojnie. Powinnaś wziąć proszki i położyć się na chwilę. Przyniosę ci o ósmej trochę rosołu i kilka łyżeczek kremu z jaj, chociaż osobę w gorączce powinno się właściwie przegłodzić.

Elizabeth widząc, że jej przyjaciółka jest szczerze zmartwiona, próbowała ją uspokoić. Ujawszy dłonie Lavinii, przekonała ją, by usiadła przy kominku, a sama, jak to często robiła, przysiadła obok niej.

— Wybacz mi, najdroższa Vinnie. Nie powinnam była cię drażnić, ale tak doskonale bawiłam się dziś po południu, że nie mogłam znieść, byś ty właśnie psuła mi radość strofowaniem. Tak bardzo mam już dość wysłuchiwania słów krytyki, bez względu na to, co zrobię. — Patrząc na jedyną osobę, która niezawodnie wywierała na nią wpływ przez dwadzieścia lat, dodała: — Proszę, przemyśl dokładnie zachowanie rotmistrza Stavenhama. Czy nie był dla nas obu niezwykle uprzejmy? Czy nie okazał nam dużych względów, sadowiąc przy pokrępiającym ogniu i częstując herbatą wybraną z dbałością o kobiece gusta? Czy rzeczywiście jakikolwiek aspekt tej wizyty, prócz jego, jak mówisz, zbyt swobodnych manier, może budzić twoje zastrzeżenia? Czy zasłużył sobie, byś przez cały czas patrzyła na niego z najsroższą miną i odpowiadała mu w tak zimny sposób? Czy cokolwiek wskazywało na to, że jest taki sam jak Sir Francis i Thomas Stavenham? Odpowiedz szczerze.

Panna Mount patrzyła na nią przez chwilę smutno jasnymi, małymi oczami, zanim szczerze powiedziała:

— Być może nie zdaję sobie sprawy, jak podstępni mogą być mężczyźni, ale nie jestem ślepa. Rotmistrz Stavenham jest tobą najwyraźniej bardzo zainteresowany. Mam głęboką nadzieję, że twoja żywa reakcja nie podsunęła mu myśli, iż odwzajemniasz jego uczucia.

Zwracając wzrok na kominek, Elizabeth odrzekła:

— W końcu miesiąca pan Stavenham odpływa do Indii. Ja jestem skazana na pozostanie w Anglii. Nie masz żadnego powodu do niepokoju, Vinnie.

— A ty? — padło ciche pytanie.

Wciąż patrząc na zmieniające się wzory wygasających węgli, pani Delacourt odpowiedziała zamyślona:

— Od miesięcy jestem niespokojna, lękając się myśli o mej długiej, samotnej i szarej przyszłości. Jakże mam przeżyć przyznane mi siedemdziesiąt lat? Mam ich jeszcze przed sobą pięćdziesiąt, a już rodzina Delacourtów odebrała mi wszelką radość życia.

Lavinia dotknęła pieśczośliwie jej ciemnych loków.

- Uspokój się, dziecko. Nie może być tak źle, jak mówisz.
- Może nie... ale teraz widzę, że mogłoby być nieskończenie lepiej.

TLR



### ROZDZIAŁ III

Spotkali się nazajutrz o ósmej rano. Powietrze było czyste i pełne obietnicy, pogalopowali więc obok siebie do drzew rosnących na odległym krańcu płaskiego odcinka drogi. Później skręcili, przecinając zarośnięty park, okrążyli pawilon i pomknęli z powrotem do miejsca, z którego wyruszyli. Serce i dusza Elizabeth śpiewały z radości, którą dawały jej wolność i ekscytacja wywołane obecnością Johna u jej boku. Bez tchu, zaczerwienieniem od szybkiej jazdy, zatrzymali konie w punkcie, z którego mogli oglądać typowe dla Sussex zielone niziny. Skowronki wznosiły się w bezchmurne niebo z rozdzierającą serce pieśnią, której dźwięk wywołałby łzę w oku każdego, kto od dawna przebywał z dala od tej spokojnej wyspy, a jagnięta beczwały żałośnie, dając znać o swym porannym głodzie owcom, które zaspokajały swój własny na trawiastym stoku. Panowała atmosfera nadziei, młodości, która ma cały wszechświat u swych stóp. Łagodny wiaterek i błękit w oddali, gdzie było wybrzeże, tchnęły cudownym spokojem.

Doskonałość tej chwili wyrwała z piersi Elizabeth przepelnione bólem westchnienie. W czasie niespokojnej nocy setki razy przysięgała sobie nie przychodzić na to spotkanie. To, że poszła, było równie nieuniknione jak nadejście poranka. Rzucając spojrzenie na Johna, przyłapała go na tym, że uważnie jej się przygląda.

— Po zimie spędzonej w mieście taki krajobraz po prostu mnie oczarowuje — wyjaśniła. — Indie muszą być precudowne, jeśli jest pan gotów to wszystko dla nich opuścić.

— Wszędzie tam można dostrzec piękno — odrzekł. — Muszę przyznać, że czasem jest ono przedziwne, ale tylko skrajnie niewrażliwa istota mogłaby go nie dostrzec. Nie ma tam oczywiście terenów, które można by porównać z tym łagodnym, pastelowym krajobrazem, ale nasze placówki w górskich uzdrowiskach są pełne zieleni, chłodne, orzeźwiający. Większość dam udaje się do nich w porze upałów.

— A panowie?

Uśmiechnął się.

— Tylko jeśli chorują... albo mają dużo szczęścia. Wojsko musi cały czas pełnić służbę, a urzędnicy zmuszeni są zajmować się administracją kolonii bez względu na temperaturę.

— Ile lat musiał pan, rotmistrzu, przez to przechodzić?

— Dziesięć... dziesięć i pół, jeśli wliczy się w to drogę powrotną, którą podjąłem, gdy na terenach, przez które przejeżdżałem, panowały największe upały.

— Proszę mi o tym opowiedzieć — poprosiła gorąco. — Proszę mi powiedzieć, jak przewozi się przez pół świata cały pułk.

Przyjrząwszy się dokładnie jej twarzy, spytał delikatnie:

— Zniesie pani prawdę?

— Czy aż tak źle to wygląda, że musi pan pytać?

— Być może. — Zsiadł z konia i podszedł do Elizabeth. — Może trochę pospacerujemy?

Po raz pierwszy jej dotknął. Jego ręce ujęły ją mocno w tali, uniosły z siódła, a ona, starając się złapać równowagę, wyczuła dłońmi siłę jego ramion. Chociaż ich ciała zetknęły się zaledwie na ułamek sekundy, zamilkli. Przeszedłszy bez słowa kilka jardów, John zaczął opowiadać o warunkach, jakie musieli cierpieć jego ludzie, stłoczeni pod pokładem starego żaglowca, płynącego długą trasą wokół Przylądka Dobrej Nadziei.

— Wielu z moich żołnierzy to łotry, którzy zapelnialiby więzienia, gdyby nie wstąpili do wojska. Jest też wśród nich wielu dobrych, lojalnych ludzi z niewielkim wykształceniem, wyznających jakieś swoje proste filozofie — objaśniał, kiedy spacerowali powoli po zroszonej trawie. — Żaden z nich nie zasługuje na cierpienia, jakie muszą przejść ściśnięci razem w niższych partiach statku, bez dostępu świeżego powietrza, w nieznośnym upale. Każdy z tych mężczyzn dostaje do dyspozycji tyle miejsca, by mógł się położyć z rozprostowanymi kończynami, i przez pół roku większość czasu zmuszony jest spędzić na tych kilku stopach desek.

— Ależ to nieludzkie! — oświadczyła Elizabeth z oburzeniem.

Skinął głową. — Zgadzam się. Wyraziłem swój protest, jeszcze zanim opuściliśmy te brzegi, ale żołnierzom, droga pani, rząd przypisuje bardzo niewiele ludzkich uczuć i bardziej dba się o kawaleryjskie konie niż o dosia-

dających je ludzi. Przestępcy, pragnący uniknąć karzącej ręki sprawiedliwości wdziewając mundur, zgłaszają się tysiącami; konie są kosztowne.

Z rosnącym współczuciem słuchała opowieści Johna o pogłębiającym się poczuciu beznadziejności u mężczyzn, którzy, chociaż gotowi oddać życie na polu bitwy, byli oburzeni ilością zgonów na statku, spowodowanych gorączką i uduszeniem ze spiekoty. Opisywał, jak unieruchomiony przez ciszę okręt stał całymi dniami w upale, a kiedy żołnierzom pozwolono wyprać swoje rzeczy i odświeżyć się w morzu, prawie tuzin nie umiejących pływać wyskoczyło za burtę, postanowiwszy raczej utonąć, niż kontynuować podróż. Uświadomiła sobie, że William nigdy z nią o tym nie rozmawiał. Opowiadał o szalonych wyczynach innych oficerów, na przykład

zestrzeleniu żyrandola, opisywał bale, capstrzyki i parady wojskowe. Przedstawiał jej życie wojska tak, jakby niewiele różniło się od zwykłych rozrywek, których zażywali zamożni panowie, lubiący nosić eleganckie, fantazyjne kurtki mundurów i szablę u boku. Ludzi, którymi przypuszczalnie dowodził, wspominał tylko raz oznajmiając, że poczucie obowiązku wymaga, by jechał z nimi do Indii. Czyżby jej niekochany mąż ukrywał przed nią nieszczęsną dolę żołnierzy z powodu absurdalnego założenia, że kobiety nie powinno się narażać na więcej niż to konieczne, czy może po prostu tak mało obchodzili go jego ludzie, że nie przejmował się ich ciężkim losem?

— Zmartwiłem panią? — spytał John zaniepokojony jej milczeniem.

Rzeczywiście zasmucił ją, ale nie informacjami, dzięki którym życie

stawało się realniejsze, bardziej zrozumiałe. Oto nadeszła chwila, by oznajmić, że nie jest, jak sądził, wdową, a jednak Elizabeth odwzajemniła jego spojrzenie i powiedziała sobie, że te cztery tygodnie, teraz już tylko trzy

pół, są zbyt cenne, by je stracić.

— Nawet człowiek o najmniejszej wrażliwości byłby wstrząśnięty tak bezlitosnym traktowaniem istot ludzkich — powiedziała. — Martwi mnie to, bo nie mogę temu zapobiec. Jeśli panu nie udało się pomóc tym nieszczęsnym istotom, komu mogłoby się to powieść?

Potrząsnął głową. — Tylko komuś wpływowemu, kto miałby posłuch u małżonka królowej i wytrwale walczył aż do zwycięstwa.

— Albo walczyła — dodała w zamyśleniu Elizabeth. — Rząd i wojsko są w rękach mężczyzn. Jeśli rzeczywiście mają oni tak niepochlebne zdanie o żoł-

niierzach, jak pan mówi, jest mało prawdopodobne, by je zmienili pod wpływem jednego męskiego orędownika tej sprawy. Mamy kobietę na tronie. Może inna dama powinna zacząć głośno roztrząsać tę sprawę, która z pewnością zachęciłaby setki innych pań, aby wysyłały petycje do królowej, kiedy poznają prawdę. To przecież ich mężowie, bracia i synowie zaciągają się do wojska.

Przystanął i odwrócił się do niej z uśmiechem.

— Jakże pokrzepiające są te słowa! Powinna pani poznać lady Mason, żonę generała dowodzącego wszystkimi oddziałami w prowincji, w której służy mój pułk. Ta ekscentryczna dama nikogo się nie boi. Inne panie albo lękają się jej, jeśli zależy im na karierze mężów, albo — jeśli nie — wyśmiewają ją za jej plecami. Ciągłe angażuje generała Masona w projekty realizowane dla dobra prostego żołnierza, a on zmuszony jest bez końca udzielać oficjalnych wyjaśnień gubernatorowi, który nie życzy sobie, by kobiety zajmowały się sprawami wojskowymi. Jestem gotów przysiąc, że w niej znalazłaby pani zwolenniczkę własnych propozycji.

— Myślę, że nie. Gdyby tego pragnęła, już zaczęłaby działać.

— Przypuszczam, że zaczęła. Indie są daleko od Londynu. Korespondencja podróżuje w jedną stronę trzy lub cztery miesiące. Krzyk samotnego głosu w Pendżabie zmienia się w szept, zanim dosięgnie uszu Jej Wysokości, szczególnie jeśli jest to kobiecy głos. Królowa jest niewiastą, której doradza małżonek i ministrowie — mężczyźni. To oni są złoczyńcami, którzy nie chcą o niczym słyszeć.

— Co więc należy zrobić?

Westchnął. — Ci nieszczęśnicy będą źle traktowani, dopóki jakaś katastrofa nie pozbawi nas całej armii. Dopiero wtedy pojedynczy żołnierz stanie się tak cenny, że warto będzie wprowadzić szeroko zakrojone reformy.

— Bonaparte zdecydował się na nie dopiero, gdy było już za późno na zrealizowanie jego ambicji — skomentowała.

— I owszem. — Ujął jej dłoń i, uniósłszy ją wolno ku ustom, pocałował. Coś, co uchodziło za całkiem niewinny gest powitania między kobietą i mężczyzną, zyskało intymniejszy wymiar. Obydwoje byli tego świadomi, gdy mówili: — Czuję się zaszczycony, że mogę spacerować i rozmawiać z panią. Nie wiele znam kobiet, z którymi można poruszać tak szeroki zakres tematów. Pra-

wie żadna nie wykazuje zainteresowania sprawami wojska. Jest pani niemalże wyjątkiem, pani Delacourt.

Starła się odpowiedzieć mu lekko, by ukryć wrażenie, jakie wywarł na niej ten pocałunek.

— Jak lady Mason z Pendżabu?

— Nie, nawet w najmniejszym stopniu nie jak lady Mason — szepnął ciepło. — Ona ma pięćdziesiąt lat albo i więcej, a głowę, pozbawioną włosów przez wyniszczającą chorobę, przykrywa perukami w zatrważających kolorach. Jest nieskromna i uwielbia cygara. Pani ma klasę.

Czując zbliżające się niebezpieczeństwo, Elizabeth znalazła w sobie dość siły woli, by je oddalić. Odwracając się szybko, rzekła:

— Nie dbam co prawda o cygara, sir, ale mam słabość do spożywania śniadania po rannej przejażdżce. Lavinia już je pewnie przygotowała. Czy może mi pan dosiąść konia?

W milczeniu spełnił jej życzenie, po czym sam wsiadł na Kaspra, by towarzyszyć jej aż do zagajnika. Tutaj Elizabeth spojrzała na jego zmartwioną twarz i powiedziała:

— Nie ma potrzeby, by jechał pan ze mną dalej. Będę całkowicie bezpieczna.

— Jak sobie pani życzy — odparł ze smutkiem. — Zająłem pani mnóstwo czasu, ale ufam, że zdecyduje się tu pani ponownie przyjechać jutro o ósmej. Jeśli woli pani być sama, mogę zażywać ruchu gdzie indziej.

Jej siła woli nikła w oczach, kiedy mówiła:

— Ależ nie. Wellford należy do pana. Ja wkraczam tu bezprawnie.

— Przyjedzie pani? Pozwoli sobie pani towarzyszyć? — spytał nagłoco.

— Może padać — odparła, używając tej samej, słabej wymówki.

— A jeśli nie będzie padało?

— To przyjadę — odpowiedziała i odjechała przez zagajnik, modląc się, by deszcz nie pojawił się do końca miesiąca.

Mając dwa tygodnie, by zdecydować, czy przedsięwzięcie zaaranżowaną już podróż, czy zlikwiduje rezerwację i podejmie kroki, by sprzedać swój pa-



tent, John ciągle nie był pewien, co należy zrobić. Nie było wątpliwości, że jest nieodwracalnie zakochany w Elizabeth Delacourt. Wierzył szczerze, że ona odwzajemnia jego uczucia. Jego największym wrogiem był czas, ale i zachowanie samej damy nie pozwalało mu podjąć decyzji. Raz mówiła, jak wspaniałe byłoby Wellford, gdyby o nie odpowiednio zadbano, co sugerowało, że w roli żony dziedzica czułaby się najbardziej zadowolona, a kiedy indziej z takim entuzjazmem wyrażała gorące życzenie doświadczenia Indii, że wydawało mu się, iż tylko tam znalazłaby z nim szczęście. Z tej przyczyny umyślnie wspominał o niebezpieczeństwach, chorobach i obezwładniającym upale. Opowiadał o ciemnych stronach wojskowego życia, samotności służby w oddalonych fortach i długich, wyczerpujących marszach, które trzeba było podejmować, by do nich dotrzeć. Przedstawił jej w szczegółach okrucieństwa i uroki życia w indyjskim mieście. Ku jego ogromnej radości zareagowała na to żywym zainteresowaniem, z inteligencją, która powiedziała mu, że Elizabeth wzbogaciłaby jego życie bardziej nawet niż dająca mu uczucie złudnego spełnienia Clare. Pewien lojalności tej dziewczyny, jak nigdy nie był jej pewien u swej zaginionej żony, John pragnął tylko zdecydować, jak najlepiej zachować się w tej delikatnej sytuacji.

Ta ciemnowłosa, pełna uczucia wdowa, która tak niespodziewanie i późno wkroczyła w jego życie, wyraźnie dawała mu znać, że do niego należy, lecz ilekroć usiłował wspomnieć o głębi uczucia, które do niej żywi, umykała mu, Nie była kokietką i z pewnością nic nie wskazywało na to, że wciąż opłakuje swego męża, John mógł więc tylko przypuszczać, że miała jakieś niezwykle ciężkie doświadczenia z mężczyznami.

Każdego ranka odbywali wspólnie przejażdżkę; przez trzy popołudnia pozwoliła mu — w towarzystwie Gilesa i Roseanne, którzy przybyli z Norfolk, by zacząć odnawiać dom — zawieźć się w zakątki słynące w okolicy z urody, a tego wieczora, wraz z panną Mount, która najpewniej była jej dawną guwernantką, jadła kolację w Wellford z jego kuzynostwem. Za każdym razem starał się, by spędzili chwilę na osobności i mogli swobodniej rozmawiać. Elizabeth mówiła o swej anglo-francuskiej rodzinie, samotnym dzieciństwie, wyrażała także głębokie zainteresowanie innymi tematami.

John domyślał się, że wydano ją w młodym wieku za starszego mieszkańca kolonii, pragnącego syna, który zapewniłby kontynuację rodu. Często zdarzało się, że dziecko wprost ze szkolnej ławy zastępowało niepłodną pierwszą żonę. Niejednokrotnie zamożni mężczyźni o wysokiej pozycji towarzyskiej byli tak zajęci pogonią za wielkością, że dopiero skrzywienie w stawach przypominało

im o obowiązkach wobec rodziny i dziedzictwa. Ich rówieśnice były już zbyt stare, by rodzić dzieci, do roli klaczy rozplodowych wybierano więc młode dziewczęta. Damy te były często brutalnie traktowane przez nieczułych mężów i potem do końca już nie dowierzały mężczyznom. Myśl, że jego śliczna, żywa, pełna współczucia Elizabeth mogła cierpieć przemoc z rąk starego człowieka, pragnącego spłodzić sobie podobnego potomka, napelniała Johna gniewem. Powstawał też problem, jak w ciągu dwóch tygodni, które im jeszcze zostały, zdobyć jej zaufanie.

Do późna leżał nie śpiąc, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie. Giles prawdopodobnie byłby gotów podrzeć akt sprzedaży, gdyby Elizabeth naprawdę chciała zamieszkać w Wellford. Jednak wartość jego patentu była zbyt niska, by starczyła na odnowienie dworu. Lepiej byłoby kupić mniejszy dom i skromniejsze włości, w których mógłby hodować konie. Czy wystarczyłoby ofiarować jej to w miejsce rezydencji i dużej, lecz zniszczonej posiadłości? Rzucając się niespokojnie, powiedział sobie, że ta dziewczyna nie pragnęłaby dóbr i pozycji w towarzystwie. Bardziej ceniłaby sobie głębokie, trwałe uczucie. Mógłby żyć z połowy pensji i przedłużyć urlop, by oddać się konwencjonalnym zalotom, ale to jeszcze bardziej skomplikowałoby sytuację. Nie mógł ani przebywać w sprzedanym kuzynowi domu i zachowywać się jak jego właściciel, ani zabawić Elizabeth w miejscowej karczmie. Dwa tygodnie to absurdalnie krótki czas, by przekonać damę, żeby związała się z nim na resztę życia, ale gdyby mu się to udało, mogliby się pobrać w dzień odpłynięcia statku albo nawet na pełnym morzu. Większość kobiet wolałaby prawdopodobnie przyjechać do niego później, tłumacząc to potrzebą zabrania ze sobą różnych rzeczy, ale on uczyni noc ich ślubu tak niezapomnianą, że Elizabeth nie będzie chciała się z nim rozstać nawet na jeden dzień. Nim nadszedł ranek, John zdecydował się posunąć sprawy naprzód, ryzykując, że ją odstraszy. Jeśli zrobi to czule i we właściwym momencie, ona z pewnością zareaguje tak, jak tego pragnął.

Los zrządził inaczej. O świcie rozszalała się burza tak straszna, że ani człowiek, ani zwierzę nie było na dworze bezpieczne. Nad Wellford przeszedł huragan, który powalił zagajnik i inne drzewa w całym okręgu, porywał jagnięta z odsłoniętych stoków wzgórz, by odrzucić je o milę lub jeszcze dalej od matek, i zebrał obfite żniwo wśród budynków w wiosce i okolicach. Rzeka wezbrała po ulewnych opadach i wystąpiła z brzegów, zalewając łąki i młode zboża zieleniejące już na polach wielu farm.

Zerwany dach południowego skrzydła Wellford Manor został uniesiony przez wiatr i rozbity w kawałki na otaczającym rezydencję tarasie. Oberwanie

chmury zniszczyło umeblowanie wydanych w ten sposób na pastwę żywiołów pokoi i wilgoć zaczęła przenikać do komnat znajdujących się piętro niżej.

John miał pełne ręce roboty, pomagając kuzynostwu ochronić wszystko, jak tylko się dało, przed szalejącą burzą, ale wciąż zamartwiał się o bezpieczeństwo mieszkańek Domu Pod Orzechem. Nie było żadnej możliwości dowiedzenia się czegokolwiek o ich losie, gdyż wiodąca przez zagajnik ścieżka przestała istnieć, a drogę do wioski zablokowały dwa ogromne powalone dęby. Mimo to John był zdecydowany przedrzeć się do Elizabeth. Akurat wtedy jeden z kuchcików znalazł ciało starego, głównego stajennego przy ścianie, o którą został roztrzaskany przez wiatr, kiedy próbował dostać się do wozowni. Stało się jasne, że nikt nie oprze się sile wichru i John musiał spróbować okiełznać swój strach, dopóki huragan nie ucichnie.

Burza trwała przez całe trzy dni, by wreszcie odejść w stronę wybrzeża i wyszaleć się nad morzem. Zniszczenia, które po sobie pozostawiła, były tak wielkie, że nawet najstarsi mieszkańcy Wellford jeszcze czegoś takiego nie widzieli. Czwartego ranka John wyruszył do Elizabeth na piechotę wiedząc, że nigdy nie dotarłby do niej na Kasprze. Wszystko, na co spojrział, leżało w ruinie. Ogromne drzewa stojące po dwieście i więcej lat zostały w jednej chwili wyrwane z ziemi i ukazywały teraz korzenie grube jak ludzkie ramię. Pola zostały zalane, zasiewy zniszczone. Droga, którą się mozolnie posuwał, zmieniała się w morze błota, w którym grzęzły mu buty. Im więcej widział, tym bardziej rosły jego obawy. Przez trzy dni truchlał ze strachu, przez trzy dni tęsknił za jej widokiem, dźwiękiem głosu, radością płonącej w jej oczach miłości, której nie potrafiła skryć. A jeśli jest ranna lub przytrafiło jej się coś jeszcze gorszego? Mimo przeszkód podążał do niej gnany niepokojem. Blokujące drogę dęby stanowiły trudne wyzwanie.

Forsując je, rozdarł rękaw i pociął dłonie ostrymi gałązkami. Raz stracił równowagę i ześlizgnął się, o mały włos unikając oślepienia przez wystającą, ostrą jak igła drzazgę. W końcu, w podartym ubraniu, schlapany błotem, bez tchu dotarł do kościoła, skąd było już widać dom panny Mount. Prócz złamanego orzechowca, od którego ten przybytek wziął swoją nazwę, nie widać było innych zniszczeń.

Przyspieszając kroku, jak tylko mógł, ślizgając się i potykając na mule pokrywającym bruk, dotarł do bramy. Tutaj jego oczom ukazała się warstwa szlamu, ślad ustępującej powodzi, rozciągająca się aż do drzwi wejściowych, a może i do wnętrza domu! Dwie kobiety same tutaj podczas godzin ciemności,

kiedy huragan niszczył do szczętu całą wioskę! Jakież musiały być przerażone! Dotarłszy do drzwi osłoniętych ocieniającym je łukiem, mocno zastukał kołatką, aby nieco się uspokoić. Otworzyła mu szczupłą, ubrana w czepek i fartuszek dziewczyna o czerwonej twarzy i wpatrzyła się w niego szeroko otwartymi oczami.

— Chciałbym zobaczyć się z panią Delacourt — poinformował ją szorstko zauważywszy, jak bardzo zanieczyszczony jest kwadratowy, wyłożony kamiennymi płytami hall.

— Kogo mam zaanonsować, sir? — spytała dziewczyna, wciąż wlepiając w niego oczy.

— Proszę mnie nie anonsować. Nie ma czasu na towarzyskie drobiazgi. Proszę zaraz mnie do niej zaprowadzić.

— Nie wiem, czy powinnam, sir.

John wszedł do środka i, poczuwszy zapach wilgoci zostawiony przez powódź, odwrócił się z nową energią.

— Gdzie ona jest?

Służąca wskazała na znajdujące się przed nimi zatrzaśnięte drzwi. Nie chcąc bez zapowiedzi zaskakiwać dwóch kobiet, zapukał, ale nie wahał się dłużej, kiedy głos Elizabeth spytał:

— Tak? O co chodzi?

Nie dostrzegł wcale wyglądu salonu wypełnionego kolekcją ulubionych przez stare panny bibelotów. Jego spojrzenie padło na dziewczynę, którą kochał. Elizabeth, ubrana w zdobną w falbanki podomkę zakrywającą niemal w całości jej niebieską batystową sukienkę, z włosami zebranymi na czubku głowy w duży kok, z którego wymykały się ich kosmyki, zajęta była ścieraniem wody z podłogowych płyt w rogu pokoju. Mimo energicznych ruchów miała bladą twarz. Podniósłszy wzrok, by zobaczyć, kto idzie, zbieleła jeszcze bardziej i znieruchomiała. Trzy dni, w czasie których był od niej odcięty, w sytuacji kiedy tak cenny wydawał się czas, zdawały się Johnowi wiecznością, więc natychmiast zapomniał, że postanowił traktować ją z delikatnością i zrozumieniem, by zyskać jej zaufanie.

— Odchodziłem od zmysłów ze strachu o twoje bezpieczeństwo — rzekł ochryłym głosem.

W jej czystych, bursztynowych oczach malowało się nieomal bezgraniczne zdziwienie, wywołane jego pojawieniem się.

— A ja ze strachu o twoje — szepnęła.

Okrążywszy stół, podszedł do niej i ujawszy jej dłonie, odkrył, że drżą. Nie panując nad sobą otoczył ją ramionami i pochylił się, by pocałować ją z żarem pełnym namiętności, ulgi i bezgranicznego oddania. Odpowiedziała z taką samą żarliwością, która czyniła jego przypuszczenia, że mąż był dla niej okrutny, bezsensownymi. Zrozumiał, że była kobietą zdolną do gorącej namiętności. Czyżby została pozbawiona możliwości okazywania jej? Przynaglony tą myślą pieścił Elizabeth, aż na jej policzkach pojawiły się łzy. Wtedy dopiero zdał sobie sprawę, co robi, i z ociąganiem odsunął ją od siebie.

— Przyszedłem, by dodać ci sił, a nie doprowadzić do płaczu, ukochana, ale minione dni były tak puste i wydawały się nie mieć końca! Tęskniłem do twego uśmiechu, głosu, bystrości, do siły, która sprawia, że oczarowuje mnie każdy twój czyn. Już pierwszego dnia pomyślałem, że mógłbym się w tobie zakochać. Teraz wiem, że bez ciebie moje życie nie będzie miało sensu. Zarezerwowałem rejs na koniec miesiąca, ale mogę go przesunąć...

Dolatujący zza drzwi głos ostrzegł ich, że za chwilę ktoś im przeszkodzi. John zaklął cicho, kiedy Elizabeth wysunęła się z jego ramion zaledwie na moment przed otwarciem się drzwi.

— To pan, rotmistrzu Stavenham! — wykrzyknęła panna Mount wchodząc. — Czy droga jest już otwarta?

John odwrócił się, zmieszany przerwaniem jego wybuchu uczuć, by ujrzeć starszą damę, również odzianą w podomkę i z ukrytymi pod czepkiem lokami.

— Nie, proszę pani, obawiam się, że będzie zamknięta przez kilka dni — odrzekł zbierając z wysiłkiem myśli. — Te dęby mają co najmniej dziesięć stóp obwodu. Trudno będzie je przepiłować i odsunąć. Przyszedłem pieszo... natykając się na rozmaite przeszkody, jak może pani wywnioskować ze stanu, w jakim się znajduję.

— Mój Boże, jak to miło z pana strony narażać się na to wszystko, by nas odwiedzić i służyć pomocą — odrzekła, spojrzawszy na jego podarty żakiet i zranione dłonie. — Czy rezydencja bardzo ucierpiała?

— Nie bardziej, niż można się było spodziewać po budynku, któremu pozwolono niszczyć — odparł z goryczą. — Prawdziwą tragedią jest natomiast



śmierć Robsona, który prawie przez całe życie służył mej rodzinie. Był biedak zbyt wąty, by oprzeć się sile takiego huraganu.

— Jeszcze jedna śmierć? To potworne! — panna Mount usiadła ciężko na krześle, ze smutkiem potrząsając głową. — Kowal został zgnieciony w czasie snu, kiedy na pokój runął wielki kasztanowiec ocieniający jego dom. Pani Hampton przeżyła z tego powodu załamanie nerwowe. Doktor Bodley codziennie jej dogląda. No i jeszcze najmłodsze dziecko Cleggów wybiegło przestraszone z domu i od tego czasu nikt go nie widział. — Rzuciwszy Johnowi oszłomione spojrzenie, dodała: — Marta Tildsworth powiedziała mi przed chwilą, że niektóre z owiec farmera Doyce'a przebyły w powietrzu aż pięć mil, więc biedna dziewczynka jest teraz pewnie bardzo daleko i zapewne w bardzo złym stanie.

John, głęboko świadom, jak nieruchoma i cicha pozostaje Elizabeth, przywołał na usta kojący uśmiech i powiedział:

— Przesada, proszę mi wierzyć, droga pani. Jestem pewien, że dziecko znalazło schronienie gdzieś w pobliżu i zostanie odnalezione. Ale widzę, że panie również ucierpiały. Kiedy opadła woda?

Gdy odwrócił się, by zadać to pytanie dziewczynie, którą niedawno trzymał w ramionach, zmartwił go tchnący z jej postaci głęboki smutek. Panna Mount wypełniła ciszę odpowiedzią, której John nie słyszał. Nie mógł sobie przypomnieć, ile zdążył powiedzieć Elizabeth, zanim im przerwano. Z pewnością poinformował ją, że ma zarezerwowany przejazd. Czy przeszkodzono mu dodać, że może przesunąć rejs tak, by mieli czas zdecydować o wspólnej przyszłości? Niemożliwe, by sądziła, że jednym tchem wyznałby jej miłość i oznajmił, że powraca sam do Indii, czemu więc była tak zmartwiona?

Dalsze rozmyślenia, a może i czyny, uniemożliwiło mu przybycie pana Noble, proboszcza Wellford, który odsunawszy pokojówkę wkroczył do salonu z pilnym posłaniem. Ten szczupły, sześćdziesięcioletni mężczyzna niewiele osiągnął w swej profesji, ale długie lata służby w kościele świętego Barnaby uczyniły go tak drogim sercom parafian, że samo to stanowiło wystarczającą nagrodę dla lubiącego wiejskie życie człowieka. Dzisiaj niezmiernie pracowicie wypełniał swe obowiązki. Obrzucając salon niespokojnym spojrzeniem, rzekł:

— Niech mi panie wybaczą to nieprzystojne wtargnięcie, ale Ethel Thompkins powiedziała mi, że widziała rotmistrza Stavenhama wchodzącego

do waszego domu. To jego szukam. — Odwracając się do Johna, spytał: — Pójdiesz ze mną? Pani Monk pośliznęła się na pokrywającym podłogę szlamie i ściągnęła na siebie kredens. Krzyczy biedaczka, nie wiadomo z bólu czy ze strachu, a ja sam nie potrafię podnieść tego mebla. Większość mężczyzn uczestniczy w próbach odblokowania drogi. Pozostali są równie słabi jak ja. Spadłeś mi z nieba, John.

Stavenham nie miał innego wyboru, tylko iść z proboszczem, który znał go od dziecka. Współczując ofierze i jednocześnie przeklinając w myślach jej niefortunny wypadek, powiedział patrząc wprost na Elizabeth:

— Wrócę najszybciej, jak będzie można.

— Obydwaj panowie musicie wrócić, kiedy tylko uwolnicie biedną panią Monk — oznajmiła Lavinia. — Przygotujemy dla was herbatę i placuszki z cze-reśniami.

Po urokach Domu Pod Orzechem mieszkanie pani Monk wydawało się ponure i brzydkie. John dotarł tam przed proboszczem i szybko podniósł kredens, uwalniając rozhisteryzowaną kobietę. Zanim pan Noble przybył, by zady-szanym głosem wyrazić podziękowania i spróbować uspokoić ofiarę, John wysłał Cissie Monk po lekarza.

— Dobrze nieba, musisz być potwornie silny, żeby bez pomocy podnieść tak ciężki mebel — dziwił się jego zasapany towarzysz, między uwagami skierowanymi do damy, która jeszcze przed chwilą była uwięziona pod kredensem.

— To dzięki życiu, jakie prowadzę — odparł krótko John, czekając niecierpliwie na powrót do Elizabeth. — Służba wojskowa w Indiach stwarza człowieka lub go niszczy.

— Tak też słyszałem. A otóż i doktor Bodley, jeśli mnie oczy nie mylą.

Minęło dziesięć minut, zanim sprawdzono, czy kończyny pani Monk

nie są połamane i podano jej bromek. John z doktorem pomogli później chwiejącej się na nogach pacjentce dotrzeć do jej łóżka w obskurnym i dość nieprzyjemnie woniejącym pokoju na piętrze. Przez następne, ciągnące się w nieskończoność dziesięć minut, John wysłuchiwał niecierpliwie, jak lekarz podaje Cissie Monk instrukcje dotyczące opieki nad jej matką. Potem doktor zaczął z panem Noble rozmowę o organizacji pochówku kowala, co jeszcze bardziej oddaliło chwilę odejścia. Towarzysz Johna zreflektował się dopiero, gdy ten po raz drugi, niezwykle uważnie spojrzął na zegarek.

— Obawiam się, że marnuję czas rotmistrza Stavenhama, a ma on go tak niewiele — powiedział proboszcz. — Chociaż pozostało mu wiele do zrobienia przed powrotem do Indii, był tak dobry, że przedarł się tu z Wellford Manor, by w miarę swych sił pomóc mieszkańcom wioski. Nie powinniśmy zatrzymywać go dłużej sprawami, które możemy omówić później.

John, zmuszony poruszać się tak wolno, jak jego starszy towarzysz, szedł obok niego walcząc z chęcią przyspieszenia kroku.

— Wspomniałeś przed chwilą, John, że życie w Indiach stwarza człowieka lub go niszczy — odezwał się proboszcz. — Nie wyglądasz, jakby ciebie ono złamało i rzucasz swe dziedzictwo, by wrócić do tego kraju, mogę więc przypuszczać, że nieszczęśliwy chłopiec i młodzieniec, którego znałem, odnalazł swą życiową drogę.

— Nie czuję nostalgii do Wellford — wyznał John. — Mój kuzyn i jego żona będą doskonale wspierać wioskę i okolice. Giles jest rozmiłowanym w nauce człowiekiem, niezmiernie zainteresowanym historią rolniczego Sussex. Jego małżonka trzyma sześcioro ich dzieci w ryzach, obdarzając je przy tym głęboką miłością, nie wątpię więc, że posiadłość stanie się jednym z najszcześniejszych miejsc w okolicy. — Westchnął. — Po trzydziestu latach wiodących do upadku rządów Stavenhamów ludzie zyskają wreszcie dziedzica, z którego będą mogli być dumni.

— I z ciebie byliby dumni, gdybyś zdecydował się zostać.

John uśmiechnął się.

— Właśnie pan zauważył, że znalazłem właściwą drogę w życiu.

— Owszem — proboszcz skinął głową. — Tego najwyraźniej pragniesz, ale czy nie jesteś nieco samotny, mój chłopcze? Chrzciłem cię i mam na tyle dobrą pamięć, by wiedzieć, że było to całe trzydzieści lat temu. Próbowałem... próbowałem cię do tego skłonić, kiedy wróciłeś i miałem nadzieję... cóż, wszyscy mieliśmy nadzieję, że to zrobisz.

Wiedząc doskonale, co ma na myśli, John spytał jednak:

— Czego pan i wszyscy inni oczekiwaliście?

Pan Noble spojrział na niego otwarcie, chociaż jego szczupła twarz pokryła się z powodu niezręczności sytuacji bladym rumieńcem. — Że weźmiesz sobie żonę, rzecz jasna. Z pewnością mogłeś wybierać spośród najodpowiedniejszych

i najbardziej uroczych dam z okolicy i codziennie miałem nadzieję, że przyjdiesz do mnie prosić o zaaranżowanie formalności ślubnych przed upływem miesiąca. Czemu tego nie robisz, John? Chyba nie przez tę tragiczną sprawę z przeszłości? Jesteś zbyt młody, by samotnie spędzić resztę życia. Dobra żona jest osłoda i radością, że nie wspomnę o szczęściu, jakie niosą ze sobą dzieci. Twój brat nie wykonał swej powinności, ale ty masz okazję odrobić jego nierozwagę, płodząc synów, by zapewnić ciągłość rodu.

Po pełnej wahania chwili John zdecydował, że tego ranka Opatrzność daje mu okazję rozwiązania jego kłopotu. Nie żywiąc już, po reakcji Elizabeth na jego wyznanie głębokiego oddania, wątpliwości co do jej uczuć, może wkrótce oświadczyć się, będąc pewny, że pobiorą się przed wspólnym rejssem.

— Czy starczyłoby jeszcze czasu na zorganizowanie ceremonii? Trzydziestego wyjeżdżam do Southampton. Zostaje tylko trzynaście dni.

Proboszcz zatrzymał się, a jego rumieniec stał się o ton ciemniejszy.

— Chcesz się żenić... dokonałeś wyboru... mój Boże, wszyscy myśleli już, że to stracona sprawa! Trzynaście dni, tak? Zazwyczaj wymaga się... ale w takiej sytuacji niewątpliwie da się to zorganizować. Tak, tak! — wykrzykiwał zaskoczony. — To się da załatwić, ale... ale czemuż to tak długo zwlekałeś z decyzją?

John zaśmiał się cicho. — Wręcz przeciwnie, to jedna z najszybciej przeze mnie podjętych decyzji. Spotkałem tę damę zaledwie dwa tygodnie temu.

— Dwa tygodnie? Dobrze nieba, to rzeczywiście niedawno, mój chłopcze. Jesteś całkiem pewien tej decyzji?

— Całkowicie — odparł John, rozbawiony nieco nagłą zmianą podejścia starego duchownego.

— Kim ona jest?

— To dama, która właśnie czeka na nas z herbatą i placuszkami czereśniowymi, sir.

— Herbatą i placusz... — zaczął cicho. — Myślisz o... chcesz pojąć za żonę pannę... pannę Mount?!

John, i tak już rozbawiony, wybuchnął wesołym śmiechem.

— Obawiam się, że panna Mount za żadną cenę nie chciałaby Stavenhama. Mówię oczywiście o pani Delacourt.

Pan Noble wpatrywał się w rotmistrza, najwyraźniej nie dzieląc jego rozradowania.

— Nie rozumiem.

— Myślę, że już w czasie pierwszego spotkania obydwójce wiedzieliśmy, że do tego dojdzie, ale mieliśmy zbyt mało czasu. Ta burza skradła nam trzy niezwykle cenne dni, więc proszę o jak najszybsze zorganizowanie ceremonii. Biorąc pod uwagę status Elizebeth myślę, że będzie to bardzo cicha uroczystość.

Zaległa dziwna cisza, a pan Noble miał coraz bardziej zakłopotany wyraz twarzy. Potem powiedział:

— Wiem, że nie należysz do ludzi, którzy żartowaliby sobie ze sprawy tak świętej jak małżeństwo, ale jak możesz poślubić kobietę, która jest już mężatką?

— Jest wdową, sir.

Duchowny potrząsnął głową. — Pan Delacourt przebywa z pułkiem kawalerii w Kalkucie.

— Zginął ponad rok temu — odrzekł John, zdając sobie sprawę, że nie był to, jak sobie wyobrażał, stary, brutalny mąż.

— Żyje i ma się dobrze.

— Ma pan przestarzałe wiadomości. Na pewno — upierał się John, czując się tak, jakby otaczające ich ruiny miały go za chwilę udusić.

Dobrotliwa twarz nie pojmującego nic proboszcza zmarszczyła się.

— Całe Wellford wiedziało, że zabawiasz panią Delacourt, John, ale sądzono, że znasz jej męża i obiecałeś odwiedzić tę damę, gdy będziesz w Anglii. Często się to zdarza, gdy mężowie, wojskowi, spędzają długie lata za granicą. Skąd wziął się pomysł... co podsycało nadzieję, że... jak doszedłeś do tej decyzji w tak krótkim czasie? Wierz mi, ta dama nie może cię poślubić.

Jego słowa zginęły w grzmiącym chórze głosów szepczących Johnowi do ucha coś, w co nie mógł uwierzyć. Ale wiedział, że musi. Pan Noble był uczciwym, poważanym człowiekiem i to, co mówił, musiało być prawdą. Elizabeth



Delacourt dopiero od dwóch i pół tygodnia stała się częścią jego życia, a jednak bezmyślnie uwierzył, w co chciała. Gromkie głosy stały się jeszcze donośniej-  
sze, jeszcze bardziej szydercze. Odwrócił się i odszedł od rozdzierających du-  
szą słów, zostawił za sobą wioskę i dziewczynę, która dała mu obietnicę zyska-  
nia tych intymnych więzów, które umykały mu przez całe życie. Szedł aż do  
utruty sił, nękany atakami tego kpiącego chóru, poprzez zalane wodą łąki, przez  
ziemię pokrytą gąszczem wyrwanych drzew. Wciąż był w nim gniew, uczucie  
gorzkiego upokorzenia, zmuszał więc swe wyczerpane ciało do jeszcze więk-  
szego wysiłku, aż padł.

Lavinia z pewnością nigdy jeszcze nie szczebiotała tak nieprzerwanie, jak  
teraz, gdy wycierała podłogę wokół stołu czekając, aż mężczyźni wrócą na her-  
batę.

— Mam szczerą nadzieję, że pani Monk nie jest poważnie ranna. Jakże oni  
zdejmą z niej ten kredens? Widziałam go wiele razy i myślę, że waży kilka ton.  
Jakie to szczęście, że rotmistrz Stavenham znalazł się tu w chwili potrzeby. To  
niezmiernie miło z jego strony, że przebył tę uciążliwą drogę z rezydencji, by  
ofiarować swoją pomoc. Prawdziwy gentleman! Miałaś całkowitą rację, moja  
droga. W najmniejszym stopniu nie przypomina Sir Francisa czy pana Thoma-  
sa. Jaka szkoda, że nie zamierza zostać w Wellford! Miejmy nadzieję, że pan  
Selworthy okaże się odpowiednim zastępcą prawowitego dziedzica. Jego żona  
wydaje się być wyjątkowo miła, choć nieco flejtuchowata, no i jakże będzie cu-  
downie, gdy zamiast złowieszczych dźwięków dom wypełni dziecięcy śmiech!

Trajkotała bez przerwy, wycierając podłogę, tak że Elizabeth o mało nie  
wyszła szukać spokoju w ogrodzie. Jej myśli znajdowały się teraz w większym  
nieładzie niż wioska. Te trzy dni, trzy burzliwe dni, w czasie których drżała o  
własne i jego bezpieczeństwo, posiały zamęt w jej uczuciach. Kiedy pojawił się  
tak niespodziewanie, w pomiętym ubraniu, spragniony jej, instynktownie od-  
wzajemniła jego namiętność. W ramionach Johna zapomniała o wszystkim  
prócz tej miłości, która tak szybko ogarnęła ją, jej ciało, umysł, duszę. Ściskając  
szczotkę aż do bólu uświadomiła sobie, że nadszedł czas zapłaty za chwilę sła-  
bości. Wiedząc od początku, że i on został schwytyany w sieć tego nieszczęsne-  
go uczucia, liczyła w swej głupocie, że uratuje ją czas. Potem było jej to już  
obojętne. Dni spędzone z nim były zbyt cenne, godziny zbyt oszalamiające, mi-  
nuty zbyt radosne, by stać ją było na zdrowy rozsądek. John rozciągnął nad sza-  
rością jej życia cudowną tęczę, a jej miłość, jak owa tęcza, nie miała końca.  
Gdzieś tam, jak na krańcu każdego wielobarwnego łuku, musiał czekać jednak  
garniec złota. Jeśli w ogóle przez ostatnie dni myślała o przyszłości, to jawiła

jej się ona w postaci tego dalekiego skarbu: nie był widoczny, ale kiedyś z pewnością miał jej się dostać.

Burza zniszczyła tęczę i Elizabeth stanęła znów twarzą w twarz z szarą rzeczywistością. Jak w ogóle mogła myśleć, że John wróci do Indii, nie biorąc pod uwagę sytuacji, której teraz musiała stawić czoło? Co powinna zrobić, gdy on tu już wkrótce powróci? Dobrze nieba, jakże mogła tak szybko i chętnie stracić poczucie odpowiedzialności? Jak mogła coś takiego im obojgu zrobić? Nawiązała się między nimi rzadka, cenna więź, jaką niewiele osób ma okazję się cieszyć. Czyżby wierzyła, że pomoże jej to przejść przez czekające ją ponure lata, że lepiej jest zaznać doskonałej harmonii na krótko niż wcale? Jakże się pomyliła! To przeżycie zgnębi ją, a nie pomoże, bo znów musi zadać ból człowiekowi, który dosyć już wycierpiał przez miłość.

Serce zabiło jej jak szalone na odgłos kroków rozbrzmiewających w wyłożonym kamiennymi płytami hallu, ale do pokoju wszedł tylko pan Noble i to z miną tak ponurą, że Lavinia natychmiast doszła do wniosku, że pani Monk wyzionała ducha przygnieciona własnym kredensem.

— Nic podobnego — zapewnił ją proboszcz z roztargnieniem. — Jest tylko posiniaczona i wstrząśnięta wypadkiem. John miał tyle przytomności umysłu, by od razu posłać po doktora Bodleya. Jutro będzie już na nogach.

— A gdzie jest rotmistrz Stavenham? — spytała panna Mount rzucając szczotkę i ruszając w stronę kuchni. — Czy jeszcze gdzie indziej służy pomocą? Tak czy inaczej przyniosę dla niego filiżankę. Z pewnością wróci, zanim herbata będzie gotowa.

Kiedy jej odziana w podomkę postać zniknęła w przylegającym pokoju, Elizabeth ze szczotką w ręku podeszła do stołu.

— Gdzie jest rotmistrz Stavenham? — powtórzyła nagłym głosem.

— Odszedł, proszę pani — oświadczył oszołomiony proboszcz. — Bóg raczej wie gdzie. Szedł jak zaczarowany, przecinał zalane wodą łąki, jakby nie czuł, nie widział wody zalewającej mu buty... odszedł przerywając mi w środku zdania, jakby zapomniał o mojej obecności. — Okrążając stół, przygwoździł ją pełnym potępienia, lecz zaskoczonym spojrzeniem. — Znam Johna Stavenhama od urodzenia. Chrzcilem go. Zaniedbany przez tych, którzy powinni byli obdarzyć go uczuciem, wyrósł jednak na pełnego zalet mężczyznę. Ale jest też uparty, nie dowierza ludziom i łatwo wprawić go w gniew. Jego

największą wadą jest to, że niemalże nie jest w stanie przebaczyć tym, którzy zawiedli jego zaufanie.

Nie mogąc dłużej wytrzymać jego spojrzenia, Elizabeth usiadła i wpatrzyła się niewidzącymi oczyma w wypolerowany stół. — O czym rozmawialiście, gdy odszedł, sir? — spytała z wysiłkiem.

Odpowiedź poprzedziło długie, ciężkie westchnienie.

— John właśnie pytał mnie, czy uda się zorganizować ceremonię ślubną, zanim wyruszy w rejs. Kiedy odrzekłem, że owszem, i bolałem, że podjęcie decyzji zajęło mu tyle czasu, uśmiechnął się i odparł, że zdecydował się, gdy po raz pierwszy ujrzał swą wybrankę. — Po znaczącej chwili przerwy pan Noble dodał: — Wymienił panią jako przyszłą pannę młodą. Widzę po pani twarzy, że nie jest pani tym zaskoczona. Cóż pani powiedziała, czy zrobiła, że uwierzył, iż może pani wyjść za niego i zechce to zrobić w dwa tygodnie po pierwszym spotkaniu? Co pani planowała?

Spojrzała na niego załamana, niezdolna odeprzeć jego zarzuty. Obrona nie miała sensu. Nikt nie próbowałby organizować pospiesznego małżeństwa, gdyby nie został do tego zachęcony.

— Nieomal zniszczyła pani porządnego człowieka, pani Delacourt, że nie wspomnę o braku lojalności wobec pani męża. Rzadko zdarzało mi się widzieć tak zawiedziony wyraz twarzy jak oblicze Johna, gdy odchodził.

Próby, które podjęła Elizabeth, by dotrzeć do Johna, zawiodły. Ponieważ drogi były wciąż zablokowane, próbowała iść na przełaj, ale to, co dla upartego mężczyzny było ciężką próbą, okazało się niemożliwe do zrobienia dla kobiety w długiej, ciężkiej spódnicy. Oszałała, ze złamanym sercem, zmuszona była czekać, aż droga zostanie otwarta. Dało to Johnowi trzydzieści sześć godzin na wyjazd z wioski, w której prześladowały go nieszczęścia.

— Ja jestem winna temu, co się stało — oświadczyła płaczliwie panna Mount, kiedy Elizabeth powróciła z Wellford Manor z tą wiadomością.

— To moja wina, Lavinio — poprawiła ją smutno. — Milczałam, kiedy powinnam była mówić.

Jej towarzyszka podniosła wzrok znad chusteczki.

— Rozumiem doskonale, że w obliczu jego delikatnych kondolencji uznałaś sytuację za zbyt trudną. Każda kobieta mogłaby być na to narażona. Gdy-

bym tylko wiedziała, że uważa cię za wdowę, dostrzegłabym niebezpieczeństwo i bardziej stanowczo starałabym się zapobiec następnym spotkaniom. Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś, kochanie?

Elizabeth, ubrana wciąż w amazonkę, spojrzała na nią i zrobiła znużony ruch ręką. — Tyle razy już o tym mówiłyśmy.

— Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że...

Odwróciła się w uniesieniu.

— Nie, nie przyszło mi do głowy, Vinnie, bo samolubnie żyłam tylko chwilą obecną. Mówiłam ci to setki razy. — Ściskając znajdujący się za jej plecami parapet, powiedziała załamującym się głosem: — Kiedy wkroczył w me życie, zaczął wywierać na mnie tak przemożny wpływ, że nie miałam sił się opierać. Mam wrażenie, że te trzy krótkie dni dały mi radość na całe życie. Nasze dusze tak doskonale się rozumiały, że wszystko inne wydawało się nierzeczywiste, łatwe do wyrzucenia z pamięci. Nie mogłaś zapobiec dalszym spotkaniom. Dotarłabym do niego wbrew wszelkim radom.

Lavinia otarła oczy i powiedziała ze smutkiem:

— Nie zrobiłabyś tego kochanie, bo w czasie naszej pierwszej wizyty wspomniałabym, że twój mąż przebywa w Kalkucie i rotmistrz od razu zakończyłby ten romans. Można tylko głęboko żałować, że kilka moich uwag o panu Delacourt dotyczyło z konieczności czasu przeszłego i z tej przyczyny pogłębiło tylko nieporozumienie... ale muszę wyznać, że rzadko

nim myślę, gdyż odkąd wyjechał do Indii, nie odgrywa w twym życiu dużej roli. Łatwo jest mi zapomnieć o tym, co was łączy, tobie też, przypuszczam, przychodzi to bez trudu. — Westchnęła. — Ale to ja jestem winna. Ja! Wyraźnie rzucało się w oczy, że ten nieszczęśnik jest tobą oczarowany, że ty jesteś w jego towarzystwie tak ożywiona, szczęśliwa, promienna. Przyznaję, że nie działałam nic złego w waszych spotkaniach. Rotmistrz Stavenham jest człowiekiem honoru i sądziłam... Och, mój Boże, gdybym wiedziała, że uważa cię za wolną kobietę, to...

— Przestań, proszę — błagała Elizabeth. — Ja o tym wiedziałam

pragnęłam, by była to prawda. Rozmyślnie oboje was oszukałam. Ty mi przebaczyłaś. John nigdy tego nie robi. Gdybym choć raz mogła się z nim zobaczyć i wyjaśnić, czemu się tak zachowałam... ale on już do końca swych dni będzie miał o mnie jak najgorsze zdanie. — Podchodząc do fotela, dodała: —

Kiedy tu przyjechałam, byłam w rozpacz. Nie wyobrażasz sobie, jak żyje się z rodziną drobiazgowych krytyków bez wyobraźni, którzy potępiają każdy twój czyn, nie mają żadnego zrozumienia dla rzeczy nadających życiu barwę, smak, ożywienie i wysyłają do Indii comiesięczne raporty strażnikowi więzienia. Tak, Vinnie — powtórzyła z mocą — William jest strażnikiem mego więzienia. Ta złota obrączka na palcu wiąże mnie z nim, ogranicza mnie tak, jak kraty ograniczają więźnia. Jego nazwisko, które noszę, oznajmia całemu światu, że należę do niego, póki nie uwolni mnie śmierć. Dożywocie! — Elizabeth, zbyt niespokojna, by usiedzieć na miejscu, zerwała się i znów podeszła do okna, jakby szukając drogi ucieczki. — Sądzi się, moja droga, że małżeństwo jest wielką nadzieją każdej kobiety, ale jakże często zabija ono nadzieję! — Odwróciwszy się, by stanąć przed Lavinia, ciągnęła drżącym głosem: — Przebywając z Johnem, po raz pierwszy odkryłam prawdę o tym, dlaczego William tak mnie traktuje. Nie dlatego, że — jak twierdzi — jestem zbyt śmiała, niekonwencjonalna, zbyt zajęta książkami, że w towarzystwie wprawiam go w zakłopotanie i jestem mu przeszkodą w karierze, bo swym zachowaniem obrażam innych. Reakcja Johna uświadomiła mi, że moja rzekoma śmiałość to po prostu żywość umysłu, że przeciwstawianie się konwencjom może być wynikiem jasności myślenia, a wiedza wzbogacać stosunki między mężczyzną a kobietą. Jednym słowem, Vinnie, wprawiam Williama w zakłopotanie i przeszkadzam mu, bo zaćmiewam go w towarzystwie. Oto dlaczego zostawił mnie w Anglii, a Delacourto wie systematycznie starają się mnie ujarzmić. Wiedząc, że nie może albo nie chce zyskać mego dociekliwego, badawczego podejścia do życia, usunął mnie sobie z drogi na dziesięć lat. Czy dziwisz się, że znalazłszy doskonałego pod względem zrozumienia, intelektu, harmonii dusz partnera, tak szybko odrzuciłam wszelką myśl o związku, z którego William z taką łatwością zrezygnował? On nie nosi na palcu obrączki świadczącej, że należy do mnie, nie przyjął mego nazwiska, które obwieszczałoby światu o jego obowiązkach wobec Elizabeth de Rioches. Jest wolny, Vinnie, może żyć, jak chce, w tym kraju pełnym bogactw, które pragnę zobaczyć, a po których jego wzrok prześliźnie się nawet ich nie zauważając. Wolno mu przebywać, w jakim tylko zechce towarzystwie i flirtować jak każdy inny. Nikt go za to nie potępi. Będzie miał inne kobiety... tak, na pewno, Vinnie! Nie patrz na mnie tak potępiającym wzrokiem, bo zbyt dużo wiesz o miejscowych skandalach, by nie znać zwyczajów tych, którzy uważają się za gentlemanów. Będzie miał kochanki, a ludzie z towarzystwa będą patrzeć na to pobłażliwie, bo tego oczekuje się od mężczyzny przebywającego latami z dala od żony. — Zrobiwszy znów parę kroków do przodu, by wesprzeć się o stół, dodała porywczo: — Tak, pan Noble potępia mnie, jak zrobiłby to każdy



inny, kto by się o tym dowiedział, za to, że pozwoliłam się Johnowi aż tak kochać i czcić, że pragnął mnie poślubić. — Opadła w znużeniu na fotel i ukryła twarz w dłoniach. — Jedno małe oszustwo, wypływające z mej miłości i czci, które do niego żywie, sprawiło, że i John mnie potępia. Będzie myślał to, co myśli każdy mężczyzna, Vinnie, i również mnie potępi.

Przez chwilę ciszę zakłócało tylko tykanie zegara, aż wreszcie zabrzmiał cichy głos Lavinii:

— Teraz wiem, kogo należy winić za tę tragedię, moje biedactwo. Williama Delacourta.

Maj kończył się skąpany w powodzi słońca. W dzień, kiedy drugi, tym razem gorąco kochany przez Elizabeth mężczyzna, wyjeżdżał do Indii, zostawiając ją samą, żywioły powinny odzwierciedlać jej żal. Piękno dnia było dla niej jeszcze jedną karą. Rodzina Delacourtów nie mogła znaleźć nic złego w zachowaniu bladej, cichej, spokojnej dziewczyny, która dzień po dniu siedziała w ogrodzie pogrążona w myślach. Elizabeth, przyjmując, że żadna siła nie może zmienić ani ulżyć raniącym jej serce konsekwencjom pobytu w Wellford, musiała znów stawić czoło swej długiej, szarej przyszłości.

Dopiero gdy minął czerwiec i nadeszły lipcowe dni, zaczęła sobie zdawać sprawę, że został jeszcze łut nadziei. Miłość do Williama, jeśli w ogóle była to miłość, zbladła tuż po ślubie, ale kompromis pomógłby im uzyskać względne zadowolenie ze wspólnego życia. Jeśli jednoroczna nieobecność męża wystarczyła, by zapomnieć o wszelkiej lojalności wobec tego człowieka, którego ledwie mogła sobie przypomnieć, jakże powita go po dziesięciu latach, by do końca swych dni żyć szczęśliwie jako jego żona? Musi mu napisać o tym, jak bardzo jest nieszczęśliwa i błagać, by przeniósł się do pułku stacjonującego w Anglii. Jeśli użyje odpowiednio pokornego tonu, najbardziej przekonujących kobiecych zwrotów, William z pewnością nabierze przeświadczenia, że zmieniła się w żonę, jakiej pragnął. Tylko najbardziej nieludzki człowiek zignorowałby namiętną prośbę dalekiej partnerki. Nazwała swe małżeństwo dożywociem i musi odsiedzieć swą karę w jak najdogodniejszych warunkach.

Gdy miała już napisać list, któremu William nie mógłby się oprzeć, jej oko przyciągnęła krótka notatka w dzienniku, która niespodziewanie zmieniła jej plany. W rubryce towarzyskiej napisano, że major Lord Blayne przejmie spadek po zmarłym ostatnio szóstym baroncie, kiedy na jesieni, po dziesięciu latach pobytu w Indiach, powrócą do kraju Huzarzy Chetwynde's. Elizabeth, pełna wewnętrznego wzburzenia, uświadomiła sobie dwie rzeczy na raz. Po pierw-

sze, kiedy John przybędzie do Anglii, nietrudno będzie go spotkać na którejś z wojskowych uroczystości, co znacznie utrudniłoby jej trzymanie się decyzji usunięcia go ze swojego życia. Po drugie, skoro John opuszczał Indie, próby naprawienia jej małżeństwa miały większe szanse powodzenia, jeśli ona byłaby z mężem w tym odległym kraju. Bez rodziny Williama mogłaby naprawdę zacząć wszystko od nowa. On zostałby ze swoimi drogocennymi dragonami, a ona... ona zobaczyłaby tę ziemię, którą tak barwnie opisywał John, Ta emocjonalna więź była wszystkim, czemu mogła pozwolić przetrwać z tej miłości, która nadeszła zbyt późno i została tak tragicznie przerwana.

Delacourtowie byli przerażeni jej prośbą o pozwolenie na wyjazd do Kalkuty. Kiedy po tygodniu zażartych kłótni Elizabeth oświadczyła, że pójdzie zebrać na ulicę, jeśli nie dadzą jej pieniędzy, posłali po lekarza w przekonaniu, że traci rozum. Jednak ten wrażliwy człowiek stwierdził po rozmowie z pacjentką, że powinni jej pozwolić dołączyć do ich syna w Indiach. Wziąwszy Austina Delacourta na stronę, usprawiedliwił swe stanowisko, wyjaśniając przy użyciu terminów znanych hodowcy koni, że są okresy, w których klacz potrzebuje ogiera i jeśli jej się do niego nie dopuści, staje się dzika i nieposkromiona. Zachowanie Elizabeth doskonale to potwierdzało.

Z całą delikatnością, jakiej wymagała sprawa, pan Delacourt z mocą zaznaczył w rozmowie z małżonką, że ich piękna, żywa synowa będzie po trzydziestce, gdy ich drogi syn powróci z Indii. Czyż nie pragnęli wnuków? Czy William nie chciałby znaleźć następców w swych synach? Emily, cała w pąsach, zgodziła się, jak zawsze, z każdym jego słowem. Austin napisał do syna, informując go o swej decyzji i wykupił ze zwrotów przejazd na parowcu odpływającym pierwszego listopada, na którego pokładzie miał być również Cannon Hall z małżonką, starzy znajomi rodziny Emilii, mający opiekować się młodą mężatką. Odpowiedź Williama z oceną ich decyzji na pewno nie zdąży dojść przed spieszonym odjazdem Elizabeth, a niewiarygodny zapal dziewczyny by dołączyć do męża, wprawiał w zakłopotanie Delacourtów, pragnących powrotu tak cenionego przez nich spokoju. Kiedy zaczęły się przygotowania do podróży, wszyscy zamieszani w tę sprawę odetchnęli z ulgą.

Mimo ogromnego uporu Elizabeth powitała osiągnięcie celu swych życzeń z bólem serca. Indie znalazły się wreszcie w zasięgu jej ręki. John czuł, że w tym kraju czeka na niego przeznaczenie. To, co ją miało tam spotkać, będzie z pewnością bardziej satysfakcjonujące niż uwięzienie w towarzystwie rodziny Williama przez następne dziewięć lat.

John opierał się o barierkę wolno płynącego rzeką Hugli parowca. Niemalże nie dostrzegał brzegów porośniętych gęstą dżunglą, przeciętą gdzieś prowadzącymi do wody schodami i ustępującą otwartym terenom parkowym, zabudowanym atrakcyjnymi willami, stwarzającymi klimat elegancji, który miał odciągnąć uwagę podnieconych, tłoczących się pasażerów od zaśmieconej wody. Kiedy zza przystani wyłoniła się potężna sylweta Fort William, z niechęcią poczuł w nozdrzach znajomy odór portu. Niedługo znów postawi stopę na indyjskiej ziemi.

Nie był tym poruszony. Tydzień wystarczył, by pogodził się z faktem, że może liczyć jedynie na to, iż czas, nie odległość, złagodzi dziką, pulsującą złość, która zawładnęła nim od tego dnia w Sussex. Odszedł od burty, czując rozpacz przeszywającą go jak ostrze szabli. Odkąd zniknęła Clare, znał wiele kobiet. Powinien być na tyle mądry, by poznać, kim jest Eliabeth Delacourt, a jednak nie miał więcej rozumu niż łatwowierny młodzik. Sam, wraz z innymi oficerami, drwił z niejednego niedoświadczzonego podchorążego, którego jakaś śmiała kobieta upokorzyła w ten właśnie sposób, i raczył go zwykłymi, niewybrednymi żartami w nadziei, że zmądrzeje. Co powiedzieliby jego koledzy na szaleństwo wieku dojrzałego? Jego pokutą była niemożność uwolnienia się od myśli o Elizabeth. Gorące noce w kabinie pełne były prześladowających go wizji czarnych loków otaczających pełną głębokiego czaru i życia twarz; dni na nagrzanym słońcem pokładzie mijały na wspomnianiu jej głosu, śmiechu, bursztynowych oczu, które tryskały entuzjazmem, gdy go słuchała. Wyboista, nierówna droga lądem z Aleksandrii do Suez wywołała wrzenie krwi, gdy wyobraził sobie, że jadą razem po wzgórzach Sussex.

Usta ściągął mu gorzki grymas. Pan Noble pisał do niego do Southampton błagając, by szukał pocieszenia w nadziei i wierze. John miał jednak szczerzy zamiar pozostać przy życiu i daleki był od zamiaru rzucenia się na szablę pierwszego napotkanego wroga, czego obawiał się proboszcz. Dużo czasu upłynie, nim odzyska równowagę i spokój ducha. Mógł osiągnąć je tylko opierając się wszystkiemu, co mogłoby zachwiać jego decyzją, bo nie miał zamiaru dopuścić, by zniszczyła go ta rozpustnica.

W jego kabinie panował taki żar, że z ochotą zabrał z niej swój niewielki bagaż przed opuszczeniem statku. Podążał najpierw do Fort William, gdzie zamelduje się i potwierdzi zamiar dołączenia do swego pułku, kiedy tylko będzie mógł wyruszyć na północ. Droga do Pendżabu była nużąca, ale ta pora roku najbardziej sprzyjała podróżom, a on po miesiącach uwięzienia na parowcu rwał się do działania. Zszedł w końcu bez emocji po trapie na nabrzeże, myśląc

tylko, że gdzieś w tym ogromnym mieście jest nieszczęśnik, którego żona zdradza z każdym głupcem, który ulegnie jej czarom.

TLR

## ROZDZIAŁ IV

Pierwszy dzień listopada był szary i zimny, a ostry wiatr smagał policzki pasażerów patrzących, jak zwiększa się odległość między nimi a tymi, którzy smutno machali do nich z nabrzeża. Nie było między nimi rodziny Delacourtów. Tylko jedna osoba obserwowała odpływający do Kalkuty statek pocztowy i roniła łzy nad odjazdem dziewczyny ubranej w pelerynę i czepek z niebieskiego aksamitu. Lavinii krajało się serce. Instykt mówił jej, że nie zobaczy więcej Elizabeth, którą kochała jak własne dziecko. Oskarżając się o to, że tak mało zrobiła, by zapobiec tragedii w Wellford, mogła tylko wątpić w mądrość Boga, który zbyt późno połączył dwójkę najwyraźniej dla siebie stworzonych młodych ludzi. Jeśli miało to dowieść, na ile potrafią oprzeć się pokusie, to ponieśli w tej próbie sromotną klęskę. Jeśli ten nieszczęsny romans miał być karą boską, to Lavinia nie wiedziała, czym sobie na nią zasłużyli. Nie znała dobrze Johna Stavenhama, rzecz jasna, ale jeśli pogłoski o jego młodzieńczym małżeństwie nie były całkowicie bezpodstawne, to z pewnością został już dostatecznie ukarany. Elizabeth zgrzeszyła nie korygując jego mylnego pojęcia o swym statusie małżeńskim, ale gdyby więcej się nie spotykali, nie miałyby to większego znaczenia. Panna Mount nigdy, nawet jako dziewczyna, nie żywiła głębokich uczuć do żadnego gentlemiana i poczytywała to sobie za największe nieszczęście. Teraz doszła do wniosku, że miała szczęście, unikając tej przypadłości, chociaż nie mogła ona z pewnością przynieść jej dotkliwszego bólu niż ten, który czuła, gdy morze unosiło jej Elizabeth na drugi koniec świata ku niepewnej przyszłości.

Elizabeth płakała po raz pierwszy, odkąd proboszcz ukazał jej głębię zła, jakie wyrządziła Johnowi. Lavinia odgrywała w jej życiu ważną rolę. Niełatwo było się z nią rozstać, szczególnie że z oddaniem pomagała jej i pocieszała, gdy świat wydawał się tak ponury. Elizabeth odkryła, że sprawianie bólu ukochanym raniło tak samo jak osobiste cierpienia, ale była zdecydowana od tej chwili jedynie uszczęśliwiać Williama i otaczających ją ludzi. Nic nie mogło naprawić tego, co stało się w Wellford. Odpokutuje to, mając świadomość, że John już zawsze będzie ją potępiał.

Parowiec ruszył najpierw po pocztę do Falmouth, potem odpłynął od wybrzeża Anglii, a pasażerowie zaczęli schodzić pod pokład, by uniknąć przejmującego morskiego wiatru. Elizabeth również tam podążyła, ale wkrótce zmu-



szona była wrócić, by zaczerpnąć świeżego powietrza i spojrzeć na kojący obraz ledwo rysującego się w mroku wybrzeża. W kabinie niepokoiły ją skrzypienia i jęki belek statku, unoszącego się na potężnych falach, a kołysanie przyprowadzało ją o mdłości. Kiedy wypłynęli z Falmouth, nie miała jednak innego wyjścia, niż wrócić do kajuty na noc, w czasie której żałowała, że jadła kolację. Rankiem stało się jasne, że nie znosi dobrze morskich podróży, została więc, szarpana torsjami, przygnębiona, w kabinie, a statek podążał przez Zatokę Biskajską do Gibraltaru. Próbując podtrzymać się na duchu, przypomniała sobie, jak John opisywał swą własną podróż sprzed niemal dziesięciu lat i powiedziała sobie, że w porównaniu z warunkami, jakie mieli żołnierze, ona pławi się w luksusie. Kiedy jednak trzeci dzień z rzędu cierpiała na chorobę morską, uznała, że ani chybi umrze przed upływem tygodnia. Co za ulga!

Sześciogodzinny postój na Gibraltarze wykorzystała, by na trzęsących się nogach wyjść z więżącej ją kabiny i odważyć się pociągnąć haust świeżego powietrza. Wytrzymalsi pasażerowie, którzy lekko przeżyli pierwszą część podróży, ruszyli na ląd, by obejrzyć ile się da z bastionu na wyspie. Elizabeth zadowolona się siedzeniem na nieruchomym już pokładzie, z którego obserwowała zamieszanie na nabrzeżu. Było zimno, ale stali pewnie na kotwicy, a pani Delacourt owinęła nogi pledem. Nie miała na statku żadnych towarzyszy, jako że na tydzień przed rejssem Canon Hall dostał ataku apopleksji. Z ulgą dowiedziała się, że nie będzie obciążona pobożnymi przyzwoitkami. Z radością witała nieobecność zrzędliwych staruszków w czasie podróży, która tak drastycznie zmieniała jej życie. Chociaż przyrzekła sobie zapomnieć o Johnie, postój w przystani, przy której kotwiczyły jego statki, sprawił, że odczuwała z nim boleśnie bliską więź duchową. Husarzy Chetwynde's musieli już wyruszyć z Indii do Anglii. Gdzieś na pełnym morzu, niewykluczone, że w środku nocy, ich parowce miną się, a oni nie będą nawet wiedzieli, że byli tak blisko siebie. Odtąd musiało tak być. Ma odejść z jej życia jak statek, który zbliżył się do jej okrętu, by odpłynąć na zawsze. Musi myśleć o Williamie i przyszłości, którą z nowym zrozumieniem będą dla siebie wykuwać.

Z zamyślenia wyrwały ją głosy powracających z wycieczki pasażerów niosących pamiętki, których ceny głośno porównywali. Kiedy steward przyniósł jej na tacy posiłek, stwierdziła ze zdziwieniem, że całkowicie wrócił jej apetyt. Rzeczywiście samopoczucie poprawiło jej się na tyle, że z przyjemnością obserwowała ptaki krążące najpierw nad wyniosłą skałą, a potem siadające na niej.

— Pewnego dnia człowiek będzie mógł to robić z taką samą łatwością — odezwał się z prawej strony jakiś głos.

Odwróciwszy się ujrzała gentlemana w jej wieku, ubranego w spodnie z najmodniejszego wzorzystego materiału i ciemnoczerwony surdut. Nosił swój wysoki kapelusz z wytwornym wdziękiem, ale w uśmiechu, rozjaśniającym jego ozdobioną blond wąsem twarz, był cień zuchwalstwa.

— Dzień dobry pani. Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale zauważywszy pani zainteresowanie mewami, czułem potrzebę wyrażenia tej myśli. Jestem Rupert Carruthers, pani towarzysz podróży. Czy mogę na chwilę usiąść obok pani?

Elizabeth uśmiechnęła się do niego, wiedzona nagłą potrzebą zyskania towarzystwa, szczególnie młodego towarzystwa.

— Przebywając na tym małym statku i tak bylibyśmy zmuszeni się obok siebie w którymś momencie rejsu, panie Carruthers, ale ostrzegam, że smutna ze mnie kompanka.

— Nie znosi pani dobrze falowania morza, co? — spytał z całą serdecznością kogoś, kto nigdy tego nie przeżył.

Potrząsnęła głową.

— Zapewniam, że zeszląbym na ląd, gdybym nie zdawała sobie sprawy, że musiałabym spędzić na Gibraltarze resztę moich dni, bo można się stąd wydostać tylko okrętem.

Zagłębił się w stojącym obok niej krześle, położywszy swój kosztowny kapelusz na prawej nodze, którą założył niedbale na lewe kolano.

— Cóż, mogłaby się pani odważyć na niezmiernie krótką podróż morską do wybrzeży Hiszpanii, a potem przecierpieć drogę lądem przez dzikie okolice do Francji. Następna długa, nieprzyjemna wyprawa przez kraj naszych byłych wrogów, z czyhającymi zasadzkami przywiodłaby panią do Calais, a krótki, choć burzliwy rejs przez Kanał La Manche doprowadziłby panią do domu, który pani tak niedawno opuściła. Może nie cierpiałyby pani wiele z powodu mai de mer<sup>1</sup>, ale ośmielę się przypuścić, że byłaby pani w czasie drogi narażona na

1 \* mai de mer (fr.) — choroba morska

tyłe różnorodnych chorób i utrapień, że dotarłaby pani w końcu do Anglii przekonana, że ten schludny stateczek to szczyt komfortu i najrozsądniejszy środek podróży.

Elizabeth ze śmiechem zaprzeczyła, jakoby kiedykolwiek miała się zgodzić z jego ostatnim stwierdzeniem. Miał miły sposób bycia i był tak młody, że nie musiała traktować go poważnie. Jego ubiór wskazywał na zamożność, pewność siebie sugerowała, że odebrał najlepszą z możliwych edukację, a lekkość, z jaką odnosił się do Elizabeth, przekonała ją, że nie szuka niczego prócz miłej rozrywki, która ożywiłaby nudne godziny spędzone na statku.

— Żałuję, że nie czuję się na morzu tak pewnie jak pan, sir.

— Kapitan zapewnił mnie, że pogoda się poprawi. Musi mu pani wierzyć i trzymać głowę do góry.

— Ufam głęboko, że się nie myli — odparła ponuro. — Cztery ściany mej kabiny stały mi się już wstrętne.

— A więc najwyższy czas, by je pani opuściła i cieszyła oczy widokami wybrzeży Morza Śródziemnego, nie mówiąc już o tym, co będziemy mieli okazję zobaczyć w czasie lądowej podróży do Suez. Pani udaje się do samej Kalkuty?

— Tak. Stacjonuje tam pułk mego męża.

— Męża! Boże, nie sądziłem, że jest pani mężatką!

Był wyraźnie rozczarowany, co bardzo ją rozbawiło. Wyglądało na to, że swymi złotymi włosami i uczciwym spojrzeniem niebieskoszarych oczu zdobył sobie niejedną dziewczynę.

— Nie siedziałabym tutaj samotnie, jedząc posiłek, wydana na pastwę każdego szukającego romansu gentlemana, gdyby nie chroniła mnie ślubna obrączka.

— Chyba nie wzięła mnie pani za... Jestem z rodu Carruthersów, droga pani — oświadczył młodzieniec z przemożnym oburzeniem.

Jeszcze bardziej ją to ubawiło, lecz stłumiła śmiech.

— Ależ wiem. Tylko dlatego pozwoliłam, by dotrzymywał mi pan towarzystwa. Napije się pan herbaty? Steward zostawił kilka dodatkowych filiżanek.

Już wkrótce, ułagodzony jej słowami i zaproszeniem, młodzieniec znów się uśmiechał.

— W jakim pułku i w jakim charakterze służy pani mąż?

— Porucznik Delacourt od ośmiu lat służy w pułku Dragonów Forrester's.

Rupert Carruthers, unoszący właśnie kanapkę do ust, zamarł w zdziwieniu.

— Ależ to cudowne! Właśnie jadę, by do nich dołączyć! Czekałem na to dwa lata. Mój opiekun odmówił kupienia mi patentu, zanim skończę dwadzieścia lat, więc traciłem czas i cierpiałem, starając się być cierpliwym. — Rzucił jej żalodne spojrzenie. — Cierpliwość nie należy do moich zalet, pani Delacourt.

— Wierzę, sir — drażniła go, nalewając mu herbatę. — Współczuję, bo i ja tej cechy nie posiadam. Ale proszę mi powiedzieć czemu, gdy skończył pan dwadzieścia lat, opiekun zdecydował się wysłać pana do stacjonującego tak daleko pułku?

— To nie była kwestia wyboru — odrzekł szczerze. — Mój brat jest majorem w Dragonach Forrester's, więc nie mogłem wybrać innego pułku. Kiedy wysłano ich za granicę, nie miałem jeszcze dziewiętnastu lat i nic nie mogło przekonać wujka Barta, by kupił mi patent, abym mógł im towarzyszyć. Nawet Hugo był przeciw mnie, chociaż zostało dużo miejsc zwolnionych przez żołnierzy, którzy nie chcą opuszczać Anglii postarali się o transfery. Nie ma pani pojęcia, jak ciężko było go żegnać, będąc samemu zmuszonym do pozostania w kraju.

— Ależ mam — zapewniła go. — Przeżywałam to samo, gdy mój mąż odpływał beze mnie.

Jego oczy załśniły figlarnie, kiedy mówił ściszym głosem:

— Ciężko mi pojąć, jak jakikolwiek mężczyzna mógłby to zrobić, chociaż z pewnością miał po temu ważne powody. Świetnie się składa, że mamy ten sam cel podróży! Jako że obydwójce będziemy blisko związani z Dragonami Forrester's przez najbliższe lata, czy pozwoli mi pani sobie towarzyszyć, dopóki nie dotrze bezpiecznie pod opiekę męża?

Potrząsnęła głową.

— Sądząc po ostatnich dniach, kiedy dotrzemy do lądu, nie będzie mi już potrzebny żaden towarzysz.

— Nie będziemy więcej rozmawiać o dolegliwościach — zarządził stanowczo. — Kapitan jest pewien, że w czasie kolacji będzie dziś w salonie komplet pasażerów. Muszę przyznać, że potwornie się nudziłem, mając za całe towarzystwo dwójkę misjonarzy, starszego naukowca i zapaloną odkrywczynię.

Wyglądał tak smętnie, że Elizabeth wybuchnęła śmiechem.

— Biedny pan Carruthers! Jest pan przekonany, że ofiarował się towarzyszyć mi z troski o me bezpieczeństwo, a nie z rozpaczliwej potrzeby zyskania młodszego kompana?

— Może mi pani docinać — odezwał się surowo — ale była pani tak rozbawiona moimi cierpieniami, że nawet nie zauważyła pani, że znów wypłynęliśmy w morze. Czy może pani zaprzeczyć, że już służyłem jej ogromną pomocą?

Spojrząwszy za burzę dostrzegła, że od brzegu dzieli ich około trzystu jardów, ale ruch statku nie zdołał oderwać jej uwagi od młodzieńca. Być może idealnie nadawał się do rozproszenia nudy podróży. W tym momencie słońce przedarło się przez chmury, rozświetlając szarą skałę silnym blaskiem i powlekając skrzydła kołujących ptaków olśniewającą bielą. Odwróciła się do niego, niespodziewanie przepelniona optymizmem.

— Przyjmuję pańską propozycję pod warunkiem, że uspokoi pan fale i każe słońcu świecić, póki nie dotrzemy do Kalkuty.

— Zrobione — zgodził się, wstając gwałtownie. — Proponuję mały spacer po pokładzie, żeby nabrać apetytu na kolację. Zapowiada się ona świetnie, jako że załadowaliśmy na Gibraltarze świeże zapasy.

Jak zapowiedział Rupert, salon był tego wieczora pełen i zapełniał się na każdy posiłek w czasie całej podróży na Malte. Po przybyciu tam wszyscy, w tym Elizabeth i młody Carruthers, czuli się już wystarczająco silni, by zejść na ląd. Pani Delacourt spotkawszy pozostałe pasażerki — w przeważającej mierze kobiety starsze lub niedostępne — szybko odgadła przyczynę uprzejmości młodszego oficera, lecz stanowił on doskonałe towarzystwo, mimo iż czasem bywał wielce napuszony, co jeszcze podkreślało jego niedojrzałość. Wskazywało na nią również to, że najwyraźniej czczył jak bohatera swego brata, Sir majora Hugona Carruthersa. Nie mógł pojąć, że Elizabeth nigdy nie spotkała tego wzoru doskonałości. Wyjaśniła, że kiedy pułk odpływał do Indii, była mężatką od niespełna roku, miała więc zbyt mało czasu, by poznać wszystkich oficerów odbywających służbę z jej mężem. Rupert wyraził wtedy swe wielkie zdziwie-



nie, że listy pana Delacourta nie roily się od uwag dotyczących Hugona. Elizabeth, nie chcąc wyjawic, że listów tych bylo zaledwie kilka i zawieraly przede wszystkim krytyke jej zachowania, zdecydowala sie z nim podroczyc.

— Musi pan pamietac, panie Carruthers, ze moj maz jest zaledwie porucznikiem. Czlowiek o tak wysokiej jak Sir Hugo randze nie spędza zapewne wiele czasu w jego towarzystwie.

— Och, Hugo to świetny kumpel i z kazdym wychyli szklaneczke — odpowiedzial szczerze mlody wielbiciel, a nastepnie uraczył ją listą zalet wykazywanych przez majora, pocawszy od dzieciństwa, lat szkolnych i wakacji, a skonczywszy na dniach żołnierki. Sir Hugo najwyraźniej nie znalazł nigdy czasu na ożenek, chociaz Elizabeth byla przekonana, ze mialy na niego zakusy setki kobiet.

— On jest, wie pani, niesamowicie przystojny i kiedy wróci do Anglii, będzie musiał wziac sobie zone ze względu na ciaglosc rodu. Mam glęboką nadzieje, ze będzie to kobieta najwyzszych zalet... lecz oczywiscie Hugo mógłby sobie wybrac tylko najbardziej godną podziwu partnerke — dodal, sobie na pocieszenie, Rupert.

Zanim parowiec opuścił Malte, Elizabeth byla przekonana, ze nie moze sie juz wiecej dowiedzeć o starszym Carruthersie. Mylila sie. Mlody oficer nie wspomniäl jeszcze o tym, jak świetnym znawcą koni był jego brat i jak doskonale władal szablą. Była zmuszona przerwac mu w samym srodku jednego z opowiadani o śmiercionośnej odwadze Sir Hugona, bo zrobilo jej sie slabo. Rupert natychmiast ją przeprosil. Przez kilka nastepnych dni nic nie bylo slychac o tym wzorze cnót, ale wkrótce znów zaczal sie wkradac do ich rozmów.

Elizabeth bylyby pewnie zirytowana naiwnym terkotaniem towarzysza, gdyby nie to, ze czula sie wyjątkowo dobrze, a slonce z dnia na dzien dodawalo jej sil, tak ze w czasie ich spacerów po pokladzie mogla cieszyć sie towarzystwem innych, w gruncie rzeczy nie sluchajac wcale opowiadani mlodego oficera. Rupert mimo swej niedojrzalosci był ujmującym mlodziencem i obawiala sie, ze kiedy Sir Hugo spadnie z piedestalu, co w koncu musi sie stac, będzie to dla niego bolesnym ciosem.

Przybycie do Aleksandrii bylo milowym krokiem w ich dlugiej podrózy. Chociaz Elizabeth czula sie juz zdrowsza, z radością opuscila statek. Zaniebdany port nie byl zachęcającą wizytówką Wschodu. Panujacy tu odrazajacy odór odstręczal nawet najodporniejszych, a brudne uliczki nie zachęcaly po-

dróżników do zwiedzania. Pani Delacourt po raz pierwszy ujrzała ciemnoskórych ludzi i cieszyła się z obecności Ruperta u jej boku czując, że ich dzikie, wojownicze spojrzenia przeczą towarzyszącym ich ofertom udzielania posług, jęklwym zapewnieniom, jak bardzo mogą być pomocni.

Młody Carruthers radził sobie z tym wszystkim z łatwością, ignorując poganiaczy osłów i tragarzy, którzy przydźwigali jego potężne bagaże na schody hotelu, w którym Europejczycy mieli spędzić kilka nocy. W recepcji zażądał, by natychmiast obsłużono panią Delacourt i jego, chociaż inni też na to czekali. Elizabeth nie była zaskoczona, że uzyskał, czego chciał, gdyż miał władcze manieri i mówił głośnym, aroganckim, nie znoszącym sprzeciwu głosem. Wielu z ich współpasażerów okazało swą odrazę dla wyniosłego zachowania się tak młodego człowieka, a kiedy rzucił tragarzom na ziemię garść złotych monet, o które zaczęli się kłócić, padło kilka uwag o złych manierach. Wkrótce i Elizabeth zaczęła być traktowana z dezaprobatą, ale uznała, że jej wygoda jest ważniejsza od oburzenia kilku obcych osób i następne dni spędziła u boku Ruperta. Miała powody być zadowolona z tej decyzji.

Parowiec, którym płynęli po Nilu, był ciasny, niewygodny i niezmiernie duszny. Ponadto wiatr nawiewał na pokłady czarny dym z komina, więc jeśli nie chciało się być umazanym sadzą, trzeba było pozostać na dole. Po przybyciu do Bulak Elizabeth znów miała okazję docenić umiejętności Ruperta uzyskania w hotelu wszystkiego, co najlepsze. Nie można było nie podziwiać łatwości, z jaką sobie ze wszystkim radził. Przypuszczała, że wynikała ona z przynależności do określonej sfery. Nigdy nie chwalił się niczym prócz swego wspaniałego brata, ale w rozmowie nieświadomie zdradzał imponujące pochodzenie, o wiele lepsze niż jej czy Delacourtów. Rupert Carruthers najwyraźniej należał do arystokracji i miał we krwi poczucie wyższości w stosunku do mniej uprzywilejowanych. Pod jego arogancją kryła się jednak prawdziwa odwaga, co Elizabeth miała okazję odkryć, gdy dotarli do Kairu.

Od tego legendarnego miasta pasażerowie udający się aż do Kalkuty musieli jechać przez pustynię w długiej karawanie ciągniętych przez konie pojazdów, zatrzymując się po drodze na stacjach, aby coś zjeść i wypocząć. Po dotarciu do Suez ostatni etap podróży mieli ponownie odbyć na statku. Przejście przez pustynię miało zostać zgrane z przypłynięciem parowca z Indii, lecz kiedy zeszli w Kairze na ląd, dowiedzieli się, że okręt zawinął już do portu w Suezie. Oznaczało to, że nie będzie jednak czasu na zwiedzanie.

Rupert był wściekły.

— Pomyśleć, że przebyliśmy taką odległość i nawet nie wolno nam będzie zobaczyć piramid — narzekał, podczas gdy ładowano ich bagaże na wóz, który natychmiast miał ich zawieźć do końcowej stacji na pustyni. — Hugo szczególnie naciskał, bym je zobaczył, gdyż — chociaż pułk płynął dłuższą trasą wokół Przylądka Dobrej Nadziei — on sam podziwiał cuda Egiptu w czasie podróży, którą młodzieńcy z naszej sfery odbywają zwyczajowo po ukończeniu szkół. To naprawdę straszne! — Po chwili milczenia rzekł: — Kusi mnie, żeby zrobić sobie wycieczkę. Nie odważą się wyjechać beze mnie.

Elizabeth, omdlewająca z upału i niemal zaduszona woniami z nabrzeża, ulic i zapachami wydzielanymi przez przechodzących ludzi, zaczęła błagać go, by nie był nierozważny.

— Nie może pan samotnie walczyć z linią oceaniczną — wytknęła mu z irytacją. — Chociaż to pana niewątpliwie zdziwi, mam wrażenie, że rozkład jazdy parowca zależy bardziej od kapitana niż nieobecności jednego pasażera... nawet jeśli nosi on nazwisko Carruthers.

Kiedy nadal się buntował, uciekła się do ostatecznych środków.

— Jestem pewna, że Sir Hugo, choćby niesłuchanie pragnął, by zobaczył pan piramidy, miałby zbyt dużo poważania dla innych pasażerów, by przypuszczać, że opóźni pan podróż ponad pięćdziesięciu osób, które również nie mogą ich ujrzeć.

Udało się. Pomógłszy jej dostać się na wóz, siedział obok potulny, choć nadąsany, kiedy opuszczali okolice Nilu, zmierzając ku zalanej żarem, bez-Mudnej pustyni. Elizabeth również pragnęła zobaczyć cuda tego kraju, ale ponieważ cierpiała właśnie na przykrą, comiesięczną dolegliwość, myśl o uniknięciu wyczerpującej wycieczki, kiedy głowa bolała ją równie dotkliwie jak brzuch, nie była nieprzyjemna. Dzisiejszy dzień chętnie spędziłaby z Delacourtami w spokojnym domu, gdzie mogłaby się schronić w łóżku z chłodnym kompresem na głowie i ciepłym termoforem na brzuchu, dopóki nie zelżałyby jej cierpienia. Tutaj każde szarpnięcie powozu, każdy głośniejszy krzyk człowieka czy ryk zwierzęcia z ulicy, każda minuta w palącym słońcu, były ciężką karą.

Rupert uznał jej absolutne milczenie za wyrzut i w końcu przeprosił ją zawstydzony.

— Proszę wybaczyć, droga pani, ale na chwilę zapomniałem, jak musi ją gnębić każda myśl o przedłużeniu podróży. Z pewnością niecierpliwie czeka pani na spotkanie z panem Delacourtem.

Łatwo było nie udzielić odpowiedzi i pozwolić mu wierzyć, że ma rację. Początkowy entuzjazm, który pchnął ją w tę podróż, słabł z każdą minutą zbliżającą ją do Williama. Wspomnienie ich zażartych kłótni przekonało ją, że będzie rozwścieczony jej zachowaniem. Nie najlepszy fundament pod budowę pojednania. A jeśli uprze się, by od razu odesłać ją do domu? Nic dziwnego, że nie bardzo przygnębiała ją myśl, iż nie mogą zobaczyć piramid. Obejrzy je w drodze powrotnej.

Po przybyciu na końcową stację, z której mieli rozpocząć lądową podróż do Suez, nieuniknioną część nowej, krótszej drogi do Indii, Elizabeth od razu zrozumiała, że Rupert miał rację twierdząc, że będzie jeszcze uważała parowiec wiozący ich z Southampton za szczyt luksusu. Czekał na nich długi rząd otwartych furgonów osłoniętych baldachimami, mającymi zacieniać długie ławki po obu stronach, na których całymi godzinami, twarz w twarz, będą siedzieć pasażerowie. Była to wyjątkowo nieprzyjemna perspektywa. Nie istniały żadne udogodnienia dla osób niedysponowanych lub cierpiących, jak ona dzisiaj, dam. Nie miała innego wyjścia niż opuścić powóz i czekać w rezygnacji, podczas gdy Rupert przepychał się przez morze zdezorientowanych pasażerów, by — używając, jak to Elizabeth nazywała, „wrzasku Carruthersów” — zażądać dla nich dwojga miejsc w pierwszym furgonie. Zanim powrócił do miejsca, w którym stała przy ich bagażach, rozpętał się jeszcze większy hałas i piekło z powodu przybycia dużej grupy Europejczyków, planujących wybrać się na wielbłądach na krótką wycieczkę po pustyni. Ich pojawienie się wywołało zwykły chór podnieconych krzyków gestykulujących zażarcie poganiaczy wielbłądów, którzy walczyli o prawo wykonania tej usługi. Zwierzęta tak odrażająco śmierdziały, że Elizabeth zastanawiała się, jak ktokolwiek może chcieć zasiać na ich grzbietach choćby na chwilę, nie mówiąc już o godzinie czy dwóch.

— Przeklęty pech — wybuchł Rupert, przybywszy z biletami w garści. — Przyznano nam miejsce w szesnastym z tych ohydnych pojazdów, co oznacza, że będziemy musieli ścierpieć kurz wzniesany przez jadących przed nami. Nie mogłem zmusić tego idioty, by spełnił moje żądania — dodał z chmurną miną. — Drewniana głowa! Powiedziałem mu to!

— No to dziwię się, że nie umieścił nas w ostatnim z tych czterdziestu furgonów — powiedziała ze znużeniem. — Chodźmy, proszę, odnaleźć nasze miejsca, byśmy mogli cieszyć się chociaż cieniem baldachimu.

Przerazili się jeszcze bardziej ujrawszy, z kim mają dzielić pojazd. Ich współtowarzyszami byli starsi państwo, którzy przestali się do nich odzywać w proteście przeciw wyniosłości młodego Carruthersa, ekscentryczna odkrywczyni, planująca przerwać podróż w środku pustyni, by udać się na poszukiwanie plemienia nomadów, i ciągle lekko nietrzeźwy urzędnik powracający do Indii.

Rupert jeszcze bardziej zmarszczył brwi, kiedy pomagał Elizabeth usadowić się na jednym z dwóch ostatnich wolnych miejsc na samym przodzie furgonu, gdzie najbardziej ucierpią od kurzu wzbijanego przez ich własne konie. Miał właśnie zamiar wspiąć się tuż za nią, kiedy w pobliżu wybuchła walka między grupą rozdrażnionych wielbłądów. Gruby nadzorca obrzucał przekleństwami bezużytecznych poganiaczy i kilkakrotnie strzelił z bata, próbując przywrócić porządek. Dźwięk tak przypominał wystrzały z pistoletu, że konie prowadzące zaprzęg ich wozu wystraszyły się i wyrwały do przodu, zrzucając woźnicę z kozła. Rupert, który stał właśnie jedną nogą na stopniu, zdołał jakoś wdrapać się na furgon i przedrzeć do Elizabeth przez tłum przerażonych dam.

— Nic pani nie jest? — krzyknął, a furgon kołysząc się z boku na bok mknął jak szalony po pustynnej drodze w ślad za pierwszymi dziesięcioma pojazdami, które już wyruszyły.

Zbyt oszołomiona, by mówić, potrząsnęła głową. Wszystko działo się tak szybko! Trzymała się kurczowo barierki za plecami. Nie zdawała sobie sprawy, co Rupert zamierza zrobić, dopóki nie wdrapał się na kozioł i nie zaczął posuwać się powoli po dyszlach otaczających zaprzęg pędzących, oszalałych ze strachu koni. To, co robił, było tak niebezpieczne, że Elizabeth zamarła. Pozostali, którzy tak jak ona przywarli do barierki, ucichli na widok igrającego ze śmiercią młodzieńca. Gorące powietrze uderzyło ją w twarz, a obawa o Ruperta kazała jej zapomnieć o tym, co sama cierpiała. Wstrzymała oddech, kiedy próbował dosięgnąć lejców leżących na grzbiecie jednego z tylnych koni. Siedział przykucnięty na dyszlu, trzymając się metalowego uchwyty przymocowanego do kozła i powoli, powoli wyciągał dłoń w kierunku skórzanych wodzy. Dowodziło to niezwyklej odwagi tego młodzieńca, którego charakter był najwyraźniej o wiele bardziej złożony, niż to dotychczas udowodnił.

Sięgnawszy lejców, Rupert wdrapał się na kozioł, by zademonstrować, jak doskonale radzi sobie z opanowaniem koni zaprzęgowych. Groźba wywrotki



stopniowo zmniejszała się, aż wreszcie furgon stanął. Przez kilka chwil nad ogromnym morzem piasku zalegało milczenie, tylko konie, zmęczone ucieczką galopem, robiły ciężko bokami. Potem z dalekich wozów wzbił się szum okłasków i okrzyki „Brawo!”. Starsi panowie, którzy przedtem potępiali zachowanie Ruperta, teraz zerwali się z miejsc, by wyrazić podziw dla jego heroizmu, a damy oznajmiły ze łzami w oczach, że ocalił im wszystkim życie, narażając własne. Elizabeth podziwiała skromność, z jaką przyjmował szczodre pochwały od tych, którzy się od niego przedtem odsuwali, i zaczęła się zastanawiać, czy to, co Rupert mówił o bracie, nie było przypadkiem prawdą. Jeśli był tak samo odważny, a przy tym dojrzały, mógł rzeczywiście być bohaterem tak niezrównanym, jak twierdził jego młodszy brat.

Dopiero gdy powrócili na stację, na której zapanowało istne piekło, i to gorsze niż zazwyczaj, wywołane przez słowne oraz fizyczne starcia między woźnicami furgonów i poganiaczami wielbłądów, Elizabeth wyraziła swój podziw dla młodzieńca, który właśnie zeskoczył lekko z kozła, by pomóc jej wysiąść.

— Kiedy zgodziłam się, by mi pan towarzyszył, panie Carruthers, nie miałam pojęcia, że moje życie znajdzie się w pańskich rękach. Pana odwadze może tylko dorównać pańska przytomność umysłu.

Ku jej zdziwieniu Rupert zaczerwienił się i próbował zbyć wyrazy podziwu, mówiąc gburowato:

— Nic podobnego, droga pani. Pomyślałbym wtedy zapewne, by zdjąć kapelusz, który jest teraz stratowany i absolutnie nie nadaje się do noszenia, co zmusza mnie do wydostania z wozu bagażowego mojego pudła na kapelusze i zmiany nakrycia głowy. Proszę wybaczyć, że zostawię panią samą na pięć minut.

Odprowadziwszy ją na ocienioną ławkę biegnącą wzdłuż dworca, odszedł dużymi krokami na tył budynku, gdzie tragarze, nie kłopotząc się o losy zawartości bagaży, niedbale wrzucali je na kilka wozów. Elizabeth, choć roztrzęsiona, musiała się uśmiechnąć na dźwięk władczego głosu Ruperta, który żądał, by wydobyto jego pudło na kapelusze spod sterty kufrów i wyrażał swe zdanie na temat władz umysłowych tych, którzy umieścili tam tak delikatny przedmiot. Uderzyła ją zadziwiająca myśl. Zaczynała lubić tego młodzieńca tak mocno, jak mogłaby lubić młodszego brata. Bywał czasami irytujący, lecz była wdzięczna, że jedzie aż do Kalkuty. Podróż byłaby bez niego niewiarygodnie nudna, a przy tym ich przyjaźń mogła kwitnąć nadal, gdy dotrą do pułku.

Wyruszyli, tym razem szczęśliwiej, prowadząc ożywioną rozmowę ze współpasażerami aż do pierwszej stacji pocztowej. Elizabeth miała wrażenie, że była to nazwa zbyt górnolotna dla tego przypominającego raczej więzienie małego, kwadratowego budynekczku o zakratowanych oknach. Mimo to, po podróży w trzęsącym się i podskakującym furgonie, brnącym przez piach oślepiający jaskrawym, odbitym blaskiem słońca, z radością powitała posiłek podany w czasie, gdy zmieniano konie. Kiedy znów ruszyli w drogę, dzień stawał się coraz bardziej monotony. Dookoła był tylko piasek; nie dało się uciec od palącego żaru. Wszyscy drzemali, mężczyźni chrapali przy tym głośno, a ból głowy powrócił z nową siłą. Toteż z wdzięcznością wkroczyła wreszcie do sypialni, którą zdobył dla niej Rupert w budynku, gdzie zatrzymali się w środku podróży, i padła na łóżko, czując wciąż bezlitosne pulsowanie w skroniach.

Druga część podróży lądem była równie nudna jak pierwsza, jako że rozciągające się dookoła połacie jałowego, nieurozmaiconego krajobrazu ożywiały tylko z rzadka pojawiające się szeregi wielbłądów obładowanych towarami, które przesyłano regularnie między Suezem i Kairem. Konwersacja stała się chaotyczna, kiedy skończyli już rozważać, co może się przydarzyć podróżnicze, która została w miejscu, w którym nocowali, by przygotować się do wyprawy w poszukiwaniu nomadów. Elizabeth nie mogła się nadziwić, że jakakolwiek kobieta ryzykowałaby okropny los, jaki może ją spotkać z rąk takich ludzi, ale zazdrościła odkrywczym wygody luźnej, powiewnej sukni wzorowanej na szatach mieszkańców pustyni. I do niej odnosiły się z pewnością słowa Johna, że Indii można tylko nienawidzić albo być nimi absolutnie urzeczonym. Podróżniczkę oczarowała aura tego pustkowia, którego Elizabeth, jak przekonała się po krótkim czasie, nie znosiła.

Suez był jeszcze jednym brudnym, cuchnącym portem, rojącym się od przewodników, sprzedawców ulicznych i — jak zawsze — robotników potrzebnych do załadowywania i renowacji statków. Parowiec był gotów do odpłynięcia. Kiedy tylko wkroczyli na pokład, odnaleźli swe kabiny i dopilnowali, by umieszczono w nich ich osobisty bagaż, okręt opuścił nabrzeże, by wypłynąć do zatoki wiodącej na Morze Czerwone. Miło było powrócić do znajomego trybu życia na statku, ale choć morze było spokojne, panował taki upał, że nawet Rupert stał się zbyt ospały, by robić cokolwiek prócz siedzenia na pokładzie w nadziei, że pojawi się wiaterek. Podczas tej części podróży Elizabeth dowiedziała się więcej o dzieciństwie jej towarzysza, spędzonym w dużej posiadłości w hrabstwie Cumberland, o śmierci obojga rodziców z powodu jakiejś epidemii w czasie podróży po Portugalii, gdzie jego ojciec służył w Dragonach Forrester's pod wodzą Wellingtona.

Sama szczerze i chętnie opowiedziała mu o szczegółach swego życia, gdy o to poprosił, czyniąc w ten sposób krok w kierunku ocieplenia ich znajomości. W przyjemnym towarzystwie dni mijały szybko i wkrótce powstała między nimi taka zażyłość, że Elizabeth zaczęła zwracać się do Ruperta po imieniu, proponując, by on traktował ją tak samo. Miał wątpliwości, czy byłoby to stosowne, jako że była mężatką, ale wkrótce uległ jej prośbom, czym przypieczętował szczęśliwą atmosferę tych sennych dni.

Kiedy jednak parowiec wypłynął na Ocean Indyjski, gwałtowne falowanie wody przy końcu kontynentu zagnało Elizabeth, znów cierpiącą niedole choroby morskiej, do kabiny. Dopiero gdy dotarli do długiego, wiodącego do Kalkuty ujścia rzeki, którym wolno posuwał się statek, Elizabeth odważyła się wyjść na pokład i usiąść obok Ruperta. Chwila ta, o której marzyła, nie wzbudziła w niej jednak dużych emocji. Kilka ostatnich dni, może tydzień, tak ją wyczerpało, że nie miała siły martwić się, co ją tu czeka. Rupert zachowywał się zupełnie odmiennie. Biegał od burty do burty górnego pokładu, krzycząc z zachwytem nad wszystkim, co zobaczył, i nie ukrywał radości z bliskiego już spotkania z bratem.

Wreszcie pojawiła się Kalkuta. Cyprysy i trawniki otaczające stylowe wille sprawiały wrażenie niezmaconego spokoju. Statki z całego świata stłoczone na przystani wskazywały, że mimo widocznych w tle klasycznych kolumn i wież tego starego, pięknego miasta, było ono portem handlowym. Patrząc na zaśnieconą rzekę, rozgardiasz i brud przy załadunku towarów oraz na armię skąpo odzianych czarnoskórych robotników na nabrzeżach, odkryła, jak odległy był ten widok Indii od jej wizji złotych pałaców, tygrysów i miejscowych obrzę-

dów. Przypomniła sobie później, jak John mówił, że w każdym widoku tego kraju kryje się piękno i spojrzała na to innymi oczami. Las masztów widocznych na tle głębokiego błękitu nieba i kołyszące się cały czas żurawie miały w sobie jakiś surowy urok. Błyszczące w słońcu ciemne ciała tubylczych robotników, stąpających pewnie po statkach, były gibkie. Nawet rzeka, jeśli spojrzało się poza unoszące się na wodzie śmieci, miała swój urok. Nagle uczuła, jak pod wpływem emocji ściska ją w gardle. On to wszystko znał i próbował przybliżyć jej to słowami. Teraz, gdy tu była, mogła docenić, jak trafny był jego opis.

Dano sygnał do zejścia z pokładu. Opuszczono trap. Ci, którzy stali na nabrzeżu, czy to czekając na któregoś z pasażerów, czy pragnąc po prostu widoku parowca, który przywoził im dalekie echo rodzinnego kraju, ruszyli na statek. Rupert stał u boku Elizabeth i obydwójce spoglądali w tłum, szukając munduru Dragonów Forrester's. Młody Carruthers sam prezentował się imponująco w grubej szkarłatnej kurtce munduru i ciemnoniebieskich spodniach przytrzymywanych paskami pod podeszwami butów. Po raz pierwszy miał na sobie mundur i Elizabeth musiała przyznać, że wyglądał jak arystokrata w każdym calu, mimo chłopięcej gorliwości malującej się na jego twarzy, której tylko część była widoczna między brzegiem ozdobionego pióropuszem nakrycia głowy i przytrzymującym go pod brodą grubym łańcuchem. Jednak chociaż na lądzie czekał tłum żołnierzy, Elizabeth nie mogła rozpoznać w nim barczystej postaci Williama. Właściwie nie dostrzegła żadnego członka Dragonów Forrester's i podzieliła się tym spostrzeżeniem z Rupertem. Spojrzawszy uważnie w dół na czaka i hełmy, musiał przyznać jej rację.

— Pewnie dostali jakieś pilne rozkazy — rzeki przejęty. — Ale przyślą kogoś w zastępstwie, a cała reszta będzie zorganizowana.

Dopiero kiedy większość pasażerów odnalazła bliskich i zastała sprowadzona na ląd, a na pokładzie zostało tylko kilku jowialnych młodzieńców wciąż czczących swe spotkanie i jakaś rodzina, która zgubiła część bagażu, przybył jakiś oficer, wyskoczył z powozu i zaczął wchodzić po trapie. Podszedł wprost do nich i zaczął przeproszać urywanymi zdaniem.

— Przepraszam. Ogromnie przepraszam. Zatrzymano mnie w ostatniej chwili. Pewnie Carruthers. Mundur Dragonów Forrester's. Nie mógłbym się mylić. Jestem już tutaj i do usług, chłopie. — Uśmiechnął się. — Nazywam się Chaplin... z artylerii.

Rupert zmierzył go wzrokiem w iście carrutherskim stylu. — Mój brat pana przysłał, nieprawdaż?

— Tak. Nie. Niezupełnie. Chociaż tak, pewnie tak. Rozkaz przez kwaterę główną, rozumiecie? Źródło nieznane, ale jeśli macie brata, to pewnikiem on za tym stoi.

— Stoi za czym? — spytał niezwykle chłodno Rupert.

— Za rozkazem, żeby zdążyć na przybycie parowca, wyjaśnić sytuację i udzielić potrzebnej pomocy. — Nie mogąc dłużej omijać wzrokiem Elizabeth, zwrócił spojrzenie na jej jasnożółtą muślinową sukienkę, ozdobioną falbankami czepek i dobraną odpowiednio parasolkę, by wreszcie spojrzeć z podziwem na jej twarz. — Nic nie mówili o pani Carruthers. A powinni. Niech pani wybaczy. Nigdy bym się nie spóźnił. — Zmarszczył brwi i wydał usta. — Potrzebny będzie pokój. Nie można zostać teraz w Fort Williams. Szkoda, że nie wiedziałem. Cholernie mi głupio, ale głowę dam, że znajdziemy gdzieś pokój.

Rupert odezwał się jeszcze chłodniejszym tonem:

— Ta dama to pani Delacourt. Przybyła do męża, który służy w Dragonach Forrester's.

Porucznik Chaplin wybałuszył oczy.

— To nie wasza żona? Do diaska! Nie ma wiadomości od Delacourta. Co robić?

Ten młodzieniec w uroczym mundurze coraz bardziej zaczynał denerwować Elizabeth, szczególnie odkąd doszedł do żenującego wniosku, że jest żoną Carruthersa. Z tego, że Sir Hugo nie mógł przybyć na przyjazd statku i przysłał kogoś, by znalazł jego młodszego brata, nie wynikało, że i William nie mógł przyjechać. Chociażby nie wiem jak rozzłościł go list Delacourtów, nie mógł zignorować jej przybycia w tak gruboskórny sposób.

— Panie Chaplin — powiedziała z mocą — dlaczegoż to powinna być jakakolwiek wiadomość od mego męża i czemu potrzebny mi jest pokój w hotelu? Nie rozumiem nic z tego, co pan powiedział. Dlaczego zamiast jednego z pułkowych kolegów Sir Hugona przysłano oficera artylerii, by powitał pana Carruthersa?

Chudy, wysoki młodzieniec z ciemnym wąsikiem czerwieniąc się, wciągnął głęboki oddech, zanim udzielił odpowiedzi:



— Dwa miesiące temu Dragoni Forrester's wymaszerowali z Kalkuty, kierując się do Pendżabu. Teraz docierają już prawdopodobnie do Ratnapore. Bardzo mi przykro, proszę pani.

Ta wiadomość zadała jej podwójny cios. Po pierwsze, William z pewnością opuścił Kalkutę, zanim dotarł do niego list od rodziców; po drugie, Ratnapore było placówką wojskową, w której służył pułk Johna. Opowiadał o niej tak sugestywnie, że wydawało jej się, że zna tam każdy budynek i każde drzewo.

— Wymaszerowali! — krzyknął głęboko rozczarowany Rupert.—Jak mamy się do nich dostać?

Chaplinowi wprawianie w zakłopotanie tej pary, która wykazała tak mało wdzięczności za kłopot, jaki sobie zadał, by ich spotkać, sprawiało wyraźną przyjemność. Tylko barką, powozem albo w palankinie. Nawet jeśli wszystko pójdzie dobrze, zajmie to całe dwa miesiące.

— Dwa miesiące! — wykrzyknęła Elizabeth z przerażeniem. — Jak możemy przedsięwziąć taką podróż w taki skwar?

— Lepiej żebyście wyruszyli od razu. Niedługo nadejdzie pora upałów.

— Pora upałów! Chyba nie może już być większego upału niż teraz! — Z rozpaczą odwróciła się do swego towarzysza. — Rupert, co robić?

— Dlaczego pułk wyruszył na północ? — zapytał Chaplina władcym głosem. — Szykują się jakieś kłopoty?

Chaplin potrząsnął głową.

— Nie większe, niż można oczekiwać na granicznej placówce. Pojechali zastąpić Huzarów Chetwynde's, którzy odpłynęli na statku wyruszającym co miesiąc z Bombaju.

Odwracając się od młodzieńców, Elizabeth spojrzała na kraj, do którego przybyła z tak daleka. Zebrała całą swą odwagę na chwilę spotkania z obcym sobie mężem. Teraz musi znów na to czekać co najmniej dwa miesiące, a on zbyt późno dowie się o jej przybyciu. Choć była pełna determinacji, przeznaczenie najwyraźniej nie starało się jej niczego ułatwić. Jednak patrząc na minarety i kopuły tego sławnego na cały świat miasta, czuła, że wstępują w nią nowe siły. Jaki byłby sens jej śmiałych słów i przysiag, gdyby załamało ją pierwsze niepowodzenie? Rupert będzie z nią, by zapewnić pomoc i miłe towarzystwo,

zyska też niespodziewanie możliwość poznania kolorytu i atmosfery kraju, który tak pragnęła odwiedzić. Odwracając się, by olśnić porucznika Chaplina szerokim uśmiechem, powiedziała:

— Zejdźmy na ląd, sir. Spędziliśmy na tym statku więcej czasu, niż pragnęłaby tego jakakolwiek rozsądna osoba, i szaleństwem byłoby go przedłużyć. Jeśli rzeczywiście zbliża się pora upałów, powinniśmy bezzwłocznie wyruszyć w podróż. Czy użyczy mi pan swego ramienia, panie Chaplin?

Kiedy młodzieniec, w pełnym przerażenia milczeniu spowodowanym jej nagłą stanowczością, sprowadził ją po trapie, stopa Elizabeth po raz pierwszy spoczęła na indyjskiej ziemi.

TLR

## ROZDZIAŁ V

Kiedy Dragoni Forrester's wjechali znużeni do garnizonu w Ratnapore, powitały ich ciepło stacjonujące tam już wojska. Chociaż mieli szczęście, że trafili na chłodną porę, droga nie była pozbawiona trudów, wypadków i strat w ludziach, więc wszyscy — od pułkownika po stajennego — cieszyli się, że dotarli już do tej niespokojnej części Indii.

Kalkuta niezwykle odpowiadała oficerom, którzy spędzali jak najmniej czasu na swoich kwaterach i kiedy tylko chcieli, mogli uczestniczyć w towarzyskim życiu miasta. Dla szeregowych żołnierzy było to piekło, szczególnie w maju i czerwcu, kiedy żar wywołał u kilku atak apopleksji, a wewnątrz koszar, z których nie było dla nich ucieczki, przypominało rozgrzany piec. Odbywali musztrę pod słońcem koloru miedzi, ubrani w przywiezione z kraju ciężkie mundury, aż wydawało im się, że padną od zawrotów głowy i mdłości. Wtedy odsyłano ich do wykonania obowiązków w stajni, nie dając czasu na napicie się czegokolwiek. W nieznośnym upale podoficerowie stawali się nerwowi i złośliwi, wymierzali kary za najdrobniejsze wykroczenia, a wśród samych żołnierzy wybuchały walki wywołane popędliwością i nadużywaniem trunków, sprzedawanych przez miejscowych handlarzy, którzy znali nałogi brytyjskiego wojska.

Pierwszy tydzień lipca był zwiastunem pory deszczowej. Zrobiło się nieco chłodniej, ale wraz z opadami przysły towarzyszące im niewygody. Wojskowi dostrzegli, że buty pleśniały przez noc, a w ubraniach zalegały się karaluchy i grzyb. Spali na wilgotnych materacach, a z każdej możliwej szpary w budynku koszar kapąła woda, zamieniając podłogę w trzęsawisko. Najgorszą przypadłością tego okresu była coroczna wizyta cholery, ponoć tym razem najstraszniejszej od dziesięciu lat, która niepowstrzymanie przeszła przez wojskowe kwatery. Rozkaz wymarszu wydawał się zbawieniem, a kiedy kolumna wyruszyła z Kalkuty zostawiając epidemię za sobą, liczba zgonów zaczęła się z dnia na dzień zmniejszać.

Ulga, z jaką opuszczali zapowietrzone miasto, ustąpiła wkrótce miejsca przygnębieniu, kiedy zobaczyli, przez jakie tereny muszą przejść, i zostali narażeni na inne irytujące zdarzenia, jak niespodziewane odejście markietanek,

scysje z mającymi zapewniać zapasy dostawcami, które spowodowały braki podstawowych artykułów żywnościowych, i krótki, lecz poważny atak malarii. Zdarzenia te nie ułatwiły im pierwszej części marszu. Tylko wmawiając sobie, że Ratnapore, mimo iż położone na takim pustkowiu, nie może być gorsze od Kalkuty, mogli brnąć dalej z iskrą nadziei.

Obraz miejsca, do którego podążali, który pewnego wczesnego ranka roztoczył się przed oczyma wojsk prowadzących kolumnę, był porywający. Pośród mil porośniętej ciernistymi krzewami równiny, otoczone murami Ratnapore wyrosło z fiołkoworóżowego horyzontu jak wynurzająca się z morza zagubiona cywilizacja. Chociaż żołnierze wciąż się posuwali, miasto przez niewiarygodnie długi czas pozostawało odległą wizją. Kilkanaście mil na prawo od grodu na łagodnym stoku rozciągały się regularne szeregi koszarowych budynków, z których roztaczał się niczym nie zakłócony widok na całą okolicę.

John Stavenham obserwował z werandy swojego bungalowu wijącą się coraz bliżej kolumnę wojska. Naczelne dowództwo przychylnie odniosło się do jego prośby o pozostanie w Indiach. Przybywający na ich miejsce pułk spędził niewiele ponad rok w Kalkucie i nie znał terenów granicznych i niebezpieczeństw, które się tu kryły. Żaden z oficerów nie mówił jeszcze biegle miejscowymi dialektami, ponadto dwóch z nich i pięćdziesięciu jeden żołnierzy zabrała choroba. John przebywał w Indiach od dziesięciu lat, znał dosyć dobrze tutejsze zwyczaje i teren. Ponadto mówił płynnie lokalnym dialektem i był tłumaczem w rozmowach między garnizonem europejskim i miejscowym dowódcą, którego życie i poddanych mieli ochraniać. Prośba Johna pozwoliła generałowi Masonowi nadal korzystać z jego cennych usług i zapełnić jedną z wolnych posad w nadciągającym pułku.

Stojąc w cieniu i obserwując przez zmrużone przed słońcem powieki nadchodzących żołnierzy, John nie był spokojny. Uważał, że nie można było wybrać gorszego momentu na odesłanie do kraju jego pułku. Huzarzy Chetwynde's walczyli w wojnie z Sikhami z Pendżabu, próbując okiełznać wodzów tego dumnego ludu, więc najlepiej nadawaliby się do sprawowania kontroli nad nasilającymi się zamieszkami, które mogły w każdej chwili wybuchnąć wojenną pożogą. Maszerujące tu wojska przybywały wprost ze służby garnizonowej w Kalkucie, gdzie jedynymi wrogami były upał i choroba. Wieść głosiła, że ich pułkownik choruje. Jak poradzą sobie z okrutnym wojownikiem, z którym zetknął się w Moodki, z człowiekiem, który nie oszczędzał pokonanych i sam nie oczekiwał litości od nieprzyjaciela i dla którego ranny żołnierz był żywym wrogiem, którego należało zabić?

W tamtej bitwie John po raz pierwszy doświadczył brutalnej walki. Do końca życia pozostanie mu w pamięci widok ciemnych, płonących nieprzejednana nienawiścią oczu, w dumnych, fanatycznych twarzach wojskowych w turbanach, którzy ruszali do walki z zaciekłością i nieustraszoną kompensującą braki niekonsekwentnego dowodzenia. Zaatakowali niespodziewanie, właśnie kiedy Brytyjczycy zakończyli wyczerpujący marsz i pochłonięci byli rozbijaniem obozu. Wybuchła okrutna, chaotyczna bitwa, stoczona na okrytym całunem dymu i kurzu polu pełnym ciemnych krzewów. Początkowo panował hałas nie do opisania. Gwar przycichł, o dziwo, i stał się zaledwie szumem w tle, kiedy John ciął i zadawał ciosy otaczającym go brodatym mężczyznom, wiedząc, że między nimi zawisła w oczekiwaniu ofiary śmierć. Nie bał się. Strach zawładnął nim dopiero, kiedy było po wszystkim, gdy zaścielające pole bitwy ciała martwych i konających ukazały przerażającą prawdę o tym, jaką krzywdę mogą sobie nawzajem wyrządzić prości ludzie na rozkaz dowódcy. Ten zawodowy niepokój przycichł dopiero, gdy jasne stały się dowody na to, że wróg mordował i okaleczał rannych, mających wszelkie szanse na przetrwanie.

Po bitwie pod Moodki miały jeszcze od czasu do czasu miejsce mniejsze potyczki z bandami zbójceckimi i pomniejsza akcja mająca na celu stłumienie powstania, wywołanego surowością lokalnego przywódcy, który został w czasie boju zabity przez swych własnych ludzi. John podchodził teraz do walki bardziej filozoficznie. Rzezie i zdrady między rywalizującymi frakcjami tak często stawiały Hindusa przeciwko Hindusowi! Interwencja brytyjska była na ogół jedyną nadzieją utrzymania względnego spokoju.

Pierwsi żołnierze Dragonów Forrester's przekraczali właśnie bramę placówki wojskowej i John jak zawsze poczuł dreszcz wzruszenia widząc, jak zbliżając się do garnizonu pułku automatycznie prostują się w siodłach, podnoszą opadające głowy i zwierają szeregi. Bez względu na to, jak były wyczerpane czy przygnębione, wojska brytyjskie nigdy nie omieszkały pokazać tradycyjnej pompy i fanfaronady, kiedy wymagała tego sytuacja. Jego ludzie wracali tak samo spod Moodki: obdarci, skrwawieni, w poważnie uszczuplonej liczbie, ale pokazując garnizonowi, że wciąż są panami samych siebie. Był dumny jadąc z nimi, a oni czuli to samo w stosunku do oficera, który zyskał sobie w czasie bitwy ich szacunek. Wkrótce będzie dowodził nową grupą nieznaną, którzy będą tak samo gorliwie starać się ocenić jego wartość, jak on ich. On był zahartowany w walce. Ich jeszcze nie wypróbowano. Ważne było, by od początku zacząć ich traktować we właściwy sposób. Jeśli mieli dobre stosunki ze zmarłym oficerem, którego miał zastąpić, możliwe, że będzie musiał pokonać



ich niechęć do siebie nie tylko jako obcego, ale i jako członka innego pułku. Dla wielu prostych żołnierzy wierność własnym barwom była świętością, dla wielu oficerów lojalność wobec pułku ustępowała tylko lojalności wobec monarchy i ojczyzny. Wojskowi często korzystający z transferów zmuszeni byli pokonać podejrzliwość, brak uznania i solidarne wykluczenie z towarzystwa. Johnowi zdarzyło się to po raz pierwszy, ale i tak będzie tu jak nowy chłopak w szkole. Istniała jednak pewna subtelna różnica. Ratnapore było jemu znajome, im obce. Zupełnie jakby cała szkoła przybywała, by dołączyć do nowego ucznia.

Mimo to czuł, że nadchodzące tygodnie mogą być trudne. Wiedział, jak dowodzić wojskiem na kwaterach, miał doświadczenie w prowadzeniu go do walki, ale jak mógł oczekiwać szacunku od innych, jeśli sam dla siebie go nie miał. Dopóki wspomnienie tego ranka w Wellford, kiedy próbował zorganizować ślub z żoną innego oficera, będzie wywoływało w nim szok i uczucie poniżenia, nie miał prawa do niczyjego poważania. Bardzo możliwe, że członkowie nowego pułku słyszeli o jakże tajemniczym zniknięciu jego żony i współczuli mu. Dzięki Bogu nie dowiedzą się nigdy o Elizabeth i nie poczują pogardy dla mężczyzny, który wolał raczej porzucić lojalność wobec pułku i przyjaciół, niż wrócić do Anglii, ryzykując ponowne spotkanie z nią.

Było późne popołudnie, kiedy pojechał wolno na koniu w kierunku wybielonych wapnem biur. Dookoła panował ciągle nieład, zamieszanie towarzyszące zawsze przybyciu do nowego garnizonu i John uśmiechnął się blado, gdy jego uszu doleciały fragmenty rozmów zmęczonych, poirytowanych wojskowych, usiłujących wprowadzić w ten chaos jakiś porządek. Ze wszystkiego, co Stavenham słyszał o dowódcy Dragonów Forrester's, wynikało, że musi on być całkowicie inny niż pułkownik Huzarów Chetwynde's. Justin Lakeland miał być sześćdziesięcioletnim mężczyzną, który wyróżnił się w czasie wojny na Półwyspie Iberyjskim, ale jego charakter i zdrowie ucierpiały ponoć w indyjskim klimacie. Znany był ze swego uporu, który czynił go nieustępliwym w czasie walki i z którego powodu cierpiały jego stosunki z oficerami. Nigdy nie słuchał rad podwładnych, a jeśli w końcu działał zgodnie z nimi, konsekwentnie odmawiał przypisania zasługi osobie, której się to należało. John powinien był bardziej przejąć się tym, co słyszał o tym człowieku, gdyż kiedy adiutant w końcu wprowadził go do jego nowego pułkownika, mina tego ostatniego wskazywała na to, że nie docenia uprzejmości zrobionej mu przez huzara, który nie chciał wracać do kraju.

Justin Lakeland, zajęty właśnie rozwieszaniem kolekcji angielskich rycin przedstawiających sceny z polowań na ścianach, na których powinny się właściwie znaleźć mapy i wykresy, podniósł wzrok i gniewnie powitał Johna:

— Nie było potrzeby, byście stawiali się u mnie tak szybko, rotmistrzu Stavenham. Przybyliśmy zaledwie sześć godzin temu. Chyba nawet Huzarzy Chetwynde's potrzebują kilku godzin, żeby jakoś się rozlokować przed rozpoczęciem służby.

John przyjrzał się uważnie wysokiemu, szczupłemu mężczyźnie, którego siwiejące włosy wiły się na wysokim kołnierzu. Jego wąska, opalona twarz i krótkowzroczne, wodniste oczy nie zrobiły na nim wrażenia. Opadające kąciuki ust sugerowały, że ma krytyczne usposobienie, co potwierdzał fakt, że wśród podwładnych słynął z niecierpliwości. Natychmiastowy wybuch złości, z jaką Lakeland potraktował oficera przybywającego z innego pułku, nie wróżył Johnowi dobrze na przyszłość.

— Przeszedłem tylko, aby ofiarować się z pomocą, nie zameldować się do służby — odrzekł cicho. — Jako że znam Ratnapore i jego mieszkańców, myślałem, że być może z radością powitacie dotyczące ich informacje. Wrócę jednak na kwaterę i będę oczekiwał na wezwanie.

— Wróćże, człowieku — warknął Lakeland, kiedy John energicznie się odwrócił. — Równie dobrze możemy omówić sprawy wstępne teraz, skoro już tutaj jesteś. — Przebiegł wzrokiem po bladoniebieskim mundurze huzarów Stavenhama, kiedy ten ponownie się odwracał. — Pierwszą rzeczą, jaką powinniście zrobić, jest wizyta u krawca, żebyście mogli odłożyć ten śliczny mundurek i ubierać się jak oficer tego pułku. A teraz powiedzcie — kontynuował siadając ciężko za biurkiem — czemu zdecydowaliście się przeciągnąć waszą długą służbę w tym barbarzyńskim kraju? Zrobiliście to licząc na szybki awans na miejsce jakiegoś martwego nieszczęśnika, czy zawikłaliście się w kłopoty z jakąś młódką?

John, urażony tym wyjątkowo gburowatym pytaniem, nie odpowiadał, stojąc na baczność i wpatrując się w ryciny ze scenami łowów z coraz większą złością. Lakeland dał więc rotmistrzowi więcej czasu na odpowiedź, a zrozumiawszy, że ten unika tego tematu, obserwował go zwięzionymi oczami.

— Nie miałem jeszcze czasu przeczytać sprawozdania pułkownika Howarda na temat waszych zdolności i wartości jako młodszego oficera, ale w dowództwie naczelnym zachwalano was w wielce kwiecistych słowach. W tej

sytuacji podejrzewam, że awans w żadnym wypadku nie byłby wam wstrętny, a z czerwieni, którą pokrywa się właśnie wasza szyja wnoszę, że za waszą wyjątkową decyzją opuszczenia pułku, w którym służyliście dwanaście lat albo i więcej, i pozostania w Ratnapere, stoi kobieta. Muszę was poinformować, że nie mam czasu dla podwładnych spędzających czas na figlach z damami. Cierpią na tym ich obowiązki, są też nadmiernie ostrożni w czasie walki, obawiając się, że zostaną okaleczeni, a później odrzuceni. — Westchnął ciężko. — Teraz, kiedy sytuacja jest jasna, mogę wyznać, iż jestem zadowolony, że mam was tu. W Kalkucie straciłem z powodu cholery dwóch bardzo dobrych oficerów. Inny był diabelnie poważnie chory na malarię kilka tygodni temu i nie wygląda na to, żeby się już z tego otrząsnął. Nie będę mógł na nim polegać, jeśli zaczną się jakieś kłopoty. Chociaż to mało prawdopodobne.

— Powiedziałbym, że wielce prawdopodobne, sir — odezwał się głuchym głosem John, wciąż czując ból wywołany uwagą, która trafiła w jego wrażliwy punkt i spowodowała, że zaczerwienił się jak podłotek. — Ganda Singh skarży się, że jego przyrodni brat knuje spisek, by zrzucić go z tronu i zamordować. Co więcej, rosną zastępy band wrogich szczepów atakujących jego karawany z zapasami mimo obecności naszych patroli ochronnych.

— W tym kraju nigdy nie brakowało zbójów, rotmistrz Stavenham — zauważył sucho Lakeland. — To zwykle rzezimieszki nie mogące się mierzyć z wyszkolonymi żołnierzami.

— Byliśmy zmuszeni podwoić patrole, kiedy jeden z oficerów został zabity, a dwóch żołnierzy raniono — zaznaczył natychmiast John. — Ludzie czatujący na wzgórzach są lepiej wyszkoleni niż włóczące się rzezimieszki, sir.

Justin Lakeland uśmiechnął się blado.

— Wasz pułk szykował się już do odjazdu do ojczyzny po dziesięciu latach spędzonych w tym kraju upału i gorączki. Ilu z tych, którzy przybyli tu w trzydziestym siódmym, było jeszcze w waszych szeregach? Biali ludzie cierpią tutaj. Ich zdrowie pogarsza się, są wyczerpani i przygnębieni. Nic dziwnego, że po dziesięciu latach ciągłej służby w Indiach wyszkolone wojska stają się mniej czujne, mniej skuteczne w razie nagłego ataku.

John nie mógł uwierzyć, że ten człowiek sugeruje, jakoby jego pułk nie mógł sprostać swoim obowiązkom pod koniec długiej służby. Obrażało to ludzi, których znał i szanował, wybuchł więc, stając w ich obronie.

— Zapewniam was, że nasze patrole były czujne i wysoce skuteczne. Nie dorównywali liczbą wojownikom ze wzgórz, którzy z pewnością są częścią wyszkolonej armii i maskują się tylko jako zbójcy, a ich głównym celem nie jest kradzież towarów Singha, a zmniejszenie naszych szeregów.

— Ujrzawszy na twarzy rozmówcy wyraz niedowierzania, dodał z mocą:  
— Ganda Singh nie darzy nas miłością, chociaż chronimy jego królestwo. Jestem przekonany, że narzekając na zdradę ze strony swych licznych krewnych, sam wysłał przeciwko nam własne wojska.

— Mmm... — zastanawiał się Lakeland z cieniem szyderstwa w głosie

— wy też jesteście w Indiach od dziesięciu lat. Nie pozwólcie waszemu znużonemu umysłowi szukać dwulicowości tam, gdzie jej nie ma, a waszym oślepionym słońcem oczom widzieć armię w miejsce garstki obszarpanych złodziejasków. Ganda Singh zachowuje się po prostu jak przystało na Hindusa, wyobrażając sobie knute przeciw niemu spiski. Większość miejscowych władców objęło panowanie, powodując upadek swych poprzedników. Instynktownie czują się niepewnie. Powinniście się już byli nauczyć tej prostej prawdy.

John widząc, że nie uda mu się zainteresować tego nieprzyjemnego człowieka szczegółami niepewnej sytuacji, zdecydował nie poruszać dalej tego tematu. Lakeland usłyszy to samo od innych pułków garnizonu. Jeśli tylko nie uzna, że i oni cierpią na skutek długotrwałej służby w śmiertelnym upale, może wysłucha tego, co mają do powiedzenia, i będzie przygotowany na to, że wypadki mogą potoczyć się szybko i bez ostrzeżenia. Traktując jego milczenie jako wyraz zgody z rozsądniejszym podejściem do sprawy, pułkownik zakończył rozmowę informując, że szwadron A nie ma dowódcy i John może nazajutrz przystąpić do pełnienia obowiązków.

Po wyjściu z biura John w zamyśleniu przechadzał się po werandzie. Lakeland świetnie się spisywał w Portugalii jako młodszy oficer, niemożliwe więc, by nie znał się na prowadzeniu bitew czy kampanii wojskowej. Ani że zachowywał się tak agresywnie tylko w stosunku do przeniesionego z innego pułku oficera. Wyruszając osiemnaście miesięcy temu z Anglii, musiał obserwować wiele zmian z powodu oficerów sprzedających swe patenty i zmieniających pułki, aby uniknąć wyjazdu do Indii. Czy był poważniej chory, niż przypuszczano, czy po prostu należał do tyranów, których bawiło upokarzanie i władanie tymi, którzy ze względu na stopień zmuszeni byli godzić się z takim traktowaniem? Sadowiąc się w siodle, przypomniał sobie ten rumieniec upokorzenia, który go zdradził i sugerował, iż jakaś kobieta zniewoliła go tak, że zdecydował

się opuścić pułk i ojczyznę, by pozostać z nią. Chociaż prawdą była rzecz wręcz odwrotna, to uwaga trafiła na tyle blisko celu, by kazać mu przeklinać tę żywą twarz i słodką, ujmującą zdolność przekonywania, przez które znalazł się teraz w takiej sytuacji. Może pogarda Lakelanda była usprawiedliwiona.

Zmuszając się do myślenia o sprawach służbowych zdecydował, że musi spotkać się tego wieczora w kasynie z oficerami szwadronu A. Dobrze będzie czegoś się o nich dowiedzieć, zanim obejmie rano dowództwo. Miał nadzieję, że okażą się sympatyczniejsi od swego głównodowodzącego. Kiedy dotarł do swojego bungalowu, zobaczył, że na werandzie poniewiera się duża ilość bagaży. Wywnioskował z tego, że oficer, który będzie z nim dzielił kwaterę, właśnie się wprowadza. Silny głos wyliczający jego służącym kary, które na nich spadną, jeśli nie będą żwawiej wykonywali rozkazów, wskazywał na to, że dragon ten był człowiekiem niecierpliwym. John ruszył do drzwi głównego salonu i znalazł tam potężnego, około dwudziesto- ośmioletniego rotmistrza o blond włosach, jasnych oczach i obfitych bokobrodach. Był przystojny, mimo czerwonej twarzy, która była zbyt jasna, by wytrzymać operację promieni słonecznych w czasie długiego marszu.

John, zachwycony klątwami, którymi tamten obdarzał obojętnych na to służących, oparł się o framugę drzwi i powiedział:

— Mają wrodzony talent do robienia wszystkiego tak, jak i kiedy im to odpowiada. Przez lata odkryłem, że najmniej męczącą praktyką jest wyjść i pozostawić ich samym sobie. Kiedy wracam, wszystko jest uporządkowane, tak jak tylko mógłbym sobie tego zażyczyć.

Nowo przybyły przyglądał się Johnowi przez chwilę.

— Poznając po tym pięknym mundurze huzarów, że musicie być Johnem Stavenhamem, oficerem z transferu. Przepraszam za ten bałagan na werandzie. Namęczyłem się jak diabli, żeby znaleźć wszystkie swoje rzeczy. Niektóre z naszych zwierząt jucznych padły w czasie drogi. Bagaże rozdzielono częściowo na inne zwierzęta, częściowo na wozy. Moim wiodło się chyba najgorzej ze wszystkich. Moja składana wanna i kilka skrzynek dobrego wina zniknęły. Jak złapię drania, który je podwędził, to mnie jeszcze popamięta!

— Wyrazy współczucia — powiedział John. — Gdzieś w Indiach jest jakiś facet bez skrupułów, który cieszy się zaletami mojego biurka. — Starając się zaprzyjaźnić z mężczyzną, który będzie mieszkał z nim pod tym samym dachem w czasie najbliższych miesięcy, dodał: — Może skorzystacie z mojej ra-



dy, żeby ich tu zostawić z tym wszystkim? Zapraszam na drinka do moich pokoi. Nie mam bardzo wyszukanej piwniczki, ale ośmielę się przypuścić, że znajdę coś, co będzie wam odpowiadało.

— Miła propozycja — odpowiedział ten drugi. — Jest jeszcze czas na szklaneczkę przed obiadem. Czy kasyno jest wygodne?

— Jak każde inne — odpowiedział John poprawiając mundur, by poprowadzić gościa do dużego, przewiewnego pokoju, w którym stało jego łóżko, podwójna szafa, skrzynia na ubrania, biurko i dwa fotele rozmieszczone po obu stronach szafki zawierającej ograniczony wybór trunków. — Odważę się przypuścić, że po kilku posiłkach przyrzędzonych w czasie drogi tutejsza oferta przypadnie wam do gustu. Marsz z Kalkuty tutaj jest wyczerpujący, prawda? My odbyliśmy go w czasie pory upałów i zapłaciliśmy za to. — Przywoławszy służącego, John zapytał gościa, czego pragnąłby spróbować z szafki. Sługa wyłonił się z bocznych drzwi prowadzących na tył przestronnego bungalowu. Niósł na tacy dzban wody i lód w małym srebrnym kubelku. Kiedy obaj oficerowie zagłębili się w fotelach, odpiąwszy dla wygody stójki mundurów, Hindus nalał drinki.

Blondyn powiedział:

— Musicie dobrze znać okolicę. Jakie jest miasto?

— Takie jak każde inne w tej części Indii, tyle że kipi zdradą i niepokojem. Jeśli tęskno wam do działania, znaleźliście właściwe miejsce.

— To naprawdę wspaniale! — Pociągnąwszy duży haust, wskazał głową na szklanekę. — Jest świetne. Francuskie, prawda? Zbyt skromnie oceniacie swoją piwniczkę, Stavenham. Jeśli kiedykolwiek odzyskam te zaginione skrzynki, poczęstuję was czerwonym winem, które nie ma sobie równych.

— Będę na to czekał z niecierpliwością — mruknął John, nieco rozczarowany, że jego towarzysz tak spieszenie porzucił temat możliwej akcji, skierowawszy za to rozmowę na wina. — Swoją drogą, jeszcze się nie przedstawiliście. Wasz głównodowodzący dał mi dowództwo szwadronu A.

— Teraz jest to też wasz głównodowodzący — zaznaczył sucho blondyn. — Ja nazywam się William Delacourt, jestem rotmistrzem szwadronu D.

Wino płynące przez ciało Johna zmieniło się w płynny ogień, a najdziwniejsze myśli galopowały mu po głowie, kiedy wpatrywał się w przystojną, poczerwieniałą twarz tamtego. W Indiach może być wielu Delacourtów,

myślał. Ale Dragoni Forrester's przybyli z Kalkuty: miejsca, które doktor Noble wspomniał, mówiąc o mężu dziewczyny, która — jak twierdził — nie mogła być wdową, a ten pułk przebywał w Indiach przez odpowiednią ilość czasu. Dobry Boże, czyżby to był ten biedak, którego żałował, wracając do Kalkuty? Mężczyzna, którego żony pożądał i którą całował z największą namiętnością, przyrzekając miłość na wieki?

— Wszystko z wami w porządku, Stavenham?

— Tak... w porządku.

— Wyglądacie, jakby coś wami wstrząsnęło.

— Znałem... znałem kogoś o nazwisku Delacourt. To był... byłem zaskoczony, kiedy mi powiedzieliście — improwizował zawzięcie, pragnąc wyjaśnić swe zachowanie osobie, która miała prawo zażądać prawdy.

— Czyżby nie żył? — padło pełne współczucia pytanie.

John potrząsnął głową.

— Po prostu straciłem z nim kontakt.

— Ach, tak — powiedział Delacourt, tracąc zainteresowanie tematem, — Jakiego życia towarzyskiego można tu oczekiwać? Daleko mu do elegancji Kalkuty, co?

— Jeszcze jednego drinka? — spytał John, dając znak służącemu, by nalał alkohol i wyszedł. Chwila przerwy pozwoliła mu się jakoś opanować i odpowiedzieć z pozornym spokojem, chociaż, kiedy opróżnił, co u niego rzadkie, drugi kieliszek, drżała mu ręka. — Jeśli przybyły z wami jakieś damy, będą często prośzone obiady i wieczorki. Prócz bali organizowanych przez cywilów przebywających na placówce, każdy pułk wydaje jeden lub dwa bale w odpowiednich porach roku. Można liczyć na przyjęcia przy kartach, wieczorki muzyczne i amatorskie przedstawienia teatralne. Co miesiąc odbywają się na torze wyścigi konne. Musieliście go widzieć, kiedy przybyliście dziś rano. Rezydent jest z niego bardzo dumny i twierdzi, że to najlepszy tor w Indiach. Bierzenie udział w wyścigach?

— Jasne. A wy?

Skinął głową. — Mam pełnego temperamentu rumaka czystej krwi, który świetnie radzi sobie, z każdą konkurencją.

— Nie zmierzył się jeszcze z gniadoszem jednego z naszych majorów. Sir Hugo Carruthers jest arystokratą posiadającym stadninę koni, którym równych ciężko byłoby znaleźć w całych Indiach. Jest to też diabelnie przystojny facet, który z pewnością wygrywałby również na balach, chociaż niewiele może to dać przyjemności, skoro większość dam to żony innych. Punktem honoru jest nie łowić na zakazanych wodach, nie?

Na te niewinne słowa ostrze poczucia winy jeszcze głębiej wbiło się w pierś Johna, który zmieniając temat na bezpieczniejszy nie był w stanie spojrzeć Delacourtowi w oczy.

— Słyszałem, że ciągle macie za mało ludzi po tym ataku cholery.

— To była poważna epidemia — zgodził się tamten, wychyliwszy kielich i sadowiąc się wygodnie w fotelu. — Udało nam się uzupełnić część strat ludźmi z innych pułków, ale i tak zobaczycie, że w waszym szwadronie brakuje około dziesięciu ludzi. — Uśmiechnął się leniwie. — My wszyscy postaraliśmy się, żeby szwadrony, którymi dowodzimy, składały się z niemalże pełnej liczby żołnierzy. Przykro mi, ale zrobilibyście to samo na naszym miejscu.

John skinął głową. Był tu nowy i musiał się tego spodziewać.

— A co z oficerami?

— Wy właśnie do nas dołączyliście, a z Anglii ma przybyć brat Sir Hugo. Młody Carruthers, biedaczysko, będzie przykro zaskoczony, kiedy przybędzie do Kalkuty i dowie się, że od razu musi za nami podążać aż tutaj. I tak będzie nam brakowało młodszego oficera, i to, obawiam się,

w szwadronie A, dopóki ktoś nie kupi mojego patentu porucznika. Parę miesięcy temu udało mi się awansować dzięki śmierci mojego zwierzchnika. Zawsze się człowiek trochę niepewnie czuje, obejmując spuściznę po zmarłym, szczególnie jeśli zabrała go choroba, nie walka. Jeśli chodzi o pieniądze, taki awans to prawdziwy uśmiech szczęścia, a kto jest na tyle silny, by się temu oprzeć?

— Niewielu, szczególnie jeśli jest się żonatym.

— Wy nie jesteście?

— Nie — odparł John szorstko.

— No, to pewnie jak tylko trafi się okazja, pojedziecie do uzdrowiska górskiego, gdzie z pewnością świeży plon córek, siostrzenic i kuzynek szuka przystojnego oficera, który dałby się usidlić.

Chwytając się ostatniego promienia nadziei, że może się mylić co do powiązań tego Delacourta z Elizabeth, John spytał:

— Wy też wybierzecie się do uzdrowiska?

— Dla mnie na to za późno, Stavenham. Mam żonę w Anglii — odrzekł małżonek Elizabeth z ciężkim westchnieniem. — Jest bezpieczna z moją rodziną, więc przynajmniej o tę sprawę nie muszę się martwić.

Tego wieczora w kasynie panował gwar. Oficerowie, którzy od kilku miesięcy byli w marszu, czcili przybycie do garnizonu obfitym piciem. Było to nieoficjalne przyjęcie. Żonaci oficerowie, w tym pułkownik Lakeland, którzy wciąż pomagali się rozlokować na kwatery żonom i dzieciom, byli nieobecni. Chodziły słuchy, że Charlotte Lakeland bała się swego męża do tego stopnia, że stała się niemal całkowicie nieudolna i szukała siły w religii. Dobrze znano i szydzono z jej zwyczaju ofiarowywania kobietom z pułku jej męża cytatów z Pisma Świętego zamiast jakiegokolwiek praktycznej pomocy. Już teraz ci przebywający w Ratnapore oczekiwali z niecierpliwością, jak ta dama poradzi sobie, gdy zostanie przedstawiona prowadzącej przeróżne kampanie lady Mason. Kwatery wojskowe wspierały, prócz pułku kawalerii, pułk piechoty złożony z Hindusów, kompanię artylerii i niewielki oddział saperów pod dowództwem brytyjskiego oficera. Poza obiektami wojskowymi znajdowały się jak zawsze firmy prowadzone przez urzędników państwowych: kilka sklepów i kawiarni, były tam też kwatery żołnierzy hinduskich i dwór rezydenta. Stosunki między wojskiem a cywilami zależały od zachowania żołnierzy i tego, o jakim skandalu właśnie sobie opowiadano. Huzarzy Chetwynde's byli lubiani przez osiadłych

tu, nie związanych z armią ludzi. Nowo przybyli kawalerzyści mieli dopiero zostać przedstawieni.

Oprócz tego, że był dla nich obcy, John miał dodatkowo nieszczęście wiedzieć, że przyjdzie mu mieszkać, jeść, pić i, wnioskując z tego, jak rozwijała się sytuacja, walczyć u boku mężczyzny, którego żonę, praktycznie biorąc, uwiódł. Z pewnością zrobił to wiele razy w myślach. W rezultacie był więc cichy i nie starał się narzucać swojego towarzystwa hałaśliwym, obcym sobie żołnierzom. William Delacourt okazał się być całkiem popularny wśród przyjaciół, a jego jowialność rosła wraz ze zwiększającą się ilością pochłanianego przez niego regularnie wina. Mimo wszystko John nie mógł przestać wyobrażać sobie tego potężnego, sympatycznego mężczyzny z Elizabeth i nie mógł się z tymi myślami pogodzić. Dziewczyna, którą spotkał, dysponowała z pewnością umysłem zbyt bystrym i skomplikowanym, by czuć duchową więź z mężem, który wydawał się mieć więcej krzepy niż rozumu i bardziej interesował się życiem towarzyskim i hałaśliwą kompanią niż głębszymi aspektami życia kraju, którego miał bronić. Potem przypomniał sobie, że Elizabeth Delacourt była sprytna, była wyjątkową aktorką, która prawdopodobnie grała rolę odpowiednią dla mężczyzny, którego chciała oczarować.

John starał się znaleźć oficerów, którymi będzie dowodził, rozmawiał więc krótko z trzema chorążymi, którzy byli jeszcze niemalże chłopcami. Tylko jeden z nich wydał mu się obiecujący. Pozostali dwaj byli jak wielu innych: młodszy synowie rodu, którym pozwolono wybierać tylko między wstąpieniem do Kościoła a służbą w wojsku. Uznał, że byliby z nich bluźnierczy duchowni. Jeden ze starszych chorążych leżał w łóżku powalony gorączką, a porucznik Humphrey, który miał być zastępcą Johna, był żonaty i ciągle zajmował się rozpakowywaniem bagaży.

Miał właśnie opuścić swych nowych towarzyszy, żeby poszli do diabła na swój własny sposób, podczas gdy on będzie robił to samo, oddając się rozmyślaniam o Wellford, kiedy podszedł do niego wysoki, dystyngowany major, który przedstawił się jako Sir Hugo Carruthers. Ten cichy, rozważny mężczyzna, który zachował trzeźwość, podczas gdy inni tracili kontrolę nad sobą, był najwyraźniej właścicielem konia, który zdaniem Delacourta mógł pokonać każdego innego w całych Indiach. Z prawdziwą szczerością powitał Johna w pułku.



— Czujemy się niezwykle szczęśliwi zyskując dla siebie człowieka, który cieszy się tak świetną reputacją w naczelnym dowództwie — powiedział. — Słyszałem, że walczyliście z Sikhami na terenie Moodki. Moglibyście mi coś o tym powiedzieć?

Instynktowna sympatia do osoby, która powitała go prawdziwą żołnierską profesjonalnością, sprawiła, że John zrezygnował ze swego planu. Carruthers uważnie słuchał jego opowieści o zdarzeniach, które wciąż żyły w jego pamięci. W końcu John wyraził pogląd, że wojna przyniosła zaledwie czasowe złagodzenie nienawiści, jaką Sikhowie czuli do Brytyjczyków.

Sir Hugo skinął głową.

— I mnie się tak wydaje. Zagłębiłem się w problemy, które odgrywają tu znaczącą rolę; jak zawsze w Indiach są one niezwykle złożone. Jeden tron i zbyt wielu pełnych nadziei spadkobierców.

John uśmiechnął się.

— Wszyscy są jakoś ze sobą spokrewnieni. Przyrodni bracia, pasierbowie, kuzyni, prawnuki, siostrzeńcy i ukochane dzieci z nieprawego łóża.

— Nie mówiąc już o ambitnych wezyrach, krwiożerczych generałach i wdowach o kamiennych sercach — dodał Hugo, odpowiadając mu uśmiechem.

— A to zaledwie złożony problem na samym szczycie sikhijskiej drabiny. Na każdym ze szczebli mają miejsce jeszcze inne komplikacje, niemalże co miesiąc wywierające jakiś wpływ na walkę o całkowitą władzę. Z każdym spiskiem, morderstwem, porwaniem zmieniają się szanse głównych pretendentów, w zależności od tego, czy nowy wódz jest ich przyjacielem, czy wrogiem. — Przerwawszy na chwilę, kiedy bardziej hałaśliwi oficerowie, w tym William Delacourt, ryknęli śmiechem i głośnymi krzykami zachęcali do dalszych wybryków porucznika, który próbował chodzić na rękach, trzymając za szyjki dwie butelki, John mówił dalej: — Muszę wam powiedzieć, że sytuacja w Ratnapore coraz bardziej się zaognia.

— Doszły mnie o tym słuchy, Stavenham. Kilku oficerów, z którymi rozmawiałem po drodze na różnych placówkach, wspominało coś o kipiącym kotle, ale żaden nie znał szczegółów. — Z irytacją spojrzął na rozkrzyczanych młodzieńców. — Czy moglibyście mi to objaśnić w spokojniejszym miejscu?

John, zadowolony, że może uciec od błaznowania mężczyzn odreagowujących trudy ostatnich kilku miesięcy, zaprowadził Sir Hugona do palarni w budynku, który tak dobrze znał, a który został teraz zajęty przez obcych. Siedzieli na fotelach naprzeciwko siebie, pod kołyszącym się wachlarzem, a rotmistrz, paląc z lubością cygaro, objaśniał w zarysie swą teorię:

— Ganda Singh poprosił nas o eskortę dla swych karawan z zapasami. Twierdził, że wie o spisku zorganizowanym przez jego przyrodniego brata, który zaczął walkę, wysyłając grupy rabusiów atakujących regularne dostawy żywności do Ratnapore. Ten krok ma rzekomo na celu tak wygłodzić ludność miasta, by była gotowa sprzedać życie swego wodza za pożywienie. Od sześciu miesięcy wysyłamy patrole kawalerii na spotkanie karawan wielbłądów po drugiej stronie przełęczy Mashni, gdzie na ogół atakują łupieżcy. Za każdym razem, gdy nakazano mi prowadzić patrol, uważnie śledziłem kierunek, z którego nadjeżdżają ci tak zwani zbójce. Ocenilem również ich siły. Nie ma wątpliwości, że nie tylko liczebność tych band rośnie, ale nadciągają one z różnych kierunków.

Sir Hugo uniósł swe jasne, gęste brwi.

— Ganda Singh ma więc powody się martwić?

— O, tak, ale nie spiskiem, mającym na celu wymuszenie na jego poddanych zdrady głodem. Przez kilka lat służyłem jako tłumacz i jestem przekonany, że człowiek ten nie jest tak prosty, jak udaje. Uważam, że on sam wydał rozkaz atakowania karawan.

Przyglądając mu się zwięzonymi od dymu cygara oczyma, Carruthers zapytał:

— Dlaczego miałyby kraść towar tak ważny dla miasta?

— Nie robi tego. Nasze patrole zazwyczaj powstrzymują napastników, zanim ci zdążą z czymkolwiek uciec. Ataki są zręcznie zaaranżowane, tak że karawany wielbłądów docierają bezpiecznie do miejsca przeznaczenia, a my ryzykujemy straty w ludziach, pozostawiając jednocześnie kwatery bez odpowiedniej liczby kawalerzystów.

— Sugerujecie, że Ganda Singh kłamie, że ma wrogiego przyrodniego brata i w rzeczywistości planuje zaatakować nas tutaj?

John skinął głową.

— Jeśli przyjrzeć się losom tego człowieka, można odkryć, że nie ma wielu powodów, by być przychylnym Brytyjczykom. Pięćdziesiąt lat temu, za naszym pełnym poparciem, jego dziadek został pokonany i wygnany z kraju przez rywala. Chociaż człowiek, którego popieraliśmy, zginął później w wyniku zdrady i Ganda Singh mógł upomnieć się o władzę, początkowo traktował nas zimno. Stosunki stały się bardziej kordialne od końca wojny, w czasie której zdarzyło nam się zabić jednego z jego najzagorzalszych wrogów, ale żądza zemsty długo płonie w piersiach tych ludzi.

— Czyż nie jest tak z nami wszystkimi? — spytał Sir Hugo z wymuszonym uśmiechem. — W świetle tego, co mi powiedzieliście, wypada mi tylko z niecierpliwością oczekiwać spotkania z tym człowiekiem. Bardzo sobie cenię wasz pogląd na tę sytuację.

— Cieszy mnie to. Pułkownik Lakeland wydawał się traktować to jak mrzonki człowieka, który zbyt wiele czasu spędził w Indiach.

— To chory człowiek, Stavenham. Dajcie mu czas, żeby się tu zadomowił i zobaczył dowody na własne oczy. — Wstał z cygarem w dłoni. — Idę do łóżka. To pierwsza od miesięcy noc, w czasie której nie musimy maszerować, mam więc zamiar się nią delektować.

Spacerowym krokiem weszli razem w mroźną ciemność. Przez chwilę obydwaj milczeli, ciesząc się cichą, gwiazdzistą nocą. Ciszę zakłócało tylko niecierpliwe tupanie końskich kopyt, parskanie zwierząt rozbrzmiewające w spokojnym powietrzu, przyciszone głosy strażników patrolujących kwatery i chrzęst ich własnych butów na twardej ziemi. Kiedy rozstawali się w głębi kwater przeznaczonych dla samotnych oficerów, Sir Hugo poklepał Johna po ramieniu.

— Bystry z was facet, Stavenham. Pułk ma szczęście, że zdecydowaliście się zostać i dołączyć do nas. Potrzeba nam kilku naprawdę ostrych oficerów, żeby poprawić dyscyplinę. Niektórzy z naszych młodszych oficerów to niewiele więcej niż przystojne półgłówki. Sami się przekonacie. Dobranoc.

John położył się do łóżka czując, że ma w Carruthersie potencjalnego sprzymierzeńca. Już go polubił i czuł, że tamten będzie zawsze szanował jego zdanie. Zrobiła też na nim wrażenie jego uczciwość w ocenie pułku. Jeśli rzeczywiście wśród młodszej kadry brakowało dyscypliny, trzeba będzie jakoś szybko temu zaradzić. Opieszały pułk to wszystko, czego potrzebował Ganda Singh, by wykonać swój ruch. Miał w kwaterach hinduskich żołnierzy szpie-

gów, którzy wkrótce wyjawią mu tę informację. Placówka może znaleźć się w obliczu zagrożenia atakiem. Kiedy leżał tak oceniając skalę problemu, jego koncentrację przerwał hałaśliwy powrót Williama Delacourta, który był bardzo pijany i klął na swych służących tak głośno, że mógł z powodzeniem obudzić mieszkańców całego szeregu bungalowów. John natychmiast pomyślał o Elizabeth i cała nadzieja na zapadnięcie w sen zniknęła.

Dragoni Forrester's przebywali w Ratnapore niewiele ponad dwa miesiące, gdy otrzymali pierwszy dowód na to, jak niespokojny jest to teren.

W czasie tych pierwszych dni nikt prócz Hugona nie szukał przyjaźni Johna. Nie byli do niego wrogo nastawieni, a po prostu traktowali go jak obcego. Szybko dostrzegł, ile prawdy było w uwadze jego przyjaciela dotyczącej rozluźnienia w szeregach młodszych oficerów. Ci rozpuszczeni chłopcy, szukający przyjemności z uszczerbkiem dla służby, nie wykazywali szczególnych zdolności wojskowych czy zainteresowania pułkiem. John dostrzegł przyczynę pogardy, jaką Lakeland żywił dla nich, ale zastanawiał się, czemu pułkownik nie robi nic, by przywrócić dyscyplinę. Czyżby był człowiekiem słów nie czynów? Jeśli chodzi o szarych żołnierzy, to tych wchodzących w skład szwadronu A ciężko było rozgryźć. Rotmistrz Johnstone, który zmarł na cholere, zwalniając w ten sposób to miejsce, był ponoć bardzo lubiany dzięki swobodnemu stylowi bycia i chęci do żartów. Nowy dowódca z pułku huzarów, który rzadko się uśmiechał i był szorstki w obejściu, nie został uznany za dobrego następcę. Żołnierze nie byli zadowoleni z jego krytycznych uwag i rozkazu traktowania poważniej swych obowiązków teraz, gdy znaleźli się na przygranicznej placówce, i niechętnie wykonywali jego polecenia.

Pewnego ranka, gdy prowadził patrol, John wyczuł jednak, że chociaż nie darzą go osobistą sympatią, mają dla niego jakiś szacunek. Nie można było tego powiedzieć o chorążym Phippsie, jadącym na końcu kolumny. Ten dwudziestoletni, dosyć słabowity chłopak chorował poważnie na malarię, kiedy przybył do Indii. Tęskniący za domem i absolutnie nie nadający się do wojskowego życia Matthew Phipps, który z racji swych cech stał się celem żartów kolegów, bez słowa wykonywał rozkazy Johna, znajdując wyraźną masochistyczną przyjemność w podporządkowywaniu mu się, co oszczędzało mu stykania się z przebiegłą niesubordynacją prostych żołnierzy. Jak wszyscy odpowiedzialni dowódcy John udzielał na osobności nagan, od których powstrzymywał się publicznie. Ku jego konsternacji, młodego Phippsa jeszcze bardziej ekscytowały takie kary i John domyślił się, że będą z nim kłopoty. Ten chłopak nie przedstawiał żadnej wartości ani dla niego, ani dla pułku.

Spoglądając na rudowłosego mężczyznę jadącego obok niego przez równinę, John przyznał, że George Humphrey stanowił problem zupełnie innego rodzaju. Chociaż jego zastępca był świetnym oficerem, który będzie mógł zrobić oszałamiającą karierę, jeśli mimo chorób i bitew dotrwa do starości, przypominał on jednak automat. Po dziewięciu tygodniach John ciągle nie potrafił przebić się przez zamyślenie młodego porucznika, poprosił więc Hugona o wyrażenie opinii na ten temat. Jego przyjaciel rzucił trochę światła na tę sprawę, ale Stavenham nie mógł przecież interweniować w problemy małżeńskie tak oddanej sobie pary, która dążyła powoli do samozniszczenia w wyniku odmowy George'a dania żonie dziecka, którego tak pragnęła. Wielka szkoda, że z powodu kłopotów rodzinnych nie udało się nawiązać tak ważnego, zdaniem Johna, kontaktu między mężczyznami, od którego często mogło zależeć ich życie. W czasie walki wzajemna wrogość mogła narazić na niebezpieczeństwo nie tylko tych, którzy ją żywili, ale i wielu zależnych od nich żołnierzy. Podobnie i całkowity brak porozumienia między dowódcami prowadził niekiedy do fatalnych w skutkach zawahań. Westchnął, jadąc na czele cichych zastępów przemierzających rozległą równinę, podczas gdy słońce wspinało się coraz wyżej na mleczno-żółte niebo. W powietrzu rozbrzmiewał tylko brzęk upręży, skrzyp siodła i stłumione ciężkie uderzenia kopyt; nie słychać było ściszonych rozmów, które w takich sytuacjach prowadzili na ogół żołnierze. John zacisnął usta. Chociaż nosił odpowiedni szkarłatny mundur, nie stał się przez to ani trochę bardziej członkiem Dragonów Forrester's.

Po trzech godzinach w siodle dotarli do pokrytego skałami podnóża wzgórz w miejscu, gdzie można było przedostać się z przełęczy Mashni do znajdujących się poza nią terenów. Patrol musiał przejechać przez przełęcz, aby spotkać się z karawaną wielbłądów, którą miał potem odeskortować z powrotem tą niebezpieczną, wąską drogą i doprowadzić do bram Ratnapore. John spojrzał w przód na spalone słońcem wzgórze. Za każdą wystającą krawędzią, przykucnięci w rozpadlinie, zerkając przez rzadkie kępy roślin, mogli się kryć uzbrojeni w strzelby ludzie, którzy obserwowali, jak się posuwają, liczyli szeregi, wybierali oficerów na swe główne cele. Ciszę mógł rozdrzeć nagły wystrzał, po którym poczuje, jak w którąś z jego kończyn, w pierś, w plecy zagłębia się gorąca kula ołowiu. Albo nie odczuje nic... nic już przez całą wieczność. Przymknął oczy, by ochronić je przed blaskiem przedzierającym się zza potężnych ścian skalnych. Byli sami, czy czaiła się tu gdzieś gotująca się do ataku mała armia?



— Uważajcie na błyski słońca na strzelbie — powiedział cicho do jadącego obok mężczyzny. — Patrzcie, czy nie porusza się jakiś krzak, czy skała nie zmienia kształtu. Starajcie się usłyszeć stuk zrzucanych ludzką stopą kamieni.

Stępa wjechali w cień. Wiążące ich z obu stron wysokie skały coraz głośniejsze odbijały dźwięk kopyt. Napięcie Johna wzrosło. Dłonie spotniały mu w białych rękawiczkach. Poszarpane kontury przełęczy zamglily się, kiedy krople potu z czoła spływały na jego rzęsy. Chociaż na wzgórzach nie było śladu ludzkiej obecności, w całym ciele czuł mrowienie, oczekując na wystrzał i palący ból kuli szarpiącej jego skórę. Poderwał się więc, gdy rozległ się, spotęgowany przez ograniczające ich kamienie, krzyk. Po nim dał się słyszeć zgiełk głosów na końcu pojedynczego szeregu jeźdźców. Chcąc sprawdzić, co się stało, obrócił się w siodle, unosząc się w strzemionach. Patrol rozpadł się na dwie części, z których tylna zatrzymała się w bezładzie. Nakazawszy George'owi, by jechał dalej, zawrócił na wąskiej ścieżce i tak szybko jak było można uważnie pojechał po kamienistym podłożu do miejsca, gdzie żołnierze stojąc zajmowali się czymś leżącym na ziemi.

— Czemu się zatrzymaliście, kapralu Gates? — spytał ostro, kiedy się do nich zbliżył. — Macie w tej chwili ruszyć!

Stojący na ziemi Gates spojrzał na niego wyzywająco.

— To kawalerzysta Donegal, sir. Zemdlał, niestety, no. Nagle się obsunął z siodła. Piper mówi, że zebrał go straszny ból brzucha, jeszcze tam, na równinie.

— To czemuż, do diaska, nie zameldował tego i nie zawrócił? — uniósł się gniewem John, zdając sobie sprawę, jak bardzo są teraz narażeni na atak. — Włóżcie go na konia i jakoś przymocujcie. Reszta ma się ruszyć w podwójnym tempie. I to już! — Spoglądając przez ramię na opadającego z sił chorążego, warknął: — Idźcie ze swoimi ludźmi, Phipps. Ja się za was zajmę tyłami.

Chłopak nie zdążył przejechać więcej niż jard, kiedy powietrze rozdarł jego potworny krzyk napełniający wąwóz echem, które zmroziło Johnowi krew w żyłach. Phipps spadł z siodła ściskając włócznię, która trafiła go w pierś i przebiła na wylot, wystając z tyłu na ponad stopę. Jego pełen bólu okrzyk spłoszył dwa konie, które stanęły na tylnych nogach i wierzgnęły zadem, co jeszcze bardziej dezorientowało tych, którzy nie wykonali rozkazu i nie wyruszyli. Zeskakując na ziemię, John ryknął wzmocnionym jeszcze przez strach i gniew głosem:

— Ruszajcie, łajdaki, albo poprzebijają was z góry włóczniami!

Uciekli!

Idąc, aby podnieść ciało chorążego, John krzyknął do Gatesa, by dosiadł i odprowadził konia, do którego został przywiązany ten chory chłopak. Kiedy chciał zrobić to samo z Phippsem, usłyszał koło ucha jakiś dziwny, furkoczący dźwięk i w trupa zagłębiła się druga dzida. John, domyślając się, że on sam był prawdziwym celem, wskoczył na siodło. Chwilę później trzecia przelatująca z warkotem włócznia, wydobyła przeszywający krzyk z ust kaprała, w którego bok wbiła się ona tak głęboko, że wyglądała jak wystający ze szkarłatnej kurtki munduru szpikulec. John szybko ruszył do przodu. Gates niewiele ważył i szczęśliwie padł na szyję swojego rumaka. Dzięki temu John mógł łatwiej przesiąść się w biegu z jednego konia na drugiego. Robił to już co prawda wcześniej — ten trik mógł uratować w czasie bitwy życie, gdy zastrzelono ogiera pod jeźdźcem — ale tutaj trzeba go było wykonać na ograniczonej przestrzeni pokrytej śliskim, nierównym gruntem.

Oczekując cały czas na złowrogi dźwięk lecącej dzidy, nie mrugnął okiem, kiedy przemknęła obok niego tak blisko, że poczuł na policzku słaby podmuch powietrza. Jadąc, utrzymywał siedzącego przed nim Gatesa w bezpiecznej pozycji i powstrzymywał swego konia, by upewnić się, że pozostałe trzy wyprzedzą go na znaczną odległość. Wtedy wyciągnął pistolet i wypalił. Żaden wystrzał na torze wyścigowym nie wywołał jeszcze takiej reakcji. Zwierzęta mogły ruszyć tylko w przód, pognały więc, próbując ratować się ucieczką. John podążył za nimi, trzymając nieprzytomnego lub martwego mężczyznę.

Ucieczka przez wijącą się zygzakami drogę przypominała zmory senne nawiedzające często niespokojne umysły. Niemal nic nie słyszał i nie czuł. Absolutna koncentracja potrzebna, by uniknąć zderzenia z wystającymi skałami albo upadku z konia w kilku miejscach, w których strugi topniejącego śniegu płynęły brzdami w poprzek wąwozu, zanim zniknęły w podziemnych zlewiskach, sprawiła, że nie był świadom niczego, ranek wydawał mu się więc cichy i nierealny. Nagle wypadł niespodziewanie spomiędzy otaczających go kamiennych ścian i ujrzał dolinę, zieloną dzięki prowadzącym od rzeki kanałom irygacyjnym. Ćwierć mili dalej stał w zwartym szyku czekający na niego patrol. Z grupy odłączyły się trzy postacie, by złapać i uwiązać podążające przed nim konie bez jeźdźców. Nikt inny nie ruszył się, kiedy John podjechał do nich i ściągnął wodze. Wszyscy, łącznie z Georgem Humphreym, wyglądali na wzburzonych. Oficer jednak w pełni ich kontrolował, a co więcej, oparł się pokusie podążenia Johnowi na pomoc i zostawienia żołnierzy bez dowódcy. Będzie nieocenionym zastępcą.

Krótkimi zdaniem John wyjaśnił porucznikowi, co się wydarzyło. Młody Phipps zginął na miejscu, a jego krótki żywot nigdy nie mógłby być tak spektakularny jak ta śmierć. Może nawet uwolniła go ona od cierpień? Twarz kawalerzysty Donegala była jak pergamin. Najwyraźniej był poważnie chory. Nie mieli ze sobą noszy, a tylko płócienne pasy, które można było umocować do idących obok siebie koni. Szanse, jakie miał na przeżycie drogi powrotnej, będą zależały od jego wytrzymałości. Kapral Gates jęczał z bólu, podczas gdy John zastanawiał się, czy wyjmować mu włócznię z ciała. Była to okrutna broń, która, gdy usiłowano ją usunąć, jeszcze bardziej rozrywała ranę i powodowała na ogół obfity krwotok. Z drugiej strony widok przypominającego prosię nabite na rożen młodszego oficera, który żołnierze będą musieli znieść przez całą drogę do Ratnapore, byłby dla nich wielce demoralizujący. John wiedział, że cokolwiek by zdecydował, biedaczysko nie przetrwa podróży do koszar. Myśląc o tym, rozpiął kurtkę własnego munduru i zdjął białą, bawełnianą koszulę. Postąpił w przód i zdecydowanie ujął koniec włóczni. Każdemu byłoby ciężko to zrobić. John czuł, jak rośnie agresja otaczających go ludzi, kiedy torturował ich towarzysza, którego krzyki bólu ucichły, gdy stracił przytomność, a jednocześnie z rany buchnęła krew. Rzuciwszy dzidę na ziemię, rotmistrz przyklęknął przy rannym, by przykiąć koszulą ziejący otwór. Słońce zaczęło parzyć jego obnażone plecy, a widok i zapach krwawiącego ciała pogorszył mdłości, które narastały w nim, gdy ręce zaczęły mu się robić czerwone i śliskie. Twarz miał zlaną potem i by lepiej widzieć, zmuszony był otrzeć ramieniem oczy. Właśnie gdy zrozumiał, że krwi nie da się zatamować i że prawdopodobnie podjął złą decyzję, u jego boku pojawił się ktoś z zawiniątkiem białego materiału. Kiedy się obrócił, ujrzał, również rozebranego do pasa, George'a Humphreya.

— To powinno rozwiązać problem — odezwał się cicho porucznik.

— Dziękuję — powiedział szeptem John, biorąc od niego koszulę. — Umocujemy to moją peleryną, to może uda nam się oszczędzić spodnie. Obawiam się, że to wszystko, co możemy dla niego zrobić.

Razem umocowali tampon na ranie i wstali, by włożyć kurtki mundurów, podczas gdy kilku żołnierzy ułożyło Gatesa na jednym z pasów.

— Przypuszczam, że umrze, nim dotrzemy do szpitala — powiedział półgłosem Humphrey.

— To samo może spotkać chorego kawalerzystę. Czy wiedzieliście, że Donegal był dziś rano niedysponowany?

Rudowłosy oficer potrząsnął głową.

— Dobrze to ukrywał. Wszyscy z taką niecierpliwością czekali na ten patrol! — Zapinając mundur dodał: — Winien wam jestem przeprosiny. Jak większość oficerów przypuszczałem, że przesadzacie, opisując panującą tu sytuację. Teraz widzę, że słusznie byliście podejrzliwi. Gdyby celem miała być rzeczywiście karawana z żywnością, atak nastąpiłby dopiero wtedy, kiedy byśmy do niej dotarli i eskortowali przez przełęcz. Jest jasne, że nie stanowiliśmy dla tych ludzi zagrożenia ani wyzwania i że napaść była przemyślana. Potwierdź w pełni każdy raport, jaki zdecydujecie się napisać po powrocie, sir.

John skinął głową.

— Dziękuję, ale może się zdarzyć, że żaden z nas nie będzie w stanie złożyć raportu pułkownikowi Lakelandowi. Będziemy zmuszeni pokonać wawóz jeszcze raz i to w otoczeniu jakiejś setki obładowanych wielbłądów. Myślę, że powinniśmy ruszyć do brzegu rzeki i tam oczekiwać na karawanę. Kiedy ludzie będą odpoczywali i poili konie, my zajmiemy się znalezieniem takiego wyjścia, by upewnić się, że w ogóle ktoś wróci bezpiecznie, by ostrzec Lakelanda i postawić placówkę w stan gotowości.

## ROZDZIAŁ VI

Podróż z Kalkuty ciągnęła się tak długo, że Elizabeth niemal zaczęła zapominać, dokąd podąża i że czeka ją jeszcze konfrontacja z mężem, którego ledwie mogła sobie przypomnieć. Wszystko, co widziała i słyszała po drodze, zbliżało ją duchem do Johna, który tak trafnie i wiernie jej to opisywał, a przecież on powracał już do Anglii, nieświadom, że ona dzieli z nim doświadczenie życia w Indiach.

Rupert był nieocenionym towarzyszem i przyjacielem. Organizował wszystko w ten nieświadomie arogancki sposób, po którym tak urzędnicy, jak i służący rozpoznawali sahiba, który nie da się zbyć, i najął nawet do posług małżeństwo, które pragnęło powrócić do Pendżabu. Para ta świetnie wiedziała, czego trzeba brytyjskim podróżnikom, więc nawet on był z niej zadowolony.

Z Kalkuty do Kanpuru podróżowali wodą. Rupert oświadczył, że mieli szczęście, iż udało im się dostać na barkę holowaną przez parowiec po krętej rzece, ale jakakolwiek uwaga dotycząca kabin na statkach napelniała Elizabeth przerażeniem, którego nie zdołały rozproszyć zapewnienia, że nie ma porównania między nużąco powolną podróżą rzeczną barką, a kołysaniem i chybotaniem oceanicznego liniowca. W rezultacie ten sposób poruszania się okazał się być stosunkowo przyjemny, jeśli tylko pasażerowi nie zależało na czasie, a że szybkość była w Indiach czymś nieznanym, więc i lepiej było nie mieć takich wymagań. Na pokładzie przebywało kilku udających się do Kanpuru Brytyjczyków. Wszyscy oni początkowo uznali ich mylnie za małżeństwo, więc kiedy prawda wyszła na jaw, Elizabeth stała się przedmiotem żywego zainteresowania. Oczywiście nierzadko zdarzało się, że wojskowy towarzyszył w podróży w głąb kraju żonie innego oficera, ale zazwyczaj działo się tak, ponieważ choroba czy służba uniemożliwiały obecność małżonka. W tym przypadku dama była wyjątkowo młoda, atrakcyjna, pozostawała w jak najbardziej zażyłych stosunkach ze swym znajomym, a jej mąż najwyraźniej nie wiedział, że w ogóle opuściła Anglię. Współtowarzysze podróży wietrzyli tu jakąś tajemnicę, może nawet skandal.

Elizabeth nie była w stanie walczyć z rosnącym zainteresowaniem, które wzbudzała jej osoba. Gdyby w pełni rozumiała społeczność, w którą wkraczała, wiedziałaby, że plotki były tutaj dla większości kobiet jedynym sposobem rozproszenia nudy. Książki, malarstwo czy nawet przybrana ojczyzna nie budziły



ich zbyt ciekawości, co kazało Elizabeth wspominać poranek, gdy John zauważył, iż tylko najbardziej nieczułe istoty mogłyby nie dostrzegać otaczającego je tutaj piękna. Tymczasem tym ludziom o wiele bardziej fascynująca wydawała się jej niekonwencjonalność.

Nie przeszkadzało jej to z zachwytem obserwować widoków rozciągających się po obu brzegach rzeki, którą barka płynęła do Kanpuru. Wszystko było tak, jak w opowieści Johna: kobiety prały, używając płaskich kamieni, woły i inne zwierzęta pociągowe piły i tarzały się w brązowej, plamistej wodzie, w której pluskały się nagie, ciemnoskóre dzieci. Mroczna dżungla rzucała na rzekę cienie i otaczała ją chłodem. Ponoć na tych terenach polowały tygrysy, ale żaden z nich nie raczył się ukazać podróżnikom.

Kiedy przystawali, od brzegów wypływały na ich spotkanie małe łódki, których właściciele oferowali im kasetki, bibeloty, koszyki, a nawet żywe ptaki. Transakcje zawierano szybko, ale Elizabeth nie zdecydowała się niczego kupić. Wiedziała, że Williamowi wystarczająco trudno będzie znieść jej własną obecność, a z pewnością naraziłaby się na wybuch jego gniewu, gdyby przybyła obwieszona gadającymi ptakami, naszyjnikami i pudełkami na przybory do szycia.

Kiedy przybyli do Kanpuru, Rupertowi zaproponowano, na czas potrzebny mu do wykonania nużącego zadania zdobycia palankinów, noclegi w kasynie oficerskim. Elizabeth obsypano różnymi zaproszeniami, z których przyjęła ofertę lekarza i jego żony. Po raz pierwszy zamieszkała w żołnierskim bungalowie. Warunki wydawały jej się spartańskie, ale gospodarze byli bardzo uprzejmi i starali się przygotować ją do życia na wojskowej placówce, objaśniając rządzące nią niepisane prawa. Wydały jej się one o wiele twardsze i surowsze niż jakiegokolwiek z zasad kierujących życiem cywilów, a jej złe przeczucia dotyczące Ratnapore pogłębiły się. Czyżby umknęła z jednego więzienia bez krat tylko po to, by dać się zamknąć w innym, o wiele gorszym?

Drugą część podróży odbyli w bogato zdobionych, osłoniętych kotarami pudłach, niepokojąco podobnych do trumien. Palankiny trzeba było kupić od ręki, ale Rupert był pewien, że kiedy dotrą do celu, wydatek szybko mu się zwróci, ponieważ pojazdy te były bardzo poszukiwane. Miał co prawda okazję kupić je taniej, z drugiej ręki, ale chociaż sam zamierzał sprzedać swój palankin jakiemukolwiek przyszłemu kupcowi, sam nie miał najmniejszego zamiaru przebywać w pojeździe tak intymnym, jeśli nie był on nowy. Oświadczył Elizabeth, że nigdy nie wiadomo, kto mógł w nim przedtem leżeć. Ona sama — gdy

tylko udało jej się pozbyć nieprzyjemnego wrażenia, iż jest niesiona na miejsce ostatniego spoczynku — zdołała się rozluźnić w tym dziwacznym wehikule, wołała jednak rozsunąć zasłony, by móc obserwować okolicę i upewniać się, że Rupert ciągle spoczywa w niesionym tuż obok palankinie. Kołysanie wywołane przez biegnących truchtem tragarzy, wzbudziło w niej początkowo poważne obawy, ale szczęśliwie mdłości, których się spodziewała, nie nadeszły.

W ślad za ich dwoma palankinami podążało sześć wielbłądów, które Rupert wynajął do przewozu bagaży, ale często na pewnych odcinkach trasy towarzyszyły im podobne karawany, zanim odłączyły się, dotarłszy do celu własnej drogi. Podróżowano głównie przed dziesiątą rano i po zachodzie słońca, przez najgorętsze godziny dnia odpoczywając w cieniu. Wędrowcy zatrzymywali się w bungalowach „dak”, których sieć zbudował rząd wzdłuż całej trasy. Tutaj zmęczeni podróżnicy próbowali niemalże wszędzie takich samych niesmacznych dań i usiłowali przetrwać godziny zaduchu na prowizorycznych łózkach, umieszczonych w maleńkich izdebkach.

Podczas tej wolnej, leniwie ciągnącej się części drogi, ich przyjaźń narażona została na ciężką próbę, jako że Elizabeth pragnęła odwiedzić miejsca ciekawe i słynące w okolicy z piękna, podczas gdy Rupert nie chciał słyszeć o niczym, co mogłoby przedłużyć podróż. Zgodził się w końcu, bardzo niechętnie i po zażartych kłótniach, zatrzymać na dwa dni, by dołączyć do małej grupy, która udawała się konno, aby zobaczyć „wiszącą świątynię”, zbudowaną na wzgórzu podmywanym przez wodospad. Przekonała go dopiero głęboka wiara Elizabeth w to, że Sir Hugo pragnąłby, by jego brat ujrział tę budowlę, nim runie ona na dno doliny. Kiedy przybyli na miejsce, zachwycił się tym widokiem i stwierdził, że za skarby świata nie chciałby go stracić. Mimo to jego pragnienie dotarcia do Ratnapore i rozpoczęcia służby w pułku związanym tradycją z jego rodziną było silniejsze niż wszystko inne i sprawiało, że irytowało go wolne z konieczności tempo, w jakim się posuwali. Szczególne uczucie zawieszenia, które tak odpowiadało Elizabeth, jego czyniło Nerwowym.

W każdym bungalowie, w którym się zatrzymali, narzekał najedzenie. Jeszcze bardziej gorzko uskarżał się na nie schłodzone wino i piwo. Nadal też piał hymny pochwalne na temat cnót swego brata, w spotkanie z którym zaczynał wątpić, biorąc pod uwagę, jak wolno się posuwali. Wreszcie, na którymś z przystanków Elizabeth poczuła, że więcej tego nie zniesie i oświadczyła:

— Muszę ci wyznać, Rupercie, że tak mnie już znużyło wysłuchiwanie opowieści o przymiotach Sir Hugona, że obawiam się, iż zacznę nienawidzić

twego brata, jeszcze zanim go poznam. Nie ma zalety, której on nie posiadałby w nadmiarze, i umiejętności, jaką nie potrafiłby się wykazać z mistrzostwem, któremu nikt nie jest w stanie dorównać. Co zaś do jego walorów zewnętrznych, to jestem zdziwiona, że do Ratnapore nie podążają długim sznurem damy liczące na to, że uda im się zwrócić na siebie jego uwagę, a znając jego niezrównanie gentlemańskie maniery z pewnością nie byłby na tyle okrutny, by im jej poskąpić.

Rupert spoglądający na nią przez jeszcze jeden popstrzony przez muchy stół, na którym podano im jak zwykle tłusty, niesmaczny posiłek, z którego w związku z tym zrezygnowali, wyglądał, jakby poraził go piorun.

— Źle się czujesz? — spytał w końcu.

Elizabeth wzięła głęboki oddech, po czym, by się uspokoić, powoli wypuściła powietrze.

— Nie czuję się źle, jestem po prostu niewiarygodnie zmęczona i bardziej niż trochę głodna. To, co zjadłam, starczyłoby chyba za ledwie na to, by utrzymać przy życiu kureę, a i to wzięłam do ust tylko dlatego, że nie wyszłoby mi na dobre, gdybym po dotarciu do Ratnapore zemdląła u stóp Williama. — Odganiając muchę, która z uporem próbowała usiąść na jej spoconym czole, zmuszona była dodać: — Chociaż nie zwierzałam ci się z tego, zapewne domyśliłeś się już, że moje stosunki z mężem nie należą do najlepszych. Ludzie, których spotykaliśmy po drodze, dali nam już wystarczająco jasno do zrozumienia, że okoliczności mego przyjazdu do Indii uchodzą za niekonwencjonalne i niemalże szokujące. Szczerze mówiąc, przypuszczam, że takie właśnie są. Czy nigdy się nad tym nie zastanawiałeś?

— Oczywiście że tak, ale cały czas podziwiam twoją determinację — odparł, co znacznie ją zdziwiło, po czym wyjawiał swą — mylną — interpretację jej czynów. — Jeśli kobieta jest tak oddana swemu nieobecnemu małżonkowi, iż gotowa jest wszystkiemu stawić czoło, by się z nim połączyć, prawdziwy gentleman nie może jej nie wspomóc. Myślę, że mówiłem ci już, iż nie rozumiem, jak jakikolwiek mężczyzna mógłby zmusić się do opuszczenia ciebie. Im dłużej razem podróżujemy, tym mniej to pojmuję. Wyraziłaś szczerze swój stosunek do Hugona. Muszę ci teraz wyznać, że moja opinia o panu Delacourcie nie jest w najmniejszym stopniu pochlebna. Właściwie to ani trochę go nie lubię.

Uśmiechnęła się, ujęta jego lojalnością.

— Jest bardzo prawdopodobne, że i William cię nie polubi, mój drogi. Nawet jeśli nie wyprzedziły nas plotki, nasze przybycie najprawdopodobniej wywoła zdziwienie i wiele domysłów. Ty zostaniesz rozgrzeszony: gentlemanom z łatwością wybacza się słabość do flirtowania z każdą kobietą, która pojawi się na ich drodze. Tego się właśnie po nich oczekuje. Ze mną będzie inaczej. Gdybym była starsza albo brzydsza, może okazaliby się na tyle litościwi, by nazwać mnie ekscentryczką i tylko dobrotliwie się ze mnie śmiać. Ponieważ sytuacja wygląda inaczej, zasłużę sobie tylko na ukradkowe spojrzenia pań mieszkających w koszarach i lekceważenie całego pułku.

— Hugo z pewnością będzie cię považał — oświadczył zdecydowanie Rupert. — I zniszczy każdego, kto nie będzie się zachowywał w stosunku do ciebie tak, jak powinien.

— Cóż, Sir Hugo będzie od ciebie znał prawdę.

— Nie będą mu potrzebne żadne wyjaśnienia z mojej strony. Nigdy się nie myli w swych sądach.

Pokrzepiona pocieszeniem, którego oczekiwała, zdobyła się na uśmiech.

— Wspaniały z ciebie przyjaciel! Wybacz mi moje bezpodstawne uwagi na temat twego brata.

— Hugo natychmiast by ci wybaczył. Jest najwyrozumialszą osobą na świecie — rzekł odwdzięczając jej się niepoprawnym uśmiechem.

Elizabeth milczała. Gdyby tylko mogła powiedzieć to samo o Williamie, nie pragnęłaby teraz, by te chwile zawieszenia, samej podróży, bez osiągnięcia jej celu, trwały bez końca.

Kiedy nad równiną zaczął wstawać świt, po raz pierwszy ujrzeli miejsce, do którego podążali. Był marzec tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku. Minęło cztery i pół miesiąca od tego mroźnego, szarego dnia, kiedy statek pocztowy odpływał z Southampton. Powietrze było rozkosznie świeże, a blady czar nowego dnia odsłonił przed ich oczyma fortyfikacje starego miasta — część romantycznych Indii, o jakich marzyła Elizabeth. W blasku poranka ukazały się białe, regularne rzędy koszarowych budynków Ratnapore. Ostateczny cel ich podróży.

Rupert krzyczał radośnie do Elizabeth ze swojego palankinu, ale ona opadła w milczeniu na poduszki czując, jak dziwne uczucie ekscytacji, przecucie smutku i cierpienia zaczyna palić jej pierś i ogarnia całe ciało aż do bólu rąk i

nóg. Wyraźnie wyczuwała atmosferę tego miejsca, ale nie mogła zrozumieć, czemu tak właśnie reaguje na Ratnapore. Co prawda John kiedyś tu przebywał, ale odwiedzał też Kalkutę, Kanpur i setkę innych miejsc, które mijała po drodze, a przecież tam nie odczuwała tak mocno jego duchowej obecności.

Palankiny i podążające za nimi obładowane bagażem wielbłądy przejeżdżały przez cywilną część koszar do kwater wojskowych. Elizabeth nic nie dostrzegała. Była gdzie indziej, może w innym świecie. Niepokój, który ją tak gwałtownie ogarnął, dało się wytłumaczyć tylko w jeden sposób. Z tego właśnie miejsca musiała zagadkowo zniknąć małżonka Johna — czymże innym dałoby się wyjaśnić to bolesne uczucie bliskości z mężczyzną, który w równie dramatyczny sposób odszedł z jej życia? Dopiero kiedy tragarze zatrzymali się i Rupert podszedł, by pomóc jej wyjść, zobaczyła jego znajomą twarz i powróciła ze swego odległego królestwa. Ujrzała szeroką aleję biegnącą wzdłuż rzędu bielonych wapnem bungalowów, z których każdy otaczało ogrodzenie.

— Kwatery oficerskie — wyjaśnił Rupert. Przybył wreszcie na miejsce, do którego tęsknił przez tyle lat, i jego oczy lśniły chłopięcym podnieceniem. — Już nas zauważono. Z kasyna, jak sądzę, idzie do nas jakiś facet. To niewątpliwie oficer dyżurny. Na pewno zaraz wezwie twojego męża, a potem skieruje mnie do Hugona.

Rotmistrz Barstowe z piechoty Kompanii Wschodnioindyjskiej istotnie pełnił właśnie służbę i oczekiwał na osobę, która miała go zastąpić. Ten zażywny, spocony mężczyzna o rzednących włosach i obfitych bokobrodach, z nie ukrywaną fascynacją wlepił oczy w Elizabeth. Oświadczył radośnie Rupertowi, że Sir Hugo oczekiwał, iż jego brat może przybyć w każdej chwili, ale nie przygotowano nic na przybycie pani Carruthers.

— Miło mi panią powitać — dodał. — Zawsze cieszy nas przybycie nowej damy, która, że tak powiem, uczyni to miejsce weselszym.

Barstowe nie tylko należał do armii Kompanii Wschodnioindyjskiej, na którą żołnierze Jej Królewskiej Mości patrzyli z góry, ale w dodatku najwyraźniej był to prosty żołnierz, który zyskał szlify oficerskie dzięki awansowi, nie mógł więc być uważany za prawdziwego gentlemiana przez tych, którzy nimi byli, stąd Rupert potraktował go niezwykle wyniośle.

— Możecie przekazać Sir Carruthersowi, że zobaczę się z nim, kiedy tylko oddam tę damę pod opiekę jej męża. Znajdźcie w tej chwili porucznika Delacourta.



Twarz odzianego w żółtą kurtkę munduru rotmistrza, oburzonego obraźliwym tonem tak młodego człowieka, poczerwieniała ze złości.

— Jest tu tylko rotmistrz Delacourt, a i on nie oczekuje żadnej damy, młokosie. Jego żona jest w Anglii. Nie mam pojęcia, w co tu sobie próbujesz ze mną grać, synu, ale lepiej wypróbuj to na chorążym Heldermanie, który wyszedł właśnie zza rogu i idzie przejąć moje obowiązki.

Zasalutował Elizabeth od niechcienia i odmaszerował w kierunku wysokiej, chudej postaci ubranej w mundur Dragonów Forrester's, która wspierała się niedbale o filar werandy kasyna oficerskiego. Elizabeth po raz pierwszy widziała, by Rupert wpadł w tak szalony gniew, choć nieraz już miała okazję obserwować, jak się złościł.

— Na Boga, jeszcze mnie za to przeprosi! Złapię go za ten piękny żółty mundur i wytrąsę z niego słowa przeprosin! Jak on śmie zachowywać się w tak znieważający sposób?!

Był tak zdenerwowany, że ruszył do pary rozmawiających oficerów, którzy od czasu do czasu rzucali spojrzenia w ich kierunku. Elizabeth została na środku zakurzonej drogi w swej luźnej, podróżnej szacie. Nieprzyjemna wiadomość, że William nie został powiadomiony o jej pobycie w Indiach, nie zrobiła na niej dużego wrażenia, jako że ciągle, odkąd po raz pierwszy ujrzała Ratnapore, miała dziwne uczucie, iż brakuje jej tchu. Zażarta kłótnia tocząca się pięćdziesiąt jardów przed nią wydawała jej się częścią snu. Rzeczywista była jedynie pewność, że wkrótce, nieuchronnie wszystko się wyjaśni. To uczucie wciąż przytłaczało ją, kiedy Rupert przyprowadził do niej chorążego Heldermana. Minę miał nachmurzoną, ale nie wydawało jej się, by przegrał tę potyczkę.

— Ten facet mówi, że przyprowadzi rotmistrza Delacourta, ale to może trochę potrwać. Wczoraj była jakaś uroczystość. Twój mąż się... poszedł do łóżka dopiero godzinę temu — wyjaśnił niezręcznie Rupert, któremu takt był raczej obcy. — Diabelnie trudna sytuacja. Hugo użyłby ci zacisza swej kwatery, ale jest kawalerem. To by nie przeszło... a kobietom nie wolno korzystać z kasyna. — Odwracając się do młodszego oficera, który wpatrywał się w Elizabeth jak koń w piękne, soczyste jabłko, powiedział ostro: — Zajmijcie się zawiadomieniem rotmistrza Delacourta, że jest tutaj jego żona, a potem przyjdźcie się dowiedzieć, gdzie umieściłem tę damę.

Choć Elizabeth była wciąż pod wpływem oczarowania, miała jeszcze tyle rozumu w głowie, by zdawać sobie sprawę z tego, jak jej towarzysz może się czuć w obliczu tych nieoczekiwanych komplikacji.

— Rupercie, tak długo czekałeś na spotkanie z bratem. Proszę, idź do niego. Ja poczekam na Williama w palankinie — powiedziała.

Z zakłopotaniem wykonał jakiś ruch ręką.

— Nie mogę cię tutaj tak zostawić. Żaden gentleman by się na to nie zdobył.

— Wystarczająco dużo już dla mnie zrobiłeś, mój drogi. Ale zrób jeszcze, proszę, to jedno — błagała, kładąc dłoń na jego rękawie. — Nie odkładaj dłużej spotkania z Hugonem. Wiem, jak droga była ci sama myśl o tym w czasie ostatnich tygodni.

— Nie, Elizabeth — opierał się jej propozycji z westchnieniem determinacji. — To nie do pomyślenia, bym mógł cię zostawić na ulicy jak... jak część bagażu, którym ma się zająć twój mąż, gdy będzie w stanie to zrobić. Delacourt nie podziękowałby mi za to.

— Czy mogłabym pomóc? — zapytał jakiś głos z prawej strony.

Obydwoje odwrócili się i ujrzeli stojącą w bramce pobliskiego bungalowu młodą kobietę w niebieskiej muślinowej sukni porannej. Jej niewiarygodnie smutną twarz otaczały ułożone w loki brązowe włosy, ale była w niej jakaś delikatna życzliwość, nie przypominająca wścibskości plotkarzy, których spotykali po drodze.

— Obawiam się, że podsłuchałam, co państwa trapi — wyznała. — Może minąć trochę czasu, zanim przybędzie pani mąż, pani Delacourt. Muszę z żalem powiedzieć, że nie oczekiwał przybycia żony. List informujący o pani bliskim przyjeździe dojdzie zapewne długo po tym, gdy zdąży się tu pani zdomowić. Zawsze tak bywa. Czy zechciałaby pani zaczekać w moim bungalowie? Mój mąż jest na patrolu, więc jem śniadanie samotnie. Może wypiłaby pani filiżankę herbaty, podczas gdy pan Carruthers będzie szukał swego brata?

Elizabeth widząc, że w ten sposób Rupert będzie mógł ją opuścić bez poczucia winy, uśmiechnęła się i odparła:

— Bardzo dziękuję. Z ochotą napiję się herbaty w chłodzie pani domu.

Już wkrótce wchodziła z tą damą, która przedstawiła się jako Fanny

Humphrey, do małego saloniku. Rupert odszedł obiecawszy, iż powie Heldermanowi, gdzie można ją znaleźć. Najwyraźniej powitał rozwój wypadków z ulgą, ale wyglądał na podekscytowanego.

— Proszę wybaczyć, że mam na sobie taką sukienkę — powiedziała Elizabeth do pani domu. — Nie jest odpowiednia na poranną wizytę.

— To jedyny rozsądny strój, na jaki można sobie pozwolić w palan- kinie. Proszę usiąść i rozgościć się, a ja w tym czasie postaram się, by przyniesiono dodatkowe nakrycie. Nie potrwa to dłużej niż minutkę.

Każda pozostawiona w obcym sobie pokoju kobieta rozejrzałaby się, próbując odczytać z umeblowania pomieszczenia jakieś wiadomości o jego mieszkańcach. Elizabeth siedziała cicho, zatraciła się w ciągle ją nękającym uczuciu niezwykle jasnej świadomości, iż wkrótce nadejdzie moment wyjaśniający jej wewnętrzne przecucia, których intensywność tak się teraz wzmogła, że niemalże niezdolna była je opanować. Pani Humphrey wróciła i usiadła przy małym stoliczku, na którym leżała taca, a służąca zaczęła rozkładać porcelanę dla gościa.

— Kiedy wstawał dzień, nie wiedziałam, że okaże się on tak interesujący — powiedziała z uśmiechem nalewając, a potem wręczając Elizabeth filiżankę herbaty. — Ostrzegam, że niewiele będzie pani miała czasu dla siebie, zanim wszyscy nie usłyszymy najnowszych wiadomości z naszej ukochanej Anglii.

— Wiadomości, którymi dysponuję, trudno jest nazwać najnowszymi — odpowiedziała zastanawiając się, czemu ręce drżą jej tak, że filiżanka stuka o spodek. — Opuściłam Southampton bardzo dawno: pierwszego listopada.

— A tak szybko pani tu dotarła — dziwiła się jej rozmówczyni. — Ja podróżowałam z pułkiem. Spędziliśmy na morzu sześć miesięcy i opływaliśmy Przylądek Dobrej Nadziei w sztormie, który zepchnął nas o dwa dni żeglugi za daleko na południe. Przyznam, że myślałam, iż tego nie przetrwam. — Rzuciła Elizabeth przepaszający uśmiech. — Ale pani na pewno nie ma ochoty teraz tego wysłuchiwać. To naprawdę nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że list do rotmistrza Delacourta nie przybył tutaj przed panią, gdyż z niespokojnego wyrazu twarzy jasno widać, jak bardzo chce pani znów być z nim. Na pewno nie jest daleko, może być pani spokojna. Wiem, że nie jest na patrolu, gdyż mojemu mężowi towarzyszą pan Phipps i rotmistrz Stavenham.

Pokój zaczął się kręcić przed oczyma Elizabeth, wciągając ją w ten oszalałający wir. To niemożliwe. Jego pułk był na pełnym morzu, w drodze do

Anglii. Ale obecność Johna tutaj wyjaśniłaby jej przeczcucia, pozbawiające tchu przeświadczenie, które mówiło jej, że w Ratnapore czeka na nią smutek.

Z wysiłkiem wymawiając słowa, szepnęła:

— Nie przypominam sobie, by w pułku służył jakiś rotmistrz Stavenham.

— Przeniósł się dwa miesiące temu z pułku Huzarów Chetwynde's. Wygląda na to, że nie miał ochoty wracać do domu. Wydaje mi się to bardzo dziwne, ale ponieważ chodzą plotki, dotyczące zaginionej tutaj bez śladu jego żony, należy przypuszczać, że nie może znieść rozstania z krajem, w którym ją stracił. Ta tragedia wyjaśniałaby też to, że odnosi się do wszystkich z rezerwą i jest raczej ponury. George twierdzi, że przewiduje on jakieś kłopoty z Sikhami, które innym wydają się mało prawdopodobne, ale najwyraźniej rotmistrz żywi osobistą urazę do tych, których obwinia za to, co przytrafiło się jego małżonce, cokolwiek by to było. Biedny człowiek! Trzeba mu oczywiście współczuć, ale jedynym lekarstwem byłoby dla niego powtórne małżeństwo. W Indiach jest wiele kobiet chętnych do... — Przerwała, nękana wyrzutami sumienia. — Ojej, ale się rozgadałam! Przepraszam. Ma pani za sobą całą drogę z Anglii i z pewnością nie życzy sobie, by od razu zaszczycano ją miejscowymi plotkami. Przez ten nieszczęsny zbieg okoliczności ma pani pewnie wrażenie, iż nigdy już nie połączy się z mężem.

— Wręcz przeciwnie — odrzekła, wciąż głęboko zszokowana, Elizabeth. — Nie sądziłam nawet, że to w ogóle nastąpi.

Gromkie krzyki przerwały gorączkowe rozmyślenia Elizabeth nad tym, dlaczego John postanowił zostać w Indiach i jak ona sama szukać ma zgody z Williamem, gdy przedmiot jej duchowej zdrady będzie jej wciąż o tym sprzeniewierzeniu się przypominał. Po tym wszystkim, czemu musiała stawić czoło tego ranka, był to bolesny cios. Jak John się wobec niej zachowa? Jak uda jej się ukryć przed Williamem prawdę i traktować rotmistrza Stavenhama jak obcego człowieka? Była tak oszołomiona tym niewątpliwym zrzędzeniem losu, że tylko częścią umysłu zdawała sobie sprawę z głośniejszej kłótni, coraz lepiej słyszalnej, w miarę jak do bungalowu zbliżały się ciężkie kroki. Pani Humphrey przestała szczebiotać i miała zaskoczony minę. Sedno tego, co wypowiadały dwa męskie głosy, można było teraz doskonale zrozumieć w salonie.

— Ty albo ta kobieta robicie sobie jakieś durne kawały! — ryczał William. — Na Boga, jeszcze ode mnie za to usłyszycie!

— Mówiła... Pan Carruthers twierdził... twierdził, że to pańska żona, sir — odpowiedział młody, zadyszany głos. — Właśnie przed chwilą powiadomił mnie, że jest u pani Humphrey.

— Jak śmieliście umieścić jakąś moją kochanicę w domu porządnej kobiety?! Doprowadzę do tego, że was za to zdegradują, przysięgam!

Fanny Humphrey, jeszcze bardziej zdziwiona, wstała i podeszła do drzwi wejściowych. Elizabeth siedziała jak przyrośnięta do krzesła. Na dźwięk tego znajomego, karcącego głosu przypomniała sobie, jak się czuła, gdy sama była ofiarą takich nagan. Oczyma wyobraźni ujrzała teraz wyraźnie postać, którą postanowiła zapomnieć, by nie czuć się nieszczęśliwa. Nagle William naprawdę wpadł do pokoju, a ona poderwała się na nogi, by stanąć z nim twarzą w twarz. Ukazał się jej potężny blondyn w nierówno zapiętej szkarłatnej kurtce munduru, której odpięta stójka ukazywała nagie ciało. Jego niebieskie spodnie były pomięte i pokryte ciemnymi plamami. Zmierzwione włosy opadały na przekrwione oczy i ciężkie z niewyspania powieki. Przez dwa lata, które spędzili osobno, jego uroda spospoliciała. Zbladł, wpatrując się w Elizabeth bez słowa. Zawahała się, odwzajemniając jego spojrzenie. Czemu wydawało jej się, że sama determinacja wystarczy, by naprawić ich małżeństwo? Nie kochała tego człowieka. Nawet go nie lubiła.

Wstrząśnięta tym odkryciem zdołała jednak powiedzieć w miarę spokojnie:

— Twój ojciec przesłał ci wiadomość, że przyjeżdżam. Jego list musi leżeć zapomniany w Fort Williams albo w jakimś biurze w Kalkucie. Oboje zostaliśmy przez to postawieni w trudnej sytuacji. Byłam zmuszona podróżować przez cały kraj, nie mogąc skorzystać z udogodnień, jakie na ogół zapewniają żonom mężowie, jeśli nie mogą im towarzyszyć. Ty zaś nie miałaś okazji przygotować się do mojego przyjazdu.

— Kto ci pozwolił... kto był na tyle głupi i słaby... mój ojciec chyba postradał zdrowe zmysły! Jak śmiałaś mi to zrobić? — mówił zdławionym głosem, chwytając się oparcia krzesła, by uchronić się od upadku, kiedy się zatoczył.

Zdziwiona, że choć tak długo drżała przed tą chwilą, teraz, gdy ona nadeszła, nawet w najmniejszym stopniu nie przerażał jej gniew Williama, odparła spokojnie:



— Zrobiłam to, ponieważ nie odpowiadało mi życie, jakie musiałam prowadzić z powodu twojej nieobecności. Przetrwiałam podróż, która — jak twierdziłeś—miała być dla mnie zbyt ciężka i spotkałam po drodze wystarczająco dużo kobiet, by uznać za nonsensowne przyczyny, dla których zostawiłeś mnie w domu. Mówiłeś kiedyś, Williamie, że twój obowiązek wobec pułku wymaga, byś podążał za nim wszędzie — mówiła dalej z mocą. — Mam ten sam obowiązek jako twoja żona. Twoi rodzice wreszcie to pojęli i wysłali mnie tutaj, do ciebie. Myślę, że i ty wkrótce to zrozumiesz.

Ciągle zaciskał dłonie na krześle, wpatrując się w osobę, którą najwyraźniej uważał za zjawę wyczarowaną przez jego zaćmione winem zmysły. Elizabeth poczuła gniew. To nie jej wina, że nie dotarł do niego list Delacourtów ani że przybyła tuż po jakiejś wyuzdanej imprezie. Pani Humphrey i chorąży Helderman, którzy taktownie wyszli, z pewnością są jednak na tyle blisko, by słyszeć przebieg ich powitania. Tego zdążyła się nauczyć podróżując po Indiach.

— Czy moglibyśmy teraz udać się na twoją kwaterę? Wydaje mi się, że już wystarczająco długo wykorzystujemy gościnność pani Humphrey.

— Moją kwaterę? — powtórzył głośno. — Moją kwaterę?! — Para czekająca na zewnątrz z pewnością usłyszała jego chrapliwy śmiech. — Mieszkam jak kawaler z człowiekiem o nazwisku Stavenham. Dzielimy kwaterę. Nie mogę tam sprowadzić jakiejś kobiety.

Wydawało jej się, że więcej już nie będzie w stanie znieść. Dobrze nieba, a więc John musiał cierpieć hańbę zamieszkiwania z mężczyzną, którego żonę kochał tak bardzo, że pragnął ją poślubić! Dla niego też los był okrutny.

— Nie jestem „jakąś kobietą”, Williamie. Jestem twoją żoną — powiedziała drżącym głosem. — Gdzie więc możemy pójść, by mieć trochę intymności i abyś mógł... — przypomniawszy sobie, że mogą być podsłuchiwani, powiedziała coś innego, niż zamierzała — abyś mógł powiedzieć mi, co należy zrobić, żeby dostać małżeński bungalow?

Odgarnawszy ręką włosy z oczu, chwycił się z rozpaczą za swą jasną czuprynę.

— Pójść? Tu nigdzie nie można pójść. To się nie zdarza. To się nigdy nie... na Boga, Elizabeth, chcesz mnie zniszczyć?

Szybko podeszła do niego i rzekła półgłosem:

— Sam się zrujnujesz, jeśli nie przestaniesz ogłaszać całym koszarom, że nie masz ani krzty szacunku, ani poważania dla żony, która przebyła pół świata, by do ciebie dołączyć. Weź się w garść. Wolałabym już prowadzić tę dyskusję na równinie niż tu, gdzie każde nasze słowo będzie roztrząsane całymi dniami.

Wzdychając ciężko, przewiercił Elizabeth spojrzeniem swych załamanych, przekrwionych oczu, ale wreszcie dotarły do niego jej słowa.

— Właśnie sobie przypomniałem, że Stavenham jest dzisiaj na patrolu. Wróci dopiero późną nocą.

— To chodźmy tam wreszcie — popędzała. — Zniosłam już dość złośliwej wścibskości mych współpasażerów. Bądź tak dobry i oszczędź mi tego tutaj.

Williamowi udało się jakoś mówić opanowanym głosem, kiedy wyszli, ale szkoda już została wyrządzona. Fanny Humphrey była zbyt wylewna, młody oficer zbyt z siebie zadowolony. Elizabeth, ubrana w strój podróży, musiała pokonać niewielki dystans dzielący ich od kwatery Williama w palankinie. Jej mąż spieszenie odmaszerował, niewątpliwie po to, by pozbyć się widocznych śladów po wczorajszym upiciu. Kiedy przepelniona wzruszeniem Elizabeth weszła na werandę bungalowu, w którym mieszkał teraz John, przecucie jego obecności ogarnęło ją z nową siłą. Spał tutaj poprzedniej nocy i powróci tu dziś wieczorem! W ciągu najbliższych dwunastu godzin ponownie go ujrzy!

William zdążył się już uczesać i porządnie zapiąć mundur, chociaż zapomniał o stójce, ale mimo tych wysiłków ślady hulaszczego życia były nadal widoczne. Na stoliku między dwoma fotelami znajdującymi się w schludnym salonie stał na tacy dzbanek kawy. Przez uchylone drzwi do drugiego pokoju ujrzała służkę zdejmującego prześcieradła z łóżka.

Mąż nie poprosił, aby usiadła. Zbyt był poruszony, by myśleć o towarzyskich subtelnosciach.

— Czemu mnie, do diabła, nie posłuchałaś? Czy moja rodzina traktowała cię aż tak źle, że byłaś zmuszona posunąć się do tak radykalnych środków?

— Nie — odrzekła spokojnie.

— Czy zrobiłaś coś, co zmusiło cię do opuszczenia na jakiś czas Anglii?

Było to niepokojąco bliskie prawdy.

— Nie wiem, co masz na myśli, Williamie.

Uśmiechnął się ponuro.

— No to się wkrótce dowiesz, bo będzie się o tym mówiło od Kalkuty po Ratnapore. Kiedy wyjeżdżałem, nie oczekiwałem, że wstąpisz do klasztoru — jesteś na tyle młoda i romantyczna, by móc sobie z radością pozwolić na jakieś konwencjonalne flirty — ale wierzyłem, iż będziesz na tyle rozsądna, by pamiętać o obowiązkach tak względem mnie jak i mojej rodziny. Nie zrobiłaś z siebie idiotki dla jakiegoś młokosa, co?

Najlepiej było odpowiedzieć atakiem.

— A nie przyszło ci do głowy, że dręczyła mnie tęsknota nie do wytrzymania, że chciałam być z moim mężem jak żony innych oficerów?

— O nie, moja droga, na nic ci się ta wymówka nie przyda — powiedział z gniewem. — Nie można powiedzieć, żebyśmy byli doskonale dobraną parą i nie uwierzę, że odbyłaś tę podróż z miłości do mnie, chyba że w czasie naszego rozstania stworzyłaś sobie fałszywy obraz mojej osoby. To, że tu przyjechałaś, przekonuje mnie, że nie stałaś się ani trochę bardziej konwencjonalna, niż byłaś. Zostawiając cię z moją matką i siostrami pragnąłem, byś wyleczyła się właśnie z samowolności. Z samowolności oraz tendencji do nieposkromionego gadulstwa i rozmów ze znamienitymi gentlemanami na tematy, na które żona młodszego oficera nie powinna wypowiadać swojego zdania, a tym bardziej wymagać takowych opinii od rozmówców. Jeśli nie zgadzaliśmy się już w Anglii, jakże będziemy się kłócić w tym zwaśnionym kraju! — Jeszcze raz, w rozpaczy, chwycił się ręką za włosy. — Jak mogłaś mi to zrobić? Jakiej sztuczki użyłaś, by otumanić mego ojca tak, że pozwolił ci postawić na swoim? — Jeszcze bardziej podniósł głos. — Czy zdajesz sobie sprawę, jakie wywołasz tu poruszenie? Stanę się pośmiewiskiem całych koszar: mężczyzna, który zostawia żonę bezpiecznie z rodziną tylko po to, by pojawiła się nie zapowiedziana u jego progu! Nie mogłaś mi już wyrządzić większej krzywdy.

— O tak, zdałam sobie właśnie z tego sprawę — odparowała gwałtownie. — Z powodu żony, która pojawiła się bez zapowiedzi u twego progu, będziesz zmuszony opuścić następne uroczystości w kasynie na długo przed tym, gdy będziesz zbyt pijany... i... zmuszony zapłacić swoim... kochanicom.

— Elizabeth! — zawołał z oburzeniem.

— Czy ty miałaś dla mnie jakiegokolwiek względy? — spytała. — Czy nie byłam pośmiewiskiem pułku, kiedy zostawiłaś mnie jak krnąbrne dziecko ze 'swoją porządną, pobożną i nieznośnie nudną rodziną, podczas gdy inne kobiety

towarzyszyły mężom w podróży? Myślisz, że jak się czułam przez te dwa lata będąc ni to panną ni to wdową? Jak śmiałeś przyjąć wobec mnie tak protekcyjną postawę i zgodzić się, bym pod twą nieobecność oddawała się konwencjonalnym flirtom, pamiętając jednak o swych obowiązkach wobec ciebie? A twoje powinności względem mnie? Czy pamiętałeś o nich wdając się w swoje romanse, Williamie? Czy może wszystkie damy zamieszkujące koszary żałowały nieszczęsnej żony, która musi być tak beznadziejna, że mąż zostawił ją w domu, by móc się pocieszać, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota?

William, czy to zaszokowany takim wyzwaniem pochodzącym z kobiecych ust, czy nie mogąc dłużej ustać, opadł bez słowa na stojący w pobliżu fotel. Elizabeth usiadła również i spojrzała na niego z rezygnacją.

— Nie miałam zamiaru cię atakować w minutę po naszym spotkaniu, ale obojgu nam pokrzyżowało plany to, że nie doszedł do ciebie list twego ojca, dzięki któremu byłoby nam teraz z pewnością łatwiej. — Westchnęła. — Nawet nie wiesz, jak bardzo byłam nieszczęśliwa, odkąd mnie porzuciłeś. Tak, porzuciłeś mnie, Williamie — dodała pospiesznie widząc, że ma zamiar protestować. — Mam teraz dowody na to, że wiele kobiet jest zadowolonych, mieszkając tu bezpiecznie z mężami przez długie lata ich służby... a pani Humphrey mówiła o podróży, którą odbyła z małżonkiem i całym pułkiem, co pokazuje, jak bezsensowna była twoja opinia, że żadna kobieta nie jest w stanie przetrwać trudów takiej drogi. Próbowałam z całej siły przyzwyczaić się do sposobu życia, który mi narzuciłeś, ale nadeszła taka chwila, że wolałabym raczej zwariować, niż przeżyć jeszcze jeden sezon w Londynie. Owszem, nie zgadzaliśmy się w Anglii, ale przybyłam tutaj ze zdecydowanym zamiarem uczynienia naszego małżeństwa bardziej znośnym. Musisz przyznać, Williamie, że po dziesięciu latach rozstania stalibyśmy się sobie obcy i jeszcze mniej zgodni. Pozostanę twoją żoną, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Czy nie moglibyśmy postarać się, by było nam z tym jak najlepiej, zamiast ignorować ten fakt, jak ty próbujesz to robić? — poprosiła w końcu.

William nalał sobie czarnej kawy i wypił szybko dwie filiżanki, jedna po drugiej. Z trzeciej, którą napełnił, unosiły się spirale pary, podczas gdy on siedział przyglądając jej się znad złożonych dłoni, aż wreszcie podjął decyzję. Lekceważąc jej błaganie, powiedział ciężko:

— Cóż, przyjechałaś i musimy sobie jakoś z tym poradzić. Jeśli chcesz, potrafisz być urocza, a twoja młodość zachęci innych do traktowania tej eskapady jako zaspokojenia zachcianki. O ile tylko odtąd będziesz zachowywała się

całkowicie bez zastrzeżeń, możemy wyjść z tego z twarzą. Dla swego własnego dobra powinnaś się modlić, by wkrótce nadszedł list mego ojca jako dowód na to, że przedsięwzięłaś tę podróż sądząc, że zostałem o tym powiadomiony. Kto towarzyszył ci do Kalkuty jako przyzwoitka?

— Pan Carruthers. Państwo Hall nie mogli wyruszyć w podróż z powodu choroby — dodała spiesznie. — Rupert był cały czas wspaniały.

— Rupert! — ryknął, po czym wzdrygnął się z bólu i od razu chwycił za głowę.

— Bardzo się zaprzyjaźniliśmy.

— Na Boga, mogę się założyć, że tak — powiedział z goryczą.

— On jest z rodu Carruthersów — powiedziała spokojnie, nalewając sobie kawy. — Nie powinieneś wątpić w jego uczciwość. Nie wiem, co bym zrobiła bez jego pomocy i ochrony. Na pustyni, kiedy nasze konie się spłoszyły, uratował osiem osób. Jesteś mu dłużny życie swej młodej, czasem uroczej żony... i koszty mojej podróży z Kalkuty. Zapewniłam go, że natychmiast się z nim rozliczysz.



— Co zrobiłaś? Może cię zainteresuje, że jestem po... — przerwał i złożył głowę w dłoniach.

Po chwili Elizabeth powiedziała cicho:

— Jak na kogoś, kto nie życzy sobie, by jego żona zajmowała się sprawami, które z pewnością są obce jego matce i siostrze, jesteś ze mną wyjątkowo szczery. Ile masz długów, Williamie? — Nie odpowiedział, więc dodała uszczypliwie: — Cóż, również i z tym musimy sobie jakoś poradzić. Muszę przyznać, że jeśli chcesz, potrafisz być uroczy. Dla swego własnego dobra powinieneś się modlić, żeby moje stosunki z Rupertem były na tyle dobre, by przyjął od ciebie pisemne przyrzeczenie zapłaty.

William wstał szybko i ruszył do przyległego pokoju.

— Nie zniosę tego — zaklinał się. — Jak ma nam być dobrze, jeśli zrobiła się z ciebie taka jędza? — Odwracając się w drzwiach, dodał złowrogo: — Nie mogę odesłać cię jeszcze do Anglii z obawy, by nie zaszkodziło to mej karierze bardziej niż twój przyjazd, ale jedno ci powiem, moja pani. Przybyłaś tutaj z własnej woli. Nawet jeśli jakaś część życia ze mną tutaj nie przypadnie ci do gustu, z chęcią się do niej dostosujesz. Przyjechałaś, by być mą żoną i będziesz nią, dopóki nie znajdę rozsądnego sposobu, żeby się ciebie pozbyć. Wezmę teraz kąpiel i ubiorę się stosownie na rozmowę z adiutantem pułkownika, którego poproszę o zmianę kwater przed wieczornym powrotem Stavenhama. Mówią, że jego żona zniknęła kiedyś bez śladu. Powinieneś się z tego cieszyć.

\* \*

\*

Kiedy o zmroku dostrzeżono powracający patrol, od razu stało się jasne, że coś jest nie tak. Przednia czujka wysłała żołnierza po dowódcę warty, ale ten przybył zbyt późno, by cokolwiek wyraźnie zobaczyć. Światło było już zbyt blade, aby można było rozróżnić na równinie kształty. Kurz wznoszony przez posuwającą się kolumnę rozplątywał się w szarości nadchodzącej nocy, a oślepienie słońcem oczy mogły zwodzić, dostrzegając ruch w setce różnych miejsc. Straż mogła tylko zameldować, że poruszają się wolniej niż zazwyczaj, w — jak się wydaje — bezładnych, nierównych szeregach. Dowódca warty doszedł na tej podstawie do wniosku, że mają straty w ludziach. Natychmiast posłał do szpitala wiadomość, by przygotowano nosze dla rannych. Wieść szybko roznio-

sła się po koszarach i w drzwiach baraków i bungalowów pojawili się prości żołnierze i oficerowie. Czyżby tamci brali udział w prawdziwej walce? Mimo że mógł ich tam czekać ból i śmierć, wszyscy zazdrościli tym, którzy udali się dzisiaj na patrol. Służąc w czasie pokoju można było oszaleć. Wszyscy zgodzili się, że o wiele lepiej było zginąć w walce niż z powodu jakiegoś ohydneho choroby.

Ruchom ludzi podążających z noszami i hinduskich stajennych spieszących ku bramom, niespokojnych o los swych koni, dodawały dramatyczności pochodnie, które rozjaśniły całe koszary, kiedy zapadł zmrok. Wszyscy czekali, nerwowi, podekscytowani, na pierwsze okrzyki obserwatorów. Nie czekali długo. W ciągu kilku minut patrol, a raczej to, co z niego zostało, zapowiadany tylko stłumionym dźwiękiem kopyt, przejechał przez bramę koszar i wjechał w krąg światła.

Wyczerpani żołnierze minęli lokalny bazar, grupę baraków, w których mieszkali stajenni i ścinacze trawy, a następnie okrążyli tory wyścigowe, by dotrzeć na plac apelowy znajdujący się naprzeciw biur pułku. Przepychający się tam wojskowi byli przerażeni i zachwyceni tym, z jaką dyscypliną rotmistrz Stavenham zdołał doprowadzić obszarpanych, zakrwawionych żołnierzy na przepisowe miejsce zakończenia patrolu. Gapię zamilkli, by słyszeć wśród brzęku upręży i skrzypienia skóry, towarzyszących ustawianiu się żołnierzy w szereg, ciche komendy rotmistrza. Do zwykłego w takich okolicznościach odoru ludzkiego i końskiego potu dołączył się fetor otwartych ran, z których — dopóki nie wysuszyło ich słońce — na ciała rannych i ich rumaków swobodnie sączyła się krew.

Oczy gapiów rozszerzyło zdziwienie, kiedy policzyli wojaków zwisających nieruchmo z siodeł i spojrzeli na białe twarze tych, którzy trzymali się prosto tylko dlatego, że robił to ich dowódca. Żołnierze Dragonów Forrester's jeszcze czegoś takiego nie widzieli. Cholera, która przeszła przez pułk nie dając nikomu szansy przetrwania, była nikczemnym mordercą. Rany zdobyte w czasie bitwy to inna sprawa. Jakie opowieści skrywały te nieruchome postacie? Oddechy koni zaczęły się już zmieniać pod wpływem chłodu nocy w parę, ale większość żołnierzy zdawała się prawie nie oddychać. Ostre światła rzucały cienie na ich twarze, kiedy rotmistrz Stavenham dał rozkaz rozejścia się. Gdy zsiadł ze swego rumaka i oddał go stajennemu, zauważono, że idzie chwiejnym krokiem, ale pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było dopilnowanie, by wszystkim rannym udzielono pomocy przy schodzeniu z koni i umieszczono ich na no-

szach, które zostaną zaniezione do szpitala. Za nimi przenoszono na noszach zmarłych.

Kiedy dostrzeżono nowe fakty, wśród otaczających patrol żołnierzy zaplanowało poruszenie. Rotmistrz miał na plecach ranę zadaną szablą. Przecięty mundur wokół niej pokryty był grubą warstwą zaschniętej krwi. Górna część czaka porucznika Humphreya została odcięta. Gdyby cios zadano o cal niżej, trafiłby w głowę! Chorąży Phipps nie żył. Tak samo Tom Donegal i kapral Gattes. Był też wśród nich Billy Martin, biedaczysko, a raczej to, co z niego zostało. Starszy żołnierz Haynes stracił stopę. Widzieli, w jakim stanie są wynoszeni na noszach ranni, ale wciąż nie wiedzieli, co się dzisiaj wydarzyło. Ci, których nie raniono, byli tak wyczerpani, że nie stać ich było na więcej, niż przepchnąć się przez tłum i ruszyć do baraku, a oficerowie nie powiedzą nic, dopóki nie złożą raportu głównodowodzącemu. Przez szeregi przebiegł w mgnieniu oka dreszcz podniecenia, przekształcający stęchłą atmosferę tej skwarnej granicznej placówki w nastrój niespokojnego oczekiwania. Czy będą mieli wreszcie szczęście wykazać, ile są warci, i okryć się chwałą?

Upewniwszy się, że jego ludzie będą mieli zapewnioną opiekę, jakiej potrzebują, John odwrócił się do swego porucznika, który również wskazywał sanitariuszom, kto wymaga pomocy.

— A więc wyszliśmy z tego, George — powiedział cicho.

— Dzięki wam.

Potrząsnął głową. — Żaden człowiek nie wyprowadziłby nas z tego cało, gdyby nie sprzyjało mu szczęście. Idź teraz do domu i uspokój żonę... i na miłość boską, zanim wejdiesz, zdejmij to czako. Jeśli zobaczy, co może uczynić szabla, nie zazna już spokoju.

George od razu się temu sprzeciwił. — Wasza rana jest głęboka, sir. Najpierw oddam was w ręce lekarza.

— Nie, muszę bezzwłocznie złożyć raport Lakelandowi.

— Ale... mogę mu przecież zdać na razie zastępcze sprawozdanie, zanim wami się ktoś nie zajmie.

John odparł, chwyciwszy go za ramię: — Wierzę, że mógłbyś mnie zastąpić. Jednak moje ciało z pewnością nie ucierpi w ciągu najbliższych dwudziestu minut bardziej niż przez całe popołudnie, a pomyśl, co przeżyje w tym czasie twoja żona. Zrób, o co proszę.

George posłuchał go z ociąganiem. John odwrócił się do oficera dyżurnego, który przybył na miejsce haniebnie późno. Chorąży Helderman, blady i zalękniony, wysłuchał Johna, który rozkazał, by jechał do bungalowu pułkownika i uprzedził go, że rotmistrz Stavenham podąża, by zdać relację z bitwy, która spowodowała poważne straty w ludziach. Później, zdając sobie sprawę, że nie zniesie jeszcze raz bólu towarzyszącego wsiadaniu na konia, kazał stajennemu odprowadzić go do stajni przylegającej do bungalowu, który dzielił z Williamem Delacourtem. Rzucił ostatnie spojrzenie na szereg martwych i rannych, których przenoszono lub odwożono w ciemność, poza migające światła, po czym ruszył pieszo ku największemu z oficerskich bungalowów. Chociaż dręczył go dotkliwy ból, był zdecydowany osobiście powiadomić o wszystkim mężczyznę, który sugerował, że dziesięć lat spędzonych w Indiach każe mu widzieć wyszkolone wojsko w miejsce niezdiscyplinowanych bandytów. Chociaż jego podejrzenia sprawdziły się, nie czuł się z tego powodu triumfator, lecz Lakeland nie mógł przecież zignorować tak zorganizowanej agresji, z jaką spotkał się patrol. Tak Ratnapore, jak leżące dalej forty, miały stanowczo zbyt mało ludzi, by odeprzeć atak. Lakeland musi się postarać o posiłki, zanim nie będzie za późno.

Kiedy tak podążał z uporem ku swemu celowi, mijalo go wiele osób spieszących, by zobaczyć, czy to, co słyszeli, jest prawdą. Z wyczerpaniem zbywał ich gorączkowe pytania mówiąc, że już wkrótce poznają prawdę. Wiedział, że jeśli teraz przystanie, to może nigdy nie dotrzeć do bungalowu pułkownika. U stóp trzech schodków wiodących na oświetloną łożowymi pochodniami werandę oczekiwał na Johna adiutanta, co nie wróżyło dobrze jego misji.

Szczupły i elegancki w swym mundurze galowym Frederick Ashburton-Smythe wyraził swe oburzenie na widok oficera kawalerii poruszającego się po koszarach na piechotę, po czym oznajmił, że pułkownik Lakeland ubiera się właśnie na kolację, więc John zmuszony będzie poczekać i jest w tym czasie zaproszony na drinka. Kiedy ujął ramię rotmistrza, by pomóc mu wejść na schody, zaschnięta rana na plecach tak dała się Johnowi we znaki, że jęknął z bólu.

— Przepraszam — powiedział adiutant z entuzjazmem. — Trochę jesteście obolali, co?

— Obolali?! Tak, można to tak nazwać — warknął John, wściekły, że pułkownik dalej zajmuje się swą toaletą, jakby jego wizyta nie była pilna.

— Czy Lakeland wie, że mieliśmy starcie z Hindusami i straciliśmy połowę ludzi?

— Ja... no, niezupełnie — wyznał potulnie Ashburton-Smythe. — Młody Helderman powiedział, że coś się wydarzyło i że przyjdziecie tu później opowiedzieć o szczegółach. — Na jego długiej twarzy, którą czyniły komiczną otaczające ją bokobrody w różnych odcieniach, dopiero teraz pojawił się wyraz świadczący o tym, że do adiutanta dotarła waga słów Johna. — Straciliście połowę ludzi?! Jak to się stało?

Stali teraz pośrodku przestronnego pokoju o białych ścianach, ozdobionych jeszcze jednym zestawem rycin o tematyce sportowej, trofeami hipicznymi i portretem księcia Wellingtona. John obserwował adiutanta spod opadających ze zmęczenia powiek.

— Poznacie szczegóły, jak tylko nasz głównodowodzący będzie wystarczająco zadowolony ze swojego wyglądu. Najwyraźniej uważa wybór spinek do kołnierzyka za sprawę ważniejszą od sprawozdania z pola bitwy.

— Jestem pewna, że nie, rotmistrzu Stavenham — odezwał się za jego plecami karcący głos.

John, który zbyt energicznie się odwrócił, wydał głośny okrzyk bólu. Charlotte Lakeland szybko do niego podeszła.

— Jest pan ranny? Dlaczego nie zajmują się panem w szpitalu, sir?

Głęboki niepokój malował się na jej, od dawna już nie pielęgnowanej olejkami i lotonami twarzy, której nie dodawała uroku prosta, szara suknia z brązowymi obszyciami. Jej oczy błyszczały jednak strapieniem, a słowa

— po oszalałych dźwiękach męskich głosów — rozbrzmiewały w uszach Johna słodyczą.

— Udam się do lekarza, jak tylko przekażę pani mężowi wiadomości, które, jak uważam, powinien bezzwłocznie poznać, droga pani — powiedział półgłosem.

— Ależ to niebezpieczne pozostawiać rany zbyt długo bez opatrzenia!

— Mam nadzieję, że uda mi się tego uniknąć — odpowiedział znacząco.



Zrozumiała jego aluzję i odeszła obiecując, że zaznajomi męża z sytuacją. Adiutant z niezdrowym zainteresowaniem oglądał odziane w mundur plecy Johna.

— To dlatego szliście piechotą — powiedział z zamyśleniem. — Od razu wydało mi się to dziwne.

Pułkownik Lakeland wpadł do pokoju ubrany w długi jedwabny szlafrok i spodnie munduru. Był niezwykle zirytowany.

— Helderman nie mówił nic o ranach, tylko o jakimś incydencie. Myślałem, że koń was zrzucił albo coś w tym rodzaju. Co tu robisz w takim stanie, człowieku? Humphrey i Phipps to przecież absolutnie kompetentni oficerowie.

— Phipps nie żyje, sir, a Humphrey poszedł pocieszyć żonę — odparł John kamiennym głosem.

— A wy wyglądacie jak chodząca śmierć! — Odwracając się do adiutanta, powiedział ostro: — Poślij po nosze, Freddie. Nie można wymagać, żeby jechał konno do szpitala. — Kiedy ten odszedł, Lakeland jeszcze raz odwrócił się do Johna. — Dobra, zdajcie mi zwięzły raport z tego, co się wydarzyło, a potem niech wam zaszyją tę ranę. Nic nie wskazuje na to, że Ratnapore zostanie niechybnie zaatakowane, nieprawdaż?

John był zdziwiony.

— Na Boga, nie, sir.

— Tak myślałem. Ze szczegółami można zaczekać do jutra. Proszę o nagie fakty.

John był tak zmęczony, że mógł zrobić tylko to, co mu kazano.

— Wjechaliśmy prosto w zasadzkę na przełęczy. Bandy czyhały tam już wcześniej, sir, ale nigdy nie w takich ilościach. Wiedzieli, że będziemy musieli tamtędy wracać i na tę okazję zarezerwowali główny atak, udało mi się więc wynieść ciała.

— Czy to rozsądne? Gdybyście zginęli, kto poprowadziłby patrol z powrotem?

— Tutejsze plemiona mają zwyczaj kaleczyć zwłoki zmarłych w najohydniejszy sposób, a rannych torturują zadając im nieopisany ból. Mam zwyczaj, jeśli tylko się da, uniemożliwiać im przeprowadzanie tych plugawych rytuałów.

— Rozumiem. Mówcie dalej.

— Kiedy wydostaliśmy się z wąwozu, zostawiłem Humphreya z połową patrolu i pojechałem na spotkanie karawany. Nie pojawiła się.

Lakeland zmarszczył brwi.

— Czyżby została już wcześniej zaatakowana?

— Nie, sir. Jestem przekonany, że karawany w ogóle nie było. Kupcy wiedzieli, jaka akcja została na nas przygotowana, i trzymali się od tego z daleka. To dowodzi mojej teorii, iż ataki nie były wymierzone w juczne wielbłądy Gandy Singha, ale w nas... tak jak przedtem.

— Chwileczkę...

John nie miał zamiaru dać sobie przerwać, skoro zaczął już mówić o tej sprawie.

— Uważam, że powinniśmy się spotkać z władcą Ratnapore, sir. Całemu patrolowi groziła masakra.

— Ilu ludzi straciliście?

— Sześciu, a czternastu jest rannych. Dwóch z nich nie doczeka ranka, a czterech będzie miało szczęście, jeśli przetrwają do końca tygodnia. Kiedy zdałem sobie sprawę, że karawana po prostu nie istnieje, powiązałem konie w trójki i z każdą z nich posłałem jednego żołnierza, którego zadaniem było przejechać jak najszybciej przez przełęcz, tak aby w powietrze wzbił się kurz. Ja poprowadziłem pozostałych na skały tak, że wyłoniliśmy się za Hindusami i zaatakowaliśmy ich przez zaskoczenie. Przewyższali nas liczbą, ale na szczęście nie dorównywali nam wyszkoleniem. Uciekli w górę wzniesienia i zniknęli za szczytem. Nieraz już o to prosiłem, sir, ale wydaje mi się, że dzisiejsza potyczka usprawiedliwia moje żądanie, by patrole zostały uzbrojone w karabinki.

— Chyba powiedziałem wam wystarczająco jasno, że na razie nie dysponujemy karabinkami — warknął Lakeland. — Cieszę się, że przedsięwzięliście normalne w takiej sytuacji działania. Szkoda, że straciliście tylu ludzi.

John zacisnął usta słysząc tę reprimendę.

— Oni stracili o wiele więcej żołnierzy niż my. Kawalerzyści nie najlepiej się, co prawda, sprawują walcząc na nogach w górzystym terenie, ale muszę powiedzieć, że byłem z nich dumny.

— Cieszy mnie to — odparł krótko Lakeland — mimo że w waszym głosie brzmiało takie zaskoczenie, jakbyście nie spodziewali się, że kiedykolwiek będziecie z nich dumni. Powinniście wiedzieć, że nie tylko pułki huzarów mogą być doskonałymi wojskami konnymi.

Wiedząc, że ten drażliwy człowiek wciąż ma mu za złe poprzednią służbę, John z uporem powrócił do sprawy, o której mówili.

— Mogę zorganizować spotkanie z Ganda Singhem, zanim znów zgodzimy się wysłać eskortę dla jego karawan, sir.

Jego rozmówca nie dał się jednak przekonać.

— Możemy porozmawiać o tym kiedy indziej. Teraz najważniejsze jest, by opatrzone wam tę ranę i żebyście zjedli posiłek. Aha, jeszcze jedno

— dodał odwracając się. — Zostaliście przeniesieni do pojedynczego bungalowu. Przykro mi, że trzeba było usunąć wasze rzeczy pod waszą nieobecność, ale musieliśmy coś znaleźć dla Delacourta przed zmrokiem, a ich bagaże leżały na dworze.

— Bagaże Delacourta na dworze? — powtórzył John ze zdumieniem.

— Nie rozumiem.

— I tak się dziwię, że po tylu godzinach jeszcze w ogóle coś rozumiecie. Słyszycie? To pewnie przynieśli nosze. W tej chwili macie się udać do lekarza. — Zwalniając Johna ruchem ręki, dodał: — Freddie powie wam, gdzie jest wasza nowa kwatera.

Adiutant był teraz pełen uszanowania i krzyknąwszy, kiedy wychodzili w noc, by tragarze stali w pogotowiu, wziął Johna za ramię, by pomóc mu zejść ze schodów.

— Co to za historia z tymi bagażami Delacourta? — spytał, aby oderwać myśli od bólu w plecach. — Czemu jestem zmuszony się wynieść?

— Nowi przybysze z Kalkuty — odparł Ashburton-Smythe serdecznie. — Dotarł do nas wreszcie młodszy brat Sir Hugona. Przywiózł ze sobą niezwykle elegancką i atrakcyjną młodą kobietę. Okazało się, że to nie jego żona, a Delacourta. Delikatna sytuacja. William nie wiedział nawet, że pani Delacourt jest w Indiach, bo nie dotarł do niego list. Nie było czasu, by cokolwiek zorganizować. Jedyne, co dało się zrobić, to przenieść was gdzie indziej i umieścić tę piękną damę z jej małżonkiem.

John spytał, czując jak noc wiruje mu przed oczami:

— To była... jest... powiedziałeś, że to żona Delacourta?

— Cholerny mu zrobiła kawał, pojawiając się tu bez zapowiedzi z młodym Carruthersem. Niezłego narobiła Delacourtowi kłopotu. Plotka mówi, że musiała opuścić Anglię z powodu jakiegoś romansu, ale tak czy siak to diabelnie piękna kobieta i Delacourt nie powinien jej był zostawiać w domu, żeby szukała pocieszenia w ramionach jakiegoś biednego zamrozonego głupka. Uważaj że, człowieku! — powiedział ostro, kiedy John stracił równowagę i o mało nie upadł na twarz wprost na nosze. — Jezu, ta rana musi być głębsza, niż mi się wydawało.

Hugo przyszedł do szpitala, żeby sprawdzić, jak miewa się jego przyjaciel i był przerażony zobaczywszy, że John leży na brzuchu na pokrytej czterema szorstkimi kocami brudnej pryczy, a jego plecy pokrywają splamione krwią bandaże. Rotmistrz wydawał się majaczyć.

— O czym ty, na Boga, myślisz, Cockerford? — spytał lekarza używając „wrzasku Carruthersów”. — Dlaczego nie zanesiono Stavenhama na jego kwartę? Zdejmijcie go z tych... z tych mar i w tej chwili wynieście na świeże powietrze! Sam odór panujący tutaj może go wykończyć, jeśli nie dokonają tego wasze przerażające zabiegi!

Hugo nie miał wysokiego mniemania o lekarzu. Był on dla niego rzeźnikiem — ludzi, nie zwierząt — ale takie postępowanie czyniło z niego w jego oczach rzemieślnika. Ponieważ od dłuższego czasu popierał tych, którzy utrzymywali, iż lekarze i weterynarze nie są gentlemanami, przeciwstawiał się wpuszczaniu ich do kasyna oficerskiego. Uważał, że mieli stopnie oficerskie tylko dlatego, że wojsko nie wiedziało, co z nimi począć, i nie widział powodu, dla którego mieliby przesiadywać w kasynie.

Rotmistrz Cockerford wiedział, że takie opinie są niezwykle popularne, i czuł się swobodnie tylko w szpitalu. Takiemu arystokracji jak Sir Hugo łatwo było patrzeć na niego z góry, ale niechby spróbował być wyższym oficerem kawalerii jadąc na ośle i za całe uzbrojenie mając w rękach rzeźnicki nóż. Lekarz uważał, że tak właśnie wyglądała mniej więcej jego sytuacja. Umiejętności medyczne nie były nic warte, jeśli władze wojskowe tak mało się nimi interesowały. Dawno już przestał próbować uświadomić im, że więcej żołnierzy umiera w szpitalach niż na polach bitew, a od kiedy pułk przybył do Indii, spodziewał się, że wkrótce skona przedwcześnie na cholere. Jako że miał obowiąz-

zek doglądać wszystkich ofiar tej choroby, sam z pewnością na nią zapadnie. Mając to na uwadze, zaczął sobie uprzyjemniać ostanie lata swego życia w tym piekielnym kraju tak, jak tylko się dało. Znalazł hinduską staruchę, która dostarczała mu taniego alkoholu i dziewczyn. Ponieważ po spędzonym w jej przybytku popołudniu cierpiał właśnie na potężnego kaca, a przy tym nie chciał, by pacjenci dłużej obserwowali, jak niezdolnie protekcyjnie traktuje go Sir Hugo, szybko skapitulował.

— Rotmistrz Stavenham ma gorączkę. Jest to niepokojące, biorąc pod uwagę, jak błahą odniósł ranę — powiedział niezdecydowanie.

— Błahą ranę! — ryknął Hugo. — Może ja zadam wam cios szablą przez plecy i wtedy zobaczymy, czy rana wyda wam się błaha?!

Cockerford zeszywniał.

— Właśnie amputowałem nogę poniżej kolana i zaszyłem żołnierzowi brzuch, żeby trzewia nie wyszły mu na wierzch. Taką ranę ciętą uważam za błahą.

— Doprawdy? Ten człowiek od dziesięciu lat służy w Indiach. W czterdziestym drugim mało brakowało, by zmarł na cholere, w czasie wojny z Sikhami raniono go szablą w brzuch i zachorował na malarię zaledwie dwa miesiące, zanim udał się na urlop, by pochować brata. A dzisiaj, po walce wręcz, w czasie której zadano mu tę — jak ją nazywacie — błahą ranę, przez pięć godzin jechał w palącym słońcu. — Znów podniósł głos. — Nic dziwnego, że ma gorączkę!

Lekarz zaczerwienił się.

— Jeśli weźmiecie go ze szpitala, będę miał na sumieniu jego zdrowie.

— Do diabła z waszym sumieniem! Każcie tu przynieść nosze, to odeskoruję go na jego kwaterę. Jeśli ma gorączkę, to pozwólcie mu sobie z nią poradzić w przyzwoitych warunkach, nie w kostnicy z prostymi żołnierzami.

Hugo spędził prawie całą noc z Rupertem, z którym spotkanie, po tak długim rozstaniu, bardzo go wzruszyło. Bracia czcili tę okazję tak, jak to było w zwyczaju, a z biegiem czasu wspomnienia, którymi się dzielili, stawały się coraz bardziej kolorowe i coraz mniej prawdziwe. Starszy Carruthers nie zapomniał jednak zajrzeć do Johna, kiedy udawał się do łóżka. Dzięki troskliwej opiece wiernego sługi gorączka szybko się zmniejszyła, ale chory wciąż coś zaciekłe mamrotał. Hugo, zadowolony z siebie, skinął głową. Był pewien, że John



nie chciałby, żeby wszyscy słyszeli jego majaczenia, szczególnie te, które dotyczyły kusicielki o imieniu Elizabeth.

TLR

## ROZDZIAŁ VII

Anglicy mieli w zwyczaju jeździć konno w chłodzie poranka, tak jak robili to w kraju. William, zdecydowany dzielnie radzić sobie z zaistniałą sytuacją, naciskał, by Elizabeth towarzyszyła mu w przejażdżce w dzień po przybyciu, aby mogli zademonstrować innym jeźdźcom pokaz małżeńskiej harmonii. Zgodziła się na to posłusznie, mimo bólu głowy i przygnębienia. Wydarzenia poprzedniego dnia dręczyły ją w czasie nocy tak, że nie miała dużej nadziei na wytchnienie, jakie mógł jej dać sen. Nie dość, że odkryła, iż John nie był w drodze do domu, a przebywał tutaj, to jeszcze zmuszona była zająć pokój, z którego pod swoją nieobecność został wyrzucony. Szybko rozeszły się plotki dotyczące nieszczęsnego patrolu. Wydawało się pewne, że John został ranny, ale relacje nie zgadzały się co do tego, jak ciężko ucierpiał i w jaki sposób się to stało. Najgorsze było, że Elizabeth nie mogła o to nikogo zapytać. Jakikolwiek szczególne zainteresowanie jego osobą wywołałoby domysły. Uzmysłowiła sobie niedogodności swej pozycji w Ratnapore w czasie nocy spędzonej w pokoju tak tchnącym jego obecnością, jakby tam przy niej był.

Ta sama dziwaczna świadomość jego obecności nie pozwoliła jej wczoraj dostrzegać szczegółów otoczenia, więc teraz, jadąc u boku męża, starała się skoncentrować uwagę na wszystkim, co roztaczało się przed jej oczyma. Oficerowie różnych pułków wracali z porannej musztry na równinie. Wszystkich zainteresowała kobieta jadąca z rotmistrzem Delacourtem, ale wiedzieli, że nie mogą się zatrzymać i rozpocząć rozmowy. Dopóki nie zostanie oficjalnie przedstawiona na jednej z wieczornych uroczystości, nie wypadało zrobić więcej, niż zasalutować lub unieść kapelusz, kiedy ją mijali. Uznała ten zwyczaj za absurdalny, ale nie powiedziała tego mężczyźnie, do którego przybyła w nadziei znalezienia zgody. Teraz wiedziała, że było to niemożliwe. Już dziś było dla niej jasne, że Williama wciągnęła rozwiązłość kawalerskiego życia. Nie przypominała sobie, by w Anglii nadużywał alkoholu i, o ile wiedziała, nie grał tam o stawki tak wysokie, by wpaść w poważne długi. Nie miała, rzecz jasna, pojęcia o jego finansach, ale po raz pierwszy zaczęła podejrzewać, że jej posag był dla niego równie atrakcyjny jak ona sama. Jeśli chodzi o kobiety, to niewiele się zmieniło — już wkrótce po ich pierwszej kłótni zaczęła podejrzewać go o niewierność. Jeśli dodać do tego przekonanie Williama, że jej osoba oznacza koniec jego miłych upodobań oraz to, że ona sama darzy głęboką miłością kogoś innego, stawało się jasne, że jakiegokolwiek nadzieje na uczynienie ich mał-

żeństwa znośnym są płonne. Mąż przysiągł, że odeśle ją do domu, kiedy tylko będzie mógł to zrobić nie narażając się na to, że straci twarz. Jakie wiodłaby tu życie, gdyby została? Jednej rzeczy była pewna: nigdy więcej nie zamieszka z Delacourtami. Po burzliwej podróży do Ratnapore życie z rodzicami Williama stałoby się dla niej jeszcze bardziej nieznośne, niż było. Jedynym niezłym rozwiązaniem byłoby zamieszkać w Domu Pod Orzechem z jedyną osobą, która naprawdę ją kocha. Skoro jej mąż stracił jakiekolwiek poczucie obowiązku wobec niej, ona zrobi, co tylko będzie chciała.

Kiedy tylko wyjechali na równinę, ujrzała podążającego ku nim konno Ruperta. Wyglądał wyjątkowo buńczucznie na błyszczącym kasztanowym rumaku, którego — gdy dostrzegł Elizabeth — zmusił ostrogami do biegu kłusem.

— Dzień dobry! — krzyknął, salutując energicznie. — Czyż to naprawdę nie wspaniały dzionek?

Ściągnęła cugle, niezwykle zadowolona z tego spotkania.

— Wielkie nieba, Rupercie! Wyglądasz, jakbyś już się tu zadowowił!

— Niezupełnie, ale Hugo wysłał mnie, żebym się trochę rozejrzał, podczas gdy on będzie jadł śniadanie. — Uśmiechnął się szeroko. — Prawie przez całą noc czciliśmy nasze spotkanie i nie jest na razie specjalnie chętny do pokazywania się światu.

— A ty jesteś?

— Jeśli przez dwa miesiące wstaje się o świcie, to nie tak łatwo się pozbyć tego zwyczaju, o czym musiałaś się sama przekonać — odparł.

Elizabeth odwróciła się do ponurego mężczyzny, który jej towarzyszył.

— Williamie, pragnę ci przedstawić pana Carruthersa, który służył mi w czasie podróży nieocenioną pomocą. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby i on nie jechał, by dołączyć do tego pułku.

— To rzeczywiście szczęśliwy zbieg okoliczności — powiedział William przez ściśnięte usta. — Dziękuję wam, Carruthers.

Rupert skinął w odpowiedzi głową, a cała jego przyjacielskość gdzieś zniknęła. Elizabeth dodała pospiesznie:

— Gdybyś miał okazję zobaczyć bohaterstwo, z jakim Rupert uratował osiem osób od zgniecenia przez przewrócony furgon, ofiarowałbyś więcej niż tylko podziękowania, Williamie.

— Przesada, zapewniam was — powiedział Rupert z istic carrutherską wyniosłością.

— Mam nadzieję, że nie. Rozumiem, że macie być moim zastępcą. Jeśli sytuacja się pogorszy, heroizm mógłby skompensować całkowity brak doświadczenia wojskowego. Niewątpliwie słyszeliście o wczorajszym ataku na nasz patrol?

— Tak jest, sir. — W jego oczach znów pojawiły się iskry. — Wygląda na to, że przybyłem akurat we właściwym momencie.

— Odważę się przypuścić, że pułk jakoś by sobie bez was poradził — wycedził William, po czym, zanim ktokolwiek zdołał wejść mu w słowo, dodał: — Sir Hugo cieszy się dużym szacunkiem. Jesteśmy zadowoleni, że mamy w naszych szeregach jego brata.

Rupert nie zauważył tego niechętnego powitania, gdyż patrzył na coś ponad ich głowami, a na jego twarzy malował się wyraz coraz większego niedowierzania. Wkrótce pojawiła się obok nich niewielka osóbka na szarej klaczy, a Carruthers wykrzyknął głośno:

— Lucy! Lucy Belmont! To wspaniałe! Co ty tu porabiasz?

Elizabeth odwróciła głowę, by spojrzeć na nie więcej niż siedemnastoletnią dziewczynę ubraną w poważną, czarną, zbyt jak dla tak młodej istoty wyszukaną suknię do konnej jazdy. Była śliczną jak lalka blondynką o niebieskich, otoczonych podwiniętymi rzęsami oczach i różanymi rumieńcami na policzkach. Na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, po czym dziewczyna uroczo się zaczerwieniła i ściągnęła cugle.

— Pan wybaczy, sir. Czy my się znamy?

Rupert zaśmiał się radośnie.

— O Boże, moja droga, ależ ty się zrobiłaś sztywna! Ale nic z tego! Jeszcze cię pamiętam ze zmierzwionymi włosami i w zabłoconej sukience, kiedy chodziliśmy na króliki, więc nie zadzieraj przy mnie nosa.

Jej twarz się ożywiła i pokryła jeszcze głębszym rumieńcem.

— Rupert! Nie wierzę własnym oczom! A więc opiekun kupił ci w końcu patent i to patent porucznika! Bardzo mnie to cieszy. Służysz w Dragonach Forrester's? Czemu nie spotkałam cię przez ostatnie trzy miesiące? A jak się miewa twój brat? Doskonale wyglądasz na koniu, a jaki się zrobiłeś wysoki! Nic dziwnego, że nie rozpoznałam cię z tym obfitym wąsem.

Uśmiechnął się szeroko.

— Taka sama gaduła jak zawsze! Zadałaś mi z pół tuzina pytań nie dając możliwości odpowiedzi... a ten kapelusz ma być taki przekrzywiony? Może spaść.

Ta uwaga na temat wyzywająco — w zamierzeniu — założonego kapelusza znowu wprawiła ją w zakłopotanie.

— Widzę, że nadal lubisz się ze mną drażnić.

— Słowo daję, że jest przekrzywiony. Pozwól, że go wyprostuję. — Podjechał nieco bliżej i wyciągnął rękę.

— Nie — powiedziała szybko. — Henry'emu by się to nie podobało.

Rupert opuścił rękę.

— A któż to jest Henry?

— Rotmistrz Nicholson z piechoty Kompanii Wschodnioindyjskiej. Mój... mój mąż.

— Co? — ryknął Rupert. — Jesteś jeszcze dzieckiem. Nie możesz być zamężna!

— Mam już prawie osiemnaście lat — broniła się. — Minęły już cztery lata, odkąd opuściliśmy hrabstwo Buckingham. Zapomniałeś, jak szybko mija czas.

Młody oficer był wciąż oszołomiony.



— Ale wyglądasz tak samo jak wtedy!

Zaczerwieniła się mówiąc, że jest wyjątkowo nieuprzejmy i pod tym względem on z kolei wcale się nie zmienił. Ale Rupert jak to Rupert nie okazał żadnej skruchy i oznajmił, że jeśli pragnie uchodzić za damę, nie powinna robić się co chwila czerwona jak jego mundur, bo to ją zdradza.

— Ośmielę się powiedzieć, że jednak trochę się zmieniłaś — przyznał w końcu niechętnie. — Ta amazonka bardzo się różni od zbyt dużych bryczesów twego wuja i z pewnością twoje loki są o wiele staranniej ułożone niż wtedy, gdy spadały ci na twarz.

Dziewczyna była najwyraźniej zachwycona tym dziwacznym komplemtem, bo wykrzyknęła:

— Tak się cieszę, że cię widzę, Rupercie! Nie wiem, jak to się stało, że nie spotkaliśmy się w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

— To dlatego, że przyjechałem dopiero wczoraj. Przybyłem z Kalkuty, żeby dołączyć do Hugona.

— Twój brat też tu jest? Nie miałam o tym pojęcia! Przypuszczam, że i tak bym go nie poznała, bo widziałam go tylko, kiedy przyjeżdżał z uniwersytetu, a i wtedy wyglądał raczej jak twój ojciec. Dwanaście lat to duża różnica wieku..

— Tak — zgodził się Rupert z goryczą. — Wolałbym być drugim, nie trzecim synem rodziców. Tyle czasu czekałem, żeby dołączyć do Hugona, ale wczoraj wspaniale to ucziliśmy! Jest już majorem, a to nieźle jak na trzydziestodwuletniego człowieka. Wkrótce zostanie pułkownikiem. Zawsze wiedziałem, że bardzo młodo otrzyma najwyższe stopnie wojskowe. Musisz się z nim spotkać, Lucy, i nie mam wątpliwości, że nie będziesz mogła wyjść z podziwu dla jego skromności, choć Bóg wie, że miałyby się czym pochwalić. Wygrał sześć ostatnich pułkowych zawodów dosiadając Gartha — pamiętasz może jego słynnego siwka? — i nikt nie może mu dorównać na polowaniu. W zawodach strzeleckich mierzył celniej od innych, ale nie mógł zabrać pucharu, gdyż sam dał go w prezencie pułkowi. Powinnaś zobaczyć trofea, które znajdują się w jego kwaterze: skóry tygrysów, głowy jeleni i naprawdę wspaniałe kły słoniowe. Obiecał, że będę mógł mu towarzyszyć w następnej wyprawie i że pozwoli mi oddać pierwszy strzał do upatrzonego celu. Musisz przyznać, że cudowny z niego brat.

Elizabeth nie po raz pierwszy zauważyła, że Sir Hugo mógł sobie pozwolić na godną podziwu skromność, skoro Rupert tak głośno go wychwalał. Młodszy Carruthers wydawał się być całkowicie pochłonięty spotkaniem z tym zamężnym dziewczątkiem, a Williama wyraźnie irytowało zachowanie jego nowego młodszego oficera.

— Rupercie, czy będziemy mieli przyjemność poznać twoją znajomą? — zawołała delikatnie.

Odwrócił się, wciąż tryskając entuzjazmem.

— Wybacz, Elizabeth. Przez ten zadziwiający zbieg okoliczności zapomniałem o dobrych manierach. Panna Belmont jest moją bardzo starą i dobrą przyjaciółką. Jej ojciec był właścicielem sąsiedniej posiadłości i to niesamowicie, że jeździ dzisiejszego ranka konno w Ratnapore, a nie w hrabstwie Lincoln, do którego przeniosła się jej rodzina.

William podjechał kilka kroków na koniu, mówiąc znudzonym głosem:

— Moja droga, pozwól, że przedstawię ci panią Nicholson, której mąż może się, o ile wiem, pochwalić ponad dwudziestoletnią służbą w Indiach.

Elizabeth uśmiechnęła się do dziewczyny, obliczając jednocześnie, że Henry Nicholson musi mieć co najmniej trzydzieści osiem lat i mógłby być ojcem Lucy.

— Miło mi panią poznać, pani Nicholson. Ja również dopiero wczoraj przybyłam do Ratnapore. Pan Carruthers towarzyszył mi przez całą drogę z Anglii i prócz tego, że niezmiernie mi pomógł, bardzo się ze mną zaprzyjaźnił. Mam nadzieję, że i my zostaniemy przyjaciółkami.

Lucy Nicholson spoglądała zazdrośnie na wyzywającą żółto-zieloną amazonkę Elizabeth i dobrany do niej kapelusz nasadzony zawadiacko na głowę tak, jak jej nie udało się tego zrobić. Widać było, że chętnie zyskałaby powierniczkę, niemniej wyrecytowała konwencjonalną formułkę powitalną, która niezmiernie odbijała od świeżego, młodzieńczego sposobu prowadzenia rozmowy, jakiego chwilę przedtem użyła rozmawiając z Rupertem.

— Mnie również miło panią poznać, pani Delacourt. Ufam, że spodoba się pani Ratnapore. Czy miała pani przyjemną podróż?

— Jeśli w ogóle podróż w takim upale może być przyjemna — odparła Elizabeth. — Gdyby nie uprzejmość pani przyjaciela, który wynajdował dla mnie po drodze zacienione miejsca, nie wiem, czy bym się nie roztopiła.

Rupert rzucił jej szelmowskie spojrzenie.

— Coś mi się wydaje, że były chwile, kiedy chętnie byś się mnie pozbyła.

Zaśmiała się.

— Przyznam, że nie zawsze rozumiałam, czemu uznawałeś za konieczne odsyłać gulasz w każdym z bungalowów „dak”, skoro w zamian mogliśmy otrzymać tylko jeszcze jeden talerz tej potrawy.

William miał już tego najwyraźniej dosyć. Popędził ostrogami rumaka, rzucając przez ramię:

— Jeśli wkrótce nie ruszymy, zrobi się zbyt późno na przejażdżkę.

Usiłując jakoś złagodzić jego obcesowość, Elizabeth powiedziała:

— Czy zechciałaby mi pani towarzyszyć, pani Nicholson? Jako że przebywam tu zaledwie od niecałego dnia, jest wiele rzeczy, o których pragnęłabym się czegoś od pani dowiedzieć.

Lucy ponownie się zaczerwieniła.

— Z radością będę pani towarzyszyć, ale sama jestem tu zaledwie od sześciu miesięcy i jeszcze muszę się dużo nauczyć.

Odjechali parami, podrywając rumaki do niespiesznego kłusa. Elizabeth starała się dowiedzieć nieco więcej o jadącej obok słodkiej, młodej dziewczynie, która najwyraźniej ubóstwiała Ruperta tak jak on swego brata.

— Gdzie pani mieszkała, zanim przeniesiono tutaj pani męża, pani Nicholson?

— W Delhi, z moją ciotką. Zaprosiła mnie do siebie — padła smutna odpowiedź. — Mama uważała, że to niezwykle uprzejmie ze strony jej starszej siostry, że postanowiła wprowadzić mnie w anglo-indyjskie towarzystwo. Sądzę, że miała rację, ale o ileż bardziej wolałabym zostać w hrabstwie Lincoln z moimi siostrami bliźniaczkami!

— Ale wtedy nie spotkałaby pani swego męża.

— Nie.

Odpowiedzi tej towarzyszyło takie westchnienie, że Elizabeth zdecydowała się porzucić ten temat.

— A więc zna pani Ruperta od lat?

Dziewczyna odwróciła ku niej płonąca twarz.

— O tak! Zawsze planował jakąś wyprawę i życie robiło się dzięki temu tak ekscytujące! Był też na tyle uprzejmy, że pozwalał mi czasem iść ze sobą pod warunkiem, że będę robiła dokładnie to, co każe. Zawsze bardzo się starałam dotrzymać słowa, ale jego tak niecierpliwiły moje błędy! Przysięgał wtedy, że już nigdy więcej nie pozwoli mi uczestniczyć w wyprawie. — Na jej buzi pojawił się nieśmiały uśmiech. — Ale zazwyczaj nie dotrzymywał słowa, jeśli usilnie go o to błagałam i przyrzekłam przynieść trochę szarlotki naszej kucharki. — Przerwała, by odpowiedzieć na powitanie oficera w kolorowym, żółto-zielonym mundurze obficie ozdobionym złotem. — To pan Calhoun. Zastępca Henry'ego — wyjaśniła cicho. — Jest całkiem miły, ale niezwykle zajęty takimi rzeczami jak Arystoteles i astronomia. Nie można naprawdę zaprzyjaźnić się z takim mężczyzną, prawda?

— W istocie, człowiek, który ma za przyjaciół książki, może być nieco nieśmiały w rozmowie towarzyskiej — zgodziła się Elizabeth. — A Rupert nie ma nudnych, naukowych zainteresowań?

— Ależ ma! Kiedy zmarł mój Edward, miejsce, które zarezerwowano dla niego w Eton, dostało się Rupertowi, rozumie się więc samo przez się, że w każdym temacie może on wykazać się błyskotliwością i wiedzą... tyle że nie chwali się wszystkim dookoła tym, czego się nauczył. Rupert jest pełen energii i pomysłów. Znajomość z nim jest niezwykle ekscytująca, podczas gdy pan Calhoun jest, obawiam się, wyjątkowo nudny.

Elizabeth z minuty na minutę coraz bardziej lubiła tę panienkę, znajdując w niej dalekie echo dziewczyny, którą sama kiedyś była. A jednak ich położenia krańcowo się różniły. Nietrudno było zgadnąć, że ciotkę mieszkającą w Delhi obarczono zadaniem znalezienia męża dla młodszej córki, której siostry bliźniaczki trzeba było wydać za mąż. Tak właśnie Lucy znalazła się w rękach starszego mężczyzny, szukającego towarzyski na coraz dłuższe lata spędzane z dala od ojczyzny. Teraz na scenę wkroczył ubóstwiany towarzysz z dzieciństwa. Uwielbienie, jakim darzyło go to wchodzące w kobiecość dziewczę, mogło łatwo przeobrazić się w miłość. Wkrótce może się okazać, że jest w Ratnapore jeszcze jedna mężatka, której nie wolno przyznać się do swych prawdzi-

wych uczuć. Biedna Lucy! On z pewnością widział w niej wciąż rozczochrane dziecko, które tak wiernie za nim podążało i z łatwością mógłby zaognić sytuację jakimś bezmyślnym czynem. Elizabeth będzie musiała uświadomić mu niebezpieczeństwa zbyt swobodnego zachowania w stosunku do osoby związanej teraz prawnie z innym mężczyzną. Już William był wystarczająco rozdrażniony jej niewinną przyjaźnią z towarzyszem podróży. Henry Nicholson może zareagować gwałtowniej na odrodzenie tej młodzieńczej znajomości.

Kiedy zakończyli przejażdżkę i rozstali się, William wyjawiał, że na swój męski sposób myślał dokładnie o tym samym.

— Będę musiał w to wkroczyć — powiedział, obserwując oddalającą się, zatopioną w rozmowie parę. — Carruthers ciągle widzi w niej dziecko, nad którym się kiedyś znęcał, a ona — chociaż wygląda jak dzierlatka — jest już kobietą zameżną. Jest zbyt skory do przyjaźnienia się z żonami innych. Chyba będę musiał mu palnąć kazanie na temat cnót wymaganych od oficera i gentlemana, z których jedną jest trzymanie się zasady, by nigdy nie psuć reputacji żony innego oficera. W oczach wojskowych uchodzi to za najcięższy grzech.

John obudził się o brzasku, nękany dotkliwym pragnieniem i bólem głowy godnym słonia. Ryk, którym miał zamiar poderwać służącego do działania, wydobył się z jego ust jako zachrypnięte skrzeczenie, które tylko jego przeraziło. Wojskowi w Indiach cały czas obawiali się choroby. Łatwo było tutaj umrzeć. Odwracając głowę w stronę drzwi ponownie usiłował krzyknąć, ale ruch wywołał taki ból, że zamiast okrzyku wydał jęk. Wtedy zamęt, który miał w głowie, zaczął ustępować na tyle, że przypomniał sobie to samo przeszywające uczucie wywołane ciosem szablą w plecy, który dosięgnął go, kiedy z zaciekłością podrzynał komuś gardło. Odwrócił się i jednym cięciem zabił wroga, zanim ten zdążył go wykończyć. Uniesiony gniewem dał pokosztować chłodnej stali tyłu, ilu udało mu się dosięgnąć. Młody Phipps został przebity włócznią bez żadnej możliwości obrony, a John spłacając napastnikom ten dług, pamiętał zaskoczenie malujące się na twarzy martwego chłopaka. Jeszcze mu za to nie zapłacili! Zasadzka umocniła go w postanowieniu obnażenia dwulicowości Singha, zanim wybuchnie powstanie na dużą skalę. Wtedy cały garnizon mógłby znaleźć się w oblężeniu, zanim przybyłyby posiłki.

Rozbrzmiewający w cichym, rannym powietrzu dźwięk trąbki oznajmił początek nowego, rutynowego dnia w koszarach, więc John ponownie spróbował wezwać służącego. Ten pojawił się tym razem na jego ochryple wołanie i wyraził radość, że jego pan wrócił do przytomności. Potem spieszenie wyszedł



po herbatę i następną dawkę chininy. Niezawodnie leczyła ona gorączkę, ale nie mogło ulżyć tej, która opanowała Johna, gdy wszystko sobie przypomniał. Dobry Boże, Elizabeth była w Ratnapore! To niewiarygodne... niemożliwe. Delacourt nie mógł wiedzieć, że jest ona w drodze do Indii. Oświadczył, że jego żona jest bezpieczna w Anglii, z jego rodziną. Dlaczego, dlaczego przyjechała? Z pewnością nie dlatego, że on tu był. Nie, na pewno nie. Dragoni Forrester's stacjonowali w Kalkucie, a wiadomość o tym, że zostali przeniesieni, nie mogła do niej dotrzeć, zanim opuściła Anglię. Czyżby znudziło ją prowadzenie gierki miłosnych w kraju i postanowiła popробować szczęścia tutaj, gdzie mężczyźni czuli się samotniej, a więc i byli podatniejsi na jej intrygi? Jej mąż będzie, co prawda, w pobliżu, ale może podniecają zachęcanie nieszczęśników w jak najsubtelniejszy sposób tylko po to, by dręczyć ich pozorami małżeńskiego oddania? Przyszło mu do głowy, że i on mógł podobnie ucierpieć w jej rękach. Jak stanie z nią twarzą w twarz, żeby się nie zdradzić? Jakże zdoła udawać, że się nie znają? Będzie bezsilny, podczas gdy ona sięgnie po najokrutniejszą broń używaną przez kobiety wiedząc, że on nie odważy się zdradzić prawdy, by nie zostać napiętnowanym przez Delacourta i innych oficerów.

W tym momencie powrócił służący, więc John usiadł z wysiłkiem. Jego wyschnięte gardło bardzo potrzebowało herbaty, a miska ciepłej wody, w której mógł się umyć, bardzo mu ulżyła. Jego uszu dobiegały rozlegające się w cichym, mroźnym, rannym powietrzu ostre komendy oficerów musztrujących żołnierzy na porannym apelu. Słysząc było zwykle odgłosy musztry, konie oznajmiające cichym rzeniem koniec nocy spędzonej na uwięzi i Hindusów porozumiewających się głośno urywanymi zdaniami. John nie wszystkich z nich rozumiał, jako że pochodzili z różnych części Indii, a on znał dobrze tylko dialekt tego regionu. Ta myśl przywołała na nowo zdecydowane pragnienie odbycia jak najszybciej rozmowy z Ganda Singhem. Tym razem pułkownik Lake-land będzie musiał go wysłuchać.

Zaraz potem musiał zmorzyć go sen, bo kiedy znów się obudził, była już pełnia dnia, upał, a przy łóżku stał Hugo i patrzył na niego z kwaśną miną.

— A więc jednak przetrwałeś tę noc. Trzech głupców przegrało zakład.

— Sądząc po tym, jak się czuję, mogłyby to być trzy noce na raz — odrzekł. — Temu Cockerfordowi przydałyby się lekcje szycia. Mam na plecach wielki wał w miejscu, które sfastrygował.

— Powinieneś się, do diaska, cieszyć, że w ogóle mógł to zrobić, choćby efekt był nie wiem jak bolesny. — Na ustach Hugona pojawił się domyślny

uśmiech. — Wczoraj w nocy bardziej interesowały cię krzywdy, jakie mogą ci wyrządzić damy. Co za szczęście, że nie zostawiłem cię w szpitalu, gdzie wszyscy z ciekawością nadstawiali uszu!

John z wysiłkiem podparł się na łokciu.

— O czym ty mówisz, na Boga?

Jego dręczyciel wybuchnął śmiechem.

— Drogi przyjacielu, nie zdradzę nikomu twych lubieżnych sekretów. Nie obchodzą mnie majaczenia ludzi pijanych i cierpiących gorączkę. Bezpieczniej jest się nimi nie zajmować. Jadłeś już śniadanie?

Potrząsnął głową.

— Po gorączce nigdy nie mam apetytu.

— To opowiedz mi o wczorajszym patrolu. Nie spodziewałeś się niczego przed wjechaniem w wąwóz?

— Nie. Dopiero kiedy młody Phipps został przebity tą potworną bronią, otrzymaliśmy pierwsze ostrzeżenie o obecności wroga. Wkrótce potem taki sam los spotkał kaprala Gatesa. Byłem zmuszony rozedrzeć jego pierś na kawałki, żeby wyjąć włócznię. — Westchnął. — Czy masz jakieś wiadomości o rannych?

— Trzech kawalerzystów zmarło w nocy. W czasie śniadania pytałem o to w twoim imieniu Cockerforda. Świadczy to o tym, jak głęboko jestem ci oddany, bo absolutnie nie mogę znieść tego człowieka. — Przerwał rzucając Johnowi pytające spojrzenie. — Phipps i ośmiu innych nie żyją. Jedenastu jest rannych. To właśnie przepowiadałeś, odkąd przybyliśmy do Ratnapore. Jak Lakeland przyjął tę wiadomość?

— Szczerze mówiąc, ciężko mi sobie przypomnieć większość z wydarzeń wczorajszej nocy. Od razu złożyłem raport, ale jak przez mgłę przypominam sobie, że nie uznał sprawy za pilną. Chyba zanim przyniesiono nosze, zrobiłem z siebie wariata przed żoną pułkownika.

— Hmm... lepiej było odłożyć to na dzisiaj. Pani Lakeland nie była pewnie uradowana obecnością rannego, który krwawił na jej meble, a mąż tej damy był wczoraj zaproszony przez piechotę na kolację. Nie najlepsza chwila, żeby wpaść tam i dowodzić zasadności własnych ostrzeżeń.

John szybko podjął decyzję i odsunął przykrycie. — Hugo, daj mi piętnaście minut na ogolenie i ubranie się, a potem chodź ze mną do niego. Wiem, że uważa mnie za złego proroka, a to, że jestem oficerem z transferu, też mi nie pomaga. Wydaje się, że żywi wyjątkową niechęć do huzarów, którzy przeobrażają się w dragonów. Ja jeszcze nie dałem mu dowodu mej wartości, ale ciebie zna jako wspaniałego oficera. Wysłucha cię. Cóż, odpowiesz na moją prośbę?

Hugo skinął głową.

— Oczywiście, że z tobą pójdę. Zawsze wierzę zdaniu człowieka, który lepiej orientuje się w danej sprawie, a ty wiesz o wiele więcej o Ganda Singhu i jego kłopotliwych krewnych niż nasz pułk. Co więcej, mamy teraz dowód na to, że twoje podejrzenia były usprawiedliwione. Lakeland byłby głupcem, gdyby pozostał głuchy na twoje ostrzeżenia. W każdym razie, jako że zdecydowanie chcesz popełnić samobójstwo, zbyt wczesnie wychodząc z łóżka, mój honor nakazuje mi kroczyć u twego boku i utrzymać cię w pozycji stojącej przez całą drogę tam i z powrotem. Ruszajmy, póki jeszcze racjonalnie myślisz.

W chwilę później wyłonili się z nowego bungalowu Johna i podążyli w kierunku biura, w którym mieli nadzieję znaleźć swego pułkownika. Hugo zaczął opowiadać przyjacielowi o entuzjazmie swego młodszego brata, który kazał Rupertowi wstać o świcie, by obejrzeć poranną musztrę, chociaż położył się spać zaledwie dwie godziny wcześniej i to po większej ilości alkoholu.

— Założę się, że w całej jego karierze będzie to jedyna poranna musztra, w której uczestniczy dobrowolnie — dodał ze śmiechem. — Chciałbym bardzo, żebyś go poznał, John. Jest co prawda krępująco urzeczony moją osobą, ale ma zadatki na doskonałego oficera, jeśli tylko pojmie, że jestem zwykłym śmiertelnikiem. Pozostaję pod wrażeniem tego, jak doskonale poradził sobie ze zorganizowaniem podróży z Kalkuty, szczególnie że był dodatkowo obciążony odpowiedzialnością za damę, którą eskortował. To ci dopiero zagadka, John! Rupert towarzyszył żonie Delacourta przez całą drogę z Anglii i jest jasne, że jej mąż nie tylko nie zgodził się na jej przyjazd, ale nawet o nim nie wiedział. Robi teraz, co może, by ratować sytuację, twierdząc, że kilka listów z Anglii gdzieś zaginęło, ale nikt w Ratnapore nie daje temu wiary. Można by się domyślać, że dama miała romans, który zmusił ją do opuszczenia kraju na jakiś czas, ale on traktuje ją tak jak należy, pokazując jasno swe oddanie, co wyklucza dalsze roztrząsanie tej sprawy. Jedno jest pewne: to najbardziej nieodparcie energiczna młoda kobieta, jaką pułk ma okazję oglądać od dłuższego czasu. Można się spodziewać, że albo tabuny oficerów podążą do uzdrowisk górskich szukając

tam pocieszenia, albo więcej niż jeden usychający z miłości młodszy oficer wpakuje sobie w którąś samotną noc kulę w łeb. Mój brat nie da powiedzieć na nią złego słowa, chociaż wydaje się, że jak na razie nie uległ jej czarom.

Na szczęście wyglądało na to, że Hugo nie oczekuje żadnej odpowiedzi. John poczuł, jak gwałtownie ściska go w żołądku i sztywnieją mu szczęki. Wyglądał tak, że kiedy wkroczyli do biura, adiutant rzucił na niego tylko jedno spojrzenie i poradził, by wracał prosto do łóżka.

— Pułkownik Lakeland nie będzie oczekiwał waszej wizyty przez kilka najbliższych dni — wyjaśnił. — Szczerze powiedziawszy, sam czuje się dzisiaj trochę słabo. Żołnierze piechoty obficie ugościli go wczoraj winem i strawą. Pragnie tylko wykonać rutynowe obowiązki i na tym zakończyć.

— Jest niezwykle ważne, byśmy się z nim niezwłocznie zobaczyli — naciskał John.

Ashburton-Smythe potrząsnął głową.

— Odłóżcie to lepiej do jutra... albo na dwa dni.

Hugo okrążył biurko i chwyciwszy go za kołnierz, poprowadził na drugi koniec pokoju.

— Freddie, chłopie, idź i powiedz Lakelandowi, że przyszedliśmy.

Adiutant rozpoznał nutę groźby w jego głosie i skapitulował. Obciągając mundur, rzucił mu zrezygnowane spojrzenie.

— Powiem mu, ale musicie się przygotować na wszelkie tego konsekwencje.

Kiedy czekali na jego powrót, Hugo obrzucił Johna spojrzeniem.

— Ma rację. Wyglądasz wyjątkowo niedobrze. Wytrzymasz to?

John błado się uśmiechnął.

— Za dużo się martwisz, Hugo. To twoja jedyna wielka wada.

Przyjaciel odpowiedział mu szerokim uśmiechem.

— Powiedz to mojemu bratu. On uważa, że nie mam przywar.

Pułkownik Lakeland nie uśmiechnął się na powitanie. Wyglądało na to,

że jest wyjątkowo rozdrażniony i że za bardzo pofolgował sobie poprzedniej nocy, stąd jego pierwsze słowa były gniewne i konkretne.

— Nie spodziewałem się, że tak szybko staniecie na nogi, Stavenham. Wasze oddanie służbie jest godne pochwały, ale mój pułk bardziej na tym zyska, jeśli całkowicie wyzdrowiecie przed ponownym przystąpieniem do niej.

— Zgadza się, sir — powiedział twardo John. — Mam zamiar oddać dowództwo na dzień czy dwa w ręce porucznika Huphreya. Jednakże i mnie, i majorowi Carruthersowi wydawało się, że chcielibyście zostać powiadomieni o faktach, które mogą mieć wpływ na bezpieczeństwo koszar.

Pułkownik Lakeland spojrzał na ich zdecydowane twarze i westchnął. Ciężko byłoby mu ich nie wysłuchać.

— W porządku. Lepiej usiądźcie. Wygląda na to, że jesteście poważnie chorzy. Radziłbym wam się streszczać. Freddie mówił mi, że w nocy zmarło jeszcze trzech ludzi. — Ponownie westchnął. — Przykra historia z młodym phippsem. Jego ojciec brał ze mną udział w kampanii na Półwyspie Iberyjskim.

— Zginął sromotną śmiercią — powiedział John, używając osobistych sentymentów tamtego, by załatwić swą sprawę. — Przebiła go rzucona z góry włócznia. Nie miał żadnych szans obrony. Ci bandyci kryją się na wzgórzach i wybierają swe ofiary pozostając w ukryciu, by rozpląnąć się w powietrzu, nim uda się zorganizować atak.

— Tchórze — powiedział Lakeland. — Co dowodzi, że nie są to, jak kiedyś sugerowaliście, wyszkolone wojska.

— Są wyszkoleni, sir, i to w walce, wobec której nieskuteczne są nasze konwencjonalne metody. To nie są zwyczajni wrogowie, a ich szeregi rosną. Kiedy zdecydują się zaatakować pełnymi siłami...

— Chcecie chyba powiedzieć: jeśli zdecydują się zaatakować — warknął pułkownik.

John rzucił szybkie spojrzenie na Hugona, po czym powrócił do tematu.

— Musimy, sir, dać Ganda Singhowi do zrozumienia, że nie damy się zwieść jego prośbie o wojskową ochronę karawan. Jestem przekonany, że napastnicy, którzy mają mu rzekomo zagrażać, są przez niego w rzeczywistości opłacani. Jedynym sposobem oddalenia niebezpieczeństwa wybuchu lokalnego powstania jest dać mu do zrozumienia, że przejrzelśmy tę grę i nie mamy za-



miaru dłużej jej tolerować. Śmieje się teraz za naszymi plecami z naszej łatwości.

— Mam rozkaz utrzymać pokój w prowincji Ratnapore — oświadczył szorstko pułkownik. — Nie byłoby chyba dobrze zrażać sobie jej władcę, posądzając go o zdradę. Wydaje mi się, że przywiązujecie zbyt dużą wagę do tego godnego pożałowania incydentu. Myślę, że gdy minie słabość wywołana ranami, sami zrozumiecie, że dyplomatycznie będzie starać się uspokoić sytuację na tyle, na ile to możliwe. Mądrym posunięciem mogłoby być podwojenie siły patroli na kilka tygodni, żeby zniechęcić tych bandytów.

Właśnie kiedy John przygotowywał ciętą ripostę, Hugo zdecydował się włączyć do rozmowy.

— Przyszło mi do głowy, sir, że kwatera główna mogłaby się zainteresować śmiercią dziewięciu żołnierzy i jedenastoma rannymi — zaznaczył rozsądnie. — John zna ten teren, a nie jest to pierwszy atak na patrol podczas jego pobytu w Ratnapore. Ganda Singh nie zawsze był przyjacielsko ustosunkowany do Brytyjczyków i jeśli John uważa go za podstępного drania, to jestem skłonny mu wierzyć. Jako że jest jedynym żołnierzem w pułku, który mówi językiem tego człowieka, wydaje mi się, że musi lepiej znać jego prawdziwy charakter niż ci z nas, którzy nim nie mówią. Spotkanie z tym władcą na pewno by nam nie zaszkodziło i byłoby mądrze zaznaczyć, że nie mamy zamiaru narażać naszych ludzi na śmierć, kiedy karawany kupieckie nawet nie wyruszają w drogę. Nie sędzę, aby John proponował oskarżanie Ganda Singha o zdradę, a po prostu sugeruje, że należałoby mu dać do zrozumienia, iż nikomu nie wyjdzie na dobre lekceważenie siły naszego wojska, a on niech już wyciągnie z tego, jakie chce, wnioski. Nie boimy się jechać na wzgórza ryzykując, iż możemy się stać ofiarami ataku, ale z pewnością bylibyśmy głupcami, gdybyśmy znosili je, nie próbując odwetu.

Pułkownik zaczynał ustępować.

— Zabiegi dyplomatyczne z pewnością nie naraziłyby nas na miano głupców, Hugo. W kontaktach z tymi ludźmi są one absolutnie niezbędne. Nie mam zamiaru dopuścić, by incydent ten pozostał całkowicie niezauważony, ale wolę trochę poczekać, nim spotkamy się z Ganda Singhem. Jeśli od razu pospieszymy, by postawić mu ultimatum, uzna to za panikę wywołaną strachem. — Spojrzał ostro na Johna. — Oficer nie może sobie pozwolić na porywczosć. Z czasem bałamutne emocje mijają, a zostaje zdrowy rozsądek. — Wstał, by zaznaczyć, że spotkanie uważa za zakończone. — Wspomnę o tym generałowi Ma-

sonowi, kiedy przyjedzie do koszar. Możecie w przyszłym tygodniu jechać, by ustalić spotkanie z władcą Ratnapore, Stavenham. Do tego czasu będziecie już chyba na nogach, co? — Kiedy wyprowadzał ich z biura, stał się bardzo serdeczny, co było niechybnym znakiem, że wydawało mu się, iż dzięki jego własnej inicjatywie sprawa została zadowolająco rozwiązana.

Kiedy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu, John podziękował Hugonowi za wsparcie.

— Jestem przekonany, że nigdy nie zgodziłby się na spotkanie, gdybym to ja na nie nalegał. Co on ma przeciwko mnie? To, że przeniosłem się z pułku, którego nie uwielbia, nie może być jedyną przyczyną.

Hugo potrząsnął w zamyśleniu głową.

— Może jesteś po prostu tak cholernie dobry, że aż trudno w to uwierzyć. Jesteś bezcennym rotmistrzem kawalerii; po pochwale, jaką uzyskałeś w związku z akcją pod Moodki, nikt nie może wątpić w twoją odwagę, znasz miejscowy język, a w dodatku w tym nowym mundurze niezły z siebie przystojniak. Przy tym wszystkim jesteś jedynym oficerem, który nie ma długów w sklepiku z alkoholem i nic nie wskazuje na to, że na kwaterze utrzymujesz jakąś miejscową dziewczynę. Każdy głównodowodzący miałby niejake trudności z przełknięciem takiej cnotliwości. Dlatego jest tak przesadnie ostrożny. Będiesz musiał popełnić kilka grzeszków, zanim Lakeland spojrzy na ciebie łaskawym wzrokiem, John. Mam już kilka propozycji, które mógłbyś rozważyć — dodał ze śmiechem.

Dobry Boże, myślał John, gdyby Hugo wiedział, że popełniłem grzech uganiania się za żoną innego mężczyzny, nie mówiłby tego tak lekko. Gdyby tylko wiedział, jaką wykazał się spostrzegawczością sugerując, że teraz kiedy przybyła Elizabeth, wielu młodszych oficerów będzie usychało z miłości! Co pomyślałby o trzydziestodwuletnim rotmistrzu, który mimo swego wieku i doświadczenia dał się wystrychnąć na dudka dwudziestoletniej dziewczynie, szukającej łatwego podboju? — Milczał, póki nie dotarli do oficerskich kwater. Tutaj zasalutował im młody porucznik obnoszący z dumą ładny, kawaleryjski wąsik.

— Jak tam leci, Rupercie? — zawołał Hugo, kiedy się do niego zbliżyli. — Ten świeży młodzieniec to mój brat, Johnie. Czekał Bóg wie ile, żeby do nas dołączyć, więc módl się, by tego nie żałował.

— Powiedziałbym, że nie mógł przybyć w dogodniejszej chwili, jeśli tylko pragnie się sprawdzić i wyróżnić w walce. Życzę wam długiej i imponującej kariery w tym pułku, Carruthers.

Młody człowiek entuzjastycznie się uśmiechnął.

— Dziękuję, sir. Jeśli chociażby w najmniejszym stopniu mógłbym dorównać Hugonowi, czułbym się więcej niż szczęśliwy.

John uniósł brwi i spojrzał na przyjaciela.

— I kto tu coś przed chwilą mówił o popełnieniu kilku grzeszków?

Hugo wykrzywił usta.

— Ostrzegałem cię, że chłopak uważa mnie za wzór wszelkich cnót. Ufam, że uświadomisz mu, że się myli. Rupercie, oto John Stavenham, do niedawna z Huzarów Chetwynde's. Jako że przebywa w Indiach od dziesięciu lat, jest jedynym wśród nas ekspertem. W czterdziestym piątym walczył na wojnie z Sikkhami, za co otrzymał kilka pochwał. Słuchaj go albo uznaj, że się co do ciebie pomyliłem.

— Bardzo krwawa była ta wczorajsza impreza? — zapytał skwapliwie Rupert. Stali w cieniu drzewa, próbując schronić się przed palącym słońcem.

— Dostyc krwawa, ale mnie nie odpowiada taki sposób walki. Kawalerzyści nie spisują się najlepiej na takim terenie. Bardziej nadawaliby się do tego Gurkhowie albo żołnierze z piechoty Kompanii Wschodnioindyjskiej stacjonujący w Ratnapore.

— Jak już mówimy o tym pułku... przypomniało mi się, że miałem dziś rano wspaniałe spotkanie, Hugo — powiedział Rupert z nie mniejszym entuzjazmem. — Co prawda nie znałeś jej tak dobrze jak ja, ale z pewnością przypominasz sobie Lucy Belmont.

— Belmont — mruknął Hugo, marszcząc w zamyśleniu brwi. — Czyba nie córka Clarence'a Belmonta? Cóż ona, do diaska, robi w Ratnapore?

— Chociaż ciężko mi było w to uwierzyć, nazywa się teraz Lucy Nicholson. Jej mąż służy w piechocie Kompanii Wschodnioindyjskiej. Znasz tego faceta?

— Nie — odrzekł natychmiast jego brat. — Niewiele mam do czynienia z oficerami z tych pułków.

Zwyczaj traktowania oficerów pułków Kompanii Wschodnioindyjskiej jako gorszych był jedną ze spraw, co do których John nie zgadzał się z Hugonem, teraz więc on rzucił majorowi wyzywające spojrzenie i powiedział:

— Ja znam i jego, i... jego żonę.

— Musi być z niego albo diabelnie przystojny facet, albo jakiś cholerny łowca posagów — oświadczył z żarem Rupert.

John potrząsnął głową.

— Chyba ani jedno, ani drugie, ale wszyscy byliśmy nieco zaskoczeni, kiedy powrócił z Simla z taką młodą żoną. Współczuję pani Nicholson. Z pewnością nie jest jej tu łatwo bez starszej krewnej, która mogłaby doradzić, jak się zachować. Jak mi się raz zwierzyła, boi się dam z koszar tak, że „trzęsie się jak galareta”.

Na wspomnienie tego szczerego wyznania, które dziewczyna uczyniła w czasie kadryla na jednym z tutejszych bali, przez twarz przebiegł mu nikły uśmiezek. Bardzo go rozbawiło, kiedy oznajmiła, iż chciałaby, aby jej mąż był huzarem, bo „pan wygląda tak doskonale w kolorze jasnoniebieskim, z tą kołyszącą się u ramion peleryną”. Od tego wieczora John usilnie się starał, gdy spotkał ją kilka razy, uprzejmie z nią rozmawiać. Do męża Lucy żywił głęboką niechęć za to, że zniszczył takie dziecko. Nikt zresztą go nie lubił. Każdy mężczyzna z koszar znał skłonność Henry'ego Nicholsona do zbyt swobodnego zadawania się z młodymi hinduskimi żołnierzami, a kiedy wieść o tym dotarła w końcu do kwatery głównej, tylko to, że miał przyjaciół we właściwych miejscach, pozwoliło mu wyjść z tego niemalże bez szwanku. Kilku przystojnych młodzieńców z jego kompanii zostało przeniesionych do innego pułku, a jego samego wysłano na kilkumiesięczny urlop w uzdrowisku górskim z przykazaniem, że ma wrócić z angielską żoną. Za to, że tak młoda dziewczyna została związana z czterdziestotrzyletnim zboczeńcem, należało winić wszystkich, którzy przyłożyli rękę do skojarzenia tego związku, ale znajomi oficerowie Nicholsona nie poważali go za to, że użył tak niewinnej ofiary, by stworzyć sobie pozory szacowności. W pewien dziwaczny sposób, jak zawsze czynili to żołnierze stacjonujący za granicą, wzięli Lucy pod opiekę i dla niej tolerowali Nicholsona. Niektórym z najmłodszych oficerów wydawało się, że są w niej zakochani, ale o ile podejrzewano, że Henry nie zrezygnował ze związków z hinduskimi chłopcami, to jeśli chodzi o traktowanie żony, zachowywał się on niezwykle poprawnie. W niedzielne poranki spacerowali wokół estrady, jak każda para małżeńska w koszarach przychodzili na zbiórkę osób udających się do kościoła,

Henry siadał obok Lucy na wyścigach i przedstawieniach w małym teatrzyku. Proszone obiady wydawane w ich bungalowie były równie przyzwoite i nudne jak wszystkie inne, a na różnych balach Nicholson skrupulatnie zasypywał żonę uprzejmościami. Mimo to Lucy wywoływała tak w żonatyh, jak i wolnych oficerach instynkt opiekuńczy, dzięki czemu zyskała wielu przyjaciół, a to że damy nie odnosiły się do niej tak ciepło, jak mogłyby, wynikało prawdopodobnie z tego, że posiadała ona niewinny czar, który one dawno już straciły.

Rupert Carruthers najwyraźniej nie wiedział, jak sprawy stoją, ale John nie miał zamiaru być osobą, która mu to wyjaśni. Prawdopodobnie powiększyłyby wtedy szereg takich, którzy wzdychali do Lucy, chyba że znał ją na tyle długo, by nie dostrzegać jej uroku.

— Poznacie Nicholsona na wyścigu w najbliższą sobotę—oznajmił młodzieńcowi. — Ile stawiacie na to, że wasz brat zdobędzie główną nagrodę?

Rupert natychmiast ponownie zaczął tryskać entuzjazmem.

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Jest nie do pokonania, więc złoty puchar ma już właściwie w kieszeni.

— Kto twierdzi, że jest nie do pokonania? — odezwał się za nimi jakiś głos. Do grupy dołączył William Delacourt. — Czekajcie, aż zobaczycie, jakiego zdobyłem konika. — Odwrócił się do Johna. — Rozumiem, że wy będziecie się musieli wycofać z wyścigów? Dopiero co się dowiedziałem, co wam się wczoraj przytrafiło, i muszę was prosić o przebaczenie, że w takich okolicznościach wyrzuciłem was z kwatery. Byłem tak cholernie zajęty rozlokowywaniem tu mojej żony tak, by było jak najmniej zamieszania, że nie widziałem, jak wraca patrol. Jestem ostatnim człowiekiem, który wyrzuciłby z pokoju chorego, ale nie wiedziałem, że coś jest nie tak. — Położył dłoń na ramieniu Johna. — Wybaczcie, że to powiem, ale wyglądacie jak chodzący trup.

— Jestem przekonany, że ci tego nie wybaczy — powiedział sucho Hugo. — I ja, i Lakeland już go o tym poinformowaliśmy, a mój brat nie zrobił tego tylko dlatego, że nie widział Johna w dobrym zdrowiu.

Stavenham spojrział na nich.

— Zmówiliście się, żeby się mnie pozbyć?

— Tak — odpowiedzieli jednocześnie William i Hugo, a ten ostatni dodał: — Nie bawiłoby nas męczące zadanie przenoszenia twego sztywnego ciała,



więc bądź grzecznym chłopcem i wracaj do łóżka, póki możesz tam zejść na własnych nogach.

John domyślnie kiwnął głową.

— Lepiej uważajcie, bo wypoczynek może mi tak pomóc, że okaże się, iż jednak mogę startować w sobotnich zawodach. Obydwaj będziecie musieli wtedy martwić się o swoje laury, bo przy mnie nie będziecie mieli żadnych szans.

Hugo roześmiał się.

— Czcze pogrozki! Nie będzie cię stać na nic, co wymagałoby więcej wysiłku, niż dotrzymanie towarzystwa damom. Delacourt ucieszy się, że może zostawić żonę pod opieką tak skromnego człowieka.

John poczuł ucisk w żołądku, a uśmiech zamarł mu na ustach. Przez szum w głowie dotarł do niego głos Williama:

— Elizabeth z pewnością będzie pragnęła wyrazić żal, iż z jej powodu byliście zmuszeni zmienić kwatery. Niezmiernie się zmartwiła, kiedy jej wczoraj oznajmiłem, że jesteście ranni, ale zapewniłem ją, iż rozsądny z was człowiek i nie będziecie do niej mieli żalu. Słuchajcie no, Stavenham, coś potwornie słabo wyglądacie! — wykrzyknął. — Chyba od razu powinniście iść do łóżka.

— Pojdę — wymamrotał John, czując, że jest niebezpiecznie narażony na obserwację ze strony człowieka, którego nieświadomie znieważył. Otworzył białą furtkę wiodącą do jego kwatery i idąc ciężko ścieżką w kierunku werandy jeszcze raz pytał przeznaczenie, czemu przysłało tu Elizabeth Delacourt. Teraz miała się zacząć pełna napięcia maskarada między nim a kobietą, która go oszukała. Każdego ranka nie będzie wiedział wstając, do jakiego zechce wciągnąć go tańca, jakimi męczyć katuszami.

## ROZDZIAŁ VIII

Elizabeth przebywała w Ratnapore od czterech dni. Przyzwyczała się już wstawać o siódmej, jeździć konno po równinie, nim słońce zdążyło przemienić ją w migotliwą patelnię, i wracać, by wziąć przed śniadaniem kąpiel. Potem służąca powracała z miejscowego bazaru i dawała Elizabeth rachunki do sprawdzenia. Następnie trzeba było ustalić menu na lunch i obiad. Jako że wybór był niezwykle ograniczony, zadanie to nie powinno było sprawiać jej zbyt dużego kłopotu, ale pani Delacourt zdecydowanie postanowiła uniknąć zobojętnienia, które podróżując do terenów przygranicznych zauważyła u wielu kobiet mieszkających w koszarach. Nie przyszło jej do głowy, że damy te mogły być na początku równie uparte jak ona, dopóki w tej walce z wrogiem, którego nikt nie mógł pokonać, nie zmógł ich czas i nie kończący się upał.

Po lunchu, który był tutaj lekkim posiłkiem spożywanym między pierwszą a drugą po południu, ona i William udawali się każde do swego pokoju, w którym leżeli jak w letargu na łóżkach do czasu, kiedy służąca przynosiła herbatę, oznajmiając tym samym, że trzeba ubrać się na obiad. Po posiłku przychodził czas na największą atrakcję dnia: spacer wokół estrady, bez względu na to, czy trwał na niej koncert, czy nie. William mówił, że czasami odbywały się tu przedstawienia teatralne, co wprowadzało jakąś nowość w rozkład dnia, albo organizowano bal, na którym pięćdziesięciu mężczyzn pocących się w grubych, krepujących mundurach, z prawdziwie brytyjską wytrwałością wykonywało swój obowiązek i prześcigało się, by zatańczyć z mniej więcej piętnastoma — zamężnymi — damami.

Na dzień dzisiejszy, a była to sobota, wszyscy mieszkańcy koszar oczekiwali z niecierpliwością. Tego ranka miały się odbyć wyścigi o złoty puchar i postawiono ogromne stawki. Prości żołnierze mieli swój własny system zakładów i już cieszyli się na myśl, że będą zagrzewać do walki swego wybranego oficera. Wyścigi zawsze podnosiły morale armii, nawet jeśli kończyły się picciem na umór i pociągały za sobą poważne długi. Niejeden już chorąży zastrzelił się, kiedy wyniki gonitw wskazywały na to, że popadnie w ruinę, ale dreszcz ekscytacji i wzruszenia towarzyszący naturalnej dla brytyjskich oficerów rozrywce miał większe znaczenie niż ryzyko jej ponurych reperkusji. Nawet tak moralna kobieta jak pani Lakeland patrzyła z aprobatą na męski charakter tego

sportu, wierząc głęboko, że nie można dopuścić, by w tym pogańskim kraju zapomniano o tym, co stanowi o uroku życia na angielskiej wsi.

Tego ranka damy jeździły we dwie lub trzy, bez męskiego towarzystwa, gdyż ich mężowie zbyt byli zajęci sprawdzaniem przed wyścigiem swoich koni. Kiedy Elizabeth wróciła, by się wykąpać i zjeść śniadanie, odkryła, że William wyruszył już do stajni. Była zadowolona z jego nieobecności. Wciąż był nie mniej rozgniewany jej przyjazdem niż na początku, mimo pozorów małżeńskiej harmonii, które zachowywał ze względu na swoją karierę. Kiedy w czasie jednego z koncertów William przedstawił Elizabeth pułkownikowi i jego żonie, Charlotte Lakeland jasno dała do zrozumienia, że nie jest jej przychylna. To że pułkownik Lakeland wyjątkowo schlebiał pani Delacourt, dłużej niż to potrzebne trzymając jej dłoń w swojej, z pewnością nie poprawiło nastroju jego małżonki ani nie wpłynęło korzystnie na opinię, jaką mieli o Elizabeth mieszkańcy Ratnapore.

Idąc za przykładem pierwszej damy pułku, pozostałe panie traktowały nowo przybyłą równie chłodno. Do ich oburzenia wywołanego zainteresowaniem, które wzbudzała wśród męskiej części mieszkańców, doszedł jeszcze fakt, że przywiozła ze sobą zachwycające stroje w kolorach, których żadna z nich nie zdecydowałaby się nosić, a już przynajmniej nie łączyć. Wiedziały też, że chociaż Delacourtowie usilnie udają kochającą się parę, to mieszkają w osobnych pokojach, a „sahib nie odwiedza pani”, jak radośnie powiadomili o tym swych kolegów i ich panie służący. Większość dam uważała, że Elizabeth miała pewnie w Anglii jakiś romans, który zmusił ją do ucieczki przed słowami potępienia do jej pozbawionego złudzeń małżonka. Tylko Fanny Humphrey i Lucy Nicholson z radością zostały jej przyjaciółkami.

Pozostałe panie byłyby niezwykle rozczarowane, gdyby wiedziały, że Elizabeth w najmniejszym stopniu nie dbała ani o ich akceptację, ani jej brak.

Jedząc w boskiej samotności śniadanie, Elizabeth przypomniała sobie, że jeszcze przed upływem godziny zobaczy Johna. Fanny powiadomiła ją, że rany goją się, ale nie na tyle prędko, by mógł uczestniczyć w dzisiejszym wyścigu. Bedzie na trybunach, by oglądać to bez wątpienia ekscytujące widowisko. Stańą twarzą w twarz, otoczeni przez kobiety o ostrych językach i mężczyzn czyhających z napięciem na cokolwiek, co wskazywałoby na intrygę. Jak John wybrnie z tej sytuacji? Z pewnością słyshał o jej przyjeździe do Ratnapore, więc będzie przygotowany na to spotkanie. Nie mógł jej ignorować nie wywołując domysłów, ale jak zdołają zachowywać się jak obcy sobie ludzie? Ubierając się

w jasnorożową suknię, której spódnicę zdobiły przejrzyste lilie wodne, spostrzegła, że drży ze zdenerwowania. Czemu przeznaczenie zrobiło im obojgu tak okrutny dowcip? Zostali już dostatecznie ciężko ukarani w Wellford, dzień po huraganie, i los nie musiał udaremniać wysiłków, które podjęli, by od siebie uciec. Nie miała możliwości natychmiastowego opuszczenia Ratnapore, tak jak on nie mógł przenieść się z pułku, do którego dopiero co dołączył. Byli tutaj więźniami, więźniami jej nierozważnego przekonania, że szczęście może trwać krótko jak tęcza i zniknąć, zostawiając bezchmurne niebo.

Na torach wyścigowych ozdobionych flagami i proporcami panowała radosna atmosfera. Wśród zalewających trybuny żołnierzy szkarłat Dragonów Forrester's pięknie wyróżniał się wśród zieleni i żółci piechoty Kompanii Wschodnioindyjskiej, błękitu Konnicy Kingsford's i szarości małej grupy artylerzystów. Przy boksach stali oficerowie, którzy mieli być dżokejami albo zajmowali się organizacją wyścigów. Ci znajdowali się w stanie lekkiego amoku, co zdarza się zazwyczaj osobom obciążonym taką odpowiedzialnością. Część trybun zarezerwowaną dla oficerów i ich małżonek, gdzie pod markizami w paski ustawione były równe rzędy krzeseł, ozdabiały girlandy świeżych kwiatów. Żony prostych żołnierzy zmuszone były wytrzymać całe godziny ściśnięte w tłumie spoconych, klnących mężczyzn i wyglądały na zadowolone z tej perspektywy, bo pozwalała im ona uciec z brudnych baraków. Wszyscy zamierzali czcić tę uroczystość tak, jak mieli zwyczaj robić to w Anglii.

Nawet Elizabeth mimo napiętych nerwów poczuła ekscytację, którą promieniowali ci wszyscy Anglicy, usiłujący utrzymać w obcych warunkach swą tożsamość narodową. Krótką drogę na tor wyścigowy odbyła z Fanny Humphrey i teraz siedziała obok niej, odzywając się automatycznie, ilekroć przerwa w szczebiotaniu przyjaciółki wskazywała na to, że dziewczyna oczekuje odpowiedzi. Fanny czekała z niecierpliwością na przybycie generałostwa Masonów i zaszczycła Elizabeth opowieściami o wszystkim, co wiedziała o tej parze.

— Ma zwyczaj tak ustalać inspekcje podległych mu placówek, by zbiegały się one z pułkowymi wyścigami. George twierdzi, że generał stawia duże sumy na swych faworytów, jako że sam brał kiedyś z zacięciem udział w zawodach. Plotka głosi, że jest pod pantoflem swej ekscentrycznej żony, ale mnie się wydaje, że ona po prostu często bierze udział w przedsięwzięciach, z których on musi się tłumaczyć i przeproszać tych, których ona obrazi. Sir Francis Mason jest uprzejmym, inteligentnym człowiekiem, wszyscy żołnierze darzą go miłością i szacunkiem, ale nie sądzę, by lady Amelia mogła go zdominować. Toleruje jej dziwaczne zachowanie z godnym pochwały opanowaniem, gdyż jak

słyszałam, pobrali się z wielkiej miłości. Ona była córką lorda Grievey i — chociaż teraz ciężko w to uwierzyć — słynną piękną, a on niesamowicie przystojnym synem aptekarza. Jeszcze teraz ma niezwykle uderzający wygląd.

Zapadła cisza, więc Elizabeth spytała:

— Czemu lady Mason nie jest wciąż piękna?

Wyraz twarzy Fanny wskazywał na głębokie wzruszenie i nawet jej głos brzmiał ponuro, kiedy mówiła:

— Straciła całą trójkę ich dzieci, gdy były jeszcze małe. Jedno zabrała cholera, drugie po prostu zmarniało z tęsknoty za bratem. Trzecie wymknęło się spod opieki miejscowej niańki i zginęło kopnięte przez konia. Mówią, że lady Mason postradała na jakiś czas zmysły, a po wyzdrowieniu rzuciła się w szaleńczy wir pracy charytatywnej. — Ściskając złożone na kolanach ręce, dodała: — George uważa, że jej przeżycia potwierdzają przekonanie, że dzieci nie należy rodzić ani przywozić do obcego kraju, gdzie są narażone na gorączkę, choroby i niebezpieczeństwo starć zbrojnych. Jest przekonany, że każdy mężczyzna powinien na tyle zdawać sobie sprawę z własnej odpowiedzialności za dzieci, by płodzić je tylko wtedy, gdy mogą zostać wychowane w Anglii na łonie jego rodziny.

Elizabeth, która już z wcześniejszych rozmów wywnioskowała, że Humphreyowie, mimo iż wyraźnie sobie oddani, nie cieszyli się niezmaconym szczęściem, teraz znalazła tego przyczynę: Fanny pragnęła dzieci.

— Twój mąż ma zapewne rację — powiedziała delikatnie. — W drodze z Kalkuty spotkałam wiele kobiet zmuszonych do dokonania wyboru między wysłaniem dzieci do kraju pod opiekę krewnych a opuszczeniem męża, aby pozostać z nimi. Nie chciałabym wydawać na świat dziecka, które musiałabym potem komuś oddać, a prawdę mówiąc, to właśnie należałoby zrobić. Nie pragnęłabym też na długie lata rozstawać się z mężem po to, by pozostać z potomstwem, które będzie mu obce, kiedy w końcu powróci.

Mówiła o dylemacie Fanny, ale jej przyjaciółka zrozumiała, że prezentuje swój własny punkt widzenia. Spojrzała na nią szczerze.

— Nie pragniesz zostać matką?

Elizabeth, zaczerwieniwszy się nieco z powodu tego nieporozumienia, z ulgą powitała nagłe poruszenie za trybuną, oznajmiające przybycie najważniejszego gościa. Serce zaczęło jej bić jak młotem, a rumieniec pogłębił się,



kiedy dostrzegła, że za Masonami podąża orszak oficerów nie biorących udziału w dzisiejszych wyścigach. Gdzieś pomiędzy nimi znajdował się mężczyzna, który jak burza przybył do niej przez wzgórze Sussex i skradł jej szczęście. Co zrobi John, gdy się spotkają? Na pewno zdoła wyczytać z jego oczu, czy miłość zastąpiła wzdąrze.

Długa ceremonia prowadzenia wyprostowanego, siwowłosego generała i wysokiej, szczupłej kobiety, ubranej w zaskakująco jaskrawą, zieloną krynolinę i purpurową perukę w stylu Marii Antoniny, na ich miejsca, dała Elizabeth czas, by się uspokoić. Dopiero kiedy starsi oficerowie z małżonkami zajęli miejsca w grupie otaczającej Masonów, pojawiło się kilku ostatnich mężczyzn rozglądających się za wolnymi krzesłami. Henry Nicholson przepchnął się do miejsca, na które rankiem odeskortował Lucy jeden z jego młodszych oficerów. Lekarz, płatnik, kwatermistrz i weterynarz, których normalni oficerowie uważali za coś gorszego od prawdziwych gentlemanów, zbili się w grupkę z tyłu trybuny. Następnie, przepychając się bezceremonialnie między nimi, pojawił się Rupert. Ciągnął za sobą Johna w stronę dwóch pustych krzeseł obok Elizabeth i Fanny, po dotarciu do których wylewnie powitał panią Delacourt.

— Dzień dobry. Jakież absolutnie wspaniały mamy dzionek na wyścigi, chociaż Hugo jeździ doskonale bez względu na pogodę.

Fanny odwróciła się i obdarzyła go uśmiechem.

— Dzień dobry, panie Carruthers. Niewątpliwie na następnych wyścigach będziemy mieli okazję obserwować, jak usiłuje pan dorównać bratu.

— Mam zamiar z jak największym zapalem wkroczyć w życie koszar, droga pani — odpowiedział wylewnie — ale nigdy nie uda mi się dorównać Hugonowi. Na wyścigach jest nie do pokonania. Nie mogę się już doczekać, aż zdobędzie dzisiaj złoty puchar.

— Jeszcze pan nie widział mego męża i pana Delacourta na zawodach — drażniła go delikatnie. — Ich udział w nich będzie wielkim wyzwaniem.

— Kiedy mężczyźni przepchnęli się między rzędami i pojawili tuż za nimi, powitała Johna z dziwną rezerwą, po czym dodała oficjalnym tonem:

— Przykro mi, że z powodu ran był pan zmuszony wycofać się z wyścigu, rotmistrzu Stavenham. Czy w pełni odzyskał pan już siły, sir?

— Owszem. Rana nie była poważna, proszę pani — odpowiedział chłodnym tonem, jakim mówił w czasie ich pierwszego spotkania w Anglii. Na

dźwięk jego znajomego głosu jeszcze bardziej zabiło jej serce. Nie odważyła się powtórnie na niego spojrzeć, ale w ciągu paru najbliższych minut będzie musiała to zrobić i zachowywać się, jakby go nie знаła. Jaka będzie jego reakcja?

Rupert dotknął delikatnie jej ramienia.

— Elizabeth, pozwól, że przedstawię ci rotmistrza Stavenhama, który za ledwie tego ranka wstał z łoża boleści, by zobaczyć, jak Hugo bierze udział w wyścigach i wygrywa.

Odległość między nimi wynosiła za ledwie trzy stopy. Ich spojrzenia spotkały się wreszcie. Przeszył ją chłód. Oczy Johna ściemniały z zaskoczenia, a mięśnie szczęki drgały konwulsyjnie, kiedy skinął nieznacznie głową na powitanie. W szkarłatnym mundurze Dragonów Forrester's i czarnym czaku wyglądał zupełnie inaczej, całkowicie niedostępnie.

Rupert, nieświadom ich zażenowania, ciągnął z zapalem:

— Hugo mówi, że świetny z niego facet i wie dużo o Indiach, jako że służy tu od ponad dziesięciu lat. Mam nadzieję, że podzieli się ze mną wszystkim swymi doświadczeniami. Hugo mówi...

Elizabeth nie mogła znieść dłużej tego napięcia i przerwała Rupertowi, by odezwać się do człowieka, którego widziała ostatnio wychodzącego z kuchni w Domu Pod Orzechem.

— Proszę mi wybaczyć, rotmistrzu Stavenham, że musiał pan z mego powodu opuścić kwaterę. Obawiam się, że sprawa ta wymknęła mi się z rąk.

— Byłem szczęśliwy, że mogę ją zwolnić. — Mówił bezosobowym tonem, słowa były sztuczne i lodowate. Potem odwrócił wzrok w stronę oficerów przygotowujących się za torem, na stanowiskach, do rozpoczęcia pierwszej goni-twy. Serce Elizabeth waliło tak mocno, że zrobiło jej się niedobrze. A więc tak to będzie wyglądało przez następne dni, tygodnie, lata. Kiedy będzie mogła sta-nąć z nim twarzą w twarz, nie czując takiego bólu jak teraz? Ile czasu musi mi-nąć, nim będzie mogła rozmawiać z tym wrogiem, obcym człowiekiem nie pa-miętajac, że był kiedykolwiek jej ukochanym przyjacielem? Przeznaczenie po-winno za to odpowiedzieć.

Odległy tor rozjaśnił się jaskrawymi, kolorowymi, jedwabnymi koszulami dżokejów. Przyszedł czas na dreszcz podniecenia, radość i przyjacielską, lecz zaciętą rywalizację: na udawanie, sztuczkę, która miała chociaż na kilka godzin

przenieść ich do Anglii, usunąć z pamięci jałową równinę i stare miasto symbolizujące, obcą kulturę. Hindusi tańczyli z ekscytacji, a starzy żołnierze ryczeli kibicując głośno swym dowódcom i usiłując zagłuszyć krzyki zwolenników ich rywali. Widok koni czystej krwi galopujących niemal w jednakowym tempie wzbudził powszechne podniecenie. Żony i kochanki żołnierzy piszczały z zachwytu. Damy zaciskały dłonie na rączkach parasolek od słońca i pochylały się w przód, obserwując z błyszczącymi oczyma jazdę męża lub innego dżokeja, który im się podobał.

Elizabeth siedziała cały czas wyprostowana i nieruchoma. Nie słyszała okrzyków zachęty, z następujących jedna po drugiej gonitw dostrzegając za ledwie zamazane kolory. Przeczucie smutku i bólu, które ogarnęło ją, gdy po raz pierwszy zobaczyła Ratnapore, było w pełni usprawiedliwione, gdyż oba te uczucia teraz właśnie ją przepełniały.

Hugo bez trudności zdobył złoty puchar na swoim pierwszorzędnym czystej krwi koniu wyścigowym o imieniu Garth. William był trzeci, po młodym oficerze Konnicy Kingsford's. George Humphrey zdobył w innym wyścigu kryształowy puchar, a jeszcze trzech zawodników z Dragonów Forrester's otrzymało nagrody. Południowe słońce oświetlało pusty tor, a widzowie odchodzili z gotówką lub zadłużeni. Wśród żołnierzy wybuchały awantury. Mężczyźni patrzyli na ubrane w podarte, brudne suknie kobiety, które zwarły się, kopiąc i wrzeszcząc w mściwej bójce, i stawiali zakłady, kto wygra. Hindusi, którym udało się zdobyć kilka rupii, pospieszyli na bazar. Kiedy wyprowadzono honorowych gości, trybuny zaczęły się z wolna opróżniać.

Obok toru rozbito duży namiot, w którym oficerowie i ich żony mogli uzupełnić wczesne śniadanie herbatą i tak kuszącymi przekąskami, jak szynka na jęczmiennych placuszkach, kiełbaski, pasztet w plastrach, jajka i zgrabne tosty z masłem. Tutaj zebrali się wszyscy, oczekując na powrót zawodników, którzy poszli się przebrać. Rupert w zupełnie naturalny sposób znalazł się przy Elizabeth, by ofiarować jej swe ramię, a John nie miał innego wyjścia, niż zaproponować to samo Fanny. Przez dźwięk głosu Ruperta, roztrząsającego z zapalem wyniki wyścigu o złoty puchar, Elizabeth udawało się od czasu do czasu usłyszeć skrawki rozmowy podążającej za nimi pary. Towarzysz Fanny wydawał się krótko odpowiadać na jej lekkie, urywane komentarze. Mężczyźni znaleźli dla nich miejsca, po czym odeszli po herbatę.

— Niezwykle ponury człowiek — wyznała Fanny, kiedy panowie znaleźli się poza zasięgiem słuchu. — Jak sobie przypominasz, w czasie naszego pierw-

szego spotkania powiedziałam prawie to samo. George jest jednak pełen podziwu dla niego, odkąd przyprowadził ich bezpiecznie z patrolu i nie chce słyszeć słowa krytyki na jego temat. — John i Rupert wracali już z filiżankami, więc przysunęła się bliżej. — Pani Merrybanks ma miłą siostrzenicę, która jest żoną jednego z chorążych Huzarów Chetwynde's. — Nachylając się jeszcze bliżej, tak by zbliżający się przedmiot ich rozmowy nie usłyszał, co mówi, dotknęła dłonią ubraną w koronkową rękawiczkę rękawa Elizabeth. — Osiem lat temu miał jeszcze żonę. Ta siostrzenica wspominała o niezręcznej politycznej i wojskowej sytuacji, którą wywołało jej dziwne zniknięcie. Ciągłe pozostaje ono zagadką. Ta sprawa zrujnowała jego karierę, stał się rozgoryczony. Dowiedziałam się o tym zaledwie miesiąc temu i usiłuję usprawiedliwić tym jego szorstki sposób bycia, ale ten człowiek naprawdę nie ułatwia prób uprzejmego traktowania go. W stosunku do ciebie zachował się niemalże grubiańsko, kiedy zostaliście sobie przedstawieni przez pana Carruthersa. To godne pożałowania. Nie my jesteśmy winne jego nieszczęścia.

Mężczyźni już do nich dochodzili, więc wypowiedziała ostatnie zdanie niemalże szeptem, ale że obie patrzyły wprost na Johna, musiał wiedzieć, że o nim mówią. Jeszcze bardziej zacisnął usta podając Fanny herbatę, a ona zaczerwieniła się na widok tego bezgłośnego napomnienia.

— Jest mnóstwo najwymyślniejszych rzeczy do jedzenia — oznajmił radośnie Rupert. — Obiecuję, że tutaj nie będę narzekał, Elizabeth.

Jakoś zdobyła się na uśmiech.

— Miło mi to słyszeć. — Odwracając się do Fanny, rzekła: — Powinnaś wiedzieć, że pan Carruthers i ja nie raz pokłóciliśmy się w czasie naszej nużącej podróży, jako że miał w zwyczaju oznajmiać kierownikom różnych lokali, że takiego jedzenia, jakie oferują, nie dałby nawet psom, nie mówiąc już o tym, że sam go nie tknie. Doceniałam jego wrażliwe podniebienie — posiłki rzeczywiście były nie do jedzenia — ale nie mieliśmy innego wyboru, a jego żądania nie czyniły nas drogimi sercu tych, którzy mogli w środku pustyni zapewnić nam wygodę lub uniemożliwić cieszenie się nią.

Fanny podniosła wzrok na Ruperta.

— Dobre nieba, jakże musi pan być odważny, by obrażać takich ludzi!

— Nie brakowało mu odwagi, kiedy spłoszyły się konie — ciągnęła Elizabeth, świadoma uważnego spojrzenia Johna, ale nie podniosła na niego wzroku, kiedy opowiadała Fanny tę dramatyczną historię.

Rupert skromnie jej przerwał:

— Ależ to był żaden wysiłek, nie da się go porównać z czynami rotmistrza Stavenhama na patrolu cztery dni temu.

Ryzykując bezpośredni kontakt z Johnem, Elizabeth uniosła głowę.

— O ile wiem, już od jakiegoś czasu obawiał się pan narastającej wrogości tubylców, sir.

Wydawało się, że walczy ze sobą, gdy spojrzał na nią z rosnącą pogardą. Próbując ukryć gafę, którą popełniła odnosząc się do czegoś, o czym powiedział jej w Wellford, skłamała, jeszcze bardziej pogarszając tym sytuację.

— Mój mąż powiedział mi o tym w dzień mego przybycia, kiedy usłyszał, że zaatakowano patrol.

— Oczywiście — mruknął w taki sposób, że temat został zarzucony.

Kelner przyniósł różne smakołyki do herbaty. Fanny wzięła biszkop-

cika i tosta. Elizabeth podziękowała. Nic nie przeszłoby jej przez ściśnięte gardło. Pojawienie się w namiocie niektórych zawodników, bardzo schludnie wyglądających w świeżych mundurach, wywołało poruszenie wśród hałaśliwego tłumu, który rozbił się na nowe grupki. George Humphrey wchodząc zauważył żonę i ruszył w kierunku bufetu. Fanny przeprosiła ich i odeszła, by mu pogratulować i w tym samym niemalże momencie pojawił się Sir Hugo. Powitany przez brata, który skinieniami dłoni prosił, by się do nich przyłączył, Hugo w uroczy sposób pozbył się zgromadzonych wokół niego osób i ruszył w ich kierunku. Elizabeth zmuszona była przyznać, że jest niezwykle przystojnym, imponującym mężczyzną, podobnym, lecz dojrzalszym od niego.

— Byłeś wspaniały! — krzyknął Rupert chwytając go za rękę i potrząsając nią. — Po mistrzowsku wstrzymałeś Gartha na ostatnim zakręcie, a potem na ostatnim odcinku popuściłeś mu cugli!

— Dziękuję, drogi chłopcze, ale twoje pochwały są jak zwykle nieco przesadzone. — Zwrócił swe niebieskie oczy na Elizabeth.

— Droga pani, mój podły braciszek z takim zachwytem mówił o pani licznych przymiotach i przeklinał warunki, które uniemożliwiały mu przedstawienie mnie pani, a teraz gdy nadarza się po temu okazja, potrafi tylko pleść o wyścigach. — Skłonił się wytwornie i mówił dalej: — Przedstawiam się więc



sam, pani Delacourt, i ośmielę się wyrazić prawdziwy podziw dla damy, która dzień po dniu znosiła towarzystwo Ruperta nie słaniając się z wyczerpania.

Elizabeth była absolutnie oczarowana łobuzerskim błyskiem w jego oczach i głosem całkowicie pozbawionym wyniosłości, która tak często brzmiała w słowach Ruperta.

— Nigdy nie groziło mi wyczerpanie, sir — rzekła odpowiadając mu uśmiechem. — To perspektywa spotkania z takim wzorem cnót, jak Sir Hugo, wywoływała u mnie niejednokrotnie palpacje serca.

Hugo zaśmiał się z zadowoleniem.

— Jestem przekonany, że szybko się pani zorientowała, iż mój brat ma skłonności do ogromnej przesady. Przyznam, że unikałem tego spotkania obawiając się, że po poznaniu prawdy na pani twarzy pojawi się wyraz najgłębszego rozczarowania. Odkrywam jednak, że Rupert nie przesadzał w najmniejszym stopniu mówiąc o pani. Czy mogę liczyć na to, że również i mnie obdarzy pani przyjaźnią, którą zaszczyliła mojego brata?

— Z największą przyjemnością — odrzekła szczerze, świadoma zarozumiałej dumy, z jaką Rupert przyjął sposób, w jaki oceniła człowieka, którego czcił jak żadnego innego.

Ktoś poruszył się za nią i rozległ się głos Johna:

— Wybaczcie, że się oddalę.

— Nie odchodź — powstrzymał go Hugo. — Myślę, że dzisiaj trafia nam się dobra okazja. Generał Mason jest ponoć głęboko zaniepokojony tym, co wydarzyło się w zeszły wtorek, i wyraził chęć dowiedzenia się o szczegółach od ciebie. Wydaje mi się, że nie można stracić takiej szansy.

John sztywno skinął głową. Hugo był zaskoczony.

— Spodziewałem się większego entuzjazmu z twojej strony. Przecież na to czekałeś, prawda? — Potem, przyglądając mu się uważnie, zapytał: — Dobrze się czujesz? Muszę przyznać, że ciągle źle wyglądasz.

W tym momencie do Hugona podszedł oficer generała i oznajmił, że Mason pragnie, by mu przedstawił swego młodszego brata. Nie mogli zignorować tego wezwania, odeszli więc obiecując, że wrócą najszybciej jak się uda. John nie mógł odmaszerować, zostawiając Elizabeth samotnie, co oznaczało, że będą zmuszeni prawić sobie uprzejmości, by uniknąć ciekawych spojrzeń, jakie

przyciągałaby stojąca wśród radosnego gwaru milcząca para. Jako że on nie zrobił żadnego wysiłku, by zacząć rozmowę, Elizabeth musiała odezwać się pierwsza.

— Ta sytuacja jest dla nas obojga nie do zniesienia. Jedynym jej plusem jest to, że mam okazję udzielić ci wyjaśnień, na jakie zasługujesz.

Omijając ją wzrokiem odparł szorstko:

— Nie sędzę, by cokolwiek, co pani powie, mogło mnie zainteresować.

Skrepowana towarzystwem, w którym się znajdowali, zraniona jego pogardliwym zachowaniem, Elizabeth błagała:

— Proszę, nie potępiaj mnie, nie wysłuchawszy, co mam do powiedzenia.

— Dlaczego jakikolwiek mężczyzna poza pani mężem miałby panią potępić? — zripostował.

Nie chcąc wyjawiać swych uczuć otaczającym ich ludziom, z trudem przyjęła obojętny wyraz twarzy, mówiąc z bólem:

— Wiem, co musisz teraz o mnie myśleć, ale...

— Nie myli się pani — przerwał jej lodowatym głosem. — I muszę dodać, że pani obecność w Ratnapore potwierdza tę niepochlebną opinię. Czy nie wyrządziła pani Delacourtowi wystarczającej szkody bez przyjeżdżania tutaj, by zniszczyć tę resztkę honoru, która mu jeszcze została?

Starając się nad sobą panować, wykrzyknęła cicho:

— Nie rozumiem!

— Myślę, że doskonale pani rozumie — powiedział ostro. — Łatwo było go zdradzać, kiedy był sześć tysięcy mil od kraju, ale robienie tego tutaj jest niebezpieczne. Już w czasie podróży usidliła pani tego młodzieńca, a widzę, że zaczyna pani swoje gierki z Sir Hugonem. Proszę uważać, co pani robi, albo zrujnuje pani jego karierę, tak jak karierę Delacourta i innych zamieszanych w to osób.

Przerażona wnioskami, jakie wyciągnął, krzyknęła cicho:

— Nie mogę uwierzyć, że mówisz to z przekonaniem, że jesteś tą samą osobą!

— Nie jestem, nie jestem, dzięki Bogu — odparł z wrogością. — Więc jeśli planuje pani raz jeszcze wodzić mnie za nos, to proszę się nad tym dobrze zastanowić. Plotkowanie z Fanny Humphrey o pani podbojach — tak, od razu było widać, co robiłyście przed chwilą — może okazać się niebezpieczne. Najdrobniejsze pani potknięcie doprowadzi Delcourta i mnie do upadku. Są zasady, których nie należy łamać. Każdy o tym wie. To, że nie było się świadomym ich łamania, nie jest żadnym usprawiedliwieniem i spotyka się z równie surowym potępieniem.

Jego wyjazd z Sussex sprawił jej nieopisany ból. Teraz ranił ją jeszcze dotkliwiej. Zaatakowała.

— Miałaś rację nazywając ten kraj pięknym i dzikim. Przyjazd tutaj, oglądanie wszystkiego, co mi opisywałeś, było rzeczywiście piękne, Johnie. Teraz właśnie ukazałeś mi dzikie, okrutne oblicze Indii.

Przez chwilę dostrzegła w jego oczach niepewność, cień wątpliwości, ale dany jej był tylko ten krótki moment, zanim im przeszkodzono.

— Wybacz, kochanie, że dopiero teraz do ciebie przychodzę — rzekł William zbliżając się do nich. — Norselandowi zaczęła się odrywać podkowa. Musiałem iść do kowala. Witajcie, Stavenham. Straciliście dziś rano świetne widowisko, szczególnie w trzeciej gonitwie, kiedy Danby został zrzucony z siodła. Niech mnie diabli, jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak szybko spadł. — Zmarszczył brwi. — Wybaczcie, że to powiem, ale ciągle wyglądacie przerażająco kiepsko. Czy nie męczy was upał w tym przeklętym namiocie?

John potrząsnął głową.

— Nie, to szok, że jesteście dopiero trzeci w wyścigu o złoty puchar. Proszę wybaczyć, ale muszę iść pogratulować Humphreyowi sukcesu.

Odszedł, skłoniwszy się sztywno Elizabeth. Odprowadziwszy go wzrokiem, William odwrócił się do żony.

— Dziwny facet. Nigdy nie wiem, jak do niego podejść. Chyba go nie rozłościłaś, co? Obydwoje mieliście napięte miny, kiedy podchodziłem.

— Jak sam stwierdziłaś, wszystkich nas męczy upał w tym przeklętym namiocie. Nie moglibyśmy wyjść?

— Oczywiście, że nie. Dopiero co przyszedłem, a trzeba cię przedstawić generałowi i lady Mason. Przyniosę jeszcze herbaty, trochę cię orzeźwi.

— Jego następna uwaga zniszczyła jakiegokolwiek pozory troskliwości:

— Pamiętaj, że ciągle muszę tuszować zakłopotanie, w jakie wprawił mnie twój nagły przyjazd. Na pewno nie pomoże mi, jeśli będę im musiał przedstawić wędną z powodu upału żonę.

Dopiero po półgodzinie skinięciem głowy dano Williamowi znak, by wystąpił. Do tego czasu Elizabeth zdążyła już niemalże pokonać swą rozpacz i przekonanie, że wszyscy dookoła musieli słyszeć każde słowo Johna. Podeszła do lady Mason z pozornym spokojem, chociaż nie mogła nie przypomnieć sobie, jak w Wellford John powiedział ze śmiechem, że znajdzie sprzymierzeńca w tej ekscentrycznej damie walczącej o prawa prostego żołnierza. Spostrzegła, że generał był wciąż wyjątkowo przystojny. Kłaniając się jej, uśmiechnął się ujmująco i zauważył, że oficerowie wybierają sobie coraz młodsze żony, by czarować zmęczone oczy tych, którzy od dawna przebywają z dala od domu. Następnie lady Amelia obrzuciła Elizabeth krytycznym wzrokiem, tak długo ją obserwując, że William zaczął być wyraźnie niespokojny.

— To pani jest tą młodą kobietą, która przybyła do męża bez zapowiedzi?  
— spytała zaskakująco cichym głosem.

Zadziwiająca, purpurowa peruka, jaskrawa zielona suknia i wieść, że dama ta bez ceremonii stawia czoło samemu gubernatorowi, sprawiła, że Elizabeth spodziewała się dźwięcznego, przytłaczającego głosu i agresywnego sposobu bycia. Jednak to niekonwencjonalnie szczere pytanie zadane zostało całkiem zwyczajnym tonem. Takiego właśnie przebiegu rozmowy obawiał się William, ale nie było sensu unikać prawdy.

— Tak, proszę pani. Pułk wyruszył z Kalkuty, zanim do mojego męża dotarł list jego ojca. Wygląda na to, że podróżowałam szybciej niż poczta, gdyż nie doszedł do tej pory.

— I już najprawdopodobniej nigdy nie dojdzie. Wiele z listów, które sama wysyłam, nie dociera do adresatów... jak mi mówiono — dodała z grymasem.  
— To godne pochwały, że uznała pani, iż jej miejsce jest tutaj, u boku męża. Podjęłam to samo postanowienie w młodości i do dzisiaj jestem mu wierna. Trzeba było nie lada odwagi, by udać się samotnie do Indii, a później w tę wyjątkowo ciekawą, lecz niezwykle powolną dodatkową podróż do Pendżabu. Pisałam do królowej o wybudowaniu linii kolejowej wiodącej przez Indie; oszczędziłoby to tym biednym ludziom podróży na piechotę, ale musiał to być jeden z tych zaginionych listów. — Uśmiechnęła się krzywo. — Napisałabym

do niej o niewiarygodnie zawodnej poczcie, tyle że musiałabym sama wręczyć jej ten list, by mieć pewność, że do niej dotrze.

Czując do niej sympatię i widząc, że za ekscentryczny — prócz stroju — może uchodzić tylko jej zwyczaj mówienia tego, co myśli, Elizabeth odwzajemniła jej uśmiech.

— Pan Carruthers wierzy, że ludzie będą kiedyś mogli latać. Zanim nastąpi ten cud, mogłaby pani spróbować przymocowywać wiadomości do nóżek ptaków nauczonych latać wprost do gubernatora lub Jej Królewskiej Mości. Ptaki, droga pani, rzadko giną w drodze.

Amelia Mason odwróciła się do męża.

— Nie uważasz, że to doskonały pomysł, kochanie? Sokoły mogą się okazać o wiele bardziej godne zaufania od twoich wojskowych posłańców konnych. — Nie czekając na odpowiedź, najwyraźniej nawet jej od niego nie oczekując, odwróciła się do Williama. — Podoba mi się pańska żona, rotmistrz Delacourt. Jakież miał pan szczęście, wybierając kobietę nie tylko przepiękną, ale również zaradną i inteligentną. Zastanawiam się tylko, czemu był pan na tyle głupi, by zostawić ją w Anglii. — Speszyszy go okrutnie tą wypowiedzią, ponownie zwróciła się do Elizabeth: — Pani właśnie było mi trzeba do mej kampanii na rzecz poprawienia warunków życia tych nieszczęsnych biedaków, którzy mają walczyć w naszym imieniu. Musimy pokonać wiele trudności, a pani żywy, młody umysł z pewnością znajdzie nowe rozwiązania.

Następnie wygłosiła długi monolog dotyczący tej jednej z najbardziej interesujących ją spraw, nie zważając na głupawy, zaskoczony wyraz twarzy Williama i oburzenie, które wywoływała tak długa rozmowa z nowo przybyłą u tych, których żona generała obdarzyła zaledwie obojętnym skinieniem głowy. Lady Mason w swej kampanii na rzecz poprawienia warunków życia wojska od dawna najbardziej interesowała się niedolami prostych żołnierzy, a szczególnie ich żon, które zmuszone były prowadzić życie małżeńskie za kotarą oddzielającą niewielką część długiego baraku od pomieszczenia dla samotnych wojskowych. Tutaj poczynały i rodziły dzieci, tutaj też, wśród klnących, pijanych żołdaków, zmuszone były je wychowywać.

Dama ta nie była jedną z osób, które potępiały żołnierzy, by szybko o nich zapomnieć. Zadała sobie trud, by odkryć, iż ludziom tym nigdy nie dano okazji, aby mogli stać się kimś więcej niż samolubnymi pijakami, i zaczęła czynić starania o wprowadzenie do ich codziennego życia paru



udogodnień. Pragnęła zrobić o wiele więcej, ale jako że na drodze stawali jej nietolerancyjni urzędnicy, musiała się zadowolić pozytywną reakcją prostych wojaków na zainstalowane przez nią nowe kantyny, w których podawano napoje bezalkoholowe i pożywne przekąski.

Następnymi sprawami na jej liście były haniebnie źle wyposażone koszarowe szpitale i sprawa zorganizowania osobnych kwater dla żonatych żołnierzy. Dostawy artykułów medycznych będzie niezwykle trudno uzyskać i lady Mason spodziewała się, jak wyznała Elizabeth, że przewiduje długą walkę o nie. Ale miała za to na oku kilka baraków używanych jako magazyny, które po opróżnieniu będą mogły z powodzeniem służyć jako kwatery dla sześciu rodzin Dragonów Forrester's. Słyszała, że kawalerzysta Donegal, który zmarł w tym tygodniu, zostawił żonę i dwóch małych chłopców, ale wdowa po nim już poślubiła pierwszego, który jej to zaproponował i dzięki temu może zostać w koszarach na swym dawnym miejscu. W innym przypadku ani ona, ani dzieci nie miałyby żadnych szans.

Lady Mason zakończyła swą przemowę obdarowując Elizabeth promiennym uśmiechem, który potwierdzał opowieść Fanny, że generałowa była kiedyś niezwykle piękną. Być może tragiczna śmierć trójki dzieci pozbawiła ją urody i źle wpłynęła na jej zdrowie psychiczne, ale dama była tak pełna współczucia i zrozumienia, że inni mieszkańcy Ratnapore wydawali się w porównaniu z nią sztuczni. John słusznie ją podziwiał i jakże musiał być spostrzegawczy, aby dostrzec, że Elizabeth znajdzie w niej bratnią duszę! Myśląc o tym nie mogła nie odwrócić się, by spojrzeć tam, gdzie stał z kilkoma innymi oficerami. Przez chwilę, kiedy ich oczy spotkały się, zadrgała w nich obietnica zrozumienia, ale wkrótce uwagę Elizabeth odwróciło pytanie zadane przez jej rozmówczynię.

— Pani Lakeland przyrzekła mnie jutro odwiedzić w moim bungalowie, aby dowiedzieć się, co zamierzam. Czy mogłaby jej pani towarzyszyć? Czy mogę liczyć na pani wsparcie, pani Delacourt?

— Oczywiście, droga pani. Kiedy po raz pierwszy usłyszałam o pozwoleniu na godnych warunkach, jakie muszą znosić żołnierze tego pułku, stwierdziłam z mocą, że trzeba coś na to zaradzić. Wydawało mi się, że tylko kobiecy głos mógłby zostać wysłuchany. Z całego serca będę panią popierała.

Przez pozostałą część ranka William chodził wielce usatysfakcjonowany, a widoczne oburzenie dam dbających z wyraźnym zacięciem o kariery mężów jeszcze bardziej go radowało. Tuż po dwunastej po południu wrócili do bunaga-

lowu i udali się do swych pokoi, by — jak zwykle o tej porze — odpoczywać. Elizabeth długo leżała próbując na chwilę zapomnieć o napięciu, które przeżyła rano, ale przed oczyma jawił jej się cały czas gorzki wyrzeka z twarzy Johna, a w uszach dźwięczały jego lodowate słowa pogardy. Była jednak przecież chwila, kiedy...

Te dręczące myśli przerwał dźwięk cicho otwierających się drzwi, zza których do pokoju wsunął się ukradkiem William. Jego nagie ciało okrywała toga z prześcieradła, a odgłos bosych stóp zagłuszał skrzypiący u sufitu wachlarz. Sam sposób jego pojawienia się sugerował, co miał na celu, i Elizabeth poczuła ogarniający całe jej ciało krzyk protestu. Nie teraz! Nie właśnie dzisiaj!

— Bardzo boli mnie głowa, Williamie — powiedziała wyraźnie i stanowczo. — Muszę cię poprosić, byś dał mi odpocząć w spokoju.

Jej mąż stał już przy łóżku i patrzył w dół z dobrze jej znaną determinacją.

— To jasne, że boli cię głowa, kochanie. Zaniedbywałem cię, odkąd przyjechałaś, ale tylko przez nieporozumienie. Ten cholerny list! Nie zdawałem sobie sprawy z motywów twego działania, dopóki Amelia Mason jasno ich nie określiła. Naprawdę odbyłaś tę podróż z powodu oddania dla męża. Teraz należy ci się za to nagroda.

Cień kpiny w jego głosie dał jej znać, że zadowolenie z tego, iż wzbudziła zainteresowanie lady Mason, walczyło w nim z urazą, iż on sam nie potrafił go wywołać.

— Cieszę się, że to nieporozumienie się wyjaśniło — powiedziała beznamiętnym tonem — ale upał i gwar dzisiejszego ranka źle wpłynęły na moje samopoczucie, muszę cię więc prosić, byś wynagrodził mnie chwilą snu i samotności. Nie zapominaj, że bardzo niedawno zakończyłam niezwykle wyczerpującą podróż do ciebie.

Siadając na łóżku, pozwolił prześcieradłu opaść z ciała i rzekł:

— Młody Carruthers jest pełen podziwu dla twojej wytrzymałości, która najwyraźniej pozwoliła ci go zabawiać przez całe cztery i pół miesiąca. Miłość do mnie z pewnością pokona ból głowy. — Dotykając dłonią wstążek związanych pod jej szyją, dodał kusząco: — Zawsze wyglądałaś niezwykle czarująco w koronkowej pelerynce. — Położyła rękę na jego palcach próbujących rozwiązać satynową kokardę i jeszcze raz uczyniła staranie, by uniknąć czegoś, czego teraz właśnie nie mogła przyjąć z radością.

— Williamie, prosilaam bys dał mi odpocząć w spokoju.

— A ja od początku ci mówiłem, że będziesz musiała podporządkować się wszelkim wymogom życia u mego boku. Nie prosiłem, byś tu przyjeżdżała, ale skoro już tu jesteś, to staram się to jak najlepiej wykorzystać. Dziś rano doskonale grałaś rolę posłusznej żony. Teraz też to zrobisz, by mnie zadowolić.

Zanim zdążyła się ruszyć lub cokolwiek powiedzieć, rzucił się na nią i zaczął zdzierać z jej ramion cienką pelerynkę. Namiętność zawsze zmuszała go do szybkiego działania. Nie było sensu walczyć z tym wysokim, bardzo silnym mężczyzną. Na rytuał, któremu oddawał się milcząco i samolubnie, nigdy nie reagowała inaczej niż przyzwoleniem. Ale przedtem nie ranił on jej, nie wywoływał w niej obrzydzenia. Dziś jednak, znosząc jego pochrząkiwania i pchnięcia, czuła się poniżona tym, że tak bezosobowo używa jej ciała. William myślał pewnie, że łzy płynące z jej oczu były wyrazem radości, ale Elizabeth płakała jeszcze długo po tym, jak zaspokojony spał chrapiąc u jej boku.

\* \*

\*

John i Hugo wyjechali o siódmej rano wraz z połową szwadronu i podążyli przez równinę w kierunku Ratnapore. Oficerowie, gdy tylko oddalili się od kwater, odprężyli się i zaczęli gawędzić o minionym weekendzie. Próby przekonania generała Masona o potrzebie konfrontacji z Ganda Singhiem, podjęte zgodnie z propozycją Hugona, spotkały się z przychylnym przyjęciem, jako że generał powiedział Lakelandowi, iż nadszedł czas, by miejscowy władca usłyszał kilka ostrych słów. Zarządził też, że dwaj oficerowie wraz z grupą najokazalszych, najagresywniej wyglądających kawalerzystów mają zostać bezzwłocznie wysłani, by zorganizować spotkanie z nim. Pozycja społeczna Hugona wraz z reprezentowaną przez Johna znajomością języka Gandy Singha, którego również już znał, zostały uznane za idealną kombinację. Ludzie, którzy im dzisiaj towarzyszyli, byli tak przerażający, jak tylko generał Mason mógłby sobie tego zażyczyć.

Niedziela, która nastąpiła po emocjach wyścigów i towarzyszących im ekscesach, była spokojna, ale to właśnie do sobotniej nocy nawiązał Hugo, spoglądając szelmowsko na Johna.

— Kiedy powiedziałem ci kilka dni temu, że Lakeland bardziej by cię lubił, gdybyś popełnił kilka grzeszków, nie chodziło mi o to, byś wstawał z łóżka bóleści tylko po to, by natychmiast złamać swą własną zasadę picia wyłącznie z

umiarem. Rzadko zdarzało mi się widzieć, żeby ktoś upił się w takim tempie, jak ty zrobiłeś to wczoraj w kasynie po wyścigach.

John jęknął.

— Wolałbym, żeby mnie Lakeland znieawdził, niż przechodzić przez to jeszcze raz. Wczoraj przez cały dzień miałem na karku cztery chwiejące się głowy, które usiłowały zlać się w jedną. Udało im się to dopiero wieczorem. A z ciebie to też niezły przyjaciel!

Hugo zrobił urażoną minę.

— Mój drogi, kiedy wszedłeś i poprosiłeś o butelkę brandy, wyglądałeś, jakby cię odcięli z szubienicy. Jako że nie mogłeś się przyłączyć do zabawy i gier, nie narażając na szwank ran na plecach, najuprzejmiejszą rzeczą, jaką mogłem zrobić, było jak najszybsze wyciągnięcie cię stamtąd. Pozwolę sobie przypomnieć, że wziąłem na siebie obowiązek bezpiecznego położenia cię do łóżka.

— Dziękuję i za to.

Przez chwilę jechali w milczeniu, po czym Hugo rzekł znacząco:

— To cholernie atrakcyjna kobieta. Nie będziesz jedynym mężczyzną na tej placówce, któremu kawalerski stan wyda się nagle nie do zniesienia. Z dwojga złego radziłbym ci jednak alkohol. Nie uśmiecha mi się zbieranie pewnego pięknego ranka resztek twojego mózgu z podłogi.

John spoglądając wprost przez siebie czuł, jak zaczyna go ścisnąć w gardle. — Jesteś niewiarygodnie spostrzegawczy, Hugo... mam nadzieję, że bardziej niż inni. — Przerwał na chwilę, po czym powiedział: — Jest jeszcze jedna alternatywa, o której nie wspomniałeś. Mogę tak wyćwiczyć konia, aby był szybszy niż Garth. Chętnie zbierałbym potem z ziemi twój mózg, odebrawszy ci przedtem złoty puchar.

Jego przyjaciel zaśmiał się.

— Jesteś niepoprawny. Na radę odpowiadasz wyzwaniem. Jeśli zwyciężysz mnie w czasie wyścigów, z radością strzelę sobie w łeb, bo będzie to znak, że podupadłem na zdrowiu.

John jechał w milczeniu, spoglądając na migocące w porannym, idącym od równiny upale kopyta odległego miasta. Wizja ta jednak wkrótce zbladła, ustępując obrazowi ubranej w delikatną, różową krynolinę dziewczyny, przy której

wszystkie inne usuwały się w cień. Była jeszcze piękniejsza i bardziej ekscytująca, niż pamiętał, a jej postać odziana w miękką, przejrzystą, romantyczną sukienkę wprawiała go w osłupienie. W czasie jedenastu miesięcy goiyczy w jego umyśle wytworzył się obraz ladaczniczy o wyzywających oczach i kształtnym, zmysłowym ciele, odzianej w błyszczący atlas. Tymczasem Elizabeth wydawała się wątpić i głęboko poruszona ich spotkaniem. Dał się nawet na moment zwieść i nieomal zapomniał, jak była zdradziecka, ale na czas udało mu się zebrać w sobie i uniknąć ujawnienia swych uczuć, co mogłoby mieć fatalne następstwa. Wciąż coś go do niej ciągnęło; ciągle czuł głęboką więź, która tak szybko nawiązała się między nimi w Wellford. Ujrzawszy ją w towarzystwie Delacourta, dla którego była żoną, Ruperta Carruthersa uważającego ją za dobrą przyjaciółkę oraz Hugona, który tak szybko uległ jej zdolności oczarowywania mężczyzn, zapłonął zazdrością. Nie miało znaczenia, że wyraźnie rozmawiała na jego temat z Fanny Humphrey — Bóg jeden wie, co szeptała na ucho tej kobiecie — ani że usiłowała prowadzić z nim dalej grę, którą zaczęła w Wellford. Mimo jego usilnych starań uczucie, które zawładnęło nim w Anglii, było wciąż równie silne i John przez cały ranek z własnej woli zadawał sobie tortury, obserwując ukradkiem Elizabeth. Hugo był bystry i wyciągnął właściwe wnioski w zaskakująco krótkim czasie. John miał szczerą nadzieję, że lepiej uda mu się ukrywać prawdę w czasie czekającej go próby tygodni, miesięcy i lat spędzonych w jej towarzystwie.

Otrząsnął się z zamyślenia, kiedy dotarli do wyschłego, szerokiego koryta rzeki przecinającego grunt w taki sposób, że droga do miasta musiała go okrążyć. Hugo, ścierając z twarzy pot jedwabną chusteczką, wskazał głową na tę przedłużającą podróż, głęboką przeszkodę.

— Cóż to za przeklęty kraj! Gdyby zasypać te wąwozy, droga do Ratnapore byłaby krótsza o co najmniej godzinę!

— A równina zostałaby tak zalana w czasie pory deszczowej, że w ogóle nie moglibyśmy przez nią przejechać — odparł John z szerokim uśmiechem. — Zawsze możesz przez niego przeskoczyć. To żaden wyczyn dla zdobywcy złotego pucharu.

Hugo zmarszczył brwi.

— Może bym nawet tego spróbował, żeby ci utrzyć nosa, gdyby koń, na którym jadę, dobrze skakał. Na dzisiejszy ranek wybrałem najpokaźniejszego rumaka z mojej stajni, żeby zrobić wrażenie na miejscowych, ale jest on strachliwy, gdy przyjdzie do skoków przez przeszkody. Następnym razem przyjadę



na koniu, który jest w tym mistrzem, i wprawię cię w zdumienie, pokonując wąż z całymi stopami zapasu.

— Wszystkich by to zdumiało. Wąż jest szerszy, niż się wydaje i tylko desperat ryzykowałby życie próbując go pokonać.

Hugo rzucił mu spojrzenie z ukosa.

— Jeśli boski Delacourt nazbyt już drażni twoje zmysły, pozostaje jeszcze alternatywa, o której nie pomyślałem, mój drogi.

W dwie godziny po wyruszeniu dotarli do bram Ratnapore i wkroczyli do niego, przejeżdżając pod niskim łukiem. Dzień zaczął się już na dobre dla mieszkańców miasta, więc Brytyjczycy z trudem pokonywali wąskie uliczki, przeciskając się przez tłum na swoich wysokich koniach, które wzbudzały więcej podziwu i zainteresowania niż dragoni w szkarłatnych mundurach. Pałac usytuowany był we wschodniej części miasta, nad rzeką płynącą wzdłuż głównej ulicy. Nazywanie którejkolwiek z pokrytych spieczonym przez słońce błotem ścieżek „ulicą” było nadzwyczajnym komplementem, twierdza Gandy Singha leżała jednak przy najszerszej z nich, wzdłuż której wybudowane były domy członków rady. Z tej przyczyny była to główna arteria miasta.

Aby do niej dotrzeć, dragoni musieli przejechać przez ciągnące się daleko bazy pełne pokrzykiwań przekupniów i wyprzedzać z trudem muły tak obładowane, że często cała droga była zablokowana od ściany do ściany. Wąskie przecznice tych uliczek wiodły do domków o płaskich dachach zbudowanych ze spojonych gliną kamieni. Bystre oko mogło dostrzec w przelocie ciemnookie kobiety, które rzuciwszy szybkie spojrzenie na jadących tak dumnie przez ich miasto żołnierzy, pospiesznie spuszczały głowy.

John widział to już wiele razy. Hugo tylko raz odwiedził to miejsce, które — jak się potem zarzekał — mogłoby zainteresować tylko człowieka umierającego z głodu, a i to tylko wówczas, gdyby był ślepy. Kawalerzyści nigdy nie byli poza murami miasta, które stanowiło dla nich teren zakazany, i jadąc przez nie, przyglądali się wszystkiemu z otwartymi ustami. Patrole zawsze eskortowały karawany do bram miasta, by zawrócić potem na północ, ku krętej drodze wiodącej z powrotem do koszar. Fascynujące było zobaczyć wreszcie, co kryje się za grubymi, kamiennymi murami otaczającymi ludzi, których ich pułk miał bronić. Stragany, bazy i ciemnookie kobiety były również i w Kalkucie, ale minęło już sześć miesięcy, odkąd opuścili tamte koszary. Z przyjemnością oglądali cząstkę życia toczącego się poza granicami ich placówki.

Wejście do pałacu stanowiła jeszcze jedna brama prowadząca na dziedzi-  
niec, na którym mała grupa kawalerzystów karnie się zatrzymała. Z myślą o  
swoich ludziach, którzy musieli tu czekać podczas negocjacji, Hugo wybrał za-  
cienioną część podworca, zanim zsiadł z konia, by oddać go w ręce czekającego  
już hinduskiego stajennego. Jego starania nie minęły nie zauważone przez tych,  
którzy pragnęli również wejść do środka pałacu i na własne oczy ujrzeć znajdu-  
jące się tam ponoć bogactwa.

Oficerowie przeszli przez bramę, za którą bieda, brud i zgiełk uliczny ustę-  
powały miejsca rozległym ogrodom pełnym kwiecica, owoców dojrzewających  
w ciepłe słońca, oślepiającym blaskowi krystalicznych wodospadów, fontann i  
ozdobnych sadzawek. Po przecinających ogrody, wykładanych mozaiką ścież-  
kach kroczyły egzotyczne ptaki, a niewiarygodną ciszę przerywały słodkie i  
skrzekliwe głosy ptaszków, które wypełniały klatki tęczą kolorów. Wkroczyli  
do rajy rozciągającego się pośród siedlisk nędzarzy.

— Trzeba przyznać, że ma gust — szepnął Hugo, obejmując wzrokiem  
nieskażone piękno następujących po sobie eleganckich ogrodów i dziedzińców,  
na których pomiędzy ogromnymi wazami z Persji i jeszcze odleglejszych okolic  
roilo się od zwierząt i marmurowych ozdób.

— Poczekaj, aż wejdziemy do środka — powiedział John. — Im dalej się  
idzie, tym wspanialsze stają się komnaty, aż wreszcie wydaje się, że nic nie  
może być już ozdobniejsze i piękniejsze, a przecież z pewnością są one niczym  
w porównaniu z prywatnymi pokojami władcy. W te święte ściany może wkro-  
czyć tylko jego wezyr i ochrona.

— Żeby nie wspomnieć o jego damach, co?

— Oczywiście. Nikt nie wie, ile ich ma.

— Nie ma więc niebezpieczeństwa, żeby strzelił sobie w łeb z powodu za-  
ledwie jednej — zaatakował żartobliwie Hugo nie wiedząc, jak wielki ból  
sprawia Johnowi swoimi docinkami.

Dotarli do ażurowych drzwi, które otworzyły się, gdy się do nich zbliżyli.  
Kiedy szli przez pięć komnat, ciszę przerywało tylko pobrzękiwanie ostróg na  
wspaniałych mozaikowych podłogach, bowiem nawet oficerowie Jej Królew-  
skiej Mości musieli zamilknąć z podziwu dla złotych, bursztynowych, kwarcow-  
wych i lazurytowych ozdób oszałamiających patrzącego żywością połączeń ko-  
lorów. Dotarli wreszcie do sali audiencyjnej, której ściany ozdabiały bogate je-  
dwabie, atłasy i brokaty z Samarkandy, a powietrze przepelniał aromat wielu

wonnych korzeni. John znał dobrze tę komnatę i ostrzegł Hugona, że intensywne zapachy były opiatami, które nie tylko oszołamiały człowieka, ale i napełniały go wielką życzliwością dla innych.

Jakby znikąd pojawił się ubrany w powłóczyste szaty urzędnik, po czym trzeba było przejść przez wyszukany ceremoniał powitań i przedstawiania się. Następnie John oświadczył, że pragnąłby odbyć krótkie spotkanie ze swym starym przyjacielem, wezyrem. Urzędnik odszedł, a oficerowie czekali w milczeniu. Czas oczekiwania zależał od pozycji i ważności gości. John i Hugo znajdowali się niemal na samym dole tej drabiny, zmuszeni więc byli czekać przez jakiś czas wdychając intensywne wonie, które miały zmienić wrogów w przyjaciół mimo woli, zanim rozpoczęły się rozmowy. John, któremu zaczynało się kręcić w głowie, spostrzegł, że rozmyśla o uwadze Hugona dotyczącej Elizabeth. Wyobraził ją sobie w tej ślicznej, miękkiej, różowej sukni, po czym zaczął myśleć o tym, jak zareagowałyby, gdyby ją z niej zaczął delikatnie, pieśczołliwie zdejmować. Podczas gdy jego wyobraźnia szła jeszcze dalej w tym akcie uwiedzenia, ciało opięte ciasno mundurem rozpało się bardziej niż kiedykolwiek. Wysychające gardło zaczęło konwulsyjnie drgać, ręce zacisnęły się.

W tym momencie draperie rozsunęły się i ukazał się wezyr, majestatycznie odziany w falujące jedwabie przewyższające blaskiem i jakością te, które ozdabiały ściany, a John niespodziewanie dla samego siebie skierował niezwykle wyszukane słowa powitania do tego człowieka, którego znał od dawna jako podstępny, bystry, posługującego się zręczną manipulacją doradcę Gandy Singha. Teraz pozdrawiał go jako drogiego przyjaciela, którego darzył największą miłością i szacunkiem. Wezyr zachowywał się tak samo. Dopiero po wymienieniu dużej liczby podobnie brzmiących komplementów, które nastąpiły po wylewnym powitaniu, John wspomniął o tym, co ich tutaj przywiodło. W pół godziny po przekroczeniu bram pałacu otrzymał informację, że Jego Ekscencja będzie miał zaszczyt przyjąć pułkownika Lakelanda w przyszły czwartek rano. Wymieniono niezwykle czule słowa pożegnania i John odwrócił się jak we śnie, by u boku letargicznego Hugona iść przez raj, który teraz niechętnie opuszczał. Czary Ratnapore wydawały się nieodparte w porównaniu z samotnością jego spartańskiego bungalowu o surowych ścianach, do którego nigdy nie będzie mogła wkroczyć Elizabeth.

Kiedy pojawili się w bramie, czekający na nich kawalerzyści westchnęli z ulgą i rozluźnili napięte mięśnie przygotowując się do odjazdu. Oficerowie jak we śnie dosiedli koni i delikatnie skierowali je we właściwą stronę. Grupa żołnierzy żwawo przejechała przez łuk bramy i przygotowała się do przebrnięcia

przez zakurzone, zgiełkliwe miasto. Hałas jeszcze bardziej drażnił pogrążonego w namiętnych myślach Johna. Uczucie życzliwości zaczęło się nagle przekształcać w furję skierowaną przeciwko tym, którzy zmacili jego wewnętrzny spokój. Klnąc głośno pozwolił rumakowi brutalnie spychać z drogi ludzi, a nawet kopnął kupca z premedytacją puszczającego mimo uszu krzyki i blokującego mu przejazd. Złość przyleciała na skrzydłach uczucia i kazała mu pogardzać każdym mieszkańcem Ratnapore. Długo po tym, jak wyjechali z miasta, zstąpiła na nich cisza równiny, John poczuł się zdolny spojrzeć na Hugona w nastroju mniej więcej przypominającym jego zwykłe usposobienie.

— Jak się czujesz, przyjacielu? — spytał sennie.

— Mam cholerne pragnienie — odparł ciężko Hugo. — Czy nigdy nie oferują gościom niczego do picia?

— Owszem, ale należy złożyć długą wizytę, aby sobie na to zasłużyć. Według ich norm my wpadliśmy tylko na chwilę. — Przez moment jechał w milczeniu, po czym spytał:

— A swoją drogą, jak na ciebie wpłynęła ta komnata?

Hugo jak w letargu poruszył głową i powoli zmrużył oko.

— Mam zamiar zachować te wrażenia dla siebie, przyjacielu.

Słońce, które wzniosło się już wysoko nad horyzont, grzało im teraz

w plecy i John czuł pot spływający spod daszka czaka i zakrywający mu oczy mgłą. Równina, pełna miraży, drgała i tańczyła tak, że można było sobie wyobrazić, iż skarłowaciałe drzewka i głązy wirują wokół własnej osi jak łyżwiarze na migotliwym, zamarzniętym jeziorze. Głowę miał wciąż ciężką od wonności, więc początkowo nie zauważył mrocznego cienia, który rzeczywiście się poruszał. Upłynęło trochę czasu, zanim jego bolące oczy dostrzegły, iż cień jest w rzeczywistości dużą grupą konnych zbliżających się od zachodniej strony równiny. Ich ścieżki przetną się jakieś cztery mile przed placówką.

— Wojownicy jakiegoś plemienia — powiedział do Hugona, skinąwszy głową w ich stronę. — Pewnie zmierzają do przełęczy w drodze do Peszawaru.

— Na przyjęcie na dworze panującego albo coś w tym rodzaju. Musi ich być z pięćdziesięciu.

— Z pewnością — zgodził się John.

Jechali dalej kołysząc się w siodłach, niesieni po bitej drodze przez posuwające się powoli, jednostajnie konie. John nie czuł się zaniepokojony, ale obserwował podróżników spod na wpółprzymkniętych powiek. Dopiero kiedy polowa jeźdźców oderwała się od towarzyszy i skierowała się półkolistą trasą w kierunku, który niechybnie zaprowadzi ją na tyły grupy wojskowych, powiedział cicho do Hugona:

— Nie podoba mi się to, co się tam dzieje. Kiedy dojedziemy do zakrętu okrążającego wąwóz, jedną z tych grup będziemy mieli z tyłu, a drugą z przodu.

Hugo spojrział na niego z zaskoczeniem.

— Czemu mieliby do tego zmierzać? Chyba nie sądzisz, że chcą nas zaatakować? Wyraźnie widać, że nie wykonujemy żadnej akcji bojowej. Nie mamy ze sobą nawet pełnego szwadronu.

— I o to chodzi — powiedział John półgłosem, tak żeby go nie słyszeli żołnierze. — Jest nas dwunastu, beznadziejnie mało w porównaniu z nimi. Jeśli są uzbrojeni w karabiny, zabiją nas wszystkich, zanim zdążymy zbliżyć się na tyle, by atakować szablami. Nie mamy nawet jednego karabinka.

Hindusi zaczęli galopować, ale brytyjscy oficerowie nadal jechali stępą, prowadząc kolumnę żołnierzy i przyglądając się rozwojowi sytuacji. Było całkowicie jasne, że galopujący jeźdźcy zmierzali w ich stronę, nie w kierunku przełęczy.

— Nadal wydaje ci się, że nie mają najmniejszego zamiaru nas zaatakować? — spytał nagłaco John. — Znam tych ludzi na tyle, by rozpoznać, że ich celem jest atak. Tutaj nie mamy żadnych szans, ale jeśli udałoby nam się ich zwabić bliżej placówki, powinny nas dojrzeć czujki i przysłać posiłki. Wtedy moglibyśmy przyzwoicie walczyć.

— A jak masz zamiar to osiągnąć? — spytał Hugo. — Jeśli masz rację, złapią nas na zakręcie i nie będziemy mieli żadnej szansy zbliżenia się do placówki.

— Zgadzam się. Jest tylko jeden sposób uniknięcia ich pułapki — powiedział cicho John. — Zaryzykować skok przez wąwóz.

Hugo przez chwilę uważnie mu się przyglądał.



— Wiesz, że to ogromne ryzyko. Myślę jednak, że rzeczywiście mają nas zamiar zaatakować na tym zakręcie. — Kim są i dlaczego chcą to zrobić, pozostaje dla mnie całkowitą tajemnicą. — Zgadzam się więc na twój plan jako na mniejsze zło. — Ściągając wodze powiedział nagłaco: — Prowadź, John. Znasz lepiej ukształtowanie terenu niż którykolwiek z nas. Ja pojedę z tyłu, na wypadek gdybyśmy byli zmuszeni się zatrzymać i walczyć.

To mówiąc odjechał, zostawiając Johna, by wyjaśnił zaskoczonym żołnierzom sytuację i sposób, w jaki mieli zamiar się z nią uporać. Ponieważ najważniejsza była szybkość, John bezzwłocznie dał rozkaz ruszenia galopem i ostrogami popędził konia do desperackiego pędu. Schylając się nisko nad karkiem mknącego jak strzała zwierzęcia, obserwował, jak zareagują Hindusi. Kiedy jednak zjechał z udeptanej drogi, w górę wzniosły się chmury kurzu osiadając mu na twarzy i oslepiając go. Mruganie tylko zaostrzało podrażnienie, przesunął więc szybko dłonią po oczach, by coś widzieć. Sprawą zasadniczą było dostrzec wąwóz na tyle wcześnie, by ostrzec ludzi i samemu mieć czas na poderwanie konia do skoku. Pgdząc wśród miękkiego, lotnego pyłu, łzawiącymi oczyma, najlepiej jak mógł, obserwował teren. Nagle ujrzał miejsce, gdzie poziomy grunt urywał się i zaczynało się wydrążone przez szalejącą wodę głębokie koryto, które teraz stanowiło suchy, skalisty wąwóz.

Dając sygnał podniesioną ręką, krzyknął ostrzegawczo przez ramię i popędził naprzód próbując znaleźć właściwy moment, w którym powinien spaść konia do najbardziej podniecającego skoku, jaki zdarzyło mu się próbować oddać. Trać oczy w ostatniej, rozpaczliwej próbie zobaczenia czegoś, spostrzegł, że jest już przy wąwozie, który okazał się szerszy, niż pamiętał. Nie było czasu na myślenie czy strach. Grunt gwałtownie się skończył, kiedy John próbował dosłownie poderwać zwierzę do lotu. Drugi brzeg był o całą wieczność dalej.

Wylądowali zbyt blisko, tylne nogi konia uderzyły o ziemię kilka stóp poniżej krawędzi wąwozu. Dzięki sile rozpędu i bohaterskiemu gramoleniu się w górę nie ześlizgnęli się na dno, po czym rumak popędził naprzód jeszcze sto jardów dalej, nim John ściągnął wodze i spojrział przez ramię, jak radzą sobie inni. Serce biło mu jak młot z wysiłku i pragnienia dotarcia do placówki, ale zanim popędził dalej, musiał się przekonać, że wszystko jest w porządku. Ujrzał jak z całunu wzniesionego przez jeźdźców kurzu wynurza się, jak centaury na Pegazach, trzech czy czterech jeźdźców, którym szczęśliwie udało się pokonać głęboki wąwóz. Inni, którzy tak jak John skoczyli zbyt blisko, szaleńczo usiłowali przedostać się poza krawędź wąwozu. Ci, którzy zsunęli się niżej, ochryplymi głosami popędzali rumaki do przebycia tych kilku jardów w górę,

przestraszeni, że zwierzęta mogłyby zaniechać tego wysiłku. Dwóch żołnierzy stało na ziemi błagając towarzyszy, by wzięli ich na swoje konie. Dragoni kolejno docierali do miejsca, w którym na niespokojnie poruszającym się koniu czekał John. Ich twarze pokrywał kurz, ale gdy patrzyli na dwóch ostatnich żołnierzy pnących się z jednym tylko koniem w bezpieczne miejsce, na ich obliczach wyraźnie malowała się radość z tego, czego dokonali. Chociaż niektóre rumaki porzucono, później można je będzie bezpiecznie wydostać z wąwozu, a im udało się przecież zrobić coś prawie niemożliwego i nie mogli się już doczekać, by zasygnalizować czujkom, że potrzebne są posiłki, żeby im pomóc nauczyć wroga rozumu.

John miał się już odwrócić i popędzić dalej w stronę koszar, gdy zorientował się, że nie ma z nimi Hugona. Ochryplym głosem spytał:

— Gdzie jest major Carruthers?

Nikt nie wiedział, a kurz opadł już na tyle, by mogli zobaczyć, że po ich stronie wąwozu nie ma śladu życia. Druga strona wciąż pozostawała ukryta za zasłoną kurzu. Teraz, gdy umilkło dudnienie kopyt, wydawało się, że panuje tam złowróżbna cisza. Na skrzydłach strachu przybyło wspomnienie wypowiedzianych ze śmiechem słów Hugona, iż spróbowałby pokonać wąwóz, gdyby jego koń był zdolny go przeskoczyć. Czemu nie przypomniał o tym Johnowi, kiedy rozmawiali o sposobach dostania się do koszar po posiłki? Czy Hugo pojechał na tyły, by nie stanowić dla nikogo przeszkody? John czuł, jak strach zastępuje panika, gdy spiesźnie rozkazywał kapralowi Manxowi jak najszybciej jechać do koszar, a pozostałym dziewięciu ludziom przykazywał pozostać na miejscach w gotowości do podjęcia ataku, gdyby zaszła taka potrzeba, podczas gdy on pojedzie rozejrzeć się po wąwozie. Cwałując z powrotem w stronę krawędzi wyschłego koryta rzeki modlił się, by na dnie leżał Hugo przygnieciony przez konia lub w inny sposób unieruchomiony tak, że bez pomocy nie był w stanie wydostać się z wąwozu. Ujrzał tylko trzy leżące, zranione konie. Zaszło mu w gardle, a całe ciało pulsowało od szalonego bicia serca, gdy uświadomił sobie, że Hugo musi być gdzieś po drugiej stronie, na łasce zbliżających się Hindusów.

— Dobry Boże — wyszeptał. — Przecież sam nie ma żadnych szans.

Zawracając raz jeszcze w piekielnym pośpiechu, popędził pięćdziesiąt jardów i ściągnął wodze tak gwałtownie, że koń stanął na tylne nogi. Wbijając ostrogi w jego boki z okrutną siłą, John raz jeszcze ruszył w kierunku wąwozu. Zwierzę, które wystarczająco popisało się już odwagą, nie było przygotowane

do oddania jeszcze jednego skoku. Pędem ruszyło po stromym zboczach, aż poślizgnęło się na pokrywających je łupkach i upadło unieruchamiając Johna pod swoim kasztanowym bokiem. Uszu leżącego oficera dobiegły krzyki dochodzące z drugiej strony wąwozu. Gnany strachem odbył powolną, bolesną walkę o uwolnienie się spod konia, po czym wbijając paznokcie w zbocze, zaczął się wspinać na przeciwległy brzeg koryta. Dotarłszy na górę, usiłował dojrzeć coś przez opadający kurz, nie ukazując się oczom nikogo, kto mógłby tam być.

Serce niemalże zamarło mu w piersi, gdy ujrzał Hugona leżącego tam, gdzie upadł, z — sądząc po kącie pod jakim była wygięta — najpewniej złamaną nogą. John patrzył bezradnie, jak do oficera w szkarłatnym mundurze podjeżdżają wrogowie i zsiadają z koni. Ich wódz zbliżył się groźnie i krzyknął coś do Hugona. Nie otrzymawszy odpowiedzi, kopnął oficera w zranioną nogę tak, by z jego ust wydobył się krzyk. Próbuąc usiąść Hugo wyciągnął pistolet, ale nie zdążył go użyć. Hindus błyskawicznie sięgnął po szablę. Błysnęła stal i pistolet, wraz z trzymającą go wciąż dłonią Hugona, upadł na ziemię, a z kikuta popłynął strumień krwi. Wrogowie wydali głośny okrzyk i zaczęli otaczać swą ofiarę.

Johnowi zrobiło się niedobrze. Było ich dziesięciu, tamtych pięćdziesięciu. Mogli zaatakować tylko pieszo, z głębin wąwozu. Nie mieli nawet jednego karabinka. Zanim powróci do swoich żołnierzy i obmyśli jakąś strategię, jego przyjaciel umrze po tysiackroć. Ci ludzie przekształcili tortury w sztukę, tak że ofiara była całkowicie zmasakrowana, nim nadeszła miłociwa śmierć. Kiedy Hindusi otaczający ciasnym kołem jeńca wydali następny oszalały okrzyk, Johnowi krew zaczęła pulsować w skroniach. Nie było szansy ocalenia Hugona, żadnej nadziei na zakończenie jego cierpień prócz jednej. Oczy przesłoniła mu czerwona mgła, gdy wyciągał z kabury pistolet i próbował wycelować w owiniętą turbanem głowę przywódcy. Rozpaczliwie trzymając broń sztywno w obu rękach, nacisnął spust. Mężczyzna upadł na ziemię i leżał bez ruchu. Pozostali odwrócili się w panice, krzycząc w miejscowym dialekcie, że musiały przybyć posiłki z garnizonu.

Zacząli dosiadać koni, gotując się do ucieczki, ale nie odwiodło ich to od zemsty. Dwóch jeźdźców uniosło ciało Hugona, najwyraźniej mając zamiar przywiązać je liną między swymi końmi, które ciągnęłyby je za sobą, galopując przez pokrytą cierniami równinę.

John, wstrząsany tłumionym łkaniem, raz jeszcze wycelował broń. Ale, celując wprost w głowę Hugona, nie był w stanie nacisnąć na spust. Lina została zawiązana i przymocowana do siodła czarnego ogiera. Kiedy jeździec przygotowywał się już, by go dosiąść, pistolet Johna wypalił tylko raz. Koń drgnął i upadł na suchą, zakurzoną ziemię tuż obok szkarłatnej postaci, do której był przywiązany. Na chwilę, ale tylko na chwilę, zapadła cisza. Hindusi podnieśli wściekły krzyk otaczając ciało jeńca i, wychylając się z siodeł, cięli je długimi szablami, dopóki nie było już niczym więcej niż czerwonym kopczykiem na brązowej ziemi. Odjechali pędem, wznosząc całun kurzu ukrywający ślady ich odwrotu.

Dziwiesięciu kawalerzystów usłyszało strzały i złamawszy rozkaz Johna, powróciło do krawędzi wąwozu, by zobaczyć, co przytrafiło się ich oficerom. Kiedy osiadł kurz, ujrzeli rotmistrza Stavenhama kroczącego w kierunku trupa czarnego ogiera. Prowadził rumaka majora Carruthersa. Patrzyli przerażeni, jak zbliża się do martwego zwierzęcia, wyciąga szablę i przecina nią przywiązaną do konia linę. Potem schylił się, by podnieść ciężkie, czerwone zawiniątko, które przewiesił troskliwie przez siodło konia majora, po czym zdjął z siebie kurtkę munduru, by je nią przykryć. Kawalerzystom ścisnęły się gardła, kiedy obserwowali, jak niemalże z czcią prowadzi rumaka, a ich oczy ściemniały od szoku, gdy zbliżył się na tyle, że dostrzegli wyraz malujący się na jego twarzy. Z rosnącym przerażeniem, z niedowierzaniem zaczęli sobie uświadamiać, że czerwone zawiniątko to wszystko, co zostało z jedynej osoby, której nie udało się przeskoczyć wąwozu.

## ROZDZIAŁ IX

John wszedł potykając się do swojego pokoju. Zaczęły miotać nim torsje. Był zawodowym żołnierzem, nawykłym do scen rozgrywających się na polu bitwy, ale tortury dokonywane na bezbronnej ofierze były makabrą zupełnie innego rodzaju. Jakoś udało mu się pozbierać rozcłódkowane ciało, przytroczyć je do grzbietu konia, który przestraszył się skoku przez wąwóz, i odwieźć je z powrotem. Jakimś cudem zdołał dać ludziom rozkaz rozejścia się, zdać sprawozdanie generałowi Masonowi i oddać szczątki swego drogiego przyjaciela. Jakimś cudem dosiadł konia i przejechał przez koszary bez kurtki, która wciąż osłaniała potworne zawiniątko. Teraz zaczął się trząść, a chociaż żołądek nadal podnosił mu się do gardła, powodowało to tylko ból. Rzuciwszy się rozpaczliwie w stronę małego barku, chwycił pierwszą z brzegu butelkę i wyciągnawszy zębami korek, przycisnął ją do ust. Pił, póki krew w skroniach nie zaczęła mu walić jak armatnie wystrzały, a nogi ugięły się pod nim i opadł na krzesło, na którym miał zamiar zostać i opróżnić butelkę.

Nic nie mogło jednak przegnać przerażających wizji. Zadawały katusze jego zamkniętym oczom, dopóki do jego zmaconych zmysłów nie dotarł odgłos zbliżających się biegiem kroków. Nieproszony gość pędem pokonał werandę i salon, a John zdążył zmusić się do otwarcia oczu, by ujrzeć dłoń rozsuwającą kotary, gdy Rupert wpadł do pokoju i stanął chwiejąc się na nogach. Jego pierś falowała ciężko pod przesiąkniętą potem koszulą. Na zszarzałej twarzy malowały się uczucia, których nie był w stanie ukryć. John, patrząc na chłopaka, o którym pogrążywszy się we własnym smutku niemal zapomniał, podciągnął się na krzesło. Potem wstał, trzymając za szyjkę pustą butelkę, podczas gdy niski, nierówny, wyrażający niewyobrażalny wstrząs głos, oskarżał go.

— To ty go zabiłeś! Ty zabiłeś mojego brata!

— Nie! — udało mu się wydobyć przez zeszywniałe usta. — Nie wiesz, co się stało?



— Znam twoją wersję! — wykrzyknął Rupert z boleścią. — Jeździł najszybciej z całego pułku. Jest nieprawdopodobne, żeby został z tyłu! Nieprawdopodobne!

John ponownie ujrzał przed oczyma całą scenę i ścisnęło mu się serce.

— Nic nie mogłem zrobić. Nikt z nas nie mógł mu pomóc. Został zrzucony przez konia, który wystraszył się skoku.

— I nikt nie widział, jak spada?! — spytał chłopak z niedowierzaniem w głosie.

— Ochraniał tyły. Zanim się zorientowaliśmy...

— Hugo był starszym oficerem! To on musiałby prowadzić! On! — powtarzał łkając Rupert, a po policzkach zaczęły mu cieknąć łzy. — Ukrywasz swą winę pod płaszczkiem kłamstw. Wiem, jaki kurz wznosi dwunastu galopujących jeźdźców i uważam, że wszystko mogło się zdarzyć, gdy oślepił jadących z wami żołnierzy.

John odpowiedział na te oskarżenia milczeniem, a do głowy zaczęły mu się wkradać pierwsze wątpliwości.

— Wszyscy wiedzą, że palisz się do wojny i zrobiłbyś wszystko, nawet to, żeby ją wywołać. Nie będę jedynym, który spyta, czemu kiedy ty opuszczasz placówkę, któreś z towarzyszących ci osób giną. Ale nigdy ty, co? — Złamanym głosem, niemal niezrozumiale wymawiając słowa, dodał: — Hugo był wart więcej, niż ty kiedykolwiek będziesz. To ty powinieneś zmienić się w tę ohydną kupę mięsa, którą mi przed chwilą pokazano. Postaram się, żebyś za to zapłacił. Nadejdzie taka chwila... pewnego dnia. Od dzisiaj niech ci towarzyszy ta myśl.

Z tą groźbą na ustach odwrócił się i wyszedł, potykając się, w żar południa. John usłyszał, jak koń oddala się galopem, co było w obrębie koszar zabronione z wyjątkiem nagłych wypadków. Nie był w stanie jasno myśleć, więc zapewne instynkt pchnął go, zataczającego się, na alejkę prowadzącą do bungalowu, który kiedyś zajmował. Delacourt był rotmistrzem Ruperta, osobą, która najlepiej będzie sobie mogła z nim poradzić. Szedł wprost do głównego salonu, głośno wołając Delacourta. William był w domu i szybko poderwał się na nogi.

— Na Boga, co się dzieje? — spytał zadziwiony niegrzecznym wtargnięciem Johna.

— Hugo... Hugo został w okrutny sposób zmasakrowany. Dziś rano — mówił z trudem się kontrolując. — Młody Carruthers właśnie się dowiedział. Wychodził ode mnie niemal oszalały. Złap go, nim zrobi jakieś głupstwo.

— Hugo zmasakrowany? Nie rozumiem! — wykrzyknął zaskoczony William, wciąż wpatrując się w Johna jak w zjawę.

— Jedź za tym chłopakiem — powtórzył z rozpaczą. — Myślę, że zmierza do wąwozu... w którym się to wydarzyło. Znajdź go, na Boga!

Chwytając czako i kurtkę munduru, Delacourt powiedział:

— Ciągle tego nie pojmuję. Hugo nie żyje!

Uwagę Johna zwrócił jakiś ruch po lewej stronie. W drzwiach stała niewielka postać w kremowej sukni i czepku. Wyraz twarzy kobiety wskazywał na to, że usłyszała ostatnie słowa. Obejmując wzrokiem obdartą i skrwawioną postać Johna spytała cicho:

— Czy Sir Hugo naprawdę nie żyje?

William minął ją mówiąc:

— Stavenham ci opowie. — Wyszedł z bungalowu, krzykiem domagając się konia.

Pozostawszy sam na sam z Elizabeth, John nie mógł z siebie wydusić ani słowa. Wszelka jasna myśl uleciała mu z głowy, przegnana dźwiękiem słów, które teraz powracały do niego ogłuszającymi falami. *Jeździł najszybciej z całego pułku... był starszym oficerem... musiałby prowadzić... palisz się do wojny... wszystko, żeby ją wywołać... nawet to... kiedy ty opuszczasz placówkę... giną...* Stał chwiejąc się na nogach, a otaczające go obrazy tego potwornego ranka zacierały widok miejsca, w którym się znajdował. Ujrzał tę ogromną, otwartą przestrzeń, gdzie żar zwodził oczy obrazem cierniowych krzewów, które zdawały się tańczyć i wirować. Czyżby inne widoki omamiły jego wzrok? Zobaczył uśmiechniętą twarz Hugona, który mrugając odmawiał wyjawienia myśli wywołanych przez wonne narkotyki, które wdychali. Czyjego zmysły wciąż pozostawały pod ich wpływem, mając, iż coś, czego podświadomie pragnął, jest prawdą? Ujrzał, jak spośród opadającego kurzu wyłania się jedyny człowiek, którego już z nimi nie było, tylko jeden żołnierz zostaje po drugiej stronie szerokiego, niebezpiecznego wąwozu.

— To twoja krew, czy jego?

Cichy głos przebił się przez pełen poczucia winy, grmiący chór jak szmer spokojnej wody pośród burzy. Widział teraz tylko zamazaną postać dziewczyny; jej oczy błyszczały od powstrzymywanych łez, a na twarzy, która go prześladowała, malował się wyraz najgłębszego współczucia. Musiał odchrząknąć, zanim zaczął mówić.

— Został zmasakrowany przez bandę Hindusów. Ja... przywiozłem go tutaj... z równiny.

— Boże, jakież to okropne! Był twoim przyjacielem. — Jej oczy jeszcze bardziej rozszerzyły się z rozpaczy. — Rupert! Oszaleje z bólu!

— Oszalał. — Jeszcze raz musiał odchrząknąć. — Delacourt za nim pojechał.

— Pojechał za nim? Gdzie?

Pokój poruszał się i wirował jak cierniste krzewy na równinie, a jego głos brzmiał jak odległe echo, kiedy mówił:

— Oskarża mnie o śmierć swego brata.

— 'Jakież to podłe! Niemożliwe, byś temu zawinił! — krzyknęła, kładąc mu na ramieniu odzianą w rękawiczkę dłoń. — Z pewnością się mylisz, Johnie.

— Chyba nie — wymamrotał czując, jak wiruje wraz z pokojem. — Jego koń nie... nie potrafił skakać. Jestem... jestem winien, tak jak mówi.

— Och, nie, nie! — zabrzmiał ukochany przez niego głos z dziwnym, coraz głębszym pogłosem, który zaczął mu dzwonić w uszach, gdy zapadał się w ciemność.

Bestialskie okaleczenie i zamordowanie brytyjskiego oficera wiozącego przesłanie przyjaźni do miejscowego wodza od armii, która miała bronić jego i jego poddanych, miały poważne reperkusje. Generał Mason bezzwłocznie zażądał od Gandy Singha pojmania i ukarania tych z jego poddanych, którzy dopuścili się tego barbarzyńskiego czynu, nie pozostawiając wątpliwości, iż oznajmienie, że mordercy pochodzą spoza prowincji Ratnapore, nie zostanie uznane za dostateczną wymówkę. Brytyjczycy uznali atak na patrol za zwykłe na wojnie wydarzenie, jako że żołnierze byli uzbrojeni i na służbie, ale rzeź dokonana na wybitnym starszym oficerze występującym w roli kuriera dyplomatycznego uważano za rzecz oburzającą. Natychmiast wysłano do kwatery głównej oficera sztabowego z pilnym sprawozdaniem dotyczącym wybuchowej sy-

tuacji, a z odległej placówki wezwano oficera politycznego, który ją właśnie odwiedzał.

Wieść o tym okrutnym czynie w mgnieniu oku rozeszła się po koszarach i rozpalila kipiący gniew nawet w piersiach tych, którzy padali ofiarą arystokratycznej pogardy Sir Hugona. Kawalerzyści zamieszkujący część koszar przypisaną Dragonom Forrester's byli zaszokowani, agresywni, zostali wyrwani ze zwykle opanowanej ich apatii. Chociaż major Carruthers uważał, że prości żołnierze nie są niczym więcej niż ubranymi w szkarłatne mundury maszynami, zdobył sobie ich głęboki podziw swymi osiągnięciami sportowymi. Nikt lepiej niż on nie jeździł konno ani nie strzelał, a w kołach wojskowych szeroko podziwiano jego umiejętność władania szablą. Sir Hugo był prawdziwym gentlemanem, dzięki niemu pułk się wyróżniał. Wszyscy, którzy służyli pod jego dowództwem, byli z tego dumni. Cóż z tego, że jechał na czele kolumny, jakby był wszechmogącym bogiem! Dzięki temu ci, którzy podążali za nim, również wypinali pierś i prostowali się w siodle. Mógł sobie być baronetem, ale słońce parzyło go w plecy tak jak innych, kurz tak samo dusił w gardle, tak samo groziła mu cholera. Podziwiali go bardziej niż pułkownika, bo Sir Hugo miał w sobie coś, co wzbudzało szacunek. A teraz nie żył i żaden z żołnierzy nie mógł pogodzić się z tym, jak to się stało.

Jednak żaden z kawalerzystów, którzy mu wtedy towarzyszyli, nie potrafił dokładnie opowiedzieć kolegom, co się wydarzyło. Pośród kurzu i zamieszania nic nie było jasne. Nie mieli pojęcia, dlaczego major został z tyłu ani kiedy porucznik zakończył jego cierpienia. Kiedy na odgłos strzałów podjechali ponownie do wąwozu, Hindusi oddalali się, a straszliwy czyn już się dokonał. Jak się to wszystko stało, zdania były podzielone. Jechali powoli po bitej drodze, gdy nagle rotmistrz Stavenham objął komendę i zaskoczył wszystkich rozkazem jak najszybszej jazdy w stronę koszar i przeskoczenia wąwozu. Pozostawało dla nich tajemnicą, dlaczego major odjechał na tyły i pozwolił oficerowi z transferu dowodzić nimi w czasie tego wysoce niebezpiecznego manewru.

Niektórzy żołnierze utrzymywali, iż rotmistrz ocalił ich od okrutnej masakry, jako że Hindusi dowiedli, iż ich celem było zabijanie. Inni oświadczyli ze złością, że tubylcy jechali sobie spokojnie po równinie, dopóki nagły i zaskakujący galop Brytyjczyków w stronę placówki po posiłki nie zasugerował, że mają wrogie zamiary. Było powszechnie wiadome, że John Stavenham pragnął walki — ludzie, którzy zdobyli wawrzyny w czasie wojny, często tęsknili za następną, by zyskać ich więcej — a pechowy zbieg okoliczności sprawił, że jedne dwa ataki, odkąd pułk przybył do Ratnapore, miały miejsce, kiedy on wła-

śnie jechał z kawalerzystami. Stopniowo zbladł niechętny podziw, jaki eks-huzar zyskał sobie dzięki przywództwu w czasie ataku na patrol, a jego miejsce zajęła u jednych podejrzliwość, u innych otwarta wrogość. Kiedy, jak większość starszych rotmistrzów służących w pułku, dostał awans na majora bez konieczności kupowania patentu, opinia o nim jeszcze się pogorszyła.

Niezmienna pogarda, jaką pułkownik Lakeland żywił do Stavenhama, znalazła teraz uzasadnienie. W czasie niezwykle krytycznej rozmowy, podczas której Lakeland nie brał wcale pod uwagę szoku, który przeżył John, powiedział on wyraźnie, co sądzi o tym, że o śmierci Hugona zameldowano bezpośrednio generałowi Masonowi. Nie posiadając się z wściekłości ryczał, że sprawy pułku należą tylko i wyłącznie do niego. Jak John śmiał zwrócić się za jego plecami do głównodowodzącego? Po pięciu minutach obelg i oskarżeń John nie wytrzymał nerwowo. Zauważył, że to poprzednie incydenty przekonały go, iż składanie raportów dowódcy, który uważa, że Stavenham ma zwidy z powodu wieloletniej służby w Indiach, nie ma sensu. Uważał, że sprawą zasadniczą jest udać się bezpośrednio do kogoś, kto po otrzymaniu sprawozdania zacznie działać. Lakeland niemalże postawił go przed sądem wojennym, ale w końcu ograniczył się do złożenia przysięgi, iż gdy tylko trafi się okazja uzyskania zastępcy na miejsce Stavenhama, pozbędzie się tak niesubordynowanego oficera. Tymczasem nie miał jednak innego wyjścia, niż nadać mu stopień majora, w miejsce najznamienitszego i głęboko szanowanego oficera Dragonów Forrester's, którego rodzina honorowo służyła pułkowi od pięciu pokoleń.

Oficerowie powstrzymali się od osądzania nowego majora, chociaż z tego, co było wiadomo o wypadku nad wąwozem, wyglądało to na niezwykle dziwną sprawę. Trzymali się więc wyniośle z daleka, a jedynym spośród nich, który nie żywił tych wątpliwości, był George Humphrey. Uczestniczył w tym nieszczęsnym patrolu i widział Stavenhama w akcji. Nikt nie mógł go odwieść od przekonania, że John był wspaniałym, zrównoważonym oficerem, teraz już najlepszym w pułku.



Pogrzeb ze wszystkimi żołnierskimi honorami odbył się nazajutrz o piątej rano. W czasie wzruszającego nabożeństwa Rupert stał blady i nieruchomy, jakby sam już nie żył. Kiedy William przy pomocy lekarza, rotmistrza Cockerforda, przyprowadził go z równiny, podano młodzieńcowi laudanum, pod którego wpływem być może wciąż pozostawał, jako że wpatrywał się w tych, którzy składali mu kondolencje, jakby ich nie dostrzegał. Prości żołnierze uszanowali jego ból. Młody porucznik odziedziczył tytuł Sir Hugona i kawalerzyści, jak jeden, byli gotowi obdarzyć go tym samym pełnym przestrawem, jaki zdobył sobie jego brat. Do Johna nie odzywał się nikt prócz George'a Humphreya. Taką otwartą lojalność uznawano za zadziwiającą w obliczu faktu, że wolne teraz miejsce rotmistrza objął młodszy od George'a człowiek, który zaoferował sumę, na którą on nie mógł sobie pozwolić. Już choćby to, jeśli nie podejrzane aspekty morderstwa Sir Hugona, powinno było go dręczyć.

Elizabeth była głęboko poruszona. Przebywała w Ratnapore zaledwie od tygodnia i poznała tu tylko dzikie oblicze Indii. Wciąż zbyt mocno związana z Johnem duchem, nie mogła zapomnieć, jak w jej pokoju, pomazany krwią Hugona, wypowiedział mrozące krew w żyłach słowa, w których brał winę na siebie. Cokolwiek wydarzyło się na równinie, była pewna, że nie narażałby życia bez potrzeby. Ogólna opinia, iż zrobił to gnany żądzą walki ze swym starym przeciwnikiem, była równie błędna co okrutna. Kiedy poprzedniego dnia upadł zemdlony do jej stóp, wiedzioną instynktem wezwała służącego i kazała mu zanieść Johna do sypialni, nim ona sama przyniesie wodę i ręczniki. Obrzuciwszy ją pełnym szacunku, lecz znaczącym spojrzeniem Hindus oświadczył, że przyprowadzi sługę sahiba-rotmistrza, by ten przeniósł chorego do jego własnego łóżka i tam go doglądał. Dopiero wtedy uświadomiła sobie w pełni niedogodności sytuacji, w jakiej się znalazła. Z powodu złotej obrączki na palcu była zmuszona patrzeć, jak wynoszą Johna w samotność bez pocieszenia. Nie liczyło się zwykle współczucie dla znajdującego się w głębokim szoku człowieka ani kobieca chęć dodania mu otuchy tak, jak tylko niewiasta potrafi to zrobić. Była żoną innego i nie wolno jej było uczynić nic, co splamiłoby jego honor. Sam John jej to powiedział. Mimo to prześladował ją obraz silnego, zdecydowanego mężczyzny, który stracił wiarę i nadzieję. To, że zwątpił w samego siebie, wskazywało na to, jak był załamany. Czuli się za to w pełni odpowiedzialni.

Bez mała nieludzki wygląd tak Johna, jak i Ruperta tak głęboko ją poruszył, że kiedy tylko wróciła z Williamem do domu, zwróciła się do niego ostro:

— Czy cała ta sprawa nie wydaje ci się wystarczająco tragiczna, by nie przyłączać się do całkowicie bezpodstawnego potępienia człowieka, który stawszy się świadkiem okrutnego morderstwa na swym przyjacielu, z pewnością przeżywa katusze? Rupert obwinia go, bo gdyby nie obarczył kogoś winą, chyba by zwariował, ale jest rzeczą niewybaczalną, że cała placówka zaczęła tak chłodno traktować rotmistrza Stavenhama.

— Majora Stavenhama poprawił ją sucho William. — Bardzo zgrabnie udało mu się awansować nie płacąc ani grosza. Niezwykle dogodne dla kogoś, na kogo, jak wiadomo, dowództwo patrzy krzywo z powodu tej sprawy z zaginioną żoną i kto ma pustą kieszeń.

— Majątek tego człowieka stopniał z powodu ogromnych długów jego zmarłego brata; nie przepuścił go na gry hazardowe ani inne rozpustne rozrywki.

William poczerwieniał z gniewu, wyczuwszy w tej wypowiedzi zawołowaną aluzję do tego, że nie rozliczył się z Rupertem z kosztów podróży Elizabeth. Przyglądając się jej uważnie od rąbka czarnej sukni po dżetową ozdobę na szyi, uchwycił się nowiny, która właśnie jej się wymknęła.

— Wydajesz się doskonale znać sprawę tego człowieka, skoro mówisz o długach jego brata. Skąd możesz o nich wiedzieć?

Odwracając się, by zdjąć czepek i ukryć zdradzający ją rumieniec, powiedziała cicho:

— A skąd wszyscy w Ratnapore mają różne informacje? Oczywiście mówiono tu o tej sprawie. — Odwracając się do niego przodem, rzekła: — Sugestia, że liczył na awans, kiedy brutalnie zaatakowano Sir Hugona, jest oburzająca, Williamie. Nie chce mi się wierzyć, że podzielasz tak ohydne poglądy.

— Już się takie rzeczy zdarzały. — Zmarszczył brwi. — Biedny Humphrey. Powinien był dostać zwolnione miejsce rotmistrza, ale ten dowcipniś Philpott pojawił się z gotówką i kupił patent za jego plecami. Zostałbym porucznikiem na zawsze, wierz mi Elizabeth, gdyby Pellamore nie umarł w czasie świąt, robiąc mi prezent ze swojego stopnia.

— Mam nadzieję, że nie stałeś u jego łoża, broniąc mu dostępu do lekarstw, żeby zapewnić sobie ten podarunek.

— Elizabeth!

— — Oburzasz się, rzecz jasna... a jednak podejrzewasz o tak gruboskórne zachowanie człowieka, z którym dzieliłeś kiedyś tę kwaterę. Nie wydaje ci się to nikczemne?

Ta kłótnia wprawiła go w zakłopotanie. Dowodziła jasno słuszności jego przekonania, że Elizabeth nie posiada godnych podziwu cech jego zgodnej matki i siostr. William czuł się więc głęboko urażony sytuacją, w której został postawiony. Zazwyczaj rozwiązywał tego typu problemy wychodząc, co uczynił i teraz.

— — Robi się cholernie gorąco — warknął zmierzając w stronę swojej sypialni i odpinając mundur. — Opłuczę się trochę przed śniadaniem.

Jego żona udała się do swojego pokoju, gdzie młoda, spokojna hinduska służąca pomogła jej zdjąć czarną suknię z krepy i odpowiednią na pogrzeb biżuterię, po czym Elizabeth umyła się w perfumowanej wodzie i założyła miękką, batystową sukienkę poranną ozdobioną wstążkami w kolorze zielonych jabłek. Cały czas pozostawała myślami przy tej sztywnej postaci, która dziś rano stała przy mogile. Chociaż czako zawsze zasłaniało nieco twarz, oblicze Ruperta podobne było do śmiertelnej maski. Serce ciągnęło ją do niego, ale wiedziała, że nie może go pocieszyć. Tylko czas załagodzi szok i poczucie straty. Chłopak był na tyle młody, że w końcu całkiem się z tego otrząśnie. Jednak oskarżenie, które skierował przeciw Johnowi, spowodowało, iż człowiek ten został powszechnie potępiony. Ukochany brat Ruperta nie żył, ale zniszczenie innego oficera nie przywróci mu go ani nie ulży jego cierpieniom. Ktoś musi mu to uświadomić, nim będzie za późno. Osobą, która przede wszystkim powinna to zrobić, był jego rotmistrz.

Usiedli pod chwiejącym się wachlarzem do podanego przez służę śniadania. Tego ranka Elizabeth nie była w stanie zjeść jak zwykle plastra mango ani nawet chleba z masłem. Smutna uroczystość, w której dopiero co uczestniczyli, nie wpłynęła natomiast na apetyt Williama. Prócz zjedzenia kilku owoców, zabrał się jeszcze do kielbasek, szynki, jajek, plastra pasztetu, placuszków i marmolady. Wszystko to popijał kufłami piwa. Obserwowała, jak je, i ogarniała ją coraz większa złość. Ależ bezduszny był ten jej mąż! Czemu pozwoliła, by wuj Matthew ją za niego wydał? Popijając kawę, zmuszona była sobie przypomnieć, że niezwykle oczarowała ją wesołość przystojnego, młodego zalotnika, który wprowadził ją w świat prostych rozkoszy, takich jak pikniki, rewie wojskowe i inne rozrywki na świeżym powietrzu. Nie dostrzegła, nierozsądna, że jego osobowości brak głębi.

Patrząc jak pożera swoje zwykłe, duże śniadanie, odgadła, że nie zdaje sobie sprawy z tego, co przeżywają teraz John i Rupert. Szok i gniew, jaki wywołała w nim ta sprawa, były szczere, ale Williama obchodziły tylko jego własne uczucia. Teraz akurat czuł głód, więc go zaspokajał. Kiedy prześladować będą go żądze, również je zaspokoi, bez względu na jej pragnienia i uczucia.

— — Sama porozmawiałabym o tym z Rupertem, gdybym nie była pewna, że teraz, po pogrzebie, ty z pewnością się tym zajmiesz — powiedziała cicho.

Podniósł wzrok znad grapefruita, którego właśnie obierał. — Porozmawiać z nim? O czym?

— — O jego przynoszącym ujmę oskarżeniu przeciw majorowi Stavenhamowi. Trzeba go skłonić, by je odwołał.

Patrząc na nią groźnie, odparł:

— — Myślałem, że zakończyliśmy już ten temat.

— — Ja go nie zakończyłam. Porozmawiasz z nim, Williamie?

— — Z pewnością nie — oświadczył rzucając nóż i zanurzając palce w misie wody z pływającymi w niej płatkami kwiatów. — Jego sprawa, co myśli na ten temat. To samo dotyczy wszystkich innych.

— — Ja akurat myślę, że major Stavenham jest wolny od jakiegokolwiek winy. Wiem, że dla ciebie nie ma to znaczenia. Wszyscy inni to dla ciebie rzecz jasna wszyscy gentlemani. Kobieta nie jest stworzona do wyrażania własnych opinii, nieprawdaż?

William, rozdrażniony, wstał, wycierając palce w ręczniczek leżący obok jego talerza.

— — Potrafisz człowieka doprowadzić do kresu wytrzymałości. Czy za dużo wymagam, pragnąc zjeść śniadanie bez zawracania sobie głowy konwersacją? Boże, ależ wspaniałe było życie, zanim przyjechałaś!

— — Nie moje — odparła szybko. — Teraz, gdy tu jestem, próbuję ci pomóc. Nie zmartwiłeś się, kiedy lady Mason poprosiła mnie o pomoc w swojej akcji charytatywnej, prawda? — Dała mu czas na zapalenie cygara, po czym mówiła dalej: — Częścią tej akcji na rzecz żołnierzy, która z pewnością wyszłaby im na dobre, wydaje się być zachowanie zgody w pułku. Biorą przykład

z oficerów. Jeśli wszyscy okażecie potępienie dla majora Stavenhama, oni zrobią to samo.

— I tu się mylisz, moja pani — oświadczył, wypuszczając w powietrze dym. — Te łajdaki są zbyt zajęte własnymi zmartwieniami, by przejmować się tym, co robią czy myślą ich oficerowie. Major stoi na zbyt wielkich dla nich wyżynach, by się nim przejmowali, możesz mi wierzyć.

— Z pewnością nie wtedy, gdy zagraża niebezpieczeństwo i oczekują, że będzie nimi dowodził — odparła żarliwie. — Muszą mu ufać albo będzie po nich. To samo dotyczy podległych mu oficerów. Co zrobisz, Williamie, gdy otrzymasz rozkaz od Johna Stavenhama? Czy macie przegrać bitwę tylko z powodu twojego i innych przekonania, że człowiek ten w imię awansu i sławy będzie gotów bez potrzeby narazić wasze życie?

— Tego już za wiele! — krzyknął z wściekłością. — Nie pozwolę, żeby moja żona dowodziła pułkiem i zadawała mi impertynenckie pytania!

— Twierdzisz, że są impertynenckie, tylko dlatego, że nie chcesz na nie odpowiedzieć — powiedziała wstając, by z determinacją stanąć z nim twarzą w twarz. — Podejrzewam, że Sir Francis Mason został lubianym i dobrym generałem dzięki temu, że całkowicie szczerze odpowiadał na pytania Amelii. Jest ona, jak wiele żon, niezwykle bystrą kobietą, a on był na tyle rozsądny, by to docenić. Wstecznicy z kwatery głównej nie znoszą jej, gdyż boją się przyznać, że kobieta jest w stanie dojść do sedna spraw, których *strzegą* zazdrośnie, jako dostępnych tylko mężczyznom. Czy nie rozumiesz, Williamie, że oskarżenie Ruperta stwarza potencjalne niebezpieczeństwo, gdyby Sikhowie rzeczywiście mieli zamiar wkrótce powstać przeciwko nam? Zdrowy rozsądek mówi, że śmierć Sir Hugona była tragedią, której nikt, a najmniej jego bliski przyjaciel, nie mógł zapobiec. John uważa, że sprawą zasadniczą w czasie bitwy jest wzajemne zaufanie, inaczej żołnierze przez brak solidarności ulegną słabszemu przeciwnikowi.

Elizabeth zauważyła, w jaką wpadła pułapkę, jak tylko zamknęła usta. William nie był na tyle głupi, by tego nie dostrzec. Przyglądał jej się podejrzliwie przez zwężone od dymu cygara oczy.

— Nieco zbyt swobodnie używasz jego imienia. Po czterech i pół miesiąca spędzonych z młodym Carruthersem ciężko byłoby sobie poradzić z waszą poufałością, ale od kiedyż to mówisz o Stavenhamie „John”? Wydaje mi się, że rozmawiałś z nim zaledwie raz.



Mimo przyspieszonego bicia serca odparła:

— Fanny Humphrey powtarza słowo w słowo, co mówi jej mąż. Wiesz, jaka z niej gaduła. Tylko ją cytowałam.

William, wciąż podejrzliwy, zastanawiał się głośno:

— Nie wiedziałem, że się z nią widziałas po wczorajszej tragedii.

— Wspomniała o tym na wyścigach. Uznałam ten pogląd za niezwykle słuszny.

— Skąd możesz wiedzieć, czy opinia dotycząca sposobu prowadzenia bitwy jest słuszna czy nie? Ten temat wykracza poza twoje zdolności pojmowania.

— Tak samo jak twoja postawa, Williamie. Jeśli ty nic nie zrobisz, ja, jako przyjaciółka, będę musiała porozmawiać z Rupertem.

— Nic takiego nie zrobisz! — krzyknął gasząc cygaro w popielniczkę. — Zabraniam ci się do tego mieszać!

— To działaj sam! Twoim najświętszym obowiązkiem jest coś zrobić, zanim wydarzy się jakaś katastrofa.

Stał niezdecydowany i zły. Potem wciągnął powietrze i głęboko westchnął.

— Cała ta sprawa za dzień czy dwa pójdzie w niepamięć. Chłopak jest załamany, a Stavenhama, cholera, ciężko rozgryźć. Zawsze to mówiłem. Twoje zainteresowanie tym człowiekiem jest niemalże niedyskretne, moja droga. Cóż on cię obchodzi?

— Obchodziłby mnie każdy człowiek, choćby nawet prosty żołnierz, którego może zniszczyć niesłuszne posądzenie o przyłożenie ręki do śmierci przyjaciela, którego każn zmuszony był obserwować. Obchodzi mnie współczucie, Williamie, to wszystko. Jak sam zauważyłeś, tylko raz rozmawiałam z majorem Stavenhamem.

Gniew wyostrzył zmysły Williama.

— Hmm — rzekł powoli, z zastanowieniem. — Uspokoję się, jeśli dane mi będzie zobaczyć, jak w ten sam sposób wspierasz prostego żołnierza. Ale zapamiętaj, że nie wolno ci się mieszać do spraw pułku. Lepiej zostaw je tym, którzy się na nich znają. Czy wyrażam się jasno?

— — Zawsze wyrażałaś jasno swe niezadowolenie z mojej inteligencji, ale jestem inteligentna i mam zamiar z tego korzystać. Nic nie zmusi mnie do grania roli wdzięczającej się, bezmyślnej żony, tak jak ty nie staniesz się poważnym, czułym mężem. Oboje musimy się z tym pogodzić i żyć z tym najlepiej, jak się da.

Ponownie zmarszczywszy brwi, William obrócił się na pięcie, by uciec od jeszcze jednego wyzwania.

— — Wychodzę do kasyna. Dzięki Bogu jest w Ratnapore jedno miejsce, w którym kobiety nie zakłócają nikomu spokoju.

— W trzy dni po pogrzebie Sir Hugona odkryto rankiem, że wiele koni choruje lub zdycha. Ucierpiały na tym wszystkie pułki, ale kawaleria straciła aż jedną czwartą swych rumaków. Ci, którzy od jakiegoś czasu przebywali w Indiach, wiedzieli, że Sikhowie lubili zakradać się w nocy do koszar, by podłożyć truciznę, ale bardzo niepokojące było, jak udało im się to zrobić. Podwojono czujki i wysłano grupę ludzi z pilnym zadaniem zakupienia brakującej ilości koni. Niewielu już wtedy wątpiło, że — mimo rozkazu, by w miarę możliwości utrzymywać porządek środkami pokojowymi — — zaczną się gorące dni. Dla Dragonów Forrester's wytrucie ich koni stało się ostatnią kroplą goryczy. Kawalerzyści nie tylko byli zależni od swoich rumaków, ale niejednokrotnie przywiązywali się do zwierząt tak jak do swych kolegów, a czasem nawet mocniej. Potężni, brutalni żołnierze nie powstrzymywali szłochu na żalony widok ciał swych końskich przyjaciół i rosło w nich wzburzenie. Zjednoczeni gniewem uznali, że jeśli te dranie pragnęły walki, będą ją miały... a Dragoni Forrester's z radością zmuszą ich do jej podjęcia. Młodszy oficerowie zameldowali przełożonym, że wojskowe szeregi ogarnęło poruszenie graniczące z niesubordynacją. Ci poinformowali o tym Justina Lakelanda. Ten, jak na niego przystało, oświadczył im, że uważnie obserwuje sytuację i przeprowadzane są już działania, mające na celu wprowadzenie w życie jego propozycji. Pułk mógł tylko czekać. Wraz ze zbliżaniem się pory upałów rosła agresja i nawet oficerowie stali się bardziej wybuchowi niż kiedykolwiek przedtem.

William, jak większość oficerów, spędzał coraz więcej czasu w kasynie. Elizabeth uważała, że może to i dobrze. Zbladły już nadzieje na naprawienie jej małżeństwa. Była temu tak samo winna jak mąż i cieszyła ją jego nieobecność w domu. Tego ranka, przy śniadaniu, usiłowała ponownie wyciągnąć od niego wyjaśnienie, czemu Sikhowie atakują tych, którzy mają ich chronić. Nie była to najlepsza chwila, by domagać się od niego odpowiedzi. Zeszłej nocy przyszedł

do Elizabeth, by usłyszeć, że nie zażyje oczekiwanej przyjemności z powodu jej comiesięcznej niedyspozycji, którą witała teraz z radością, gdyż ratowała ją ona przed zakusami męża, które były jej wstrętne. Za całą odpowiedź uzyskała nerwową uwagę, że „cholerni miejscowi zadowoleni są wtedy, gdy robią kłopoty” i to miało ją usatysfakcjonować... ale nie usatysfakcjonowało.

Siedziała teraz w chłodzie swego pokoju, pisząc list do Lavinii. Był jednym z wielu, które napisała od wyjazdu z Anglii, chociaż żaden z nich nie dotarł jeszcze pewnie na miejsce, i Elizabeth miała trudności z wyjaśnieniem rosnącego poczucia, że czekają ich jeszcze dramatyczniejsze przejścia. Po napisaniu zaledwie kilku linijek pióro przestało biegać po papierze, a wzrok Elizabeth spoczął po drugiej stronie pokoju, na miejscu, gdzie John upadł zemdlny u jej stóp. Zabicie Sir Hugona i otrucie koni z całą pewnością potwierdziło jego przekonanie, że wojna jest nieunikniona, ale nie wiedziała, jakie głębsze przyczyny kryją się za coraz szybciej narastającą wrogością. Jeśli zapyta o to Amelię Mason, otrzyma z pewnością niepełną odpowiedź, ale pragnęła poznać i zrozumieć źródło ciągłych konfliktów wybuchających między wrogami, którzy kilka lat temu starli się już w konflikcie zbrojnym. Czy tamta wojna niczego nie rozwiązała?

Z zamyślenia wyrwało ją przybycie Lucy Nicholson, która jeszcze nigdy przedtem nie przyszła jej odwiedzić. Zgrabna figura dziewczyny ginęła we wzorzystej, kremowo-purpurowej sukni z jedwabiu. Nadawałaby się ona doskonale dla dojrzałej matrony, nie dla tego uroczego dziecka. Poważny krój czepka podkreślał bladość twarzy Lucy i ciemne kręgi pod czerwonymi, opuchniętymi oczami. Kiedy Elizabeth podeszła, by ująć współczująco jej dłonie, odkryła, że dziewczyna drży.

— Droga pani Nicholson, jest pani wyczerpana — powiedziała delikatnie. — Proszę usiąść i wypić ze mną herbatę. Właśnie miałam po nią dzwonić.

Lucy natychmiast wybuchnęła płaczem i zakrywszy twarz dłońmi stała chwiejąc się na środku pokoju. Elizabeth z głębokim współczuciem dla dziewczyny, z którą tak źle obeszło się życie, zaprowadziła ją i usadziła na jednej z sof o wysokim oparciu, po czym usiadła obok, pozwalając rozsądnie, by łzy jej gościa płynęły niepowstrzymanie. Nietrudno było odgadnąć powód rozpaczony Lucy. Jeśli jej młodzieńcze uwielbienie jeszcze nie przerodziło się w miłość, to było na najlepszej drodze do tego. Zegar tykał, a Lucy łkała w ściśniętą w rękę chusteczkę. Dopiero kiedy zaczęła się uspokajać, Elizabeth rozwiązała wstążki

jej brzydkiego czepek i zdjęła go, po czym odgarnęła jej złote włosy z wilgotnego czoła, szepcząc:

— Dosyć już łez, Lucy. Porozmawiajmy o tym, jak mogę ci pomóc.

Dziewczyna podniosła znad przemoczonej chusteczki zrozpaczoną, pełną strachu twarz i spojrzała błagalnie na panią Delacourt.

— Henry będzie taki zły, kiedy się o tym dowie.

Elizabeth uśmiechnęła się.

— Ode mnie o tym nie usłyszysz. Poza tym skoro większość gentlemanów udała się do bastionu, do którego nie może dostać się żadna kobieta, cóż bardziej naturalnego niż to, że się spotykamy? Rotmistrz Nicholson nie może mieć zastrzeżeń do porannej wizyty u przyjaciółki.

— Gdyby wiedział, czemu tu przyszedłam!

— Nie będzie wiedział, jeśli mu nie powiesz.

— Jaka pani rozsądna. Pewnie uważa mnie pani za pożałowania godną istotę. — Lucy westchnęła z drżeniem.

— Uważam, że ja sama byłam kiedyś bardzo podobna — wyznała uspokajająco. — Nie zawsze byłam rozsądna; nawet teraz nie zawsze jestem. Moja droga, nie możemy być dokładnie tacy, jak powinniśmy. Nikt z nas nie jest nadczłowiekiem. — Po chwili wahania przeszła do sedna sprawy. — Przyszłaś ze mną porozmawiać o Rupercie, prawda?

Dziewczyna, wycierająca chusteczką zaczerwienione oczy, wyglądała na zaskoczoną.

— Jak się pani domyśliła?

Elizabeth uśmiechnęła się, potrząsając leżącym obok na stoliku małym dzwoneczkiem, który miał przywołać służącego z herbatą.

— Prosiłam już Williama, by zrobił wszystko, co w jego mocy. I pewnie zrobił, ale oficerowie zazwyczaj uważają głębię uczuć za dowód słabości i tak ją też traktują. Mój mąż pociesza się myślą, że żalność wkrótce stanie się znośniejsza, a Rupert robi to samo, przekształcając swą rozpacz w nienawiść do majora Stavenhama. Obawiam się, że w tym cały problem.

— Miałam nadzieję... przyszłam prosić... żeby pani z nim porozmawiała.

— Obawiam się, że William nie chce już nawet słyszeć o tej sprawie.

Służący przyniósł i nalewał herbatę, po czym oddalił się z ukłonem. Kiedy tylko odszedł, Lucy powiedziała:

— Chciałabym, żeby porozmawiała pani z Rupertem. Jest pani jego powiernicą. Podróżowała z nim pani, zyskując sobie jego podziw i zaufanie, pani Delacourt. Wysłucha panią.

Elizabeth to właśnie pragnęła zrobić, ale spokojnie łyknęła herbaty i rzekła:

— Myślę, że powinnaś zwracać się do mnie po imieniu.

Lucy, ignorując herbatę, wpatrywała się we własne kolana, na których spoczywały jej niespokojne dłonie szarpiące koronkową chusteczkę.

— Napisałam list. Wiem, że nie powinnam była tego robić, ale cierpienie Ruperta na pogrzebie tak mnie zmartwiło! Nie mogłam tego znieść. Przeszedł... przeszedł obok mnie wczoraj bez powitania. Myślę, że przestał mnie lubić z powodu tego listu. Nie odważę się do niego iść, ale ty mogłabyś.

Elizabeth ostrożnie odstawiła filiżankę.

— Ja też jestem mężatką.

Dziewczyna uniosła głowę, a na jej twarzy znów malowało się błaganie.

— Jesteś taka rozsądna, taka pewna siebie. Nie boisz się tego, co ktoś mógłby powiedzieć. Wszyscy wiedzą, że ty i Rupert jesteście przyjaciółmi, nikim więcej. Mogłabyś iść do niego bez obaw.

— A ty nie mogłabyś iść bez obaw, bo jesteście więcej niż przyjaciółmi? — spytała badawczo.

Lucy oblała się szkarłatem, wyglądając jak uosobienie winy. Potem ponownie uciekła się do płaczu.

— Nie uwierzę, że przyjaźń w stosunku do kogoś, kogo znam przez całe życie, jest czymś złym. Jest taki wspaniały, dobry i uprzejmy. Kiedy je-



stem z Rupertem czuję jakieś ciepło, czuję się... bezpieczna. Jestem... — Przy-  
ciśnięta do ust chusteczka stłumiła jej słowa. — Boję się Henry'ego.

Elizabeth z łatwością w to uwierzyła. Nicholson miał podłą twarz, był ma-  
łomówny i nieprzyjemny. Bałaby się go każda kobieta, a co dopiero niedo-  
świadczona dziewczyna.

— — Cichutko — uspokajała. — Zachorujesz od tego.

— — W żaden sposób mnie nie krzywdzi — pospieszyła z wyjaśnie-  
niem Lucy i osuszyła oczy wykrochmaloną serwetką spoczywającą na jej kola-  
nach. — Rzadko dotrzymuje mi towarzystwa w domu, ale jeśli już przyjdzie,  
jest tak milczący i groźny, że boję się odezwać, żeby go nie urazić.

Elizabeth, wiedzona wspomnieniem swego przygnębiającego życia z De-  
lacourtami, rzekła:

— — Jesteś więc tak małomówna jak on.

Lucy zdobyła się na uśmiech przez łzy.

— — Założę się, że ty byś tak nie postępowała. Chciałabym być tak  
mądra jak ty.

— — Cóż, gdybym była taka mądra, nie znajdowałabym się teraz... —  
przerwała wiedząc, że nie może odwzajemnić się tej dziewczynie zwierzeniami.  
Zamiast tego powiedziała coś, co powtarzała sobie od ponad roku: — Nie ma  
nic złego w miłości. Tylko nienawiść jest zła. To, co czujesz do młodego czło-  
wieka, który wprowadza tyle ciepła do twojego życia, jest całkowicie naturalne.  
Nie wstydź się tego, że kochasz Ruperta... ale nie wolno ci pisać do niego li-  
stów, jeśli nie podpisuje ich również twój mąż. Mogłoby to wprawić obu gen-  
tlemanów w zakłopotanie i prowadzić do nieporozumień. — Wyciągnęła ser-  
wetkę ze ściskających ją gorących dłoni Lucy i podała jej filiżankę herbaty. —  
Wypij to i uspokój się. — Uśmiechnęła się. — Skoro jesteśmy teraz w takich  
dobrych stosunkach, odwiedzaj mnie, proszę, kiedy tylko będziesz chciała. Mo-  
żemy rozmawiać o wielu rzeczach, również o wspólnych przyjaciółach. Nie  
powinnaś czuć się samotna.

— — Jaka jesteś dobra — westchnęła Lucy.

— — Dobry Boże, najpierw mądra, a teraz dobra. Niedługo będziesz  
mnie uważała za taki ideał jak Sir Hu... to okropne, na chwilę wyleciało mi to z

głowy — dodała ze smutkiem. — Żałuję, że nie znalazłam dłużej kogoś, czyja strata jest z pewnością ogromnym przeżyciem dla osób, które dobrze go znały.

— — Porozmawiasz z Rupertem, Elizabeth? Porozmawiasz? — nalegała Lucy zachęcona powrotem do sprawy, która ją tu przywiodła. — Znam go i obawiam się o jego zdrowie psychiczne. Błagam, zrób coś!

Elizabeth odparła, że się zgadza. Ktoś musi interweniować — uspokajała swoje sumienie — a wszyscy mężczyźni unikali tego obowiązku. W grę wchodziło nie tylko zdrowie psychiczne Ruperta, ale i spokój umysłu Johna. Dla niej był to z pewnością wystarczający powód.

Wiedząc, że Rupert unika towarzystwa, Elizabeth zaczęła wprowadzać swoje postanowienie w życie, gdy tylko Lucy wyszła. Młody Carruthers na pewno nie siedzi w kasynie z innymi oficerami. Odwiedziny zameżnej kobiety w bungalowie samotnego oficera prowokowały różne domysły, ale wiedziała, że chłopak nie przyjmie zaproszenia do jej kwatery. Tylko najbardziej zagorzały poszukiwacz skandali mógłby sobie wymyślić intrygę seksualną, gdy młodzian pogrążony był w głębokiej żałobie po zamordowanym bracie. Tak czy inaczej, wydawało jej się, że z każdego budynku spoglądają na nią jakieś oczy, gdy podążała szybko na drugi koniec alejki, gdzie Rupert dzielił kwaterę z młodszym oficerem o nazwisku Calthorpe. Ten dziarski chwyt był z pewnością w kasynie. Rzadko je opuszczał, chyba że go, upitego do nieprzytomności, wynieśli.

Czerwona ziemia alei, po której szła, drgała od żaru i Elizabeth zaczęła obawiać się nadchodzącej pory upałów. Temperatura była jedynym aspektem Indii, który jej nie oczarował. Kiedy otworzyła furtkę w białym parkanie otaczającym bungalow, cisza budynku zbiła ją nieco z tropu, ale zdecydowała, że nie zawróci, póki nie zobaczy się z Rupertem i nie powie tego, co musi. Wchodząc do hallu, w którym zazwyczaj dzwonkiem przywoływało się służącego, natychmiast dostrzegła przez otwarte drzwi do salonu młodzieńca, którego szukała. On ujrzał ją w tej samej chwili i uniósł się z krzesła, na którym niedbale siedział.

Ignorując dzwonek, postąpiła kilka kroków naprzód i spytała:

— — Pozwolisz mi wejść?

Nie odpowiedział, więc szła dalej aż do salonu, tak podobnego do pokoi w innych bungalowach. Wygląd Ruperta głęboko ją poruszył. Wyglądał tak, jakby przez jedną noc się zestarzał. Zuchwałe niebieskie oczy straciły blask, rysy

przystojnej twarzy zastygły w wyrazie pełnym goryczy. Nawet jego skóra nabrała szarego odcienia ciała umierającego. Zionęło od niego silnym zapachem alkoholu i Elizabeth zdała sobie sprawę, że podniósł się na nogi tylko dzięki ogromnej sile woli. Miał na sobie jedynie koszulę i spodnie, buty leżały porzucone dalej. Jednak jak na kogoś tak pijanego, wydawał się wyjątkowo dobrze nad sobą panować.

Położywszy parasolkę od słońca na fotelu, ruszyła ku niemu z wyciągniętymi ramionami.

— Tak bardzo mi przykro, mój drogi.

Wykrzywił usta.

— To właśnie napisałaś w liście kondolencyjnym. Wszystkim jest bardzo przykro.

— Szczerze przykro — powiedziała opuszczając ramiona, do czego zmusiła ją rezerwa Ruperta. — Nachodzę cię wiedziona najgłębszą przyjaźnią. Lepiej niż większość ludzi rozumiem, jak wielki był to cios. Pozwól, bym mogła ci go znieść. Porozmawiaj ze mną o Hugonie.

— Mówiłaś, że masz dosyć słuchania o jego nieprawdopodobnych przymiotach.

Uśmiechnęła się smutno, targana współczuciem dla jego zazdrośnie strzeżonego bólu.

— Już jedno spotkanie z nim dowiodło słuszności twoich słów.

Rytmiczny skrzyp wachlarza pod sufitem podkreślał ciszę panującą

w przesiąkniętym alkoholowymi oparami pokoju. Jeszcze raz spróbowała przebić się przez osamotnienie, które sam sobie narzucił.

— W takich chwilach przyjaciele mogą być bardzo pomocni. Pozwól im na to.

— Potrafią przywrócić go do życia?

— Nie, Rupercie. Nic nie przywróci twego brata do życia... ale odrzucając tych, którzy go szanowali, czy darzyli uczuciem, skazujesz go na zapomnienie pewniej niż śmierć. Nie pojmujesz?

Odwrócił się od niej i stał samotny i nieugięty, a jego szerokie plecy wyglądały jak znak sugerujący, że Elizabeth ma odejść. Nie wiedziała, jak do niego dotrzeć. Nigdy jeszcze nie spotkała się z tak głębokim bólem, a przyjaźń nawiązana w czasie przyjemnych miesięcy podróży nie pomagała jej rozwiązać tej sytuacji. Rupert był teraz całkowicie inny niż ten ujmujący, entuzjastyczny młodzieniec, który tak się cieszył ze spełnienia swych pragnień. Godząc się z tym, że nie przemawia do niego jej współczucie, wzięła się na odwagę i powiedziała to, co idąc tutaj naprawdę miała zamiar mu oświadczyć.

— — Ponadto kałasz pamięć swego brata bezpodstawnym potępieniem Johna Stavenhama. Nie wydaje ci się, że i bez tego wystarczająco cierpi z powodu tej sprawy?

Rupert odwrócił się do niej, kipiąc nagle od wściekłego gniewu.

— — Czymże jest czyjekolwiek cierpienie w porównaniu z tym, co przeżył człowiek tak bestialsko okaleczony i zmasakrowany! — zakrzuszył się, twarz mu drgała. — Hugo dowodził tego ranka. Jeździł najszybciej z całego pułku. Jakim cudem znalazł się na końcu? Jakim?!

Jego agresja zaskoczyła ją, ale starała się zachować spokój. — Czy wiesz, jak tłumaczy to John?

— — Przejął dowództwo i pozwolił, by Hugo został zmasakrowany. To jedyne wytłumaczenie. Pozostaje mi tylko zemsta. Tylko to — powtórzył szeptem. Jego ramiona zaczęły drgać; ukrył twarz w dłoniach.

Elizabeth, ogarnięta smutkiem, wzięła swą parasolkę i cicho wyszła. Strata Johna była wystarczająco bolesna, ale Rupert stracił wszelką nadzieję i było to daleko trudniejsze do zniesienia.

## ROZDZIAŁ X

Egzekucja ludzi uznanych za winnych napadu, podczas którego zabity został Sir Hugo Carruthers, odbyła się o ósmej rano. Na tę uroczystość zaproszono wszystkich oficerów garnizonu Ratnapore, pojechała na nią jednak tylko reprezentacyjna dwunastka. Żaden pozostający przy zdrowych zmysłach generał nie posłałby wszystkich swoich oficerów do przysłowiowej jaskini lwa, zostawiając wojsko bez dowództwa. Garnizon stał się już teraz tak podejrzliwy, iż początkowo wahanie obudziła wczesna pora egzekucji, zmuszająca wojskowych do ruszenia przez równinę w ciemności. Uznano jednak za wysoce nieprawdopodobne, by Ganda Singh zdradził swe prawdziwe zamiary, organizując jeszcze jeden atak na tę delegację, tak więc grupa złożona z pułkownika Lakelanda, Johna, Williama, Ruperta, George'a Humphreya i siedmiu innych w strojach galowych przejechała rankiem bramy miasta, by być świadkami czegoś, co — jak wiedzieli — nie będzie niczym innym niż makabryczną farsą.

Goście powitani zostali z ceremonialną uprzejmością przez wezyra, po czym zaprowadzono ich do pokrytego jedwabiem podestu, zwróconego w stronę placu targowego. Na plac wywleczono grupę nieszczęśników wyciągniętych zapewne z lochów, w których zamknięto ich za kradzież, napaść, czy też na podstawie innego sfabrykowanego oskarżenia, które uznano za dogodne. Te podstawione ofiary, odziane podobnie jak napastnicy w ten fatalny dzień, poddane zostały na oczach tłumu różnorodnym torturom, zanim odcięto im głowy i kończyny. Skrwawione korpusy zostały następnie powieszono, by odstraszały innych, którzy odważyliby się upokorzyć władcę atakiem na jego drogich brytyjskich przyjaciół. Po zakończeniu przerażającej ceremonii oficerowie zostali zaproszeni na poczęstunek do jedwabnego namiotu. Ich gospodarz, jako że na stan jego żołądka najwyraźniej nie wpłynęły sceny, których dopiero co był świadkiem, zbył milczeniem tak brak apetytu swych gości, jak i szczególny odcień zieleni, którym pokryły się ich białe twarze. Dwaj młodszy oficerowie ku swemu zażenowaniu wymiotowali za namiotem, ale reszta stoicko przetrwała jeszcze jakąś godzinę, nim Justin Lakeland uznał, że mogą odjechać bez uszczerbku dla honoru i swych żołądków. Jego podwładni zauważyli z ulgą, że sam również nie wyglądał specjalnie krzepko. Oficerowie w milczeniu wracali do koszar rozciągających się na wzgórzu od strony miasta.



Tego ranka w pamięci Johna zbyt wyraźnie odżyły wspomnienia dnia ataku. Mało brakowało, by dołączył do wymiotujących oficerów. Jechał z powrotem z krwawiącym sercem, gnębiony przez mdłości i przypominał sobie kolejne etapy tamtej drogi powrotnej. Feralnego ranka niebezpieczeństwo nadeszło tak niespodziewanie, że nie mógł sobie teraz przypomnieć słowa po słowie rozmowy z Hugonem, ale był pewien, że nie odebrał przyjacielowi dowództwa i nie ruszył w stronę wąwozu bez obopólnej zgody. Hugo nie mógł wyjawić, a żołnierze nie wiedzieli, że powiedział Johnowi, iż jego koń marnie skacze. Stavenham nie pomyślał o tym, pragnąc prześcignąć tych, których uznał za wrogów. Teraz opanowały go takie wątpliwości, że zastanawiał się nawet, czy nie ocenił sytuacji źle. Może Hindusi nie mieli złych zamiarów, nim żołnierze rozpoczęli galop do koszar po posiłki? Czy otaczali zranionego Hugona ze współczuciem, dopóki ten nie wyciągnął pistoletu? Czy możliwe, by John podejrzewał spisek tam, gdzie go nie było?

Zbliżali się do tej części drogi, która okrążała wąwóz, i John spojrzął na miejsce, z którego zbierał szczątki Hugona. Jego działania kosztowały tego człowieka życie. Jeśli się nie mylił, można było to uznać za tragedię. Jeśli popełnił błąd, oznaczało to, że bez potrzeby zabił tego człowieka. Obejrzawszy się instynktownie przez ramię, napotkał wzrok młodzieńca, który zamierzał pomścić tę okropną śmierć. Twarz Ruperta wciąż pozostawała szara i zmieniona z powodu szoku, który nie odbijał się jednak w jego oczach, patrzących zimno, kalkulująco na Johna. Ciężko było oderwać wzrok od tych przepelnionych groźbą zemsty źrenic. John odwrócił się świadom, że jeśli kiedykolwiek stanie do walki jako członek tego pułku, może tak samo spodziewać się ataku od tyłu, jak od wroga przed sobą.

— Myślicie, że wydaje im się, że nas nabrali tym dzisiejszym przedstawieniem, sir? — spytał jadący obok George Humphrey.

Spojrzał na niego i potrząsnął głową.

— Grali tak jak my. To się nazywa dyplomacja. Każdy ruch ma na celu uspokoić drugiego gracza i pozwolić na rozwinięcie głębszej, bardziej znaczącej strategii.

— Co więc stanie się teraz?

Westchnął i ogarnął wzrokiem drogę, która wyginała się właśnie w znajomy zakręt.

— Myślę, że następny ruch należy do przeznaczenia, George.

Jechali w milczeniu i John zaczął dalej rozważać, co naprawdę mieli na

celu Hindusi, rozdzielając się tamtego ranka na dwie grupy. Czy za zamiarem otoczenia małej grupki żołnierzy na niebezpiecznym fragmencie drogi mogły się kryć przyjazne intencje?

— Pani Delacourt poprosiła moją żonę o przyłączenie się do Komitetu Dobroczynnego lady Mason — odezwał się rudowłosy Humphrey. — Dziś rano zajmują się oglądaniem budynków, które mogłyby służyć jako kwatery dla par małżeńskich z pułku. Fanny bardzo się zapaliła do tego projektu.

Zgadując, że ten dobrze wyszkolony, lojalny młodzian, stara się rozmową odwrócić jego uwagę od miejsca tragedii, John zmusił się do uśmiechu.

— Lady Mason to mądra kobieta. Jej komitet nie tylko pomaga prostym żołnierzom, ale i daje jego członkom pożyteczne zajęcia. Damy mieszkające w koszarach będą jej wdzięczne za tę inicjatywę.

— Zgadzam się. Mogą zrobić tyle wartościowych rzeczy, prócz wychowywania gromadki dzieci.

— Przypuszczam, że to właśnie większość z nich woli robić — skomentował.

George westchnął.

— W hinduskiej części koszar wszędzie pętają się te brązowe dzieciaki. Nie mam pojęcia, kto je karmi i wychowuje, ale to dzieci Indii, nawykłe do trudów życia w tym kraju. Na słabowite, nieszczęsne maluchy, które mamy w naszym pułku, aż żal spojrzeć. Uważam, że to grzech przynosić je na świat tylko po to, by patrzeć, jak ulegają gorączce i infekcjom.

— Być może, ale dopóki z pułkiem podróżują kobiety, zawsze będą i dzieci — odpowiedział John i nagle zaczął się zastanawiać, czemu Clare nigdy nie poczęła. Nie starał się tego uniknąć, jak najwyraźniej robił to George; czemu więc miłość okazywana żonie przez dwa lata nie uczyniła jej ciężarną? Czy dzięki macierzyństwu zmieniłaby się, zrezygnowała ze swej sztuki i niezłomnej niezależności? Czy byłaby z nim teraz, gdyby mieli dzieci? Rozważając to po ośmiu latach doszedł do wniosku, że nic nie zmieniłoby jej skoncentrowanej na sobie osobowości. Straciłby ją wcześniej czy później. Może nawet nigdy jej nie miał... tak jak Elizabeth. Na myśl o tej drugiej miłości jego życia, która zawiodła go tak samo jak pierwsza, zrobiło mu się gorąco na wspomnienie poniżenia, które cierpiał. Godziny, które nastąpiły po śmierci Hugona, gmatwały mu się w

pamięci, ale miał mglistą świadomość, że nim osunął się do stóp Elizabeth, wymknęło mu się jakieś wyznanie winy, spowodowane rozpaczliwym pragnieniem zyskania słów pocieszenia. Alkohol sprawił pewnie, że znów ujrzał w niej dziewczynę, którą znał w Wellford, a szok i współczucie dla młodego Ruperta, chęć zyskania zrozumienia i pomocy pokonały niedowierzanie, z jakim ją traktował. Jeśli przedtem uważała go za człowieka słabego, którym można manipulować, cóż myśli sobie teraz? Niewątpliwie to samo, co wszyscy inni w Ratnapore.

Nigdy nie był typem takiego serdecznego, powszechnie lubianego oficera, jak William Delacourt, ale teraz czuł się w tej społeczności całkowicie osamotniony. Może przeznaczone mu było pozostać samotnym przez całe życie... A jeśli Pendżab rzeczywiście był na granicy wojny, jego żywot może się wkrótce skończyć. Nim rok minie, może zginąć z rąk Sikha w turbanie albo mściwego chłopaka. Nie byłaby to żadna tragedia. Nikt by po nim nie płakał.

Damy z Komitetu Dobroczynnego zajęte były szukaniem odpowiednich kwater dla żonatych wojaków, którzy obecnie zajmowali niewielką część na końcu każdego z koszarowych bungalów, oddzieloną od reszty pomieszczenia zawieszonym na drucie kocem. Lady Mason dostrzegła trzy magazynowe baraki, które — jak sądziła — mogłyby spełnić jej wymagania, jeśli opróżniono by dwa z nich, a zapasy porządnie ułożono w trzecim.

Nie było to rozwiązanie idealne, bo i tak na jeden barak przypadały trzy małżeństwa, ale tu przynajmniej dzieci nie byłyby narażone na wulgarny język i grubiaństwo żołnierzy. Chłopcom jeszcze nie wiodło się tu źle, choć niejeden ordynarny wojak brał takiego malucha na kolana, ucząc go, ku uciechu towarzyszy, powtarzać najobrzydliwsze przekleństwa. Dziewczęta bardziej cierpiały z powodu tego niezdrowego, zbiorowego sposobu życia. Najczęściej, nim doszły do okresu dojrzewania, stawały się wulgarne, nawet jeśli ich matki miały jeszcze tyle serca, by spróbować wykształcić w nich kobiece przymioty. Dziewczyny te niezmiennie wychodziły za mąż lub wiązały się z żołnierzami z pułku, jako że rzadko spotykały innych mężczyzn, i dołączały do całych generacji kobiet, które za kilka pensów prały i gotowały dla wojska, by pomóc w utrzymaniu dzieci, które szybko przychodziły na świat i często równie szybko go opuszczały. Z piętnaściora maluchów, które płynęły z pułkiem na starym żaglowcu, przetrwało dziewięcioro, z dziesiątki tych, które urodziły się później w Indiach — piątka. Mieszkały one z matkami (dwójka z nich opiekowała się tylko dziećmi, po tym jak ich naturalne matki umarły na cholere w Kalkucie) w niezdrowych, nieprzyjemnych warunkach, pod opieką mężczyzn, którzy przy-

garnęły te kobiety z różnych powodów i od których były one całkowicie zależne.

Po swym pierwszym spotkaniu z lady Amelią Elizabeth zyskała dla ich sprawy Fanny Humphrey, a od tego czasu udało jej się też namówić Lucy Nicholson do wypełnienia długich, pustych godzin swych dni jakimś pożytecznym zajęciem. Wraz z Charlotte Lakeland i żoną oficera artylerii o nazwisku Benedict udały się najpierw do bungalowu lady Mason, w którym spotkały się z kwatermistrzem mającym im towarzyszyć. Elizabeth, która sama ubrała się w poważną suknię z ciemnozielonego batystu, była zaskoczona, gdy lady Mason wyruszyła na obchód w ogromnej, jaskrawo-żółtej krynolinie i śliwkowej peruce ozdobionej czepkiem z gazy. Jej zachowanie stanowiło jednak całkowite zaprzeczenie wyglądu. Od początku wyraźnie dała do zrozumienia, że jej zamiary są całkowicie poważne, jest zdecydowana przenieść rodziny z ich nędznych kwater i nie zniesie żadnego sprzeciwu.

Damy nigdy jeszcze nie były wewnątrz długiego, jednopiętrowego budynku, w którym mieszkali żołnierze. Nikt nie oczekiwał, że tam pójdą. Ich mężowie, którzy dowodzili tymi ludźmi, mieli obowiązek często robić przegląd baraków, ale zazwyczaj wywiązywali się z niego tylko wtedy, kiedy nie dało się tego uniknąć. Kwatermistrz, jak mógł, starał się odwieść damy od zamiaru wchodzenia do środka, ale generałowa odrzekła, że jej żołądek jest na tyle silny, by wytrzymać wszystko to, co musiały znosić inne kobiety z pułku. Zdecydowanie wkroczyła w drzwi na końcu budynku. Jej towarzyszki pospieszyły za nią mniej chętnie, gdyż z wnętrza dolatywał przeraźliwy fetor. Elizabeth, gdy tylko weszła z oślepiającego słońca do mrocznego, dusznego budynku, tak jak inne damy pospiesznie przyłożyła do nosa perfumowaną chusteczkę. Kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności, z niedowierzaniem i trwogą wpatrzyła się w długie wnętrze z glinianą polepą, po którego obu stronach ustawione były łóżka. Na każdym ze słomianych materaców leżał jeden, troskliwie złożony, szorstki koc. Nad posłaniami wisiał żołnierski ekwipunek i części zapasowego munduru. Wieszano tam też siodła i uprząże, które pogłębiały jeszcze ohydne zapachy panujące w tym miejscu, do którego nigdy nie dostawało się świeże powietrze. Mocna woń podawanej na śniadanie tłustej, zepsutej potrawy mieszała się z oparami unoszącymi się ze stojącego na środku dużego, drewnianego cebra pełniącego rolę zbiorowej toalety. Żony oficerów nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziały. Lady Mason widziała, więc bez wahania ruszyła w stronę grupy milczących postaci.

Elizabeth, przytłoczona uczuciem bezradności, ujrzała dowód na to, co John mówił o losie mężczyzn, którzy dosłownie sprzedawali swe życie za żołd. Cóż mogli tutaj osiągnąć, jaką mieli nadzieję ucieczki? Zaszokowana tym, co zobaczyła, pomyślała, że William nigdy o tym nie mówił, ani raz nie wspomniał słowem o warunkach życia ludzi, wobec których deklarował lojalność tak silną, że poczuwał się do obowiązku podążania zawsze tam, gdzie oni. Raz jeszcze zaczęła się zastanawiać, czy jego milczenie wynikało z przekonania, że te sprawy nie powinny obchodzić kobiet, czy też z jego własnej na nie obojętności. Podejrzewała to drugie.

Od tych myśli oderwała się, gdy podeszły do osób, którym miały pomóc. W małym pomieszczeniu obwieszonym praniem zwisającym nad ich głowami z sufitu, jak wiszące tam również brudne flagi, stało sześć rozczochranych istot w podartych sukniach i dziurawych kapciach na brązowych nogach oraz grupa karłowatych dzieci o ściągniętych, doświadczonych twarzach. Wojsko nie zapewniało żonom i dzieciom łóżek, kładły się więc, gdzie się dało — na podłodze, między dwoma dużymi cebrami do prania a piecem kuchennym. Kilka nędznych drobiazgów leżało na odwróconych do góry dnem słoikach, które nie nadawały się do niczego innego, bo były popękane lub rozbite. Widok ten tchnął rozpaczą. W oczach kobiet była rezygnacja. Dzieci rozdziawiały usta na widok dziwacznej istoty w jasnożółtym dzwonowatym namiocie i z głową porośniętą bujnymi czerwonymi włosami.

Żony żołnierzy zamilkły, kiedy powiedziano im, że goście interesują się ich kwaterami i proponują im przeniesienie się z terenu koszarowych baraków w jakieś spokojniejsze miejsce. Większości z nich zdolności umysłowe nie pozwalały na zrozumienie napuszonej przemowy kwatermistrza. Te dwie, które ją pojęły, prawie nie zareagowały na nowinę — wydawała się zbyt piękna, by mogła być prawdziwa. Kiedy jednak poproszono je wszystkie, by poszły obejrzeć swoje przyszłe domy i wysłuchać planów dotyczących przeprowadzki, posłuszne i zdziwione kobiety wraz z dziećmi pospieszyły sznurem za lady Mason na zewnątrz i przeszły za nią przez trawnik. Damy z Komitetu z ulgą wyszły ponownie na dwór i kroczyły obok tych istot, którym miały nadzieję pomóc, a których zupełnie nie rozumi> miały, niezdolne do nawiązania rozmowy. Fanny, obok której szła Elizabeth, zaczęła nagle idącą przy niej, czystsza od innych kobietę, która jedną ręką dźwigała niemowlę, a drugą podtrzymywała kilkuletnie dziecko.

— Proszę, niech mi pani pozwoli ponieść niemowlaka — nalegała. — Nie poradzi sobie pani z obojgiem naraz.



— Nie, psze pani, jeszcze by pani dzieciak suknię uszargał — odparła poważnie kobieta. — To być nie może.

— Nonsens — powiedziała Fanny sięgając po dziecko. — Nie martwię się o sukienkę aż tak, żebym miała z tego powodu zrezygnować z niesienia malucha. — Zabrała kobiecie niemowlę i z żarem przycisnęła je do piersi. — Jak ma na imię?

— Artur, psze pani... po dziadku. A ta to Mildred.

Fanny uśmiechnęła się.

— Z pewnością będzie pani zadowolona, że może je zabrać z tego baraku.

— Tak, psze pani — padła obowiązkowa odpowiedź, ale w ciemnych oczach kobiety niewiele było nadziei.

— Ile mają lat? — spytała Fanny.

— Małej idzie dwa, a młodszy ma dziesięć tygodni. Mój jest w szwadronie pani męża — dodała z dziwną nieśmiałością. — Dobrze ma o nim zdanie.

Fanny zbyt była zajęta przyglądaniem się maleństwu, by zwrócić na to większą uwagę.

— Dziesięć tygodni! Jest trochę za mały. Czy starcza pani jedzenia dla niego? Dzieci powinny pić mleko, dużo mleka.

Elizabeth przyglądała się tej scenie. Kiedy niemowlę zacisnęło paluszki wokół palca Fanny, dziewczyna zapłonęła z rozkoszy i dotknęła policzkiem ciemnego puszku na jego głowie z wyrazem matczynej czułości na twarzy. Jeszcze jedna nieszczęśliwa żona w Ratnapore!

Dotarli do baraków magazynowych i zebrali się w jednym z nich. Ponure wnętrza wypełniały częściowo różne paki i pudła, ale widać było, jakie zrobi się przestronne, gdy zostaną usunięte. Żony kawalerzystów sądziły pewnie, że towary zostaną tu na zawsze i ożywiły się dopiero, gdy lady Mason wyjaśniła, że przed przeprowadzką dwa magazyny zostaną opróżnione. Generałowa mówiła następnie o planach rozwieszenia zasłon dzielących każde pomieszczenie na trzy części i zaopatrzenia każdej rodziny w wannę i piecyk kuchenny. Wtedy kobietom przyszło do głowy, że przyprowadzono je tu, by przeniosły zmagazynowane towary. Dwie z nich chwyciły ciężkie paki i usiłowały je podnieść. Kwatermistrz szybko wyjaśnił, że do wykonania cięższych prac odkomenderowani zostaną ich mężowie, one zaś będą musiały przed wprowadzeniem się

wymyć baraki, by przegnać z nich robactwo. Były dosyć chętne do zrobienia tego, choć przez całe lata żyły z robactwem, nie poczytując sobie tego za krzywdę. Lady Mason obiecała im nieco wapna, które rozsypie się po wyszorowaniu budynków. Było jasne, że nie wiedziały, do czego służy ten antyseptyczny proszek, ale, choć zaskoczone, okazały stosowną wdzięczność.

Spotkanie zakończyło się gwałtownie, gdy jeden z dziesięciolatków spadł ze sterty paczek i wybił sobie przedni ząb. Przeraźliwie krzyczał. Matka wytargała go za uszy za to, że sprawia kłopoty i powiedziała, że jeśli się nie poprawi, wezmą go czarni. Wtedy damy oddaliły się, ale przedtem pani Lakeland zmusiła wszystkich do zmówienia modlitwy dziękczynnej do naszego niebieskiego ojca, który tak hojnie nas wszystkim obdarza. Żony kawalerzystów wyraźnie nie miały pojęcia, kimże ten niebieski ojciec może być i wierciły się niespokojnie w czasie długiej modlitwy.

Następnie, w bungalowie lady Mason damy usiadły nad uczciwie zapracowanymi filiżankami herbaty i zajęły się podziałem obowiązków. Kwatermistrz odszedł mówiąc, że zorganizuje wyniesienie pak i postara się o wapno. Amelia Mason podjęła się nadzorować kupno oraz szycie atrakcyjnych zasłon, a młodsze damy zgodziły się pojechać na bazar, by kupić wanny, piecyki i mydła dla wszystkich rodzin. Pani Lakeland wyraziła chęć zapewnienia tekstów z Biblii, które można by rozwiesić na ścianach bungalowów i była pewna, że jej mąż mógłby wpłynąć na to, aby oficerowie wsparli fundusz, mający na celu zapewnienie dzieciom książek do nabożeństwa.

— Wydaje mi się, że te pieniądze lepiej byłoby przeznaczyć na mleko, które pokrzepiłoby dzieci — odezwała się z zadziwiającą śmiałością Fanny. — Mój mąż od dawna boleje nad chorowitością i wskaźnikiem śmiertelności tych maluchów. Potrzebne im jest pożywienie, a nie książki.

Pani pułkownikowa była zaskoczona i mocno urażona słowami, które padły z ust żony młodszego oficera, i przygotowywała się właśnie do wygłoszenia riposty, gdy zainterweniowała Elizabeth. Widziała, jak Fanny pieśczośliwie tuliła dziecko w ramionach. Pani Delacourt sama takiego pragnienia nie odczuwała, ale całym sercem zgadzała się z Fanny, że fundusz Komitetu zawsze powinien służyć najpożyteczniejszym celom.

— Tak jak pani Humphrey uważam, że dzieci bynajmniej nie tryskały zdrowiem — zwróciła się do Amelii Mason, która po wejściu do domu zdjęła perukę, zastępując ją ogromnym, koronkowym czepkiem ozdobionym morzem

fioletowych wstążek. — Nic dziwnego, skoro spędzają tyle czasu w tym okropnym baraku. Nie miałam pojęcia, że żyją w tak opłakanych warunkach.

— Niewiele osób o tym wie, pani Delacourt — odparła sucho lady Mason. — A te, które dowiedziały się o tym z wielu wysłanych przeze mnie listów, wołały udawać, że nawołuję do zaopatrzenia w luksusy zwierząt w ludzkich ciałach. Trzeba paniom wiedzieć, że prostego żołnierza traktuje się jak zero. Oczywiście dopóki nie jest potrzebny do obrony naszego życia i naszych ziem. Gdy tylko z zadziwiającą odwagą i lojalnością wywiąże się z tego obowiązku, ponownie się go musztruje, łży, głodzi i przestaje traktować jak istotę ludzką. Jeśli w jedyny sobie dostępny sposób usiłuje ulżyć swemu losowi, dostaje baty. Gdy zachoruje, zabiera się go do szpitala, w którym panują warunki nie lepsze niż w koszarowym baraku, i poddaje nieodpowiednim, prymitywnym torturom, które mają mu pomóc. Najczęściej one go wykańczają.

— Wszyscy jesteśmy w ręku Boga, droga pani — odważyła się powiedzieć pani Lakeland. — On decyduje, kogo zabierze, a kogo pozostawi na tym świecie. Te decyzje musimy zawierzyć jego łasce.

— Bzdury! — odrzekła pani Mason, która straciła całą trójkę dzieci. — Bóg obdarzył nas inteligencją, która pozwala nam pomagać Mu pomagając samym sobie. I obdarzył nas współczuciem, byśmy pomagali tym, którzy są w potrzebie. Bóg nie może samotnie opiekować się całym światem, pani Lakeland, i jestem przekonana, że oczekuje, iż nasze hymny pochwalne poprzemy odrobiną praktycznego działania. — Łagodnymi oczyma spojrzała na grupę kobiet. — Drogie panie, nie wspierajcie mnie milczeniem. Odezwijcie się!

Lucy Nicholson zadziwiła je wszystkie mówiąc:

— Dzieci z pułku mojego męża są zawsze takie wesołe i szczęśliwe. Oczywiście są to hinduskie dzieci, które mieszkają z dala od koszar, ale często myślałam sobie, że nasze białe maluchy nie potrafią się bawić tak jak tamte. — Jej początkowa odwaga zaczynała błędnąć. — Proszę wybaczyć, nie miałam na myśli... Nie sugerowałam... — Z trudem przełykając ślinę, zakończyła pośpiesznie: — Czy nie mogłybyśmy wydzielić dzieciom miejsca do zabaw?

— Wspaniały pomysł! — powiedziała ciepło Elizabeth. — Proszę nam pozwolić znaleźć skrawek ziemi z dala od żołnierzy. Każde dziecko dostałoby filiżankę mleka, zanim matki przyjdą je odebrać.

Fanny dokładniej przemyślała ten temat.

— Nie ma sensu organizowanie placu zabaw dla dzieci, które nie mają pojęcia, jak z niego korzystać. George mówi, że w ogóle nie znają prostych, dziecięcych zabaw. Od żołnierzy uczą się grać na pieniądze w karty i inne gry. Wydaje mi się, że powinniśmy nauczyć je zabaw znanych nam z dzieciństwa — sama chętnie poświęcę na to czas — zebrać od żon oficerów lalki czy inne zabawki i zostawić je na placu dla dzieci.

Lady Mason promieniała.

— Jaki wspaniały komitet mnie wspiera! Widzą panie, ile można zrobić, gdy damy się zjednoczą. Obawiam się, że gentlemani wciąż szukaliby właściwych słów, by wyrazić konieczność opróżnienia tych magazynów z towaru. Na podjęcie decyzji potrzebowaliby trzech miesięcy i mnóstwa pism, a odpowiedź byłaby pewnie negatywna. W marnowaniu czasu nie mają sobie równych.

— Znam idealne miejsce na plac zabaw — oświadczyła Charlotte Lakeland. — Kapelan z pewnością nie będzie miał nic przeciw zorganizowaniu go przy kościele. Po zabawie będą się odbywały lekcje religii. W ten sposób będziemy szerzyć słowo Boże ustami niewiniątek.

Nikt nie miał rozsądnych argumentów przeciw jej zdecydowanej, religijnej propozycji, przydzielono jej więc zadanie ustalenia wszystkiego z kapelanem. Fanny poproszono o zebranie zabawek, na co z ochotą się zgodziła. Elizabeth ofiarowała się nauczyć dzieci malować akwarele, a Lucy nieśmiało wyznała, że dobrze szkicuje i chętnie to udowodni. Pani Benedict stwierdziła, że w bungalowach swych przyjaciół i własnym postara się znaleźć coś, co można by przerobić na dziecięce ubranka. Amelia Mason oświadczyła, że jej następnym zamierzeniem jest z tą samą energią starać się polepszyć stan koszarowego szpitala.

— Doktor Cockerford jest tak przygnębiony całkowitym lekceważeniem jego licznych próśb i sprawozdań, że moje plany nie są w stanie wywołać w nim najmniejszego entuzjazmu. Jest przekonany, że zakończą się fiaskiem. — Uśmiechnęła się ponuro. — Musimy zewrzeć szeregi i dopilnować, by tak się nie stało. Przyszło mi do głowy, że można by podać nieco trucizny ludziom z kwatery głównej — tyle tylko, by poważnie zachorowali i byli zmuszeni szukać pomocy lekarskiej. Musiałam z tego zrezygnować, jako że i tak leżeliby w swych wygodnych domach pod opieką najlepszych cywilnych lekarzy. Musimy wymyślić coś innego, chociaż nic nie jest w stanie tak uczulić mężczyzn na jakieś zaniedbania niż to, że sami stają się ich ofiarami.

Zażenowana Elizabeth zdała sobie sprawę, że lady Mason całkiem poważnie myślała o użyciu trucizny. Zaczęła się zastanawiać, gdzie kończy się niekonwencjonalność, a zaczyna ekscentryzm.

— Czy nie można by ich zaprosić do szpitala, by zobaczyli wszystko na własne oczy?

Odpowiedzią był czarujący uśmiech.

— Wszystkie sześć zaproszeń, które wysłałam, zaginęły jak list do pani męża. Czyż nie jest zadziwiające, jak sprytnie udaje się wojskowemu poczmi-strzowi doręczać wszystkie przesyłki prócz tych, których adresat nie życzy sobie czytać?

Elizabeth odwdzięczyła jej się uśmiechem.

— Może powinniśmy zwabić ich obietnicą balu albo rewii, a potem, nim zorientują się co do naszych zamiarów, zaprowadzić do szpitala.

— Balu będą się starali za wszelką cenę uniknąć; starsi panowie nie znieśliby takiego wysiłku, ale rewia może okazać się dobrym pomysłem. Porozmawiam na ten temat z Sir Francisem. Jak to robisz, moja droga, że masz takie błyszczące włosy? — dodała, swoim zwyczajem niespodziewanie zmieniając temat. — Od rana je podziwiam.

Zebranie zakończyło się jak spotkanie towarzyskie mimo nacisków pani Lakeland, by zmówić jeszcze jedną modlitwę, prosząc o siłę w kontynuowaniu ich zamierzeń. Elizabeth, Fanny i Lucy wracały spacerem do oficerskich bungalowów, ale podczas gdy pozostałe dwie szczebiotały, Fanny była dziwnie milcząca. Elizabeth z łatwością odgadła przyczynę zamyślenia przyjaciółki, a kiedy wyszły za róg, napotkały jego główny powód. Na szerokiej alei stał, rozmawiając z Johnem, George Humphrey. Po obu widać było napięcie i znużenie i tylko jeden z nich uśmiechnął się radośnie na widok zbliżających się ku nim trzem atrakcyjnym damom. Uśmiech George'a zbladł, gdy żona lodowato go powitała i zaczęła opowiadać ze szczegółami o swych porannych zajęciach.

— Dostałam rozkoszne zadanie zebrania dla dzieci zabawek od tych żon oficerów, które mają szczęście mieć własne potomstwo — dodała tak znacząco, że brązowa twarz jej męża pociemniała z zażenowania czy gniewu, a może z obu powodów.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy, którą Elizabeth starała się osłodzić, uśmiechając się współczująco do George'a.



— Miał pan zapewne męczący ranek, panie Humphrey. Czy było bardzo źle?

— Przerażająco, proszę pani. To barbarzyński kraj.

— Ale również zachwycająco piękny. — Nie mogła się oprzeć, by to powiedzieć. — Czy to już koniec tej sprawy?

Humphrey spojrział na Johna oczekując odpowiedzi, ale ta, którą uzyskał, była niezwykle wymijająca.

— Nic się w Indiach naprawdę nie kończy, pani Delacourt.

— Ale czy nie czuje pan już ujmy na honorze, sir? — nalegała.

— Honor jest pojęciem abstrakcyjnym. Kto wie naprawdę, kiedy czuje się urażony, kiedy usatysfakcjonowany? — odrzekł na to.

— Mówi pan zagadkami — zaprotestowała Lucy z rozbrajającą niewinnością. — Wyznam, że jak dla mnie jest pan zbyt inteligentny.

— Proszę wybaczyć — powiedział odganiając od twarzy muchę. — Po tym, co niedawno widzieliśmy, nie jestem w najlepszej formie.

— Jeśli państwo pozwolą, udamy się z żoną do swojego bungalowu, gdzie będziemy mogli podzielić się szczegółami wydarzeń, które zappełniły nam ranek — wtrącił ponuro George. — Do widzenia paniom i panu, sir.

Zasalutował wszystkim i wzięwszy Fanny pod rękę poprowadził ją w stronę domu. Elizabeth została w towarzystwie niezbyt skłonnej do prowadzenia inteligentnej rozmowy dziewczyny i mężczyzny wyglądającego, jakby był na skraju wytrzymałości. Pragnąc wprowadzić swobodniejszą atmosferę, wykorzystwała chwilę ciszy, by zacząć rozmowę na mniej osobisty temat.

— Majorze, odkąd przyjechałam dwa tygodnie temu, jestem przerażająco nieświadoma znaczenia tego, co się tu od tego czasu dzieje. Dlaczego Sikhowie płoną w stosunku do nas taką żądzą zemsty?

Wyraz jego twarzy, widocznej częściowo pod wysokim, czarnym nakryciem głowy, był równie chłodny, co głos, którym udzielił odpowiedzi, wprowadzając do niej osobisty ton.

— Mąż może pani to powiedzieć, pani Delacourt.

— Prosiłam go o to kilka razy, ale wydaje mi się, że nie traktuje mego zainteresowania tą sprawą poważnie. Wierzę, że pan tak.

Lucy wtrąciła się mówiąc:

— W pułku Henry'ego jest paru Sikhów. Rotmistrz Cline twierdzi, że ciężko ich będzie namówić do walki ze swoimi pobratymcami. Wielu z nich ma krewnych w całym Pendżabie. Czy zostaną zmuszeni do walki, majorze?

John nie miał innego wyboru, niż zostać i odpowiedzieć na pytanie, ale robiąc to zwrócił się do Elizabeth.

— Sytuacja jest niezwykle złożona, spróbuję więc wyjaśnić tylko główne przyczyny konfliktu. Sikhów łączy odrębna religia i wrodzona żądza walki ze wszystkimi przybyszami w obronie swej wiary i jedności. Brytyjczycy zdołali utrzymać z nimi niepewne przymierze od czasu swej pierwszej ekspansji w Indiach. Randžit Singh, największy z ich władców, rządził swym ludem żelazną pięścią, ze sprytem, dzięki któremu zawodziły często nasze najbardziej podstępne próby wywiedzenia go w pole. Kiedy zmarł, wielu było chętnych do rządzenia sikhijskim imperium. Stosunków między pretendentami do objęcia władzy nie poprawił nawet dokonany przez Brytyjczyków podbój ziem, których pragnęli Sikhowie. Postanowili oni wywołać wojnę z nami, licząc po trosze, że rozwiąże ona ich własne problemy. — Zmarszczył brwi. — Jeśli to zbyt pogmatwane, postaram się to wyjaśnić. Jedna z sikhijskich frakcji pragnęła przejąć nas z dopiero co zdobytych terytoriów, by zaanektować je dla siebie; druga frakcja podsyciała konflikt w nadziei, że wyrzniemy ich rywali i życzliwie spojrzymy na ich własne żądania objęcia władzy.

— Jakie to okropne! — krzyknęła Lucy.

— Jakie sprytne — dodała z zastanowieniem Elizabeth. — Czy zdawaliśmy sobie sprawę, że ktoś nami manipuluje?

— Być może, ale podjęliśmy wyzwanie i pokonali występującą przeciwko nam armię, pozbywając się tych, którzy nie byli wygodni dla sikhij- skich konspiratorów. Ceną za zrobienie tego było uzyskanie kontroli nad połową Pendżabu i żądanie swobody poruszania się naszych wojsk po całym jego terenie. Wielu oficerów argumentowało wtedy, że tylko całkowita kontrola nad Pendżabem położyłaby kres spiskom i intrygom, które czyniły go potencjalnie niebezpiecznym, ale Brytyjczycy ani tego nie chcieli, ani nie mieli potrzebnych do tego posunięcia wojsk. Ustanowiliśmy regencję w celu kierowania posunięciami nie-

letniego maharadży, którego knowania poparliśmy, i ufnie oczekiwaliśmy, że zapanuje pokój. Było to dwa lata temu.

— Po wojnie, w której pan walczył — powiedziała Elizabeth. — Czy był pan jednym z oficerów pragnących całkowitej kontroli nad Pendżabem?

— Wie pani, że byłem — odparł bez zastanowienia. — Jedyłą nadzieją pozbawionych własnego silnego wodza Sikhów byłoby zaakceptowanie jednego z ludzi proponowanych przez nas i wspieranych przez naszą armię, aż do momentu, gdy niezliczeni pretendenci do tronu wyrzną się wzajemnie, co zawsze robią.

— Ale wciąż działają, by pokonując nas, pozbyć się nie chcianej regencji, którą popieramy?

— Właśnie — mówił coraz cieplej. — Po usunięciu nas z tego terenu mogliby pozbyć się maharadży oraz jego popleczników i rozpocząć długą, krwawą walkę o władzę. Są zdecydowani wywołać nową wojnę. To co dzieje się w Ratnapore, to delikatne pchnięcia poprzedzające decydujący cios, a mające na celu sprowokowanie nas do rozpoczęcia działań wojennych.

Zajęci więzią, która niespodziewanie się między nimi odrodziła, niemalże zapomnieli o obecności Lucy. Kiedy więc się odezwała, zwrócili się ku niej niemalże z poczuciem winy.

— Bardzo mnie pan zaniepokoił, majorze Stavenham. Z pana opisu wynika, że są to ludzie przerażający i trudni do przejrzania. A Henry mówi zawsze, że jego żołnierze są czarujący. Jak to możliwe?

John nerwowo dotykał czaka, wyprowadzony z równowagi tym nagłym przypomnieniem o obecności Lucy.

— Mówiłem o fanatykach, to wszystko, proszę pani. Podwładni pani małżonka są naturalnie wyszkoleni i lojalni w stosunku do swojego dowódcy.

Jej oczy wciąż rozszerzało zdumienie.

— Zachowywali się zawsze w stosunku do mnie niezwykle kurtuazyjnie, a ja czułam się w ich obecności całkiem dobrze. Teraz chyba będę na nich patrzyła inaczej.

— Czyżbym przedstawił zbyt czarny obraz? — spytał szybko. — Musi pani zaufać zdaniu męża. Zna Indie o wiele lepiej ode mnie. Proszę jednak pamiętać, że w sytuacjach ekstremalnych przynależność narodowa musi okazać się

silniejsza niż wierność czemukolwiek innemu. Gdyby kazała pani Anglikowi walczyć ze swoimi, z pewnością źle by sobie o pani pomyślał.

Lucy nie słuchała go. Jej uwagę pochłonął widok samotnej postaci, powoli wjeżdżającej konno w alejkę. Sir Rupert Carruthers wracał do swojej kwatery. Z oczami utkwionymi w ukochanego przyjaciela Lucy wyjaśniła mgliście:

— Muszę iść. Henry chce, żebym była w domu, kiedy wraca na lunch. Do widzenia.

Oddaliła się szybko. Jej młodość podkreślała szeroka krynolina z ciemnoniebieskiego prążkowanego jedwabiu, ozdobiona dużym kołnierzem z beżowej koronki, otulająca zgrabną, wyprostowaną sylwetkę Lucy.

Elizabeth patrzyła, jak odchodzi, podążając do kogoś, kto z pewnością jeszcze bardziej ją zrani, i szepnęła:

— Jakie to smutne, że chociaż jest jedyną osobą zdolną przełamać dobrowolne osamotnienie tego chłopca, on ciągle ją odrzuca.

— Jest mężatką, która przede wszystkim ma obowiązki wobec męża.

Te wyważone słowa ponownie przyciągnęły jej uwagę do stojącego przed nią mężczyzny. Na jego twarzy znów gościło napięcie, a dręcząca obietnica ponownego nawiązania się pomiędzy nimi więzi zniknęła. Elizabeth usiłowała ją przywrócić, nawiązując do jeszcze jednego neutralnego tematu, by pokazać mu, iż myli się sądząc, że jedynym jej celem jest uwodzenie każdego nawijającego się mężczyzny pod nosem męża, którego, jak sądził, zdradziła.

— Dzisiaj rano poznałam warunki, w jakich zmuszeni są żyć prości żołnierze i nappełniło mnie to złością. Barak był pusty. Nie odważę się nawet myśleć o tym, jak wygląda, gdy są tam wszyscy jego mieszkańcy. A te kobiety są tak zrezygnowane, pozbawione nadziei! Było jasne, że nie wierzyły, iż kiedykolwiek spełnimy nasze obietnice. — Nim zaczęła mówić dalej, zaryzykowała blady uśmiech. — Lady Mason jest właśnie taka, jak ją opisałeś, lecz mimo całego jej pełnego współczucia zdecydowania wszystko, co może osiągnąć, zostanie zaledwie kroplą w morzu. Walczy z uporem starych, obojętnych mężczyzn na wysokich stanowiskach. Nie wiem, czy są całkowicie bez serca, czy po prostu ślepi na to, co powinno być dla nich jasne.

— A ty, Elizabeth Delacourt?

Nie spodziewała się, nie była przygotowana do tego nagłego ataku. Przez chwilę przyglądała się jego ocienionej czakiem twarzy, po czym rzekła cicho:

— Jeśli jestem bez serca, to nie jest to zamierzone.

Po chwili widocznego wahania John niemalże wrogo spytał:

— Czemu powiedziałaś, że jesteś wdową?

— Nie powiedziałam tego — odparła ze smutkiem. — Opacznie rozumiałeś me słowa. Moja wina polegała na tym, że nie sprostowałam twej pomyłki. Początkowo myślałam, że nie będzie to miało znaczenia. Od piętnastu miesięcy byłam samotna, zaniedbana i porzucona przez kogoś, kogo nie przerażała dziesięcioletnia separacja, a ty miałeś opuścić Wellford w ciągu miesiąca.

Jego niebieskie oczy uważnie obserwowały jej twarz. Dodała:

— Nie chciałam myśleć o niczym prócz bieżącej chwili. Czy możesz to zrozumieć?

Kiedy stali tak na szerokiej alejce, widoczni dla obserwujących ich z rzędu bungalowów oczu, rozdzielająca ich bariera zaczęła się kruszyć. Osoba, która zerknęłaby w tym momencie przez okno, ujrzałaby wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę, błyszczącego szkarłatem, błękitem i czerwienią, który spogląda w dół na drobną, ubraną w zieloną suknię kobietę, która pytająco unosi ku niemu głowę. Wyraz jej twarzy zasłania bukietik mimozy ozdabiający brzeg czepka. Przyciągnęliby uwagę każdego: kobieta i mężczyzna, sami na czerwonej, bitej drodze, drgającej od południowego żaru, tak w siebie zapatrzeni, że nic więcej dla nich nie istniało. Chciaż się nie dotykali, otaczała ich jakaś niewytłumaczalna aura, wob x której zniknął dzielący ich dystans, a przecież przygodny obserwator nie mógłby powiedzieć, że widział coś więcej niż żonę oficera zwracającą się uprzejmie do człowieka stawiającego samotność ponad spotkanie towarzyskie.

John niemal bał się dowiedzieć prawdy, jakby mogła ona przynieść mu jeszcze gorsze cierpienia. Spytał jednak:

— Dlaczego przyjechałaś do Indii?

— Żeby naprawić swoje małżeństwo. Przeczytałam w gazecie, że na jesieni wraca twój pułk i wiedziałam, że mam najlepsze szanse na przyszłość, jeśli dołączę do Williama. Skąd mogłam wiedzieć, że los spleta nam obojgu tak okrutnego figla? — Widząc, że marszczy na te słowa brwi, dodała: — Czy



spróbujesz mnie zrozumieć i przebaczyć? Wygląda na to, że jestem skazana na unieszczęśliwianie mężczyzn.

— Na to wygląda — powiedział zdecydowanie.

Nie miała innego wyjścia, niż odejść, pożegnawszy go za ledwie uprzejmym skinieniem głowy na użytek obserwujących ich osób. Otwierając białą furtkę wiodącą na podwórko domu, który dzieliła z mężczyzną nie wywołującym w niej ani miłości, ani szacunku, powiedziała sobie, że musi spróbować obdarzyć go i jednym, i drugim. Mogła się pocieszać jedynie tym, że wyjaśniła Johnowi, dlaczego oszukała go w Wellford. Może zmniejszy to w nim uczucie poniżenia i zwróci mu odrobinę dumy. Może teraz ich spotkaniom towarzyskim będzie towarzyszyło mniejsze napięcie.

William wrócił już do domu w ponurym nastroju wywołanym egzekucją, którą obserwował. Jasno dał Elizabeth do zrozumienia, że był świadkiem jej rozmowy z Johnem.

— Ten facet chyba nie pojął znaczenia dzisiejszej makabrycznej pantomimy — narzekał, leżąc rozłożony na jednym krześle, a obute nogi złożywszy na drugim. — Oto wynik tej podejrzaney sprawy, dzięki której został majorem. A poza tym — kontynuował, pociągnawszy łyk z trzymanej w ręku szklanki — coś się, cholera, za bardzo przyjaźni z Georgem Humphreym. Starszy oficer nie powinien bez końca siedzieć w kieszeni Podwładnego.

Elizabeth rozwiązała czepek dziwnie drżącymi dłońmi, ale w jej głosie nie słyhać było emocji wywołanych spotkaniem z Johnem, kiedy mówiła cicho:

— Pan Humphrey jest jedynym oficerem gotowym trzymać stronę pana Stavenhama w tej, jak ją nazywasz, podejrzaney sprawie, nic więc dziwnego, że major okazuje swe uznanie dla takiej lojalności. Zrobiłabym to samo w takiej sytuacji.

William wyciągnął w jej kierunku rękę, w której trzymał szklankę.

— Za bardzo sobie pozwalasz z tym bronieniem go, moja pani. Już mówiłem, że nie pozwolę, aby moja żona mieszała się w żołnierskie sprawy.

— Jestem żoną żołnierza, Williamie. To absurdalne nie pozwalać mi wyrażać opinii na temat tego, co dzieje się wokół mnie.

Zaskoczył Elizabeth, szybko zrywając się na nogi. Miał mocno zaczerwienioną twarz i idąc chwiejnie w kierunku żony ryczał:

— Jak śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób?!

Podnosząc głowę i zastanawiając się, jak zdoła zapalać szacunkiem do tego mężczyzny, z którym była nieodwołalnie związana, powiedziała tak spokojnie, jak tylko było ją na to stać:

— Na wiele musiałam się odważyć, by tu do ciebie dotrzeć, ale to, że jestem zdecydowana naprawić nasze małżeństwo, nie zobowiązuje mnie do zachowania milczenia wobec twych nieuzasadnionych komentarzy. Powiedziałam tylko, że jest całkowicie naturalne, iż osoba niesprawiedliwie unikana przez społeczeństwo znajduje ukojenie w towarzystwie kogokolwiek, kto się z nią zechce zaprzyjaźnić. Musisz przyznać słuszność tej prostej prawdy.

Mąż obdarzył ją niewyraźnym, podejrzliwym spojrzeniem.

— Co mu tam mówiłaś, tak że każdy mógł was zobaczyć? Dziwne, że nie waliłaś w bębny, i tak zresztą nie mogłabyś już na siebie zwrócić większej uwagi.

— Już samo to powinno ci powiedzieć, że nie było w tej rozmowie nic nadzwyczajnego — odparła zdając sobie sprawę, że jest zbyt pijany, by szybko zarzucić ten temat. — Możesz być pewien, że gdyby miała jakiś nieprzyzwoity posmaczek, nie byłabym taka nierozważna, by dawać zajęcie ciekawskim... a jeśli byłeś jednym z nich, Williamie, powinienś wiedzieć, że początkowo było nas pięcioro. Humphreyowie odeszli tuż po małżeńskiej sprzeczce. Pani Nicholson, żyjąca w strachu przed swym mężem, pobiegła spełnić jego życzenia. Zostałam z majorem Stavenhamem sam na sam tylko dlatego, że pozostali nas opuścili. — Idąc do swojego pokoju odwróciła się w drzwiach, by dodać: — Rozmawialiśmy o przyczynach wrogości Sikhów do nas — czyli znów o sprawach wojskowych, obawiam się — ale ty dwa razy odmówiłeś naświetlenia mi tego problemu, a wyjaśnienia majora były zbyt interesujące, bym starała się przerwać mu w pół słowa tylko z tego powodu, że jacyś ciekawscy mogliby dopatrywać się nieprzyzwoitości tam, gdzie jej nie ma. — Otwierając drzwi, powiedziała: — Zjem lepiej lunch w swoim pokoju. Nie jesteśmy dziś zadowoleni z siebie nawzajem, najlepiej więc się rozdzielmy.

W sekundę po tym, jak Elizabeth weszła do swojego niepociągającego pokoju, drzwi otworzyły się z trzaskiem. Kilka stóp od niej stanął, chwiejąc się, William.

— Nie pozwolę, żebyżona sobie ode mnie odchodziła, jeśli może na oczach całej placówki stać u boku innego mężczyzny.

Elizabeth, pełna mieszanych uczuć, które ogarnęły ją przed kilkoma minutami, straciła cierpliwość:

— Spędziłam rano z nieszczęśnikami, którym deklarujesz absolutną lojalność. Jeśli zaczniesz ją okazywać, zajmując się pożałowania godnymi warunkami, w których żyją, zamiast wydumanymi intrygami i swoimi napadami zazdrości, być może nie będę cię opuszczała... i może wreszcie nasze małżeństwo będzie miało jakąś szansę na przetrwanie.

Prace Komitetu Dobroczyńnego zostały przerwane w trzy dni później, gdy jedno z dzieci zmarło w ciągu nocy na cholere. Do końca tygodnia zapadło na nią dwadzieścia sześć osób. Elizabeth była zaszokowana. Nie przebywała z pułkiem w Kalkucie, nie przypuszczała więc, jak szybko i bezlitośnie może zabijać ta choroba. W koszarach panowała atmosfera klęski. Cholera budziła strach. Tak dużo było przypadków śmiertelnych, że wielu chorych już od ukazania się pierwszych symptomów z rezygnacją czekało na koniec. Doktor Cockerford stracił resztki pewności siebie, gdy odkrył, że jego zabiegi nie są w stanie pomóc tym, którzy stracili wszelką nadzieję na przetrwanie. W szpitalu panował fetor i przepełnienie stokroć gorsze niż zazwyczaj, a mimo to twardą baraninę dla pacjentów nadal gotowano w brudnych kotłach zaledwie o kilka metrów od latryn. Chociaż z powodu leżących w gorączce pacjentów panujący w budynku upał jeszcze się zwiększył, lekarz i jego dwaj europejscy pomocnicy w pocie czoła pracowali jak automaty toczące przegrany bój. Doktor, pokrzepiając się dużymi łykami pędzonego w tej okolicy alkoholu, po męsku walczył o opamiętanie epidemii, starając się jednocześnie nie dopuszczać do siebie ogromu tego nieszczęścia, szczególnie wtedy, gdy w jedną noc zmarła trójka dzieci.

Na ósmy dzień William wrócił do domu i oświadczył Elizabeth, że mimo niebezpieczeństwa ataku ze strony Hindusów generał Mason rozpatruje możliwość wymaszerowania do obozu cholerycznego i pozostania tam do czasu, gdy choroba straci na sile.

— Podejmie decyzję w ciągu kilku najbliższych dni, jeśli do tego czasu epidemia nie zacznie ustępować.

— Jeżeli nie zrobi nic, by zmniejszyć codzienne straty w ludziach, niewiele zostanie mu do odpierania ataku — zastanawiała się Elizabeth, patrząc na obwisłą twarz męża, która była kiedyś mocna i przystojna. — Wyglądasz na bardzo zmęczonego, Williamie. Czy ty również nie możesz spać w tym przerażającym upale?

Ze znużeniem opadł na fotel, rozpinając stójkę i odrzucając na bok czako.

— Lakeland chciał, żebyśmy poszli porozmawiać z żołnierzami, wlać w ich serca trochę nadziei, ale oni mają klęskę wypisaną na twarzach. Gdyby kazano im walczyć z o wiele silniejszym przeciwnikiem, nie okazaliby trwogi, a teraz w ich oczach gości cień przerażenia, którego nic nie może przepędzić. Mówię ci, Elizabeth, wszyscy jesteśmy załamani, widząc takich odważnych facetów w takim strachu.

Pomyślała, że nie zwierzałaby się jej w ten sposób, gdyby nie był naprawdę zmartwiony. Wyglądało na to, że chociaż raz potrzebna mu jest jej siła.

— Może ci się wydawać, że puścili mimo uszu twoje słowa otuchy, ale pomyśl, jak czuliby się, gdyby rotmistrz ich szwadronu nawet nie próbował w takiej chwili iść do swoich żołnierzy. Z pewnością podniesie ich na duchu myśl, że dzielisz z nimi tak złe, jak i dobre chwile.

Zmarszczył brwi.

— Naprawdę tak myślisz?

Skinęła głową, jeszcze bardziej zdziwiona jego podejściem do tej sprawy.

— Oczywiście. Widziałam, jak ich żony ucieszyły się, gdy okazałyśmy trochę zrozumienia dla ich problemów. Zwracają się do nas, Williamie, bo nikt inny nie może im pomóc.

W tym momencie służący poprosił ich na lunch i William podniósłszy się ciężko na nogi, poszedł się umyć do swojego pokoju. Kiedy usiedli do stołu, powrócił, o dziwo, do tego tematu.

— Jeśli będziemy musieli wymaszerować, czy będziesz chciała spać w namiocie?

Uśmiechnęła się.

— Chyba tak, nie będę miała innego wyjścia. Czy wolno nam będzie wziąć coś ze sobą?

— Oczywiście. Jeśli mamy tam przebywać przez kilka tygodni, nie poradziłibyśmy sobie bez mebli i porcelany. Będę miał do dyspozycji cztery wielbłądy.

— Zatem zrobię listę rzeczy, by były gotowe, gdy nadejdzie rozkaz.

William był najwyraźniej zadowolony, że Elizabeth wywiąże się z normalnych małżeńskich obowiązków tak, jak zrobiłaby to jego matka.

— Ucieszyłyby mnie to.

Bez przekonania próbował coś zjeść. Ogólne przygnębienie wpłynęło nawet na jego wilczy apetyt. Nie podnosząc wzroku rzekł:

— Lakeland powiedział mi dzisiaj, że jego żona wyrobiła sobie o tobie bardzo dobre zdanie z powodu tej pracy w Komitecie. Jak wiesz, nie była specjalnie zadowolona z powodu twojego niespodziewanego przybycia, więc ta zmiana nastawienia może nam pomóc. — Nie odpowiedziała, więc mówił dalej: — Po tym, co się dzieje, lady Mason z pewnością podwoi wysiłki na rzecz polepszenia stanu szpitala. Stavenham chodzi tam codziennie odwiedzać umierających i mówi, że to coś nie do uwierzenia.

Nagły strach przyspieszył bicie jej serca.

— Przecież to okropnie niebezpieczne i szalone, żeby chodzić między ludźmi znajdującymi się w szponach choroby!

— Nie bardziej niż pozostawanie na placówce. Myślę, że robi to na prośbę Masona, który chce powstrzymać żonę od chodzenia tam w tymże celu. Tak czy siak Stavenham to silny facet. Przetrwał kilka cięć szablą i dosyć regularnie daje sobie radę z malarią. Jest chyba całkiem w porządku, mimo dziwnego sposobu bycia.

Elizabeth, coraz bardziej zaskoczona jego dobroduszością, szepnęła:

— Myślę, że każdy stałby się trochę niekomunikatywny po takim doświadczeniu, jakie spotkało go osiem lat temu. Z pewnością ciężko jest znieść świadomość, że nigdy nie pozna się losu swej żony.

Pociągnąwszy duży haust piwa, William odstawił kufel i długo wycierał usta serwetką. Kiedy spojrział jej prosto w oczy, wydawał się niemalże zdenerwowany.

— Nawiasem mówiąc, dotarł do mnie wreszcie list od ojca. Jakiś dureń z Kalkuty skierował go do pułkownika de la Gaume stacjonującego w Delhi. Ten odesłał go do Fort Williams i od tego czasu list krążył po całych Indiach.

Elizabeth zrozumiała wreszcie przyczynę uprzejmości męża. — Jego nadzieje niechybnie przyczyniło się do zmiany opinii Charlotte Lakeland. Nie



wydaje jej się już, że jestem pozbawiona śladu kobiecej uległości... tobie też nie, Williamie.

Tym razem nie rozgniewała go jej cięta odpowiedź. Zbyt był zajęty własnymi myślami, by zwrócić uwagę na jej słowa.

— Treść listu nieco mnie zaskoczyła — mówił z dziwną nieśmiałością. — Mój ojciec niezwykle szczerze opisał powody, dla których zdecydował się zapłacić za twoją podróż do Indii, gdyż przekonały go one, iż lepiej mi się przysłuży, pozwalając ci odpłynąć, nim zdoła uzyskać me przyzwolenie. Jest, jak wiesz, bardzo dobrym, mądrym, bezpośrednim człowiekiem. Nigdy nie wątpiłbym w jego sądy, czy umiejętność kierowania moją żoną rozsądnie i wyrozumiale. — W spojrzeniu, którym obdarzył ją przez stół, czaiła się czułość, której nie dostrzegała w nim od czasu zalotów. — Kochanie, skąd mogłem wiedzieć, że aż zachorowałaś z tęsknoty? Jak miałem zgadnąć, iż z takim zapałem podróżowałaś, by dołączyć do podejrzliwego, niewdzięcznego mężczyzny, który przysiągł, że odeśle cię z powrotem tak szybko, jak się da? — Przestał jeść i okrążył stół, by ująwszy dłonie Elizabeth, skłonić ją do podniesienia się z miejsca. — Tego pierwszego ranka próbowałaś mi to wyjaśnić, ale byłem tak zły, że nie chciałem tego słuchać. Zachowywałem się jak bydlę... zimne, bezmyślne bydlę. Przebacysz mi, najdroższa?

Ku całkowitemu zaskoczeniu Elizabeth, William wziął ją w ramiona i kilka razy niezwykle czule pocałował w usta.

— Moja słodka, kochająca dziewczynko, mam lekarstwo na to, co cię dręczy. Moje łóżko zostanie natychmiast przeniesione do twojego pokoju i tam pozostanie. Przyrzekam, że nasze noce rozkoszy spełnią wkrótce twoje pragnienie i będziemy mieli wspaniałych synów.

Jego pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne, gdy oszołomiona Elizabeth usłyszała odgłos zbliżających się biegiem kroków i głos wołający jej imię. Kiedy William spiesznie wypuścił ją z objęć i odwrócił się, klnąc cicho, w stronę drzwi, poczuła taką ulgę, że aż zakreśliło jej się w głowie. Delacourtowie chyba oszaleli! Cóż zawierał ten opóźniony list, że wywołał taki efekt? Szukając usprawiedliwienia dla własnych poczynań, rodzina Williama najwyraźniej obdarzyła go stekiem kłamstw sugerując, że Elizabeth rozpaczliwie pragnęła miłości i macierzyństwa. Jak ma teraz z tego wybrnąć?

Gościem okazał się George Humphrey. Przeprosił, że im przeszkadza, po czym rzekł:

— Przynoszę wiadomość od mojej żony, proszę pani. Trochę źle się czuje i niemal rozpaczliwie pragnie z panią rozmawiać. — Przesunawszy dłonią po podbródku, dodał z pewnym zażenowaniem: — Jej zmartwienie dotyczy chyba dziecka. Mówi, że pani to zrozumie. Byłem zmuszony dostosować się do jej naglącej prośby.

Ponieważ wiadomość ta przyszła bezpośrednio po złożonej przez Williama obietnicy dania jej synów, Elizabeth sądziła, że spełniło się wreszcie gorące pragnienie jej przyjaciółki. Przykre dolegliwości towarzyszące ciąży najlepiej mogła załagodzić tylko inna kobieta.

— Pójdę z panem, sir — powiedziała ciepło. — Wiem chyba, co dolega Fanny i zapewniam, że nie ma powodu do niepokoju. Będę chętnie służyła pomocą.

Powiedziawszy Williamowi, że zaraz wróci, wyszła do czekającego przed bungalowem George'a. Był wynędzniały i przygnębiony, wyglądał nawet, jakby czuł się winny. Znając jego zdanie na temat przynoszenia dzieci na wrogi świat, Elizabeth przypuszczała, że zasmucił Fanny usłyszawszy tę wieść. Nie wątpiła, że kiedy dziecko się urodzi, będzie z niego dumny jak każdy ojciec. Do tego czasu jej przyjaciółka będzie musiała znosić jego niezadowolenie z powodu czegoś, za co sam był odpowiedzialny.

Fanny zwrócona była twarzą do okna, kiedy Elizabeth weszła na palcach do środka i obeszła łóżko sądząc, że dziewczyna śpi. Radość ze szczęścia przyjaciółki zastąpił szok spowodowany widokiem jej ściągniętej, poźółkłej twarzy i spoczywających na przykryciu cienkich ramion. To z pewnością nie miało nic wspólnego z zajęciem w ciążę.

Fanny skierowała na nią spojrzenie przygasłych oczu i wymamrotała:

— Mam je. Mam dziecko. Utuliłam je w ramionach i od razu pokochałam. — Jej wychudzona twarz zmarszczyła się, a z oczu popłynęły łzy. — Nie mogłam być tak daleko. Codziennie szłam z podarunkiem, by je odwiedzić. Ono też zaczynało mnie poznawać i kochać. Potem... potem umarło... a ja...ja... — Wyciągnęła do Elizabeth suchą dłoń, ale w jej uścisku nie było siły. — Powiedz George'owi... wytłumacz mu. Nie zrozumie, że nie mogłam... nie mogłam się powstrzymać. Powiedz mu, że... dotyk małych paluszków... te maleńkie usteczka... nie mogłam się powstrzymać. — Szalejąc z rozpaczy błagała Elizabeth, by wyjaśniła jej mężowi to, czego ona sama nie mogła mu powiedzieć. — Opowiedz George'owi, ile dla kobiety znaczą dzieci i... poproś go...

poproś, żeby mi przebaczył... — Jej słowa przerwał gwałtowny atak torsji, po którym leżała pośliniona i wyczerpana.

Elizabeth czując, jak krew zastyga jej w żyłach, szepnęła do George'a:

— Od jak dawna jest chora?

— Dopiero co skończyłem obowiązki oficera dyżurnego i wróciłem do domu, ale służący mówi, że choruje od rana. Żadna ze mnie pociecha w opiece nad chorymi — wyznał żałośnie. — Co jej jest?

— Coś, co wymaga fachowego leczenia — odparła, jakby unikanie nazwania tej choroby mogło zmienić prawdę. — Trzeba natychmiast wezwać rotmistrza Cockerforda. Potem będę musiała z panem poważnie porozmawiać.

Czekając, aż George wróci z lekarzem, Elizabeth przemyśla Fanny twarz i podtrzymała jej głowę w czasie każdego spazmu mdłości. Cały czas narastał w niej bunt przeciw temu, co właśnie się działo. To zbyt okrutne, by za instynktowne pragnienie macierzyństwa, które kazało Fanny odwiedzać niemowlę będące pierwszą ofiarą zeszlotygodniowego wybuchu cholery, dotknęła ją tak potworna kara. Pragnęła przecież dawać miłość, pieścić maleństwo i sprawić, by dobrze się rozwijało. Teraz dziecko było martwe, a z Fanny na oczach Elizabeth uciekało życie. Przypomniała sobie niedawną rozmowę z mężem, rozpoznawszy charakterystyczny wyraz twarzy przyjaciółki: Fanny pogodziła się ze śmiercią niemal jeszcze wtedy, nim zaczęła się choroba.

Diagnozie lekarskiej nie dało się zaprzeczyć. Rotmistrz Cockerford kazał Elizabeth starać się ulżyć cierpieniom chorej jak tylko się da, ale pocieszający uścisk w ramię, jakim obdarzył zmartwionego męża, powiedział im obojgu to, czego lekarz nie chciał ująć w słowa. Kiedy wyszedł, Elizabeth opowiedziała George'owi o instynktownej potrzebie, która kazała jego żonie odwiedzać chore dziecko jednego z kawalerzystów.

— Musisz jej pokazać, że to rozumiesz, nawet jeśli nie jest to prawdą — nalegała. — Obwinia się za to i nie wierzy, że jej przebaczysz. Pociesz ją, na litość boską.

Wydawał się być zaskoczony, gdy podchodził, by usiąść na jej łóżku. Ujął jednak ręce Fanny i powiedział, że złoży podanie o powrót do Anglii, jak tylko ona będzie się czuła na tyle dobrze, by ruszyć w podróż. Obiecywał, że będą wychowywali dzieci w zielonym chłodzie rodzinnej wyspy i nikt nie będzie szczęśliwszy niż on, przebywając ze swoimi maluchami i ich kochającą matką.

Elizabeth została aż do zmroku, kiedy Fanny zmarła. Zostawiła George'a obwiniającego się o los swojej żony i odeszła w stronę wspaniałego pomarańczowo-czerwonego nieba, promieniującego blaskiem na wszystko dookoła. Z trudem przetykając ślinę, szła przez koszary aż do ogrodzenia, gdzie zatrzymała się, kontemplując piękno przyrody. Równina wyglądała jak głębokie różowe morze, a w oddali, z otaczających stare miasto fal koloru miedzi wyrastały minarety i kopuły. Był to naprawdę piękny, dziki kraj.

TLR

## ROZDZIAŁ XI

Kiedy generał Mason zwołał zebranie oficerów wszystkich pułków garnizonu Ratnapore, sądzili oni, że zdecydował się opuścić placówkę i z dala od niej rozbić obóz w nadziei pokonania epidemii cholery, która pochłonęła tyle ofiar. Gdy John, zmartwiony, że takie posunięcie przeniesie ich w odkryty teren, gdzie nie będą mogli korzystać z dogodności ogrodzonej placówki, przybył na to spotkanie, uznał, że zebrała się tam już dziwna — jego zdaniem — grupa ludzi. Gdyby mieli maszerować do obozu, obecni byłiby tu tylko starsi oficerowie i najbardziej doświadczeni rotmistrze. Tymczasem na spotkanie przybyli młodszy oficerowie, kilku młodych rotmistrzów i tylko dwóch majorów: on sam oraz major Galbraith z Konnicy Kingsford's. Nie widać było żadnego pułkownika.

Podszedł prosto do Piersa Galbraitha i rzekł:

— Musi chodzić o coś innego, niż sądziliśmy. Jesteśmy tutaj jedynymi starszymi oficerami. Co się dzieje?

— Nie mam pojęcia, chłopie, ale najwyraźniej istnieje duże prawdopodobieństwo, że spadnie to na nas. Dzieją się tu ostatnio cholernie dziwne rzeczy. — Włożywszy w prawe oko monokl, zaczął przyglądać się Johnowi z przejęciem. — Skoro ty jesteś zamieszany w tę tajemniczą sprawę, niewątpliwie możemy się spodziewać jeszcze kilku innych zagadkowych sytuacji.

Zanim John zdążył odpowiedzieć na tę chytrą kpinę, przybył generał Mason w towarzystwie adiutanta i Wesleya Clarka, oficera politycznego prowincji Ratnapore, którego wezwano z odległej placówki.

— Witajcie, panowie, i usiądźcie — odezwał się Sir Francis Mason. — Będę się streszczał, ale lepiej wygodnie się usadowicie, a ja, nim wydam rozkazy, przekażę wam kilka wiadomości.

Kiedy się rozsiedli, oznajmił zaskakującą nowinę:

— W granicznym forcie Multan wybuchło powstanie sipajów. Oficerów brytyjskich pokonano i zamordowano. Posiłki są w drodze i jest wskazane, byśmy wzmocnili oddziały w naszych własnych fortach. Kilka tygodni temu poprosiłem o zasilenie garnizonu Ratnapore nowymi ludźmi. Pułki te są obecnie o dwa dni marszu stąd. — Uśmiechnął się sucho. — Widzę, że są panowie zasko-



czeniu. Wbrew panującym na tej placówce opiniom nie mieliśmy zamiaru puścić płazem ostatnich ataków. Od początku czekaliśmy na okazję przyparcia Gandy Singha do muru, a powstanie w Multan daje nam sposobność, na jaką czekaliśmy. Pogłębiło ono też nasze podejrzenia co do możliwości wybuchu powstania Sikhów.

— W normalnych warunkach, przed odkomenderowaniem ludzi do dalej położonych placówek, czekałbym, aż dotrą tu posiłki, ale z powodu epidemii cholery odsyłam was natychmiast. Pan Clark zameldował, że widział duże grupy Hindusów przemieszczające się w całej prowincji; wzmocnienie fortów granicznych wydaje mi się więc rzeczą zasadniczą. Pozostaniecie tam przez dłuższy czas, a ponieważ zależy mi, by uniknąć dalszych zgonów na cholere, udacie się tam w towarzystwie swoich rodzin. Macie wyruszyć jutro o północy. Do tego czasu nadchodzące pułki będą już o kilka godzin marszu stąd i zostaną tam, mieszkając w namiotach, dopóki nie skończy się epidemia. — Objął ich wszystkich spojrzeniem. — Wasze szwadrony i kompanie zostały wybrane do służby granicznej, a szczegóły wyglądają następująco.

Jego adiutant wymienił tych, którzy zostali odkomenderowani, by pod dowództwem Piersa Galbraitha wzmocnić Fort Dhakti, i oznajmił, że pozostali udadzą się do Fort Judapur pod komendą majora Stavenhama. Kiedy skończył mówić, głos zabrał ponownie Sir Francis.

— Przykro mi, ale nie mogę dać wam żadnych działań. Mogą się przydać tutaj do obrony ludności cywilnej i pozostałej części waszych pułków. Każdy z fortów dysponuje niewielką baterią artyleryjską, więc w razie potrzeby będziecie musieli jak najlepiej się nią posłużyć. Jedna rzecz musi być jednak jasna. Nie ma żadnych niezbitych dowodów na to, że prowincja Ratnapore przygotowuje się do powstania przeciwko nam, podejmujemy więc tylko pewne środki ostrożności. Macie nadal rozkaz starać się zachować pokój, jeśli tylko będzie to możliwe. — Uśmiechnął się do obu majorów. — Do was, panowie, będzie należała decyzja, czy rozkaz ten może zostać wykonany. W razie jakiegokolwiek ataku, jak doskonale zdajecie sobie sprawę, forty będą pierwszym celem. Położyłam w was całkowite zaufanie wierząc, że podczas nadchodzących tygodni będziecie działać mądrze i roztropnie.

Następnie podał szczegóły dotyczące kolejności marszu, zapasów, zwierząt jucznych i innych drobiazgów, które trzeba wziąć pod uwagę, gdy w drogę wyrusza duża liczba wojska. Jego słuchacze mieli coraz lepsze humory. Nuda, frustracja i strach przed chorobą zniknęły w obliczu perspektywy opuszczenia pla-

cówki i — być może — wykonania zdecydowanej akcji przeciw Hindusom, którzy już zbyt długo trzymali sprawę w swoim ręku.

John zastanawiał się, którzy oficerowie wyruszą z nim. Kiedy zdał sobie sprawę, że wśród szwadronów odkomenderowanych do Judapur jest szwadron Williama, zmartwił się. Nie dość, że w ciasnych murach fortu znajdzie się Elizabeth, w dodatku pod komendą Johna będzie Rupert. Miała im też towarzyszyć kompania Nicholsona, co John skwitował w myślach przekleństwem. Nie lubił tego człowieka, a przy tym wolałby nie mieć wśród żołnierzy, których duży procent stanowili tubylcy, oficera mającego upodobanie do młodych Hindusów. Poczł głęboki niepokój uświadomiwszy sobie, że wewnątrz fortu Judapur mogą czyhać większe niebezpieczeństwa niż poza jego wiekowymi murami.

Kolumna wyruszyła o północy z wojskową punktualnością. Była długa na kilka mil; jako że przez dwadzieścia pięć mil trasa do obu fortów wiodła w tym samym kierunku, pierwszy obóz miał więc zostać rozbity w miejscu, w którym drogi majorów rozchodziły się. Oddział skierowany do Judapur miał przez następne dwa dni wędrować na północny zachód. Grupa odkomenderowana do Dhakti będzie szła jeszcze przez następne trzy dni na północ i północny zachód od obozowiska. Przednią i tylną straż trzymali żołnierze Konnicy Kingsford's. Ochronę boczną miała zapewnić kolumnie brytyjska kawaleria. Na czele połączonych sił maszerowali majorowie Stavenham i Galbraith wraz z kilkoma oficerami. Pozostali rozmieszczeni zostali wśród mozolnie posuwających się naprzód żołnierzy, a grupka chorążych eskortowała damy.

Żołnierze mieli dobre humory, mimo że maszerowali przez spowitą w mroki nocy równinę, a jedyne oświetlenie stanowiły rozmieszczone wzdłuż kolumny pochodnie. Sir Hugo Carruthers został tutaj barbarzyńsko zamordowany, a kto mógł być pewien, że jego zabójcy nie czyhają teraz na nich? Byli doskonale widoczni z powodu rozjaśniających drogę świateł, a napastnicy mogli wynurzyć się z ciemności, nim ktokolwiek zdąży się zorientować. Z każdej strony chroniły ich jednak czujki, które wystarczająco wcześnie uderzą na alarm, a poza tym uzbrojona kolumna wojska to zupełnie inna sprawa niż mała, pokojowo nastawiona grupa, która tamtego dnia zmuszona była skakać przez wąwóz. Nie mieli zamiaru się martwić.

Perspektywa odbycia krótkiego marszu była niezwykle atrakcyjna. Czeka-jąca ich trzy-czterodniowa podróż stanowiła miłą wycieczkę, w czasie której da się uniknąć wycieńczającego, ciągnącego się bez końca marszu noga za nogą,

jak zdarzało się to poprzednio, a forty graniczne wydawały się być rajem w porównaniu z gnębioną przez cholere placówką. Prócz przyjemnego, krzepiącego uczucia, jakie dawał im ruch, żołnierze przepelnieni byli oczekiwaniem na szansę pokazania Hindusom, że są prawdziwym, znającym się na rzeczy wojakiem. Może nawet lepiej, że nic nie wiedzieli o rozkazie utrzymania pokoju, jeśli tylko będzie to możliwe, jaki otrzymali ich dowódcy.

John przedstawił Galbraithowi swoją opinię na ten temat w dość dosadny sposób, kiedy jechali tuż za przednią strażą po bitej drodze oświetlonej przez trzymane wysoko przez służących płonące żagwie.

— Czy nie wydaje ci się, Pierś, że powstanie jest nieuniknione? Stan rzeczy, który ukształtował się w wyniku wojny, był od początku wysoce niezadowolający. Każdy, kto brał udział w tych walkach, powie ci, że w Pendźabie nigdy nie zapanuje spokój, dopóki nie zostanie dokonana aneksja całego jego terytorium albo nie unieszkodliwi się walczących pomiędzy sobą wodzów. Starając się utrzymać pokój, dajemy im po prostu czas na przygotowanie się do wojny, której pragną.

— Albo na zastanowienie się nad swoimi poczynaniami, nim pobudzą do czynu armię potężnego brytyjskiego rządu.

— No nie! I ty możesz jeszcze coś takiego powiedzieć po wydarzeniach ostatniego tygodnia? Rzucili rękawicę i patrzą na nas z pogardą, bo zignorowaliśmy ten gest.

Galbraith potrząsnął siwiejącą głową.

— Lakeland mówił, że jesteś popędliwy, i muszę się z nim zgodzić. Pragniesz bez względu na wszystko wdać się w walkę z Hindusami.

— Dostosuję się do rozkazu, nie obawiaj się — zapewnił go nieco cierpko John. — Jednak mimo opinii, że palę się do walki, stary Mason ufa mi na tyle, że oddał mi dowództwo nad Judapur.

— Nie miał wielkiego wyboru, jako że Lakeland jest chory — padła rzeczowa odpowiedź. — Pułkownik wydaje się cierpieć na cholere i niewątpliwie z tego powodu tak źle rozdzielono twój pułk. Mason nie wziął pod uwagę twoich stosunków z młodym Carruthersem. Miał doskonałą okazję go od ciebie odsunąć, a jednak ją zlekceważył. Posłał też z tobą kompanię Nicholsona, a jeśli to, co słyszałem o tym wojaku, jest prawdą, w szeregach jego hinduskich piechurów będzie panowała niepożądana zażyłość... że nie wspomnę o uwielbie-

niu, jakim jego młodziutka żona obdarza od dawna twojego arystokratycznego wroga. Jeśli dodać do tego rozpacz, która może przywieść młodego Humphreya do rzucenia się w czasie bitwy na pierwszą lepszą szablę, otrzymamy cholernie wybuchową mieszankę, z którą musisz sobie poradzić po raz pierwszy objawszy dowództwo. Miejmy nadzieję, że Fort Judapur nie zostanie zaatakowany.

John odciął mu się sarkastycznie, a za ożywione brzmienie jego głosu odpowiedzialny był nie tylko nagły kłus, jakim zaczęła jechać kawaleria.

— Jestem wzruszony twoją wiarą w moje zdolności zapanowania nad ludźmi, którymi dowodzę, tym bardziej że nie możesz przecież wiedzieć, że pod Moodki doskonale poprowadziłem do ataku całe cztery szwadrony po tym, jak w czasie wstępnej potyczki Alloway został pocięty na kawałki.

Major Galbraith rzucił na niego szybkie spojrzenie, ale wyraz jego długiej, ozdobionej bokobrodami twarzy ukryła noc.

— Wiedziałem o tym, Johnie, i przepraszam. Nie miałem zamiaru kwestionować twoich umiejętności, ale naprawdę sędzę, że konflikty osobiste, nad którymi będziesz musiał zapanować, mogą okazać się trudniejszym problemem niż atak Sikhów.

— Masz rację — zgodził się ponuro — ale ja wierzę głęboko w przeznaczenie i w związku z tym godzę się ze wszystkim, co pociąga za sobą ta sytuacja.

Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której John rozmyślał dalej o tej sprawie i nagle zaczął zastanawiać się, czy Elizabeth, dzięki darowi wyczuwania przyszłych zdarzeń, wie, co ich czeka. Od czasu tej wzruszającej rozmowy, kiedy to wyjawiała mu prawdę o Wellford, jeszcze bardziej pragnął tej dziewczyny, ale ona pozostawała równie nieosiągalna, co przedtem. Do jego bezradnej zazdrości o Delacourta dołączyła się jeszcze wściekłość wywołana tym, jak ten gruboskórny olbrzym traktował żonę. Najwyraźniej w najmniejszym stopniu nie rozumiał on jej głębokiego pragnienia wiedzy i namiętnej miłości, opartej tak na intelekcie, jak na fizycznym pożądaniu. Mogła uratować ich małżeństwo tylko zniżając się do poziomu męża. Z pewnością ją to zniszczy... a w forcie Judapur on będzie zmuszony beczynn timer na to patrzeć. Los okrutnie sobie poczynał, umieszczając Elizabeth pod dowództwem i opieką Johna! Nawet prośba o oddanie mu komendy nad Dhakti zamiast Galbraitha, z którą zwrócił się do Masona rzekomo z powodu stanu umysłu młodego Carruthersa, który w kryzysowej chwili mógłby narazić innych na niebezpieczeństwo, spotkała się ze zdecy-

dowaną odmową. Sir Francis uważał, że nie należy stawiać osobistych niechęci nad wymagania wojskowe. Powiedział Johnowi z mocą, ale i z wyrozumiałością, że żołnierz musi skoncentrować się na wspólnym wrogu, nie na tym, czy ma zgodnych towarzyszy.

Żądza zemsty Ruperta była ciągle groźna, chociaż John nie wątpił już w słuszność swoich czynów w dniu, w którym zginął Hugo. Zapomniał co prawda, że przyjaciel wspomniał o niechęci swojego konia do skoków, ale i tak nie było innego wyjścia, niż przeskoczyć wąwóz, by uniknąć zmasakrowania całej dwunastki żołnierzy. Bunt w Multan, gdzie zamordowano brytyjskich oficerów, był całkowicie zgodny z jego przewidywaniami, więc John uważał swoje postępowanie w tym względzie za usprawiedliwione. Sir Francis ufał mu na tyle, by w krytycznej sytuacji oddać dowództwo w jego ręce, a jeśli Justin Lakeland rzeczywiście padł ofiarą cholery, to prawdopodobnie nigdy nie dowie się, że jego eks-huzar wywiązuje się z obowiązków nie gorzej niż jakikolwiek dragon. John, bogaty w doświadczenia z wojny z Sikhami, które mogły mu służyć w razie potrzeby, miał na tyle zaufania we własne siły, że w nadchodzących miesiącach był gotów stawić czoło każdemu wyzwaniu.

\* \*

\*

Kobiety z dziećmi jechały na końcu kolumny w zaprzężonych w woły małych wozach, które podskakiwały na nierównej drodze, niemiłosiernie wytrząsając pasażerów. Żonom oficerów, poruszającym się konno za kolumną, towarzyszyli najmniej doświadczeni młodszy oficerowie, którzy ignorując uszczypliwe uwagi kolegów z przyjemnością korzystali z tak rzadko dla nich dostępnego towarzystwa kobiet.

Elizabeth wiedziała, że zapamięta tę noc na zawsze. Zdawała sobie sprawę, że gdzieś daleko, daleko z przodu jedzie John, prowadząc tego ogromnego węża ludzi przez rozległą, rozjaśnianą blaskiem gwiazd równinę, a dziwne zapachy i dźwięki wydawane przez poruszające się wojsko nadawały wszystkiemu nierzeczywistą aurę, którą Elizabeth chłoneła milcząca i oczarowana. Po raz pierwszy zaczynała wyczuwać te nieuchwytnie więzy utrzymujące Johna w wojsku i zmuszające go do porzucenia Wellford Manor dla takiego życia. Po raz pierwszy czuła się częścią pułku.

Dopiero w pół godziny po wyruszeniu czoła kolumny przysła kolej dam na zajęcie miejsca za zwierzętami dźwigającymi namioty, jedzenie, amunicję,



obrok i osobiste bagaże maszerujących żołnierzy. Cały bagaż Delacourtów, prócz pudła na kapelusze przymocowanego do siodła Elizabeth i specjalnego ekwipunku Williama przytroczonego do boku jego rumaka, załadowano na pięć wielbłądów. Większe meble położono na wozy wraz z rzeczami innych oficerów. Elizabeth nie przeżyła potwornego marszu z Kalkuty, wszystko więc ją dziwiło. Poruszająca była chwila, gdy w świetle koszarowych latarni pułki ustawiły się w szeregi i wyruszyły w drogę, ale Elizabeth obserwująca idące za sipajami objuczone zwierzęta nie wierzyła własnym oczom. Ten pochód wydawał się nie mieć końca. Jeden za drugim nadchodziły szeregi zrezygnowanych mułów obciążonych ogromnymi ładunkami; wielbłądy szły kołysząc się na dużych, gąbczastych raciczkach i czkając ze złością w stronę poganiaczy popędzających je cały czas kijami; wozy turkotały i skrzypiały na wyboistej drodze, a ciągnące je woły stapały z wysiłkiem, równo, tak że ich łby jednocześnie ruszały się w górę i w dół jak główki nakręcanych zabawek. Dwa razy tyle zwierząt, ile dźwigało bagaż i zapasy, potrzebne było do przewiezienia obroku dla kawaleryjskich koni. A im więcej zwierząt dźwigało paszę, tym więcej było jej potrzeba, doszła do wniosku Elizabeth przyglądając się temu. W rezultacie więc niektóre z nich z pewnością dźwigały na grzbiecie karmę potrzebną na to, by one same przetrwały podróż. Przypuszczenie to było tak prowokujące, że pragnęła zapytać Johna, czy to możliwe, by było trafne.

Dopiero kiedy przeszły wszystkie zwierzęta, a ci kupcy, którzy zdecydowali się towarzyszyć wojsku do fortów, odjechali na swoich wozach, furkach czy osłach, oficerowie towarzyszący damom poprosili je o dołączenie do kolumny, której czoło od dawna maszerowało już przez równinę. W pięć minut po nich miała wyruszyć tylna straż uważnie obserwująca, czy coś nie zasygnalizuje zbliżania się od tyłu agresora.

Elizabeth ogarnęło dziwne uczucie, gdy jechała tak w ciemności, widząc tylko migoczące po obu stronach pochodu żagwie zdradzające, że przed nimi idzie długa na trzy mile kolumna. Kiedy ostatnio tędy jechała, opanowało ją niewytłumaczalne przecucie nieszczęścia i bólu, które czekały ją w rozciągającej się na wzgórzu placówce. Spędziła w Ratnapore zaledwie miesiąc, cztery tygodnie tak wypełnione dramatycznymi wydarzeniami, że wielu kobietom wystarczyłoby to na całe życie. Jeszcze raz przecinała równinę odjeżdżając z miejsca, w którym z taką siłą przeczuła obecność Johna. Ta noc tak była przepelniona emocjami wszystkich sunących pod gwiazdami osób i świadomością Elizabeth, że następny ruch należy do przeznaczenia, iż nie zdziwiło jej powtórnie nawiedzające ją przelotne uczucie, że patrzy w przyszłość. Serce biło jej coraz

szybciej, podczas gdy strach ustąpił miejsca przeczuciu rozpacz, a kończyny Elizabeth ogarnął abstrakcyjny ból utrzymujący się na tyle długo, by dobrze go poczuła, nim rozplynał się w ciepłym strumieniu zadowolenia podobnego do tego, które towarzyszy przybyciu w ukochane miejsce. Wszystko to trwało tak krótko, tak było gwałtowne, że Elizabeth westchnęła przytłoczona ciężarem tej wiedzy. Cóż to mogło znaczyć? Ból i radość, piękno i dzikość: John tak przedstawił jej kiedyś na wzgórzach Sussex sprzeczności rządzące Indiami. Wszystko to czekało ją w przyszłości, nie na tyle jednak dalekiej, by nie mogła jej przeczuć. Serce biło jej coraz wolniej, aż wreszcie wszelki niepokój zniknął, wygnany przez ogarniający ją dziwny letarg.

Jechała dalej pośród ekscytującej nocy, usypiana regularnym kołysaniem grzbietu rumaka i senną śpiewką skrzypiącej skóry, parskających zwierząt, piszczących wozów i pobrzękującej uprzęży. Chwila jasnego spojrzenia w przyszłość niemal się zatarła. Właśnie zaczęła jej sennie opadać głowa, kiedy obudziły ją jakieś głosy. To Rupert jechał wzdłuż kolumny w towarzystwie jeszcze jednego porucznika, by ostrzec wszystkich, że zbliżają się do przełęczy Mashni, przed którą zatrzymają się na krótki odpoczynek, na czas, kiedy czujki będą robiły rozpoznanie tego wąskiego przejścia.

Młodzi oficerowie eskortujący damy pomogli im zejść z koni i rozłożyli na ziemi koce. Kiedy Elizabeth oświadczyła, że woli pospacerować, przyłączyła się do niej Lucy. Zamilkły początkowo na widok otaczającego je krajobrazu. Panowała gwiazdzista noc, lecz nie można było dostrzec wzgórz znajdujących się o jakąś milę przed nimi. To w przełęczy Mashni został zaatakowany patrol Johna. Elizabeth zastanawiała się, jak będzie się czuł, jadąc przez nią w ciemności i mając to wszystko w pamięci. Jak będzie się czuła ona sama wiedząc, że miesiąc temu zagrażało mu tu śmiertelne niebezpieczeństwo? Na duchu podnosiło ją to, że dokoła było tylu ludzi i setki zwierząt, a wszystkich chronili uzbrojeni żołnierze. Uśmiechnęła się ironicznie. Teraz, jak rzadko kiedy, z wdzięcznością przyjęłaby męskie towarzystwo, a Williama akurat nie było w pobliżu.

— Jakaż dziwna wydaje się ta noc — szepnęła do Lucy, gdy spacerowały po terenie oświetlonym przez żagwie, które teraz zostały przymocowane do wysokich, zaostrzonych tyczek i wbite w ziemię. — Nie mogę uwierzyć, że musimy obawiać się ataku. W czasie mojej długiej podróży z Kalkuty nigdy nie było takiego niebezpieczeństwa i nawet na najbardziej opuszczonych terenach nie odczuwałam najmniejszego niepokoju.

— Był z tobą Rupert — odpowiedziała naiwnie jej towarzyszka. — Ja zawsze czułam się całkowicie bezpieczna w jego towarzystwie. Kiedy byliśmy mali, ilekroć był do mnie dobrze nastawiony, brał mnie ze sobą na polowanie na borsuki i nigdy wtedy nie bałam się ciemności. Jeśli nie pozwalał mi ze sobą iść, jechałam na drugą stronę posiadłości i czekałam, aż będzie się wymykał z workiem na plecach. Przypuszczam, że głęboko mnie nienawidził, kiedy groziłam, że będę krzyczeć, dopóki nie obieca, że mnie ze sobą weźmie.

Elizabeth przeszła kilka kroków w milczeniu, po czym rzekła:

— Wydaje mi się, że jedna z nas będzie musiała się uciec do tego sposobu, jeśli nadal nie będziemy w stanie nic zaradzić na to, że nieopatrznie odrzucą naszą przyjaźń.

Lucy obrzuciła ją szybkim spojrzeniem. W jej oczach odbijały się błyski pochodni.

— Nie mogę. Muszę być ostrożna. Henry nie byłby zadowolony, gdybym... zwróciła cię uwagę na moje sympatie...

— Nie mniej niż William, gdybym to ja zajęła się tą sprawą — zaznaczyła z mocą Elizabeth. — Jestem jednak głęboko przekonana, że musimy jeszcze raz spróbować do niego dotrzeć, zanim przybędziemy do fortu. Jeśli zdarzy się jakikolwiek atak, Rupert może zachować się w niemożliwy do przewidzenia sposób. Może narazić na niebezpieczeństwo nie tylko samego siebie, ale nas wszystkich.

Dziewczyna była oburzona. — Nigdy nie naraziłby nikogo na niebezpieczeństwo. To najodważniejsza osoba, jaką znam.

— Wiem, że jest odważny. Udowodnił to na pustyni. Moja droga, nasz przyjaciel oskarża majora Stavenhama o zabicie swego brata, chociaż doskonale wie, że zrobili to Hindusi. Niech tylko ujmie szablę w dłoń i stanie twarzą w twarz z ciemnoskórymi przeciwnikami, a zacznie się mścić.

— Ale to nie dlatego...

— Zacznie się mścić, Lucy, a nie bronić pułku, naszej królowej czy kraju. Będzie zabijał w odwecie za swoje osobiste krzywdy i w obliczu tej nieodpartej żądzy wszystko inne może przestać dla niego istnieć. Dla diabła, który go opanovał, życie Ruperta i otaczających go ludzi może nie mieć żadnego znaczenia. Nie wydaje ci się, że w tym wypadku powinniśmy zaryzykować, że narazimy się na niezadowolenie mężów?

Kiedy zawróciły w kierunku swoich koni, ktoś krzyknął, że kolumna już ruszyła. Dopiero kiedy dosiadły rumaków i zajmowały swoje miejsca w pochodzie, Lucy wróciła do rozmowy o Rupercie.

— Przykro mi to mówić, ale boję się go teraz. Kiedy saltuje mi przechodząc obok, jest taki chłodny i powściągliwy, niemal straszny, że zastanawiam się, czy to ta sama osoba.

— Oczywiście, że nie! — krzyknęła Elizabeth z irytacją. — W przerażający sposób stracił ukochanego brata. Jak mógłby być taki sam? Nic dziwnego, że zachowuje się chłodno i z rezerwą w stosunku do przyjaciółki z dzieciństwa, która najwyraźniej nie jest w stanie pojąć, jak cierpi. Rupert nie jest już chłopcem wymykającym się na polowanie, Lucy, to załamany młody mężczyzna... a ty też nie jesteś już rozkochaną dziewczynką, wlokącą się za nim z kawałkiem szarlotki w rękę, który ma go zadowolić. Dobre nieba, jeśli jeszcze nie zaświtało ci w głowie, że piękne młode damy używają w stosunku do gentlemanów innej broni niż ta, którą posługują się dzieci, to jesteś o wiele głupsza, niż mi się wydawało!

W milczeniu zbliżały się do przełęczy Mashni. Chociaż czujki oznajmiły, że na drodze nie czyha żadne widoczne niebezpieczeństwo, to wspomnienia powrotu obdartych, zakrwawionych żołnierzy z patrolu były jeszcze zbyt wyraźne, by ktokolwiek mógł się czuć całkowicie pewnie. Wszyscy odetchną swobodniej, gdy zostawią za sobą wąski przejazd. Elizabeth mogła teraz z trudem rozróżnić zarys ciemnych wzgórz na tle rozciągającej się przed nią połaci migoczącego nieba. John musi już być pomiędzy tymi skałami, w miejscu, w którym otrzymał cios szablą. Bezwiednie zadrżała.

Kiedy wreszcie wjechała na przełęcz, poczuła się dziwnie. Zakręty pozwalały widzieć tylko tych, którzy podążali bezpośrednio przed nią, zniknęła więc otucha, którą Elizabeth czerpała z widoku nie kończących się, poszarpanych zastępów oświetlonych pochodniami. Jednak echo powtarzające dźwięki wydawane przez sunącą naprzód kolumnę mówiło jej, że są tam. Rozległe, usiane gwiazdami niebo, które również dawało jej ukojenie, także zostało zasłonięte. Tylko odginając głowę w tył udawało jej się zobaczyć jego wąski skrawek. Niestety ciemne, wystające części skalnych ścian przybierały wtedy w jej oczach wygląd urojonych wrogów, skoncentrowała się więc na osobach podążających tuż przed nią i liczyła minuty do chwili, gdy znajdzie się bezpiecznie po drugiej stronie. Wąski przejazd i nierówny, wyboisty grunt pod stopami ludzi i kopytami zwierząt sprawiały, że posuwali się niezwykle wolno. Gdy

przód kolumny pokonywał jakieś wyjątkowo wąskie przejścia, jadący z tyłu zmuszeni byli robić długie przystanki; zanim więc wszyscy pokonali jedyną drogę prowadzącą przez wzgórza, ich opanowanie i nerwy zostały wystawione na niezwykle ciężką próbę.

To opóźnienie sprawiło, że obóz został rozбитo dopiero o dziewiątej rano. Zmęczonej Elizabeth wydawało się, że panuje tam absolutny brak organizacji. Zwierzęta juczne rozładowywano pośród kakofonii krzyków i kłótni, które wydawały się towarzyszyć każdej czynności spieszących za wojskiem handlarzy. Wszędzie dokoła roiło się od żołnierzy zajętych obowiązkami, z których musieli się wywiązać przed udaniem się na zasłużony odpoczynek. Namioty wyrastały na suchej ziemi jak spiczaste, białe kwiaty. Kucharze rozpalali ogniska, przygotowując się do zrobienia śniadania i głośno domagali się garnków i patelni, które zginęły gdzieś pośród stosów zapasów zdejmowanych z grzbietów mułów. Zwierzęta prowadzono na zmianę do wąskiej rzeki, gdzie piły długo i z zadowoleniem. Między hinduskimi kupcami wybuchały walki o najlepsze miejsca na stragany, a oficerowie jeździli tam i z powrotem wykrzykując rozkazy, których nikt nie słuchał. Wydawało się niemożliwe, by kiedykolwiek zapanował tu spokój.

Elizabeth była wdzięczna, że może wejść do namiotu, w którym podano jej śniadanie. Tuż po zatrzymaniu się rozmawiała krótko z Williamem, który powiedział, żeby radziła sobie bez niego, bo on ma ręce pełne roboty, starając się opanować pęd koni do rzeki.

— Jeśli wymkną się spod kontroli i popędzą tabunem, woda będzie tak zamulona, że nie będzie się nadawała do picia — rzekł odjeżdżając i krzycząc na jakichś kawalerzystów, których oszalałe z pragnienia konie ciągnęły w stronę rzeki.

Namiot zapewniał cień, ale brakowało tu krążenia powietrza, które dałoby chłód zamiast panującej tu duchoty. Jako że nie było tu uprzyjemniających życie wachlarzy, Elizabeth przestała czuć, że się dusi, dopiero gdy otworzyła namiot, rezygnując tym samym z jakiegokolwiek intymności. Umywszy twarz i ręce w brezentowej misce umocowanej na stojaku, usiadła na jednym ze składanych krzesełek, by rozkoszować się herbatą i jajecznicą. Zgłodniała w czasie długiej podróży. Była też senna. Obserwując jeżdżących szaleńczo wzdłuż rzeki oficerów, którzy krzykiem i wymachiwaniem rękami usiłowali odgonić muły pędzące z zamiarem dostania się do wody, pomyślała, że William również będzie śpiący, kiedy powróci do namiotu. Śmierć Fanny w dniu, w którym dotarł



do niego list ojca, opóźniła nieco jego reakcję na zawarte w nim wiadomości, potem zaś całą uwagę Williama pochłonęły przygotowania do tej podróży. Jednak, chociaż nie wahał się zostawić jej samej w Anglii, to nieoczekiwane odkrycie przyczyn, które rzekomo kazały jej spieszyć do Indii, zrobiło na nim duże wrażenie. Zachowywał się jak uosobienie troskliwości i czule wyrażał żal, że tyle będzie musiała w czasie tego marszu znieść. Nie przyszło mu nawet do głowy, że ona może to uważać za fascynujące doświadczenie i panująca między nimi obecnie zgoda oparta była na jego przekonaniu, że Elizabeth jest mimo wszystko posłuszną żoną, która nie pragnie niczego więcej, niż rodzic i wychowywać jego dzieci — tylko synów, oczywiście.

Cóż miała robić? Podano jej oliwną gałązkę; szansa na naprawienie ich małżeństwa była w zasięgu ręki. Opuszczając Anglię ślubowała, że uczyni

Williama i wszystkich wokół niej szczęśliwymi. Ale gdzie leżało jej szczęście? Czy naprawdę była gotowa przyjąć wszystkie warunki, aby tylko żyć z Williamem w Indiach? Może tak jej się wydawało? Może rozpacz kazała jej wierzyć, że musi bez skargi odpokutować za to, co zrobiła w Wellford? Czy w ramach pokuty miała więc znosić conocne napastowanie przez mężczyznę, którego nigdy nie pokocha, i rodzić dzieci, by zostały wychowane w sposób, którego nigdy nie zaakceptuje? Czy ma poświęcić swoje pragnienie doświadczenia i wiedzy, pragnienie, by wszystko, co robi, miało jakąś barwę, ekscytację, z jaką poznawała ten kraj i ludzi, żyjących tu w tak niepewnym przymierzu? Czy nie miała innego wyboru, niż stać się taką jak matka i siostry Williama? Wszystko w niej sprzeciwiało się tej perspektywie, która wydawała się teraz nieunikniona.

Podeszła niespokojnie do wejścia i stanęła patrząc na rozciągający się przed nią kalejdoskopowy obraz. To było życie: maszerować przez mroczne przełęcze, przez szerokie równiny, rozświetlane pochodniami, które nadawały nocy nieuchwytną, tajemniczą aurę, przedzierać się przez falujące zarośla tuż za szeregami ludzi i zwierząt, których myśli były tak dzikie jak kraj, który przemierzali. Tu czekało prawdziwe spełnienie: w tej ogromnej, jednolitej rodzinie, w której wszyscy byli od siebie nawzajem zależni, w której niektórym potrzeba było pomocy i zrozumienia, innym ufności we własne siły, a jeszcze inni żyli w przerażającym świecie, do którego nikt nie mógł wkroczyć, by dodać im otuchy. Teraz znalazła garniec złota na końcu tej nieuchwytnej tęczycy... i nie mogła go zatrzymać. Przez chwilę jej oczy wypełniły się łzami zasnuwającymi mgłą wszystko, na co patrzyła. Kiedy zniknęły, ujrzała mężczyznę jadącego w jej

kierunku między rzędami namiotów na wysokim, czarnym rumaku. Wydawało się, że ją minie, gdy nagle, tuż przy niej, ściągnął wodze.

— Czy ma pani wygodny namiot? — spytał John oficjalnie.

— Bardzo — odparła wiedząc, czemu tak trudno jest jej przyjąć od Williama gałązkę oliwną. — Jeszcze chyba nigdy nie byłam tak zadowolona, że jestem kobietą. My możemy odpocząć i zjeść śniadanie, podczas gdy wy próbujecie wprowadzić tu porządek. — Zanim zdołała się powstrzymać, dodała lekko: — Jeśli chaos panujący przy rzece może być jakkolwiek wskazówką, to wygląda na to, że wcale wam się to nie udaje.

Jego twarz rozjaśnił jeden z tych niespodziewanych uśmiechów, które w cudowny sposób zmieniały jego poważną minę.

— My robimy, co możemy, droga pani. To muły nie starają się nam pomóc.

Instynktownie odpowiadając na jego uśmiech, zaśmiała się beztrąsko:

— Niemniej to zwierzęta zyskały moje współczucie. Wy nie musieliście przez cały czas dźwigać takich ciężarów.

Zdjawszy czako, znużonym gestem wytarł czoło grzbietem dłoni, jednocześnie przyglądając się otoczeniu. Widząc, że nikt się nie zbliża, znów odwrócił się do Elizabeth.

— Przykro mi, że tak późno rozbiliśmy obóz. To był najdłuższy etap podróży, poza tym przełęcz zabrała dużo czasu. Czy czujesz się wyczerpana marszem?

— Tak, jestem zmęczona, ale na zawsze zapamiętam tę noc. Jeśli sobie przypominasz, mówiłeś mi kiedyś o trudnościach, z jakimi styka się wojsko w czasie podróży. Tak jak w przypadku wszystkich innych rzeczy, które mi opisałeś, i tym razem znalazłam dowody na twoją niezawodną zdolność przekazywania prawdy słowami.

John ponownie spochmurniał na tę aluzję do okresu, który obydwójce zmuszeni będą zapomnieć, i powiedział krótko:

— Prosiłem o zmianę na stanowisku dowódców, tak żeby twój mąż służył pod komendą majora Galbraitha. Generał Mason nawet nie chciał o tym słyszeć. Wybacz.

Odjechał, robiąc po drodze inspekcję ustawionych w równych rzędach namiotów.

William wrócił zmęczony, zły i bardzo głodny. Kiedy jadł obfite śniadanie, Elizabeth leżała z zamkniętymi oczami na łóżku.

W Fort Judapur nie da się uniknąć codziennych spotkań z Johnem. Wśród tak niewielkiej liczby mieszkańców niewątpliwie będą się wciąż na siebie natykać. To krótkie spotkanie przed namiotem uświadomiło jej, jak łatwo może się odrodzić między nimi tamta więź, jak łatwo mogą znów rozpaść płomień, który trzeba całkowicie zdławić. W tych kłopotliwych warunkach będzie zmuszona zacząć żyć z Williamem na innych zasadach: w związku, w którym tylko ona będzie dawać, a on będzie postępował tak jak zawsze. A przecież próba naprawy małżeństwa powinna być oparta na kompromisie, nie na całkowitej kapitulacji jednego z partnerów. Być może gdyby się kochali, przystałaby na takie warunki, ale Elizabeth była absolutnie pewna, że nigdy nie pokocha Williama.

Słyszając, jak jej mąż chrząkając kładzie się na sąsiednim łóżku, Elizabeth myślała o tym, czego nie dało się uniknąć. Życie małżeńskie według narzuconych przez niego warunków dawało jej perspektywy życia równie szarego jak to, któremu przedtem stawiała czoło w Anglii. Tak jak na początku małżeństwa ogarnął ją bunt. Nie mogła stać się uległą istotą ze stadkiem zastraszonych dzieci. Powinna była w Ratnapore postawić Williamowi ultimatum, powiedzieć, że jego ojciec mylił się co do przyczyn, dla których przyjechała do męża. Powinna była wyjaśnić, że żywiła nadzieje, które — jak zdała sobie teraz sprawę — były niemożliwe do spełnienia; że wierzyła, iż to, co przeszedł podróżując po Indiach, zmieniło jego oczekiwania. Tak, powinna była pozbawić go złudzeń w Ratnapore, ale pokusa wzięcia udziału w tym marszu, zyskania nowych doświadczeń, okazała się zbyt silna. Krótka chwila spędzona z jedynym mężczyzną, który mógł jej dać wszystko, czego pragnęła, ukazała jej teraz, jak była bezdennie głupia. Przebywając w Judapur narazi na katusze i siebie, i Johna, a przecież dość mu już uczyniła krzywd. Rzeczywiście była chyba skazana na unieszczęśliwienie mężczyzn, bo jak to się skończy, miała zamiar wrócić do Wellford,

by tam szukać burzliwego spokoju.

\* \*

\*

Żołnierze udający się do Dhakti wymaszerowali o pół godziny wcześniej, a ponieważ ich podróż miała być dłuższa o dzień, wzięli ze sobą większą ilość zwierząt jucznych. W rezultacie do Fort Judapur obsadzonego obecnie przez mały oddział sipajów pod dowództwem oficerów brytyjskich wyruszyła poważnie uszczuplona kolumna. Kiedy dotrze na miejsce, Dragoni Forrester's staną się częścią białej mniejszości. Piechurzy Nicholsona i kawalerzyści Konnicy Kingsford's byli sipajami. Ten fakt oraz dwa nowe przypadki cholery w szeregach kawalerzystów nieco pogorszyły panujące wśród nich nastroje. Kiedy John wkroczył do namiotu, w którym zorganizowano kasyno, odkrył, że udzieliło się to i niektórym oficerom. Młodszy oficer z kompanii Nicholsona zaszczytał właśnie zebranych smutną opowieścią na temat sposobu przyrządzania jedzenia dla jego żołnierzy. Był to stały problem w pułkach sipajów, którzy według zasad kastowych mogli jeść wyłącznie posiłki przygotowane przez członków ich własnej kasty. W koszarach nie było z tym większych problemów, ale powstawały one często w czasie marszu, tak że w efekcie jedzenie podawano nie tym, co trzeba. Potem wybuchał harmider, złość i niemalże bunt, czego właśnie doświadczył na własnej skórze porucznik Peters.

— Kilku z moich najbardziej zasłużonych ludzi o mało nie pobiło się o talerz ryżu — zakończył z westchnieniem, biorąc kufel piwa.

John nakładał sobie właśnie na końcu dużego namiotu śniadanie z ustawionych na stole srebrnych talerzy, gdy usłyszał Ruperta mówiącego chłodno:

— Czemu w ogóle zwracacie uwagę na ich absurdalne kaprysy? Zapewniam was, że gdyby nasi ludzie życzyli sobie osobnych dań tylko dlatego, że nie smakuje im to, co robi kucharz, otrzymaliby krótką odprawę. A przecież są to nasi rodacy. Ci tubylcy muszą patrzeć na was z pogardą, bo dajecie im więcej swobody niż Brytyjczykom.

Jason Peters był niezmiernie dumny ze swoich sipajów, stanął więc za wzięcie w ich obronie:

— Jeśli chcemy, aby byli w stosunku do nas lojalni, musimy sobie na to zasłużyć szanując ich zwyczaje i tradycje. Jeśli w kwietniu będziesz na tyle głupi, by kopnąć sipaja, to w czerwcu on podetnie ci gardło. Tak czy siak akurat wy, Carruthers, powinniście zdawać sobie sprawę, jak ważne jest pojęcie kasty. Sami stosujecie taki podział.

Ta zawoalowana aluzja do snobizmu Ruperta powodowana była wieloma afrontami, jakie porucznik cierpiał od podobnych mu oficerów, którym wyda-

wało się, że dowódcy sipajów są czymś o wiele gorszym. Zanim John zdążył interweniować, Rupert zerwał się już, targany niebezpiecznym gniewem.

— Czy porównujecie mnie do tych waszych cholernych barbarzyńców?

— Siadajże, na Boga — poradził mu George Humphrey z niezwykłą u niego złością. — Robisz z niczego wielką sprawę.

— Nie są „cholernymi barbarzyńcami”! — ryknął Peters ignorując George'a i innych, którzy usiłowali nie dopuścić do konfrontacji. — Nie mam zamiaru wysłuchiwać takich określeń!

— Nie? — spytał lodowato Rupert. — Oznajmiam wam, że będę używał tego określenia, ilekroć będę miał na to ochotę. Ponadto zaczyna mi się wydawać, że ci brązowi chłopcy niezwykle pociągają niejednego ze swoich oficerów.

Peters wstał i usiłował dosięgnąć Ruperta przez stół zastawiony srebrem i talerzami.

— Przeproście mnie za to! — dyszał. — Sami to odwołacie albo wymuszę to na was siłą! Za daleko się posunęliście!

— Wy też, przyjacielu — szydził Rupert. — Nie będę tolerował złych manier u nikogo, a szczególnie u osób, z którymi zadaję się tylko dlatego, że zmuszają mnie do tego okoliczności. W przyszłości radzę wam pozostawać wśród swoich.

John podszedł do nich szybko.

— Wystarczy, panowie! — powiedział nie znoszącym sprzeciwu głosem. — Jesteście w kasynie oficerskim i macie odpowiednio się tu zachowywać. Jesteście również zobowiązani przestrzegać jego regulaminu, który zabrania publicznie kwestionować uczciwość i honor któregokolwiek z członków. Wszyscy tu obecni są gentlemanami i muszą zachowywać się jak przystało. — Spojrzawszy Rupertowi w twarz zauważył, że oczy chłopaka płoną nedorzeczną złością. — Pan Peters zażądał przeprosin — mówił dalej John. — Mam nadzieję, że wasza wypowiedź nie miała na celu przekazania tego, co wywnioskował z niej porucznik, ale przez cały czas zachowywaliście się obraźliwie i wydaje mi się, że ma on prawo domagać się, byście wycofali słowa, które uznał za urągliwe.

Odwracając się do Jasona Petersa powiedział:



— Również i wasze zachowanie nie było bez zarzutu. Muszę prosić, byście obydwójce z panem Carruthersem opuścili namiot w towarzystwie pana Calthorpe'a i pana Weekesa, którzy będą rozjemcami. To nie miejsce na załatwianie tego typu spraw, ale życzę sobie, żeby zostało to załatwione, zanim wyruszymy w nocy. Nawet ślad niezgody między oficerami źle wpływa na żołnierzy i niczego takiego sobie nie życzę.

Peters i jego przyjaciel Leo Weekes wzięli swoje czaka i wyszli, niechętnie za to przepaszając. Miles Calthorpe usiłował wstać, trzymając w dłoni prawie pustą butelkę. Stał niepewnie obok Ruperta, podczas gdy John skierował swoją ostatnią uwagę do tego chłopaka, którego brata uważał za swego przyjaciela.

— Już wkrótce możemy potrzebować wszystkich środków, jakie posiadamy, oraz wiary w towarzyszy. Takie zachowanie jak wasze jest bezdennie głupie. Jeśli Peters będzie uparcie żądał przeprosin, to mu ich udzielicie. Zrozumiano?

Rupert wydał usta.

— Jeśli to rozkaz, to jestem zmuszony go wykonać... ale nikt nie może rządzić moimi myślami, sir.

— Nikt nie może rządzić myślami żadnego z nas — odparł cicho John. — Powinniśmy myśleć racjonalnie, opierając się na mądrości, którą czerpiemy z doświadczenia. Pamiętajcie o tym, nim znów zaczniecie pleść, co wam ślina na język przyniesie.

Rupert nie zareagował na tę próbę służenia mu dobrą radą. Obrzuciwszy Johna miażdżącym spojrzeniem uklonił się sztywno, mówiąc: — Wybaczcie, panowie — po czym wyszedł w towarzystwie swego pijanego przyjaciela.

John powrócił do nakładania sobie śniadania, a wśród pozostałych przy stole oficerów zapadła cisza. Kiedy usiadł przy nich, by zjeść, wywiązała się urywana rozmowa. Wielu z nich dowodziło Hindusami, w związku z czym czuli się urażeni lekceważeniem, z jakim został potraktowany Peters. John miał powody, by pomyśleć, że jego obawy związane z tym dowództwem już zaczynały się sprawdzać. Sir Francis Mason nie był jednak głupcem. Wendetty wewnątrz pułku mogły okazać się groźne, a rozdzielanie przeciwników tylko je przedłużało. Wysyłając Ruperta do Judapur doświadczony generał chciał doprowadzić sytuację do wrzenia, być może ratując w ten sposób obiecującego młodego oficera przed zrujnowaniem własnej kariery, nim jeszcze się ona na dobre zaczęła. To posunięcie można też było traktować jako komplement dla

Johna i jego umiejętności radzenia sobie z trudnościami w kryzysowej sytuacji. Tak w każdym razie on to rozumiał.

Kiedy rozbijali obóz po raz trzeci, wszystko odbywało się szybko i sprawnie. Wszyscy wiedzieli już, jak najlepiej wykonywać obowiązki i nawet żalowali nieco, że po dzisiejszym krótkim marszu do fortu nie będą już więcej podróżować, jako że Judapur był zaledwie o dziewięć mil stamtąd. John odłożył wymarsz aż do świtu. Mieli przebyć teren bardzo podobny do tego, po jakim poruszali się od opuszczenia Ratnapore, tyle że obrzeża równiny, na której znajdował się fort, porastała ciemista dżungla. Nie stanowiła ona większej przeszkody dla żołnierzy i koni, ale zwierzęta juczne i wozy potrzebowały szerokich dróg, by ją przebyć. Trzeba je było wyciąć między drzewami, zanim wkroczy tam kolumna, w związku z czym kilka godzin wcześniej wyruszył tam oddział czołowy pod dowództwem Weekesa. Powodzenie ich misji zależało od gęstości ciemnych krzewów.

John, głęboko pogrążony w myślach, jechał kołysząc się obok Nicholsona, jedyne go obecnego tutaj starszego rotmistrza, który w związku z tym pełnił obowiązki zastępcy dowódcy kolumny. Stavenham widział już muły porozdzielane na strzępy przez ciernie, kiedy nierozważni poganiacze usiłowali siłą przeprowadzić je absolutnie się do tego nie nadającymi ścieżkami. Trzeba tego za wszelką cenę uniknąć. Dla ludzi, samotnych w samym sercu dzikiej krainy, zwierzęta były bardzo cenne. Jakiegokolwiek straty w tym względzie oznaczały, że w razie nagłej potrzeby będzie można przewieźć mniej rzeczy. Byłoby rozsądnie zatrzymać się na śniadanie, kiedy żołnierze pokonają już dżunglę, a potem on sam mógłby nadzorować przejście zwierząt i przewóz bagażu.

— Na horyzoncie podnosi się kurz — powiedział nagle Henry. — Nie tylko my tędy dzisiaj podróżujemy.

John, wyrwany z zamyślenia, czujny i gotowy do rozwinięcia kolumny, zaczął wpatrywać się w drgającą, zamgloną od upału przestrzeń. Mimo iż według raportu Wesleya Clarka po prowincji poruszały się duże grupy tubylców, oni po raz pierwszy napotkali innych podróżnych niż kupieckie karawany podróżujące tak powoli, że rzadko wzbijały tyle kurzu, by można je było dojrzeć z oddali.

— Co o tym myślisz? — spytał jadącego obok niego stępa małomównego Nicholsona. — Wydaje mi się, że może to być najwyżej dwóch, trzech jeźdźców.

— Zgadzam się. Najprawdopodobniej wraca jedna z naszych czujek, by powiadomić nas o trudnościach z wyrąbywaniem przejścia przez dżunglę. Z ciemnymi krzewami diabelnie trudno jest sobie poradzić.

Wkrótce ukazał się samotny jeździec. Z pomocą lornetki Johnowi udało się dostrzec, że ma na sobie mundur Konnicy Kingsford's i galopuje wprost w ich kierunku.

— Tak jak podejrzewałeś, najwyraźniej są jakieś kłopoty — mruknął, obserwując jadącego żołnierza. — Chyba i tak mieliśmy szczęście, że udało nam się tak daleko dotrzeć bez żadnych problemów.

Jeździec dotarł do nich po piętnastu minutach. Z kamienną twarzą ściągnął wodze zatrzymując się obok Johna. Jego koń był spieniony i wyczerpany. Odbierając wiadomość, którą przywiózł, John kazał mu znaleźć wóz z wodą, napić się i napić rumaka. Następnie otworzył kilku-stronicowy list od porucznika Weekesa, który dowodził oddziałem czołowym. Przeczytawszy parę nagryzionych słów spojrzał na Nicholsona ze zmarszczonymi brwiami.

— W gęstwinie dżungli odkryli zmasakrowane ciało. Chociaż ofiara ubrana była w hinduski strój, ten list znaleziony w jej turbanie sugeruje, że był to posłaniec wojskowy. — Pokazał mu drugą kartkę. — Datowane sześć dni temu, pochodzi od porucznika Frazera dowodzącego fortem Judapur. Píše, że zostali otoczeni i grozi im niebezpieczeństwo ze strony ich własnych ludzi, których wrogowie cały czas kuszą, by do nich dołączyli. Pilnie domagają się posiłków.

Nicholson wziął od niego kartkę i sam przeczytał krótką prośbę o pomoc. Spojrzał na Johna i spytał:

— Co jeszcze pisze Weekes?

— Píše, że ostrożnie, tylko z dwójką ludzi wjechał do dżungli i natknął się na czujki wroga. Mury fortu są prawdopodobnie nadal chronione przez żołnierzy ze stacjonującego tam pułku... ale nie powiewa już flaga, a na otaczającej fort równinie rozbite jest obozowisko dużej liczby wojska.

Nicholson, który sam dowodził oddziałami Hindusów, ani słowem nie zareagował na ten jasny dowód drugiego już buntu w nadgranicznym forcie skierowanego przeciw oficerom brytyjskim. Zbyt dobrze znał mieszkańców tego kraju.

— Zajmij się zatrzymaniem kolumny — powiedział zdecydowanie John. — Niemal na pewno jest już za późno, by uratować Frazera i jego młodszych

oficerów, ale musimy odbić ten fort. Jak mamy to zrobić bez artylerii, jeśli oni mają do dyspozycji działo fortu, tylko Bóg raczy wiedzieć.

TLR

## ROZDZIAŁ XII

Stojąca kolumna rozciągała się wzdłuż traktu szeroką wstęgą mężczyzn, kobiet i zwierząt. Nie był to obóz ani nawet biwak, jako że John nie pozwolił rozpalać ognisk, aby zaparzyć herbatę, ani wykonywać innych czynności podejmowanych zazwyczaj, gdy zatrzymywano się na postój. Jeden z kawalerzystów został wysłany z zadaniem wezwania do powrotu oddziału Weekesa i John zarządził, by do tego czasu kolumna była gotowa do natychmiastowego wyruszenia w drogę. Wobec braku namiotów czy drzew, które mogłyby zapewnić cień, żołnierze szukali go pod zawieszonymi na karabinach pelerynami, pod brzuchami objuczonych zwierząt i wozami obciążonymi stosami mebli. To samo robiły ich żony, dzieci oraz ciągnący za wojskiem handlarze. Kilka dam podróżujących na końcu rozwinęło wykwintne parasolki od słońca, które dziwnie kontrastowały z mundurami wojskowych i ich własnymi, poważnymi w kroju kostiumami do jazdy konnej. Oficerowie cierpliwie znosili palące słońce, stojąc grupami w pobliżu swego dowódcy lub spacerując z przejęciem dwójkami i spoglądając cały czas w dal, by dostrzec oznaki zwiastujące powracający oddział. Wokół panowała niepewna, złowroga cisza. Chociaż nikt prócz oficerów nie znał treści przesłanej przez Weekesa wiadomości, było jasne, że sytuacja była krytyczna i wyjaśnić mogły ją tylko dalsze informacje, które przywiezie porucznik Konniczy Kingsford's.

John stał obok stołu, na którym rozłożył mapę okolicy. Towarzyszyli mu starsi oficerowie każdego z pułków: Henry Nicholson, William Delacourt i zastępca Weekesa, James Doyle. Pokazał im wszystkie wiadomości, jakie otrzymał, i ufał, że nie ma potrzeby przedstawiania czekających ich trudności, jako że sami są w stanie należycie je ocenić. Po odwołaniu się do mapy umocnili się w przekonaniu, że siły, które opanowały fort, uważają dżunglę za doskonałą osłonę. Cierniste krzewy stanowiły niezwykle efektywny pas ochronny. Zbliżająca się armia nie miała możliwości przejechać przez tak morderczy teren bezgłośnie, a John dowodził nie armią, a niewielką kolumną posiłkową obciążoną kłopotliwym bagażem. Zrozumiałe więc, że był zaniepokojony wiedząc, że znajdują się na odkrytym terenie, który w razie ataku nie dawał żadnej osłony. Pocieszało go tylko to, że ciernie chroniły również ich.



Wreszcie pojawiła się znajoma chmura kurzu zwiastująca przybycie Weekesa. Kiedy zsiadł z konia i zsalutował Johnowi, na jego pokrytej kurzem i potem ładnej twarzy malował się ponury wyraz.

— Nie ma wątpliwości, że fort znajduje się w rękach wroga, sir. Jako że Fraser nigdy by się nie poddał, trzeba przypuszczać, że wszyscy oficerowie i lojalni sipaje zostali zamordowani przez buntowników — powiedział z żalem, jak przystało na człowieka, którego z Hindusami łączyły silne związki.

John skinął głową.

— Domyśliliśmy się tego z przesłanej przez was wiadomości. Jak duże są siły obozujące na równinie?

Porucznik zdjął czako, wytarł grzbietem dłoni czoło i wydał usta.

— Ciężko jest ocenić wielkość stacjonującego tam wojska. Nie rozbijają obozów uporządkowanymi szeregami, tak jak my. Mogę wam tylko powiedzieć, że zajmują pokaźny teren w pobliżu zbiornika z wodą, a ich obóz przypomina bazar. Jest to jednak armia uzbrojona w sześć lekkich działek polowych. Pewnie bardzo was zainteresuje wiadomość, że mają proporce Gandy Singha. Ten drań z pewnością wykonał swój ruch w tym samym czasie, w którym wybuchł bunt w Multan, i nasz fort w Dhakti z pewnością również jest w rękach jego żołnierzy.

— Zawsze było dla mnie jasne, że tylko czeka na odpowiedni moment — zgodził się John, zbyt zmartwiony, by odczuwać satysfakcję z tego, że jego ostrzeżenia okazały się słuszne. — Piekielnie trudna sytuacja.

— Ale nie beznadziejna — odparł energicznie Weekes, obejmując spojrzeniem zgromadzonych wokół stołu oficerów. — Wydaje mi się, że Judapur padł bardzo niedawno. Wśród żołnierzy na równinie panuje rozluźniony, radosny nastrój, jaki zwykle przychodzi po odniesieniu zwycięstwa. — Skierowawszy spojrzenie na Johna powiedział: — Rozesłali czujki, sir. O mało co nie wpadliśmy na nie, ale na szczęście udało nam się okrążyć ich pozycje nie zdradzając swej obecności. Jeśli natychmiast zaatakujemy, będziemy mieli przewagę zyskaną dzięki zaskoczeniu. Jak na razie nie mają pojęcia, że tu jesteśmy. Moi ludzie pojechali tam i wrócili bardzo cicho. — Westchnął. — To najlepsi podkomendni, jakich można by sobie zażyczyć, majorze Stavenham.

Zorientowawszy się, że w obliczu dwóch buntów Weekes stara się bronić oddziałów sipajów, John położył dłoń na jego ramieniu:

— Wiem, Leo. Doskonale się wszyscy dzisiaj spisaliście. Pokaż mi na mapie wszystko, co zapamiętałeś o pozycjach wroga i rozmieszczeniu czujek.

— To nie będzie potrzebne, sir. Naszkicowałem wszystko na miejscu.

— Doskonale! Zestawmy to z mapą i rozważmy, jakie mamy możliwości.

Przez kilka minut oficerowie stali pochyleni nad stołem, studiując jasne dla nich symbole i linie, aż wreszcie John uniósł wzrok i spojrzał na Weekesa ze zmarszczonymi brwiami.

— Czy wydaje wam się możliwe, byśmy mogli cichaczem pozbyć się czujek, nie zwracając na siebie uwagi wojska w obozie?

Młody oficer w niebieskim mundurze skinął głową.

— Wydają się być niezwykle pewni, że te przekłete ciernie stanowią ogromną przeszkodę, więc nie mają się nieustannie na baczności. Dżungla jest niezwykle gęsta, więc główne siły nie są w stanie zauważyć obecności czy też braku czujek.

— Świetnie. Kiedy je usuniemy, będziemy więc mogli pokonać dżunglę w takim czasie, jaki nam będzie na to potrzebny?

Weekes zastanowił się, mrużąc jasne oczy, po czym znów skinął głową.

— Na pewno. Po drugiej stronie krzewy są nieco rzadsze, będziemy więc mogli przed wyjściem z ukrycia ustawić się w szyku bojowym. Do równiny wiedzie bardzo łagodna pochyłość, która pomoże nam zaskoczyć ich atakiem. Niestety, te przekłete działa na fortyfikacjach sięgną każdego punktu na terenie otaczającym sam fort.

John przestał studiować mapę, wyprostował się i z bladym uśmiechem zwrócił się do czterech towarzyszących mu oficerów:

— Kiedy dowiedziałem się, że wyruszamy do Judapur, konsultowałem się z Whitechurchem z artylerii. Bardzo przygnębiła mnie wzgarda, z jaką mówił o uzbrojeniu fortu, jako że przeprowadzałem to rozpoznanie zakładając, że sam będę musiał z tej broni korzystać. Działa są stare, niecelne i jak cały fort pilnie nadają się do naprawy. Ich ładowanie zabiera stanowczo zbyt wiele czasu, a pociski lecą po torach pozwalających im na wyrządzenie nadciągającym wojskom zaledwie symbolicznych szkód. — Na ustach Johna pojawił się szerszy uśmiech. — To właśnie powiedział mi White-church, panowie.

— Nic dziwnego, że fort padł — zauważył Nicholson.

— I ma doskonałą szansę paść powtórnie — powiedział z determinacją John. — Oto jak pragnę do tego doprowadzić. Jeśli chcemy wykorzystać euforię, w jakiej się znajdują, najważniejsza jest szybkość. Będziemy poruszali się jak najspieszniej, pozwalając, by obciążona bagażem część kolumny posuwała się za nami we własnym tempie i weszła co najwyżej dwie mile w głąb dżungli. Poprzedzać nas będą małe grupy żołnierzy, których zadaniem będzie pozbyć się wrogich czujek w czasie, gdy my będziemy wycinać drogę pozwalającą nam dotrzeć do miejsca, gdzie krzewy się przerzedzają. Kiedy rozejrzę się w sytuacji, ustawię wojsko w jak najlepszym szyku do ataku, który odbędzie się o zmroku. Blednące światło dnia pozwoli nam jeszcze lepiej wykorzystać element zaskoczenia. — Spojrzał na twarze otaczających go oficerów. — Tak, panowie, zdaję sobie sprawę, że ryzykujemy, iż w środku bitwy zaskoczy nas noc, ale czekając na świt moglibyśmy narazić się na jeszcze większe ryzyko. Wroga mogłyby wzmocnić posiłki, czujki z pewnością zostałyby do tego czasu zmienione i odkryto by zabitych, że nie wspomnę o tym, iż nie moglibyśmy przeдрzeć się przez dżunglę w ciemności. Musimy więc ruszyć teraz i modlić się, by element zaskoczenia okazał się na tyle skuteczny, aby zapewnić nam zwycięstwo przed nadejściem nocy. — Zaczął składać mapę. — Przygotujcie się do wymarszu, zostawiając jak zawsze strażę przy zapasach i bagażach. Każdy z was ma odkomenderować młodszego oficera do pozostania przy kolumnie. Ich zadaniem będzie przygotowanie szpitala polowego i chronienie dam. — Odwrócił się do Weekesa. — Oddaję wam dowództwo na czas mej nieobecności.

— Ależ, sir...

— Nie ma mowy. Doskonale się dzisiaj spisaliście, ale jesteście zmęczeni. Kiedy odzyskamy fort, może nas czekać oblężenie. Najlepiej mi się przysłużycie zastępując mnie tutaj i wykorzystując waszą doskonałą inicjatywę, gdyby coś poszło nie tak i kolumna została zaatakowana.

Ochoczy wojak ciągle miał jednak zawiedzioną minę i John postanowił, że wykorzysta pierwszą okazję, by dać mu się popisać odwagą w czasie nadchodzącej wojny, bo wojna była już teraz pewna. Pamiętając o tym, nie mógł nie poczuć konsternacji na widok uzbrojonych żołnierzy przygotowujących się do marszu w szybkim, równym tempie w kierunku celu. Bez zwierząt jucznych i wozów z zapasami tworzyli bardzo krótką kolumnę. Chociaż piechurzy Nicholsona, ubrani w zielono-żółte mundury i płowo-żółte turbany, kroczyli niezwykle dziarsko, John wolałby, żeby było ich co najmniej trzy razy więcej.

Trzy szeregi Konnicy Kingsford's przepłynęły obok niego — zbyt szybko! — jak fale błękitnej wody. John spostrzegł z żalem, że szkarłat jego nowego pułku zbyt wyraźnie odcina się na tle wypłowiiałych barw krajobrazu. Jego żołnierze wyglądali jednak wystarczająco, srogo, gdy kłusowali na czele tej małej armii, gotowi stawić czoło niewiadomemu. John modlił się, żeby okazali się tak groźni, jak wyglądają, kiedy staną twarzą w twarz z wrogiem. W przeciwieństwie do dwóch pułków Kompanii Wschodnioindyjskiej nie mieli jeszcze okazji sprawdzić się w czasie bitwy i panowała opinia, że na niższych szczeblach pułk ten był źle dowodzony. To, co zamierzał przedsięwziąć, byłoby wystarczająco trudnym zadaniem dla doświadczonych wojaków, a co dopiero dla niewielkiej grupy żołnierzy, która była równie niepewna jego dowództwa, co on ich.

Posuwali się szybko, dopóki nie zamajaczyła przed nimi przerażająca dżungla. Wtedy John pokazał tym, którzy zostali odkomenderowani do usunięcia czujek, gdzie powinny się one znajdować, o ile ich pozycje nie zostały zmienione. Zaznaczywszy z mocą, że zadanie musi zostać wypełnione cicho i dyskretnie, wysłał ich do wykonania tego rozkazu z pewną siebie miną, która miała ukryć jego wewnętrzny niepokój. Jeśli oddziały Gandy Singha zostaną zaalarmowane, Brytyjczycy będą mieli bardzo małe szanse na zwycięstwo.

Po dotarciu do linii drzew John zatrzymał się i zebrał wszystkich oficerów, ale milcząca ocena ich stanu ducha, jakiej dokonał, nie przyczyniła się do stłumienia jego niepokojów. Bez względu na swoje preferencje seksualne Henry Nicholson wydawał się być całkowicie pewny tak siebie, jak i swoich ludzi. John ufał, że ma do tego podstawy. Młodszy oficerowie piechoty, począwszy od sprytnych, pomysłowych zawodowców, po wyrzutków rodzin wysłanych do Indii i skazanych tym samym na zapomnienie, byli typowymi przedstawicielami armii Kompanii Wschodnioindyjskiej. Młodszy oficerowie Konnicy Kingsford's byli nieco bardziej zawadiaccy, a to z tego powodu, że pułk preferował młodych, zadzierzystych ludzi. Byli między nimi i dobrzy, i źli, więc John zaczął żałować, że nie zabrał ze sobą młodego Weekesa. Nawet zmęczony żołnierz, który ma wojaczkę we krwi, byłby lepszy niż żaden. Potem obrzucił spojrzeniem oficerów Dragonów Forrester's. William Delacourt miał wspaniałe warunki fizyczne, ale interesowało go bardziej życie towarzyskie niż walka. Miles Calthorpe mógł się nawet okazać w czasie bitwy ciężarem. Chorążych Minna i Petheridge'a można było nie liczyć: pierwszy był inteligentny, za to drugi był wymuskany głupkiem, co unieważniało przymioty jego kolegi. George Humphrey przypominał Leo Weekesa, ale tak głęboko przeżywał śmierć żony, że

John nie mógł teraz już tak ufać jego zdolnościom. Zostawał jeszcze Sir Rupert Carruthers. Sztywno siedzący w siodle młody arystokrata w każdym calu wyglądał jak żołnierz Jej Królewskiej Mości, ale wkrótce wspomnienia zapalały w jego niebieskich oczach płomień walki. John zaczął się zastanawiać, kto okaże się jego największym wrogiem w nadchodzącej bitwie, i ciarki przeszły mu po plecach.

Odpychając od siebie te myśli, objaśnił oficerom, jaką mają obrać taktykę, gdy zaczną przedzierać się przez ciernie, po czym odesłał ich, by powtórzyli to swoim ludziom tak, by każdy wiedział dokładnie, co ma robić. Właśnie kończyli wykonywać to zadanie, gdy z krzewów wyszli z szerokim uśmiechem na ustach żołnierze z oddziału czołowego. Jeden z kaprali Johna podszedł do niego i zasalutował.

— Poradziliśmy sobie z nimi gładko i cicho, sir. Od początku do końca nie wiedzieli, co jest... a ci na równinie nic się nie połapali. Byłem popatrzeć. To łatwy dla nas cel, jeśli mogę tak powiedzieć, sir.

John uśmiechnął się do niego szeroko.

— Będę zadowolony, że tak mówicie, jeśli to tylko prawda, kapralu Stalard. Świetna robota!

Spojrząwszy na słońce dostrzegł, że jest ono niżej, niż mu się wydawało, dał więc oddziałowi czołowemu znak, że ma bezzwłocznie wyruszać. Jeśli zbyt dużo czasu zajmie im przejście tej naturalnej bariery, zapadnie noc i ich szansa będzie pogrzebana. Podczas gdy jego podkomendni rozpraszali się wachlarzem, by wkroczyć do dżungli, on z rezygnacją popędzał rumaka. Zbliżali się do wroga w najgorszy z możliwych sposobów, a chociaż wydał rozkaz zachowania absolutnej ciszy, wiedział, że jakiś koń lub człowiek zareaguje głośno na przypadkowe ukłucie otaczających ich wybujałych cierni. Prowadząc żołnierzy przez nagły mrok gęsto zadrzewionego terenu, zastanawiał się, co go czeka po drugiej stronie.

Pokonanie kolczastej przeszkody zabrało całe pół godziny i nie odbyło się tak cicho, jak by sobie tego życzył, ale kiedy dotarli do bardziej odsłoniętego terenu, zelżał nieco jego głęboki niepokój dotyczący gasnącego dnia, okazało się bowiem, że to gęsta dżungla dawała złudzenie ciemności. Zatrzymawszy się na skraju lasu, John przyjrzał się uważnie rozciągającemu się przed nim widokowi, oceniając, jakie szanse na rozgromienie wroga ma jego niewielka armia. Na równinie rozbite były różne jedwabne, ozdobione drapowaniami namioty o



jaskrawych barwach, pomiędzy którymi kręciła się przerażająca liczba ludzi i zwierząt. Wszystko to, jak zauważył Leo Weekes, przypominało bardziej bazar niż cokolwiek innego. Jednak lekkie działka oraz proporce i chorągwie wojowników Gandy Singha wystarczająco wyraźnie wskazywały na wojskowy charakter obozowiska. John żałował, że Justin Lakeland tego nie widzi, bo nawet on nie mógłby już udawać, że stoi przed nimi zaledwie banda rozbójników.

Zmrużywszy oczy przyglądał się stojącemu o dwie mile dalej fortowi. W jego murach nie było otworów strzelniczych, ale na blankach widać było wyszydzone przez Whitechurcha działa. W kilku miejscach z centralnych umocnień unosił się leniwie czarny dym, a choć fortyfikacje wyglądały na opuszczone, John wiedział, że muszą być obsadzone ludźmi. Żaden dowódca nie rozbiłby obozu, pozostawiając pustą twierdzę.

Powrócił do obserwacji namiotów, pomiędzy którymi płonęły ogniska, na których gotowano ucztę dla rozluźnionych, triumfujących żołnierzy, którzy nie mieli pojęcia, że ktoś nie odrywa od nich wzroku. I dzięki Bogu. Zaskoczenie było jedyną prawdziwą bronią Johna. Musiał jak najlepiej ją wykorzystać, zanim noc pozbawi go tej okazji. Podjeżdżał do każdego ze swych podkomendnych, by nakreślić im ogólny plan akcji. Następnie obarczył Konnicę Kingsford's zadaniem zabezpieczenia dział tak, by nie zostały zabrane przez wroga. Piechota dostała rozkaz podpalenia namiotów i wywołania przy tym jak największego zamieszania i paniki. Kawalerzyści Dragonów Forrester's mieli spłoszyć konie i zmusić wroga do niezorganizowanej ucieczki. Wyjątkowo kawaleria dostała też zadanie poprowadzenia ataku. Najazd oddziału huzarów na pełnokrwistych koniach wywołał większy szok i pozwolił piechocie podążającej w dół wzgórza wykorzystać powstałą w jego wyniku panikę. Powtarzał z mocą, że całkowite zwycięstwo zależy od zdobycia dział.

— Jeśli zdążą je odciągnąć, to jesteśmy załatwieni, panowie — stwierdził. — Sprawą największej wagi jest koordynacja czasowa. Chcę, żeby kawalerzyści Konnicy Kingsford's galopowali w stronę dział, zanim jeszcze wróg zacznie się domyślać naszej obecności. Z tego powodu poprowadzę ich sam, a dowództwo nad Dragonami Forrester's oddam na czas tej bitwy w ręce rotmistrza Delacourta. Czy rozkazy są dla was jasne? Musimy zająć pozycje albo damy się zaskoczyć ciemności.

Nikt nie zdradził, że nie rozumie poleceń dowódcy, rozproszyli się więc i stanęli w gotowości bojowej. John pojechał na prawe skrzydło, gdzie wśród drzew rysowały się niebieskie mundury, ciemne twarze i śmiercionośne lance

sipajów. Tak jak twierdził Weekes, byli to dobrzy żołnierze. Skinieniem głowy potwierdzili, że zrozumieli należące do nich decydujące zadanie zdobycia dział. John zawrócił konia, by po raz ostatni spojrzeć na przyszłe pole bitwy. Słońce zniknęło już za horyzontem, więc równina wyglądała jak purpurowa tkanina zdobna w cekiny obozowych ognisk migoczących w szybko zapadającym mroku. Nadeszła właściwa chwila. John przygotował się, by dać rozkaz do ataku.

Zanim zdążył to zrobić, stojące z lewej flanki szeregi dragonów w szkarłatnych mundurach załamały się, a oni gorliwie i bezładnie ruszyli w dół wzgórza na wroga, wymachując szablami i obrzucając przekleństwami tych, którzy zabili ich towarzyszy. Podświadomie zapisując w pamięci, że na ich czele porządkuje Miles Calthorpe, a William i Rupert rozpaczliwie usiłują dogonić ludzi, których nie byli w stanie opanować, John wbił ostrogi w boki konia i poprowadził do walki, w ślad za własnym pułkiem, który zbyt wcześnie zaniepokoił wroga, lepiej zdyscyplinowaną i bardziej doświadczoną kawalerię sipajów. Przepelniony furją z powodu takiego lekceważenia rozkazów, przyłgnął do szyi swego rumaka i pędził w stronę obozu. Panowało w nim już zamieszanie, ale artylerzyści, bez względu na to, jak byli zaskoczeni, instynktownie pobiegli do dział. John widział ludzi przepychających się przez tłum w stronę kręgu niezaprzodkowanych działek polnych. W uszach rozbrzmiewała mu kakofonia znanych dźwięków: kwik przerażonych koni, rozkazy wykrzykiwane przez gnanych strachem i ekscytacją ludzi, żądne krwi okrzyki zadających sobie nawzajem ciosy wrogów, szcęk muszkietów i czysty dźwięk sygnałówki atakującej ogłuszone chórem bitewnym uszy. Gnał naprzód, ku gmatwaninie purpurowo-żółtych mundurów, ku szkarłatnym namiotom z jedwabiu i obszytym złotem chorągwiom, które powiewając nad polem bitwy wyglądały jak egzotyczne ptaki.

Jak przez mgłę słyszał krzyki i wystrzały własnych piechurów, bo czuł strach. Jego plan upadł. Panowało, co prawda, zamieszanie, ale nie tylko wśród wrogów, lecz również w jego własnych szeregach. Jedyne atut Johna został zmarnowany. Los wybierze zwycięzcę.

Sto metrów... siedemdziesiąt pięć... pięćdziesiąt. Widział już dumne, zacięte twarze ludzi Gandy Singha rzucających się do koni. Kiedy orientowali się, że nie dotrą do nich na czas, stawali, gotowi odeprzeć każdy atak. Wyglądali wojowniczo w luźnych, purpurowo-żółtych szatach i ciemnych turbanach, a w rękach dzierżyli zagięte szable. Dwadzieścia pięć metrów... piętnaście! Krew zaczęła pulsować mu w skroniach, gdy przypomniał sobie, jaki los spotkał Hugona z rąk tych ludzi, a gdy zbliżał się wprost do trzech żołnierzy usiłujących za-

przodkować działa i odjechać z nim, otaczający go zgłębł zatarł się, ustępując miejsca tej dziwnej, przerażającej ciszy, którą pamiętał spod Moodki. Wydawało się, że szabla działa w tym cichym świecie bez jego udziału, tnąc, rąbiąc, odparowując ciosy i przebijając mężczyzn, którzy umierali bezgłośnie, mimo że otwierali usta. Do następnego działa. Jego klinga trafiła teraz na inną. W ciemniejące niebo wzbłyły się skry. Coraz mniej wyraźnie widać było twarze wrogów, jako że zaczynała już opadać zasłona nocy. Poczł ból w udzie. Pałący ból, który powiedział mu, że został zraniony. Ale noc płonęła teraz jasnymi płomieniami, w których złowróźnie błyskała chłodna stal, a pełne złości twarze, tak ciemne, jak białe, przesuwały się podświetlone przed jego oczami jak ruchoma panorama.

Jego koń potknął się; padł z kwikiem. John upadł na ziemię obok odzianego w szkarłatny mundur trupa, który szeroko się do niego uśmiechał przez zaslonę śmierci. Ciało Johna nadal płonęło ogniem, kiedy wstał i zaczął szukać w piekle tuż obok wolnego konia. Kilka takich rumaków z przerażeniem wierzgało zadami i stawało dęba jak błyszczące ogiery z mar nocnych, wreszcie przybiegł klusem jeszcze jeden, ciągnąc za sobą ciało żołnierza, którego noga uwięzła w strzemieniu. Odciąwszy nieszczęśnika, John wciągnął się na siodło i wrócił do niemego piekła, które wydawało się już teraz pochłaniać całą równinę i wszystkie żywe istoty, które się na niej znajdowały.

\* \*  
\*

Porucznik Weekes rozkazał rozbić duży namiot dla żon oficerów, od których nie można było wymagać, by czekały w rzucanym przez wozy cieniu, podczas gdy po drugiej stronie ciemnej dżungli ich mężowie brali udział w rozpaczliwej walce. Z powodu niepewnej sytuacji nie rozpakowano jednak krzeseł i stolika, damy usiadły więc na rozłożonych na ziemi dywanikach i czekały, aż zostanie podany chleb, masło i ciasteczka. Tak naprawdę żadnej nie chciało się jeść, ale każda robiła to, by pozostałe trzy nie uznały jej za bojaźliwą, i nerwowo nasłuchiwała odgłosów walki czy galopujących kopyt końskich. Ich młody dowódca nie pozwolił rozpalić ognisk, więc wyteżały oczy patrząc w nadchodzący mrok i wypatrywały przednich czujek powracających z wiadomościami.

Błada i przerażona Lucy Nicholson nie przestawała trajkotać. Elizabeth wiedziała, że powodem tego jest strach, ale wołałaby, żeby dziewczyna przestała zagłuszać wszelkie dochodzące z oddali dźwięki. Z drugiej strony nie mogły

wszystkie milczeć przez cały czas, jaki potrzebny był do odbicia Fort Judapur. Pozostałe dwie damy od dobrych paru lat były żonami oficerów Kompanii Wschodnioindyjskiej. Każda z nich doświadczyła już wojny, więc były na tyle spokojne, by odpowiadać Lucy bez irytacji, jaką jej szczebiot wywoływał u Elizabeth. Wysilek siedzenia we wdzięcznej pozie na twardym gruncie sprawił, że panią Delacourt bolały plecy, lęk wywołał ból głowy, a uwięzione w kostiumie do jazdy konnej ciało wydawało się nieprzyjemnie gorące i wilgotne. Zaszło jej w ustach, a pożywienie, które ziała, straciło wszelki smak i trudno jej było je przełknąć. Z wdzięcznością przyjęłaby filiżankę herbaty, ale każda z czekających z napięciem w namiocie osób cierpiała to samo, a i tak miały szczęście, że była woda. Mężczyźni walczący teraz po drugiej stronie dżungli nie mieli nawet tego.

Elizabeth była przerażona, że w tej sytuacji wykazuje się takim brakiem hartu ducha. Nie kończące się, bezmyślne trajkotanie Lucy rozpraszało ją, nie potrafiła też siedzieć spokojnie jak pozostałe damy, wstała więc i wyszła z namiotu próbując ukoić swe wewnętrzne wzburzenie. Już prawie nie można było dostrzec zbiorowiska zwierząt i wozów stojących z przodu, ale jej uszu dolatywało parskanie, pochrząkiwanie i tupot niespokojnych kopyt, czuła też ciepły zapach sierści, która godzina po godzinie wchłaniała ciepło słonecznych promieni. W powietrzu niósł się z oddali stłumiony śmiech i rozmowy podążających za maszerującym wojskiem kupców i handlarzy. Gdzieś dalej były żony prostych żołnierzy, niewątpliwie ogarnięte tym samym strachem i niepokojem o los ukochanych, co ona i jej towarzyszki. Miała nawet zamiar odszukać je i próbować pocieszyć, ale powiedziała sobie, że Amelia Mason mogłaby to zrobić korzystając ze swych bogatych doświadczeń, a Elizabeth Delacourt jak na razie sama nie rozumiała dobrze roli kobiet czekających na koniec bitwy. Jak mogłaby pocieszyć te zahartowane przez nędzę i brud istoty, skoro nie potrafiła opanować własnego niepokoju?

Szła drogą, mijając wozy i zwierzęta wciąż obciążone swym morderczym ładunkiem i czuła, jak jej wewnętrzne wzburzenie jeszcze się potęguje. Jak zawsze piękny zmierzch wydawał się pozostawać w sprzeczności z okrucieństwem zabijających się ludzi. Na ciemniejącym niebie można już było dostrzec gwiazdy, a duszne powietrze powoli robiło się coraz chłodniejsze, aż wreszcie stało się złudnie balsamiczne. W Anglii nigdy tak nie było i Elizabeth rozumiała teraz doskonale, czemu ludzie tęsknili za tym po powrocie na zieloną wyspę. Jednak, mimo zdradliwego czaru otaczającej ją nocy, uległa w końcu szturmującym jej duszę i ciało doznaniom — niezaprzeczalnemu przecuciu wydarzeń

przyszłych, które w takich chwilach ją nawiedzało. Ból, gniew, przerażenie zlewały się z niewyraźną wizją samotnej białej kobiety, odchodzącej przez bezkresną równinę. Emocje, które ogarnęły Elizabeth, były tak silne, że musiała przycisnąć usta dłonią, by stłumić okrzyk protestu. Ta kobieta to bez wątpienia ona sama po bitwie, opuszczona i samotna. Inne uczucia odpowiadały pewnie tym, które odczuwali teraz bliscy jej mężczyźni: John, którego głęboko, na zawsze pokochała; William, który dał jej swe nazwisko, namiętność i już niewiele więcej; oraz Rupert — przyjaciel, który był dla niej jak brat. Który z nich przetrwa tę noc?

Wszystko stało się tak nagle. Dopiero co kolumna wiła się drogą tak, jak robiła to od trzech dni, a już w chwilę później żołnierze, bez jednego spojrzenia wstecz, odjechali na spotkanie swego losu. Będąc żoną wojskowego wiedziała, że w razie zagrożenia służba zawsze będzie ważniejsza od niej, ale tym razem nie było nawet czasu na słowa pożegnania. Po raz pierwszy stanęła w obliczu bitwy i niełatwo było jej to pojąć. Jakże kruche jest życie! Jak szybko się kończy! Sir Hugo zniknął jak ktoś, kto udał się w podróż, nie widziała bowiem, jak wydaje ostatnie tchnienie. Fanny odeszła na jej oczach. Z tym trudniej było się pogodzić. Dziś wieczór niektóre z osób towarzyszących jej przez ten przełomowy miesiąc jej życia znikną, jakby nigdy ich nie było.

Przełomowy miesiąc! W Anglii zachowywała się jak młoda dziewczyna tęskniąca do prawdziwego życia wraz ze wszystkimi jego tajemnicami. W czasie podróży do Indii ta dziewczyna zaczynała patrzeć na wszystko innymi oczami, oceniać wszystko z budzącą się w niej świadomością, podobną tej, która towarzyszy opuszczeniu klasztoru. W Ratnapore stała się kobietą. Nie dostrzegła tego jednak nagle, w konkretnej chwili prawdy, dzięki nagłemu płomieniowi wewnętrznej świadomości tego faktu. W Ratnapore przeżyła rzeczy, których nigdy nie doświadczyłaby, gdyby tak bardzo nie bała się własnej przyszłości, że aż gotowa była stawić czoło wszystkiemu, by tylko nadać jej jakąś treść. Zdała sobie sprawę, że dojrzałość nadeszła nie zapowiadana, nadeszła dzięki temu, że ona sama po prostu znalazła się w sytuacjach, których nie mogła przewidzieć i doskonale sobie z nimi radziła. Z tą, w której znajdowała się teraz, ciężko było sobie dać radę, ale Elizabeth usiłowała tego dokonać mimo niepokojących, profetycznych uczuć, które teraz przeklinała. Bitwa! Kiedy wychodziła za Williama, nawet o takiej możliwości nie myślała. On z pewnością nigdy o tym nie wspominał. A przecież każdy żołnierz musiał się z tym spotkać w czasie służby, a jego żona zmuszona była przetrzymać to uczucie nieopisanej bezradności.



Mijając ciemne kształty zwierząt, Elizabeth zaczęła się zastanawiać, co by się stało, gdyby nie przecięła ścieżki mężczyzny galopującego przez zielone wzgórza Sussex. Stłamszona i nieszczęśliwa przebywałaby w domu Delacourtów i może pewnego dnia matka Williama poinformowałaby ją, że jej syn wspomniał w liście o „niewielkiej rozróbie z tubylcami”, z której wyszedł bez szwanku. To wszystko, co wiedziałyby o tym niezapomnianym, dręczącym aspekcie profesji swego męża. Albo otrzymałaby oficjalne zawiadomienie o śmierci Williama w czasie bitwy stoczonej dwa miesiące wcześniej, podczas gdy ona malowała w ogrodzie akwarele lub towarzyszyła pannom Delacourt przy zakupie wstążek do czepków w sklepie pasmanteryjnym.

Teraz jasne stało się dla niej prawdziwe znaczenie tego, że William opuścił ją odpływając do Indii. Tym samym wykluczył ją całkowicie ze swego życia... i ewentualnej śmierci. Pośród tej pulsującej nocy Elizabeth odkryła, że świadomość tego ciągle ją rani, szła więc dalej, usiłując pozbyć się uczucia całkowitego odrzucenia, dopóki jej uwagi nie przyciągnęła dziwna łuna rozjaśniająca niebo po drugiej stronie dżungli. Tam przeznaczenie podejmowało decyzje, które mogły unieważnić wszystkie jej własne postanowienia. Kiedy nadejdzie świt, będzie musiała stawić temu czoło.

Mijała powoli jeszcze jedna godzina oczekiwania, w czasie której nikt nie mógł się rozpakować, rozpałić ognia ani nawet próbować zasnąć. W namiocie ucichł wreszcie szczebiot Lucy, która jak inne leżała teraz na dywaniku, próbując dać wytchnienie ciału, jeśli nie strapionemu umysłowi. Elizabeth zgadywała, że jej przyjaciółka była myślami raczej przy towarzyszu dzieciństwa, którego kochała z coraz większą siłą, niż przy swym zimnym, wymagającym, oniesmielającym ją mężu. Elizabeth skupiła myśli na powracającej wizji kobiety idącej przez indyjską równinę i towarzyszącemu temu obrazowi poczuciu bezgranicznej straty. Przerazało ją to, gdyż dało się wytłumaczyć tylko w jeden sposób.

Ciszę nocy zakłóciły nagle dźwięki przerywanych głosów, początkowo bardzo odległych, których potem zaczęło przybywać i które stawały się coraz głośniejsze. Rozbrzmiewały podnieceniem. Potem rozległy się ciche okrzyki wiwatu. Damy pospiesznie usiadły, obrzucając się pytającymi spojrzeniami. Zanim zdążyły wstać, z zewnątrz doszedł ich jakiś młody głos. Był to chorąży Jay, który służył im swym miłym towarzystwem w czasie całej drogi z Ratnapore.

— Wróg został rozgromiony, drogie panie! Wygraliśmy!

Kobieta siedząca najbliżej wejścia zaprosiła młodzieńca do środka i wszystkie panie uniosły się z niewypowiedzianą ulgą. Chorąży trzymał w dłoni latarkę, a wzdłuż drogi, którą zajmowała kolumna zaczęto zapalać pochodnie. Twarz młodszego oficera wyglądała w nagłym blasku żółtego światła niemalże strasznie, ale oczy błyszczały mu podnieceniem, kiedy usiłował pośpiesznie przekazać im wszystkie wiadomości.

— Była niesamowita, wspaniała bitwa! Wroga przepędzono i podpalono jego obóz. Stąd oczywiście ta luna, którą widzieliśmy. Mamy dużo rannych, więc Stavenham żąda środków medycznych, jedzenia i każdej pary rąk, jaka nadaje się do pomocy. Pan Weekes mówi, że w tej chwili mamy ruszać. — Uśmiechnął się szeroko, kładąc latarnię na ziemi. — Za sekundę konie będą gotowe. — Z tymi słowami zniknął.

Leo Weekes użył wszystkich swych zdolności organizacyjnych, by podzielić kolumnę. Z taborów wydostano przede wszystkim środki medyczne wraz z przerażająco małą liczbą pielęgniarzy oraz podstawowe artykuły żywnościowe, kucharzy i wszystko, co potrzebne jest do gotowania. Wydawszy rozczarowanemu chorążemu Jayowi i jeszcze jednemu młodszemu oficerowi rozkaz podążania we własnym tempie z bagażami, w towarzystwie kupców za skróconą kolumną, Weekes poprosił damy, by wraz z nim zajęły miejsce na jej czele, a żony prostych żołnierzy umieścił na jadącym z tyłu wozie. Trzeba było zająć się rannymi i w tym względzie kobiety zawsze służyły nieocenioną pomocą.

Nim dotarli do pasa ciemistej dżungli, poruszali się w bardzo szybkim tempie. Była to milcząca procesja. Radość zgasała i wszyscy myśleli teraz

tym, co zastaną na polu bitwy. Chociaż ścieżkę wyrąbaną przez tych, którzy ich poprzedzili, oświetlały pochodnie, wciąż trzeba było uważać przejeżdżając przez czarne gąszcza. Elizabeth nadal była zamyślona. Wiedziała, że John jest bezpieczny, ale wciąż się bała. Gdyby to William miał zginąć tego wieczora, nie szłaby przez równinę w tak głębokim smutku, w jakim pogrążona była samotna kobieta z jej wizji. Coż to mogło znaczyć? Dotąd wszystkie jej przeczucia sprawdzały się. Czyżby to dotyczyło dalszej przyszłości? Lecz obraz był tak wyraźny, ból tak głęboko ją poruszył, że nie mogła uwierzyć, by nie miało to żadnego związku z tą walką.

Kiedy drzewa zaczęły się przeredzać, pozwalając dojrzeć fragmenty miejsca, do którego podążali, serce Elizabeth zaczęło bić mocniej i nie przestało, gdy wreszcie przed jej oczyma roztoczył się widok na pole bitwy. Nawet Leo

Weekes zatrzymał się na chwilę. Pomędzy nimi a Fort Judapur rozciągało się piekło rozświetlane mnóstwem niewielkich ognisk. Czarne kręgi wskazywały miejsca, na których stały spalone namioty; z innych zostały zaledwie targane wiatrem strzepy. Ziemia zasłana była doskonale widocznymi w świetle gasnących płomieni ciałami zabitych i rannych oraz trupami mułów, rumaków i słońi. Zgromadzone w jednym miejscu stały działka polowe, niektóre przewrócone, inne pokryte szczątkami tych, którzy więcej już z nich nie wystrzelą. Z ułożonych w niedbałe stosy pudeł zapasy

amunicja wysypywały się teraz na pole, na którym rozszalały się namiętności. Na lewo od fortu znajdował się duży zbiornik zapewniający twierdzy i pobliskiej wiosce dostęp do wody, bez której nie można się tu było obejść. Zmęczeni, zwycięscy żołnierze i ich konie zaspokajali tam teraz pragnienie.

Nad całą sceną unosił się przerażający chór jęków, krzyków, końskich kwików pełnych udreki, przekleństw, cichego rżenia i rozkazów wydawanych ochrypłymi głosami przez tych, którzy starali się zachować resztki autorytetu w tym kalejdoskopie różnobarwnych mundurów, potykających i chwiejących się na nogach żołnierzy i nieszczęsnych zwierząt, które tak dzielnie im służyły, nie wiedząc, po co i dla kogo to robią.

Kolumna zatrzymała się zaledwie na moment, po czym ruszyła rozpierchając się w dół zbocza, by nieść ulgę cierpiącym i nakarmić głodnych wojowników. Niestety zwierzęta, które godzinami stały obładowane na drodze bez dostępu do picia, wymknęły się spod kontroli, kiedy poczuły wodę. Tylko dzięki okrutnemu użyciu bata udało się uniknąć tego, by nie popędziły tabunem do zbiornika, nim zdejmie się z ich grzbietów tak ważne zapasy. Elizabeth czuła się osłabiona szokiem, jaki przeżywała patrząc na to wszystko. Lucy wpatrywała się, nie zauważając nawet, że po jej kredowobiałych policzkach płyną łzy, w mężczyzn, których dotychczas widziała tylko na balach, wyścigach lub spacerach wokół estrady. Pozostałe kobiety z ich grona miały skupione miny osób, które spotkały się już z takimi scenami.

Łagodnie namawiając niechętne konie, by wjechały między wygasające płomienie, w rumowisko, damy zanurzyły się w ten chaos wiedząc, że są tu gdzieś potrzebne, ale niepewne, gdzie i co mają robić. Teraz, kiedy znalazły się na polu bitwy, wszystko wydawało się jeszcze bardziej przerażające. Elizabeth nie mogła uwierzyć, że ludzie mogą wydawać z siebie takie krzyki, że leżące dookoła krwawe tłumoki były kiedyś energicznymi młodzieńcami. Wzdrygnęła się na widok sanitariusza z noszami, odrzucającego niedbale ludzką nogę, by

spod stosu ciał tych, którzy nie czuli już bólu, wyciągnąć jakąś jęczącą istotę. Jej wzrok padł na idącego po omacku ubranego w szkarłat dragonów żołnierza, którego twarz była krwawą maską. Coraz rozpaczliwiej błagał o pomoc, wyczuwając wszędzie dłońmi tylko nieruchome ciała, bo nie mógł przecież wiedzieć, czy nie znajduje się w rękach wroga, który, jak mówiono, nie ma litości dla rannych.

Elizabeth nie była w stanie tak go zostawić, ześliznęła się więc z siodła i niepewnym krokiem zaczęła iść w stronę tego niemożliwego do rozpoznania człowieka, przepelniona tak głębokim współczuciem, że pozwoliło jej ono przetrzymać widoczne wokół pozostałości rzezi.

— Już idę — udało jej się wykrztusić przez zaciśnięte gardło. — Idę — powtórzyła głośnie.

— Nie widzę pani. Nic nie widzę — krzyknął mężczyzna.

— Jestem już blisko. Wszystko w porządku — odpowiedziała mu przez łyżę. — Nie jest pan sam.

W chwilę potem znalazła się w uścisku silnych ramion. Przez moment jej nerwy napięte były do granic wytrzymałości, przepelniał ją strach. Ujrzała mężczyznę w szkarłatnym mundurze. Jego jasne włosy przyklepione były do czoła, a w oczach malowały się uczucia, których jeszcze tam nie widziała.

— Elizabeth! — krzyknął William ochryłym głosem, najwyraźniej znajdując się w szponach emocji, których niemalże nie był w stanie opanować. Twarz drgała mu konwulsyjnie. Potem przyciągnął ją do siebie i wtuliwszy głowę w jej ramię, zaczął tak gwałtownie się trząść, że i jej ciałem wstrząsały paroksyzmy. Otoczyła go ramionami w geście pocieszenia i szeptała słowa, które przeznaczone były dla stojącego za nią ślepego żołnierza. Kawalerzysta czy rotmistrz, nieważne. Wszyscy potrzebowali tego samego po okrucieństwach wojny.

— Ludzie za wcześnie ruszyli do szturm — wyznał urywanym głosem jej mąż, podnosząc głowę, ale wciąż przyciskając Elizabeth do siebie. — Nie mogliśmy ich zatrzymać. Młody Calthorpe nie żyje. Humphrey został niezwykle poważnie zraniony. Reszta ma się nieźle, ale ten skończony idiota Carruthers nie posłuchał polecenia zakończenia pościgu. Podążył za wrogiem niesiony samotnie na fali zemsty, nie zwracając uwagi na moje rozkazy. Zarżną go, tak jak jego brata.

— O Boże! — krzyknęła cichym, łamiącym się głosem. — Był moim przyjacielem... przyjacielem, jaki rzadko się zdarza!

Wiliam, odzyskawszy już nieco panowanie nad sobą, odsunął ją mówiąc:

— Stavenham jest ranny w nogę i chodzi wściekły jak diabli z tego powodu, że nasi kawalerzyści niemal zawalili nam całą sprawę. Lepiej się dzisiaj do niego nie zbliżać. — Okrążył ją ramieniem i zaczął iść. — Każę rozbić nasz namiot i przygotować jedzenie.

— Ale... ale co z rannymi — protestowała. — Jestem tu potrzebna.

— Mnie jesteś potrzebna — stwierdził z mocą. — To nie miejsce dla mojej żony. Zawsze robiłem, co w mojej mocy, by cię od takich rzeczy ochronić. Chodźmy stąd.

Przy bladym świetle księżycy na szczęście udało się częściowo zatrzeć pozostałości bitwy, chociaż krzyki towarzyszące wynoszeniu rannych, teraz, o północy wydawały się być okrzykami duchów po raz drugi rozgrywających tutaj walkę. John, który dopiero teraz znalazł czas na refleksję, siedział patrząc w gwiazdy. Ogień płonący w jego udzie nie dałby mu zasnąć, nawet gdyby umysł został do tego zmuszony prozkami. Rana nie była głęboka, ale zdejmowanie munduru, które miało umożliwić opatrzenie jej, spowodowało duży wpływ krwi i związane z tym zawroty głowy, które zmusiły Johna do krótkiego odpoczynku i zjedzenia przygotowanego przez służbę gulaszu. W połowie posiłku odepchnął od siebie talerz. W żołądku wciąż mu się przewracało ze złości i poczucia niezaprzeczalnej odpowiedzialności za to, że to jego pułk wpadł w amok i zbyt wcześnie zaalarmował wroga. Z tego powodu bitwa trwała o wiele dłużej, a on stracił o wiele więcej ludzi, niż było to konieczne.

Młody Calthorpe został zabity, ale ci, którzy wyrwali się z szeregu, a przetrwali bitwę, wysłuchali zjadliwych i pełnych potępienia słów Johna. To by było tyle, jeśli chodzi o obraźliwe zastrzeżenia Lakelanda co do tego, czy ekshuzar zdoła dorównać jego wspaniałemu pułkowi dragonów! Jeden z oficerów nie słyszał przemowy Stavenhama, bo proklamował tego wieczora wojnę, która nie miała nic wspólnego z odbiciem fortu. Rupert Carruthers opuścił swych ludzi, by gonić wroga z powodu osobistej chęci dalszego zabijania. Hugo wiązał takie nadzieje z wojskową karierą brata! Rupert nie obrał właściwej drogi, by uczcić jego pamięć. Skończył się tak dumny ród i tak dumna tradycja pułku. Ostatni potomek rodziny zlekceważył rozkazy i pogalopował ku własnemu niechlubnemu końcowi. John czuł się tym niezwykle zasmucony. Powinien był



usilniej próbować przełamać nieznośny ból tego chłopca, uparcie starać mu się pomóc, skoro widać było, jak bardzo tego potrzebuje.

John napomniiał sam siebie, że kiedy należy planować dalszą akcję, dowódca nie powinien tracić czasu na pełne żalu rozmyślania o błędach, których nie da się już naprawić, i skierował wzburzone myśli na temat sposobów zdobycia fortecy. Ludzie, którymi była obsadzona, nie mieli teraz wobec nich żadnych szans. Mądry dowódca wywiesiłby o świcie białą flagę, ale że buntownicy byli zdesperowani i często niezdiscyplinowani, istniała całkiem realna możliwość, że odmówią poddania się. John miał nadzieję, że będą rozsądni, gdyż zdobywanie twierdzy siłą pociągnęłoby za sobą dalszy bezsensowny rozlew krwi. Przewaga była jednak po jego stronie. Zdobyli sześć dział, które były nowocześniejsze i efektywniejsze od tych, które znajdowały się ponoć w forcie, można więc będzie utrzymać ciągłe bombardowanie Judapur, podczas gdy z murów obronnych padać będą niecelne, sporadyczne strzały. Ponadto oblężenie skończy się wkrótce, ponieważ zbiornik wody znalazł się w ich rękach. Jeśli jednak w forcie znajdują się większe siły, niż sądził, uzbrojone w celne karabiny, szybki atak przypuszczony o świcie z twierdzy mógłby się powieść, gdyby zastał siły brytyjskie słabe i wyczerpane. Wiele by dał, żeby spojrzeć za te potężne mury i policzyć tych, których chroniły.

Chcąc sprawdzić ruchliwość nogi, wyprostował ją i jęknął z bólu. Kiedy znów znajdzie się w siodle, będzie zdolny zrobić wszystko, powiedział sobie, przyglądając się raz jeszcze oświetlonemu przez księżyc polu bitwy. Jak najszybsze opanowanie i zajęcie fortu było koniecznością. Mając za murami sześć zdobytych dział, które mogłyby wspomóc obronę, oraz zapas wody, mógłby odeprzeć każdą próbę zdobycia fortecy przez ludzi Gandy Singha. Nie wróćą bez posiłków i nowych dział, miał więc kilka dni na przygotowanie się do ewentualnego natarcia wroga. Musi działać pamiętając o tym. Ci z ludzi Nicholsona, którzy stali teraz na straży działek polowych, muszą zostać zastąpieni przez podwójną liczbę żołnierzy, a on sam rozkaże jakiemuś oficerowi i dwóm ludziom, aby rankiem byli gotowi jechać konno do fortu pod białą flagą pokoju i poradzić wrogom, by w imię ludzkości poddali się. Jeśli odmówią, nie będzie miał innego wyjścia, niż użyć siły.

Sięgnąwszy do stolika, zaczął z ociąganiem opracowywać zarys planu akcji, który w ciągu godziny przedyskutuje z oficerami. Tym razem Dragoni Forrester's będą odgrywali tylko rolę wspomagającą. Kiedy minie grożące im niebezpieczeństwo, John sam będzie musztrował tak oficerów, jak prostych kawale-

rzystów, dopóki nie zrobi z nich świetnych żołnierzy. Zapamiętaj sobie Judapur do końca swoich dni.

W pół godziny później John zdecydowanie podniósł się z miejsca i krzyknął, by przyprowadzono jego konia. Plan został opracowany. Teraz trzeba wcielić go w życie. Najpierw pójdzie do namiotu Nicholsona i każe mu podwoić strażę przy działach. Potem trzeba będzie sprawdzić, ilu rannych będzie w krytycznej sytuacji zdolnych do walki. Następnie odszuka chorążego Jaya, który był niezwykle rozczarowany, że nie każe mu się robić nic bardziej heroicznego niż pilnowanie dam. Zrekompensuje mu to odpowiedzialne zadanie udania się pod twierdzę z białą flagą i żądaniem kapitulacji. John starał się nie myśleć o strategicznym aspekcie swego wyboru, nie mógł jednak zaprzeczyć, że wysyłając tam chłopca nie ryzykuje utraty cennego oficera, w razie gdyby wróg zlekceważył białą flagę.

Jadąc bardzo powoli przez obóz wyrosły na zgliszczach poprzedniego, John miał wrażenie, jakby poruszał się we śnie. W nocnym powietrzu wciąż wisiał dym, wywołujący kaszel u żołnierzy, którym mimo wyczerpania nie pozwalały zasnąć powracające wspomnienia bestialskiej walki. Niektórzy zbierali się w grupy i rozmawiali, bojąc się własnych myśli. Inni siedzieli jak w transie przy martwych zwierzętach, które od wielu lat były ich ukochanymi partnerami. John również stracił swego rumaka imieniem Falcon, ale nie miał czasu go oplakiwać. Zbyt wiele miało się jeszcze zdarzyć.

Nicholsona nie było w namiocie, John zastał tam natomiast Lucy. Dziewczyna wyglądała, jakby została śmiertelnie raniona i była umierająca. Domyślił się, że to los młodego Carruthersa tak bardzo ją poruszył. Odezwał się więc uprzejmie:

— Przepraszam, że panią niepokoję, ale szukam pani męża. Gdzie mogę go znaleźć?

— Poszedł odwiedzić rannych — odpowiedziała głucho, ściskając otulającą jej ramiona czarny szal i patrząc przed siebie, jakby wpatrywała się w jakieś odległe miejsce.

— Mam nadzieję, że nie boi się pani być sama?

Potrząsnęła głową, a jej złociste loki załśniły w świetle latarenki. Niezmiernie żał mu było tego dziecka, ale nie mógł mu pomóc. Potrzebowała towarzystwa drugiej kobiety, najlepiej Elizabeth, ale on nie pójdzie do namiotu Delacourtów, by to zaproponować. Widział swą miłość z daleka, gdy szła obję-

ta ramieniem męża. Po bitwie mężczyźni robili się opiekuńczy wobec swoich żon i często zachowywali się niezwykle emocjonalnie. Dzisiaj musi się trzymać od Delacourtów z daleka.

Popędziwszy konia, udał się w kierunku prowizorycznego szpitala, w którym Nicholson z pewnością odwiedza jednego lub kilku swoich „chłopców”. Możliwe, że jeśli któryś z nich umrze, na Henrym nie będzie już można polegać. John westchnął ze złością. Kiedy prawda wyszła na jaw, trzeba było zmusić go, by przeszedł w stan spoczynku. Tymczasem zrujnował słodką, młodziutką istotę i stanowił problem w takich chwilach jak ta. Aby dotrzeć do szpitala, który przezornie umieścił z dala od namiotów wojska, musiał przejechać przez ogrodzony naprędce teren, gdzie trzymano jeńców wojennych. Chociaż siedzieli ponurzy i przygnębieni, nie czuł żalu spoglądając na tych ludzi, którzy z pewnością nie darowałyby swym więźniom życia. Nagle dostrzegł znajomą twarz, twarz z przeszłości, na której widok całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz, a krew skrzepła mu w żyłach.

Gwałtownie zatrzymawszy konia, siedział, próbując złapać oddech, gdy tymczasem Hindus, który kiedyś mu służył, również go rozpoznał i wpatrywał się w niego rozszerzonymi strachem oczami. Potem zerwał się i próbował uciekać, ale nie mógł. Otaczała go palisada pilnowana przez uzbrojonych żołnierzy. John, drżący i osłabiony przez targające nim uczucia, zsiadł z konia zdziwiony, że jest w stanie utrzymać się na nogach, i ruszył w kierunku sługi, który pewnego ranka wyszedł z Clare Stavenham i nigdy nie wrócił. W jednej chwili John przypomniał sobie osiem lat udręki i przerażające sceny, które mu się roily, a w piersi rozszalała mu się burza, cyklon gniewu silniejszy od wszystkich, których doświadczył. Ten człowiek wiedział, co przydarzyło się Clare; wiedział, lecz nigdy się z tym nie zdradził. Żył, choć wszyscy sądzili, że jest martwy. Dobry Boże, a co z nią?

Dotarwszy do palisady, John chwycił się jej obiema rękami, które tak drżały, że ogrodzenie zaczęło klekotać. Jego dawny sługa, obserwując szeroko rozwartymi oczami, jak się zbliża, poznał, że rządzi nim jakaś nieposkromiona siła.

— Gdzie... gdzie ona jest? — spytał John łamiącym się, drżącym głosem, czując, że krew łomocze mu w skroniach jak burza.

— Odeszła, sahib. Odeszła—jękął mężczyzna.

— Gdzie?! — powiedział chrapliwym głosem, niemal obawiając się odpowiedzi.

— Za dużo jest w niej z Hinduski, sahib. Teraz jest szczęśliwa.

Łomot w skroniach nasilił się.

— Żyje?

— W zeszłym roku jeszcze żyła. Służyłem jej, póki do wioski nie przyszli żołnierze i nie wzięli wszystkich młodych mężczyzn do wojska. — Wysunął się do przodu; oczy lśniły mu teraz przebiegle. — Zaprowadzę cię do niej, sahib, a ty będziesz mnie chronił przed swoimi ludźmi.

John miał przed oczyma tylko młodą mężatkę w sari, z włosami rozpuszczonymi tak, jak nosiły je Hinduski. Ten kraj tak zauroczył Clare, że odeszła od męża nie oglądając się wstecz, nie dręczona resztkami dawnego uczucia. Usunęła go ze swego życia tak ostatecznie, że nie myślała nawet o tym, co on później wycierpi. Jego żona, dziewczyna, w której był kiedyś szaleńczo zakochany, uległa namiętności tak potężnej, że wszystko inne było dla niej niczym... a on opłakiwał ją przez całe osiem lat!

Więzień nadal namawiał go, błagał, targował się o swe bezpieczeństwo, ale John nie widział nic prócz dziewczyny, która grała na sitarze i ozdobiła ściany ich domu scenami z życia kraju, który mu ją odebrał. Kiedy tuż obok pojawił się William Delacourt, Stavenham wciąż trzymał się palisady i wpatrywał niewidzącymi oczyma w twarz, którą widział ostatnio dziewięć lat temu.

— Właśnie przyjechał młody Carruthers. Pomyślałem, że powinniście o tym wiedzieć — powiedział cicho William.

John odszedł chwiejnie w noc nie zauważając nikogo i niczego, a burza szalejąca w jego głowie stała się nie do zniesienia.

## ROZDZIAŁ XIII

Teraz, gdy po ognisku został stygnący żar, z miejsca, na którym siedziała Elizabeth, widać było zaledwie zarysy namiotów, zwierząt, a czasem jakiejś przesuwanej się postaci. Chociaż właśnie minęła północ, pani Delacourt czuła, że sen jeszcze długo nie nadejdzie. George Humphrey, którego odwiedziła, tylko mgliście zdawał sobie sprawę z jej obecności i odpowiadając wśród męczarni na pytania, mówił do niej „Fanny”. Bez lekarza, który zadbałby o rany George'a, miał on niewielkie szanse na przeżycie, tym bardziej, iż stracił wolę przetrwania. Elizabeth jak mogła, starała się podnieść rannych na duchu, a że tylko tyle była zdolna w tej sytuacji zrobić, najmądrzej byłoby teraz zasnąć, jeśli tylko zdoła się na tyle uspokoić.

W namiocie obok płonęło ciemne światło. Nie mogła leżeć w łóżku nie zwracając na nie uwagi. William wrócił, powiadomiwszy Johna, że brakujący młodszy oficer przyjechał z powrotem cały, choć wyczerpany i splamiony krwią wroga. To, co mąż opowiedział jej o Johnie, bynajmniej jej nie uspokoiło. Teraz William, który najwyraźniej otrząsnął się z szoku po bitwie, odszedł ponownie, by sprawdzić, na ile koni można będzie nazajutrz liczyć. Została więc znów sama i w tym widziała swą szansę. Z determinacją zerwała się na nogi, wyszła schylając się z namiotu i podążyła tam, gdzie w przedzierającym się przez płótno świetle widać było zarysy siedzącej, zgarbionej postaci.

Kiedy bez wahania wkroczyła do namiotu Ruperta, od razu zaniepokoiło ją jego przesiąknięte krwią ubranie. Chłopak wpatrywał się w ziemię i chociaż zignorował jej wkroczenie, wydawał się całkowicie nad sobą panować. Uklękła przed nim tak, by nie mógł ominąć jej wzrokiem i ujęła w dłonie jego zwisające luźno między nogami ręce.

— Już po wszystkim, mój drogi. Wystarczy — powiedziała delikatnie. — Zrobiłeś to, co uważałeś za swoją powinność, i na tym należy zakończyć.

Utkwił w jej twarzy swe zgasłe, niebieskie oczy.

— To było takie łatwe. Nie zdawałem sobie sprawy, że to będzie takie łatwe.



— Od tej chwili musi to być najtrudniejsza rzecz na świecie — odparła wiedząc, że powodowany rozpaczą działał porzuciwszy wszelką myśl. — To, co zrobiłeś, było złe i zostaniesz za to ukarany. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Potrząsał głową.

— To było takie łatwe.

— Staniesz przed sądem wojennym. William twierdzi, że z pewnością cię to czeka. Słuchaj mnie, Rupercie — rozkazała z mocą zauważywszy, że patrzy, jakby jej nie widział, pogrążony we własnych myślach. — Czy tak masz zamiar czcić pamięć swego brata: przynosząc ujmę jego nazwisku i mundurowi, który nosił? Czy myślisz, że byłby dumny z tego, co dzisiaj zrobiłeś?

Udało jej się go zainteresować, starała się to więc wykorzystać.

— Rozmawiałam z nim tylko raz, ale ty tak wiele razy opowiadałeś o nim z miłością i podziwem, że moje przekonanie, iż wiem, jakim był człowiekiem, wydaje mi się usprawiedliwione. Z takim samym przeświadczeniem mogę stwierdzić, że gdyby sytuacja wyglądała inaczej i to ty zostałbyś zamordowany na równinie przez Hindusów, Hugo opłakiwałby cię we właściwy sposób i służyłby dzisiaj krajowi, a nie własnej gorzkiej zemście. Przyjechałeś tu, by zyskać jego siłę charakteru, czyż nie? I zawiodłeś, już gdy wystawiono cię na pierwszą próbę. Błagam cię, skończ z tym, zanim pułk nie skończy z tobą.

— Zarznęli go bez litości! — krzyknął ze złością. — Nie dano mu żadnej szansy!

— I ty mu jej nie dasz niszcząc własne życie. Hugo odszedł na zawsze, Rupercie. Nawet zabijając tysiąc wrogów nie odzyskasz go ani nie zaprzeczysz prawdzie, której nie chcesz zaakceptować. Możesz sobie jednak poradzić z tym nieszczęściem, jeśli przypomnisz sobie, jakie nadzieje wiązał z tobą brat i spróbujesz je spełnić. Powiedz mi wreszcie, na miłość boską, że skończyłeś już z tą szaleńczą zemstą!

Patrzył na nią, a twarz zaczynała mu drgać. Do rozbłysłych nagle smutkiem oczu Ruperta napłynęły łzy, a on schwycił jej dłonie w swoje z taką siłą, że niemal łamał jej palce. Potem wyrzucił z siebie potok słów, które siłą tłumił w sobie od chwili tragedii.

— Był dla mnie wszystkim... wszystkim, co miałem i czego pragnąłem. Nie wiesz, ile znaczyło dla mnie, że wreszcie tu dotarłem... znów mogłem z nim być. Mieliśmy takie plany! Zaprosił mnie na polowanie na tygrysy. Chcie-

liśmy wziąć urlop i jechać do Tybetu. Znał przewodnika, który mógłby nas poprowadzić. Jego rumak... mistrz... Hugo zaproponował mi coś wspaniałego, Elizabeth. Nie uwierzysz! Powiedział... powiedział, że pozwoli mi go dosiadać na wyścigach, a jak tylko wygram, koń będzie mój! Czy widziałaś kiedyś tak hojnego brata?

— Nie, mój drogi — odparła, współczując z całej mocy temu beznamietnemu zabójcy, który znów przeobraził się w chłopca, w młodszego brata, jakiego mogłaby mieć.

— To nie wszystko. Miał wspaniałe plany związane z pułkiem. Wiesz, że objąłby dowództwo po Lakelandzie. Hugo byłby cudownym pułkownikiem, a Dragoni Forrester's staliby się pod jego komendą jednym z najlepszych pułków armii brytyjskiej!

— Wciąż mają na to szansę... pod twoim dowództwem, Rupercie. Hugo bardzo by tego pragnął. Mógłbyś wprowadzić w życie wszystkie te plany, o których z tobą rozmawiał.

Wciąż ściskając jej dłonie, Rupert zaczął objaśniać niektóre z tych zamierzeń swym zwyczajnym, ochoczym, entuzjastycznym głosem, w którym teraz rozbrzmiewała też nuta rozpacz. Elizabeth słuchała go chciwie, usiłując nie zwracać uwagi na odór krwi unoszący się z jego ubrania. Słuchając coraz smutniejszego potoku słów, przygotowywała się na to, co, jak wiedziała, musi nastąpić. Nagle sama doświadczyła jednak tego okropnego poczucia straty, gdy Rupert swą opowieścią znów przywołał do życia Hugona Carruthersa. Serce bolało ją, gdy pomyślała, że nigdy nie ujrzy już tego czarującego, inteligentnego, charyzmatycznego mężczyzny, który posiadał wiele zalet, a przecież miał też zwyczajne, ludzkie słabości. Łzy zaczęły bez ostrzeżenia spływać po jej policzkach, gdy Rupert nie mógł już więcej ze sobą walczyć i wybuchnął szloch. Przyłgnąwszy do siebie instynktownie, gnani tą odrodzoną, młodzieńczą więzią, niemalże pokrewieństwem, kołysali się w swych pogrzipających objęciach, przynoszących im ulgę w cierpieniach, które przeżyli od czasu, gdy razem podróżowali przez kraj, z którym wiązali takie nadzieje.

Rupert uspokoił się w końcu na tyle, by wyrwać się z objęć Elizabeth i spojrzeć na nią zaczerwienionymi oczami.

— Czuję się tak przerażająco samotny.

Skinęła głową, wycierając chusteczką policzki.

— Wiem, ale masz kochających przyjaciół. Musisz wiedzieć, że bardzo cię polubiłam. Jako jedynaczka byłam samotna prawie przez całe życie, czy mogłabym więc uważać cię za brata, którego mogłam kiedyś mieć?

Nie był jeszcze gotów do rozpatrywania takiego pomysłu, ale czuła, że niedługo już będzie do tego zdolny. Spróbowała jeszcze raz.

— Lucy Nicholson jest twoją przyjaciółką z dzieciństwa. Od dawna zna i ciebie, i twojego brata. Głęboko ją zraniłeś odrzucając jej kondolencje w chwili, gdy sama czuła się nieszczęśliwa i samotna. Porozmawiaj z nią o Hugonie. Opowiedz jej to, co mówiłeś mnie o jego cnotach i osiągnięciach. Jeśli najdroższy przyjaciel będzie przy niej, by ją rozweselić, życie stanie się dla niej znorniejsze.

Chociaż skinął w odpowiedzi głową, widać było, że wciąż jest załamany. Przez chwilę siedział tak, jak zastała go wchodząc, i milczał. Po czym podniósł głowę, skończywszy wpatrywać się w ziemię i powiedział stłumionym głosem:

— Tak bardzo go kochałem. Nie wiesz, co znaczy dla mnie jego strata.

— Wiem — odparła łagodnie. — Tak, wiem. Kiedyś bardzo kochałam i musiałam patrzeć, jak odchodzi z mego życia. To tak, jakby nigdy już miał nie nadejść świt.

Przez chwilę patrzyli na siebie z rosnącym zrozumieniem, po czym Elizabeth rzekła:

— Musisz spać. Koszmar się skończył, Rupercie.

Po wyjściu z namiotu stanęła na chwilę z ulgą w ciemności, czując się jakby sama przeszła koszmar. Nocne niebo zasłaniały chwilowo chmury; ogniska przygasały i błogosławiony mrok ukrył pozostałości bitwy. William nie wrócił jeszcze do namiotu. Panował przecudowny spokój, a nastrój nocy odpowiadał jej własnym odczuciom. Spokój Elizabeth zmąciła jednak wizja młodej kobiety wędrującej samotnie przez niekończącą się równinę. Obrazowi temu towarzyszyło uczucie krótkotrwałej, głębokiej rozpacz, i chociaż zniknęło ono w mgnieniu oka, Elizabeth była wstrząśnięta. Dziewczyna miała długie, rozpuszczone włosy i ubrana była w luźną, białą szatę przypominającą całun. Ten sam obraz nawiedził ją przed bitwą i bardzo ją wtedy wystraszył. Czemu powrócił teraz, gdy walka się skończyła i dlaczego była już pewna, że to nie ona jest tą kobietą?

Zatęskniwszy nagle za towarzystwem, Elizabeth poszła odszukać Lucy, która mogła jeszcze nie wiedzieć, że Rupert powrócił już, nie odniósłszy żadnego szwanku. Przyjaciółka jego dzieciństwa, jeśli tylko zlekceważy zakazy starzejącego się męża, będzie mogła iść teraz do Ruperta bez obawy, że zostanie odrzucona. On mógł wprowadzić odrobinę ciepła w jej młodość pozbawioną miłości. Ból wywołany uczuciem, że zbyt mocno go kocha, będzie z pewnością niczym w porównaniu z przerażającym osamotnieniem, z powodu którego cierpiała teraz. Rupert i Lucy całkiem niewinnie będą mogli sobie nawzajem pomagać... do chwili, gdy nie będą już w stanie dłużej ignorować swych prawdziwych uczuć. Wtedy znajdą się w obliczu trudnego problemu, któremu ona i John musieli również stawić czoło. Zatrzymała się na chwilę, uświadomiwszy sobie ponownie własną sytuację, co zakłóciło krótką chwilę wewnętrznego spokoju, i przypomniała sobie, iż przysięgła jak najprędzej opuścić Indie. Nie będzie miała czasu, by rozkoszować się siostrzanymi uczuciami w stosunku do chłopaka, którego zostawiła właśnie w namiocie, by odespał swe szaleństwo. Ruszyła dalej z ciężkim sercem. Jej przeznaczeniem najwyraźniej była samotność.

Piechota rozbiła namioty najbliżej fortu. Zbliżając się tam zauważyła, że w ciemności otaczającej równe rzędy namiotów wre jakiś niespodziewany ruch. William mówił jej, że ludzie Nicholsona pełnią straż przy działach: teraz odbywała się więc pewnie zmiana warty. Zmierzając w stronę namiotu, w którym zaświecona była lampka, zauważyła w środku sylwetki kilku osób i zawahała się. Lucy miała towarzystwo. Nie był to właściwy moment na przekazywanie jej radosnych wiadomości, z którymi tu przyszła.

Odwróciła się, zrobiła kilka kroków, po czym stanęła pełna niepokoju i niedowierzania. Z przeciwka nadchodziła zdecydowanym krokiem grupa sipajów, prowadząc przed sobą wszystkich sześciu oficerów podległych Nicholsonowi. Anglicy mieli związane ręce, a idący obok Hindusi przykładali im do gardeł bagnety. Elizabeth zamarła i wpatrywała się w nich rozszerzonymi oczyma, nie pojmując, co się dzieje.

Zmieszani jej niespodziewaną obecnością sipaje zatrzymali się i wycelowali w nią karabiny. Jason Peters odezwał się pospiesznie:

— Niech się pani nie boi. Nie mają zamiaru pani skrzywdzić, tylko błagam, proszę się nie odzywać ani nie próbować uciekać.

Elizabeth, nie mogąc się ruszyć z miejsca z powodu jeszcze jednego szoku w tym okropnym dniu, zaczęła zastanawiać się nad znaczeniem tego, co się

rozgrywało przed jej oczyma. Po ściszonej rozmowie z jednym ze swych ludzi porucznik Peters potwierdził jej obawy mówiąc:

— Kazano mi powiedzieć pani, że jakakolwiek próba rozgłoszenia tego, co się tu dzieje, zmusi ich do natychmiastowego podejrzenia nam wszystkim gardel. — Ze smutkiem raczej niż z obawą dodał: — Zrobią to, proszę mi wierzyć. Jakikolwiek atak na fort będzie miał taki sam skutek. Musi to pani przekazać mężowi, jak tylko o świcie zostanie odkryty bunt. Na pierwszy znak ataku zostaniemy zamordowani.

Elizabeth mogła tylko w milczeniu skinąć głową podziwiając, z jakim spokojem oficerowie przyjęli to przerażające ultimatum od ludzi, którymi z takim zaufaniem dowodzili. W chwilę później jej uwagę zwrócił niespodziewany ruch za jej plecami. To dwaj młodzi sipaje, których bagnety wciąż pozostawały na karabinkach, prowadzili Nicholsona. Nie był związany tak jak inni i wbijał oczy w ziemię, jakby z jakiegoś powodu nie mógł spojrzeć swoim oficerom w twarz. Zastanawiając się, czemu on jeden wydaje się być mniej zagrożony od innych, Elizabeth zauważyła, że w jego namiocie zgasło światło. Zapewne w środku Lucy zmuszona jest dostosować się do takiego samego ultimatum jak ona.

— Ani słowa, bardzo proszę, droga pani — ostrzegł Jason Peters, podczas gdy buntownicy popychali oficerów w stronę równiny, a stamtąd do Fort Judapur.

Grupa nie przeszła jednak więcej niż kilka jardów, gdy z mroku wynurzyło się dwóch sipajów, którzy na jej widok stanęli zdziwieni. Przez kilka pełnych napięcia sekund Hindusi patrzyli na siebie targani sprzecznymi uczuciami lojalności. Po chwili, zrozumiałwszy wszystko, para sipajów uniosła zdecydowanie karabiny. Powietrze rozdarł dźwięk ogłuszających meldunków. Elizabeth była tym tak zaszokowana, że krzyknęła cicho, po czym zakryła usta dłonią widząc, jak Jason Peters pada na ziemię, a z jego podejrzanego gardła tryska krew. W chwilę później sipaj, który zabił własnego oficera, padł obok niego, zamordowany w odwecie przez własnego krajana.

Noc rozbrzmiała krzykiem, strzałami i dźwiękami trąbek, a obozowisko wypełniło się zaspanymi, potykającymi się mężczyznami, którym natychmiast dawano wybór między przyłączeniem się do buntowników a śmiercią z ich ręki. Elizabeth stała między nimi zbyt zaszokowana, by myśleć lub poruszyć się. W centralnej części obozu zaczęły zapalać się światła, ale nie rozświetlały one dostatecznie panującego dookoła zamieszania, które wydawało się wybuchać w



różnych miejscach, gdy tymczasem pojmani oficerowie nieustępliwie prowadzeni byli w panującą poza obozem ciemność.

Wtedy przez odgłosy armatnich strzałów przebił się dźwięk, który dotarł wreszcie do osłupiałej Elizabeth. W ciemnym namiocie Lucy krzyczała ze strachu. Tego sygnału rozpaczy pani Delacourt nie mogła zignorować. Uniósłszy dłońmi swoją długą spódnicę, zaczęła biec w kierunku dziewczyny, która słyszała, lecz nie mogła widzieć rozgrywających się wokół potworności. Dźwięk pojedynczego wystrzału zginął pośród wrzawy potyczki, więc Elizabeth nie spodziewała się poczuć kuli, która zagłębiła się w jej udo. Zachwiała się na nogach czując palący ból, który przenikał ją aż do kości, i zgięła się wpół, dotykając miejsca, w które została zraniona. Przez głowę przeleciało jej wspomnienie przecucia bólu w kończynach i jednocześnie zdała sobie sprawę, że została ranna, bo znalazła się w ogniu krzyżowym. Rozpaczliwie usiłując dotrzeć do relatywnie bezpiecznego namiotu, z którego wciąż dochodził histeryczny krzyk Lucy, zaczęła posuwać się na czworakach. Gdy była już o kilka jardów od celu, uczuła dziwny powiew w okolicach lewej skroni. Potem Elizabeth zapadła się w ciszę i mrok.

Po twarzach oficerów tłoczących się wokół namiotu Johna widać było, że zdają sobie sprawę, jak skomplikowane czeka ich zadanie. Mieli rozkaz zająć i wzmocnić fort graniczny, nie było więc mowy o wycofaniu się, a jednocześnie wiedzieli, że każda próba ataku pociągnie za sobą śmierć zakładników. Jakby to nie wystarczało, gdzieś w pobliżu były w dodatku gotowe do ponownej walki oddziały Gandy Singha, a oni dysponowali teraz zaledwie garstką piechurów — tych, którzy dochowali wierności swemu pułkowi, a nie pobratymcom. Teraz mogą znaleźć się w sytuacji bez wyjścia.

John ogarnął ich wzrokiem. Czuł się jak wrak człowieka. Prawda o Clare przywołała wspomnienia, które od dawna próbował usunąć z pamięci. Natychmiast po tym szoku nadszedł bunt dowodzonych przez niego żołnierzy i związane z nim pojmanie brytyjskich zakładników oraz tragiczna śmierć młodego Jasona Petersa, który tak zawzięcie bronił przed Rupertem tych samych ludzi, którzy go zabili. W dodatku raniono kobietę, którą kochał, lecz nie mógł sobie przypomnieć jej wyglądu, mając wciąż przed oczami obraz żony. W tej chwili nie czuł nic, obce mu były wszelkie doznania. Dziękował Bogu, że mimo to mógł jaśniej myśleć.

— Nie wiem, czy kiedykolwiek stawialiście się w sytuacji naszego wroga, panowie, ale ja starałem się to zrobić przez ostatnią godzinę — oznajmił. —

Gdybym znajdował się w Fort Judapur, spodziewałbym się ze strony wojska, usytuowanego tak jak my teraz, dwóch rzeczy. Liczyłbym na to, że albo wycofa się pod osłoną nocy, albo spędzi dużo czasu deliberując nad tym, jak przed powrotem sił Gandy Singha zaatakować fort, nie narażając przy tym jeńców. Zgadza się ze mną?

Cichymi przytaknięciami lub skinieniami głowy wyrazili swą aprobatę, a jeden z chorążych zapytał z przejęciem:

— Pogróżka, że zabiją oficerów to tylko blef, prawda, sir?

— Możecie jeszcze tak przypuszczać, skoro porucznik Peters już zginął z ich rąk?

— A więc musimy się wycofać? — stwierdził chłopak z rozczarowaniem.

— Nie, Bennett, mamy rozkaz zająć fort i musimy go wykonać. Długo zastanawiałem się, jak osiągnąć nasz cel, narażając jeńców na jak najmniejsze ryzyko i wydaje mi się, że znalazłem pewien sposób. — Spojrzawszy na ich sceptyczne miny, powiedział: — Widzę, że macie jakieś wątpliwości. Sam je żywię, ale mamy wybór tylko między moim planem, a sromotną klęską. Nie muszę pytać, co wolicie, panowie. Śmiało możemy założyć, że wróg będzie oczekiwał, iż ewentualny atak rozpocznie ostrzał artyleryjski, po którym ruszymy przez równinę do szturm. Dlatego też większość obrońców fortu skoncentrowana zostanie po stronie wschodniej. Nie wiedząc, jakimi dysponują siłami, nie jestem w stanie ocenić, jakie mamy z nimi szanse w bitwie konwencjonalnej, zmuszony więc jestem użyć naszej jedynej, najpotężniejszej broni: zaskoczenia. Broń ta całkiem nieźle sprawdziła się już w czasie ataku o zmierzchu, mimo przedwczesnego ruszenia do natarcia lewego skrzydła. Doskonale wykorzystali ją też buntownicy — dodał gorzko. — Mam zamiar zaatakować od zachodu, gdzie według planu powinna znajdować się boczna brama wiodąca do wewnętrznych umocnień.

Zapadła cisza, przzerwana wreszcie kostyczną uwagą Williama Delacourta:

— Nie mamy drabin oblężniczych ani żadnego tarana, by sforsować bramę.

— Nie, ale mamy duże ilości prochu zostawionego przez wojsko Gandy Singha. Zrobimy z niego doskonały użytek. Nasza piechota liczy teraz zbyt mało żołnierzy, by mogła być efektywna, a morale piechurów, którzy dochowali nam wierności, zostało w dodatku nadszarpnięte przez dezercję ich towarzyszy

i sposób, w jaki potraktowali oficerów. Muszę polegać na Dragonach Forrester's i Konnicy Kingsford's — na kawalerzystach.

— Kawaleria nie weźmie szturmem fortu, sir — zaprotestował Leo Weekes.

— Nie w konwencjonalny sposób — zgodził się John. — My jednak wkroczymy i zaatakujemy od tyłu. — Odchrząknął i mówił dalej. — Mamy niecałą godzinę na przygotowania, słuchajcie więc uważnie. Nim wstanie świt, na równinie za fortem ma stać trójkami w kolumnie cała nasza kawaleria. Piechota podejdzie w ciemności do samych murów i ustawi się po obu stronach bram, gotowa do przystąpienia za kawalerią do szturm, gdy tylko zostaną one wysadzone. Sprawą zasadniczą jest tu koordynacja czasowa i tajemnica. Jeśli w jakikolwiek sposób damy znać o swej obecności, cały plan nie powiedzie się. Wszyscy musicie zajmować wyznaczone miejsca i być gotowi do ataku, gdy tylko wylecą w powietrze bramy. Szarża kawaleryjska w samo serce fortu to ostatnia rzecz, jakiej będą się spodziewać. Wybuchnie zamieszanie i panika, co bardzo nam pomoże. Mam najszczerzą nadzieję, że pomoże też zakładnikom. Cała akcja powinna rozegrać się tak niespodziewanie i szybko, że nikt ani nie pomyśli, ani nie będzie miał czasu na zamordowanie naszych oficerów. Bennett, waszym zadaniem będzie ich odszukać i uwolnić nietkniętych, jak tylko wkroczymy do fortu. — Westchnął ciężko. — Obawiam się, że to jedyne, co możemy dla nich zrobić. Musimy zdobyć fort. Macie jakieś pytania, panowie?

— Tak, sir. Nie mamy ani saperów, ani minerów. Kto wysadzi bramy?

— Ja... ale ostrzegam, że chociaż wiem, jak zakładać i eksplodować ładunki, mam dosyć mgliste pojęcie o tym, jakich należy używać ilości.

Obiecuję wam eksplozję, ale czy wraz z bramami zawali się połowa murów, czy też będziecie zmuszeni przeciskać się przez wąską szczelinę, to się dopiero okaże. — Patrząc na nich szczerze, dodał: — Cokolwiek by się zdarzyło, musicie przypuścić szarżę na bramy, gdy usłyszycie detonację. Jedyłą nadzieją na przetrwanie jest i dla nas, i dla zakładników udane, niespodziewane wkroczenie naszych wojsk do fortu. Jeśli nie ma innych pytań, niech panowie pójdą wyłumaczyć swoim ludziom, czego będziemy od nich oczekiwać.

— Sir! — zawołał stojący dalej, trochę zniewieściały chorąży. — Co mamy robić, gdy znajdziemy się w forcie?

— Jak się już tam dostaniecie, sami domyślicie się, co robić — odparł John ponuro, po czym, widząc, że oficerowie nie ruszają się z miejsc i najwy-

rażniej nie są zadowoleni z jego planu powiedziało: — Słuchajcie, panowie. Wszyscy wiemy, że z powodu kilku tragicznych wypadków w Ratnapore macie mniejsze zaufanie do moich zdolności dowódczych, niż powinniście, a moja wiara w waszą zdolność posłusznego wykonywania rozkazów została poważnie zachwiana kilka godzin temu. Nie mam jednak zamiaru pytać, czy ktoś ma lepszy plan od tego, którego zarysy właśnie wam przedstawiłem; plan, który bardziej by was zadowolił, gdyż nie ja byłbym jego autorem. Ja muszę wam zaufać, gdyż nie dysponuję innymi siłami, a wy będziecie musieli z tego samego powodu zaakceptować moje dowództwo. Jesteśmy na siebie skazani, panowie, więc, na Boga, wykorzystajmy jak najlepiej to nasze niepewne przymierze i wybrnijmy z tej beznadziejnej sytuacji odnosząc wspólnie zwycięstwo.

Oficerowie wychodzili zmieszani jego szczerością, niektórzy zaczerwienieniem, inni z zaciśniętymi ustami. Kiedy się oddalili, John sięgnął znużonym gestem po czapkę i ruszył w kierunku namiotu Williama Delacourta. Było jego obowiązkiem jako dowódcy odwiedzić ranną żonę oficera. Wiedział, że nie robi tego tylko z obowiązku, ale myśl ta nie uderzyła go, gdy szedł między pustymi namiotami. Wyprany z wszelkich uczuć, zdolny był snuć rozważania tylko o nadciągającym niebezpieczeństwie. Stanąwszy przy wejściu prowadzącym do oświetlonego wnętrza, zawołał: — To ja, John Stavenham. Mogę wejść?

Upłynęło kilka chwil, nim hinduska dziewczyna rozchyliła płócienne kłapy i wyszła z wdziękiem na zewnątrz, by go wpuścić. Schylając głowę przeszedł spiczaste wejście i wkroczył do środka. Elizabeth leżała z owiniętą bandażem głową na łóżku polowym. Miała na sobie suknię podróżną z grubej, jasnożółtej bawełny, a jej twarz przybrała odcień zbliżony do dziwnego koloru światła lampy. Jej błyszczące, bursztynowe oczy patrzyły na niego tak tęsknie, że pomyślał, iż ta kobieta w najmniejszym stopniu nie przypomina Clare. Instynktownie zdawał sobie sprawę, że ją kocha, ale odpowiadając jej spojrzeniem, nie poczuł nic.

— Jak się czujesz? — spytał.

Milczała chwilę, nim odpowiedziała na to proste pytanie.

— Dostyc słabo, z powodu utraty krwi, gdy wyjmowano mi z nogi kulę. Cały czas myślałam wtedy o lady Mason. Dodawało mi to odwagi. — Na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech. — Czy wiesz, że kiedyś całkiem poważnie zastanawiała się, czy nie podać panom z dowództwa lekkiej dawki trucizny, by sami zmuszeni byli cierpieć w szpitalu wojskowym?

Potrząsnął głową.

— To nadzwyczajna kobieta, tak jak mówiłeś w Wellford.

— A co z twoją raną głowy? — spytał.

— Kula zaledwie otarła się o skroń.

— Całe szczęście.

Zapadła cisza, po czym Elizabeth zaczęła mówić coraz bardziej znużonym głosem:

— Rozmawiałam dosyć szczegółowo z Rupertem. Burza uczuć, które nim rządziły, już ucichła. Proszę, nie bądź dla niego zbyt surowy.

— Nie został aresztowany. Potrzebuję go. Kara zostanie wymierzona później... jeśli wciąż będzie to konieczne — dodał znacząco.

Unosząc się powoli, z bólem, na łokciu, powiedziała:

— Wkrótce uderzymy do ataku na fort. Zdrowy rozsądek mi to podpowiada. Chcę, żebyś wiedział, że gdy tylko minie niebezpieczeństwo, wrócę do Ratnapore. Stamtąd pojedę do Anglii. Dowodzenie Fort Judapur nie będzie dla ciebie tak przykre, jak sądziłeś.

— Rozumiem — mruknął, prawie nie rozumiejąc, co Elizabeth do niego mówi. — Muszę już iść. Jest tyle do zrobienia.

Odwrócił się, ale zatrzymała go, wymawiając jego imię. Kiedy się obrócił, leżała wyczerpana wysiłkiem, jaki sprawiało jej podnoszenie się. Mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszał.

— Miałam dzisiaj dwa razy wizję młodej, ciemnowłosej, ubranej w jasną szatę kobiety idącej samotnie przez równinę. Wraz z jej obrazem pojawia się świadomość głębokiej, wewnętrznej udręki. Teraz wiem, że nie ja jestem tą kobietą, jak mi się przedtem wydawało. — Zamilkła na chwilę, po czym spytała: — Kto to jest, Johnie?

Zaskoczyła go tym zadziwiającym przecuciem, które przedarło się teraz przez emocjonalną pustkę, jaką w sobie czuł, odsłaniając głębię rozpacz, dręczącej go przez osiem długich lat. Twarz Elizabeth zastąpiło oblicze tej, którą dawno temu spotkał i szczerze kochał.



— To Clare Stavenham, moja żona. Właśnie dowiedziałem się, że wbrew temu, w co wierzyłem, odkąd zniknęła z mego\* życia, nie jest martwa.

Na tę wieść w czystych, bursztynowych oczach Elizabeth pojawiło się zaskoczenie tak ogromne, jakim i on zareagował na tę wiadomość.

— Więc... więc miałaś rację. W tym kraju, i to w jego najpiękniejszym aspekcie, czeka twoje przeznaczenie.

Skinął tylko głową, nim wyszedł z namiotu w blednącą noc.

\* \*

\*

Ostatnie pół godziny ciemności żołnierze spędzili ubierając się, po czym z mieszanymi uczuciami wyruszyli z obozu, by zająć swe stanowiska. Po przemyśleniu planu, oficerowie stwierdzili, iż może on okazać się doskonały — jeśli uda się go zrealizować — ale jego powodzenie zależy wyłącznie od tej najważniejszej eksplozji. Ci, którzy uważali Johna Stavenhama za narwańca, sądzili, że to właśnie dowodzi słuszności ich opinii; ci, którzy wiedzieli, że ma doświadczenia wojenne, twierdzili, że jest to jedyne wyjście z tej delikatnej sytuacji. Wszyscy zgadzali się jednak z jednym: odwrót był wykluczony.

John przygotowywał się właśnie do akcji, martwiąc się swym brakiem wiedzy na temat materiałów wybuchowych. W czasie ostatniej wojny z Sikhami z zainteresowaniem przyglądał się różnym akcjom saperskim, ale chociaż dobrze wiedział, gdzie umieścić ładunek, nie najlepiej orientował się w tym, jak ilość prochu ma się do wielkości zniszczeń, które chciało się osiągnąć. Jeśli podłoży zbyt dużo prochu, który zburzy wraz z bramami połowę muru, nie będzie to miało większego znaczenia, ale zbyt mała siła wybuchu spowodowałaby drobne zniszczenia, za to jego odgłos zaalarmowałby wroga. Sprawą zasadniczą było, by w tym czasie kawaleria wdarła się już do fortu i zajęła najważniejsze części jego umocnień. Pojedyncza detonacja musi wyrwać dziurę na tyle dużą, by przejechało przez nią trzech konnych obok siebie. Inaczej cały plan zawiedzie.

Przepełniony tymi obawami wyszedł z namiotu i podążył do trzymanego przez chłopca stajennego konia. Rambler, zapasowy rumak Johna, miał zastąpić zwierzę, które stracił wczoraj. Rambler był ciemnobrązowym, odważnym walcem i John pogłaskał go po pysku mrucząc przyjacielskie, zachęcające słowa, by przed wyruszeniem wejść z nim w dobrą komitywę. Następnie dosiadł konia

i ruszył w kierunku ciemnej równiny, wioząc w torbach przy siodle proch. Jutrzienka rozjaśniła już niebo, tak że na zachodzie widać było szare zarysy potężnego fortu. Wkrótce pracownicy intendentury i podążający za wojskiem kupcy zaczęli się krzątać wokół swych porannych zajęć, by wróg odniósł wrażenie, że w obozowisku zaczął się normalny dzień. Zwyczajowy sygnał trąbki — odegrany przez tych, którym rany nie pozwalały brać udziału w natarciu — i blask ognisk rozpalonych, by ugotować śniadanie, powinny oszukać ludzi znajdujących się w twierdzy i nie odwrócić ich uwagi od jej strony wschodniej.

Czuł się niezwykle samotny, jadąc wzdłuż ciernistej dżungli, a potem skręcając, by zbliżyć się do fortu od zachodu. Gdzieś w otaczającej go szarości ustawiała się w szeregi kawaleria gotowa do wykonania niezwyklego manewru wojskowego. Chociaż nie był z tego zadowolony, zmuszony był tym razem umieścić swój własny pułk za Konnicą Kingsford's, a to z powodu wczorajszego niezdyscyplinowanego ruszenia Dragonów Forrester's do ataku. Tym samym Leo Weekes zyskał przewagę nad Williamem Delacourtem, na co bardzo wielu patrzyło z goryczą, ale czego uniknąć się nie dało. Zwycięstwo było w każdej akcji ważniejsze niż osobista popularność. Jeśli to posunięcie okaże się chybiłone, wiele rzeczy ulegnie zmianie, a najmniej ważną z nich będzie jego pozycja w pułku. Wszyscy pokładali w nim swe nadzieje i musiał skupić się na tym, co miał do zrobienia. Przyszłość była w rękach przeznaczenia. On był tylko wykonawcą jego zrządeń.

Jutrznia zbladła, więc dopiero gdy był już blisko fortu, ujrzał nagle wystające wprost przed nim mury. Cicho ściągnął cugle i zsiadł modląc się, by Rambler nie zdradził ich obecności parsknięciem. Do nabijanej ćwiekami bramy prowadziła ścieżka ogrodzona niskimi murkami, do której dostępu broniła niewielka wartownia. John przypuszczał, że z tej strony ochrona jest zaledwie minimalna, uwiązał więc konia i wyjąwszy szablę ruszył w kierunku tego kamiennego, oświetlonego bladym, migoczącym światłem budyneczku. Dotarłszy do niego bez przeszkód, zaczął skradać się w kierunku otwartych drzwi. Dźwięk rozmowy prowadzonej w lokalnym dialekcie przez dwóch strażników powiedział mu wszystko, co było mu potrzebne. W wartowni nie było nikogo prócz tej całkowicie rozluźnionej dwójki, która czekała właśnie, aż towarzysze zwolnią ją po całonocnym czuwaniu. John przygotował się do wejścia wiedząc, że może sobie poradzić z nimi tylko w jeden sposób: bezszelestnie używając szabli.

Zaskoczenie niezmiernie ułatwiło mu zadanie. Kiedy wszedł do małego, kwadratowego pokoiku, w którym znajdowały się dwa krzesła i stół, na którym

jak zazwyczaj płonęły dwa spodki łoju zapewniając nędzne oświetlenie, na twarzach Hindusów nie malowało się nic prócz zdziwienia. Zdziwienie towarzyszyło im też, gdy John się ich szybko i cicho pozbywał. Wszedł wiedząc, że o świcie mają nadejść nowe strażę. Ładunki trzeba było umieścić pod bramami, nim nadejdą.

Zabrał Ramblera i poprowadził go ścieżką obok wartowni do nabijanych ćwiekami, wzmocnionych bram, które były na tyle wysokie, by zmieścić się w nich słoń z ozdobionym baldachimem siodłem na grzbiecie. Kopyta stukały głucho po ubitej ścieżce. John miał nadzieję, że tuż nad bramą nie stoją żołnierze, a nawet jeśli tak, to są również zbyt rozluźnieni, by zwracać uwagę na ciche dźwięki rozlegające się pięćdziesiąt stóp niżej. Klął teraz na ciemność, która nie pozwalała mu właściwie ocenić wielkości przeszkody, którą miał zniszczyć. Czas uciekał w błyskawicznym tempie. Nie mógł sobie pozwolić na dalsze tracenie go na bezużyteczne przyglądanie się murom.

Z westchnieniem determinacji zaczął wyjmować torebki prochu ze skórzanych saków przymocowanych do siodła i układać je przy lewej bramie. Gdy jeden sak był już pusty, John poprowadził Ramblera do prawej bramy i tam opróżnił drugi. Była to ciężka praca. Może powinien był jeszcze kogoś ze sobą wziąć. Pocąc się, dysząc, uzmysłowił sobie nagle, że wilgoć, jaką czuje na nodze to pewnie krew. Wysiłek fizyczny spowodował, że rana znowu się otworzyła. Odpędzając od siebie tę myśl, zaczął zastanawiać się nad tym, że środkowe części bram są dodatkowo wzmocnione zasuwami i antabami. Lepiej byłoby wysadzić obie części każdej bramy. Pozbawione utrzymujących ich w pozycji pionowej zawiasów, ogromne drzwi runęłyby zapewne pod własnym ciężarem, być może nadal spięte ryglami. Istniałoby wtedy jedno ogromne niebezpieczeństwo: kawaleria pędząca tuż po wybuchu, mogłaby zostać zgnieciona przez zbyt wolno opadającą bramę.

Ułożywszy materiał wybuchowy tak dobrze, jak potrafił, wziął ostatnią torebkę i zaczął rozsypywać smużki prochu najpierw od prawej, potem od lewej bramy, łącząc je w jedną ścieżkę, biegnącą dróżką w kierunku wartowni. Kiedy podpali ten długi lont, ukryje się za kamiennym budynkiem do momentu, gdy wszystko nie wybuchnie. Na jego spoconej twarzy pojawił się ponury uśmiech na myśl, że jeśli dał za dużo ładunku, to i on sam wyleci w powietrze. O konsekwencjach wysypania zbyt małej ilości prochu lepiej było nie myśleć. Zbliżając się powtórnie do wartowni spojrział w niebo. Świt nadchodził szybko. Wkrótce z fortu można będzie dostrzec ciemny zarys pułków kawalerii ustawionych w szeregi zaledwie pięćset jardów dalej: cichych, niosących śmierć oddziałów

czekających na sygnał do szturmu. Zaszło mu w gardle. Przełknął ślinę. Jeśli się pomylił, wszyscy oni mogą zginąć wraz z zakładnikami, którzy muszą zdać sobie sprawę, że ich towarzysze nie mają innego wyboru, niż jakoś, w pewnym momencie zaatakować.

Z każdą sekundą robiło się jaśniej i John mógłby przysiąc, że jego bolące oczy mogą już rozróżnić równe szeregi kawalerzystów ustawionych niedaleko, tuż za szarawą równiną. Teraz albo nigdy. Wyjąwszy z szabeltasa zapalną, modlił się zapalając ją i rzucając na ciemną smugę prochu. Poprowadził Ramblera za kamienny budynek, dosiadł go z bólem i patrzył na mknący po ziemi mały płomyk. Z pewnością ogień można było dostrzec z umocnień fortu, ale nie powinien on przyciągnąć uwagi nic nie podejrzewającego strażnika. John czuł, jak łomocze mu serce. Płomień wydawał się posuwać zbyt wolno, a major nie potrafił już dłużej tłumić swych wątpliwości. Weekes był wspaniałym oficerem i na pewno poprowadzi swoich ludzi do ataku w odpowiednim czasie, ale co będzie, jeśli w wyniku rozkazów dowódcy świadomie ryzykującego życie ich wszystkich, poprowadzi ich wprost ku wieczności? Rzecz jasna również i życie Johna było w niebezpieczeństwie, ale jeśli podjął beznadziejną decyzję, to lepiej będzie tego nie przetrwać. Czekał z napięciem, wpatrując się w biegnący ku bramom ogienek. W chwilę później sunęły już ku nim dwa oddalające się od siebie płomienie. Przygotował się na chwilę prawdy.

Ogłuszający, grzmiący ryk poprzedził wywołaną przez detonację falę ciepłego powietrza, przed którą ochroniły Johna kamienne mury wartowni. Wbijając ostrogi w boki Ramblera, jak kula armatnia wypadł spoza domku. Dym zasłaniał widok, ale z pewnością wybuch, od którego zatrzęsała się ziemia, zdołał wyrwać w murach odpowiednie przejście. Jadąc dostrzegł kątem oka niebieskie i szkarłatne zastępy, szarżujące przy znajomym akompaniamencie grzmotu uderzających o ziemię kopyt. Poczł dreszcz radości. To najlepsi żołnierze na świecie, a on nimi dowodzi!

W tej chwili ziemia tuż przed nim uniosła się ogłuszającą kaskadą, która z przerażającą siłą, gdy spadł, pchnęła go na moment w nieświadomość. Nim przyszedł do siebie na tyle, by zrozumieć, co się dzieje, zaczął się bezgłośny koszmar. Z jego cichego świata wynurzył się tabun zwierząt: pojawiały się jakby wprost z nicości i przeskakiwały go albo przebiegały obok, obsypując piachem leżącego bezradnie na ich ścieżce Johna. Leżał tak pod Ramblerem, nie słysząc stukotu kopyt ani triumfalnych krzyków jeźdźców, patrząc na przelatującą nad nim, zasłaniającą niebo widmową kawalerię, wykonującą wspaniałą szarżę na fort.

Kiedy przebiegł ostatni rumak, John wciąż nic nie słyszał. Myślał już teraz na tyle jasno, by zdać sobie sprawę, że eksplozje nastąpiły w kilkusekundowym odstępie czasu. On dostał się w falę uderzeniową drugiej z nich, która go przewróciła i chwilowo ogłuszyła. Teraz, gdy przebiegły szarżujące konie, Rambler zaczął się podnosić, uwalniając go. Poruszając się w tym dziwnie cichym świecie, John jakoś dał radę wspiąć się na siodło i odwrócić w kierunku bram. Nie było ich. Przez dziurę w murze mogłaby wjechać cała armia. Wybuchnął dziwkim śmiechem, ale nie słyszał go, galopując do fortu. Jeśli nawet nic już więcej w życiu nie zrobi, oto był moment jego chwały!

Poza murami fortu przed jego oczyma roztoczył się obraz, który niełatwo byłoby mu zapomnieć. Niebieskie i szkarłatne mundury były wszędzie. W pierwszych złocistych promieniach słońca błyskały szable zabijające wrogów, wśród których panowało totalne zamieszanie i rozgardiasz. Oczy biegających dokoła pozbawionych jeźdźców koni zdradzały strach. Ubrani na zielono piechurzy walczyli z odzianymi w jaskrawe mundury żołnierzami Gandy Singha, wpychając obrońców fortecy tyłem na schody wiodące ich ku wystającej półce oznaczającej śmierć. Strzelały karabiny, szable ze świstem przecinały powietrze, żołnierze jęczeli i krzyczeli, rozdzierające odgłosy trąbek wzywały niezdolnych do wykonania ich rozkazów ludzi, a John wciąż nic nie słyszał. Jadąc w samo centrum rozpaczliwej walki o panowanie nad fortem, John czuł wiszący nad całą tą sceną odór dymu, krwi i potu.

Kiedy zaczął walkę z wrogiem na śmierć i życie, cisza wydała mu się czymś naturalnym, gdyż zawsze jej w takich sytuacjach doświadczał. Tnąc i odpierając ciosy myślał gorączkowo, by dojść do wniosku, że jego rozumowanie okazało się słuszne. Większość obrońców twierdzy znajdowała się po jej wschodniej stronie. Atak kawaleryjski od tyłu wywołał wśród nich zamieszanie, a ten rozgardiasz w połączeniu z przerażającą determinacją atakujących spowoduje szybką porażkę Hindusów. Wszędzie dookoła John widział teraz wrogów, których rozbrajano grożąc im szablą. Stare działa znajdowały się w rękach kawalerzystów z Dragonów Forrester's, którzy najwyraźniej ponieśli pewne koszty, by je zdobyć. Toczyła się jeszcze tylko bójka o utrzymanie władzy nad wieżą. Opuścił rękę, w której trzymał szablę, gdy jego ostatni przeciwnicy rzucili na ziemię broń, widząc kilku sipajów podążających Johnowi z odsieczą. Tylko oni usłyszeli słowa podziękowania, które do nich skierował. W ciszy trwającej dłużej niż dobrze mu znane chwile bitewnej głuszy wbiegł na drugą kondygnację wiodących na blanki schodów, by objąć wzrokiem całą sytuację. Taras strzelniczy zasłany był ciałami, co dowodziło, że w tym dobrze



chronionym sektorze toczyły się zacięte walki. W jego odległym końcu lojalni piechurzy ścierali się w rozpaczliwym boju ze swoimi towarzyszami, którzy przeszli na stronę wroga. Patrząc na tę ostatnią próbę obrony fortu, w którym zwycięzcy opatrywali już swych rannych i zaganiaли więźniów na jedno miejsce, dziękował Bogu, że w obliczu katastrofy podjął właściwą decyzję. Jak niewiele brakowało, by okazało się, że nie miał racji, jak niewiele brakowało, by dzisiejszego ranka posłał na zatracenie trzysta osób. Po raz pierwszy w swej karierze poczuł ciężkie brzemie dowodzenia i przyznał, że nawet najlepszy żołnierz musi zdać się na zrzączenie losu. Dzisiaj przeznaczenie mu sprzyjało, jutro może się od niego odwrócić.

Nie czując w obliczu tej rzezi żadnej prawdziwej radości, odwrócił się znużony, z zamiarem dowiedzenia się o los zakładników. Na pokrytym ciałami zmarłych tarasie była teraz jeszcze jedna żywa osoba. Żołnierz w zakrwawionym, podartym szkarłatnym mundurze stał trzymając się blanków i mierząc z pistoletu w mężczyznę, którego winił za śmierć swego brata. Zimne, jasne oczy błyszczały w jego młodej, ozdobionej gęstym blond wąsem twarzy tą samą udręką, która gościła w nich, gdy przysięgał pomścić Hugona. Dziwne, że teraz właśnie, gdy miała dokonać się zemsta, John dostrzegł w nim nagle duże podobieństwo do starszego Carruthersa, swego drogiego przyjaciela. Rupert milczał, z trudem trzymając się na nogach. John także się nie odzywał czując, że będzie musiał za chwilę zapłacić losowi za to, że mu dzisiaj sprzyjał.

Długo, bez końca patrzyli sobie w oczy, a jednak chłopak nie mógł się zdobyć na to, by pociągnąć za spust. Utkwiwszy w nim wzrok, czekając na strzał, którego nigdy miał nie usłyszeć, John raz jeszcze przeżył ten tragiczny ranek. Ta bezgłośna konfrontacja mogła trwać całą wieczność, gdy wreszcie Rupert, wciąż trzymając broń, opuścił rękę i odwrócił się jak ktoś, kto ma się za chwilę przewrócić. John patrzył, jak schodzi po schodach i wiedział, że tylko żelazna wola i arystokratyczna duma trzymają go na nogach.

Kiedy Carruthers zniknął mu z oczu, major Stavenham podszedł do kamiennych blanków i spojrział na rozbite na równinie namioty skapane w złotych promieniach słońca, które uniosło się nad czarną połąć ciernistej dżungli. Winił rażący blask białego płótna za łzy, które pojawiły się w jego oczach.

## ROZDZIAŁ XIV

Elizabeth leżała, znajdując się między jawą a snem. Czuła się niepokojąco słaba, a przy tym bolała ją głowa. Lucy towarzyszyła jej, odkąd żołnierze odjechali tuż przed świtaniem; ilekroć otworzyła oczy, widziała przy sobie tę złotowłosą dziewczynę. Teraz słońce było już wysoko na niebie i tylko ciemnoskóra służąca siedziała na składanym stołeczku obok łóżka swej pani. Podawała Elizabeth szklanek wody, po czym ochłodziła jej twarz wonną chusteczką i wróciła na swoje miejsce. Przez chwilę pani Delacourt przyglądała się tej pięknej, młodej Hindusce. Co naprawdę myślała o ludziach, którzy gromadami przybywali do jej kraju i próbowali tu żyć tak samo jak w swej ojczyźnie? Co czuła w stosunku do tych, którzy zbuntowali się i wzięli jako zakładników mężczyzn, którym przysięgali służyć? Być może w ogóle obce jej były rozmyślania na tak głębokie tematy? W jej słodkim, niezmiennym spokoju można było dopatrzeć się cech wielu tutejszych kobiet, które z powagą akceptowały swą służebną rolę, zachowując się przy tym jednak o wiele godniej niż panny Delacourt i im podobne.

Wspomniawszy siostry Williama, przypomniała sobie i jego. Nagle poczuła się całkowicie rozbudzona. Mieli przypuścić atak na fort; niekonwencjonalny, konny atak pełen niebezpieczeństw, z niewielką szansą na zwycięstwo. William wyjawiał, że John miał o świcie wysadzić bramy. Jeśli zawiedzie, wszyscy będą straceni. Nieobecność Lucy wydała jej się nagle przerażająca. Czyżby atak zakończył się porażką i pociągnął za sobą zamordowanie Nicholsona i jego oficerów? Czy obóz znajdował się w rękach wroga? Elizabeth już miała zerwać się z łóżka, gdy nagle uspokoiła się, uświadomiwszy sobie, że wyczułaby nadciągające nieszczęście tak, jak wyczuwała wszystko, co miało spotkać jej ukochanego.

Zmrużywszy powieki, by chronić się przed blaskiem przeświecającego przez płótno słońca, przypomniała sobie krótką, obowiązkową wizytę Johna, który przyszedł dowiedzieć się o stan jej zdrowia. Zdolność patrzenia w przyszłość pozwoliła jej wyczuć, w chwili gdy on miał się tego właśnie dowiedzieć, iż jego żona żyje. Słowa Johna były dla niej ciosem, ale o ileż cięższy cios ona sama wymierzyła mu w Wellford! Chociaż nigdy nie wspominał o dziewczynie, którą poślubił, faktów dotyczących tej sprawy można było dowiedzieć się z wielu źródeł, musiał więc zdawać sobie sprawę, że je znała. Skąd uzyskał za-

dziwiającą wiadomość, że Clare Stavenham żyje? Gdzie była przez dziewięć lat? Co czuł do powstałej z martwych żony? Czy znowu będzie szczęśliwy? Czy teraz uda mu się zapomnieć

Elizabeth Delacourt?

Zmęczona takimi myślami zamknęła oczy, odcinając się od dusznego wnętrza namiotu, a światło dnia zmieniło się pod jej powiekami w stłumioną czerwień. Nie słychać było strzałów armatnich, zgiełku bitwy, przepelnionych cierpieniem krzyków. Czy możliwe, by znajdowała się na równinie, gdzie stał fort, który trzeba było wydrzeć z rąk wroga, czy może spacerowała znów po królestwach przyszłości? Być może ogarnął ją sen. Wejściu Johna nie towarzyszył żaden szelest, jednak jakiś impuls kazał jej otworzyć oczy, by ujrzeć go przy swym łóżku. Przyszedł wprost z pola bitwy. Dowodził tego stan jego munduru i ten sam zapach, który czuła, gdy Rupert skończył zabijać. Miał bardzo ciemne oczy. Z jego twarzy nic nie dało się wyczytać. Kiedy podniosła na niego wzrok, miejsce wszystkich jej myśli

emocji zajęła wdzięczność za to, że przetrwał.

— Więc fort jest nasz?

— Tak.

— A zakładnicy?

— Bezpieczni.

— Dzięki Bogu! — Wzdychając z ulgą, dodała: ci zawdzięczamy, tak wiele!

Milczał przez chwilę, po czym spytał:

— Czy czujesz się już lepiej?

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, dlaczego to właśnie John tu przyszedł, nikt inny. Gwałtownie wciągnęła oddech.

— Masz jakieś wiadomości o Williamie.

— Przed namiotem czekają nosze, na których zostaniesz zaniesiona do fortu. Nie przeżyje do zachodu słońca.

Słuchała tego z głębokim smutkiem. Nie przeczuła tego, nie czuła bólu swego rannego męża, nie słyszała w myślach jego krzyku. Potępiała go za to, że

zostawił ją w Anglii, gdzie mogłaby dowiedzieć się o jego śmierci dopiero po tygodniach, z listu, tymczasem dzisiejszego ranka znajdowała się tuż przy nim w chwili jego śmiertelnych cierpień i nic o tym nie wiedziała.

— Chcę tam wyruszyć natychmiast — szepnęła.

— Czy wytrzymasz niedogodności podróży na noszach?

— Oczywiście.

Szybko skinął głową.

— Dopilnuję, by przeniesiono twój namiot i bagaż do fortu. Do zmroku wszystko musi się znaleźć za murami. Czy przed wyruszeniem będziesz potrzebowała do czegoś służącej?

— Nie, jeśli czas jest tu tak ważny.

Schyliwszy się szybko, John wziął ją na ręce i wyniósł w światłość południa. Służący unieśli nosze tak, by z ogromną uwagą mógł ją umieścić na leżących na nich grubych kocach. Kiedy dosiadł swego kasztanowego wałacha, mężczyźni ruszyli obok niego. Zmierzali milcząc w stronę szarych, kamiennych murów, pośród których jakiś Hindus położył kres żywotowi Williama Delacourta i małżeństwu, które nie przyniosło nikomu wiele szczęścia. Jego rodzina będzie załamana stratą jedyne go syna spośród piątki dzieci. Tacy byli z niego dumni! Elizabeth czuła kołysanie noszy, myśląc z żalem, że nie potrafiła być partnerką, jakiej pragnął William. Obydwoje popełnili błąd łącząc się węzłem małżeńskim i obydwójce, w różny sposób, z tego powodu cierpieli. Nic nie rekompensuje tych straconych lat, ale William umrze w błędnym przeświadczeniu, że tak bardzo go kochała i pragnęła, że stawiała czoło wszystkiemu, byle tylko połączyć się z nim w Indiach.

Cały jej żal zniknął, gdy ujrzała ślady tego, co wydarzyło się wewnątrz Fort Judapur. Ciągłe panowało spore zamieszanie. W cieniu leżeli rzędami zabici i ranni, pomiędzy którymi krążyli nosiwodowie, spełniając życzenia tych, którzy mieli jeszcze na tyle siły, by głośniejsze odezwać. W odległym rogu leżały stosy ciał wrogów, które miały właśnie zostać pogrzebane. Wszędzie kręcili się żołnierze, a młodszy oficerowie wykrzykiwali komendy, co jeszcze pogłębiało rozgardiasz. Otaczające ich, ozdobione blankami mury, które całkowicie zasłaniały widok na równinę, przez którą właśnie przeszli, dawały wrażenie zamknięcia jak w więzieniu. Wszystkie budynki zbudowane były z kamienia, w którym wyciosano otwory na drzwi i okna. Ich ściany były poznaczone śladami

strzałów i ściemniałe od ognia... lub krwi. Elizabeth ścisnęło w gardle na myśl, jak wyglądało tu dziś o świcie.

Ranni oficerowie zostali przeniesieni na niewielki wewnętrzny dziedziniec, na którym, dzięki staraniom kolejnych mieszkańców, by stworzyć tu ogród, rosły piękne drzewa. Znajdował się tu też otoczony zdobionym obramowaniem stawik, zasilany przez obecnie nieczynną fontannę. John skierował niosących ją służących do ustronnego miejsca, gdzie ustawiono obok siebie dwa kozły. Na jednym z nich leżały nosze Williama. Na drugim położono panią Delacourt. John zsiadł z konia i przekazał go czekającemu stajennemu.

— Poradzisz sobie? — spytał cicho, podchodząc do Elizabeth. f

Ona spojrzała tylko na ściągniętą twarz męża.

— Tak... doskonale sobie poradzę.

Wydawało się niemożliwe, że tak młody, potężny, silny człowiek umiera. Na szczęście był cały. Będzie mogła zgodnie z prawdą napisać o tym jego rodzinie. Tylko śmiertelne rżenie, gdy oddychał i powiększająca się czerwona plama na kocu, na którym leżał, powiedziały jej, że John usiłował załagodzić prawdę. William umrze bardzo szybko. Elizabeth sięgnęła przez oddzielającą ich przestrzeń i ujęła jego prawą dłoń. Łagodny dotyk kazał mu otworzyć oczy, które przestawały już widzieć. Nie był w stanie rozpoznać leżącej obok osoby i spytał, kim jest. Kiedy się dowiedział, czuł się na tyle zadowolony, że zdobył się na uśmiech. Zbyt wyczerpany, by mówić, dał radę tylko ująć jej palce w swą dłoń, by dać znać, że zrozumiał. Leżeli tak mniej więcej przez pół godziny.

Chwila jego śmierci nie była tak rozpaczliwa, jak ostatnie chwile Fanny Humphrey, która wymiotowała i cierpiała do końca. William Delacourt odszedł od życia, jakby zasypiał i tylko lekkość uścisku jego dłoni powiedziała jej, że jest wdową. Kiedy o zmroku Lucy i Rupert przyszli po nią, leżała zamyślona u boku tego mężczyzny, którego nigdy całkowicie nie rozumiała.

Znaleźli pokoik, który wyglądał jak cela, i zjedli tam wspólnie posiłek. Cały ten spędzony tam czas wydawał się Elizabeth dziwnie nierealny. Mówiła nie wiedząc o czym, skinięciami głowy potwierdzała słowa, których nie słyszała, jadła nie czując smaku pożywienia. Czuli się, jakby przestała istnieć i stała się istotą, która nie ma swego miejsca, z nikim nie czuje więzi. William odszedł. John odnalazł swą żonę. Lucy była związana ze strasznym, ponurym mężem, a Rupert nie był prawdziwym bratem, którego łączyłyby z Elizabeth więzy krwi.



Może jednak to ona była samotną, ciemnowłosą kobietą wędrującą przez bezkresną równinę?

Młody oficer zapukał, by powiadomić panią Delacourt, że jej rzeczy są już bezpieczne wewnątrz fortu, a za drzwiami czeka na polecenia służąca. Wycho-  
dząc poprosił Ruperta, by mu na chwilę towarzyszył. Przez otwór okienny sły-  
chać było ich ściszoną rozmowę. Lucy spytała, czy Elizabeth chce już iść spać.

Potrząsnęła głową.

— Mam wrażenie, że w ciągu ostatnich kilku godzin przespałam cały rok. Nie mogę uwierzyć — a ty? — że minęły dopiero dwadzieścia cztery godziny, odkąd kolumna zatrzymała się, by patrzeć, jak żołnierze odjeżdżają w kierunku ciernistej dżungli.

Dziewczyna była najwyraźniej zaskoczona.

— Ależ na pewno minęło więcej czasu!

Elizabeth zdobyła się na nikły uśmiech.

— W tym kraju czas nie wydaje się rządzić wydarzeniami. Kiedy się po-  
dróżuje, wydłuża się w nieskończoność, tak że przestaje się myśleć o swym  
ostatecznym celu... a przecież w ciągu jednego miesiąca mojego pobytu w Rat-  
napore wydarzyło się tyle dramatów, tragedii, zbiegów okoliczności, że w An-  
glii trudno byłoby przeżyć tyle nawet przez rok. — Westchnęła. — A jeden  
dzień spędzony w Judapur nieodwracalnie zmienił moje życie. Losy nas  
wszystkich zmieniły się przez to, co się tu wydarzyło. Nie jesteśmy już tymi  
samymi ludźmi, którzy wyruszyli o północy z Ratnapore, wdzięczni, że mogą  
uciec od strachu przed cholera, przepelnieni żądzą przygód. Dzięki Bogu, jedna  
z tych osób odzyskała zdrowe zmysły i znów z radością wita swych przyjaciół.

Jak na zawołanie do pokoju wszedł Rupert. Wydawał się dziwnie niezde-  
cydowany, a Elizabeth zdziwiła jego poważna mina, której zadawał kłam pełen  
zadowolenia błysk w oczach, z jakim patrzył na swą przyjaciółkę z dzieciństwa.  
Podszedłszy do Lucy, ujął jej dłonie w swoje i uniósł ją tak, że stała przed nim,  
mała i drobna. Kiedy spojrzała na jego minę, jej uśmiech zbladł.

— Coś się stało, Rupercie. Dobrze znam to spojrzenie — oświadczyła  
twardo. — Powiedz mi, o co chodzi.

— Chodzi o rotmistrza Nicholsona, Lucy — wyjaśnił tonem tak łagodnym,  
jakiego Elizabeth nigdy jeszcze u niego nie słyszała. — Nie żyje.

Dziewczyna wpatrzyła się w jego twarz marszcząc brwi, jakby nic nie rozumiała.

— Walka już się skończyła. Sam mi to mówiłeś. Co mogło się stać Henry'emu?

— Chcesz, żebym był z tobą szczery, prawda? — spytał jeszcze delikatniej.

— Zawsze byłeś wobec mnie szczery, Oczywiście, że tego pragnę.

Światło tańczyło na ich jasnych włosach — tak blisko siebie stali — gdy Rupert przekazał jej druzgocącą wiadomość, że Henry Nicholson zastrzelił się przed pięcioma minutami.

— Nic nie rozumiem! — krzyknęła Lucy, najwyraźniej niezdolna pogodzić się z dziwną myślą o samobójstwie męża. — Buntownicy nie skrzywdzili go. Sama widziałam, gdy przyszłam do fortu. Nie został okaleczony, nie cierpiał nieznośnych męczarni, które mogłyby go do czegoś takiego skłonić. Dlaczego miałby nie chcieć dłużej żyć?

Chłopak, który w ciągu nocy zmienił się w odpowiedzialnego mężczyznę, objął ją ramieniem.

— Nie mógł znieść ciężaru odpowiedzialności za bunt. To jego ludzie poderżnęli gardło porucznikowi Petersowi i zabili kilku ze swych byłych towarzyszy... że nie wspomnę już o tym, iż ranili Elizabeth. Musisz, moja droga, pogodzić się z tym, że wojskowy jest w stanie z odwagą stawić czoło wszystkiemu, prócz osobistej hańby. Nicholson stracił szacunek i lojalność swych ludzi. Wiedział, że jego kariera dobiegła końca. Oto dlaczego nie był w stanie spojrzeć w przyszłość.

— Ale ty też nie byłeś ze swymi ludźmi w czasie ataku — sprzeciwiła się gorąco. — Henry z goryczą cię potępił, a jednak ty nie strzeliłeś sobie w głowę.

— Za mniejsze przestępstwo zapłacę niższą cenę. Wstydzę się, Lucy, ale zapewniam, że nic takiego więcej się nie powtórzy. Po wczorajszej nocy Nicholson nie mógłby już nigdy tego powiedzieć.

Scena ta jeszcze bardziej pogłębiła uczucie nierealności, które ogarnęło Elizabeth. Ciężko jej było uwierzyć, że ponury, nawet nieco srogi Henry Nicholson był na tyle uczuciowy, by cierpieć z powodu tak ciężkich wyrzutów sumienia. Nie odczuwała żadnej litości ani smutku z powodu śmierci człowie-

ka, który odebrał sobie życie dlatego, że jacyś sipaje przedkładali więzy krwi nad lojalność wobec pułku. Nie zachęcał nikogo do nawiązania ze sobą serdeczniejszych więzi. Bała się go nawet własna żona, a wiele osób z pewnością ucieszy się, że udało jej się tak łatwo wydostać z niewoli małżeńskiej tego niesympatycznego, starzejącego się człowieka. Lucy później odczuje zadowolenie. Teraz była tylko zaskoczona.

— Co mam robić, Rupercie? — spytała, pozostając wciąż w jego ramionach.

— Jeśli nie chcesz zobaczyć ciała, a nie radziłbym ci tego robić, powinnaś zostać z Elizabeth i próbować zasnąć. Obie straciłyście mężów. Musicie mieć trochę spokoju, by wrócić do równowagi. — Rupert uniósł wzrok i tym razem zwrócił się także do Elizabeth. — Możecie być pewne, że zostanieie otoczone troskliwą opieką przez wszystkich oficerów w Judapur, którzy będą was też traktować z największym uszanowaniem. Nie musicie o nic się niepokoić ani niczego obawiać w czasie najbliższych dni, a jak tylko sytuacja się uspokoi, zadba się również o wasz bezpieczny powrót do Ratnapore. — Ponownie skupiając całą uwagę na Lucy, powiedział: — Myślę, że będzie najlepiej, jeśli cię teraz opuszczę. Będę jednak w pobliżu. Gdybyś mnie potrzebowała, nie wahaj się dać mi o tym znać, bez względu na godzinę.

Dziewczyna długo wpatrywała się w drzwi, za którymi zniknął. Potem jak w transie odwróciła się i podeszła powoli do Elizabeth, a na jej młodziutkiej buzi zaczęła znów pojawiać się nadzieja.

— Jakie to dziwne, że przewidziałaś, iż dzisiejszy dzień zmieni losy nas wszystkich — szepnęła z niedowierzaniem. Zagłębiwszy się w fotelu, zmarszczywszy brwi, wpatrzyła się w podłogę. — Henry nie żyje. Henry nie żyje. Jak coś nie mogę sobie tego uświadomić.

Elizabeth czuła się zbyt zmęczona, by zrobić więcej, niż pocieszyć ją słowami:

— Z czasem przyzwyczaimy się do naszej nowej roli. Przygotujmy się do snu i módlmy się, by chociaż na chwilę udało nam się zasnąć w czasie nadchodzącej nocy.

To błogosławieństwo szybciej przyszło do Lucy niż do niej samej i leżąc obok oddychającej cicho dziewczyny Elizabeth, godzina po godzinie, zastanawiała się nad swą przyszłością. Nie miała wizji, które mogłyby tchnąć w nią nadzieję. Żadne przeczucie radości, czy nawet smutku, nie pomagało jej stłumić

uczucia straconej tożsamości. Jednego była pewna. Kiedy wróci do Anglii, jak musi to zrobić, nic nie skłoni jej więcej do zamieszkania z Delacourtami. Indie nie urzekały jej już i nagle zatęskniła za Sussex, gdzie Lavinia z pewnością ofiarowałaby jej cichą przystań, której rozpaczliwie potrzebowała.

Pusty, kamienny pokój wydawał się obcy i nieprzyjemny w świetle sączącego się przez okno światła księżyca, które nadawało mu wygląd więziennej celi w niezdobytej twierdzy: miejsca, z którego nigdy nie uda jej się uciec, by odszukać kobietę uwolnioną od więzów, którymi tak długo pogardzała, które tak nagle zostały zerwane. Świat stał przed nią otworem, ale zniknęła chęć odkrywania go. Jedyna osoba, która uczyniłaby go pięknym, musiała zostać po jej wyjeździe tutaj.

Jej rozmyślania przerwał dźwięk dwóch głosów dochodzących spoza grubej, kamiennej ściany. Słowa, które tak wyraźnie słyszała, zadziwiły ją i zaszkokały. Oficerowie albo nie zdawali sobie sprawy z jej obecności w tej komnacie, albo nie pomyśleli, że może czuwać.

— Cholerny problem — powiedział jeden z nich. — Gdyby nie było z nami tej słodkiej dziewczynki, zostałby pochowany przed świtem i zapomniany. Ale wdowa ma prawo do normalnych uroczystości, w których nikt prócz piękniśków tego łajdaka nie chce wziąć udziału.

— W takich chwilach konwenanse robią z nas idiotów — skomentował drugi. — Tylko pomyśl! Oficerowie pogardzają nim, wdowa będzie z pewnością zachwycona swą wolnością, generałowie Kompanii Wschodnioindyjskiej odetchną z ogromną ulgą, a jednak całą sprawę ukryje się pod płaszczkiem wojskowych ceremonii. Samobójstwo usprawiedliwi przynajmniej oddanie honorów wojskowych na jego pogrzebie, ale odmówione zostanie nam wygodne rozwiązanie polegające na wrzuceniu ciała w dziurę w środku nocy i przykrycia go jak najszybciej co najmniej sześcioma stopami ziemi. Dla tej słodkiej istotki, która nigdy nie dowie się, jakim szubrawcem był jej mąż, będziemy stać przy mogile z odpowiednio poważnymi minami.

— Dzięki Bogu, że się o tym nie dowie... i że nie będzie się o tym mówiło w towarzystwie. Piętno ciążyłoby na niej przez lata i znano by ją jako wdowę po brytyjskim oficerze, który sprzedał honor za miłość ciemnoskórych chłopców. Elizabeth skostniała słuchając tego. Ci poirytowani mężczyźni sugerowali coś, w co nie można było uwierzyć, i mówili dalej, nie wiedząc, że podsłuchuje ich kobieta, która nie miała wcześniej pojęcia o takich dziwacznych preferencjach seksualnych. Tym bardziej wydawało jej się to wszystko straszne.

— Stavenham zobowiązał nas wszystkich do zachowania milczenia, ale i tak wkrótce będą o tym wiedziały całe Indie.

— Nie chcesz powiedzieć, że...

— Nie, nie ci biedacy, których wzięto jako zakładników. Nie pozwoliliby im na to honor, którego wyrzekł się Nicholson. Sipaje to rozgłoszą. Większość z nich szanuje i poważa swych oficerów. To, że siedzieli oni zamknięci w lochu, w którym znajdowały się ciała Frasera i Maina, podczas gdy Nicholson był karmiony i fetowany przez swych domniemanych wrogów, wywołało w nich niemal takie samo obrzydzenie jak w nas.

— Przypuszczam, że doprowadziła do tego jego nieszczęsna słabość do chłopców. W normalnych warunkach nie jest to nic dobrego, a okazuje się niebezpieczne w zawodzie, który wymaga słuchania rozkazów, od których często zależy życie. Ale wykorzystanie tego zboczenia dla uchronienia własnej skóry i zaniechanie jakiegokolwiek działania, by oszczędzić swym towarzyszom bólu i poniżenia, jest niezrozumiałe. Jego trupa powinno się potraktować jak zepsute mięso.

Zaczęli przesuwać się dalej i głosy nieco przycichły.

— Stavenham za bardzo trzyma się protokołu, by do tego dopuścić, bez względu na to, co sam sądzi o tej sprawie. Za bardzo przejmuje się obecnością dam — i bardzo żałuje, że zmuszone są tu przebywać. I bez nich sytuacja jest wystarczająco skomplikowana.

W ciszy nocy słyhać było znów tylko oddech Lucy, a zdruzgotana Elizabeth myślała teraz tylko o przyszłości tej dziewczyny. Będzie zmuszona powrócić do mamy i sióstr bliźniaczek jako siedemnastoletnia wdowa, a gdy tylko skończy się okres oficjalnej żałoby po jej rozwiązanym, podłym mężu, ma wszelkie szanse znów zostać wydana za kogoś zupełnie nieodpowiedniego. Jeszcze jedna wdowa, która wracając do ojczyzny, zostawi w Indiach miłość swego życia!

Oczekiwany atak na Judapur nie nadszedł. Kiedy w tydzień po ich zwycięskim wkroczeniu do fortu przez tylne bramy przyjechał kurier, okazało się, że wydarzenia rozgrywały się bardzo szybko. Tak jak się domyślali, Fort Dhakti również był oblegany przez wojska Gandy Singha. Ponieważ nie było tam pasa ciemnej dżungli, która pomogłaby Brytyjczykom ruszyć do ataku z zaskoczenia, nie powiodło im się dobrze. Połowa ludzi zginęła w pierwszym starciu, zanim reszta nie została zmuszona do wycofania się o kilka mil. W dwa dni póź-



niej, gdy Hindusi na rozkaz władcy opuszczali fort i wracali do Ratnapore, doszło tam do następnej potyczki, w której zginęła reszta Anglików. W komunikacie stwierdzano, że wobec dowodów korupcji, rzezi i innych przestępstw towarzyszącym zazwyczaj walce o władzę między bezwzględными kandydatami do tronu, otwarta wojna z Sikhami z Pendżabu stała się nieunikniona, jeśli chciało się utrzymać spokój na tym tak ważnym terenie. We wszystkich prowincjach panowała zapalna sytuacja, trzeba więc było planować generalny atak. John dostał rozkaz zostawienia fortu w rękach symbolicznego oddziału sipajów i powrotu do Ratnapore, gdzie miał czasowo objąć dowództwo nad pułkiem, do momentu przybycia nowego pułkownika w miejsce Justina Lakelanda, który uległ wreszcie ciężkiemu atakowi cholery.

Po przeczytaniu tej wiadomości John siedział targany gniewem. Dwie okrutne, krwawe bitwy o twierdzę, która teraz okazała się nikomu niepotrzebna! Niezliczona ilość zabitych i okaleczonych, godziny niepokoju, strachu, smutku — wszystko na nic! Cierpienia ducha i ciała towarzyszące szukaniu rozwiązań sytuacji, które teraz się nie liczyły! W ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin, w momencie największej próby, wyszły na jaw siła i słabość otaczających go ludzi, ich lojalność czy nieudolność, ich własne cele. Teraz kazano im zwijać manatki i wracać, skąd przyszli, bo walka toczyła się o wyższą stawkę. A czy była stawka wyższa od ludzkiego życia? Jak ma powiedzieć tym, którzy walczyli u jego boku, że to, co wydarzyło się w Judapur, nie miało większego znaczenia dla ich przełożonych, którzy zajmowali się ważniejszą sprawą zachowania kontroli nad Pendżabem?

Długo płonęła w nim złość, by ustąpić wreszcie racjonalnym myślom zaprawionego w wojaczce człowieka. Wiedział, że dowódca musi trzymać się znanej sobie sytuacji, ponieważ przyszłości nie dało się przewidzieć. Poświęcono w ten sposób życie niezliczonych ilości żołnierzy i dalej będzie się tak działo. W czasie wojny nic nie było pewne. Próżny był jego gniew, wiedział o tym, ale gdy studiował plan głównej ofensywy, która miała prawdopodobnie ruszyć jesienią, jego serce przepelniał smutek osoby, która dotrwała do słono okupionego zwycięstwa tylko po to, by dowiedzieć się, że nie ma ono większego znaczenia.

Tak więc w dwa miesiące po opuszczeniu Ratnapore kolumna ustawiła się gotowa do drogi powrotnej na placówkę. Była tym razem o wiele krótsza, a w jej skład wchodziło wiele noszy i prowizorycznych furgonów szpitalnych. Wbrew wszelkim oczekiwaniom George Humphrey jakimś cudem trzymał się przy życiu, chociaż ta podróż mogła go wykończyć. Sir Rupert Carruthers, któ-

ry w normalnych okolicznościach zostałyby w miejsce Williama rotmistrzem, nie mógł zostać awansowany, gdyż był aresztowany i czekał go sąd wojskowy. Był to trudny przypadek. John nie mógł oskarżyć go o tchórzostwo, z powodu którego opuścił swych ludzi w czasie bitwy. W sposobie, w jaki podążał za wrogami z zamiarem zabicia tyłu, ile się da, nie było nic z tchórzostwa. John oskarżył go w końcu o niepodporządkowanie się rozkazom na polu bitwy. Było mu szczególnie nieprzyjemnie nalegać, by ukarano człowieka, którego Hugo otaczał taką miłością i dumą, ale on sam by tak zrobił, a ponadto Rupertowi taka przerwa w karierze tylko pomoże. Co zaś do ich konfrontacji na blankach Fort Judapur, ten rachunek został już na dobre i złe wyrównany i żaden z nich nigdy więcej o tym nie wspomni.

Zostawiali w Judapur mogiły wielu dzielnych ludzi oraz jedną, na której nie było ani krzyża, ani żadnego znaku. Chociaż John zobowiązał oficerów do milczenia w sprawie Henry'ego Nicholsona, jego samobójstwo i tak wykluczało wszelkie chrześcijańskie ceremonie pogrzebowe, a młody chorąży Bennett był tak oburzony tym, co zastał, wykonując rozkaz uwolnienia zakładników po wkroczeniu do fortu, że mówił o tym komu popadło, w ten sposób zdradzając żołnierzom smutną prawdę. Nic nie mogło zapobiec temu, by historia ta krążyła po całych Indiach, ale dzięki posmakowi skandalu w towarzystwie będzie ona znana tylko w męskich kręgach. Nim Lucy opuści Indie, oszczędzone jej zostanie najgorsze z upokorzeń.

Trzy noce spędzone w podróży były mniej radosne, ale i mniej pełne napięcia, niż gdy wędrowali do Judapur. Trwało czasowe zawieszenie broni, w czasie którego przygotowywano się do głównego starcia. Małe grupy wojskowe mogły przemieszczać się po kraju swobodnie, bo cała uwaga dowództwa skupiała się na zbieraniu jak najsilniejszej armii, by uderzyć na dawnego przeciwnika. Wdowy po dwóch oficerach spały w jednym namiocie i jechały razem, chronione przez pełną szacunku eskortę. Surowe zasady rządzące obowiązkowym okresem żałoby pozwoliły Johnowi ograniczyć zainteresowanie, jakim je obdarzał, do takiego, jakiego można by wymagać od każdego dowódcy. Cieszyło go to. Nie był pewien niczego, prócz nadciągającej wojny. Chociaż wracał do Ratnapore świadom wielu zmian, wciąż miał silne, choć zwodnicze uczucie, że w tym kraju czeka jego przeznaczenie. Udany szturm na fort zyskał mu zaufanie i szacunek tych, którymi dowodził, i spowodował, że i inni udzielą mu, jakże ważnego, wotum zaufania. Dzięki czasowemu dowodzeniu pułkiem zniknie uraza, jaką żywiono do huzara, który dostał się tu dzięki transferowi i być może położy to kres plotkom dotyczącym jego małżeństwa z Clare i późniejszych dy-

plomacyjnych waśni związanych z jej tajemniczym zniknięciem. Jeśli rzeczywiście żyła i to jak Hinduska, John będzie musiał jakoś rozwiązać ten dylemat, ale nie wcześniej niż po wojnie, jeśli ją przetrwa. Prócz tej jedynej niedogodności, nie powinno być przeszkód, by jego opinia człowieka, który pobrzękuje szabelką i prowokuje sytuacje, w których zagrożone jest życie tych, którzy mu towarzyszą, została rozpatrzona w nowym świetle. Z czasem, gdy pułk zauważy, że Rupert zaniechał swej wendetty, może przestanie go obciążać odpowiedzialnością za śmierć Hugona. John Stavenham, pełniący obowiązki pułkownika Dragonów Forrester's, wracał do Ratnapore jako zwycięski bohater. Powinien jechać z lekkim sercem, a nie obciążony smutkiem i żałami.

W ciągu następnych tygodni tymczasowe dowodzenie pułkiem całkowicie wypełniało Johnowi czas. Sposób dowodzenia Justina Lakelanda, który za wszelką cenę starał się, by podwładni zawsze znali swoje miejsce, okazał się największym problemem w przejmowaniu po nim komendy. Były pułkownik bardzo niewiele powierzał papierowi, aby jego oficerowie nie mogli wiedzieć po przeczytaniu notatek tyle co on, i całą swą wiedzę gromadził w głowie — głowie, która wraz z ciałem była właśnie w drodze do Kalkuty. John był zmuszony spędzić wiele czasu z adiutantem generała Masona w celu zapoznania się z faktami, które będą miały wpływ na najbliższą kampanię. Wykorzystał też okazję, by zwiększyć dyscyplinę i wzmocnić w żołnierzach nowe poczucie jedności pułku. Zważywszy, że braki w ludziach uzupełniali przybywający z innych pułków kawalerzyści i oficerowie, była to najlepsza chwila, by tchnąć w Dragonów Forrester's nowe życie. Zamienił oficerów tak, by słabszych rotmistrzów wspierali bardzo efektywni młodsi oficerowie i aby młodzieńcy podobni do nieżyjącego już, rozwiązłego, lekkomyślnego Calthorpe'a, znaleźli się pod dowództwem rotmistrzów, którzy nie tolerowali żadnych takich bzdur. John stanowczo i z radością zdecydował się wyznaczyć na następcę Williama George'a Humphreya, chociaż nie było pewności, że będzie on już w stanie normalnie walczyć, gdy wojsko będzie gotowe do ruszenia przeciw Sikhom. Te wszystkie drastyczne zmiany przeprowadzone przez osobę stosunkowo młodą, a niezwykle szybko wyniesioną do tak wysokiej rangi dzięki zbiegowi okoliczności, mogły nie podobać się generałowi Masonowi. Znał on jednak Johna od kilku lat i rozpoznał urodzonego dowódcę w tym człowieku, któremu młodzieńcze szaleństwo uniemożliwiło szybki awans. Pozwolił mu więc działać na własną rękę w pułku, któremu potrzebna była reorganizacja. Słowo skargi nie padło z ust żołnierzy Dragonów Forrester's, których pretensje dotyczące tak zasadniczych zmian wprowadzanych przez oficera z transferu, który dopiero niedawno objął dowództwo, byłyby zrozumiałe. W Judapur zdobył sobie podziw

tych nieufnych, niezdyscyplinowanych ludzi. Za oficerem, któremu się to udało, żołnierze pójną wszędzie.

W ciągu tych przepelnionych zajęciami tygodni John był świadom, że nie jest szczęśliwy. Chociaż w sprawach zawodowych był na szczycie, jego osobiste życie było tak jak zawsze pozbawione uczucia. Jego przeznaczenie wydawało się nie mieć nic wspólnego z wieczną miłością. Lata wewnętrznej samotności nauczyły go zagłuszać to uczucie obowiązkami wojskowymi i zagłębianiem się w studia nad krajem, który od ponad dziesięciu lat był jego domem. Kiedy jednak pewnego dnia, o zachodzie, podążał aleją, by — jako pułkownik Williama — pożegnać wdowę po nim na dzień przed jej wyjazdem do Kalkuty, udręka samotności wymknęła się spod jego kontroli. Elizabeth i Lucy, wraz z wdową po oficerze, który zginął pod Dhakti, dołączały do grupy kilkunastu oficerów z pobliskiej placówki, których żony zabierały dzieci z powrotem do Anglii, by tam je kształcić. Zorganizowano to za aprobatą Johna i nawet wyznaczył on dwóch ze swych podkomendnych do eskortowania dam w czasie pierwszej części podróży, do miejsca, gdzie miała zebrać się cała grupa, by sfinalizować swe plany. Prywatnie nie rozmawiał jednak z Elizabeth od dnia, gdy wiozł ją do umierającego męża i okazało się, że nie może patrzeć, jak odjeżdża, póki nie powie jej tego, co powiedzieć musi.

Potrząsnąwszy niewielkim dzwonkiem, by przywołać służącego Elizabeth, John czekał w znajomym bungalowie, przypominając sobie dzień, gdy wrócił tu i spotkał wprowadzającego się właśnie przy akompaniamencie głośnych przekleństw postawnego blondyna. Jak dobrze pamiętał szok, który przeżył odkrywszy, że jest to mąż kobiety, którą uważał wtedy za awanturnicę. Teraz Delacourt nie żył, a jego żona nie okazała się być rozpustnicą bez serca. Jednak miłość, którą do niej czuł, wciąż nie mogła się spełnić.

Sługa odszedł, by go zaanonsować, po czym wrócił i wprowadził go do salonu. Elizabeth była ubrana na czarno, jak wymagały tego konwenanse, ale John wiedział, że spięty wyraz jej bladej, ładnej twarzy nie był efektem żałoby po stracie męża. Miała zamiar opuścić Williama, uciec od związku, któremu nie mógł pomóc ani upływ czasu, ani najszczersze wysiłki. Wiedział, że to on sam jest powodem jej głębokiego smutku i to pogłębiało jego własną żalność.

— Wybacz, że zaniedbałem cię z powodu obowiązków zawodowych.

Skinęła lekko głową.

— Obowiązek jest ważniejszy nad wszystko. Jak od dawna przewidywałeś, będzie wojna.

Zamilkli, zdając sobie sprawę, że obydwójce pragną mówić i niemal bojąc się słów, które miały paść.

— Czy mogę usiąść? — spytał w końcu John.

— Oczywiście.

Siadł i przyjrzał jej się: włosy schludnie zwinięte wokół uszu, czarna suknia zasłaniająca ją od podbródka do ziemi, długie, sięgające nadgarstków rękawy, złotowa biżuteria żałobna. Ruchliwe dłonie złożyła teraz nieruchomo na kolanach. Na lewej błyszczała ciągle obrączka Delcourta. Spojrzawszy na twarz, której żywość tak go urzekła w czasie ich pierwszego spotkania, dojrzał w niej ten sam rozpaczliwy smutek, który zachmurzył jej oblicze, gdy John wychodził z domku panny Mount, by oswobodzić uwięzioną pod komodą kobietę. To wspomnienie pomogło mu teraz zwrócić się do niej.

— Elizabeth, z pewnością słyszałaś opowieści dotyczące mojego małżeństwa. Krążą one po Indiach w wielu wersjach, z których żadna nie jest całkowicie prawdziwa.

Na jej ustach pojawił się blady uśmiech.

— Nie będziesz zaskoczony, jeśli powiem, że moja droga przyjaciółka, Lavinia Mount, zaznajomiła mnie z jedną z tych niepewnych wersji pierwszego ranka w Wellford.

Musiał odpowiedzieć na to uśmiechem. Spiętym uśmiechem.

— Więc w czasie tych niezapomnianych tygodni wiedziałaś o mnie więcej niż ja o tobie?

— Czy nigdy nie wybaczysz mi mego oszustwa?

— Wybaczyłem ci, gdy powiedziałaś, co było jego powodem. Wiesz przecież. — Znow zapadła cisza, aż wreszcie John zaczął wstęp do słów, które musiały paść. — Chciałbym powiedzieć ci prawdę o mojej żonie.

Zachęcająco skinęła głową.

— Clare podróżowała przez Indie z ojcem. Była o kilka lat starsza niż młody oficer, jakim ja wtedy byłem, i o wiele bardziej doświadczona. Poślubiłem ją wbrew wszelkim radom wiedząc, że ucierpi na tym moja kariera.



Ucierpiała i to o wiele bardziej, niż mogłem przypuszczać. Okazało się, że jej cechy, którym ja nie potrafiłem się oprzeć, były nie do zaakceptowania dla towarzystwa, a szczególnie dla jego związanej z wojskiem części.

Przez chwilę siedział wpatrując się w swe splecione dłonie, zagubiony we wspomnieniach, które, jak sądził, na zawsze wyrzucił ze swoich myśli. Potem spojrzał na Elizabeth.

— Clare była wierna sobie i nikomu więcej; nie byłem wystarczająco dojrzały, by to zrozumieć. Nie mogła żyć uwiązana do oficera, więc pewnego dnia po prostu odeszła. Wszyscy, ja również, założyli, iż przydarzyło jej się coś potwornego. Kiedy rozpoczęto poszukiwania, napięcie między nami a Hindusami sięgnęło zenitu. Fakt, że nie znaleziono żadnych dowodów na to, że ją zamordowano, rozgoryczył dowództwo, które z tego powodu zostało postawione w niezręcznej sytuacji wobec dowódców hinduskich. Nie przebaczone mi. — Westchnął, rozdrażniony nie tylko głupotą zwierzchników, ale i swą własną. Wzrokiem prosił Elizabeth o zrozumienie. — Z pewnością jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak wtedy cierpiałem. Wiem, że wyczułaś to dzięki swym niezwykłymi zdolnościom. Mówiłaś o tym w Wellford.

— Oszukałam cię, mój drogi — wyznała najłagodniej jak mogła. — To nie moje dziedziczne zdolności, a plotki Lavinii były źródłem tego, co powiedziałam tamtego popołudnia. Ale z całą mocą starałam się wtedy zrozumieć, jaki wpływ wywarła na ciebie ta potworna tragedia. Pozwoliło mi to sięgnąć poza barierę ochronną, którą się wtedy otaczałeś, i dojrzeć cię takim, jaki jesteś.

Wyznanie to nie wprawiło go w konsternację. Być może teraz był ponad takie uczucia.

— Na własne oczy widziałaś pokłosie bitwy, Elizabeth. Wojna przeciw Sikhom była moim chrztem bojowym. Żaden inny ból nie mógł mnie dręczyć w obliczu tak silnego przeżycia. Mogłem wreszcie zapomnieć o Clare i po siedmiu latach zyskać prawne rozwiązanie małżeństwa z racji jej domniemanego zgonu. Dlatego też sądziłem, że mogę cię poślubić, gdy całkowicie uległem twemu czarowi w Wellford.

— Johnie, proszę...

Potrząsnął głową.

— Dzięki Bogu nie byłaś, jak sądziłem, wdową. Znajdowalibyśmy się teraz w pożałowania godnej sytuacji i ty najbardziej byś z tego powodu cierpiała.

Zmieniła nieco pozycję na szeszlunku i na jej twarz padał teraz cień zawieszonych w oknie mat, nie widział więc, jaki miała wyraz, gdy pytała:

— Skąd dowiedziałeś się o tym, że twoja żona żyje, skoro w czasie oficjalnych poszukiwań nie natrafiono na żaden jej ślad?

John, niespokojny, wstał i przeszedł na drugą stronę pokoju, skąd lepiej widział Elizabeth. Było dla niego ważne, by nie unikali teraz konfrontacji.

— Powiedziałem ci w Wellford, że czuję, iż w Indiach czeka moje przeznaczenie. Tylko przeznaczenie mogło posłać do Judapur tę właśnie część armii Gandy Singha, którą zaatakowaliśmy, i sprawić, by wśród pojmanych znalazł się jedyny człowiek posiadający klucz do tej zagadki. Kiedy w noc przed szturmem na fort jechałem przez obóz, spotkałem swego byłego sługę, człowieka, który wraz z Clare opuścił bungalow i również zniknął.

Elizabeth wstała i podeszła do niego, ze współczuciem ujmując jego dłoń.

— Było to okrutne posunięcie ze strony losu w takiej chwili, mój drogi. Bardzo okrutne! — W jej oczach błyszczały łzy, gdy pytała: — Czy ten człowiek powiedział ci, gdzie możesz znaleźć Clare?

Nie wydało mu się dziwne, że użyła imienia jego żony. Zawsze tak świetnie się rozumieli.

— Wie, gdzie była rok temu. — Sam nieco tym zdziwiony, zaczął usprawiedliwiać brutalne postępowanie kobiety, którą kiedyś tak namiętnie kochał. — Urzekł ją ten kraj, jego kulty i rytuały... jego mieszkańcy. Jej obrazy były jaskrawe, przedstawiały gorące uczucia, pełno w nich było wschodniego symbolizmu. Uwielbiała się ubierać w sari kolorowe jak klejnoty. Rozpuszczała włosy, tak że zwisały jej luźno do pasa i perfumowała się indyjskimi wonnościami o zapachu piżma. Byłem oczarowany; ludzie z towarzystwa płonęli oburzeniem.

— Czy próbujesz mi powiedzieć, że Clare Stavenham żyje jak Hinduska? — spytała bardzo cicho, niemal bez tchu.

Wolno skinął głową.

— W wiosce przy granicy z Tybetem. Jej... jej mąż handluje dywanami. Mają czwórkę brązowych dzieci. Clare chodzi po wodę do studni i wykonuje wszystkie normalne obowiązki hinduskiej żony, chociaż nadal maluje. Nic nie

byłoby w stanie powstrzymać fali jej artystycznej fascynacji tym krajem, który jest jej prawdziwą ojczyzną. — Wziął głęboki oddech, by uspokoić się nieco, po czym dodał: — Ramu twierdzi, że teraz otworzyły się przed nią królestwa wiecznej szczęśliwości.

Długo patrzyli na siebie z miłością i zrozumieniem, które tak szybko ogarnęły ich w czasie pierwszego spotkania, nie mogli jednak znaleźć słów, które mogłyby zabrzmieć po tym, co właśnie wyjawiał. W końcu Elizabeth przerwała milczenie.

— Ten człowiek może kłamać.

— Może. Dowiem się tego dopiero wtedy, gdy pojadę poszukać jej do tej wioski. Nie ma szans, bym to zrobił teraz, gdy grozi nam wojna. Poprzednia trwała dwa lata, ta może być dłuższa. — Ścisnął mocno jej dłonie. — Jeśli ją przeżyję, wezmę urlop i pojadę do Tybetu.

— Tak... oczywiście — szepnęła, wyjmując ręce z jego uścisku i odwracając się. — Musisz ją bardzo kochać.

— Kiedyś tak — odpowiedział widząc, że się oddala. — Dopóki znów jej nie zobaczę, nie będę mógł... Po okropnościach wojny, mając w ręku dokument wykluczający ją z mego życia, sądziłem, że uwolniłem się od czaru, jaki na mnie rzuciła.

— Teraz nie jesteś tego pewien?

— Nie jestem pewien, czy prawnie jestem wolny. Moja żona nie zginęła. Poślubiła według indyjskiego zwyczaju człowieka, z którym ma czwórkę dzieci. Potwornie zagmatwana sytuacja. — Podeszedł do Elizabeth i stanął tak blisko niej, że czuł jej napięcie i delikatny zapach perfum, który zawsze będzie mu przypominał o ulotnych chwilach szczęścia w Wellford. — Nic nie mogę ci ofiarować. Zanim znów poczuję się wolny, muszę wybrnąć z emocjonalnych i prawnych zawłości związanych z moim małżeństwem. Mógłbym zignorować to, czego się dowiedziałem, i zostawić sprawy tak, jak się mają teraz, ale zawsze zostałby cień niepewności. Nic nie skłoniłoby mnie, by w tych okolicznościach prosić jakąkolwiek kobietę, by dzieliła ze mną życie. Ponadto jesteśmy na krawędzi wojny wraz ze wszystkimi zagrożeniami, które ona ze sobą niesie. Bóg świadkiem, że nie mogę ci nic proponować — zakończył z rozpaczą.

Elizabeth, wciąż stojąc tyłem do niego, odparła:

— Rozumiem, John. Rozumiem to, mój kochany.

Spoglądając w dół na jej błyszczące włosy i łuk szyi, spytał ze ściśniętym gardłem:

— Co będziesz robiła w Anglii?

— Pojadę do Vinnie. Na pewno przyjmie mnie z otwartymi ramionami i wesprze mnie w mej akcji o poprawienie losu prostych żołnierzy.

O dziwo, zabołało go, że ma takie plany. Spytał:

— Chyba nie chcesz iść w ślady lady Mason?

— Nie podoba ci się to? Nie spodziewałam się tego — powiedziała odwracając się do niego, by widział, że już się uspokoiła. — O ile sobie przypominasz, kiedyś zachęcałeś mnie do spotkania z tą osobą.

Odparł z rosnącym bólem:

— Chyba nie posuniesz się tak daleko, by nosić jaskrawe peruki i ogromne, różnobarwne krynoliny?

— Myślę, że będzie to konieczne — odparła z cieniem śmiechu w głosie, mimo kredowej bladości policzków. — Jakże inaczej zdołam zwrócić na siebie uwagę i napęlić starych głupców strachem i przerażeniem przed spotkaniem ze mną?

Nagle poczuli tę samą miłość, która ogarnęła ich tego pierwszego ranka, nie wyrażoną, lecz silniejszą niż samo życie. Miłość była w ich oczach, wyrazie twarzy, miłość kazała im się wzbraniać nawet przed niewinnym dotykiem. John wiedział, że Clare Stavenham nie ma już nad nim żadnej władzy.

— Elizabeth, gdybym zginął w czasie nadciągającej wojny, pamiętaj tylko Wellford. Jeśli przeżyję, pewnego dnia spotkasz się na przejeździe po ziemiach Wellford Manor z człowiekiem, który przyjechał na urlop z Indii. Powie ci, że przeznaczeniem, które czekało na niego w tym pięknym, dzikim kraju, było odkrycie, że życie bez ciebie nie ma sensu.

Milczeniem zgodziła się na przyjęcie tej odrobiny uczucia, będącej jednocześnie wszystkim, co mógł jej ofiarować przy rozstaniu. Wyszedł, nim ta chwila pożegnania stała się zbyt bolesna, by można ją było znieść.

## EPILOG

Dzień, w którym Lucy Nicholson miała poślubić Sir Ruperta Carruthersa, wstał piękny i ciepły. Mieszkańcy Wellford byli niezwykle podnieceni, gdyż panna młoda, chociaż od dziewięciu lat była wdową i liczyła już sobie prawie dwadzieścia sześć wiosen, nadal wyglądała jak złotowłosa dziewczynka, której radość promieniowała na każdego, z kim się spotkała. Pan młody był przystojny i elegancki jak książę z bajki, a jeśli zachowywał się czasem nieco arogancko, to jego ranga i znaczenie doskonale to usprawiedliwiały.

Ślub zapowiadał się na największe wydarzenie w wiosce od czasu, gdy Sir Francis Stavenham poślubił Estellę Groves, chociaż ten nowy związek wydawał się o wiele bardziej romantyczny od poprzedniego. Panna młoda ponoć kochała Ruperta od dziecka. W rezultacie odmówiła swej matce przyjemności, z jaką dama ta powitałaby przyjęcie przez córkę oświadczyn jednego z trzech dojrzałych gentlemanów, którzy starali się o jej rękę po tym, jak jej mąż zastrzelił się w Indiach w wyniku skandalu. Pan młody został odznaczony medalem za odwagę, jaką wykazał się w czasie drugiej wojny z Sikhami, która zakończyła się całkowitą aneksją Pendżabu przez Brytyjczyków w 1849 roku. Kiedy tylko powrócił z pułkiem do Anglii, wybrano go, by dołączył do sztabu lorda Cardigana na Krymie. Był to ogromny przełom w jego karierze. Nim się tam jednak udał, spotkał swą dziecięcą miłość, z którą korespondował podczas całej potwornej kampanii, która całkowicie zmieniła strukturę wojska. To z pewnością te listy wywołały uczucie, które dzisiaj miało zostać uroczyście uczczone ślubem w miejscowym kościele.

Lavinia Mount przypisywała sobie zasługę skojarzenia tej pary, choć wszyscy wiedzieli, że bardziej przyczyniła się do tego uprzejmość Elizabeth Stavenham, kiedy bowiem matka Lucy Nicholson straciła w końcu cierpliwość i oskarżyła ją o rujnowanie nadziei na zamążpójście swych nieatrakcyjnych sióstr, dziewczyna przeniosła się do domku, który jej przyjaciółka kupiła w Wellford. „Indyjskie wdowy”, jak nazywano te damy w okolicy, prowadziły wspólne gospodarstwo przez kilka lat po narodzinach Edwarda Delacourta. Nikt w Wellford nie mógł zaprzeczyć, że to dzięki Lavinii Mount nie powiodła



się próba dziadków chłopca odebrania go matce w dniu narodzin, to Lavinia bowiem poprosiła proboszcza, by zaangażował swego bratanka — słynnego londyńskiego adwokata — w tę sprawę i doprowadził do ugody, nim jeszcze weszła ona na wokandę. Wiele osób podejrzewało również, że miała ona też swój udział w doprowadzeniu później do ślubu Elizabeth Delacourt i Johna Stavenhama. Poczmistrzyni zdradziła, że przesyłała kiedyś do majora list adresowany kaligraficznym pismem panny Mount. Byli i tacy, którzy żartobliwie sugerowali, że mały Delacourt otrzymał niewłaściwe nazwisko, ale tylko głupiec mógłby przypuszczać, że ten spokojny chłopczyk o szarych włosach jest potomkiem któregoś z Stavenhamów, cokolwiek nie zdarzyło się w Indiach. Wystarczającym dowodem na to było drugie dziecko Elizabeth. Silny dwulatek o niemal czarnych włosach i oczach błękitnych jak ocean był miniaturą swego ojca.

Bratanek proboszcza poradził też sobie z niezwykle sprawą pierwszego małżeństwa Johna Stavenhama. Chociaż historię tę starano się trzymać w sekrecie, z różnych kręgów wojskowych przenikały wieści, że Clare Stavenham, wbrew temu, co się wszystkim wydawało, nie była martwa. Co poniektóre wersje opowieści mówiły, że jest niewolnicą w haremie jakiegoś paszy albo tancerką podróżującą z grupą wędrownych sprzedawców dywanów. Chociaż historie te wydawały się prostym mieszkańcom Sussex ekscytujące, tak naprawdę nikt w te opowieści nie wierzył. Bez wątplenia major był jednak zmuszony prawnie uwolnić się od żony, która w tym dalekim, pogańskim kraju tak skandalicznie zlekceważyła przysięgę małżeńską. Prócz sprawy tej kobiety, której pozbyto się dzięki interwencji prawnej, obecność dziecka Delacourta odarła ślub Elizabeth i Johna z romantyzmu, który tak cenili. Para ta była jednak najwyraźniej wspólnie dobrana i bardzo sobie oddana. Jednak atłas i koronki uszytej w starym stylu sukni dzisiejszej panny młodej, welon ciągnący się dwadzieścia stóp po ziemi i obecność panów i pań z arystokracji, którzy w normalnych warunkach nie zatrzymaliby się w tej sennej wiosce, nawet by zmienić konie, czyniła z uroczystości ślubnej Carruthersów prawdziwe wydarzenie.

Kościół ozdobiono setkami złocistych róż i białych goździków. Za panną młodą będą szły małe dziewczynki niosące sznury złotych i białych kwiatów. John Stavenham miał, w miejsce nieżyjącego ojca, oddać dziewczynę mężowi. Zdaniem większości mieszkańców wioski, którzy nie mieli dobrej opinii o matkach, które gotowe były wepchnąć swe piękne córki w ramiona kolejnych starzejących się mężów, by ułatwić życie ich brzydkim siostron, mama panny

młodej i jej pociechy przybędą tu wyłącznie w nadziei przyciągnięcia uwagi oficerów — znajomych pana młodego.

Elizabeth siedziała obok Lavinii w kościelnej ławie Stavenhamów. Myślała z czułością o tym, że jej droga przyjaciółka i towarzyszka wygląda coraz młodziej. Lavinia, mając teraz tyle zajęć, tyle uczucia, przestała się bać samotnej starości.

Odkrywszy po powrocie z Indii, że nosi dziecko Williama, Elizabeth kupiła w Wellford mały domek i poprosiła Lucy, by z nią zamieszkała. Zyskała w ten sposób siostrę, której nigdy nie miała, a i Lavinia przygarnęła dziewczynę pod swe skrzydła z wielkim uczuciem. Ta pulchna kobieta o przyprószonych siwizną włosach, tak jak i obie wdowy, wciąż poruszała się między Domem Pod Orzechem a Domem Róż. Kiedy przedwcześnie przyszedł na świat Edward, to właśnie Lavinia ruszyła przez śnieg, by sprowadzić lekarza. Starsza kobieta niczym nie byłaby bardziej zachwycona niż dzieckiem, które mogła kochać i wychowywać. Pragnęła zobaczyć tę rodzinę w całości; pragnęła tego tak bardzo, że w kilka lat później, gdy dowiedziała się, że Dragoni Forrester's wracają do kraju i major Stavenham ma nadzieję przed świętami Bożego Narodzenia dotrzeć do Wellford Manor, zrobiła więcej, niż pozwalała na to jej pozycja. Napisała z szacunkiem do Johna, że ma nadzieję, iż znajdzie czas, by odwiedzić jej domek i w towarzystwie proboszcza napić się herbaty i zjeść kilka ciasteczek czereśniowych. W krótkim streszczeniu nowości z wioski wspomniała Elizabeth i jej pozbawione ojca dziecko. W ten sposób John dowiedział się o istnieniu Edwarda i żadne zaskoczenie nie mogło zepsuć jego spotkania z ukochaną.

Wszystko poszło zgodnie z planem i nikt nie mógłby być dumniejszy ze swych osiągnięć niż Lavinia w dzień ślubu Johna i Elizabeth. Była jednak zawiedziona, że małżeństwo nie położyło kresu pracy, jaką wdowy rozpoczęły po przybyciu do wioski. Lucy nadal mieszkała z młodą parą, a kampania na rzecz poprawy warunków życia prostego żołnierza wcale na małżeństwie Stavenhamów nie ucierpiała. Już po narodzinach małego Rossa, Elizabeth uparcie jeździła co trzy miesiące do Londynu na spotkania, którym przewodniczyła lady Amelia Mason — kobieta, zdaniem Lavinii, będąca u progu szaleństwa. Przerażające straty, jakie armia poniosła na Krymie w wyniku działań wroga i chorób, zwróciły uwagę opinii publicznej na sprawy, o których przedtem nikt nie myślał. Przede wszystkim dzięki Florence Nightingale i grupie zdecydowanych, wpływowych kobiet, nieludzkie traktowanie prostych żołnierzy w brytyjskim wojsku stało się przedmiotem dochodzeń i tematem sprawozdań, które niemal-

że wywołały skandal. Tak jak się obawiano, władze zauważyły problem, dopiero gdy zginęła cała brygada lekkiej konnicy, większość brygady ciężkiej konnicy i przerażająca liczba piechurów. Sprawozdania i grupy oburzonych kobiet niewiele by zdziałały. Kiedy jednak pojawiły się pierwsze oznaki zainteresowania tą sprawą, łatwo było całkowicie pokonać barierę obojętności. Lucy i Elizabeth maszerowały przez Londyn w towarzystwie lady Mason i jej zwolniczek, trzymając nad głowami transparent. Lavinia Mount potępiała ich zachowanie i dziwiła się, że John im na takie rzeczy pozwala. A on jeszcze je zachęcał, szczególnie gdy Sir Rupert Carruthers powrócił z wojny z Rosjanami i potwierdził najstraszniejsze opowieści, które krążyły po kraju. Wreszcie cała czwórka połączyła siły w tej kampanii, która trwała do dnia dzisiejszego. Zdaniem panny Mount jedyną płynącą z tego korzyścią było to, że ona zajmowała się chłopcami, podczas gdy ich rodzice walczyli o swą sprawę.

Elizabeth głęboko zamyśliła się nad tym, dlaczego trzeba było stracić pół armii, by przyjrano się szpitalom, w których chorzy i ranni mieli niewielkie szanse na wyzdrowienie. Wspominając doktora Cockerforda, który zginął w czasie wojny z Sikhami z rąk oszalałego pacjenta broniącego się przed amputacją nogi, żałowała, że nie przetrwał i nie jest świadkiem reform, których tak bardzo — i na próżno — pragnął. Uśmiechnęła się na myśl o planie lady Mason, pragnącej podać niewielkie dawki trucizny gentlemanom z dowództwa, do których zdawały się nie docierać jej listy. Teraz listy docierały wszędzie — szczególnie do pałacu Buckingham — i nawet najbardziej nieczuli twardogłowi nie mogli zapobiec daleko idącym zmianom. Do czasu gdy wybuchnie nowa wojna, co z pewnością nastąpi w świecie, w którym odkrycia i cywilizacja roztaczały przed ludźmi nowe horyzonty, żołnierze nie będą się już musieli bać, że dostaną się do miejsca, które kiedyś uważane było raczej za dom śmierci niż centrum lecznicze.

Wspominając dzień, gdy John po raz pierwszy opowiedział jej o swej podróży do Indii wokół Przylądka Dobrej Nadziei i o kampanii lady Mason na rzecz prostego żołnierza, Elizabeth nagle zdała sobie sprawę, że bardzo wyraźnie wyczuwa jego obecność. Była zdziwiona, gdyż nie odczuwała tego od poranka, gdy znów się połączyli. Kiedy zaczęły grać organy i pojawił się Rupert czekający wraz ze starostą na pojawienie się panny młodej, poczuła tak silny związek z Johnem, że niemal ją to przeraziło. Cóż to mogło znaczyć? Od trzech lat byli małżeństwem, mieli własne dziecko. Żadna para nie mogła być sobie bliższa niż oni. Czemu więc, gdy zbliżał się prowadząc Lucy, aż zaparło jej dech w piersiach? Gdy Rupert odwrócił się nieco, by posłać jej uśmiech, Eliza-

beth poczuła nagły, niewytłumaczalny ból, przeczuła ogromne, ludzkie cierpienie, co tak ją wyczerpało, że musiała rozpaczliwie chwycić się ławki. Tym uczuciom towarzyszyły krótkotrwałe wizje, które przyniosły jej ulgę — widziała szerokie równiny, brązowe twarze pełne nienawiści, obóz zasłany zabitymi i rannymi — tym razem, pocieszyła się, widziała przeszłość nie przyszłość. Nic dziwnego, że tak wzruszające wydarzenie, w którym uczestniczyło tylu gości ubranych w szkarłat Dragonów Forrester<sup>^</sup> i mundury innych pułków, wywołało żywe wspomnienia. Rupert i Lucy, ona i John! Przez tyle razem przeszli, że nie można się było dziwić, iż spokojną wioskę w hrabstwie Sussex nawiedziły dzisiaj indyjskie echa.

Lucy była przepiękną panną młodą. Pod kierunkiem Elizabeth i Lavinii przeobraziła się w dojrzałą, spokojną kobietę, godną wkroczenia do szacownej rodziny. Elizabeth uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie Ruperta mówiącego z oburzeniem: „Pochodzę z rodu Carruthersów, proszę pani!” Za pół godziny biedna, mała Lucy Nicholson stanie się lady Carruthers, u której stóp legnie cały świat i zadziwiająco kochający mąż.

Elizabeth przeniosła wzrok na mężczyznę, który wiódł promienną pannę młodą, na człowieka, którego kochała przez całe życie. John nie był już osobą, którą kiedyś spotkała: nieufnym, nieszczęśliwym, błyskawicznie popadającym z jednego nastroju w drugi człowiekiem. Ich miłość pozwoliła ujawnić się radosnej stronie jego charakteru; syn przyniósł mu spełnienie, o jakim marzy każdy mężczyzna; odznaczenie za odwagę, którym nagrodzono go za wysadzenie bram Fort Judapur, usunęło ostatnie zastrzeżenia co do jego umiejętności wojskowych. Rozdział jego życia związany z Clare Stavenham został zamknięty. Elizabeth miała nadzieję, że zostanie też zapomniany. John nigdy nie opowiadał o swym spotkaniu z pierwszą żoną koło granic Tybetu, ale mogła sobie wyobrazić, jak bolesna musiała dla niego być w takich warunkach rozmowa z kobietą, którą kiedyś szalenie kochał. W końcu uzyskał rozwód, ale początkowe trudności kazały Elizabeth zastanawiać się nad tym, czy nie lepiej byłoby zostawić stanu rzeczy tak, jak wyglądał wcześniej. Tylko dzięki pomysłowości i umiejętnościom bratanka proboszcza udało się wygrać sprawę bez konieczności przedstawiania w sądzie dowodów na istnienie Clare Stavenham. John był teraz, w wieku czterdziestu jeden lat, silny, ufny we własne siły i zadowolony jak nigdy przedtem. Teraz jednak, gdy Elizabeth wpatrywała się w jego szerokie plecy z miłością, która stawała się oceanem uczucia, raz jeszcze ogarnął ją przemożny ból i napełnił niepokojem. Chociażby ten dzień był nie wiadomo jak

wzruszający, nigdy przedtem nie odczuwała tak wydarzeń z przeszłości. Czemu miałyby ją one trapić wśród tego ogromnego szczęścia?

Oszołomiona patrzyła, jak akt małżeństwa został uroczyście dopełniony, i całowała szczęśliwą parę, która stała jej się tak bliska jak rodzeństwo, którego nigdy nie miała. W czasie weselnego śniadania wydanego w Wellford Manor zepchnęła strach w najdalsze zakątki umysłu. Stare pokoje rozbrzmiewały śmiechem i radością, a posiłek zakończyły toasty na cześć młodej pary i wszystkich obecnych. Najwspanialsze było to, że Rupert wynajął człowieka, którego poznał na Krymie, by zrobił dagerotypy z tej uroczystości. Mimo że nowożeńcy, służba i najznamienitsi goście zmuszeni byli z tego powodu siedzieć przez długie minuty bez ruchu, podczas gdy fotograf chował się pod czarną tkaniną, by obsłużyć całe urządzenie, wszyscy stwierdzili, że ten nowy wynalazek pozwalający na odtwarzanie obrazów na kawałku tekturki jest absolutnie zadziwiający.

Kiedy Lucy odeszła, by się przebrać, Elizabeth zauważyła, że Rupert został na chwilę sam. Podeszła do niego i ujęła z uczuciem jego dłoń.

— Nikt z nas nigdy nie zapomni dzisiejszego dnia. Nie muszę cię błagać, byś uczynił Lucy szczęśliwą, gdyż wszyscy wiedzą, jak jesteś jej oddany, ale o jedno pragnę cię prosić.

— Lepiej się z tym pospiesz — zażartował — bo zaraz wróci moja żona i uprowadzę ją nie czekając na rady. Nasłuchałem się ich już dosyć przez kilka ostatnich dni od znajomych oficerów, pełnych dobrych chęci.

— Biedny Rupert! — powiedziała ze śmiechem. — Jestem pewna, że każdy z rodu Carruthersów doskonale sobie z takimi sprawami radzi. Chcę tylko prosić, byś nie zamęczał tej biednej dziewczyny ciągłymi utyskiwaniami najedzenie, które będą wam podawać w czasie miesiąca miodowego.

Zaśmiał się z wielką sympatią.

— Nigdy mi tego nie zapomnisz!

— Nie — potwierdziła. — Były chwile, w których z rozkoszą uciekłabym od ciebie prosto w noc.

— Naprawdę? Aż tak byłem nadęty?

Elizabeth spoważniała i rzekła:



— Mój drogi, wiesz, że Hugo był tu dzisiaj duchem. Bardzo wyraźnie to czułam.

Skinał głową. Jego oczy błyszczały intensywnym błękitem w twarzy, którą doświadczenia uczyniły surowszą.

— Ja też. Lucy bardzo by mu się podobała. Hugo zawsze miał niezwykle dobry gust.

— Wciąż piejesz hymny pochwalne na jego cześć? — drażniła delikatnie Ruperta.

— Zawsze będę to robił, Elizabeth. Był najlepszym bratem, jakiego można mieć.

Ściskając jego dłonie, odparła:

— Nie ma wątpliwości, że on powiedziałby o tobie to samo, Rupercie. Pamiętaj o tym, idąc przez życie i oby było ono długie i tak szczęśliwe jak dzisiejszy dzień.

Kiedy młoda para odjechała w nieznane, a goście się rozpięchli, Elizabeth i John ruszyli przez dobra Wellford Manor w kierunku domu, w którym mieszkali od ślubu. Wziąwszy się pod rękę, szli za Lavinia i dziećmi. Mleczny odcień nieba i szczególny nastrój późnego popołudnia sprawiły, że teraz, gdy uroczystości już się zakończyły, nad Wellford zapadła senna cisza. Piosnka siedzącego na dębie drozda wyśpiewującego swą radość z powodu kończącego się dnia poruszyła w Elizabeth jakąś strunę, która znów przywołała niepokój. Nie powiedziała nic o tym Johnowi, nie wspomniała też o głębokim bólu, jaki przenikał ją, gdy machała Rupertowi i Lucy wyruszającym w swą radosną podróż. Czemu czuła się tak, jakby żegnała ich na zawsze?

— Ojciec i Tom chyba przewracają się w grobach — powiedział z zastanowieniem John, gdy szli po trawie, której kolor wydawał się szczególnie żywy w świetle południa. — Stary dom powoli odzyskuje dostojeństwo pod opieką Gilesa i Roseanne, a śmiech, szczęście i uprzejmość, jakie w nim dzisiaj panowały, z pewnością wygnały stąd ostatnie duchy nieprawości. Teraz jest to prawdziwy dom, pełen miłości i światła. Nie myślałem, że dożyję takiego dnia.

Spojrzała na niego.

— Nie żałujesz, że nie jest twój, że twoje dzieci nie będą rosły we wspaniałej atmosferze, jaka tam teraz panuje?

Nie odpowiedział od razu, a coś w wyrazie jego twarzy powiedziało Elizabeth, że cienie, które przesłaniały raz po raz pogodne niebo dzisiejszego dnia, nie były echemi przeszłości.

— Masz mi coś do powiedzenia — stwierdziła cichym głosem. — Czuję to od chwili, gdy wkroczyłeś z Lucy do kościoła, ale sądziłam, że związane to jest z tym, co wszyscy przeżyliśmy w Indiach. Ty powiesz mi, że patrzyłam w przyszłość, prawda?

Stanął i odwrócił ją twarzą do siebie, ujawszy jej zimne dłonie.

— Co widziałas?

— Szerokie równiny, dzikich, brązowych wojowników... pole bitwy podobne do tego pod Judapur. Czułam ból, Johnie, przeraźliwy ból, wywołany raczej cierpieniami ducha niż ciała. Co to miało znaczyć?

— Kiedy wyszłaś z Vinnie do kościoła, otrzymałem wiadomość od straży konnej. Pułk ma jak najszybciej udać się do Indii.

Od razu nawiedziły ją wspomnienia leniwie płynących, brązowych rzek, poruszających się z mozołem wołów, roześmianych dzieci biegających po cichych wioskach; wspomnienia kolorowych ptaków, pędzącego z przerażeniem bydła, bujnego kwiecica i purpurowych wzgórz na tle pomarańczowego nieba, z którego właśnie zniknęło słońce. Myślała o długich szeregach słoń, wielbłądów i wozów, o smutnych mułach dźwigających broń i zapasy, żołnierzach w jaskrawych mundurach, którzy maszerowali jeden za drugim rozświetlając pochodniami ciemność — wszystko to wróciło do niej nagle tak wyraźnie w samym środku zielonej wioski w hrabstwie Sussex. Indie: ziemia, na której odkryła tak miłość, jak strach.

— Jesteś w Anglii dopiero od czterech lat. Czemu masz tak szybko wracać? — spytała z rosnącym niepokojem.

Zaczęli iść i wtedy John powiedział jej o sprawie, na której wspomnienie w jego głosie rozbrzmiała troska:

— Wiesz już, z jaką radością wszyscy wojskowi powitali nowy typ karabinu z Enfield. Wywołało to jednak w Indiach iskrę nienawiści, która szybko zmienia się w płomień. Może on przekształcić się w pożar, który ogarnie cały kontynent. Przyczyną konfliktu jest nowy nabój karabinowy, od którego przed użyciem należy odgryźć kapiszon i który jest natłuszczony, by lepiej wsuwał się do lufy. Mówi się, że smar oparty jest na tłuszczach zwierzęcych — woło-

wych lub wieprzowych. Sipaje odmówili używania naboju twierdząc, że będą zmuszeni połykać smar zawierający składnik, którego zabrania im jeść religia. Oficerowie zapewnili ich, że obawy te nie są niczym usprawiedliwione i wydali rozkaz używania naboju. Wybuchł bunt, sipaje zabili oficerów i wszystkich brytyjskich żołnierzy, jacy nawinęli im się pod rękę, po czym podpalili koszary.

Elizabeth ponownie się zatrzymała, patrząc na niego z zatroskaną miną.

— Mają rację?

Wzruszył ramionami.

— Nic prostszego, jak zmienić smar tak, by nikt nie czuł się urażony, ale wiesz tak dobrze jak ja, że agitatorzy od miesięcy podsycają zamieszki, a wybuch gniewu w szeregach żołnierzy jest doskonałą okazją do otwartego buntu. — Uśmiechnął się ponuro. — Jeśli planuje się powstanie, najpierw trzeba sobie zdobyć przychylność wojska. Tym razem, moja droga, całe Indie kipią nieufnością. Zagrożone jest brytyjskie panowanie. Trzeba odzyskać kontrolę nad sytuacją, nim cały kraj pogrąży się w orgii ognia i rzezi. Pospiesznie wysłała się tam kilka pułków, które mają doświadczenia w walkach na terenie tego kraju, na wypadek, gdyby rozpadła się cała armia Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Elizabeth, spokojniejsza, bo wiedziała już, co wywołało jej przeczucia, spytała szybko:

— Co z Rupertem i Lucy?

— Zaznajomiłem Ruperta z faktami i ma powiedzieć o tym żonie w odpowiednim momencie. Będą musieli spędzić resztę miesiąca miodowego w podróży... i wykorzystać czas, kiedy Rupert będzie wolny od obowiązków.

Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę z wagi tych wiadomości i ruszyła podekscytowana przez bujną trawę w stronę łagodnego wzgórza, z którego widać było grupę domków. Teraz zrozumiała uczucie rozpacz, które ją nawiedziło i przypomniała sobie rozmowę z Fanny Humphrey, w czasie której stwierdziła, że nie obawiałaby się stanąć w obliczu wyboru między pozostaniem w Anglii z dziećmi i porzuceniem ich, by towarzyszyć mężowi. Teraz musiała tego wyboru dokonać i decyzja ta należała do najbardziej bolesnych z tych, jakie może być zmuszona podjąć kobieta. Patrząc na Lavinie rozmawiającą z ożywieniem z dziećmi, które wniosły młodość w jej życie, Elizabeth poczuła pierwszy spazm bólu. Serce jej krwawiło.

Edward, syn, którego William począł nic o tym nie wiedząc, był cichym, niepewnym chłopczykiem i chociaż John natychmiast z miłością uznał go za syna, dziecko zdawało sobie sprawę, że jest tu jak podrzutek z kukułczego gniazda. Z tego powodu niezwykle kochał Elizabeth. Jednak wszystkie jej próby zmierzające do tego, by nabrał więcej pewności siebie, zawiodły. Fakt, że nosił nazwisko Delacourt, podczas gdy pozostali członkowie rodziny nazywali się Stayenham, pogłębiał jego nie usprawiedliwione poczucie osamotnienia. Bez niej Edward będzie stracony. Przesunęła wzrok na silnego malucha, który skakał i brykał przy kobiecie, którą traktował niemal jak swą babcie. Mały Ross był odważny, psotny, niezwykle pewny siebie. Odrzucał delikatne próby Edwarda, który chciał go chronić z braterską miłością — nie było między nimi nic z pełnego czci stosunku Ruperta do Hugona — i był najszcześliwszy, gdy bawił się w żołnierza. Miał w sobie pewien urok, który już potrafił wykorzystywać, by dostać to, co chciał od Edwarda, Vinnie czy nawet Johna. Tylko w matce rozpoznawał osobę, której nie można przebłagać uśmiechem i wilgotnym dziecięcym pocałunkiem. Bez niej Rossa nikt nie będzie mógł okiełznać.

John stanął za nią i objął ją pełnym miłości gestem.

— Musisz podjąć decyzję. Tylko ty możesz to zrobić, moja najdroższa dziewczynko — powiedział delikatnie. — Pułk odpływa za dwa tygodnie, ale muszę odpowiednio wcześniej znać twoje stanowisko, by załatwić wszystkie konieczne sprawy.

Odwróciwszy się od krajobrazu, który zaczynał zamazywać się przed jej oczyma, ujrzała bardzo wyraźnie twarz, która droższa jej była nad wszystko.

— Oczywiście pojedę z tobą.

Tylko blask jego oczu zdradził, że odetchnął z ulgą. Spytał:

— A co z dziećmi?

Uśmiechnęła się.

— Będą uparcie rosły i rozwijały się jak my, i zaczną szukać własnego przeznaczenia. Wydaje mi się, że nasze wciąż czeka na nas w Indiach.